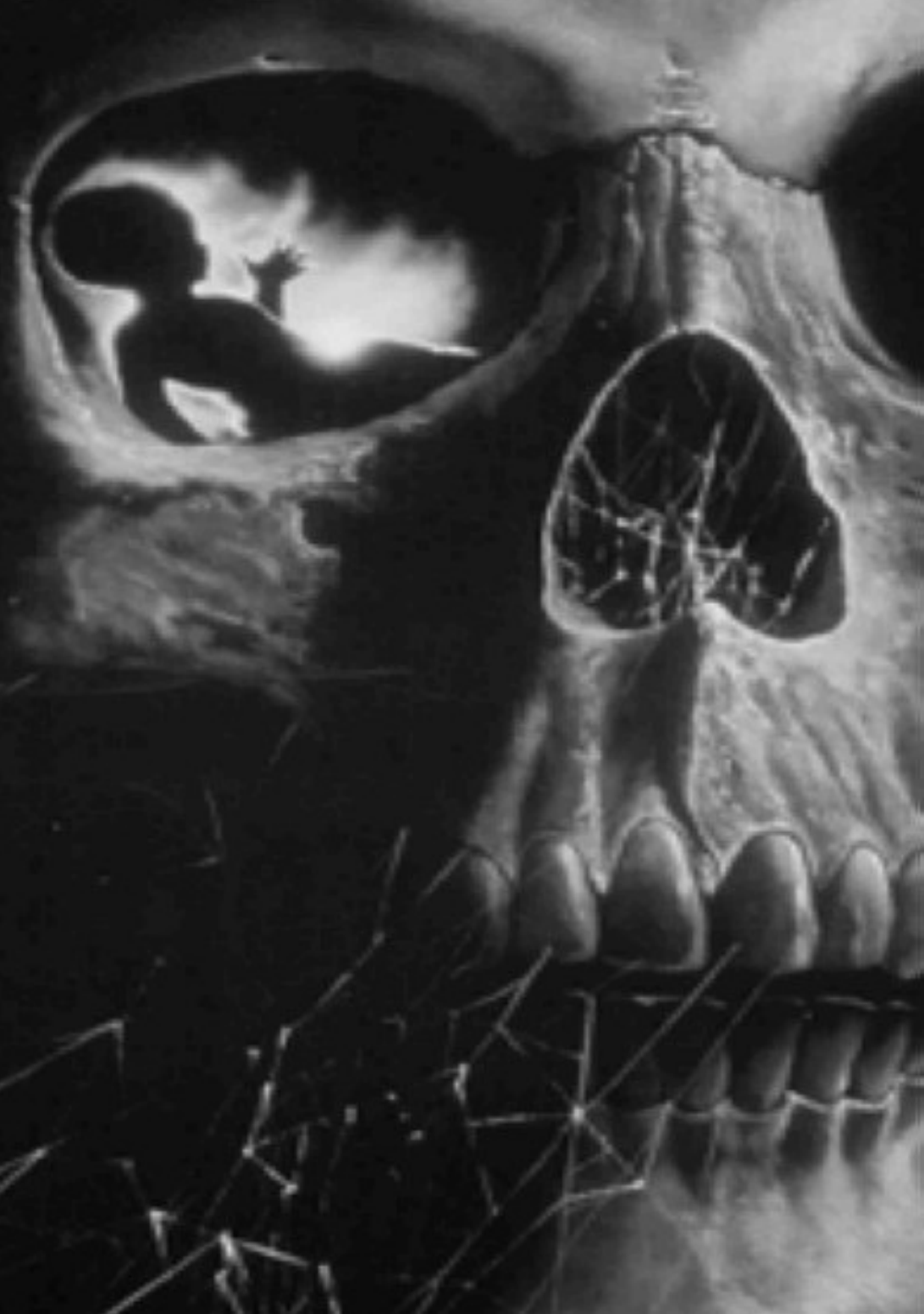


GRAHAM MASTERTON

TRANS ŠMIERCI



Graham Masterton

Trans Smierci

Tytuł oryginału Death Trance
Przełożył Grzegorz Jasinski
Prolog

Bali, 1981

Minęła właśnie ósma wieczorem, kiedy Michael przejeżdżał na rowerze przez rynek.

Manewrował swym zabytkowym rudgem między kłębiącymi się tłumami turystów i kramiarzy oraz straganami oświetlonymi setkami lamp gazowych. Była pora monsunowa, gorąca i pochmurna. Na niebie nie było żadnej gwiazdy.

Ilekcio Michael zostawał zatrzymany przez wczesnych biesiadników skupionych wokół *warong*, kramiku z chińskimi miseczkami pełnymi smażonych klusek, wściekle uderzał w swój dzwonek. Czasami ludzie usuwali mu się z drogi, ale najczęściej musiał zeskakiwać z siodelka, które było dla niego o wiele za wysokie, i prowadzić rower przez tłum jak młody kowboj ciągnący upartego wołu. Czasami musiał nieść rower na lewym ramieniu, by obejść gromady kurczaków, bele z batikiem i koszyki z wężami.

Rzadko kto zwracał uwagę na delikatnego, szczupłego chłopca ze staromodnym rowerem. Czasami spojrzał na niego jakiś Amerykanin, który pamiętał metyskie dziedzictwo Wietnamu, ale prawie natychmiast odwracał wzrok, gdyż potargane włosy chłopaka były tak jasne, że aż prawie białe, ale jego ciemnobrązowe i lekko skośne oczy, zakrzywiony nos i jakaś miękkość wokół ust zdradzały, że płynęła w nim krew matki Balijski.

Teraz na drodze stanęły mu dwie kobiety spierające się o cenę świętojanek.

–Aduh! Terlalu mahal! Tidak, saya tidak mau membelinya!

Michael nadusił dzwonek i kobiety usunęły się z drogi, nadal się kłócąc. Mógł być tutejszym chłopcem, który przyjechał na wieczorny targ, by załatwić jakieś zakupy. Tylko ktoś wrażliwy na tajemniczość, jaką ewokowało za każdym razem w mieście Denspar zachodzące słońce, tylko ktoś, kto był w stanie rozpoznać dziecko, które ćwiczyło się w duchowych ćwiczeniach Yamy – tylko ktoś taki wiedziałby, że to jedzie Michael i dlaczego.

Jechał dalej ku ulicy zwanej Jalan Mahabharata. Wieczorny targ wypełniały dźwięki rock'n'rolla dobywające się z zawieszonych głośników, rock'n'rolla wymieszanego z dźwiękami cymbałów *ceng-ceng* i uderzeniami bębnów *kendang*. Powietrze nasycone było zapachem chili, ryżu i skwierczącym tłuszczem *babi guling*, balijskich prosiaków z rusztu. Wszędzie trajkotali i kłócili się piskliwymi głosami ludzie, oferując żywność, owoce, buty i „starożytnie pod gwarancją” rzeźby.

Stary człowiek z dopalającym się cygarem między wargami i w dziwnie przechylnym turbanie próbował zagrozić Michaelowi drogę.

–Behenti! Behenti!

Michael wyminął go, podpierając się dla równowagi jedną nogą i obcierając sobie tydkę o pedał.

Mężczyzna krzyknął chrapliwie:

–Ty – puthi anak - biały dzieciaku! Widziałem cię już. Wiem, gdzie idziesz.

Powinieneś się wystrzegać lejaków. Powinieneś zważać na tych, którzy ci dają rady. Ty *puthi anak!* Zważaj na tych, którzy cię prowadzą!

Michael jechał dalej, nie oglądając się, czy stary człowiek go śledzi. Miał nadzieję, że nie. Tym niemniej nie był zdziwiony czy strapiony tym faktem. Już na samym początku został uprzedzony, że istnieją osoby wrażliwe na duchy i że wiele spośród nich może rozpoznać, kim on jest.

Zazwyczaj węszyli go starcy, którzy mieli nosa na subtelną obecność Dewi i Dewy, bóstwa męskiego i żeńskiego, duchów szepczących w ciemnościach nocy, które znikając, zostawiały łagodne zawirowania w porannej mgiele. Niewielu młodych obchodził teraz świat duchowy; interesowali się bardziej Bruce'em Springsteenem, Prince'em czy ujeżdżaniem po Jalan Gajamahda ryczących maszyn i pogwizdywaniem na amerykańskie dziewczyny. Siła duchowa Denpasar nadal była czynna, szczególnie w starszych dzielnicach miasta, ale dla młodych starożytne bóstwa zostały przyćmione czerwonymi i żółtymi światłami neonów i krzykliwymi plakatami reklamującymi seksfilmy.

Michael nie był pewien, co starzec w turbanie usiłował mu powiedzieć, ale pamiętał słowa swego ojca: „Bądź cierpliwy, ponieważ zawsze istnieje wyjaśnienie wszystkiego. I cokolwiek się stanie, ty zawsze masz swą duszę i zawsze będziesz miał mnie”.

„Nigdy cię nie opuszczę – powiedział mu łagodnie ojciec na ganku ich domu we wsi Sangeh, podczas gdy deszcz monsunowy padał na okap, a mgła unosiła się nad błękitnozielonymi polami. – Bez względu na to, gdzie będę i co się ze mną stanie – nawet jeśli umrę – nigdy cię nie opuszczę.”

Tego dnia w Denpasar padało. Był listopad, drugi miesiąc pory monsunowej, a temperatura osiągnęła pięćdziesiąt pięć stopni. Miasto zostało jakby otulone gorącymi mokrymi ręcznikami. Twarz Michaela ociekała potem, a biała koszula z krótkimi rękawami przykleiła się do jego chudych pleców. Wokół bioder nosił szkarłatny *saput*, świątynną przepaskę, która niegdyś należała do jego ojca. Na nogach miał znoszone adidas. Oprócz roweru, który podarował mu pan Henry w amerykańskim konsulacie, ‘ drugą spuścizną po zachodniej kulturze był zegarek na rękę firmy Casio z meczem futbolowym na tarczy.

Kiedy dotarł do Jalan Mahabharata, zsiadł z roweru. Przeprowadził go obok kramu z batikiem, gdzie siedziała dziewczyna, szyjąc w świetle gazowej lampy. Jej uroda była prawie nieziemską, chociaż włosy miała spięte do tyłu zwykłymi grzebieniami, a na sobie prostą sukienkę z białej bawełny. Uniosła oczy, kiedy Michael ją mijał. Być może rozpoznała go, ale nie odezwała się.

Dalej w głąb ulicy stragany i kramiki *warong* z nocnego rynku ustępowały szeregowi starych domów: holenderskie kolonialne frontony z ukrytymi drzwiami i okiennicami na oknach, ciemne wejścia z napisami w języku indonezyjskim, sklepy i gabinety dentystyczne. Pies przybłąda szarpał zdechłego kurczaka. Dwóch młodych ludzi z wygolonymi z tyłu włosami siedziało okrakiem na swych Yamahach, paląc papierosy, pogwizdując i śpiewając wciąż to samo: „Hej-hej, rock n’roll”. Po drugiej stronie ulicy, przed opuszczoną pralnią, stała dziewczyna w cienkiej satynowej

koszuli, czekając na kogoś lub na nikogo.

Powietrze tutaj było wypełnione zapachem taniej żywności, ścieków i dymu z kadzidła. Turyści unikali tej okolicy, ponieważ robiła przykre i groźne wrażenie. Ale Michael, spokojny, opanowany, nie obawiający się niczego, prowadził swój rower przez odpadki i spadłe liście czerwonego uroczymi.

W świecie ludzi nie ma się czego bać. Dopiero na krawędzi świata duchów zaczął się prawdziwy lęk.

Doszedł do wrót starej zaniedbanej świątyni Pura Dałem, Świątyni Zmarłych. Stara budowla stała między holenderskim domem mieszkalnym a „Rumah Mąka Rama”, restauracją Rama. Jej wieże i łuki były udrapowane gęstą gmatwaniną pnączy. Panowała tu głębsza ciemność i cisza niż w pozostałej części ulicy. Wzdłuż ściany frontowej kamienne rzeźby diabłów i demonów gapiły się swymi odrażającymi twarzami o długich kłach. Bramy strzegły podobizny Rangdy, Wdowiej Wiedźmy, i Barong Keketa, Władcy Lasów. Ich groteskowe ciała były grubo pokryte mchem, a wokół kolan pięły się kwiaty.

Dziewczyna w cienkiej satynowej koszuli zawołała z drugiej strony ulicy:

–Jesteś samotny, młody Charlie?

–*Tidak* - odparł Michael, co znaczy „nie”.

–*Mungkin nanti*, Charlie? – zapytała dziewczyna tym samym pozbawionym wyrazu głosem. – Może później?

Michael pokręcił głową, aby dać znak, że ją usłyszał, ale bez wahania podszedł do skorodowanych, zielonych, miedzianych wrót Pura Dałem i nacisnął ciężką klamkę. Wprowadził swój rower do środka i potem zamknął wrota za sobą. Panowała tutaj głęboka cisza, z wyjątkiem odległego echa warkotu motocykli. Lampy oliwne migotały i kopcily, chociaż zewnętrzny dziedziniec, przez który wszedł Michael, pozostawał cienisty i dziwnie ciemny. Świątynia została splądrowana podczas przerażających dni *puputan*, wielkiej samobójczej walki przeciw Holendrom, i już dawno kilka krytych słomą pawilonów otaczających dziedziniec zawaliło się, pozostawiając tylko białe szkielety konstrukcji. Kamienną posadzkę porastał mech.

Michael zostawił swój rower zaraz za bramą wejściową i przeszedł dziedzińcem aż do mniejszej bramy pokrytej wzorami kwiatów i postaci bestii, strzeżonej przez bliźniacze małpie olbrzymy Hanuman. Była to *paduraksa*, brama do wewnętrznego dziedzińca, drzwi do samego Królestwa Śmierci.

Michael nie musiał otwierać wewnętrznych drzwi czy choćby pukać do nich. Arcykapłan zawsze uprzedzał jego przybycie i dzwonił trzy razy w świątynny dzwon: trzy płaskie, głuche, owalne brzmienia, które odbijały się w świątyni jak zanikający głos demona. Stado ptaków minah podrywało się w niebo ze zwisających gałęzi uroczynu, a potem szybko sadowiło z powrotem.

Otworzyła się brama, a za nią stał pedanda, arcykapłan, ciągle po pięciu latach zadziwiający go swym niewielkim wzrostem i kruchością. Na głowie miał nakrycie z tkaney bawełny, nie większe od nakrycia zwykłego kapłana, i był owinięty w zwykłą białą szatę, jakby go przygotowano do kremacji. Michael często usiłował zgadnąć, ile on ma lat, ale trudno było to powiedzieć z całą pewnością. Mały człowieczek był

chudy i pomarszczony, oczy miał nieprzeniknione jak kryształ górski i lichą białą brodę. Pod okryciem jego ciało zdawało się nie mieć w ogóle substancji, jak ciało kruchego, zmumifikowanego ptaka.

–*Selamat malam, Michael* – skinął pedanda, złożony lekko razem dłonie. – Dobry wieczór.

–*Selamat malam, Pak* - odparł Michael.

Pedanda odwrócił się bez ceremonii i poprowadził go na wewnętrzny dziedziniec. Stały tam cztery gliniane naczynia, każde w innym kącie, w których paliły się kadzidła. Kapłan zdawał się prawie płynąć przez dym, jakby jego stopy nie dotykały ziemi.

–*Ada Sesuatu yang menjusahkan?* - spytał pedanda, nie obracając się. Jego głos zdradzał ślad rozbawienia. Chciał wiedzieć, czy Michael odczuwa, że coś jest nie tak.

–Pewien starzec chciał mnie zatrzymać, kiedy jechałem ulicą Jalan Kartini. Powiedział dziwną rzecz.

–Aha – odparł pedanda. Uniósł jedną dłoń. Miał tak długie paznokcie, że zwijały się jak korkociągi.

Skrzywił głowę w dziwny sposób, pokazując Michaelowi, że się cieszy.

–Starzec wyczuł twoją gotowość – wyjaśnił pedanda.

–Czy rzeczywiście jestem gotowy? – spytał Michael.

–Masz jakieś wątpliwości?

Kadzidło falowało pomiędzy nimi, wypływając w ciężkie nocne powietrze.

–Tak, oczywiście, że mam wątpliwości. Czy ty nie miałeś wątpliwości, zanim zrobiłeś to po raz pierwszy?

–Oczywiście – odparł pedanda. Nauczył Michaela, by zawsze zadawał mu pytania.

– Ale musiałem odrzucić swoje wątpliwości. Tak jak ty musisz odrzucić swoje. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – *Silakan duduk.*

Michael usłuchał i poszedł na środek dziedzińca, gdzie leżały dwie jedwabne wystrzępione maty. Ostrożnie, aby nie pomarszczyć jedwabiu, usiadł ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowany, z otwartymi dłońmi.

–Dziś wieczorem zrobisz pierwsze kroki do świata duchów – powiedział pedanda. Nie przyłączył się od razu do Michaela, jak to zazwyczaj robił, ale stał, patrząc na niego kamiennym wzrokiem. Jego dłonie nadal były lekko złączone, jakby trzymał między nimi motyla. „Co mam teraz zrobić? Wypuścić motyla czy zdusić go na śmierć?”

Michael zadrżał, chociaż obiecywał sobie zawsze, że kiedy pedanda ogłosi, że ten wieczór w końcu nadszedł, przyjmie to bez lęku i bez żadnych sentymentalnych uczuć. Miał jednakże pełne prawo bać się, ponieważ kulminacja jego nauki u arcykapłana oznaczała, że będzie mógł spotkać i rozmawiać z każdym zmarłym, jakiego wybierze, tak wyraźnie jakby ten nadal żył.

Miał także pełne prawo do sentymentów, ponieważ kiedy już ujrzy zmarłego – to znaczy będzie zdolny wejść w trans, który jest konieczny do takiej trudnej eksploracji – sam stanie się kapłanem i potem nigdy już nie ujrzy swego nauczyciela. Pedanda nauczył go już wszystkiego, co sam umiał. Teraz kolej na Michaela w

tropieniu zła i przejściu między duchami balijskich przodków.

Pedanda nigdy nie okazał mu żadnych ojcowskich uczuć, mimo wszystko Michael nazywał go *Pak*. Przeciwnie, bardzo często był karcony, temperowany i otrzymywał kary za najłżejsze przewinienia. Kiedy zmarł ojciec Michaela, pedanda mu nie współczuł.

–Zmarł? Ma szczęście. Poza tym, kiedy będziesz gotów, spotkasz go znowu.

Mimo to powstało między nimi mocne, nie wypowiedziane porozumienie, które w pewien sposób miało większe znaczenie dla Michaela niż uczucie. Częściowo opierało się na wzajemnym szacunku, a częściowo na mistycznej wrażliwości, którą dzielili, zdolności, która im obu umożliwiała wchodzenie do sennych światów bóstw. Doświadczali rzeczywistości bogów z pierwszej ręki dzięki transowi, znanemu w swej mniej rozwiniętej formie jako *sanghyang*, w którym człowiek może chodzić po ogniu lub nakłuwać się ostrymi nożami i nie mieć ran.

–Nic nie mówisz – powiedział pedanda. – Czy się boisz?

–*Tidak* - odparł Michael. – Nie.

Pedanda nadal patrzył na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu.

–Mówiłem ci, czego masz się spodziewać. Wchodząc do świata zmarłych, wchodzisz także do świata demonów. Spotkasz lejaki, nocne wampiry, które są akolitami Rangdy. Ujrzysz Buta i Kala, które wdychają chorobę w usta niemowląt.

–Nie boję się – powiedział Michael. Spojrzał szybko na nauczyciela, z ukosa, aby dostrzec jego reakcję.

Pedanda zbliżył się do Michaela, tak że chłopak poczuł dziwny, suchy, drewniany zapach, który kapłan zdawał się zawsze wydzielać.

–Bardzo dobrze. Nie boisz się lejaków. Ale przypuśćmy, że staniesz twarzą w twarz z samą Rangdą.

–Wezwę Barong Keketa, aby mnie chronił. Pedanda zarechotał.

–Będziesz się bał, obiecuję ci, chociaż teraz się nie boisz. To dobrze bać się Rangdy. Mój synu, nawet ja boję się Rangdy.

Potem na krótko pedanda opuścił Michaela i wrócił z dużym przedmiotem przykrytym materiałem zdobionym haftem. Położył przedmiot przed Michaeliem i uśmiechnął się.

–Czy wiesz, co to jest?

–Wygląda jak maska.

–Co jeszcze możesz mi o tym powiedzieć?

Michael oblizał wargi.

–To jest bardzo *sakti*.

Miał na myśli, że to ma dużą magiczną moc, taką moc, że musiało być przykryte materiałem.

–Czy będziesz się bał, gdy ci to pokażę? – spytał kapłan.

Michael nie odezwał się. Pedanda przyglądał mu się uważnie, próbując znaleźć na jego twarzy ślad zdenerwowania lub duchowego wahania. Po chwili Michael wyciągnął rękę, chwycił materiał za narożnik i ściągnął go z maski.

Mimo że był pewny siebie i opanowany, poczuł jak jego wnętrzności podskakują.

Ta ohydna maska patrząca na niego była twarzą Rangdy, Wdowiej Wiedźmy, o wylupiastych oczach, rozszerzonych nozdrzach i tak długich i zakrzywionych kłach, że zachodziły jedne na drugie. Wrażliwość Michaela na obecność zła była teraz tak wysoka, że poczuł wrogość Rangdy jak krzepnący ogień przenikający jego kości. Nawet jego zęby jakby fosforyzowały w dziąsłach.

–Co teraz czujesz? – spytał kapłan. Jego twarz była na wpół skryta w cieniu.

Michael patrzył na maskę przez dłuższą chwilę. Chociaż był to tylko papier, drewno i farby, wydzielala nadzwyczajne zło. Wyglądała, jakby miała za chwilę ożyć i pożreć ich obu.

–Jeśli Barong Keket mnie nie ochroni, zrobi to duch mojego ojca – odezwał się Michael.

Pedanda wziął haftowany materiał i przykrył nim maskę, ale zostawił ją tam, gdzie była, pomiędzy nimi.

–Jesteś gotów – powiedział sucho. – Zamkniemy oczy i będziemy medytować, a potem zaczniemy.

Pedanda usiadł naprzeciw Michaela i pochylił głowę. Aromatyczne kadzidło przepływało między nimi, czasami zupełnie przysłaniając kapłana, tak że Michael nie był pewien, czy on nadal tam jest. Kadzidło przywołało Michaelowi na pamięć pieśni pogrzebowe, tańce w transie i wszystkie sekretne rytuały, o których uczył go pedanda, od kiedy skończył dwanaście lat. W kadzidle pojawił się nowy zapach: gorzki i cierpki, jak palące się liście kolendry.

–Musisz myśleć o umarłych – odezwał się pedanda. – Musisz myśleć o duchach, które wędrują przez miasto. Musisz myśleć o obecności tych wszystkich, którzy odeszli przed tobą: kapłanach świątynnych, którzy niegdyś chodzili po tym podwórzu, sprzedawcach krzyczących na ulicach, *raja* i *perbekel*, dzieciach i dumnych młodych kobietach. Są nadal z nami, a teraz jeśli zechcesz, możesz ich ujrzeć. Tłumy umarłych!

Michael rozejrzał się dokoła. Znajdował się w pierwszym stadium transu, oddychając powoli, jakby wkraczał ostrożnie do czystej zimnej wody. Tam, wyznaczając ściany wewnętrznego dziedzińca stały wyrzeźbione kamienne kapliczki bóstw życia i śmierci, kapliczka Gunung Alung, wulkanu, i następna duchów góry Batur. Prawdopodobnie to w tych kapliczkach siedzą bogowie, kiedy odwiedzają Pura Dałem. Michael czasami zastanawiał się, czy bogowie jeszcze tu w ogóle schodzą – świątynia była tak podupadła, a święta *odalan* już tu się nie odbywały – uświadomił sobie jednak, że byłaby to herezja, gdyby ujawnił wątpliwości nauczycielowi.

Kapliczki największych bóstw miały jedenaście dachów, wyrastających jeden na drugim w ciemność. Kapliczki mniejszych bóstw miały tylko siedem dachów lub pięć. Przed żadną kapliczką nie leżały dary tak jak w innych świątyniach, żadnych owoców, kwiatów, głów wołu czy kurczaków. Nie było nic oprócz suchych liści, które spadły z wiszących gałęzi uroczymi i kilku rozrzuconych kości drobiu. Nie było tu już świątynnych kapłanów, którzy zaspokajaliby potrzeby bogów.

Pedanda zaczął recytować Michaelowi słowa, które stopniowo miały przenieść go

w wyższe stadium transu. Michael z początku miał oczy otwarte, ale potem jego powieki z wolna opadły, a ciało odprężyło się. Stopniowo jego świadoma percepcja zaczęła zanikać i popłynęła po posadzce dziedzińca jak oliwa.

Pedanda zaczął rytmicznie uderzać jedną stopą o kamienie posadzki, a Michael kiwał się do tyłu i do przodu w tym samym rytmie, jakby czekał na przybycie świętujących wieśniaków, niczym onegdaj, gdy miało się odbyć święto *odalan* w świątyni. Kołysał się, jak gdyby uderzano w bębny *kendang* i w gongi *kempli*, a noc nagle rozbrzmiała brzęczeniem cymbałów.

–Możesz teraz chodzić między umarłymi, którzy są wśród nas. Możesz wyraźnie widzieć duchy tych, którzy odeszli przed tobą. Twoje oczy są otwarte jednocześnie na ten świat i świat przyszły. Wchodzisz w trans transów, trans śmierci. Świat wewnątrz światów.

Michael przycisnął dłonie do twarzy, aby kiwać się jeszcze szybciej. Dźwięk bębnów i cymbałów w jego umyśle był ogłuszający. *Jhanga-jhanga-jhanga-jhanga-jhanga*: skomplikowane, nie pisane rytmy muzyki gamelan; gwizdzące melodie życia i śmierci; trzaskanie ognia bez płomieni, noży, które nie chcą ciąć; pokos w powietrzu robiony przez demony, które skradły dzieci w ciemności.

Wielkie bloki purpury i czerni zaczęły nagle spadać na niego. Jego umysł wybuchał jak nieskończony korowód rozkwitających kwiatów, a każdy z nich był bogatszy i bardziej ozdobny od poprzedniego.

Bębny *kendang* biły mocniej i mocniej; cymbały zawodziły przenikliwie; gongi rozbrzmiewały raz za razem, aż ich dźwięk zlał się w jeden ogłuszający, prawie nie do zniesienia dźwięk.

Michael teraz kołysał się wściekle z dłońmi mocno przyciśniętymi do twarzy. Głos nauczyciela dochodził do niego poprzez ogłuszającą muzykę, powtarzając ciągle:

–Sanghyang Widi, prowadź nas; Sanghyang Widi, prowadź nas; Sanghyang Widi, prowadź nas.

W tym momencie – w samym crescendo swego transu – Michael zazwyczaj wstawał, żeby tańczyć, naśladując kroki nie wyuczone przez kapłanów czy rodziców, ani przez nikogo śmiertelnego, ale znane wszystkim, którzy potrafią wejść w *sanghyang*.

Dzisiaj jednak nagle i niespodziewanie zaskoczyła go cisza i bezruch. Przez krótką chwilę nadal się kołysał, ale potem zastygł w miejscu pod naciskiem ciszy i bezruchu, a muzyka w wyobraźni urwała się. Zdjął ręce z twarzy i ujrzał obserwującego go pedandę; wewnętrzny dziedziniec świątyni ze swymi martwymi liśćmi i opuszczonymi kapliczkami; kadzidlany dym, dryfujący gęsto w ciemność.

–Co się stało? – spytał. Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby mówił spod koca.

Starzec uniósł jedno wychudzone ramię i wskazał na dziedziniec.

–Czyżbyś nie rozumiał, co się stało?

Michael zmarszczył się i uniósł głowę. Zapach palonych liści kolendry był teraz jeszcze silniejszy. Gdzieś rozlegał się gwizd, głośnymi dźwiękami.

–Wiesz już – powiedział pedanda – że twoje ciało składa się z trzech ciał: ciała śmiertelnego, *stulasarira*; ciała emocjonalnego, *suksmasarira*; i ciała duchowego,

antakaransarira. No cóż, twoje **stulasarira** i twoje **suksmasarira** zapadły w głęboki trans, nie dziki trans **sanghyang**, ale w coś w rodzaju snu. Twoje **antakaransarira** jednakże nie śpi. Twój duch może teraz wszystko postrzegać i nie przeszkadzają mu fizyczne czy emocjonalne względy. Nie będziesz się przejmował perspektywą zranienia siebie. Nie będziesz się przejmował złością czy miłością lub urazą. W tym stanie będziesz mógł widzieć umarłych.

Michael uniósł swoje ręce i przyjrzał się im, potem znowu spojrzął na pedandę.

–Jeśli ja śpię, jak mogę się poruszać?

–Zapominasz, że twoje **stulasarira** i twoje **antakaransarira** są nierozłączne nawet po śmierci. To dlatego palimy nasze ciała, aby **antakaransarira** mogło się w końcu uwolnić od prochów. Twój duch chce poruszać twoim śmiertelnym ciałem i również twoje śmiertelne ciało, kiedy jest obudzone, porusza twoim duchem.

Michael siedział cicho; pedanda patrzył na niego z cierpliwym uśmiechem.

Chociaż świątynia wydawała się taka sama, teraz posiadała dziwną, senną jakość, przyćmioną świetlistość, a chmury nad wieżyczkami meru zdawały się poruszać z niezwykłą szybkością.

–Masz tak wiele pytań, a nie potrafisz ich zadać – powiedział pedanda.

Michael pokręcił głową.

–Czuję, że odpowiedzi przyjdą same.

–Jednakże musisz próbować ubierać w słowa wszystko, czego nie potrafisz zrozumieć.

–Czy w tym transie będę odczuwał ból? – spytał Michael. – Czy mogę chodzić po ogniu lub nakłuwać się nożami?

–Sam spróbuj – uśmiechnął się pedanda i z fałd swojej prostej białej sukni wyciągnął kris o falistym ostrzu, tradycyjny sztylet balijski. Ostrze błyszczało tak, że Michael rozpoznał, iż było dopiero co ostrzone. Ostrożnie przyjął broń, sprawdzając jej ciężar i ozdobną rączkę. Na moment, gdy pedanda wyciągał do niego sztylet, ich oczy spotkały się i w spojrzeniu starca dostrzegł dziwny i tajemniczy wyraz, którego Michael wcześniej u niego nie widział; było to jakby spojrzenie pełne rezygnacji.

W transie **sanghyang** chłopcy w wieku siedmiu czy ośmiu lat nacinają piersi takimi sztyletami, a ich ostrza nie przenikają skóry. Ale to nie był zwykły trans **sangkyang**. Był to bardzo dziwny rodzaj transu, jeśli w ogóle był to trans. Cisza na dziedzińcu była tak głęboka, że Michael mógł prawie uwierzyć, iż pedanda go uśmiercił. Zastanawiał się, czy może w jakiś nieznaną sposób nie udała mu się inicjacja i zawiódł swego starego kapłana. Być może jedynym honorowym wyjściem z sytuacji dla studenta, który rozczarował pedandę, było samobójstwo, i być może właśnie to mu teraz oferowano.

Michael zawahał się, a kiedy to zrobił, wychudzony kogut majestatycznie wszedł na dziedziniec, opuścił swoją upierzoną głowę i zaczął się na niego gapić.

–Boisz się? – spytał pedanda. – Czego się boisz? Śmierci?

–Nie jestem pewien – odparł Michael niepewnie.

–Niezdecydowanie to grzech.

–Boję się, ale nie wiem dlaczego. Boję się ciebie.

–Mnie? – uśmiechnął się kapłan. Uniósł dłonie z błyszczącymi długimi skręconymi paznokciami. – Nie musisz się mnie bać. Nie musisz się niczego bać, nawet śmierci. Chodź, pokażę ci, czym jest śmierć.

Michael spojrział na nóż w swojej dłoni, a potem znowu pytająco na pedandę, który pokręcił głową.

–Nie uderzaj teraz. Pytanie minęło. Później znowu się pojawi, ale nie z lęku, a być może w inny sposób.

Kapłan wstał z wdziękiem. Przez chwilę patrzył na maskę Rangdy przykrytą haftowanym materiałem. Potem odwrócił się i popłynął przez dziedziniec do bramy *paduraksa*, a potem przez drugi dziedziniec na ulicę. Michael podążył zaraz za nim, świadomy dziwnej opieszałości w kolanach, jakby brodził w ciepłej, mulistej wodzie. Ulice wydawały się opuszczone i tylko papierosy żarzyły się w drzwiach, mruzczały zamazane głosy, a miękkie szeleszczące dźwięki wypełniały powietrze.

Pedanda poprowadził go do końca ulicy. Michael miał wrażenie, jakby śledził postać ze snu. Po raz pierwszy od roku uświadomił sobie, że jest na pół biały i że tylko w połowie ma prawo poznać sekrety, które objawiał mu pedanda. Chociaż był bardziej zaawansowany w duchowym studiowaniu niż większość balijskich chłopców, odczuwał zawsze, że coś zatrzymał, coś niewielkiego, sceptyczną cząstkę swego ducha, która zawsze będzie biała.

Pedanda dotarł teraz do brązowych drzwi osadzonych w rozpadającym się kamiennym murze. Otworzył je i Michael postąpił za nim. Ku swemu zdziwieniu znalazł się na niewielkim cmentarzu gęsto zarośniętym zielskiem i jasnozielonym mchem, osłoniętym przez pnącza zwisające z drzew, cichym, opuszczonym, ze zniszczonymi nagrobkami, z zarośniętymi ścieżkami, ale w pewien smutny i żalony sposób eleganckim. Otaczające go wysokie mury musiały niegdyś zakrywać to miejsce przed widokiem znajdujących się w sąsiedztwie domów, ale teraz nad małym cmentarzykiem wznosiły się trzy czy cztery biurowe budynki i oświetlał go napis „Udaya Tours”. Niedaleko szkarłatny napis głosił: „Quantas”.

Pedanda stanął nieruchomo.

–Nigdy przedtem nie pokazywałem ci tego miejsca – powiedział. – Na tym cmentarzu spoczywa sto pięćdziesiąt rodzin, które zmarły w czasie *puputan*, zamordowane przez Holendrów i przez *rajas*. Rodziny bez nazwisk, dzieci bez rodziców. Zostali spaleni i w ten sposób ich *antakaransarira* zostały uwolnione, ale pozostają tutaj nie oplakane.

Michael przeszedł pomiędzy rzędami grobów oplecionych chwastami. Na każdym kamieniu znajdowały się ozdobne płaskorzeźby w stylu Idy Bagusa Njany, wyobrażające demony, tancerzy, duchy i groźnych wojowników. Każdy grób reprezentował jedną rodzinę.

Potem stanął nieruchomo, niepewny, dlaczego pedanda go tu przyprowadził. Napis „Quantas” świecił jasno: bezkompromisowa wiadomość, że przeszłość jest daleką przeszłością, a Bali jest teraz regularnie nawiedzana przez boeingi jak przez demony.

Kiedy Michael odwrócił się, by porozmawiać z pedandą, włosy stanęły mu dęba z

przerażenia, gdyż kapłan nadal stał w bramie cmentarnej ze złożonymi dłońmi i lekko uniesioną głową, ale tuż za Michaeliem w absolutnej ciszy zgromadziła się rodzina. Ojciec, matka, dwie dorastające córki i synek, nie mający więcej jak osiem lat. Ubrani byli w tradycyjne szaty pogrzebowe, a ich głowy były owinięte białymi szarfami. Wszyscy patrzyli na niego, bez ruchu, i chociaż mógł ich widzieć całkiem wyraźnie, wydawali się niczym więcej jak wieczornym powietrzem. Obserwował ich. Wiedział z całą pewnością, że są martwi.

Rodzina z wolna zawróciła i oddaliła, kierując się między grobami. Minąwszy pedandę, zniknęła z widoku.

Michael rozejrzał się i ujrzał inne postacie stojące równie cicho między pnączami: młodą dziewczynę o bladej twarzy, której czarne włosy były upięte pozłaczanymi grzebieniami; mężczyznę przyciskającego dłonie do twarzy; staruszkę trzymającą uniesioną rękę, jakby kiwała komuś oddalonemu o kilometry stąd; dzieci o przerażonych twarzach i oczodołach czarnych jak atrament.

Pedanda szedł przez cmentarz do Michaela, ciągle się uśmiechając.

–Wszyscy ci ludzie nie żyją od wielu lat. Nadal jednak tu są i zawsze będą. Nie potrafimy pogodzić się z obecnością duchów tylko dlatego, że ich nie widzimy. Możemy oglądać je tylko w transie.

–Czy oni będą mówić? – spytał Michael. Pomimo wilgoci czuł intensywne zimno i drżał.

–Będą mówić, jeśli uwierzą, że możesz im pomóc, ale są przerażeni i podejrzliwi. Czują się bezradni bez swych śmiertelnych ciał, jakby byli inwalidami.

Przy najbliższym grobie stała dwunasto- lub trzynastoletnia dziewczynka. Przypominała Michaelowi dziewczynę, którą widział szyjącą w kramie z batikiem. Podeszedł do niej ostrożnie i stanął o metr od niej. Patrzyła na niego rozszerzonymi brązowymi oczami.

–Czy możesz mówić? – spytał Michael. – Mam na imię Michael. *Nama saya Michael. Siapa nama saudara?*

Nastąpiła boleśnie długa cisza. Dziewczyna utkwiała wzrok w Michaelu, obserwując go z ciekawością i podejrzliwością. Coś w wyrazie jej twarzy mówiło mu, że przeżywa ogromne cierpienie.

–*Jam berapa sekarang?* - wyszeptała głosem tak słabym jak trzepot wstążki na wieczornym wietrze.

–*Malam* - odparł Michael. Chciała wiedzieć, jaka jest pora dnia, a on jej wyjaśnił, że noc.

–*Siapa nama saudara?* - znowu zapytał o jej imię. Ale stopniowo zaczęła się od niego oddalać, jakby była unoszona przez niewidzialną falę. Pozostałe rodziny także zaczęły odchodzić, opuszczając groby. Jednakże jeden młodzieniec został, patrząc na Michaela, jakby go rozpoznawał. Był szczupły i przerażająco blady, ale całkiem ładny, o lekko zaznaczających się rysach człowieka z Północy, z Bukit Jambul.

–Zazdrości ci – rzekł pedanda, stając przy ramieniu Michaela. – Umarli zawsze pragną, aby zostały im zwrócone ich śmiertelne ciała.

–Wyglądają na przerażonych – zauważył Michael.

Kapłan przycisnął dłoń do swego lewego głuchego ucha i słuchał uważnie prawym.

–Bo są przerażeni. W pobliżu muszą być lejaki. Lejaki polują na zmarłych, jak i na żywych. Łapią ich *antakaransarira* i zaciągają do Rangdy na tortury.

–To nawet zmarli mogą być torturowani?

–Rangda jest Królową Śmierci. Może dostarczyć im straszniejszych cierpień, niż kiedykolwiek przeżywali za życia.

Michael odwrócił się i spojrział na cmentarz. Usłyszał szeleszczący dźwięk, ale były to tylko pnącza ocierające się o kamienie. Jednakże pedanda chwycił go za nadgarstek swoimi palcami tak kościstymi jak szpony jastrzębia i pociągnął z powrotem do wyjścia.

–To niezbyt mądre kusić lejaki, szczególnie, że obaj jesteśmy w śmiertelnym transie. Chodź, wracamy do świątyni.

Wyszli z cmentarza na Jalan Mahabharata. Ulica była zupełnie pusta, chociaż w niektórych z górnych okien paliło się światło i dochodził stamtąd odgłos podobny do klekotania kości do gry w mah-jong oraz śmiech. Pedanda rozejrzał się wokół, a potem chwycił Michaela za rękaw.

–Spiesz się. Jeśli lejaki dopadną nas na otwartej przestrzeni, zginiemy.

Zaczęli iść ulicą najszybciej, jak mogli, nie alarmując wrogich oczu. Minęli dwóch lub trzech turystów i sprzedawcę owoców, wszyscy zdawali się przebywać w innej przestrzeni czasowej i poruszali się tak wolno, że Michael mógł złapać owoc ze straganu kobiety, a ta nie zorientowała się, kto to zrobił. Jeden z turystów odwrócił się i uniósł brwi, jakby wyczuwając ich obecność, ale zanim zdążył zebrać myśli, oni odeszli.

Byli nie więcej niż trzysta metrów od bram świątyni, kiedy pedanda powiedział:

–Tam, po drugiej stronie ulicy.

Michael spojrział w bok i uchwycił spojrzenie człowieka o szarej twarzy w szarym garniturze, o oczach, które błyszczały ostrym pomarańczem. Wyglądał jak zombi wprost z filmowego horroru, ale szedł pewnie i prężnie, zachowując odległość i trzymając się drugiej strony ulicy. Kiedy doszedł do małej bocznej uliczki Jalan Suling, ulicy Fletów, przyłączył się do niego drugi człowiek o szarej twarzy. Ich policzki zdawały się wysmarowane ludzkimi prochami; a ich oczy mogły być zapalonymi lampami z nocnego rynku.

–Szybciej – ponaglał pedanda. Teraz już nie szli, ale biegli najszybciej jak mogli, w kierunku bram Puri Dalem. Kapłan uchwycił swoje suknie, a jego sandały klapały po chodniku. Michael mógł biec szybciej, ale nie chciał zostawiać za sobą starca. Teraz śledziło ich troje lub czworo lejaków i Michael dostrzegł ich połyskujące zęby.

Prawie dotarli do bram świątyni, kiedy kolejna trójka lejaków pojawiła się przed nimi. Byli wyżsi, niż sądził Michael, a ich twarze były podobne do masek pogrzebowych.

–Michael, brama! – wysapał pedanda. – Otwórz bramę!

Michael próbował obejść lejaki i dostać się do bramy. Jeden ze stworów złapał go za ramię dłonią, która przypominała stalowe obcęgi. Paznokcie zagłębiły się w

skórze, ale jakoś udało mu się wykręcić i uchwycić ciężkiej okrągłej klamki, która otwierała świątynię. Lejak znowu go złapał, boleśnie drapiąc po nogach, ale wtedy Michael pchnął bramę do środka i wpadł na zewnętrzny dziedziniec świątyni.

Pedanda nie miał tyle szczęścia. Jeden lejak skoczył mu na plecy, a drugi ugryzł go w przedramię, próbując oderwać kawał ciała od kości. Pozostałe lejaki darły jego szaty pazurami, biała bawełna została splamiona krwią.

–Nie, nie, puśćcie go! – krzyknął Michael, ale lejaki warknęły i rzuciły się na starego pedandę jak dzikie psy o błyszczących pomarańczowych ślepiach. Krew tryskała wszędzie prysznicem drobnych kropeł. Hałas był nie do wytrzymania: warczenie, drapanie i rozrywanie. W uszy Michaela niczym trzask suchych gałęzi wdzierał się odgłos rozdzierania mięśni, zrywania chrząstki i łamania kości. Po chwili pedanda zniknął zupełnie pod szarymi, ciężkimi lejakami i Michael pomyślał, że już nigdy nie ujrzy starego kapłana.

Ale wtedy pedanda, podobnie jak tonący, łapie powietrze, wyciągnął jedną rękę ku świątyni. Michael desperacko usiłował jej dosięgnąć. Za pierwszym razem nie «dało mu się to, ale potem uchwycił nadgarstek pedandy.

–Barong Keket! – krzyknął. Zabrzmiało to raczej jak okrzyk wojenny niż jak prośba do władcy lasów, arcywroga Rangdy. – Barong Keket!

Na dźwięk imienia bóstwa warczące lejaki uniosły głowy i spojrzały na Michaela płonącymi źrenicami. A kiedy uniosły głowy, Michael pociągnął pedandę za ramię i zdołał wciągnąć go na bezpieczny świątynny dziedziniec. Lejaki wrzasnęły ze złości, ale żaden z nich nie mógł wejść na świętą ziemię. Paznokciami drapały bramy i wyły jak wilki do księżyca, nie mogły jednak tam wtargnąć. Michael zatrasnął drzwi i oparł o nie plecami, łapiąc oddech. Pedanda leżał, dysząc, na posadzce dziedzińca, jego szaty były purpurowe od krwi.

Musimy wydostać się z tego transu, jeżeli chcemy zostać przy życiu – wyszeptał. – Szybko, Michael. Zabierz mnie na wewnętrzny dziedziniec.

Michael pomógł starcowi wstać. Czuł lepka wilgoć krwi, śliskość poszarpanych mięśni. Pedanda nie czuł bólu, ponieważ nadal pozostawał w głębokim transie, ale nie było wątpliwości, że jest bliski śmierci. Jeżeli Michael nie będzie mógł wyciągnąć go z transu i zabrać do szpitala, stary kapłan umrze w ciągu godziny. Oddychając najgłębiej i najspokojniej, jak potrafił, Michael przeciągnął pedandę za wewnętrzną bramę, *paduraksa*, i zataszczył na jedwabną matę. Przykryta materiałem maska Rangdy nadal tam leżała; dymyły kadzidła.

–Musisz recytować... *sanghyang*... - wyszeptał pedanda. – Teraz ty jesteś kapłanem... twoje słowo ma taką samą wartość jak moje.

Michael pomógł kapłanowi usiąść na macie. Starzec powiedział mu kiedyś, że te maty są ostatnimi pozostałościami po szatach małego generała Hanumana. Kiedyś były jasno turkusowozielone, teraz były brązowe i wyblakłe od wilgoci.

–O Sangyang Widi, prosimy cię o uwolnienie z tej rzeczywistości – zaintonował Michael, próbując przypomnieć sobie słowa, których nauczył go pedanda. – Prosimy, abyśmy mogli wrócić do naszych śmiertelnych bytów, trzech złączonych w jeden, *suksmasarira*, *stulasarira*, *antakaransarira*. O Sangyang Widi, prowadź nas.

W świątyni panowała cisza. Dym kadzidła płynął i wił się nieustannie. Michael powtórzył magiczne słowa, a potem dodał specjalne święte błogosławieństwo:

–Pachnący jest dym kadzidła, dym, który płynie wciąż do góry, do domu trzech boskich jedności.

Potem zamknął oczy, modląc się, aby trans się zakończył. Ale kiedy otworzył oczy, wiedział, że ciągle jest w świecie za kurtyną, że lejaki nadal gwałtownie drapią o drzwi świątyni i że nadal będzie mógł widzieć umarłych, jeśli tutaj przyjdą.

Pedanda spojrział na niego oczami nabiegłymi krwią. Jego twarz miała kolor pergaminu.

–Coś jest nie tak – wyszeptał. – Jest tutaj jakaś wielka siła magiczna, wielkie zło.

Michael złożył zdecydowanym ruchem ręce i zaczął się modlić do Sanghyang Widi, aby ich wyprowadził z transu śmierci z powrotem do świata śmiertelnych.

–To nie skutkuje – wyszeptał pedanda. – To nie działa. Stało się coś złego.

Krew małego kapłana ciekła na kamienie wewnętrznego dziedzińca, kreśląc między nimi jakby orientalne wzory.

Michael wychylił się do przodu.

–Jestem teraz kapłanem? Jesteś tego pewien?

–Tak, jesteś kapłanem.

–Dlaczego więc moje słowa nie sprowadzają nas z powrotem?

–Ponieważ jest tutaj większa moc niż twoja, jakaś moc, która nie pozwala tobie sprowadzić nas z powrotem.

Michael rozejrzał się po zaniedbanych kapliczkach, suchych liściach na posadzce dziedzińca.

Kapliczki były ciche i ciemne, dachy meru sterczały w nocne niebo. Nie było niczego złego w kapliczkach; nie były już odwiedzane przez te duchy, dla których je zbudowano.

Potem zwrócił się ku masce Rangdy, przykrytej materiałem. Spojrział na pedandę i powiedział:

–Maska. Nie sądzisz, że to maska?

–Maska jest bardzo *sakti* - wyszeptał pedanda – ale nie powinna przeszkadzać nam w powrocie. Chyba że...

–Chyba że co, *Pak*?

–Chyba że twoje duchowe zdolności mogą zagrozić Rangdzie i że ona sądzi, iż pewnego dnia zrobisz jej krzywdę. W takim przypadku nie wypuści nas.

Michael zawahał się przez moment. Potem sięgnął i uchwycił koniec materiału przykrywającego twarz Rangdy.

–To tylko maska – powiedział. – Sam to mówiłeś, kiedy zabrałeś mnie na pierwszą zabawę Barong. Jest zła i powoduje złe uczucia, ale to tylko maska.

–Nie, Michael – powiedział pedanda. – Nie ruszaj tego materiału.

–To jest Rangda, Wdowia Wiedźma, nikt inny! Niegodziwa Rangda!

Miał właśnie zedrzeć materiał, kiedy pedanda rzucił się naprzód i wyrwał go z jego dłoni. Michael stracił równowagę i upadł na wznak. Materiał został ściągnięty z maski w tej samej chwili, gdy pedanda runął przed nią.

Michael stracił oddech. Ohydna maska żyła. Jej oczy obracały się, a zęby kłapały, wydała niski pomruk wściekłości, który spowodował, że Michaelowi włosy stanęły dęba z przerażenia. Pedanda krzyknął – po raz pierwszy Michael usłyszał krzyk tego człowieka. A wtedy maska rozwarła swe pomalowane szczęki i oderwała głowę kapłana, odsłaniając na jedną straszliwą sekundę krwistą rurę jego tchawicy.

Michael odwrócił się i ruszył do ucieczki. Wypadł przez bramę *paraduksa*, pomknął przez zewnętrzny dziedziniec z powrotem do brązowych wrót, gdzie czekały lejaki. Jego płuca świszczwały, a umysł tętnił przerażeniem. Zdołał jednak rozewrzeć wrota i wybiec na ulicę. Tam jednak nie było lejaków, tylko gazowe lampy i kramy z owocami, i chłopcy na motocyklach. Wtedy zaczął biec trochę wolniej, a potem iść, aż doszedł do narożnika nocnego targu, i wtedy uświadomił sobie, że wyszedł z transu śmierci, i nagle było po wszystkim.

Długo spacerował wzdłuż rzeki, w której odbijały się światła targowiska. Minął kramy z przepowiedniami, gdzie ptaki mynah wyciągały magiczne pałeczki, aby przepowiedzieć klientowi przyszłość. Minął kramy *warong*, gdzie spoceni mężczyźni mieszały *nasi goreng*, ryż z chili i kawałkami wołowiny. A w jego umyśle maska Rangdy nadal obracała oczami, wyła i odgryzała głowę kapłanowi. Lejaki nadal podążały za nim z płonącymi oczyma.

Po policzkach Michaela spływały łzy. Wzywał ojca, ale on oczywiście nie odpowiadał. Teraz Michael był kapłanem, ale co to oznacza? Co powinien robić? Jego jedyny przewodnik i nauczyciel został w sposób nadprzyrodzony pożarty przez Rangdę, a akolici Rangdy z pewnością będą go śledzić dzień i noc, aby także na nim się zemścić.

Spacerując modlił się. Jednak modlitwy w jego umyśle były puste. Tłumiła je muzyka rock'n'rolla i warczenie motocykli. Dopiero kiedy dotarł do narożnika Jalan Gajahmada, uświadomił sobie, że zostawił swój cenny rower w świątyni.

Rozdział I

Memphis, Tennessee, 1984

–No cóż, ja wierzę, że Elvis nadal żyje, takie jest moje zdanie. Sądzę, że Elvis był chory od tych wszystkich fanów, chory, że nie posiada żadnej prywatności; chory z powodu tych wszystkich dziwek w średnim wieku w kocich okularach, wrzeszczących, gadających od rzeczy, przesadnie ambitnych, włączających się za nim; chory od tego, że jest własnością publiczną zamiast należeć do siebie; chory od tych ciągłych łajań z powodu swego brzucha. A który mężczyzna po czterdziestce go nie ma, to jego prawo. Więc upozorował śmierć, nie? I wymknął się z Gracelandu z tyłu ciężarówki lub w podobny sposób.

Spocony kierowca obrócił się na swoim siedzeniu i spojrzął na Randolpha, zadziwiająco długo trzymając jedną owłosioną rękę na kierownicy.

–Jeszcze przypomni pan sobie to, co powiedziałem, mój przyjacielu, kiedy ten człowiek z białą brodą przywędruje z powrotem do Memphis, gruby i szczęśliwy, i powie: „Wiecie, kim jestem? Nazywam się Elvis Pelvis* [Presley. Kiedy wy zlewaliście mój grób łzami, ja sobie łowiłem ryby, popijałem piwo i świetnie się bawiłem, rozmyślając, co z was za dupki.](#)”

Randolph wyciągnął energicznie przed siebie rękę, wskazując na drogę.

–Może by pan tak patrzył na szosę? Elvis mógł upozorować śmierć, ale my możemy nie mieć tyle szczęścia.

Kierowca odwrócił się akurat na czas, aby usunąć swoją taksówkę spod kół nadjeżdżającego ciągnika z przyczepą, który nagle postanowił zmienić pas, nie dając migacza. Kiedy taksówkarz skręcił, z przejeżdżającego lincolna wypełnionego pastorami rozległ się apodyktyczny klakson w dwóch tonach.

–Przepraszam, przepraszam – odezwał się ironicznie taksówkarz, kiedy limuzyna przeływała obok. – Źle skręciłem, ale przynajmniej nie władowałem się na tyłek tego ciągnika.

Znowu obrócił się do Randolpha i rzekł z humorem:

–Tyle możliwości wybaczenia w jednym samochodzie, no nie? Ale jak pan myśli, świetnie wyminałem tę budę, co? To szósty zmysł. Coś w rodzaju wbudowanego alarmu. Nie każdy go ma.

–Wolałbym, gdyby pan raczej używał swego pierwszego zmysłu i patrzył, do cholery, gdzie pan jedzie – powiedział Randolph wściekły.

–Dobrze, przyjacielu, nie ma potrzeby wpadać w rozdrażnienie – odparł szofer. Znowu się odwrócił, ukazując na swojej przepoconej koszuli odcisnięty wzór materiału z siedzenia, i włączył radio. Annę Murray śpiewała: „Potrzebujesz mnie”. Puścił głośniej muzykę, słusznie podejrzewając, że to jeszcze bardziej rozdrażni Randolpha.

Randolph był masywnie zbudowanym mężczyzną, wysokim, grubokościstym i zgodnie ze swym wyglądem zazwyczaj był łagodny. Był idealnym prezesem Clare Cottonseed Products, Inc., interesu, w którym południowe usposobienia niezmiennie osiągną stan wrzenia. Gdyby nie odziedziczył prezesury po swoim ojcu, rada i tak prawdopodobnie by go wybrała. Nigdy nie podnosił głosu ponad wystudiowane

mamrotanie. Grał w golfa, łowił ryby i kochał swoją rodzinę. Miał siwe włosy i swoim najmłodszym sekretarkom przypominał Freda MacMurraya.

Lubił być miły. Cieszył się, gdy mógł załagodzić jakiś spór, i wysłuchiwał nawet najmniejszego ze swych dwu tysięcy pracowników. Miał przydomek Handy Randy. Zazwyczaj lekko pachniał tytoniem do fajki Benson Hedges. Skończył prawo. Miał dwóch synów, jedną córkę i żonę o imieniu Marmie, którą uwielbiał.

Dzisiaj jednak był bardzo zdenerwowany. Był zaniepokojony, a nawet więcej. Tego ranka o 4.30 zadzwonił telefon i musiał wrócić ze swych wakacji nad jeziorem Ecorces w lasach Laurentide w Quebec, gdzie przybył wraz z rodziną dwa dni temu na trzytygodniowy letni urlop. Były to ich pierwsze rodzinne wakacje od trzech lat i pierwszy wolny czas Randolpha od półtora roku. Jednak wczoraj wieczorem na drugim wydziale jego fabryki w Raleigh, na północnowschodnim przedmieściu Memphis, wybuchł pożar. Jeden robotnik został spalony. Dwóch innych mężczyzn, w tym wicedyrektor, udusiło się w dymie. A szkody w fabryce wyliczono na przeszło dwa miliony dolarów.

Było nie do pomyślenia, aby prezes przedsiębiorstwa został na wakacjach w Kanadzie, łowiąc ryby, pływając i prując swym hydroplanem po okolicznych jeziorach, bez względu na to, jak bardzo na to sobie zasłużył.

Aby jeszcze dopełnić zdenerwowania Randolpha jego limuzyna nie stawiła się na lotnisku Memphis. Usiłował dodzwonić się do biura z publicznego telefonu na lotnisku, śmierdzącego środkiem dezynfekującym, ale była prawie ósma wieczór i nikt nie odpowiadał. W końcu – spocony, zmęczony i rozczochrany – sam wezwał sobie taksówkę i kazał się zawieźć na Front Street.

Jechali teraz Adams Avenue. Radio nadawało piosenkę „59th Street Bridge Song”, której Randolph nienawidził. Oparł się o siedzenie i bębnił palcami po swojej walizce Samsonite. „Zwolnij, jedziesz za szybko... chcesz, aby to był twój ostatni ranek...” Dzielnica biurowa była oświetlona kolorem zamglonego miodu akacjowego, specjalnie przeznaczonego na letnie wieczory w Memphis. Rzeki Wolf i Missisipi, które łączyły się w Memphis, przybrały odcień ciekłej rudy. Bliźniacze łuki mostu Hernanda de Soto, pobląskiwaly jasno, jakby oferowały drogę do ziemi obiecanej, a nie tylko do Zachodniego Memphis.

Wilgotność powietrza zaczęła ustępować. Tajemnicze sieci chwiały się wokół narożników biurowców. Powiew, który przedostał się przez otwarte okno taksówki, przyniósł zapach kwiatów, potu i łatwego do rozpoznania chłodu rzeki.

Jechali Front Street, przez mieszkańców Memphis nazywaną Cotton Row.

–Tutaj – odezwał się Randolph. – Ten budynek.

–Clare Cottonseed? – zdziwił się kierowca. Otarł pot z pomarszczonego czoła wierzchem dłoni.

–To ja – odparł Randolph.

–To znaczy pan jest Clare Cottonseed?

–Handy Randy Clare we własnej osobie – uśmiechnął się Randolph.

Kierowca sięgnął za siebie umięśnionym ramieniem i otworzył przed nim drzwi.

–Pewnie powinienem przeprosić – powiedział.

–Dlaczego?

–No cóż, za tę muzykę i za to, że prowadziłem jak idiota.

Randolph dał mu dwadzieścia pięć dolarów w nowych banknotach i nie chciał reszty.

–Jest gorąco – powiedział. – Wszyscy zachowujemy się jak idioci.

Kierowca policzył pieniądze i powiedział:

–Dziękuję – a potem dodał: – Czy to nie jedna z pańskich fabryk spłonęła wczoraj wieczorem? Pod Raleigh?

–Zgadza się.

–To dlatego jest pan tutaj?

–Zgadza się – powiedział znowu Randolph. – Powinienem łowić ryby w Kanadzie.

Kierowca zamilkł na chwilę, znowu otarł czoło i prychnął.

–Sądzi pan, że to było umyślne?

–Co było umyślne?

–Pożar. Czy sądzi pan, że ktoś podpalił fabrykę? Randolph zastygł bez ruchu, połową ciała pozostając w taksówce.

–Dlaczego pan tak uważa?

–Nie wiem. Może dlatego, że pewni ludzie, których podwoziłem, pracujący dla innych bawełnianych fabryk, jak Grayson czy Towery, twierdzili, że Clare nie utrzyma się długo na rynku.

–Clare to numer dwa wśród przetwórców nasion bawełny po Brooksie. Mówienie, że Clare wylatuje z interesu to tak, jakby mówiło się, że Ford wylatuje z interesu.

–Pewnie, ale wie pan, jak się sprawy mają.

–Nie jestem pewien, czy wiem – odparł Randolph ostrożnie, chociaż doskonale wiedział, co usiłuje sugerować ten mężczyzna. Nie było tajemnicą w Memphis, że Clare Cottonseed jest politycznie i ekonomicznie niezależne. Wszyscy inni wielcy przetwórcy byli członkami narzucającego ceny kartelu, który nazywał się Cottonseed Association, a który Randolph niepochlebnie określał jako Margarynową Mafię. Ojciec Randolpha, Ned Clare, rzadko był przedmiotem niepokoju mafii, chociaż zawsze upierał się przy niezależności. Ned Clare utrzymywał ceny swojego oleju do sałatek i pasz dla bydła zgodnie z cenami, dyktowanymi przez Association, ale kiedy przedsiębiorstwo przejął Randolph, chciał się rozwijać i gospodarować oszczędnie. Wprowadził zatem politykę utrzymywania możliwie najniższych cen. Członkowie Association – a szczególnie Brooks – wyraźnie okazywali swoje niezadowolenie. Jak dotąd ich wrogość wyrażała się raczej w sposób polityczny, a nie za pomocą siły. Jednak Randolph zaczął ostatnio zastanawiać się, kiedy nacisk polityczny zmieni się w gwałtowne pchnięcie.

–Niech pan posłucha – powiedział taksówkarz. – Wierzę w to, co pan robi. Wierzę w wolne przedsiębiorstwa, w wolny rynek. Każdy człowiek sam dla siebie. Taka była polityka amerykańska, odkąd pamiętam. To znaczy... nie twierdzą, że ktoś podłożył u pana ogień. Może tylko tak mi się zdawało. Ale, no cóż, biorąc pod uwagę okoliczności, nie jest to całkiem niemożliwe, prawda?

–Nie sądzę, abym musiał się do tego ustosunkowywać – odparł Randolph.

–Co by pan powiedział na to, abym miałuszy otwarte? – spytał kierowca. –
Bardzo często wożę ludzi z innych przedsiębiorstw. Przeważnie młodszych
dyrektorów. To tacy, którzy lubią dużo mówić.

Randolph przez chwilę rozważał ofertę, po czym powiedział:

–Dobrze, ma pan to, jest pan zatrudniony.

Sięgnął do kieszeni po pieniądze i wręczył mężczyźnie pięćdziesiąt dolarów.
Kierowca potrząsnął banknotem i rzekł:

–Grant, mój ulubiony prezydent. Po Franklinie, oczywiście.

Kiedy Randolph wręczył mu następną pięćdziesiątkę, uśmiechnął się i powiedział:

–Podstawowa matematyka. Dwa Granty równa się jeden Franklin.

Wyciągnął rękę przez okno, potrząsnął dłonią Randolpha i wręczył mu swoją
kartę.

–Widzi pan? Nazywam się Stanley Vergo. Nie jestem krewnym tych Vergo od
grilla. To dla mnie zaszczyt robić z panem interesy. Skoro tylko dowiem się czegoś,
zaraz to panu przekażę.

–Dobrze, Stanley – odparł cierpliwie Randolph. Stanley zanurzył się w wieczorny
ruch uliczny, podczas gdy Randolph z walizką w ręce wchodził po marmurowych
schodach budynku Clare Cottonseed. Większość przedsiębiorstw z kartelu
przeprowadziła się do wysokościowców, ale Randolph wolał zostać w
dziesięciopiętrowym budynku o murowanej fasadzie, który został wzniesiony przez
jego ojca w 1910 roku. Lubił ciężki styl budynku przypominającego trochę bank z
rzeźbionymi kamiennymi chimerami i ozdobnymi gzymsami. Lubił mahoń, marmur i
przyćmione srebrne lampy Tiffany’ego. Przypominały mu południowe fortuny o
głęboko sięgających korzeniach, skrupulatne metody działania i pozbawione
skrupułów przewalki. Poza tym tracił tylko trzy minuty na dotarcie ze swego biura na
dziesiątym piętrze do Cotton Exchange i tylko kolejne trzy minuty, aby dotrzeć do
niemieckiej restauracji Erika na South Second Street.

Otworzył ogromne zewnętrzne drzwi i nocny strażnik podszedł, aby go powitać.

–Dlaczego pan nie zadzwonił, panie Clare? Wpuściłbym pana.

–Wszystko dobrze, Marshall. Czy Sleaman jest na górze?

–Właśnie dwadzieścia minut temu wrócił. Chciałbym powiedzieć, że strasznie mi
przykro z powodu pożaru, sir. Bardzo dobrze znałem pana Douglasa.

Randolph przeszedł przez marmurowy hol i nacisnął guzik, aby przywołać starą,
żelazną windę. Pięła się powoli do góry aż na dziesiąte piętro, gdzie Randolph
wysiadł i poszedł szybkim krokiem na koniec korytarza. Do jego biura prowadziło
dwoje masywnych dębowych drzwi, które miały prawie pięć metrów kwadratowych.
Jego okna od północy wychodziły na Cotton Exchange, a od zachodu w kierunku
zbiegu rzek Missisipi i Wolf.

Niebo miało prawie kolor galaretki z borówek, a dwie albo trzy oświetlone łodzie
rzeczne kreśliły za sobą jodełkowe wzory na powierzchni rzeki.

Randolph położył swoją jednodniową walizkę na pokrytym skórą chesterfieldzie
za biurkiem i zdjął marynarkę. Lampa Tiffany’ego na biurku już się paliła. Jego
sekretarka Wanda położyła obok teczkę ze statystykami produkcji w Raleigh, teleksy

o rozmiarach szkód i wstępny raport na temat pożaru Sleamana, jego wicedyrektora do spraw technicznych, odpowiedzialnego za Wydział Drugi. Szybko przewertował raporty, po czym nacisnął interkom, aby sprawdzić, czy Wanda jest na miejscu.

–Wrócił pan, panie Clare! – wykrzyknęła.

–Mogłaby pani przyjść? – poprosił Randolph. Wanda wpadła przez drzwi z notesem do stenografowania. Miała ciemne włosy i ciemne oczy, bardzo ładna dziewczyna, przypominająca Randolphowi trochę Priscillę Presley, o nadzwyczajnej figurze. Jednakże Randolph nie z tego powodu ją zatrudnił. Była bardzo zdolna i twórcza, a także była córką jednego z najwydajniejszych bawełnianych farmerów w Missisipi, pułkownika Henry’ego Burforda z Burford’s Delight Plantation. Randolph nadal kupował nasiona bawełny od pułkownika Burforda po cenie z 1980 roku: sto dwadzieścia dziewięć dolarów za tonę.

–Co się stało z limuzyną? – spytał Randolph.

–Przed dziesięcioma minutami dzwonił Herbert. Powiedział, że nawaliły mu hamulce gdzieś na Lamar. Podobno miał szczęście, że uszedł cało. Zadzwoił na lotnisko zaraz po tym, jak przyjechała pomoc drogowa, i usiłował pana znaleźć, ale musiał pan właśnie wyjść.

–Zawołałem taksówkę – odparł Randolph. – Ale czy z Herbertem wszystko w porządku?

–Tak mówi. Trochę potłuczony, jak przypuszczam. Z samochodem także w porządku, z wyjątkiem wygiętego zderzaka.

–Wygięty zderzak można wymienić, ale nigdy nie wymieni się Herberta.

–No cóż, na pewno – odparła Wanda. – Czy ma pan ochotę na drinka? Albo może na kawę?

–Canadian Club z lodem i dużo wody sodowej. ‘ I proszę poprosić pana Sleamana. Wanda zawahała się, po czym powiedziała:

–Jest nam wszystkim bardzo przykro z powodu tego wypadku, panie Clare. Ci ludzie z Raleigh, pan Douglas i pozostali, byli dla nas niczym rodzina.

–Tak – odparł Randolph – byli jak rodzina. Zmęczony przeciągnął dłonią po włosach.

–Dzwoniłem dziś rano z Quebec do ich żon. Chciałbym zobaczyć się z nimi jutro rano. Być może mogłaby pani załatwić jakieś kwiaty.

Przerwał na chwilę, a potem dodał:

–To wielka tragedia – chociaż słowo „tragedia” wydawało się beznadziejnie nieadekwatne.

Wanda podeszła do palisandrowego stolika, aby nalać Randolphowi drinka do ciężkiej kryształowej szklanki. Randolph usiadł za biurkiem, obniżył z tyłu oparcie i rozparł się wygodnie w swym skórzanym fotelu, sącząc whisky i na nowo przeglądając raporty Sleamana. Na ścianie za bocznym stolikiem wisiał wielki olejny obraz przedstawiający ojca Randolpha, wspaniałego mężczyznę o białej grzywie w kremowym lnianym garniturze i z ogromną kwitnącą orchideą w klapie. Randolph nie był tak sentymentalny, aby stawać przed jego portretem w trudnych chwilach i pytać, co ma robić. To była scena jakby żywcem wyjęta z filmów Dicka Powella.

Mimo to jednak pomarszczona twarz starego mężczyzny upewniała go, że kiedyś, w przeszłości rzeczy szły równie niedobrze i że od czasu do czasu w przyszłości także będą szły niedobrze. Trzeba stawiać czoło tragediom i bandażować rany.

Neil Sleaman wszedł do gabinetu bez pukania i przez cały czas idąc po dziesięciometrowym dywanie w kolorze bladego złota dzielącym biurko Randolpha od drzwi, trzymał jedną rękę wyciągniętą we współczującym geście. Kiedy w końcu uścisnęli sobie dłonie, jego uścisk był suchy i zbyt gwałtowny, jakby Neil otarł spoconą dłoń o siedzenie swych spodni, zanim wszedł, i przyrzekł sobie, że będzie poważny i szczery.

Neil był szczupły, miał ciemne włosy i piękną opaleniznę pozostałą po jego wakacjach na Bermudach. Młody człowiek o ostrych rysach, przypominający kostycznego pielęgniarza. Jasne garnitury, koszule z wysokimi kołnierzykami i nieśmiertelnymi szerokimi krawatami. Randolph przejął go z Chickasaw Cotton, jednego z mniejszych przetwórców. Osobiście Randolph nie miał nic przeciwko stylowi Neila, ponieważ Neil był rzutki, wydajny i potrafił wszystko załatwić.

–Nie wiem, co mam panu powiedzieć – odezwał się potrząsając ręką Randolpha. – Po prostu nie wiem, co mam powiedzieć. Randolph odstawił drinka.

–Lecznicy – powiedział. – Chcesz też?

Neil potrząsnął głową.

–Kto jest teraz w Raleigh? – spytał Randolph.

–Tymczasowo Tim Shelby. Na nocnej zmianie trzymał około dwudziestu ludzi, tylko tak, żeby się kręciło, ale pozostałych musiał wysłać do domu. Nie możemy nic robić, dopóki nie naprawimy kotłów.

–Jak to długo potrwa?

–Tydzień, może półtora.

–Załatw to w tydzień.

–No cóż, robimy, co w naszej mocy, sir, proszę mi wierzyć.

–Ocenileś szkody na trzy miliony, a straty w produkcji na milion, prawda?

–To zależy, czy w konsekwencji nie stracimy kontraktu na margarynę z Sun-Taste. Szliśmy pełną parą, trzymając się rozdzielnika dostaw. Pod koniec tygodnia będziemy osiemset pięćdziesiąt ton do tyłu i nie widzę i szans, aby to nadgonić.

Randolph myślał przez długi czas, uderzając oprawką okularów o zęby. Sun-Taste to amerykańskie szybko się rozwijające przedsiębiorstwo produkujące nową margarynę. Rada Clare Cottonseed była zachwycona, kiedy doszło do kontraktu na dostarczanie przez firmę przedsiębiorstwu Sun-Taste oleju. Osobiście dla Randolpha było to windowanie jego polityki cięć cenowych, a dla kompanii jako całości, był to nowy solidny fundament do rozwoju i zysku. Mówiło się o „istotnych” podwyżkach, a na biurkach młodszych dyrektorów pojawiły się dyskretnie prospekty cadillaca.

–Rozmawiałeś z kimś z Sun-Taste? – spytał Randolph.

–Zadzwonili dziś po południu. Oczywiście chcieli wiedzieć, czy będą jakieś kłopoty w dostawie pełnej ilości.

–A ty im odpowiedziałeś, że oczywiście nie będzie.

–Oczywiście.

–Rozglądnąłeś się wokół, czy nie moglibyśmy gdzie dokupić brakującej różnicy?

Neil znowu pokręcił głową.

–Gdziekolwiek byśmy poszli, sir, zażądają od nas niezłej sumki, pomijając sam fakt, że ich ceny są wyższe od naszych już na wyjściu. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak zaczekam, aby to z panem omówić.

Randolph skończył drinka, przez chwilę pokręcił kostkami lodu w szklance, a potem nagle wstał.

–Jedźmy rozejrzeć się po fabryce – powiedział. – Masz tu swój samochód?

Zjechali windą na parking w piwnicy. Neil sprawdził swój krawat w lustrze windy i przyglądał włosy. Ani na chwilę nie spuszczał z siebie wzroku, nawet kiedy mówił.

–Właśnie miałem zasypiać, kiedy zadzwonili do mnie nad ranem – powiedział, lekko skręcając głowę, aby sprawdzić swój półprofil. – Poderwałem dziewczynę, która pracuje w barze z sałatkami w Pirate's Cove.

–Nie jestem pewien, czy ją znam – odparł Randolph. Nienawidził opowieści o miłosnych podbojach.

–Musiał pan ją widzieć. Bardzo długie jasne włosy, aż do samego tyłeczka. Wspaniałe ciało. I wie pan, jak ma na imię? Czy może pan zgadnąć, jak ona ma na imię?

–Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł Randolph. Usiłował być życzliwy i przypisał gadulstwo Neila jego zdenerwowaniu. Przecież zginęło trzech ludzi, a najbliższa przyszłość przedsiębiorstwa stała pod znakiem zapytania. Nie miał najmniejszego zamiaru spierać się z Neilem na temat jego ostatniej łóżkowej partnerki, jakkolwiek byłaby oszałamiająca.

–Ma na imię Jeff, czy pan uwierzy? Dziewczyna, która tak wygląda, ma na imię Jeff?

–No cóż, nie umawiałbym się z tą dziewczyną, gdybym był na twoim miejscu – powiedział Randolph. – Nie z dziewczyną, która ma tak na imię.

–Naprawdę? – zmarszczył się Neil. – Pomyślałem sobie, że to naprawdę zabawne. Matka nazwała ją Jeff, ponieważ zawsze chciała mieć chłopca.

Kiedy winda dotarła do piwnicy, Randolph powiedział:

–Jedna z dwóch słynnych postaci komicznych zwie się Jeff. Chyba nie chciałbyś mieć na imię tak, jak ma ta druga postać, prawda? Ponieważ gdybyś się z nią umówił, właśnie to by się stało.

Neil nie bardzo wiedział, co miała znaczyć ta uwaga. Podążył szybko za Randolphem, a potem go wyprzedził, aby wskazać drogę do samochodu.

–To ten srebrny MK-Siedem.

Kiedy wydostali się z parkingu na Cotton Row, otoczyła ich noc, ale Memphis tętniło życiem. Minęli Beale Street, gdzie W. C. Handy, teraz odnowiony i jasno oświetlony, rozślawiał imię bluesa. Dojechali aż do Union Street i skręcili na wschód, minęli Overton Square i wjechali na autostradę nr 40 w kierunku Raleigh.

–Przepraszam – odezwał się Neil. – Nie powinienem mówić o Jeff. To było w złym guście.

–Nic nie szkodzi – odparł Randolph, obserwując noc w Tennessee i zastanawiając się, jak sobie radzi Marmie. Chłopcy się nią zajmą, był tego pewien. John miał teraz piętnaście lat, a Mark jedenaście. I chociaż Issa zawsze kłóciła się z matką, że ma trzynaście lat i jest prawie kobietą, wiedział, iż postara się być miła i uprzejma, aby reszta wakacji minęła przyjemnie. Ciągnęło go do Kanady, do Marmie, ale zdawał sobie doskonale sprawę, co teraz do niego należało.

–Wydział straży pożarnej nie chce się wtrącać – powiedział Neil.

–A policja?

–To samo. Nastąpił wybuch w silosie, ale nie ma szczególnych powodów, aby przypuszczać, że zrobiono to umyślnie.

–Podobnie jak nie ma powodu, by sądzić odwrotnie. Neil zerknął na niego, jego ostry profil był oświetlony na zielono przez światelka tablicy rozdzielczej.

–Naprawdę pan uważa, że ktoś chce nas wykopać z interesu?

Randolph położył rękę na kolanie i zrobił znaczącą minę.

–Nie pytaj. Taką opinię wyraził taksówkarz, który przywiózł mnie z lotniska.

–Taksówkarz? – uśmiechnął się Neil. – Skąd on o tym wie?

–Nie wiem. Taksówkarze słuchają i dowiadują się różnych rzeczy, prawda?

–A ten konkretny taksówkarz myśli, że pożar był celowym podpaleniem? – spytał Neil. Nagle, gdy skręcił kierownicą, zabłyszczała jego diamentowa spinka na jego mankiecie.

–No cóż, kto wie? W każdym razie obiecał trzymać uszy i oczy szeroko otwarte na wypadek, gdyby usłyszał jakąś plotkę od któregoś ze swoich pasażerów. Podobno regularnie wozi dyrektorów z Brooksa.

–Pan mu posmarował za tę przysługę?

–Wiedziałem, że o to zapytasz. Tak, sto zielonych.

–Sto zielonych? Jak ten facet się nazywa? Powinniśmy go zatrudnić w rachunkowości.

Randolph wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Stanley jakiś tam. Chwileczkę... powiedział, że nie jest krewnym tych od grilla.

–Vergo – odgadł Neil.

–Tak jest. Stanley Vergo. A co z niego za filozof! Ma teorię, że Elvis nie umarł, ale udał śmierć, aby uwolnić się od fanów.

–Już gdzieś to słyszałem – powiedział Neil. – Niektórzy mówią to samo o Adolfie Hitlerze.

Dojechali do fabryki. Budynki i okoliczne silosy zajmowały przeszło osiemdziesiąt osiem akrów, które otaczała ciągnąca się kilometrami druciana siatka. Droga dojazdowa była obrosnięta dużymi magnoliami o kwiatach w kolorze zsiadłej śmietanki. Biura przypominały wiktoriańską rezydencję jak z obrazka, z portykami, białymi kolumnami i świetlikami o śmiesznym kształcie. Ale za tą majestatyczną fasadą kryła się jedna z najnowocześniejszych i najbardziej funkcjonalnych fabryk na Południu, przetwarzających nasiona bawełny, z najnowocześniejszą technologią wyciskania surowego oleju z nasion i specjalnym doświadczalnym działem

poszukującym sposobów wykorzystania łusek do produkcji lakierów, żywic i innych pożytecznych produktów.

Parking częściowo nadal był wypełniony wozami ratowniczymi i spychaczami. Randolph milczał, kiedy się zbliżali, ale Neil powiedział:

–Było naprawdę niedobrze. Próbowałem to panu powiedzieć przez telefon, ale lepiej niech się pan przygotuje na szok.

Zatrzymali się. Kierownik fabryki, Tim Shelby, czekał na nich w pomiętym bawełnianym garniturze. Wyglądał na zmęczonego i przepeconego. Podeszedł, otworzył drzwiczki od strony Randolpha i potrząsnął jego dłonią.

–Przykro mi z powodu pańskich wakacji – odezwał się. Randolph zbył jego współczucie machnięciem ręki.

–Przykro mi, że stracił pan Billa Douglasa.

Przyłączył się do nich dyrektor techniczny i nadzorca silosów i razem przeszli w milczeniu dokoła biurowca aż do samej fabryki. Randolph w ciągu ostatnich trzech lat energicznie rozwijał Drugi Wydział, wyposażył go w błyszczące, nowoczesne silosy, posiadające urządzenia chłodnicze, które wyglądały jak statki kosmiczne.

To znaczy wyglądały tak przed pożarem. Teraz, w świetle łukowych lamp, ujrzeli tylko otchłań i ruinę poskręcanych dźwigarów, płataninę drutów, zniszczone nie do poznania przewody i rury, i poczernione sadzą stalowe zbiorniki. Neil Stealman miał rację: było o wiele gorzej, niż mógł to opisać przez telefon. Randolph wszedł w ruiny porażony grozą. Kiedy rozglądał się wokoło, miał wrażenie, jakby stał na ruinach zbombardowanego miasta. Panował tu ostry zaduch, podobny do smrodu przypalonego oleju.

–Ten spalony człowiek? – spytał Randolph.

–Według jego kolegów, stał dokładnie tam, obok urządzenia kontrolującego chłodzenie – powiedział Tim Shelby. – Potem nastąpiła straszliwa eksplozja. Wybuchnął zbiornik, wytrysnęło trzysta galonów oczyszczonego oleju i zaczęło płonąć. Nie miał żadnej szansy. Widzieli, jak walczy, ale był niczym płonący strach na wróble.

–A co z pozostałymi?

–Zostali uwięzieni w tamtym korytarzu. Nie paliło się tam, ale nie można było otworzyć drzwi, gdyż były zamknięte na zasuwę. Nikt nie mógł się tam dostać, żeby ich wypuścić, ponieważ ogień był nie do opanowania.

Randolph nachylił się i podniósł kask robotnika. Był poczerniały i powyginany, ale nadal można było odczytać napis „Clare” na przodzie. Odłożył go z powrotem.

–Niech to cholera.

Rzadko przeklinał, ale dziś nie było innego sposobu, aby wyrazić, jak się teraz czuł.

–Czy policja tu była? – spytał po chwili.

–Zajrzeli tu. Wpadł tu Szeff Moyne we własnej osobie.

–Co powiedział?

Tim Shelby otarł pot z twarzy.

–Złożył wyrazy współczucia.

Randolph pokiwał głową.

–To do niego podobne. Czyjego ludzie coś znaleźli?

–Jeżeli tak, to nam nie powiedzieli. Zabrali jedną czy dwie części rurociągu i część pokrycia zbiornika. To wszystko.

–No cóż, porozmawiam z Szefem Moyne rano – odparł Randolph.

Miał właśnie wyjść z ruin, kiedy pojawiła się niewielka grupa pięciu czy sześciu mężczyzn i stanęła na zewnątrz zniszczonej fabryki, przyglądając się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Randolph od razu ich rozpoznał. Nikt nie mógł pomylić bulwiastej trzystufuntowej postaci w obszernym białym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem, jakie noszą na plantacjach bawełny. Był to Orbus Greene, prezes Brooks Cottonseed i członek Cottonseed Association. Przed rozkwitem miasta Orbus był burmistrzem Memphis i wielu lokalnych polityków nadal prywatnie uważało, że Memphis nie potrzebna jest aż taka prosperita.

Ludzie, którzy mu towarzyszyli, byli jego goryłami: otwierali przed nim drzwi, szukali mu w restauracji takiego stolika, aby mógł się wcisnąć na siedzenie. Mieli wygląd prostaków: złote pierścienie, złote zęby, tłusta brylantyna na włosach.

Randolph wyszedł z ruin. Orbus tak się ustawił, że jego tłusta nalana twarz była na wpół ukryta pod rondem kapelusza.

–To dla mnie strasznie bolesny widok, Randolphie – odezwał się. Miał wysoki i czysty głos jak młody chłopak. Ktoś kiedyś powiedział Randolphowi, że Orbus mógłby śpiewać solo na sopran z opery Verdiego, wyciskając słuchaczom łzy z oczu. Pod warunkiem, że się nie patrzyło na niego, gdy śpiewał.

–Ale – kontynuował Orbus – jest jeszcze ubezpieczenie, prawda? Ubezpieczenie jest lepsze niż maść.

–Straciłem tutaj trzech dobrych ludzi, Orbus – odrzekł Randolph. – Żadne ubezpieczenie mi ich nie zwróci. Teraz, jeśli pozwolisz, mam dużo pracy.

Orbus wcisnął swoje ręce podobne do świńskich racic w obwisłe kieszenie marynarki i uniósł głowę, spoglądając na Randolpha jednym okiem spod swego szerokiego ronda.

–Nie jesteś taki jak twój tatuś, wiesz – zauważył prowokująco.

–Wiem o tym – odparł spokojnie Randolph.

–Twój tatuś był zawsze niezależnym człowiekiem. Wolnomyśliciel i wolny duchem. Ale szanował nasz interes i szanował ludzi, którzy w nim pracowali.

–Mam nadzieję, że nie jest to jeszcze jedno zaproszenie, abym się przyłączył do Cottonseed Association – odparł Randolph. – Wierz mi, istnieje dużo więcej klubów, do których mogę się zapisać. Pożytecznych, interesujących klubów, gdzie robi się pożyteczne, interesujące rzeczy, jak gra w squasha. Nie jestem absolutnie zainteresowany spędzaniem wieczorów w zadymionych pokojach, gdzie manipuluje się ludźmi i cenami.

–No cóż, z całą pewnością malujesz nam ponury wizerunek – uśmiechnął się Orbus. – Być może powinieneś sobie przypomnieć sztuczną nerkę, którą Cotton Association kupiła w zeszłym roku dla Centrum Medycznego i o wakacjach zafundowanych tym biednym kalekim dzieciom.

–Jestem pewien, że nie zapomnieliście odpisać sobie tych hojnych darów od podatku – odparł Randolph. – Teraz, proszę, dopiero co wróciłem z Kanady, a czas ucieka.

–Jeszcze jedną minutkę – rzekł Orbus. – To, co wyczyniałeś przez ostatnie trzy lata, bawiąc się giełdą, sprzedając to, co chciałeś, tym, którym chciałeś za cenę, jaką chciałeś, no cóż, to było do przyjęcia na początku. Twój tatuś pozwolił na lekki zastój w Clare Cottonseed, prawda? Aby wyrażać się jasno. Ja i moi koledzy z Association byliśmy przygotowani, aby pozwolić ci do pewnego stopnia na odnowienie interesu, doinwestowanie, przywrócenie go do dawnego stanu. Dlatego – chociaż wyrażaliśmy swoje niezadowolenie – nie przyciskaliśmy cię zbyt mocno. Sądziliśmy, że jeśli Clare rozkwitnie, będzie to z pożytkiem dla nas wszystkich.

Orbus oblizał wargi, po czym wolno i groźnie jak budząca się jaszczurka otworzył drugie oko.

–Rzecz w tym – powiedział – że w tym wszystkim poszedłeś za daleko. Rzecz w tym, że podbierasz nam najlepsze kontrakty i rozwijasz swoje możliwości, aby im sprostać. Kroplą, która przepelniła czarę, był Sun-Taste.

–Proszę posłuchać, panie Greene – wtrącił się Neil Sleaman. – Clare Cottonseed ma pełne prawo sprzedawać olej, komu chce, i za cenę, jaką chce. A więc może być się grzecznie odwalili. Pan Clare ma pilny interes.

Randolph uniósł rękę.

–Chwileczkę, Neil. Nie pozwól, aby Orbus zalał ci za skórę. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Orbus uśmiechnął się tępo. Jego goryle także się uśmiechnęli, bezmyślnie naśladując samozadowolenie szefa.

–Po tym pożarze będziesz zmuszony forsować się do granic możliwości, aby wypełnić swoje kontraktowe zobowiązania z Sun-Taste, prawda? – powiedział Orbus. – Nie lekceważ tego. Pozwól, że ci powiem: żaden członek Association tobie nie pomoże. Nie dostaniesz od nas nawet jednej filiżanki oleju, za jakąkolwiek cenę. Chciałeś sobie radzić sam. Byłeś gotowy ukraść nam zyski sprzed nosa. Teraz musisz nauczyć się, co to naprawdę znaczy, radzić sobie samemu.

Randolph położył rękę na ramieniu Orbusa. Orbus nie lubił, jak się go dotykało; samo jego ciało ciążyło mu i wystarczająco. Jeden z jego goryli zrobił ostrzegawczy krok do przodu. Ale Orbus czymś w rodzaju dziwnego rżenia poinstruował swojego człowieka, aby się trzymał z tyłu, i znosił rękę Randolpha z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami.

–Orbus – odezwał się Randolph – zawsze wiedziałem, co oznacza radzić sobie samemu. Mój ojciec kazał mi sobie radzić samemu, zanim jeszcze zrobiłem pierwszy krok. W odpowiedzi chciałbym ci powiedzieć jedną rzecz. Jeśli jeszcze którąś z moich fabryk spotka wybuch albo pożar lub jakiś bezprecedensowy wypadek, wtedy przestanę wierzyć, że to są wypadki, i rozejrzę się za osobą lub osobami, które te wypadki wywołały.

Pomimo ręki na swoim ramieniu Orbus nie przestawał się uśmiechać.

–Wiesz co, Randolph? – powiedział. – Byłbyś świetnym aktorem w westernach.

„W samo południe w Memphis”, co o tym sądzisz? I kto wie, mógłbyś nawet zlikwidować prezydenta.

–Wynoś się z mojego terenu, Orbus – powiedział Randolph cicho i stanowczo.

–Nie należę do osób, które nadużywają gościnności – odparł Orbus i odwrócił się do swoich goryli, wydając jedno ze swoich dziwnych rzeń. To ewidentnie oznaczało: „Idziemy.”

Randolph i Neil stali, obserwując, jak idą z powrotem do czarnej limuzyny Orbusa, OGRE 1, i jeden z goryli otwiera specjalnie poszerzone drzwiczki, podczas gdy pozostali pakują Orbusa na tylne siedzenie. Zawieszenie ugięło się i zasprężynowało.

–Co o tym sądzisz? – spytał Randolph, kiedy limuzyna zniknęła na drodze obrosniętej magnoliami.

–Nie zrobił tego – odparł Neil. – A przynajmniej tak mi się wydaje. Nawet Orbus Greene nie miałby dość zimnej krwi, aby odwiedzić miejsce zbrodni zaraz po tym, co się stało.

–Pamiętaj o jego skłonności do napawania się – zauważył Randolph. – Orbus Greene jest jednym z największych napawaczy. Myślę, że cieszy się z tego, co tu się stało, nawet jeśli tego akurat nie spowodował.

–Być może powinniśmy przemyśleć trochę naszą politykę – zasugerował Neil.

–Co masz na myśli?

–No cóż... Nie mówię, że powinniśmy zrezygnować z niezależności. Ale może działaliśmy zbyt agresywnie, szkodząc samym sobie. Ludzie pokroju Orbusa Greene’a nie lubią, jak się ich przechytrza, szczególnie, kiedy chodzi o duże pieniądze.

–Taki jest biznes – odparł twardo Randolph. – Poza tym nie zmienię swojej polityki z powodu jakiejś tłustej ropuchy w rodzaju Orbusa Greene’a.

–Nie wolno go nie doceniać – ostrzegł Neil.

–Nie doceniać go? Nawet o nim nie myślę. Mam zmarłych do pochowania i fabrykę do odbudowania. Oto, co mnie martwi.

–Jest pan zdeterminowany na sto procent, prawda, sir?

Randolph skinął głową, chociaż z jakiegoś powodu poczuł, że Neil zadał mu o wiele bardziej prorocze pytanie i to jedno potwierdzające skinięcie wprawilo w ruch jakiś ciemny, tajemniczy mechanizm, którego nie będzie mógł zatrzymać.

Rozdział II

Lac aux Ecorces, Quebec

Siedzieli na werandzie, obserwując jezioro. Ómy kreśliły wzory wokół lampy. Rozmawiali cicho i jedli frytki, kiedy usłyszeli pierwszy hałas. Był to jakiś niesamowity trzask, gdzieś niedaleko, ale rozległ się tak niespodziewanie, że trudno było im uwierzyć, że go w ogóle słyszeli.

–Coś słyszałem – powiedział John.

–Prawdopodobnie łoś – powiedział Mark, który niewiele rzeczy się bał.

–Czy łośie są niebezpieczne? – spytała Issa. Siedzieli cicho, nasłuchując. Mark chrupał głośno frytkę, więc go uciszeli. Ale przez dłuższy czas do ich uszu nie doszedł żaden dźwięk oprócz odgłosu chłodnego letniego wiatru, wiejącego z południowego zachodu nad srebrzystą powierzchnią jeziora i wzdychającego w drzewach jak najsmutniejsza z porzuconych kobiet. Księżyc właśnie zniknął za postrzępionym horyzontem wierzchołków sosen. Zostawił jednak po sobie nienaturalną poświatę na niebie, jakby gdzieś za wzgórzami było jakieś nieznanne miasto.

Marmie Clare odstawiła swój kieliszek i powiedziała do Johna:

–Nalej mi jeszcze wina, kochanie. Obserwowała z uśmiechem, jak John ostrożnie unosi butelkę Pouilly-Fuisse i zbliża ją do jej szklanki z taką samą powolną uwagą, jak zrobiłby to jego ojciec.

Skończywszy czterdzieści trzy lata, Marmie poczuła, jak zaczyna na nowo rozkwitać, zupełnie jak magnolie w Memphis. Była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą, o głęboko osadzonych brązowych oczach, prostym nosie i silnej szczęce. Jej kasztanowe włosy były teraz przyprószone siwizną, ale to, co trzy lata temu przerażało i przygnębiało ją, teraz brała jako oznakę swej nowo odkrytej dojrzałości i powagi.

Kiedy Marmie skończyła trzydzieści siedem lat, przeraziła się. Lęk zaczął się, gdy nagle uświadomiła sobie, że nie jest już młoda i to, co uważała za najlepszą część swego życia, ma już za sobą. Przyglądała się sobie uważnie w lustrze, wiedząc, że te cienkie zmarszczki, które pojawiły się wokół jej oczu, nigdy już nie znikną. Wtedy zaczęła się zastanawiać, po co było to życie, to krótkie, błyskotliwe życie, które wydaje się kończyć, zanim jeszcze osiągnęło swój punkt szczytowy. Prawie 1 nie było warto starać się wyglądać atrakcyjnie, skoro jedynym mężczyzną, którego próbowała podniecać, był od siedemnastu lat jej mąż. I dlaczego tak usiłuje celować w innych rzeczach – w tenisie, muzyce czy pływaniu – skoro jest już za stara, by być najlepsza?

Jej stosunek do siebie zmieniła śmierć ojca Randolpha. Kiedy Randolph przejął Clare Cottonseed, nagle odmłodniał. Spowodowała to odpowiedzialność, wytężona praca i podnoszące włosy na głowie wyzwanie. Przez ostatnie sześć czy siedem lat jego ojciec doprowadził fabryki do upadku rozluźnieniem dyscypliny i przestarzałym wyposażeniem. Z powodu swych spadających dochodów zdał się na długoterminowe „dżentelmeńskie umowy” z właścicielami plantacji bawełny tak konserwatywnymi i zgrzybiałymi, jak on sam. Randolph potrząsnął przedsiębiorstwem jak zakurzonym

workiem, poczynając od rady nadzorczej po transport. Przez ten czas liczył, że Marmie będzie taka, jaką ją poślubił: czarująca, elegancka, cierpliwa, piękna, niestrudzona, współpracująca, opiniotwórcza, ciepła i podtrzymująca na duchu.

Marmie skończyła czterdzieści trzy lata, wiedząc, że jest kimś szczególnym. Patrzyła teraz na lata, które ma jeszcze przed sobą, a nie na te, co minęły. A jej dzieci właśnie zaczynały udowadniać, jaką była wspaniałą matką. Wydobyła się z samozwątpienia i niezadowolenia jak ktoś nowo narodzony, ktoś, kto wie, że każde ludzkie życie składa się z kilku różnych istnień i że przybycie każdego nowego jest wydarzeniem, które należy z radością powitać.

–Tatuś nie dzwonił – powiedziała Issa. Była podobna do matki, tylko jej włosy sięgały do połowy pleców, a po babce ze strony ojca odziedziczyła dorodny gors. Randolph zawsze powtarzał, że w Memphis nie było chłopaka, który przepłynąłby Missisipi przed Issą, chociaż miała dopiero trzynaście lat; a Marmie zawsze dodawała, że jest zazdrosny, co prawdopodobnie było prawdą. Tego wieczora Issa miała na sobie żółtą koszulkę w białe pasy i białe dżinsy. Ze swymi pomalowanymi na różowo paznokciami, zaczesanymi do tyłu włosami i letnią opalenizną mogłaby zostać Młodą Miss Ameryki.

–Na miłość boską, prawdopodobnie jest zajęty – powiedział John. John to cały ojciec, ten sam profil, ten sam sposób zachowania, ta sama łagodność pomieszana z niezdrowo upartą etyką, te same nagłe przebłyski gorącego, dzikiego, nierozumnego gniewu. I ta sama głęboka zdolność do miłości. W rzeczywistości tak bardzo przypominał ojca, że było aż dziwne, iż się zgadzają. Powinni się ciągle bóść, lecz rzadko to robili. Przez większość czasu pomagali sobie, przepraszaali się i cieszyli ze swego towarzystwa.

Mark z kolei był cichy i introwertyczny. Kochał oboje rodziców, ale patrzył na świat na swój własny sposób, miał swoje własne poczucie humoru, swoje ambicje. Z wyglądu był bardziej podobny do matki, a po ojcu odziedziczył opartą na dobrych intencjach nietaktowność. Jeśli chodzi o rzeczy, to zawsze ubierał się ekscentrycznie, dzisiaj miał jasnozieloną koszulkę i szorty w kolorze indygo.

–Jutro możemy wziąć kajak i popłynąć na ryby – ‘ powiedział John.

–Jeśli chcecie – odparła Marmie.

–Ja nie chcę łowić ryb – odparł Mark. – Łowienie ryb jest tak cholernie nudne.

–Mark! – skarciła go matka.

–Bo jest – odburknął. – I tak niczego nie złapiemy bez taty.

–Nie rozumiem, dlaczego nie wróciliśmy do domu z tatą – odezwała się Issa. – Moglibyśmy być teraz w Memphis i oglądać telewizję.

–Tutaj jest pięknie – odparła Marmie. – Jest pięknie i zostaniemy tu. A jeśli tacie uda się skończyć swoją pracę, wróci i przyłączy się do nas. No dalej, chyba wszyscy jesteście zmęczeni. Pora, byście poszli do łóżek.

–Spać, jeść, łowić ryby, spać, jeść, łowić ryby – protestował Mark monotonie.

Wtedy usłyszeli drugi trzask. Zamarli w ciszy z uniesionymi głowami niczym karibu.

–Teraz rzeczywiście coś słyszałem – powiedział John.

–Prawdopodobnie to tylko jeżozwierz – uspokoiła go Marmie. – Ojciec mówił, że są tu ich tuziny.

–A jeśli to niedźwiedź? – spytała Issa.

–Oczywiście, że to nie niedźwiedź. Nie bądź śmieszna – szydził John. – A gdyby nawet, to mamy strzelbę.

Nastąpił kolejny trzask, tym razem bliżej. Marmie zmarszczyła brwi i odłożyła kieliszek na stolik.

–Lepiej wejdźmy do środka – powiedziała. – Nigdy nic nie wiadomo.

–To by się nie stało, gdybyśmy byli z powrotem w Memphis – narzekała Issa.

Ale mimo to zebrała leżące czasopisma, które czytała, a John pomógł Markowi przesunąć krzesła w głąb werandy, z powrotem pod ścianę domku. Marmie obciągnęła spódnicę i chwyciła swój kieliszek i miskę z frytkami.

Właśnie mieli wejść do środka, kiedy coś z dachu skoczyło na schody werandy z szybkim drapiącym dźwiękiem i gdzieś przepadło. Podskoczyli z przestachu, a Issa zaczęła wrzeszczeć. Nagle wybuchnęli śmiechem.

–Wiewiórka! – powiedziała Marmie.

–Serce mi za chwilę wyskoczy! – krzyknęła Issa. – O mój Boże, serce mi wyskoczy!

–No cóż, myślę, że tak czy owak powinniśmy wejść do środka – nakazała Marmie.

–Robi się za zimno, aby tu siedzieć.

Weszli do przestronnego saloniku w domku i zamknęli drzwi. Ojciec Randolpha odkrył tę chatę dwadzieścia lat temu pewnego dnia, gdy łowił ryby. Była wtedy zniszczona i zaniedbana, dom dla kun, wiewiórek i przypadkowych norek. Ned Clare kupił go od właścicieli, wyremontował i rozbudował i teraz była to luksusowa dacza nad brzegiem jeziora, która – jeśli nie dla dzieci, to dla Randolpha i Marmie – stanowiła raj. Oczywiście głównym przedmiotem narzekań dzieci był brak telewizora. Randolph przyrzekł na swój honor, że zainstaluje chociaż odtwarzacz, aby mogli oglądać stare filmy.

–Mógłbyś rozpalić ogień, John? – poprosiła Marmie, idąc przez szeroki, wyłożony brązowym dywanem salon do kuchni. John podszedł do staromodnego kominka z cegieł i pogrzał w świerkowych polanach, szurając o ruszt. Mark poszedł za matką do kuchni w oczywistym zamiarze poszukania czegoś do jedzenia. Issa wyciągnęła się na skórzanej kanapie i znowu zaczęła czytać swoje czasopisma.

–Wiesz, mam, co tutaj jest napisane? Że krem powinno się wmasowywać w policzki kłykciami. Mogłabyś mi pokazać, jak to się robi?

–Gdybym wiedziała, to bym ci powiedziała – odkrzyknęła Marmie, chichocząc.

–Ciekaw jestem, czy tatuś widział już fabrykę – powiedział John. – Nie mogę uwierzyć, że Bill Douglas zginął.

–No cóż, mówił, że zadzwoni przed północą – odrzekła Marmie.

–Czy mogę wziąć ten owocowy jogurt? – spytał Mark.

–Miał być na śniadanie – odparła Marmie. – Ale dobrze, weź sobie, jeśli jesteś taki głodny.

Wróciła do salonu. John wrzucił kolejne polana do ognia i przez chwilę dymiło.

DLaczego nie użyjesz dmuchawy? – zasugerowała Marmie.

W tym momencie usłyszeli trzy wyraźne człapiące odgłosy, jakby ktoś wchodził na werandę. Znieruchomieli, gapiąc się na siebie.

–Nie mów mi, że to wiewiórka – odezwała się Issa.

–Wiewiórka w turystycznych butach? – spytał Mark. – John, czy zamknąłeś drzwi?

Mimowolnie Marmie wyciągnęła rękę i szarpnęła Marka za zieloną koszulę, aby przyciągnąć go do siebie.

John nie odezwał się. Ruszył ostrożnie w kierunku drzwi, przez chwilę nasłuchiwał, po czym przekręcił klucz, aby je zamknąć.

–Jak sądzisz, czy tam ktoś jest? – spytała Marmie.

John pokręcił wolno głową.

–Prawdopodobnie upadło jedno z krzeseł.

–Wszystko jedno – poinstruowała Marmie. – Idź do szafy ojca i przynieś strzelbę i naboje.

John poszedł do sypialni i Marmie usłyszała, jak przewraca między butami, raketami tenisowymi i innym wyposażeniem, które zgromadziło się na spodzie szafy Randolpha. Przez cały czas trwania ich małżeństwa usiłowała nauczyć Randolpha porządku. Tego wieczora dałaby wszystko, aby mieć go tutaj, tak nieporządnego niezorganizowanego, jakby tylko chciał. Jeszcze jeden stukot i John wrócił do salonu, niosąc karabin 22 na ramieniu, tak jak nauczył go nosić ojciec, gdy szli na polowanie. Spojrzał na matkę poważnie i położył pudełko z nabojami na stole.

–Czy umiesz go naładować? – spytała Marmie.

–Pewnie, tatuś mi pokazał.

Mark podszedł i obserwował, jak John ostrożnie wyjmuje naboje z kartonika, po jednym, i wkłada w magazynek strzelby.

–Z Johna jest lichy strzelec – powiedział z nagłą wesołością.

–Wcale nie – odparł John.

–Wcale tak. Nie mogłeś nawet trafić tej kaczki, która siedziała ci praktycznie na końcu lufy.

–Przestańcie się kłócić – zażądała Marmie. – Być może coś tutaj grasuje i to może być poważna sprawa.

–Może powinniśmy zadzwonić na stację – powiedziała Issa. Nie mieli telefonu, ale w gabinecie Randolpha znajdował się nadajnik, za pomocą którego można było przywołać zarząd lasu lub zakład zajmujący się hydroplanem Randolpha.

–No cóż, nie wiemy na pewno, czy to jakiś włamywacz – powiedziała Marmie. – Poza tym do nas jest daleko z każdego miejsca. Słyszelibyśmy helikopter, prawda? Albo hydroplan? A do szosy jest prawie dwadzieścia mil. Myślę, że czujemy się trochę nieswojo, bo tatusia nie ma z nami.

–Myślę, że to głupota – odezwała się Issa. – Głosuję za tym, abyśmy jutro wracali do Memphis.

–Zrobię gorącą czekoladę – zaproponowała Marmie.

Doszła prawie do kuchni, kiedy rozległ się ostry, przenikliwy trzask, a w drzwiach

obok zamka pojawiło się ostrze siekiery. Issa wrzasnęła i zeskoczyła z sofy. John uniósł karabin i odbezpieczył go szybkim nerwowym ruchem. Mark cofnął się o krok i spojrzał na matkę rozszerzonymi oczami.

Marmie chciała krzyknąć: „Kto tam? Czego tu szukacie?”, ale jakoś struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa. Ostrze siekiery przebiło drzwi po raz drugi, potem trzeci.

–John, strzelaj! – wychrypiała Marmie.

John wycelował karabin w drzwi i nacisnął cyngiel, ale nic nie nastąpiło.

–Zaciął się – powiedział z rozpaczą. – Zaciął się.

Rąbano siekierą w drzwi regularnymi silnymi uderzeniami, jakby dzierżył ją wprawny drwal. Marmie pomyślała dziko, aby pójść do kuchni po nóż do mięsa, ale słaby głos logiki i samoobrony zapytał, co będzie z niego pożytek przeciw mężczyźnie z siekierą, który ma tyle siły, żeby przerąbać ciężkie drewniane drzwi. Ze strasznym hukiem drzwi zostały wyłamane. Do salonu wpadło czterech barczystych mężczyzn w białych hokejowych maskach na twarzach i czarnych roboczych kombinezonach. Jeden z nich dzierżył siekiere o długim trzonku, a pozostali mieli karabiny z odpilowanymi lufami.

–Wynoście się! – wrzasnęła Marmie. – Czego chcecie? Wynoście się!

Zgromadziła dzieci przy sobie. Mężczyźni jednak nic sobie z niej nie robili i szli przez pokój systematycznie kopiać stoliki, zrywając obrazy i przewracając krzesła. Byli zamaskowani i groźni, jak wściekłe marionetki.

–Czego chcecie? – dyszała Marmie, głos jej się dławiał ze strachu.

Mężczyzna z siekierą podszedł i przyjrzał się im oczami bez wyrazu.

–Kim jesteście? – spytała Marmie. – Nie macie prawa tak się włamywać do czyjegoś domu.

Mężczyzna nie odezwał się, chociaż Marmie słyszała jego chrapliwy oddech za maską. Pozostali mężczyźni otoczyli ich i stanęli na rozkraczonych nogach, aroganccy i zimni, trzymając wycelowane w nich swoje karabiny krótkich lufach, jakby byli uosobieniem autorytetu. Marmie nerwowo zerknęła na nich ponad ramieniem, a potem spojrzała znowu na mężczyznę z siekierą.

–Nie ma tu pieniędzy – powiedziała drżącym, ale pewnym głosem. – Możecie wziąć moje karty kredytowe, jeśli chcecie. Jest tu strzelba, ale się zacięła. Możecie i ją także zabrać. Bierzcie, co chcecie, i zostawcie nas w spokoju. Proszę. Jesteśmy tu na wakacjach, to wszystko.

Mężczyzna z siekierą skinął na jednego ze swoich towarzyszy i wskazał na Marka. Zrobił wymowny gest, przeciągając palcem po szyi.

–Nie! – krzyknęła Marmie, ale inny mężczyzna zrobił krok w jej kierunku i chwycił ją od tyłu za ramiona, tak mocno, że wyrwał jej rękaw od sukienki. Przycisnął lufę swojej broni do głowy Marmie. Czowała nierówną powierzchnię krawędzi na swojej skroni. I nagle zdała sobie sprawę, że ci mężczyźni w hokejowych maskach nie przyszli po pieniądze ani się schronić, ani po nic innego, co mogłaby im dać. Przyszli ich zabić i to wszystko. Bo kto podróżowałby dwadzieścia mil przez lasy parku narodowego do stojącej na uboczu chaty, uzbrojony w karabiny i zamaskowany,

jeżeli nie morderca?

–Proszę o litość – powiedziała Marmie. Jej głos zabrzmiał dumnie i czysto. Issa skuliła się i zakryła twarz rękoma, ale John patrzył na Marmie, jakby był zdziwiony, że ona nie może obronić ich przed napastnikami.

Mark spojrzął na mężczyznę stojącego nad nim i z dziwnie hipnotycznym posłuszeństwem ruszył za nim w drugi koniec pokoju.

Mężczyzna z siekierą wskazał na oparcie sofy, jego towarzysz pchnął Marka na kolana tak, że jego głowa spoczęła na oparciu, jak na egzekucyjnym pieńku.

–Nie możecie tego zrobić – odezwała się Marmie słabnącym głosem. – Posłuchajcie. To mój syn. Ma dopiero jedenaście lat. Proszę, jeżeli musicie kogoś zabić, zabijcie mnie. Ale zostawcie dzieci. Proszę.

Mężczyzna z siekierą utkwiał w niej wzrok. Potem rozejrzał się po kolegach, ale było jasne, że to on jest przywódcą, a pozostali nie mają nic do gadania. Żaden z nich się nie odezwał. Byli głusi i niemi na wszystko, co mówiła Marmie.

–Posłuchajcie – nalegała Marmie – mój mąż jest bardzo bogatym człowiekiem. Jeżeli zostawicie nas w spokoju, nie zabijecie nas, osobiście dopilnuję, aby dobrze wam zapłacono. Zostawcie moje dzieci, a obiecuję, że dostaniecie milion dolarów. Możecie zabrać mnie jako zakładnika, aby mieć pewność, że dostaniecie pieniądze.

Mężczyzna z siekierą nie odezwał się, lecz warknął, kiedy Mark chciał unieść głowę z oparcia sofy. Jego towarzysz z powrotem przycisnął głowę chłopca.

–Milion dolarów – powtórzyła Marmie. – Bez żadnych sztuczek, wzywania policji, niczego. Ręczę za to własnym życiem.

Mężczyzna uniósł siekierę do góry, polizał palec i przeciągnął nim po ostrzu, aby sprawdzić jego ostrość. Krew zmieszała się ze śliną. Siekiera musiała być tak ostra jak stłuczone szkło. Marmie nie potrafiła powiedzieć, czy mężczyzna się uśmiecha, czy ma nachmurzoną minę, ale miała wewnętrzne przeczucie, że właśnie się świetnie bawi i że zamierza ich zabić, i to mu sprawi przyjemność.

Czuła, że powinna nadal mówić. Im dłużej będzie mówiła, tym dłużej jej dzieci będą żyły. Po policzkach płynęły jej łzy i nie mogła prawie wydobyć głosu, ale wiedziała, że życie dzieci zależy od niej. Nie było tu Randolpha – Randolph był daleko stąd w Memphis – i przeklinała go, że zostawił ich w tym odludnym domku nad jeziorem Ecorces, a w domu byliby cali i zdrowi, jedliby smażone żeberka, oglądali telewizję i martwili się tylko, co założą na Bawełniany Karnawał.

–Możecie być bogatymi ludźmi, wszyscy – kontynuowała, mając nadzieję, że przemówi do ich chciwości. Bo przecież dlaczego przyszli tu, by ją zabić, jeśli nie dla pieniędzy? – Mogę uczynić każdego z was milionerem; cztery miliony dolarów podzielone na cztery równe części. Wiem, że kompania je ma, i wiem, że mój mąż będzie szczęśliwy, mogąc je zapłacić. Proszę, pomyślcie o tym, milion dolarów w gotówce, dla każdego. Bez żadnych zbędnych pytań.

Ze strasznym znudzeniem mężczyzna z siekierą uniósł swoją broń nad głowę. Przez ułamek sekundy Marmie pomyślała: „To jakiś koszmar. To wszystko mi się śni, to nie może dziać się naprawdę. Jeśli się uszczypnę, obudzę się i będziemy z powrotem w Memphis, otworzymy oczy w Zamku Clare, wtuleni w prześcieradła,

wdychając zapach kwitnących azalii płynący zza okiennic. Służące będą śpiewały, zamiatając wybrukowane patio na zewnątrz i przygotowując dla nas śniadanie”.

Ale wtedy koszmar stał się jawą i siekiera świsnęła w dół. Mark zakwiczał jak zarzynane zwierzę, kiedy ostrze przecięło tylko jedną trzecią jego szyi. Większość uderzenia została zamortyzowana przez oparcie sofy. Mimo to jego arterie krwionośne zostały przecięte i zaczęła z nich tryskać jasnoczerwona krew. Mężczyzna z siekierą uderzył po raz drugi i jeszcze raz, i wtedy nagle głowa Marka odpadła od ramion, i z hałasem potoczyła się po dywanie jak spadająca miska do sałaty. Marmie ze zgrozą patrzyła na Marka – swego ukochanego jedenastoletniego syna – spozierającego na nią spod stołu, udręczonego, bladego i z całą pewnością martwego.

Próbowała upaść na kolana, aby doczołgać się po dywanie i ratować syna. To nie mógł być Mark, to nie może być prawda. Chociaż to tylko jakaś sztuczka, jej syn jej potrzebuje. Jest ranny, zabity i jej potrzebuje. Ale mężczyzna za nią wepchnął jeszcze silniej lufę swej broni w jej skroń, tak że krzyknęła z bólu i wiedziała na pewno, że ją zabije, jeśli tylko znowu się ruszy.

Gdzieś na krawędzi świadomości słyszała, że Issa krzyczy – długim przeciągłym krzykiem, który wydawał się napinać jak ostrze spalinowej piły, tnące przez rozum i zmysły. Jeden z mężczyzn podszedł sztywno do Issy, wykręcił jej ramię za plecy i wepchnął lufę pod podbródek. Ale ona była teraz tak rozhisteryzowana, że wszystko, co mogła robić, to krzyczeć.

–Zostaw ją! Zostaw ją! – wrzasnął John rozedrganym głosem. Pchnął jeden z foteli i przeskoczył nad stolikiem, aby bronić Issy, jakby był skoczkiem przez płotki na bieżni.

Mężczyzna trzymający Marmie nie zawahał się. Działał z takim rozmysłem i wyrachowaniem, że Marmie nawet nie poczuła, jak napinają się jego mięśnie. Oderwał broń od jej skroni na chwilę i wystrzelił jedną kulę prosto w żołądek Johna. Wybuch był ogłuszający. John zgiął się we dwoje i upadł ciężko na brzeg kanapy. Kwaśny niebieski dym zawisł w pokoju jak ohydny omen. John leżał płasko na plecach, na jego twarzy malował się wyraz grozy i rozpacz, jego nogi podrygiwały katatonicznie, żołądek zmieszał się z podartą koszulką i połyskującymi niebieskimi jelitami. Marmie gapiała się na niego i nie była w stanie myśleć o niczym innym jak tylko: „Co ja powiem Randolphowi? Jak mu to wytłumaczę?”

–Mamo... – wyszeptał John. Patrzył na nią, jego wargi drżały. – Mamo... pomóż mi... boli mnie brzuch... Mamo...

Marmie spróbowała wstać, ale mężczyzna obrócił strzelbę i wycelował ją prosto w jej prawe oko, tak że widziała bezdenną ciemność wewnątrz lufy i czuła zapach prochu, który zabił jej pierworodnego syna.

–Policja tu przyjedzie – powiedziała, zmagając się z suchością w gardle.

Mężczyźni nie odezwali się. Marmie powiodła po nich wzrokiem i powtórzyła:

–Policja tu przyjedzie. I aresztują was. Zabiliście ludzi. Co myśmy wam zrobili? Dlaczego chcecie nas zabić? Nie mamy nawet nic co warto byłoby ukraść! Boże, Mark! Co wyście zrobili z Markiem? Gdzie on jest? Mark!

Zapadła się ciężko w krzesło, drapiąc szaleńczo paznokciami o poręczę, jej umysł ślepo szukał sposobu, w jaki ona i Issa mogłyby uciec. Może powinny biec do drzwi. Być może nie zaproponowała im dość pieniędzy. Może Randolph zadzwoni, zorientowawszy się, że dzieje się coś złego, i przyśle strażników. Poza tym, ci mężczyźni nic nie mówią, prawda? A jeśli nic nie mówią, może to oznaczać tylko jedno, że nie chcą, aby rozpoznała ich głosy, a to znaczy, że nie mają zamiaru odebrać jej życia.

–Jeśli pozwolicie mi zadzwonić do męża – powiedziała słabym, bezbarwnym głosem – zapytam go, czy mogę podnieść cenę do ośmiu milionów. To znaczy dwa miliony na każdego, w nie oznaczonych banknotach lub wekslach bankowych.

Issa przestała krzyczeć i cicho łkała, zasłaniając twarz jedną ręką. Mężczyzna z siekierą podszedł do niej i ostrożnie, ale zdecydowanie zdjął jej palce z twarzy, aby móc się jej przyjrzeć. Przyglądał się jej przez pół minuty poprzez przerażające szpary swojej maski, oddychając wolno i ciężko. Marmie widziała, jak jego pierś opada i wznosi się. Issa nie patrzyła na niego. Błądziła dzikim wzrokiem, jakby była nafaszerowana narkotykami. Jej policzki były zalane łzami.

Po chwili mężczyzna uniósł rękę i zatopił palce w długich, splątanych włosach Issy. Próbowwała wykręcić głowę, ale uchwycił ją mocno za włosy i uniósł do góry, tak że nie dotykała stopami podłogi. Marmie usłyszała, jak trzeszczy skóra na jej czaszce. Issa wrzeszczała przeszywająco i młóciła nogami.

–Ona ma dopiero trzynaście lat – krzyknęła Marmie. – Zostaw ją, ona ma dopiero trzynaście lat! Na miłość boską, co z was za ludzie? Zostawcie ją! Jeśli chcecie komuś zrobić krzywdę, weźcie mnie, ale na miłość boską, ją zostawcie!

Podrapała mężczyznę po twarzy i złapała za huśtający się łańcuszek wokół jego szyi. Spróbował się od niej uwolnić i zapinka od łańcuszka trzasnęła, a ten upadł na podłogę i zniknął w szerokiej szparze między deskami.

–Ty dziwko! – powiedział mężczyzna i uderzył ją w usta pięścią w rękawicy. Jeden z przednich zębów Marmie został wyłamany, a mostek z prawej strony twarzy trzasnął na pół. Krew wypełniła jej usta i zaczęła się dławić.

Mężczyzna z siekierą nawet się nie obrócił, aby sprawdzić, co się stało. Uchwycił swoją broń tuż przy ostrzu. Potem trzema cięciami obciął Issie włosy. Issa jęknęła, zatoczyła się, prawie upadła, ale mężczyzna trzymając jej ramię wykręcone do tyłu, postawił ją z powrotem na nogi.

Teraz mężczyzna z siekierą przeciągnął prawą ręką przez przód żółtej koszulki w białe paski. Uchwycił przez chwilę piersi Issy, a jego pierś uniosła się i ciężko opadła. Wtedy znowu uniósł ostrze siekiery, oblepione krwią i włosami, i użył go do przecięcia koszulki od góry do dołu.

Marmie szlochając z ustami ociekającymi krwią, usiłowała zaprotestować. Ale mężczyzna obrócił się i podszedł do niej, wskazując ostrzem siekiery, żeby wstała. Zrobiła to niepewnie, prawie się przewracając.

Mężczyzna rozciął także bluzkę Marmie, przecinając ją i szarpiąc. Marmie zamknęła oczy, słyszała nieregularny, urywany oddech zza jego maski. Czuła szorstkość jego rękawiczki szarpiącej jej stanik, a potem chłód ostrza siekiery na

skórze. Miała oczy zamknięte, podczas gdy siekiera ześlizgnęła się do paska jej spódnicy i przecięła elastik jej majtek.

Nie mogła prawie poruszać nogami, kiedy mężczyźni na wpół ją pchali, na wpół nieśli do sypialni. Widziała swoje koszmarne odbicie w wysokich lustrach na szafach, zamaskowanych napastników pozbawionych twarzy, równie przerażających jak postacie z japońskich sztuk, swoje własne białe, nagie ciało trzymane między nimi.

–Boże! Nie zabijajcie mnie! – krzyknęła.

Issę także wciągnięto do sypialni. Potem obie rzucono na łóżko i przyciśnięto broń tak mocno do czoł, że na skórze odcisnęły się szkarłatne kółka. Jeden z mężczyzn zniknął na krótko i wrócił z zerwaną na dworze nylonową linką od wieszania prania. Związali Marmie i Issę twarzami do siebie, obejmujące się ramionami, a ich; szyje, ramiona i kostki ściśle i boleśnie oplątywała linka.

–Issa, nie płacz, kochanie. Oni nie chcą nas zabić – pocieszała ją Marmie. Nagie ciało Issy było bardzo zimne. Były tak blisko przy sobie, że Marmie mogła widzieć tylko jedno oszalałe oko córki, zaczerwienione od płaczu. Obcięte włosy Issy były skołtunione i lepkie od krwi brata.

–Nie płacz, kochanie. Cokolwiek się stanie, oni nas nie zabiją.

Poczuła ciężar pierwszego z mężczyzn naciskającego sprężyny łóżka za jej plecami. Wykręciła szyję mimo zaciskającej się linki i ujrzała, jak drugi mężczyzna wchodzi na łóżko za Issą. Widziała, jak zdejmuje swoje robocze spodnie i potrząsa sobie członka, jakby trzymał pałkę.

Krzyknęła głośno, kiedy pierwszy mężczyzna wszedł w nią, ale cichy okrzyk, który wydała, gdy drugi mężczyzna wszedł w Issę, był o wiele bardziej bolesny. Przez kilka minut w pokoju panowała straszna, zupełna cisza, przerywana tylko pomrukami mężczyzn i szeleszczeniem pościeli. Issa mocno trzymała swoją matkę. Każdy mięsień jej ciała był napięty jak drut. Marmie modliła się, aby dziewczyna była w zbyt silnym szoku, by zrozumieć, co się z nią dzieje.

Mężczyźni skończyli swój rytuał wstrząsem orgazmu i zeszli z łóżka, ale Marmie wiedziała, że nie ma nadziei, aby to był koniec tego plugastwa. Wydawało się jej, że zapada w jakiś dudniący korytarz w zupełną ciemność, gdzie było tylko upokorzenie, lęk i straszne cierpienie. Jednak ze względu na Issę, Marmie czuła, że musi pozostać świadoma i przy zdrowych zmysłach. Mocujące się, falujące, okropne plugastwo trwało i trwało, tak że zaczęła wierzyć, iż nigdy się nie skończy.

W końcu jednak nastąpiła cisza. Musiał być już prawie świt, ponieważ sypialnię oświetlało mgliste niebieskie światło. Wydawało się, że Issa śpi lub jest nieprzytomna, ale Marmie czuła bicie jej serca i jej oddech na swoim ramieniu, wiedziała więc, że przynajmniej Issa została przy życiu.

Marmie próbowała unieść głowę. Wydawało się, że pokój jest pusty i mężczyźni odeszli. Nasłuchiwała, ale nie dochodził żaden dźwięk oprócz porannego stukania dzięciołów w drzewo na zewnątrz i słabego świstu wiatru nad jeziorem. Pomyślała o tej ciężkiej próbie, jaką przeszła, ale jej umysł odmówił uporządkowania tego. Podpowiedział jej za to z obronną logiką, że ciężko cierpiała i że miną lata, zanim będzie zdolna uporać się z tym, co się stało. Wiedziała, że John i Mark nie żyją, ale

gruczoły łzowe były suche i nie mogła zapłakać nad swym smutkiem. Wiedziała, że zostały z Issą groteskowo związane i zgwałcone, ale nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko: „Co zrobić, aby przeciąć więzy?”

–Issa – wyszeptała. – Issa, kochanie.

Issa otworzyła oko, którym mogła widzieć Marmie.

–Mamo.

To proste słowo na nowo zrodziło w niej całe cierpienie i smutek. Jednej nocy rodzina Issy zniknęła, straciła niewinność, odarto ją z wszystkiego, co dał jej świat.

–Issa, posłuchaj. Wszystko będzie dobrze. Musimy tylko jakoś się rozwiązać.

Potem wezwiemy strażników i odlecimy stąd samolotem.

–Mamo, oni zabili Johna.

–Tak, kochanie, zabili również Marka. Nie myśl teraz o tym. Wszystko będzie dobrze tak długo, dopóki nie wpadniemy w panikę.

–Mamo – szlochała Issa bliska hysterii.

Marmie poklepała ją, uścisnęła mocniej i nazywała wszystkimi zdrobniałymi imionami, jakie mogła sobie przypomnieć.

–Kochanie, już po wszystkim. To było straszne, ale się skończyło. Kochanie, nie płacz.

Jednakże właśnie wtedy drzwi do sypialni gwałtownie się otwały i Marmie zamarła. Z miejsca, gdzie leżała, mając szyję przywiązaną do Issy nie mogła widzieć, kto wszedł do pokoju. Ale po pełnej napięcia chwili mężczyzna z siekierą stanął w jej polu widzenia z błyszczącymi oczami wewnątrz maski. Marmie nie odezwała się, czuła się zbyt słaba i zbyt przestraszona. Poza tym mężczyzna był nieobliczalny. Nawet teraz nic nie mówił, tylko gapił się na nią, jakby rozkoszował się jej upodleniem. Uniósł ostrze siekiery i trzymał je tuż przy twarzy Marmie. Chociaż nie mogła widzieć jego twarzy, czuła, że się uśmiechał.

–Co macie zamiar zrobić? – spytała zdławionym głosem.

Mężczyzna skinął na jednego z pozostałych, stojącego w drzwiach. Mężczyzna zbliżył się z kłębem kolczastego drutu, którego jeden koniec był związany w pętlę.

–Mamo, co to jest? – spytała Issa. – Co to jest? Co oni chcą zrobić?

Marmie wiedziała, że nie będzie w stanie znieść tego, co mężczyźni zamierzali im zrobić.

–Zastrzelcie nas – powiedziała ochryple.

Mężczyzna z siekierą wolno i z namysłem pokręcił głową.

–Zastrzelcie nas! – krzyknęła Marmie. – Na miłość boską! Zastrzelcie nas!

Rozdział III

Memphis, Tennessee

Randolph zadzwonił do Marmie, gdy tylko się obudził o wpół do siódmej rano, ale nie było odpowiedzi. Siedział przy małym białym stoliku o metalowych nóżkach na balkonie obok sypialni, przyglądając się ściennemu ogródkowi, który Marmie obsadziła różami i magnoliami, opijał mocną kawę, jadł grzankę z masłem i czytał ranne wydanie „Memphis Press-Scimitar”, które obwieszczało: „Clare w ogniu. To nie podpalenie – brzmi opinia szefa policji”.

Podniósł biały bezkablowy telefon leżący obok srebrnego dzbanka z kawą i po raz drugi poprosił o połączenie z domkiem nad jeziorem Ecorces. Z Hebertville było „radiotelefoniczne połączenie, ale miasteczko leżało prawie trzydzieści pięć mil na północ od jeziora i odbiór był sami niewyraźny i kapryśny. Po dziesięciu minutach telefonistka oddzwoniła, aby powiedzieć, że nie ma odbioru znad jeziora Ecorces, ale będzie próbowała w odstępach piętnastominutowych i natychmiast go wiadomi, jeśli jej się uda.

Randolph skończył jeść grzankę, przełknął ostatni łyk kawy i wyszczotkował swoje białe letnie spodnie. Jakiś ptaszek o zielonych skrzydełkach i białej szyi usiadł na balustradzie balkonu, przekręcił główkę na bok i zaśpiewał „czip czip czip”, zanim nagle odfrunął.

Wszedł lokaj, Charles, mężczyzna o siwych włosach, Mory służył jeszcze u ojca Randolpha przez prawie trzydzieści lat. Odkąd Randolph pamiętał, Charles należał do rodziny, chociaż sam Charles wolał zostawać w cieniu i dystansował się od pracodawców swoją kurtuazją i niewymuszoną uprzejmością. Randolph drażnił Charlesa, mówiąc, że byłby rozpaczą Martina Luthera Kinga Jr., ale Charles w rewanżu pokazywał, że to nie jest śmieszne, szczególnie iż obrońca praw cywilnych zmarł w Memphis, w motelu Lorraine na Mulberry Street.

–Czy pan teraz wychodzi, sir? – spytał Charles. Rzadko się uśmiechał. Przypominał Randolphowi Dreda Scotta albo raczej zdjęcie Dreda Scotta w książce do historii. Charles jednakże nie miał nigdy takiego wpływu na historię Ameryki. Według Charlesa jest tylko jeden sposób, w jaki rzeczy powinny się kręcić: stary sposób, wcześniejszy od marszów wolności, podwożenia dzieci do szkoły autobusem i Jamesa Mereditha.

–Najpierw jadę do Cotton Row – odrzekł Randolph, gdy Charles pomagał mu włożyć marynarkę. – Potem jem lunch u Grisantiego. Co do popołudnia, sprawa jest otwarta. Ale możesz zadzwonić do Wandy, jeśli będziesz chciał wiedzieć, gdzie jestem.

Charles starannie szczotkował ramiona Randolpha szczotką w skórzanej oprawie.

–Posłuchaj, Charles, na białej marynarce nie widać łupieżu.

–Pan nie ma łupieżu, sir.

–Dlaczego więc mnie szczotkujesz?

–Lokaj dżentelmena zawsze szczotkuje dżentelmena, zanim dżentelmen wyjdzie.

Taka jest zasada – odparł Charles.

–Kto tutaj ustala zasady? Ja czy ty?

–Tego rodzaju zasad nikt nie ustala. To jest etykieta. Herbert, szofer, czekał na asfaltowym podejździe przed Zamkiem Clare w srebrnoszarym chryslerze. Herbert to następny stary członek świty Clare Cottonseed. Miał twarz jak modra kapusta, białe włosy zawsze sztywno zaczesane do tyłu i głos tak łagodny i głęboki jak muł na dnie Missisipi. Otworzył drzwiczki przed Randolphem i wręczył mu „The Wall Street Journal”.

–Przepraszam z powodu samochodu, sir. Naprawa cadillaca nie potrwa dłużej niż dwa, trzy dni.

–Randolph usadowił się na siedzeniu.

–Musisz mi o tym opowiedzieć.

–No cóż, sir – powiedział Herbert ruszając. – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Jechałem na lotnisko ulicą Lamar, absolutnie przygotowany, aby pana podwieźć, schłodzone koktaile w barku i tak dalej. Gdy skręcałem na lotnisko, wysiadły hamulce i nie mogłem zatrzymać jej, tej dwu i półtonowej limuzyny. Wylądowałem na nasypie. Miałem szczęście, że nie dachowałem.

–Hamulce wysiadły? – spytał Randolph. – To coś niezwykłego, prawda?

–Zwłaszcza w cadillacu. Ma podwójne hydrauliczne kontrolne cylindry, podwójne próżniowe wspomaganie, z przodu wentylowane tarcze, z tyłu podwójne bębny, czterysta dwadzieścia pięć cali kwadratowych powierzchni ciernej, proszę mi wierzyć.

–Co powiedzieli mechanicy?

–Herbert zerknął na Randolpha w lusterku wstecznym.

–Mechanik śmiał się z tego jak z dobrego dowcipu.

–Ale chyba potrafi powiedzieć, dlaczego hamulce nie zadziałały?

–Nie, sir. Chyba że ktoś przy nich grzebał.

Randolph potrząsnął gazetą, ale nie przeczytał nagłówków.

Grzebał? – zapytał ostro.

–No cóż, sir, to mogło być umyślne. Randolph uniósł wzrok.

–Chyba czegoś nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego ktoś chciałby grzebać przy mojej limuzynie?

–Nie chciałbym być pesymistą, sir, ale mówi się, że Clare Cottonseed działa na nerwy szczególnie panu Greene’owi i Cottonseed Association. Może usiłują dać coś panu do zrozumienia... Może warto by było się nad tym zastanowić.

–Chyba nie sądzisz, że ktoś z Mafii Margarynowej uszkodził hamulce w moim wozie, prawda?

–To nie jest absolutnie wykluczone, sir.

I znowu błękitne oczy szofera błysnęły we wstecznym lusterku. O co tu chodzi? Albo Herbert usiłuje prze-dramatyzować wypadek, aby wytłumaczyć swoje nieudolne prowadzenie, albo rzeczywiście hamulce zawiodły, ponieważ Orbus Greene tego sobie życzył.

Czyżby Orbus nabrał aż takiej urazy, że posunął się do sabotażu fabryki, zabicia pracowników, aby utrzymać całkowitą kontrolę na rynku przetwórstwa nasion bawełny? Gazety przytaczały opinię Szefa Moyne, że wczorajszy wybuch w Raleigh

był „w sposób niekwestionowany wypadkiem”. Ale SzeF Moyne był starym kolegą od kieliszka Orbusa Greene’a jeszcze z dawnych dobrych czasów, kiedy Memphis było tylko galimatiasem zabudowań portowych, składów i podupadłych posiadłości, a miasto kontrolowali ludzie, których można było odróżnić od aligatorów jedynie po śmiechu. Cokolwiek SzeF Moyne postanowił o zbrodni, sąd musiał to uznać. Tak więc bez względu na to, jak uczciwi i prawdomówni chcieli być dziennikarze z „Memphis Press-Scimitar”, musieli przekazywać jedynie to, co dostarczył im departament policji.

–Jesteś drugą osobą, która w ciągu ostatnich dwóch dni sugeruje, że Margarynowa Mafia zaczęła wywierać na nas naciski – powiedział Randolph w zamyśleniu.

–No cóż, sir, takie przekonanie panuje między niektórymi robotnikami i pracownikami biurowymi. Być może to tylko plotki. Być może to tylko letni upał. Wie pan, co się dzieje z mieszkańcami Memphis latem. Zawsze dostają trochę na głowę. Ale ktoś rozpuszcza brzydkie pogłoski, szczególnie w lokalnych związkach. Nic jawnego, wie pan, o co mi chodzi, ale sugeruje, że praca dla Clare Cottonseed może być cokolwiek niezdrowa, Wschodzi niedobry księżyc, jeśli mnie pan rozumie.

–Czy ktokolwiek powiedział to przy tobie? – spytał Randolph.

–Mniej więcej, sir.

–To znaczy, co mówił?

–No cóż, sir, rozmawiałem z kierowcą pana Graceworthy’ego dwa albo trzy dni temu, zaraz po tym, jak pan wyjechał do Kanady, i on powiedział mi coś, co dało do myślenia. Powiedział: „Czy zastanawiałeś się kiedyś, Herbert, gdzie mógłbyś być za rok?”, a ja pytałem: „Co masz na myśli?” To znaczy znamy się od pięciu czy sześciu lat, dlaczego nagle zadaje mi takie pytanie? Ale on odparł tylko: „Pomyśl o tym, to wszystko, proszę mi wierzyć, sir, rzeczywiście o tym myślałem, kiedy cadillac wypadł z drogi. Za rok, pomyślałem sobie, mogę w ogóle nic nie robić. Mogę leżeć martwy czterech deskach.

Randolph oparł się o miękkie poduszki welurowego siedzenia. Nie ma dwóch zdań, że Cottonseed Association próbuje okazać swoje niezadowolenie, choć przez ostatnie sześć miesięcy był tak zajęty swoimi własnymi planami rozbudowy i nowymi inwestycjami i tak wyizolowany od codziennego zgiełku Cotton Row, na swoim dziesiątym piętrze lub w Zamku Clare, że zupełnie nie pojął sensu narastającej wrogości, która musiała się wokół niego tworzyć.

Wszystko jedno, wrogość czy nie, nadal trudno było mu uwierzyć, że ktokolwiek z Cottonseed Association na tyle okrutny i gwałtowny, aby spalić fabrykę lub uszkodzić hamulce w jego limuzynie – nawet Orbus Greene ze swoją ordynarnością fizyczną i umysłową; z pewnością nie Waverley Graceworthy, „Wielki Stary łowiek” z Cotton Row.

Jednakże z wyjątkiem wczorajszej wieczornej rozmowy w Raleigh, ani Orbus, ani Waverley nie raczyli rozmawiać z Randolphem od czasu podpisania kontraktu z Sun-Taste. I Randolph miał świadomość, że cały przemysł przetwórczy odetchnie z ulgą, jeśli on wypadnie z interesu, a nawet jeśli skończy osadzony w jednej z betonowych

podpór na międzystanowej autostradzie.

Postanowił być ostrożny przynajmniej do czasu, gdy przekona się, że Margarynowa Mafia pragnie go wyeliminować.

Randolph dotarł do swojego biurka minutę po ósmej i natychmiast przycisnął guzik do Wandy. Za nim budziła się do życia Missisipi usiana parowcami i ozdobiona łańcuchami barek z bawełną. Wanda weszła, niosąc dymiącą kawę na srebrnej tacy.

–Usiłowałem skontaktować się z Marmie w Lac aux Ecorces – powiedział. – Telefonistka będzie nadal próbowała, ale prosiłbym, abyś do niej zadzwoniła i powiedziała, że chcę rozmawiać z Marmie tak szybko, jak tylko to możliwe.

–Oczywiście – odparła Wanda. Wyglądała świeżo i efektownie w białej jedwabnej bluzce i szarej obcisłej spódnicy, ze świeżą kamelią wpiętą w klapę. – Jest jeszcze coś – powiedziała. – Jakies pięć minut temu dzwoniła sekretarka pana Graceworthy’ego. Powiedziała, że pan Graceworthy pragnie panu złożyć wizytę około wpół do dziewiątej.

–Co jej odpowiedziałś?

–Że pana nie będzie, bo odwiedza pan rodziny zmarłych w Raleigh.

–I?

–Powiedziała, że pan Graceworthy i tak przyjedzie i że naprawdę pragnąłby, aby pan na niego poczekał.

Randolph uniósł filiżankę i wypił łyk kawy.

–Brazylijska – wymruczał. Sprawiało mu radość odgadywanie, jaką kawę pije; tej sztuki nauczył go ojciec. – Dobrze. Ale zaczekam tylko do za piętnaście dziewiąta, nie dłużej.

–Tak, sir. Są jeszcze te raporty... przysły dziś rano od szefa policji, straży pożarnej i władz miejskich. Wszyscy uznali to za wypadek.

–Wypadek? Co? – spytał Randolph, kładąc z lekka sarkastyczny nacisk na słowo „wypadek”.

–Pan nie uważa, że to był wypadek? – zdziwiła się Wanda.

–Wszyscy, z którymi się spotykam, trącają mnie łokciem, mrugają porozumiewawczo i mówią co innego. Zaczynam się czuć, jakbym był jedyną osobą w mieście, która nie wie, że ma coś niemilego pod butem.

–Szeft straży pożarnej mówi, że to był wypadek. – Wanda podniosła raport i przewertowała go.

–O tutaj. „Lotne gazy ulatniały się z nieszczelnego ciśnieniowego zaworu na wydziale przechowalniczym i zapaliły się wskutek samozapłonu.”

–A co powiada sam Szeft Moyne?

–„Żadnych podejrzanych okoliczności” – zacytowała Wanda.

Randolph sączył swoją kawę.

–Żadnych podejrzanych okoliczności, rozumiem. Gdzie są moje ciasteczka?

–Kazał mi pan nie przynosić ciasteczek. Twierdził pan, że są tuczące.

–Te małe herbatniczki? Tak powiedziałem?

Wanda skinęła głową i uśmiechnęła się.

–Powiedział pan, że to nieodwołalny rozkaz i że bez względu, co pan będzie

mówił, bez względu na to, jak bardzo będzie pan prosił, mam ich nigdy panu nie dawać.

–No cóż, odwołuję ten nieodwołalny rozkaz. Przynieś mi parę ciasteczek.

Wanda przez chwilę myślała.

–Dobrze. Dwa. I to będzie pana granica.

–Trzy.

–Dwa, i nie ma dyskusji.

–Dobrze, dwa... i spróbuj połączyć się z domkiem, dobrze? Marmie musiała już wrócić, gdziekolwiek była.

W tym momencie wszedł Neil Sleaman. Był ubrany w modrakową marynarkę, żółtą koszulę i apaszkę w złote plamki.

–Dzień dobry, panie Clare. Właśnie usłyszałem, że Waverley Graceworthy zaprosił się tutaj.

–Wszystko na to wskazuje.

Neil usiadł bez zaproszenia.

–Nie domyśla się pan, czego może chcieć?

–A ty? – spytał Randolph. Zaczął pobieżnie przeglądać raport szefa straży na temat pożaru w Raleigh.

–Sądzę, że ma to coś wspólnego z tym, co mówił Orbus Greene wczoraj przed fabryką.

–Myślisz, że ma zamiar mnie nastraszyć, tylko grzeczniej?

–Poznał pan punkt widzenia Association, panie Clare.

–Czyżby? – skrzywił się Randolph, wertując z niesmakiem raport strażaków. – Same dwuznaczności, nic więcej. Posłuchaj tego: „Chociaż nie ma dowodu, aby sugerować, że w Clare Cottonseed nie przestrzegano przepisów bezpieczeństwa, istnieje podstawa do spekulacji, iż zawory w magazynach nie odpowiadały wymaganym standardom lub nie były konserwowane według wymaganych standardów”. A więc to dokładnie oznacza, że on nie ma żadnego dowodu na to, co się stało, i tylko wysuwa jakieś przypuszczenia... jedno jest pewne, że sugeruje jakieś zaniedbania z naszej strony.

Neil pochylił głowę i potaknął, mówiąc:

–No cóż, może tak, ale to nie jest najważniejsze.

Randolph wstał i wsadził ręce do kieszeni.

–Dlaczego miałbym liczyć się z Association, jeśli ona nic nie robi, tylko spowalnia rozwój i obniża jakość? Jesteśmy obecnie drugą co do wielkości przetwórczą nasion bawełny w Memphis, ponieważ mamy niskie ceny i dobre produkty. Nie interesuje mnie więc czyjś punkt widzenia, jeżeli obniża to oba te kryteria. A szczególnie nie interesuje mnie punkt widzenia kogoś, kto zmusza mnie do uległości przemocą.

–Sir... to z pewnością nie mógł być sabotaż – zaprotestował Neil.

–Cieszę się, że ty masz tę pewność, bo ja nie.

–Cokolwiek pan myśli o Association, panie Clare... to są ludzie honoru.

–A kim ty jesteś? Ich rzecznikiem prasowym? Orbus Greene jest najbardziej przebiegłą, nieszczerą, samolubną górą mięsa, jaka kiedykolwiek grasowała w tym

mieście, a co do Waverleya Graceworthy'ego...

–Jeśli chodzi o Waverleya Graceworthy'ego – Wtrącił się czysty, silny patrycjuszowski głos – to przyszedł właśnie złożyć ci swoje uszanowanie.

Randolph obrócił się. Mały, siwowłosy, ubrany w nienaganny szary garnitur od Ceruttiego, który mógł pasować na dziesięcioletniego chłopca, Wielki Stary Człowiek z Cotton Row wszedł do biura. Jego okulary błysnęły na moment światłem odbitym od szyb. Jego małe buciki skrzypiały. Wyciągnął dłoń do Randolpha prawie, jakby się spodziewał, że ten ją pocałuje.

–Twojej uroczej sekretarki nigdzie nie było – powiedział Waverley. Pochodził z Corinth Mississippi i miał tak dziwny akcent, tak wibrujący jak stalowe liny mostu Hernando de Soto.

–Nie masz nic przeciwko temu, żebym usiadł?

–Czym mogę ci służyć? – spytał Randolph. – Może masz ochotę na filiżankę kawy?

Waverley przysiadł na krawędzi kanapy, podpierając swój suchy podbródek dłonią pokrytą plamami wątrobowymi, i spojrzał na Randolpha niemalże z wesołością. Za okularami bez oprawek tkwiły kaprawe i przekrwione, jednakże nadal przenikliwe oczy.

–Przyszedłem złożyć kondolencje, jak powiedziałem. Byłem bardzo strapiiony, dowiedziawszy się, co się stało z Billem Douglasem i tymi robotnikami. A także z nową fabryką. Straszna tragedia.

–No cóż, dziękuję za wyrazy współczucia – odparł Randolph, starając się, aby to nie zabrzmiało niegrzecznie. Neil Sleaman zapadł się w fotel, jakby nie chciał się tu w ogóle znajdować.

–Jak przypuszczam, Orbus miał ci do powiedzenia kilka słów przed fabryką – kontynuował Waverley. – Posłuchaj. Nie powinieneś zwracać zbytnej uwagi na Orbusa. Jego sposób wyrażania się ma zawsze na celu rozłożyć ludzi na łopatki. Nie zapominaj, że on przeszedł ciężką drogę. Musiał być przebiegły, bezkompromisowy, a nawet pozbawiony skrupułów, jeśli chciał przeżyć. Nawet twój ojciec, niech jego dusza spoczywa w pokoju, nie był wzorem doskonałości, abyś ty mógł być nim teraz, kiedy czasy się zmieniły.

–Mógłbyś powiedzieć, o co ci chodzi? – spytał Randolph.

Waverley milczał przez chwilę, patrząc uważnie na Randolpha bladymi szklistymi oczami, po czym oparł się, wdzięcznie złożył ramiona i powiedział:

–Jesteś przyczyną naszego wielkiego smutku. Martwisz nas bardziej niż twój ojciec. On przynajmniej potrafił się dostosować. Twój ojciec rozumiał, że interesy wszystkich przedsiębiorstw przetwórczych są powiązane. Ty na przykład może myślisz, że jesteś niezależny, ale to nie jest tak. Twoje ceny nie będą niskie, jeśli nasze będą niższe. Terminy twoich dostaw nie będą krótkie, jeśli nasze będą krótsze.

–Dlaczego więc nie obniżycie cen i nie przyspieszycie terminów dostaw? – spytał Randolph. – Nie boję się współzawodnictwa.

–No cóż, obawiam się, że tak sprawy nie załatwimy – odparł Waverley. – Paru

członków Association jest silnych, ale wokół tych nielicznych znajduje się wielu słabych. Większość przetwórców nie utrzymałaby się w interesie, jeśli Association nie ustalałaby cen, a to oznacza, że padłoby również wiele plantacji. Mówimy tutaj o daleko poważniejszej sprawie. Mowa jest o tym, co stanie się z całym dystryktem Shelby County i de Soto County, jeśli Association przestanie się opiekować swoimi członkami.

–Obawiam się, że ta przemowa nie robi na mnie wrażenia – burknął Randolph. – Myślisz tylko o swoich pyskach, i o niczym innym. Co więcej, Orbus jest wściekły, ponieważ to nie on dostał kontrakt z Sun-Taste.

–Orbus ma prawo być wściekły. Brooks jest największym przetwórcą w okolicy i Sun-Taste normalną drogą powinno przyjść do niego. Zawarłby kontrakty podwykonawcze na co najmniej dwie trzecie dostawy z niektórymi mniejszymi członkami Association.

–Bez wątplenia po najniższych stawkach – odparł pucho Randolph. – Poza tym Sun-Taste szczególnie nalegało, aby nie robić żadnych kontraktów podwykonawczych.

–Zawsze wszystko komplikujesz, prawda? – spytał Waverley łagodnie. Chwycił paznokciami zabłąkaną nitkę z oparcia kanapy.

–Nie komplikuję. Wszystko i tak jest zbyt skomplikowane.

–Randolphie, nie ma potrzeby kłócić się z nami. Przeszedłem dziś tutaj z propozycją. Wiem, że ten nieszczęśliwy pożar w Raleigh obniżył trochę twoje możliwości wykonania zobowiązań, które masz wobec Sun-Taste. Czy mogę ci zasugerować pomoc ze strony Association w wypełnieniu tych zobowiązań... w zamian za bardziej kooperatywną politykę z twojej strony w przyszłości?

–Możesz sugerować, co ci się podoba, ale obawiam się, że wolałbym raczej współpracować z Ku Klux Klanem niż z wami.

–Randolph! – odparł ostro Waverley. – To nie jest rozsądne.

–No cóż, jak widać, nie jest – zgodził się sarkastycznie Randolph. – Powszechnie wiadomo w Memphis, że Association ma zamiar mnie wycisnąć. Jeśli nie przez negocjacje, to za pomocą gróźb. Z tego, co wiem, zaczęliście od pożaru w Raleigh i wyrzucenia mojej limuzyny z szosy.

Waverley wstał. Randolph nie mógł widzieć jego oczu z powodu srebrnych odbić w okularach.

–To mnie obraża – powiedział Waverley tonem i raczej łagodnego napomnienia aniżeli obrazy.

–Możesz czuć się obrażony, jeśli ci się to podoba – odparł Randolph. – To twoje prawo.

Waverley stał przez chwilę bez ruchu, jakby miał coś powiedzieć. Ale widocznie zmienił zdanie, skłonił się najpierw Randolphowi, potem Neilowi Sleamanowi i zapiął marynarkę.

–Martwisz nas, Randolphie – powtórzył.

–Wiem.

–Wiesz, co cię za to spotka.

–Powiedz mi – rzucił wyzywająco Randolph.

–Będziesz musiał się martwić o siebie sam, oto co cię spotka.

Randolph wstał z krawędzi biurka, położył rękę na ramieniu Waverleya i odprowadził go do drzwi. Stała tam Wanda i wyglądała na zaniepokojoną.

–Wanda – powiedział Randolph z fałszywą wspaniałodusznością – pan Graceworthy opuszcza nas. Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek tu wróci bez umówienia, masz mu odmówić wejścia i skierować go do Ogrodu Zoologicznego Memphis, gdzie może dołączyć do innych gadów.

–No cóż, słaby żart – powiedział Waverley, biorąc swój szary kapelusz z wieszaka i otwierając drzwi. – Znam drogę – dodał.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Randolph odwrócił się do Wandy i powiedział:

–Mówiłem to na serio. To biuro jest zamknięte dla kogokolwiek z Cottonseed Association, a szczególnie dla niego.

–No, nie wiem – wtrącił się Neil. – On nadal ma wielką moc.

–Boa dusiciel też ma dużą moc – odparł Randolph. – To, że ten człowiek zdusił wszystko oprócz ostatniej uncji niezależności mojego ojca, nie oznacza, że uda mu się to samo ze mną.

–Panie Clare – zwróciła się do niego Wanda.

–Przyniosłaś moje ciasteczka? – spytał Randolph.

–Panie Clare – powtórzyła Wanda, a Randolph spojrzał na nią i nagle zdał sobie sprawę, że jej oczy są pełne łez.

–Wanda? Dobrze się czujesz? Co się stało?

Wanda nagle zbladła i usiadła za swoim biurkiem.

–Wanda? – powtórzył Randolph, obszedł wokół biurko i położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzał na Neila i jeszcze raz spytał: – Co się stało? – ale Neil tylko wzruszył ramionami.

W końcu Wandzie udało się wziąć w garść na tyle, żeby powiedzieć:

–Przed chwilą odebrałam telefon.

–Odebrałaś telefon? Skąd?

–Strażnica w Parku Narodowym Laurentide. Mówili głównie po francusku, tak więc z początku trudno mi było ich zrozumieć.

Randolph poczuł w okolicy serca ukłucie paraliżującego zimna, zanim jeszcze Wanda zaczęła mówić, co powiedzieli strażnicy. Marmie nie odpowiadała dziś rano na jego telefony, prawda? Dlaczego? Rzadko budzi się wcześniej. Zawsze rano długo leży w łóżku, przeważnie jeszcze po jego wyjściu do Cotton Row, przeciągając śniadanie. Nawet gdy byli na wakacjach, rzadko wstawała przed wpół do dziewiątej. Dlaczego nie pojął, że coś jest nie tak?

–Wando – powiedział dziwnie rozproszonym głosem, jakby krople deszczu spadały na wypolerowany samochód. – Uspokój się, Wando. Powiedz mi tylko, co oni ci powiedzieli.

Wanda spojrzała na niego. Z jej oczu płynęły łzy.

–Powiedzieli, że ktoś zadzwonił do nich z klubu rybackiego. Jeden z wędkarzy wypłynął dziś wcześniej rano i – przerwała, biorąc głęboki wdech, aby się opanować –

i zepsuł mu się silnik w łodzi, udało mu się jednak dopłynąć do brzegu, niedaleko pańskiego domku, i poszedł do domku, aby prosić o pomoc.

–I co? – spytał Randolph. – I co, Wanda? Co jeszcze ci powiedzieli?

Wanda nie mogła prawie mówić i kiedy z trudem skończyła, czas jakby stanął w miejscu, jakby zawsze miała być 8.45 rano, początek maja; jakby Randolph i Wanda, i Neil nigdy już nie mieli się poruszyć; jakby świat na zewnątrz wstrzymał oddech już na zawsze, ruch się zatrzymał, flagi zamarzyły, parowce uwięzły na środku zamarzniętej rzeki.

Wtedy jednak Randolph uniósł głowę, obrócił się, i po chwili znowu ruszył. Z początku wolno, jakby brodził przez biuro w kierunku biurka, potem szybciej i szybciej, jak na przyspieszonym filmie, aż w końcu się potknął i upadł, uderzając głową o krawędź krzesła i leżał z rozkrzyżowanymi rękami na plecach, nieprzytomny.

–Wezwij karetkę – rozkazał Neil.

Wanda z twarzą zalaną łzami przywołała pogotowie ratunkowe. W tym czasie Neil ukląkł obok Randolpha i rozwiązał mu krawat. Randolph był blady i oddychał ciężko, ale rana na jego głowie wydawała się niegroźna i nie było wiele krwi. Neil wyjął swoją wymuskaną chusteczkę z górnej kieszonki i przyłożył na ranę najdelikatniej jak potrafił.

–Będą za cztery minuty – powiedziała Wanda, idąc przez pokój. Zatrzymała się i spojrzała na Randolpha.

–Stracił przytomność?

–Szok albo wstrząs mózgu, albo to i to. Cokolwiek by to nie było, prawdopodobnie lepiej dla niego.

–Nie mogę w to uwierzyć – Wanda przycisnęła dłoń do ust. – Jak to możliwe, że wszyscy nie żyją?

–Strażnicy nie powiedzieli? Wanda pokręciła głową.

–Powtarzali tylko „poważny wypadek”, to wszystko. Może pożar.

–Podaj mi tę poduszkę – powiedział Neil. – Lepiej, żeby miał uniesione nogi.

Wanda zrobiła, o co prosił, a potem odwróciła się z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, łkając cicho, jakby nigdy nie miała przestać.

Rozdział IV

Kiedy się obudził, popołudniowe słońce kreśliło na suficie wachlarzowe wzory. Wydawało mu się, że jego głowa nie przynależy już do ciała, a w ustach miał metalowy posmak, czuł się jednak dziwnie spokojny i zastanawiał się, czy miał poważny wypadek samochodowy.

Przecież ktoś mówił coś o zepsutych hamulcach w jego samochodzie, twierdząc, że przy nich grzebano.

Spróbował unieść głowę z poduszki. Był to duży wysiłek i zabolą go szyja. Udało mu się jednak dożyć jest w dużym, czystym pokoju urządzonej bardzo jasnej zieleni. Na ścianie znajdował się jakiś współczesny obraz, niczym się nie wyróżniający; w drewnianej doniczce po drugiej stronie pokoju stała chorowita juka, jej liście miały brązowe plamy, jakby była źle podlewana. Światło sączyło się przez żaluzje, które miały łamane trzy listewki.

Pozwolił, aby jego głowa opadła z powrotem na poduszkę. Nie uznał jeszcze za stosowne zastanowić się, im jest i co tutaj robi. Wystarczało mu, że żyje.

Zasnął na chwilę i znowu się obudził. Pasy na suficie zbladły, i miał wrażenie, że ktoś był w pokoju i obserwował go, jak śpi.

Stolik przy łóżku był przesunięty. Usiłował złożyć w całość ostatnie wydarzenia ze swojego życia. Przez krótki ułamek sekundy miał wrażenie, że przypomina sobie pisk opon i trzask metalu, ten straszny odgłos poważnego wypadku. Był jednak pewien, że ktoś mu o tym mówił i że on sam tego nie przeżył. Jego umysł pewnie robi wymówki, próbując odwrócić jego uwagę od tego, co naprawdę się stało.

Opanowała go myśl, że stało się coś rzeczywiście strasznego, nie wypadek samochodowy. Ale co? Próbował dalej ukształtować w myślach spójny obraz, ale ten zawsze zdawał się wymykać i rozpadać, jak olbrzymi rekin pod wodą. Zmarszczył się i skoncentrował, ale cień znowu się wymknął.

Minęło dwadzieścia minut. Gdzieś w oddali usłyszał skrzywienie butów i zbliżające się głosy. Zasnął i znowu się obudził. Ściemniło się teraz, a żaluzje stały się niebieskie. Poszukał wkoło siebie ręką i nacisnął wyłącznik światła. Jasna lampka nocna zaświeciła mu prosto w oczy i musiał odwrócić twarz.

Po chwili wolno uniósł swoją prawą rękę, by móc ją obejrzeć. Miał na sobie bawełnianą koszulę o szerokich rękawach w kolorze bladej żółci. Wyraźnie praną w pralni, co można było rozpoznać po niedokładnych sprasowaniach. Na nadgarstku miał plastikową taśmę. Kiedy odkleił taśmę, zobaczył, że jest na niej jakieś nazwisko, napisane długopisem. Skupił się na napisie, próbując go odczytać, ale po dwóch czy trzech minutach stwierdził, że musiał zatracić umiejętność czytania. Długopisowe wywijasy nie dały się skojarzyć z żadnymi literami, a litery nie składały się w zrozumiałe słowa.

„Nie potrafię czytać – pomyślał. – Widocznie doznałem uszkodzenia mózgu. Był samochodowy wypadek i doznałem uszkodzenia mózgu.” Wierzył nawet, że pamięta, jak jego czoło uderza w znajdujący się przed nim orzechowy barek. Wyjące opony. Tłukące się karafki.

Ale cień rekina zaczął się znowu wyłaniać na powierzchnię, niosąc tę mroczną,

przerażającą prawdę, że jego umysł desperacko pragnie być zatopiony. Miał połowiczne przeświadczenie tego, co to może być, więcej niż połowiczne. I wiedział, że kiedy przebije się na powierzchnię, będzie musiał stawić czoło temu, co się stało. Rekin zaczął się teraz powoli wynurzać. W każdej chwili będzie musiał przyjąć prawdę, którą on przyniesie, i wiedział, że nie będzie w stanie tego znieść. Jego umysł nie pozwalał mu wyartykułować tego, co zawisło na jego wargach. Nagle wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał się obronić przed zamiecią.

–Marmie! – krzyknął, ale w tym samym momencie mężczyzna o ciemnej twarzy, w bladoniebieskim fartuchu, wszedł do pokoju i zawołał ostro: – Panie Clare!

Randolph otworzył oczy i zobaczył, że jego ręce są uniesione. Wolno, w oszołomieniu opuścił je i obrócił głowę, aby spojrzeć na intruza, który przerwał mu jego koszmar. Mężczyzna o ciemnej twarzy, ale nie czarny; typ orientalny o płaskiej twarzy i nadzwyczajnie błyszczących oczach. Randolph pomyślał, że najprawdopodobniej nadal ma halucynacje i że ten człowiek nie jest rzeczywisty. Być może uszkodzenie mózgu sięgało daleko poza utratę umiejętności pisania i czytania, być może jest klinicznie szalony.

–Panie Clare! – powtórzył mężczyzna, tym razem łagodniej.

–Pan Clare? – spytał Randolph suchymi ustami.

Mężczyzna podszedł do łóżka.

–Jestem doktor Ambara – stał, patrząc w dół na Randolpha, potem bez uprzedzenia pochylił się, uniósł każdą z powiek Randolpha i zajrzał w oczy zapalonym oftalmoskopem. Randolph ujrzał gmatwaninę białych światełek tańczących wśród plamek szkarłatu.

–A więc – odezwał się doktor Ambara – jak się czuje?

Randolph nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na doktora, usiłując powiedzieć: „dobrze”, ale jakoś jego umysł odmówił wykonania rozkazu.

Randolph widział, że doktor Ambara jest młodym człowiekiem, może dwudziestosześć-, dwudziestosiedmioletnim, i że ma jedwabiste wąsy i czekoladowy pieprzyk na lewym policzku w kształcie nurkującego ptaka. Nie wiedział, co kazało mu pomyśleć o nurkującym ptaku, ale wyartykułował cienko:

–Stało się coś. – Zawahał się przez moment, a potem dodał: – Coś złego.

–Tak, panie Clare – odparł doktor Ambara żywo. – Stało się coś. Czy pan wie, gdzie pan jest?

–Mie – odparł Randolph. Miał zbyt suche wargi, aby wymówić: „Nie”.

–W Klinice Góry Moria – odparł doktor Ambara. – Przywieziono pana dziś rano z powodu szoku i lekkiego wstrząsu mózgu. Podaliśmy panu środek uspokajający i od tamtego czasu pan spał.

–Która godzina? – spytał Randolph. Rekin nadal krążył w pobliżu i żadna rozmowa nie powstrzyma go przed pojawieniem się na powierzchni.

–Siódma siedemnaście – odparł doktor Ambara, patrząc na swój wielki złoty cyfrowy zegarek na ręce.

–Prawie cały dzień – wymruczał Randolph.

–Tak – powiedział doktor Ambara.

Randolph oblizał wargi.

–Ciągłe mi się wydaje, że to był wypadek samochodowy – odezwał się. – Ale to nie wypadek, prawda?

–Nie – odparł doktor Ambara. Przysunął sobie krzesło do łóżka. Jego twarz była na pół w cieniu, ale Randolph nadal widział jego usta i połyskujący jedwabisty wąs.

–Wie pan, że nasz umysł często płata nam różne sztuczki – kontynuował doktor Ambara. – Rozumie nasze ograniczenia, naszą ograniczoną zdolność do radzenia sobie z pewnymi rzeczami, które się nam przytrafiają. Czasami, kiedy spotyka nas straszny kryzys, umysł po prostu nie przyjmuje go do wiadomości, a przynajmniej do czasu, kiedy nasze emocje są wystarczająco uspokojone, aby się z nim uporać.

–Próbuje mi pan powiedzieć – rzekł Randolph – że spotkał mnie straszliwy kryzys, prawda? To dlatego tutaj jestem?

Doktor Ambara skinął głową i bez skrępowania wziął dłoń Randolpha w swoją.

–Stało się coś z Marmie. Czy Marmie jest ranna?

Doktor Ambara znowu skinął głową i Randolph zauważył, że po policzkach spływają mu łzy.

–Muszę panu powiedzieć, że pańska żona nie żyje. Podobnie jak wszystkie pana dzieci.

Rekin pojawił się na powierzchni i Randolph znalazł się twarzą w twarz z rzędami jego wyszczerzonych zębów. Poczuł lęk, przygnębienie, żal, panikę i – przede wszystkim – nieopisany smutek. Był niezdolny, by cokolwiek powiedzieć.

–Znaleziono ich w waszym domku w Quebec – kontynuował spokojnym głosem doktor Ambara. – Nie było szansy, żeby ich uratować.

Z oczu Randolpha popłynęły łzy gorącym, nieugaszonym strumieniem i zacisnął dłoń na rękę doktora Ambarę.

–Z przykrością muszę panu przekazać, że zostali zamordowani – powiedział doktor. – Ktoś włamał się ‘ domku i zabił ich.

Randolph przełknął ślinę i z trudem zapytał:

–Czy oni cierpieli? Czy któreś z nich cierpiało?

–Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie – odparł doktor Ambara.

Randolph zmarszczył się i zapłakał. Jednak udało mu się wydusić:

–Musi mi pan powiedzieć, co się stało.

–Mogę tylko powtórzyć to, co przekazała policja – rzekł doktor Ambara.

–Wszystko jedno, proszę mówić. Muszę pana ostrzec, że było to bardzo nieprzyjemne zdarzenie.

–Proszę mówić. I tak przecież kiedyś będę musiał się dowiedzieć.

Doktor Ambara uwolnił dłoń Randolpha i podszedł do okna. Podniósł żaluzje i spojrzał na południowy zachód w kierunku odległych świateł Stroh Bewery i międzynarodowego lotniska w Memphis. W ciemnościach krążyły samoloty jak robaczki świętojańskie. Doktor Ambara przyglądał im się przez chwilę, a Randolph cierpliwie czekał. Oprócz tego, że był jeszcze pod działaniem środka uspokajającego i dzięki temu spokojniejszy niż byłby normalnie, gotów był uwierzyć, że doktor Ambara sam jest bardzo przybity, z powodu tego, co się stało, i dlatego mógł dzielić

z nim jego smutek.

W końcu patrząc nadal w okno, doktor Ambara powiedział:

–Jak powiada policja, to zdarzyło się wczoraj późnym wieczorem. Trzech czy czterech mężczyzn włamało się do domku. Jeden z nich wyłamał drzwi siekierą, a potem użył tej samej siekiery do zabicia pańskiego młodszego syna, Marka.

–Mark – wyszeptał Randolph, modląc się do Boga, aby nie zwariował.

–Potem – kontynuował lekarz – z karabinu zastrzelili pańskiego starszego syna, Johna.

Randolph był zbyt przybity boleścią, aby wymówić jego imię. Znowu z jego oczu zaczęły płynąć łzy i musiał je zacisnąć, żeby nie wybuchnąć płaczem na głos.

Doktor Ambara w końcu odwrócił się od okna.

–Mówię to panu – powiedział – ponieważ musi pan to wiedzieć, a im wcześniej pan to pozna, tym lepiej. Pański umysł będzie musiał i tak uporać się z tym, a nie ciągle zastanawiać się, co się stało i dlaczego wszyscy tak się panem przejmują.

Randolph załkał i skinął głową. Nie płakał tak od czasu, kiedy zmarła jego matka. Nie mógł już mówić. Położył się na poduszce i czekał, aż doktor Ambara powie mu najgorsze.

–Pańska żona i córka zostały związane. Policja powiedziała, że kilkakrotnie były zgwałcone. Potem powiesili je na drucie kolczastym na belce w salonie. Policja powiedziała, że musiały cierpieć, ale niedługo.

Doktor Ambara pochylił się nad Randolphem i otarł mu łzy chusteczką. Jego twarz wyrażała współczucie nieskończone zrozumienie. Przyglądał się Randolphowi przez moment, a potem wyjaśnił mu z wielką łagodnością:

–Powiedziałem to panu, ponieważ pan to musi wiedzieć. To była straszna tragedia i w klinice wszyscy panu głęboko współczują.

Usiadł i dodał:

–Musi pan zrozumieć, że jestem pańskim lekarzem, że jestem tutaj, aby panu pomóc przejść przez to cierpienie. Cokolwiek chce pan wiedzieć, powiem panu. Kiedykolwiek będzie chciał pan rozmawiać, porozmawiam z panem. Musi pan przemyśleć to wstrząsające zdarzenie i porozmawiać na ten temat. Będzie pan zadawał sobie wiele pytań, zaczynających się od „dlaczego”. Dlaczego zostawiłem swoją rodzinę w Kanadzie, a nie przywiozłem jej z sobą? Dlaczego los jest tak okrutny? Dlaczego właśnie im musiało się to przytrafić? Być może największą trudnością, z jaką będzie pan musiał sobie poradzić, jest brak odpowiedzi na te pytania.

–Wszyscy byli tacy piękni – powiedział Randolph.

–Tak – odparł doktor Ambara.

Po chwili Randolph dodał: – Próbuję sobie przypomnieć ostatnie chwile, jakie z nimi spędziłem. Wyszli na molo, aby zobaczyć mnie w samolocie. Uścisnąłem chłopców. Najpierw Marka, potem Johna. Potem pocałowałem Issę. Ostatnią pocałowałem Marmie. Czy wie pan... Prawie czuję ich w swoich ramionach.

–To uczucie nigdy pana nie opuści – zapewnił go doktor Ambara.

–Co mam teraz robić? – spytał Randolph. – Jestem sam.

–No cóż, będzie pan musiał tu zostać przez dzień albo dwa na obserwacji. Stracił pan przytomność, kiedy otrzymał pan te wieści. Pana rodzina nie żyje i uderzył się pan w głowę, upadając. Musimy się upewnić, że pański mózg jest w porządku.

–A może nie być?

Doktor Ambara pokręcił głową.

–Wątpię. Ale sądzę, że powinien pan skorzystać ze sposobności i przez jakiś czas zdać się na innych; na mnie i personel pielęgniarski. Pański lekarz – dr Linklater – odwiedzi pana później. Jeśli będzie pan sobie tego życzył, może pan spotkać się z księdzem. Zazwyczaj jednak według moich obserwacji, ludzie, którzy nagle stracili najbliższych, pytania na temat religijnych implikacji wolą zadawać później, kiedy zanika poczucie szoku.

–W co pan wierzy? – spytał Randolph.

Doktor Ambara wyglądał na zdziwionego.

–W co wierzę? No cóż, jestem Indonezyjczykiem, a moja religia to hinduizm, a więc to, w co ja wierzę, może być dla pana raczej okryte tajemnicą.

–Proszę mi powiedzieć – nalegał Randolph.

Doktor Ambara wyczuł, że Randolph czepia się każdej nici, mogącej dać mu jakieś wytłumaczenie, które on byłby w stanie przyjąć choćby tymczasowo. Przez chwilę w zamyśleniu skubał swój podbródek.

–Wierzę, że śmierć nie jest oddzieleniem, ale po prostu wędrówką duszy do następnego miejsca spoczynku, którym jest niebo. W niebie panuje pokój i wolność od trosk i bólu – powiedział.

–Czy pan naprawdę w to wierzy? Czy pan naprawdę wierzy w to, że moja rodzina, ich dusze nadal są gdzieś tam?

Doktor Ambara uśmiechnął się.

–To zależy, co pan rozumie przez słowo „tam”, panie Clare. Niebo istnieje jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz ludzkiego umysłu. Ale, tak, wierzę, że pana rodzina nadal istnieje i jako Hindus wierzę także, że pewnego dnia każde z nich na nowo się narodzi, reinkarnuje, jak my wszyscy, prawdopodobnie w swoich wnukach i wnuczkach dalekich krewnych.

–Dziękuję – odparł Randolph.

–Dlaczego mi pan dziękuje? Według mnie tak właśnie będzie.

–Chciałbym mieć pańską wiarę.

–No cóż, to, w co wierzymy, jest naszym wyborem – powiedział doktor Ambara. – Ale wiara opiera się na faktach i w Indonezji istnieje wiele opowieści, które potwierdzają naszą wiarę.

–Co pan ma na myśli?

–Po prostu to, że ludzie, którzy stracili synów i córki w rozmowie ze swoimi wnukami odkrywają, że one posiadają wiedzę o ludziach i zdarzeniach, którą tylko zmarłe dzieci mogły posiadać. Jest to tak powszechne, ta zdolność, że w mieście, z którego pochodzę, nawet się o tym nie mówi. Jestem pewien, że dzieci amerykańskie mają tę samą zdolność, ale ich rodzice sobie tego nie uświadamiają i nie wierzą w to nawet, gdyby coś zauważyli. W takiej sytuacji dzieci gwałtownie zapominają o swoich

wspomnieniach, które przyniosły z łona matki z poprzednich wcieleń.

Doktor Ambara zamilkł na chwilę i potem dodał:

–Są tacy, którzy się szczycą, że spotkali się i rozmawiali ze zmarłymi – zazwyczaj mistycy – ale arcykapłani nie pochwalają takich rzeczy.

Chwycił kartę choroby wiszącą w nogach łóżka Randolpha, zdjął nakrętkę z pióra i skreślił kilka uwag.

–Jeśli pan czegoś potrzebował – powiedział – niech pan zaraz o to prosi. Wiem, że jest pan aktywnym człowiekiem, prezesem ważnej kompanii, i że istnieją ogromne naciski na pana. Ale dla swego dobra, niech pan da sobie kilka dni na to, aby przyjąć i zrozumieć to, co się stało. Mogę z panem rozmawiać na ten temat, kiedy tylko pan zechce. To jest konieczne dla pana zdrowia – a nawet życia – aby pan nie tłumił w sobie smutku.

Potem zostawił Randolpha samego. Jednakże o ósmej przyszła młoda pielęgniarka z tacą. Zaciągnęła zasłony, włączyła światło przy łóżku i pomogła Randolphowi usiąść, podpierając mu plecy poduszką.

–Mam na imię Suzie – uśmiechnęła się. Miała rude włosy i piegowaną twarz, jakby wyszła prosto z filmu Normana Rockwella: energiczna, młoda, amerykańska pielęgniarka. Wysunęła boczny stoliczek i położyła na nim tacę; rosół i świeżo upieczone paszteciki oraz szklanę z sokiem owocowym.

–To nie jest żydowski szpital, prawda? – spytał Randolph. Był to rozmyślny wysiłek, aby powiedzieć coś lekkiego i zabawnego. Niestety jego głos był napięty od płaczu i młoda pielęgniarka go nie zrozumiała.

–Przepraszam? – zamrugła.

–Rosół – odparł Randolph. – Rosół to jest to, co żydowskie matki podają swojej rodzinie na wszystkie możliwe dolegliwości.

–Ach – odrzekła Suzie i poprawiła prześcieradła. Randolph spojrzął na swoją kolację i wiedział, że nie jest w stanie jej zjeść.

–Lepiej niech pani to zabierze – powiedział. – Nie jestem w stanie nic przełknąć.

–Doktor Ambara mówił, że musi pan coś zjeść.

–Przepraszam, ale nie mogę.

Suzie umieściła swój zgrabny tyłeczek na skraju łóżka i chwyciła łyżkę.

–Jeżeli nie może pan jeść sam, nakarmię pana.

–Proszę – powiedział Randolph. – Nie jestem w ogóle głodny.

Ale ona nabrała zupy na łyżkę i przysunęła do jego ust.

–No dalej – ponagliła. – Chyba nie chce pan martwić doktora Ambarę?

Randolph pozwolił jej włożyć łyżkę do ust. Ale poczuł się taki dziecinny i słaby, kiedy ona to zrobiła, że jego żalność na nowo odżyła i wybuchnął płaczem. Zupa prysnęła na tacę i jego piżamę.

–Boże – łkał. – Przepraszam.

Suzie zabrała tacę i odsunęła stolik. Wytarła go ręcznikiem i znowu usiadła na łóżku, trzymając go w ramionach.

–Cśśś – głaskała go, odgarniając mu włosy. Kiedy poczuł miękkość jej odzianej w nylon piersi naswoim policzku i zapach jej kobiecości, nie mógł się prawie

powstrzymać, żeby nie krzyczeć z udreki. Każdy nerw w jego ciele napinał się coraz mocniej, a jego mózg chciał eksplodować jak zbity ekran telewizora, pozostawiając tylko fragmenty jego osobowości.

–Cśśś – wyszeptała znowu i nie przestawała gładzić jego włosów.

Później, na noc, podali mu następny środek uspokajający. Usłyszał, jak otwierają się i zamykają kilkakrotnie drzwi. Ktoś mówił coś o doktorze Linklaterze. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, w oczy uderzało go światło i mógł słyszeć krzątanie w klinice na zewnątrz jego pokoju.

W końcu zasnął i śnił, że szaleńczo pragnie lecieć z powrotem do Quebec. Musi dołączyć do Marmie i dzieci. To była decydująca sprawa. Ciemna fala paniki zalewała go, gdy kolce jeżyn oplatały nogawki jego spodni, uniemożliwiając mu pośpiech. Widział Marmie i dzieci z oddali, biegnące przez burzowe pole pszenicy; nad ich głowami gromadziły się chmury jak atramentowe zamki. Usiłował uwolnić swoje nogi, aby dotrzeć do nich i ostrzec ich, ale jeżyny wrosły mu w skórę i nie mógł zrobić ani jednego kroku.

–Marmie! – krzyczał, ale zerwał się straszny wiatr i uniósł jego głos daleko.

–Marmie! – krzyknął znowu i tym razem odwróciła się; nie mógł dostrzec jej twarzy, była biała jak wosk. Patrzyła na niego z takim straszliwym wyrzutem, że przestał krzyczeć, spuścił ramiona w dół i patrzył na nią z poczuciem winy i przerażeniem. Wtedy odwróciły się dzieci – John, Mark i Issa – a ich twarze również były woskowobiałe i nie było w nich miłości, tylko potępienie.

–Nie wiedziałem – powiedział do Marmie. Wyciągnął do niej rękę, błagając, by mu wybaczyła, cofnęła się i uściskała go. – Marmie, przysięgam. Nie wiedziałem.

Marmie patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła się, i dzieci też się odwróciły, i zaczęły sunąć przez opustoszałą ulicę, która pojawiła się zamiast pola pszenicy, aż dotarli do brzegu Missisipi.

–Utopicie się! – desperacko usiłował ich ostrzec. Ale oni nadal sunęli po powierzchni rzeki i w końcu czarne chmury opadły na drugi brzeg, a oni zniknęli.

Obudził się, wciśnięty z przerażenia w swoją poduszkę... i wiedział z absolutną pewnością, że oni nie żyją.

Z wolna odwrócił się i spojrzął w okno. Zastłony były rozsunięte i przez żaluzje przeświecało słoneczne światło. Bolała go głowa i czuł słabość w kończynach, ale udało mu się unieść na łokciu.

Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i weszła Suzie. Za nią wszedł gładki i opalony, z pięknie zaczesanymi przyprószonymi siwizną włosami i błyszczącymi oczyma doktor Linklater.

–Randolphie – powiedział doktor, wchodząc i chwytając jego dłoń.

–Cześć, Miles – powiedział Randolph. – Co ty tutaj robisz? Nie spodziewałem się tu ciebie przez jakiś czas.

–Co ze śniadaniem? – spytała Suzie.

–Poproszę kawy – odparł Randolph.

–No nie, musisz coś zjeść, a nie tylko kawa – zbeształ go doktor Linklater.

Odwrócił się do Suzie i powiedział:

–Przynieś płatki ryżowe i jakieś owoce.

–Miles, ja nie jadam płatków ryżowych – zaprotestował Randolph.

–Bądź cicho, bo inaczej dostaniesz owsiankę.

Randolph podciągnął się do pozycji siedzącej.

–Byłeś tu w nocy? – spytał.

–Zajrzałem o dziewiątej, a potem o jedenastej.

–Sądzę, że zobaczę to na moim rachunku.

Doktor Linklater przyciągnął sobie bliżej krzesło.

–To straszna sprawa, Randolphie. Chcę, żebyś wiedział, że Marjorie i ja, no cóż, jesteśmy tak przybici, że nie wiem, co powiedzieć. Ale masz nasze najszczerze współczucie i wiedz, że zawsze możesz liczyć na nas, jeśli czegoś ci będzie trzeba.

–Czy muszę lecieć do Kanady? – spytał Randolph.

Doktor pokręcił głową.

–Były takie sugestie ze strony kanadyjskiej policji, nie zgodziłem się ze względów zdrowotnych. Przyślą jutro dwóch swoich detektywów, aby z tobą porozmawiali, jeśli będziesz w stanie to znieść.

Randolph skinął głową. Tego ranka czuł się rozbity nic nie miało dla niego znaczenia. Ale się zgodził, zniewał wiedział, że czas nie zatrzyma się w miejscu, choćby o ósmej czterdzieści siedem wczoraj rano, i że tak fezy inaczej będzie musiał zacząć żyć na nowo, poruszać się, rozmawiać z ludźmi i prowadzić interesy.

–Czy będę musiał... ich zobaczyć? – spytał Randolph.

–To znaczy, czy będziesz musiał zidentyfikować zwłoki? Nie, to już załatwione. Twoja kuzynka, Ella, poleciała do Quebec wczoraj po południu i zrobiła, co trzeba. Skontaktuje się z tobą później. Przywiezie zwłoki tutaj, gdy tylko policja na to zezwoli i pomoże tobie w zorganizowaniu pogrzebu.

–Zorganizowanie pogrzebu – powtórzył Randolph, jakby te słowa pochodziły z obcego słownika.

Doktor Linklater chwycił go za rękę.

–Zadzwoń też do twojego biura. Pan Sleaman powiedział, że wszystko jest dobrze i że nie musisz się martwić powrotem do pracy aż do czasu, gdy będziesz naprawdę gotowy. Powiedział, że fabryka w Raleigh zacznie funkcjonować za cztery dni.

–Przygotowania do pogrzebu – powtórzył znowu Randolph.

Doktor Linklater uśmiechnął się zawodowo.

–Wszystko, o czym masz teraz myśleć, Randy, to i powrocie do formy i pogodzeniu się z tym, co się stało, twoja rodzina zmarła tragicznie, ale ty nadal żyjesz i wiesz równie dobrze jak ja, że Marmie i dzieci nie chciałyby, żeby przytrafiło się tobie coś złego.

Randolph spojrział na niego nieobecny wzrokiem.

–Miles – powiedział – czy ty wierzysz w duchy? To znaczy w dusze?

–Pewnie.

–Nie, nie, chyba się nie wyrażam jasno. Czy wierzysz, że one są naprawdę? To znaczy że naprawdę istnieją?

–Nie jestem pewien, czy rozumiem, dokąd zmierzasz – wyznał doktor Linklater, wyprostowawszy się i zabrawszy rękę z dłoni Randolpha.

Randolph potarł czoło wierzchem dłoni.

–To niełatwo wytłumaczyć – powiedział – ale doktor, jak mu tam, mówił mi o tym. Indonezyjczyk.

–Aha, masz na myśli doktora Ambarę. To wspaniały lekarz. Jeden z najlepszych. Pochodzi z Dżakarty i skończył uniwersytet w Baltimore. Co on ci powiedział?

–Powiedział, że w hinduizmie, kiedy umierasz, twoja dusza nie znika na zawsze tak, jak to wyznają chrześcijanie. Lecz idzie do nieba i czeka, by się na nowo narodzić.

–Tak, w to wierzą hindusi, pewnie. Reinkarnacja, wracasz na ziemię jako święta krowa, czy coś takiego.

–Nie, nie, to coś więcej – powiedział Randolph. – Mówił, że istnieją mistycy, którzy potrafią rozmawiać ze zmarłymi i spotykać się z nimi.

Doktor Linklater wyglądał na niezadowolonego. Odchrząknął, załamał ręce i wbił wzrok w podłogę.

–Musisz zrozumieć, Randy, że to, co ci powiedział doktor Ambara, było z jego strony prawdopodobnie próbą pocieszenia cię, przekazania ci, że nie straciłeś Marmie i dzieci na zawsze. Sadzę, że trochę źle obliczył skutek, jaki jego słowa wywrą na tobie w tym krytycznym stanie.

–To znaczy, że nie wierzysz, iż Marmie i dzieci są w ogóle gdziekolwiek? Sądzisz, że odeszli na zawsze?

–Randy, nie powiedziałem, że nie wierzę w niebo. Jestem chrześcijaninem i wierzę w to, co biblia ma do uwiedzenia na ten temat. Ale doktor Ambara nie miał prawa sugerować tobie w jakikolwiek sposób, że twoja rodzina nadal żyje w ludzkim sensie i że krążą w czymś w rodzaju niebiańskiego przedsionka. Wierzę w życie wieczne, Randy, ale wiem także, że kiedy opuścisz ten ziemski padół, nigdy tu już nie wracasz. Twoja rodzina zasiada po prawicy Boga, Randy, ale kiedy już tam się zasiadło, przykro mi, ale nie można stamtąd odejść.

Randolph wolno skinął głową i spróbował się uśmiechnąć.

–Przykro mi, że zmusiłem cię do filozoficznych zmagania tak wcześnie rano – powiedział.

Suzie weszła z kawą i płatkami ryżowymi dla Randolpha. Nalewała mleko, podczas gdy lekarz kontynuował:

–Jestem pewien, że doktor Ambara miał dobre intencje. Chciał dać ci trochę nadziei na przyszłość i uspokoić cię co do twojej rodziny, i oczywiście powiązał ich śmierć ze swoją własną religią. No cóż, to doskonale zrozumiało. Nie ma dyskryminacji w szpitalach Tennessee na gruncie religijnym. Ale, Randy, ty nie jesteś hinduistą. Powinieneś trzymać się kategorii wiążących się z twoją własną religią i wychowaniem.

Randolph wolno i ostrożnie jadł swoją kaszkę. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak był głodny.

–Przypuścimy, że się nawróciłem? – spytał.

–To niczego nie rozwiązuje. Musisz zrozumieć, że Marmie i dzieci odeszły z tego świata i bez względu na to, gdzie są – a ja wierzę, że gdziekolwiek są, są szczęśliwi – ty ich już nie zobaczysz.

–Nie uważasz, że medium mogłoby się z nimi skontaktować?

Doktor Linklater pokręcił głową.

–Oni odeszli, Randy.

Nagle po policzkach Randolpha zaczęły płynąć łzy i zakrztusił się swoją kaszką.

–Tak wiele mam im do powiedzenia – rzekł. – Tak wiele chciałbym im przekazać.

–Rozumiem – powiedział doktor Linklater współczująco. – Wierz mi, Randy, wiem, co czujesz.

Do pokoju weszła znowu Suzie i doktor Linklater powiedział niespokojnie:

–Lepiej już pójdę. Wrócę tu później, po wieczornym obchodzie.

–Dobrze – odparł Randolph. – Dziękuję.

–Posłuchaj – powiedział doktor Linklater, patrząc znacząco na Suzie, aby się upewnić, że ona rozumie, w czym problem – nie zaczynaj mieć nowych pomysłów na temat spirytystów i mediów czy czegoś w tym rodzaju. Wierz mi, Randy, to tylko ci wszystko pomiesza, da ci fałszywe nadzieje i przeszkodzi w wyzdrowieniu.

–Dobrze – zgodził się Randolph. Otarł oczy serwetką.

–To świetnie – uśmiechnął się doktor Linklater. – Teraz skończ swoje śniadanie.

Skontaktuję się z tobą później.

Rozdział V

Wieczorem do Randolpha przyszedł inny lekarz, ogolony maszynką, o sztywnym, apodyktycznym sposobie bycia, który zapewnił go, że jego czaszka zagoi się i będzie jak nowa za trzy dni i że główna choroba znajduje się wewnątrz jego umysłu. Kiedy Randolph spytał, gdzie jest doktor Ambara, lekarz wsadził jedną rękę głęboko w kieszeń swego kitla i uśmiechnął się krzywo.

– Jesteśmy tutaj cholernie zajęci, proszę mi wierzyć – odparł.

Ale następnego dnia rano ogolony doktor znowu wrócił. Usiadł na krawędzi łóżka nieproszony, przeglądnął kartę Randolpha i wymruczał do siebie.

– Cała rodzinka, co?

– Chcę się widzieć z doktorem Ambara – powiedział Randolph.

– Przykro mi, panie Clare. Doktor Ambara musiał wziąć trochę wolnego.

– Nalegam, żeby go zobaczyć.

– Mogę przekazać wiadomość. Niestety, nie gwarantuję, że doktor Ambara na to odpowie.

Po południu, kiedy wszedł doktor Linklater, Randolph spytał:

– Co się stało z doktorem Ambara? Zabrali mu mój przypadek.

Doktor Linklater wydał policzki i spojrzał niezadowolony.

– Obawiam się, że zrobiono to na moje polecenie.

– Ale dlaczego? Jakim prawem? Lubiłem go, bardzo mi pomógł. To, co mi powiedział, dodało mi sił, na miłość boską. Dało mi wiarę.

– Wiarę w co, Randy? Wiarę, że uda ci się jakoś porozmawiać z Marmie i dziećmi, powiedzieć im wszystko, czego nigdy nie miałeś czasu powiedzieć, gdy żyli? Posłuchaj, Randy, jestem twoim przyjacielem. Przeszedłeś przez straszne przeżycie. Teraz twój umysł jest słaby i podatny na sugestie, i nawet jeśli tacy ludzie jak doktor Ambara mają dobre chęci, nie robią nic dobrego dla procesu wyzdrowienia.

Randolph odkrył koldrę i spuścił nogi z łóżka.

– Co, do diabła, robisz? – spytał doktor Linklater.

– A jak myślisz, co ja, do diabła, robię? Wypisuję się. Nie mam zamiaru leżeć tutaj przez następne pięć dni i być traktowany jak szwedzka rzepa.

– Nie możesz tego zrobić. Jesteś chory. Jesteś pod wpływem środków uspokajających. Miałeś wstrząs mózgu, kliniczny szok i psychiczny uraz.

– Być może miałem. Ale teraz czuję się lepiej i wracam do domu.

– Policja kanadyjska przyjeżdża dziś tutaj po południu, aby z tobą porozmawiać.

– Jestem pewien, że szpital zechce skierować ich do mnie.

Randolph zdjął koszulę, podszedł do szafy i wyjął swoje rzeczy.

– Jak zamierzasz dostać się do domu? – spytał doktor Linklater.

– Jestem pewien, że nakłonię cię, abys mnie podwiózł.

– Nigdzie cię nie podwiozę. Jako lekarz radzę ci tu zostać aż do czasu, gdy będziesz na tyle zdrowy, by jechać do domu. Będziesz mógł wtedy nająć prywatną pielęgniarkę.

– Jeśli nie chcesz mnie podwieźć, Miles, po prostu zadzwonię po Herberta.

– Herbert tu nie przyjedzie. Wiem to, ponieważ dzwoniłem do Charlesa w sprawie

prywatnej opieki medycznej, a Charles powiedział, że Herbert wyjechał do blacharza, aby odebrać limuzynę.

Randolph włożył koszulę w spodnie i zapiął rozporek.

–I tak się wypiszę, Miles, i tyle na ten temat.

Zawiązał krawat i podszedł do nocnej szafki, gdzie Suzie w szufladce schowała jego portfel. Wyjął kartę Stanleya Vergo, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

–Robisz poważny błąd, Randolphie – powiedział doktor Linklater.

–Pozwól, że ja sam to osądzę – odparł Randolph.

Żółta taksówka Stanleya Vergo podjechała przed kliniki po niespełna dziesięciu minutach.

–Jak leci, panie Clare? – spytał Stanley, wysiadając i jedną ręką otwierając przed nim drzwiczki, a drugą ocierając pot z czoła. Randolph nie widział go nigdy inaczej jak siedzącego na miejscu kierowcy, był więc pod odpowiednim wrażeniem co do wielkości jego brzucha. Kiedy Stanley wrócił za kierownicę, parsknął, uśmiechnął się do Randolpha w lusterku wstecznym i powiedział:

–Nie przysłali po pana limuzyny?

–Jest w naprawie. To dlatego nie pojawiła się we wtorek. Miała wypadek.

–Powinien pan zwolnić swojego szofera. Hej, nie potrzebuje pan nowego szofera? Zawsze chciałem prowadzić limuzynę.

–To nie była jego wina.

–Aha, dobrze... jeśli kiedykolwiek będzie jego wina, zna pan mój numer.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

–Bardzo przykra sprawa z pana rodziną – odezwał się Stanley. – Naprawdę się przeraziłem, kiedy o tym usłyszałem. Pewnie dlatego był pan w tej klinice?

–Wie pan o tym? – spytał zrezygnowany Randolph.

–A proszę mi powiedzieć, kto nie wie. Było o tym telewizji, w gazetach.

Wiadomość z pierwszych stron. Żona i dzieci potentata bawelnianego brutalnie zamordowani.

–Jest pan pierwszą osobą, która ze mną o tym rozmawia. To znaczy, pierwszą osobą, która ze mną o tym rozmawia i nie traktuje mnie jak dziwaka czy inwalidy.

Stanley skręcił w lewo na Old Getwell Road.

–Straciłem młodszego brata w wypadku samochodowym. Umarł na moich oczach, patrząc na mnie. Śmierć już nie ma przede mną tajemnic. Jest częścią życia. Nie mogłem wtedy znieść tego, jak ludzie o tym szeptali, i nie mogę znieść, jak szepcą o tym dzisiaj. Co można na to poradzić? Śmierć to część życia.

Milczeli, kiedy przejeżdżali koło lotniska.

–Czy gliny wiedzą, kto to mógł zrobić? I dlaczego? – odezwał się Stanley.

–O ile wiem, nie. Policja kanadyjska ma przyjechać, żeby się ze mną spotkać dziś po południu.

–Właśnie przeleciała mi przez głowę jedna myśl – powiedział Stanley. Sięgnął do półki przed siedzeniem pasażera i wyjął baton Marsa. Zerwał papier zębami i zaczął pożerać baton z widoczną rozkoszą. – Pomyślałem sobie, że jednego dnia pan Clare ma pożar w fabryce, drugiego dnia jego rodzina zostaje sprzątnięta. To znaczy, czy

nie ma to jakiegoś związku? Weźmy statystyki. Jak często zdarzają się naraz dwie tak straszne rzeczy jednej osobie w ciągu tygodnia?

Randolph wpatrywał się w kark Stanleya. Jasna szczecina i purpurowe plamki, zaprawione kilkoma piegami, złane potem. Jemu także przyszło coś podobnego do głowy, w środku nocy, kiedy się wyplakał i jego umysł ciągle powracał do pożaru, morderstwa i wypadku limuzyny...

–Czy słyszałeś coś, co mogłoby podtrzymać twoje rozważania?

–To jest tylko, jakby to powiedzieć, teoria – odparł Stanley z pełnymi ustami, prowadząc jedną ręką. – Ale słyszałem, jak mówił o tym jeden młody kierownik od Brooksa. Powiedział, że prawdopodobnie stratę najbliższych bardzo pan przeżył i być może zdecyduje pan, że pozostanie niezależnym będzie zbyt wielkim wysiłkiem. Powiedział, że pan być może w ogóle się wycofa, takie jest przekonanie u Brooksa.

–Mogę cię prosić o przysługę, Stanley? – zapytał Randolph. – Trzymaj uszy szeroko otwarte. Gdyby pojawiła się nawet najlżejsza sugestia, że to, co stało się z moją rodziną, może mieć coś wspólnego z Brooksem lub Graceworthym czy inną kompanią z Association, natychmiast mnie powiadom. Postaram się, aby ci się to opłaciło.

–Pozwoli mi pan prowadzić swoją limuzynę?

–Nawet to.

–Dobrze, panie Clare, umowa stoi.

Taksówka przemknęła przez bramę Zamku Clare i po żwirowej drodze dotarła przed podparty kolumnami ganek, gdzie jeden z konserwatorów stojąc na drabinie, malował lampę powozową białą i złotą emalią.

Stanley otworzył drzwi taksówki i Randolph znużony wysiadł. Konserwator zostawił swoje pędzle i w pośpiechu zszedł z drabiny.

–Pan Clare! Nikt nie powiadamiał, że pan przyjedzie!

–W porządku, Michael. Czuję się dobrze. Czy Charles jest w domu?

–Tak, sir. I pani Wallace.

Randolph kiwnął Stanleyowi na pożegnanie i wszedł do domu. Wejściowy hol był chłodny i cienisty, ponieważ spuszczone żaluzje. Wszędzie były wazony z kwiatami – róże, irysy, gladiole – i prawie wszystkie były zaopatrzone w bileciki w czarnej ramce. Ich zapach przytłaczał; słodki zapach współczucia.

Na szczycie marmurowej klatki schodowej pojawiła się pani Wallace. Była gospodynią w Zamku Clare; wdowa w średnim wieku, która kiedyś miała swój własny elegancki dom, zanim jej mąż stracił wszystkie pieniądze na spekulacjach nieruchomościami i utopił się w Missisipi. Była niewielkiego wzrostu, nieładna i ruchliwa. Jej farbowane włosy wiły się jak płatki chryzantemy. Miała zwyczaj kręcić swoimi kolczykami i rozmawiać figlarnie o „ludziach z naszego środowiska”.

Tego ranka jednak zeszła ze schodów przybita. Wzięła dłonie Randolpha między swoje, drżąc ze smutku.

–O panie Clare, pana biedna rodzina! Jestem załamana!

Randolph objął ją ramieniem i trzymał, dopóki nie przestała łkać.

–Długo potrwa, zanim przyzwyczaimy się do tego pustego domu – powiedział –

ale sądzę, że jakoś się nam uda, prawda? Jak pani sądzi?

Jemu również pękało serce, kiedy tak stał w tym domu, który na nowo urządził i umeblował dla Marmie. Wiedział jednak, że jeśli nie będzie silny w obecności tych, którzy od niego zależą, ich życie rozpadnie się na części, tak jak i jego.

–Powiem pani, co może pani dla mnie zrobić, pani Wallace – powiedział. – Proszę opróżnić szafy pani Clare i spakować jej rzeczy do kufrów. Proszę zabrać wszystkie jej kosmetyki, zanim wejdę na górę, wszystkie osobiste drobiazgi. Jutro zrobi pani to samo z pokojami dzieci.

–Och, panie Clare – szlochała pani Wallace, z oczami pociemniałymi od żalu.

Randolph uściskał ją. Była tak krucha jak mały ptaszek.

–Wiem, pani Wallace, wiem. Ale jeśli zrobi to pani dla mnie, zaoszczędzi mi pani wiele niepotrzebnego bólu.

–Tak, panie Clare – wyszeptała.

Randolph wszedł do biblioteki. To było jego sanktuarium, jedyny pokój w domu, który nie zawierał niczego, co przypominałoby mu Marmie i dzieci. Znajdowały się tu tylko rzędy oprawnych w skórę książek, większość historycznych i naukowych, oraz oprawione w ramki dziewiętnastowieczne ryciny plantacji bawełny, ciętych trawników i kwitnących azalii,

Randolph wziął swoją ulubioną fajkę, prezent, który dostał od Marmie dwa lata temu na Gwiazdkę, i uniósł wieczko czerwono-białej porcelanowej kasetki na tytoń. Nabijał fajkę powoli, rytualnie, a potem zapalił. Siedząc w swoim ulubionym skórzanym fotelu, obserwował bezmyślnie wznoszące się i opadające obłoki dymu.

Siedział ciągle z zamkniętymi oczami, rozmyślając o Marmie, kiedy zadzwonił telefon. Pozwolił mu przez chwilę dzwonić, zanim podniósł słuchawkę.

–Pan Clare? Przepraszam, że pana niepokoję. Tu Suzie.

Wyjął fajkę z ust.

–Suzie?

–Pańska pielęgniarka z Kliniki Góry Moria.

–A tak, Suzie. Przepraszam. Obawiam się, że jestem nadal trochę nieobecny. W czym mogę pomóc?

–To raczej ja mogłabym pomóc panu. Słyszałam, jak rozmawiał pan z doktorem Linklaterem, i wiem, że chce pan skontaktować się z doktorem Ambarą.

–Zgadza się. Doktor Linklater poprosił, aby zabrano mu mój przypadek. Dlatego się wypisałem.

–Wiem wszystko. Doktor Ambara był bardzo przybity. Chciał z panem o tym porozmawiać, ale pan już wyjechał.

–Według mnie – powiedział Randolph – doktor Ambara jest jedynym lekarzem w klinice, mającym jakiegokolwiek pojęcie o tym, przez co przechodzą ludzie, którzy stracili najbliższych. Wiem, że jego idea o duchach i duszach jest – no cóż, jak to nazwać – nieortodoksyjna. Bardzo tajemnicza, bardzo wschodnia. Ale sprawił, że poczułem się lepiej. Sprawił, że uwierzyłem, iż Marmie i dzieci nie zniknęły tak po prostu, jakby nigdy ich nie było.

Nagle przeppełnił go żal i poczuł, że ma tak ściśnięte gardło, iż nie jest w stanie

mówić. Wyprostował się i odłożył fajkę, przyciskając mocno dłoń do ust i mając nadzieję, że Suzie zrozumie, dlaczego on milczy.

–Panie Clare – powiedziała po chwili. – Mogę dać panu numer telefonu doktora Ambary do domu. Nie śmie sam dzwonić do pana, poza tym to byłoby nieetyczne. Mieszka w Germantown, a więc niezbyt daleko od pana.

–Dziękuję – udało się Randolphowi odpowiedzieć, kiedy zapisywał numer w notatniku leżącym na biurku jasnoniebieskim atramentem.

–Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego pan szuka – odparła Suzie.

–Ja również mam taką nadzieję – odrzekł Randolph. – Bardzo dziękuję za telefon.

–Pan stracił wszystko – powiedziała po prostu Suzie – żonę, dzieci, całe swoje życie. Nikt tego lepiej nie zrozumie od doktora Ambary.

–A pani? – powiedział Randolph. – Pani rozumie, prawda?

–Trochę – powiedziała i rozłączyła się.

Randolph wziął znowu swoją fajkę, ale nie zapalił jej. Zamiast tego podszedł do okna i patrzył na ogród. Po chwili wszedł Charles i smutny, pełen szacunku stanął w drzwiach. Na ramieniu miał czarną przepaskę, a jego twarz była mokra od łez.

–Dzień dobry, Charles – powiedział Randolph.

–Witamy w domu, panie Clare.

–To niezbyt szczęśliwy czas, Charles.

–Nie, sir. Jest nam wszystkim naprawdę przykro z powodu tego, co się stało. Brakuje nam słów.

–Wiem.

–Czy miałby pan ochotę na skromny lunch, sir? Naprawdę powinien pan coś zjeść.

–Tak, poproszę coś lekkiego – odparł Randolph. – Telefon Suzie sprawił, że poczuł trochę optymizmu, podniósł go na duchu tak, jak wyjaśnienia doktora ary na temat reinkarnacji. Pewna racjonalna część umysłu Randolpha mówiła mu, że wiara doktora Ambary na temat dusz i duchów może być zwykłym nonsensem, a nawet gdyby nie była, to może nie da się jej zastosować w zachodnim świecie. Czy bogowie hinduscy odpowiedzą na modlitwy chrześcijanina? Równie dobrze doktor Ambara mógł być tylko religijnym ekscentrykiem, szkodliwym szarlatanem albo zupełnym fanatykiem. Ale Randolphowi tak brutalnie i niespodzianie wydarło żonę i dzieci, że był w stanie zgodzić się na wszelkie metody, aby tylko się z nimi skontaktować, chociażby po to, by się pożegnać. Doktor Ambara zapewnił go, że dusze wędrują z ciała do nieba, aby się przygotować do powtórnych narodzin. Doktor Ambara powiedział, że można się z nimi skontaktować, a nawet je zobaczyć i rozmawiać z nimi; a ponieważ Randolph nie potrafił się zmusić do wiary, że Marmie i dzieci całkowicie zniknęły, musiał uwierzyć – chciał uwierzyć – doktorowi Ambarze.

Jadł swój lunch na patio przed biblioteką, gdzie ciepła majowa bryza igrała z frędzlami markiz. Trochę pieczonego kurczaka pociętego w cienkie, apetyczne plasterki, trochę zielonej sałaty, szklanka białego wytrawnego wina.

Charles podszedł, by dolać mu wina i powiedział:

–Jeśli będzie czegoś panu potrzeba, panie Clare, proszę tylko zadzwonić.

Randolph uśmiechnął się i powiedział:

–Dziękuję, Charles, doceniam to.

Gdyby Charles był mniej powściągliwy, Randolph chwyciłby go za rękę... ale Charles wierzył w formalizm i zachowywanie właściwego społecznego dystansu, i Randolph wiedział, że w ten sposób tylko by go wprowadził w zakłopotanie.

O drugiej po południu do Zamku Clare przybyło dwóch oficerów policji kanadyjskiej wynajętym fordem granada. Charles poprowadził ich przez ogród. Wyszli na patio, zasłaniając oczy przed słońcem, trzymając niezgrabnie swoje kapelusze i teczki.

–Oficerowie policji, panie Clare, z Quebec – zaanonsował Charles.

Starszy z policjantów wysunął się naprzód i wyciągnął rękę.

–Inspektor Dulac, sir. Powiedziano nam w klinice, że będzie pan tutaj. Dyrektor kliniki wyjaśnił, że sam zdecydował się pan wypisać. To mój współpracownik, sierżant Allinson.

–Proszę usiąść – powiedział Randolph, świadomy, że zabrzmiało to niewyraźnie.

Dwaj policjanci usiedli niewygodnie na pasiastych płóciennych krzesłach, które wskazał im Randolph. Inspektor Dulac był dobrze po pięćdziesiątce, miał siwe, bardzo krótko obcięte włosy i masywną kwadratową twarz, prawdziwy Francuz. Sierżant Allinson miał wąską głowę, faliste ciemne włosy i duży rzymski nos zroszony potem. Obaj mieli szare garnitury, koszule z długimi rękawami i krawaty. Żaden z nich nie był przygotowany na parne lato nad Missisipi.

–Proszę wybaczyć, że przybyliśmy bez wcześniejszego telefonicznego umówienia – powiedział inspektor Dulac z silnym akcentem mieszkańca Quebec. – Spodziewaliśmy się, że będzie pan leżał w szpitalu i wejdziemy tam, kiedy nam pozwolą.

Sierżant Allinson skinął głową, potwierdzając to. Uniósł swoją brązową skórzaną teczkę, położył sobie na kolanach i zaczął w niej grzebać.

–Przede wszystkim moim obowiązkiem jest przekazać panu kondolencje od Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej – powiedział inspektor Dulac. – To, co stało się z pańską żoną i dziećmi, było naprawdę straszne i tragiczne, i pragnę pana zapewnić, że czynimy nadzwyczajne wysiłki, aby złapać przestępców. Mam nadzieję, że rozumie pan bolesną konieczność tej wizyty. Potrzebujemy wszystkich informacji, jakie możemy tylko skać.

–Rozumiem – odparł ochryple Randolph. Potem zauważywszy Charlesa stojącego po drugiej stronie patio, zapytał:

–Czy mają panowie ochotę na coś do picia? Sok owocowy albo lemoniadę? Jest rzeczywiście bardzo gorąco.

–Poprosimy o lemoniadę – powiedział inspektor Dulac. Sierżant Allinson skinął.

–Tak, lemoniadę.

Inspektor Dulac wyciągnął lewą rękę i sierżant Allinson podał mu gruby plik papierów.

–Z doświadczenia – powiedział – przewiduję, że będzie pan chciał dowiedzieć się szczegółowo, jak zmarła pańska rodzina. Jeśli nie, proszę powiedzieć, ale zazwyczaj

proces wyzdrowienia umysłu nie następuje do czasu, gdy wypadek nie jest w pełni zrozumiany.

–Tak – odparł Randolph. Wziął ze stolika okulary słoneczne i założył je.

–To, co chcę na ten temat panu powiedzieć, będzie dla pana bardzo bolesne, ponieważ zbrodnia była brutalna i jakby pozbawiona motywów. Zawsze łatwiej jest pogodzić się z przemocą, kiedy się wie, dlaczego jej użyto; nie była to zbrodnia w afekcie, ani napad rabunkowy. Nie kierowała nimi żądza zemsty. Wydaje się, że było to zabójstwo, którego dokonano bez jakiegoś logicznego powodu. Zmartwię pana, ale nie ma co do tego wątpliwości. Wydaje się pan typem człowieka, który musi wszystko poznać, zanim pogodzi się z takim zmartwieniem. Najwięcej bólu sprawiają pytania, na które nie odpowiedzi.

Podniósł pierwszy arkusz papieru i zaczął przytaczać Randolphowi suche fakty tragedii, jakby czytał swoje zeznanie w sądzie. Randolph słuchał i w miarę tego zaczęło mu się robić coraz zimniej; jakby słońce zgasło, wokoło rozszalał się północny wiatr, a świat zszedł ze swojej osi.

–Rano dziesiątego maja 1984 roku około godziny szóstej dwadzieścia pięć pan Leonard Dolan łowił ryby w swojej łodzi na południowo-wschodnim brzegu jeziora Lac aux Ecorces, kiedy zepsuł mu się silnik w łodzi. Zdecydował się przybić do brzegu i zwrócić się o pomoc do domku myśliwskiego, znanego jako Domek Clare. Zbliżywszy się do niego, zauważył, że wejściowe drzwi zostały wyrwane z zawiasów; podszedłszy bliżej, zobaczył, że salon znajduje się w straszliwym nieładzie, a ściany i podłoga są spryskane krwią. Wszedłszy do salonu, ujrzał dwa martwe ciała członków rodziny Clare: Johna Clare, lat piętnaście, który został zastrzelony strzałem w brzuch najprawdopodobniej z karabinu kalibru dwanaście; Marka Clare, lat jedenaście, któremu odcięto głowę siekierą, jakiej używają drwale; panią Marmie Clare, lat czterdzieści trzy, i jej córkę Melissę Clare, lat trzynaście, które były związane ze sobą linką i powieszono za szyje na sufitowej belce na pętlach zrobionych z drutu kolczastego. Pan Dolan przekonał się, że radiotelefon w domku został celowo zepsuty, a więc z trudem posługując się wiosłami, dotarł do swego rybackiego obozu i zadzwonił na policję. Po zbadaniu miejsca wypadku okazało się, że napastnicy wtargnęli do domku za pomocą tej samej siekiery, której później użyto do zabicia Marka Clare. Sprawcy zabili najpierw jego. Koroner ustalił później, że ich śmierć nastąpiła między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczór dziewiątego maja. Obie kobiety zabrano najpierw do sypialni, gdzie je związane z sobą tak, jak odkrył je pan Dolan, i seksualnie napastowano. Obie zostały kilkakrotnie zgwałcone, a późniejsze badania nasienia napastników wykazały, że gwałtu dokonało czterech różnych mężczyzn. Kobiety powieszono wczesnym rankiem następnego dnia, prawdopodobnie na godzinę przed tym, kiedy odnalazł je pan Dolan. W salonie znaleziono karabin dwudziestkę dwójkę z zaciętym zamkiem, wskazujący, iż rodzina Clare usiłowała się bronić przed napaścią. Odciski palców i ślady butów, jak i włosy, skóra, włókno i próbki nasienia zostały sprawdzone w głównym biurze policji w Ottawie, a wstępne wyniki przesłano do FBI w Waszyngtonie.

Inspektor Dulac opuścił rękę, którą osłaniał oczy przed słońcem. Uważnie

przypatrywał się Randolphowi, jakby ten był jego małym synkiem, który właśnie nauczył się jeździć na rowerze.

–Czy chce pan więcej szczegółów? – spytał. – To i tylko skrót.

–Sądzę, że w tej chwili to wystarczy – odparł Randolph, starając się opanować.

–Czy chce pan zadać jakieś pytania?

Randolph przełknął ślinę i myślał przez chwilę.

–Czy nikt ich nie widział? – spytał. – Tych mężczyzn, którzy to zrobili?

–Nie było świadków. Ślady stóp sugerują, że mężczyźni przybili do brzegu łodzią i niewidoczni z domku dotarli tam pomiędzy drzewami.

–To oczywiście sugeruje, że atak nie był spontaniczny – wtrącił się sierżant Allinson. – Mężczyźni wiedzieli, gdzie jest domek i zbliżyli się do niego z rozmyślnym zamiarem włamania. To nie byli przepływający w pobliżu rybacy, którym przyszło do głowy zaszlachtować pańską rodzinę.

Inspektor Dulac uporządkował swoje papiery i powiedział:

–Powinien pan sporządzić listę wszystkich tych osób, które jak pan przypuszcza, na tyle pana nienawidzą, że mogły się dopuścić takiego aktu.

–Nikt aż tak mnie nie nienawidzi – odparł Randolph pustym głosem. – Nie aż tak.

–Mam policyjne fotografie – powiedział inspektor Dulac. – Może pan je zobaczyć, jeśli pan sobie życzy. Muszę jednak pana ostrzec, że są bardzo drastyczne. Ale i tak zostaną pokazane w sądzie, kiedy sprawcy zostaną postawieni wobec wymiaru sprawiedliwości. Prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli zobaczy je pan teraz niż potem, jeżeli w ogóle chce pan je zobaczyć.

–Dobrze – odparł Randolph.

Sierżant Allinson podał mu brązową kopertę opieczętowaną herbem Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Randolph odczekał chwilę, potem zdjął słoneczne okulary i wyciągnął tuzin kolorowych zdjęć. Nie wiadomo dlaczego spodziewał się, że zdjęcia będą czarno-białe. Być może z powodu wszystkich tych gangsterskich filmów, które oglądał będąc dzieckiem; czarno rozpryskana krew na szarych garniturach, świecące na biało żarówki. Wydawało mu się, że tylko wesołe miasteczko, piękne dziewczyny i ulubione zwierzęta powinny być fotografowane w kolorze. Martwe ciała powinny być monochromatyczne, jak nocne koszmary.

Z ledwością rozpoznał Johna. Cały jego żołądek wyglądał, jakby został zmielony niczym siekany kotlet, a jego twarz była napuchnięta i obrzmiała. Mark wyglądał bardziej normalnie i naturalnie, dopóki Randolph nie zauważył, że to, co dotąd brał za ramiona i pierś Marka, było dwoma poduszkami, i że właśnie patrzy na obciętą głowę Marka. Było to tak szokujące, że prawie aż śmieszne. „Jak to może być mój syn? Jak te obie części mogą być moim synem?” Ale kiedy ujrzał fotografie Marmie i Issy, zaczął szlochać, ponieważ nagle obraz był kompletny; nagle cała pełnia straszliwego odkrycia pana Dolana stała się dla niego jasna; nagle mógł sobie wyobrazić, co naprawdę się tam zdarzyło. Posiniaczone nagie ciała. Podgardla rozerwane przez drut kolczasty. Krew, zmierzwiłone włosy i oczy jak oczy nieupierzonego ptaka, który wypadł z gniazda.

–Czy dobrze się pan czuje, panie Clare? – spytał inspektor Dulac, pochylając się i

zbierając zdjęcia.

Randolph przełknął, otarł oczy i powiedział:

–Uporam się z tym w swoim czasie. Po prostu nie wyobrażałem sobie, jakie to było straszne, to wszystko. Cieszę się, że pan mi to pokazał.

–To nie jest moja normalna polityka – powiedział inspektor Dulac – ale sądziłem, że pan sobie z tym poradzi, i sądzę, że zrozumienie tego wszystkiego jest dla pana ważne.

–Co mogę panu powiedzieć? – spytał Randolph.

–Czy jest coś, co chciałby mi pan powiedzieć?

–Oni nie żyją, prawda? Wszyscy? – odparł Randolph.

Inspektor Dulac wiedział, że to pytanie nie było absurdalne.

Czasami krewnym ofiar morderstwa potrzeba miesięcy, nawet lat, aby pogodzić się z myślą, że ich ukochani nie żyją, a nie tylko zaginęli czy ukryli się.

–Tak, panie Clare, oni nie żyją – powiedział.

–Czy pan, inspektorze, wierzy w reinkarnację?

–Reinkarnację? Nie, proszę pana. Żałuję, ale nie. Muszę być z panem szczerzy. Być może lepiej czulibyśmy się w naszej żałobie, gdybyśmy wierzyli w reinkarnację, gdybyśmy mieli jakiś niepodważalny dowód, że śmierć nie jest prawdziwym końcem. Ale, niestety, nikt nie może nam powiedzieć, że to prawda.

Randolph siedział w milczeniu, z pochyloną głową, przez prawie minutę. Inspektor Dulac nie usiłował zakłócać jego myśli. W pewnym momencie jednakże Randolph uniósł głowę i powiedział:

–Złapiecie ich, jak pan sądzi, tych mężczyzn, którzy to zrobili?

–Tak sądzę, po jakimś czasie – odparł inspektor.

–A jak zostaną ukarani?

–Nie w taki sposób, jakby prawdopodobnie pan chciał. Nie ma kary śmierci w Quebec. Ale zgodnie z prawem, będą ukarani bardzo surowo.

Randolph wstał, spojrzał na ogród, obejmując się ramionami, jakby było mu zimno.

Marmie podobałby się taki dzień jak dziś – powiedział, jakby mówił do siebie. – Maj, Karnawał Bawelniany, Muzyczny Festiwal Uliczny, zawody w przyrządzaniu barbecue. Kochała to wszystko. A szczególnie ogród.

Odwrócił się twarzą do inspektora Dulaca i powiedział bez ogródek:

–Chyba nie przyjechał pan tutaj, ponieważ pan sądzi, że miałem coś wspólnego z zabiciem jej, prawda?

Inspektor Dulac uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Nie, panie Clare. Bardzo często mąż jest pierwszym podejrzanym, oczywiście, w przypadkach zabójstw rodzinnych. Ale tylko dlatego, że statystyki zbrodni mówią nam, że siedemdziesiąt pięć procent zabójstw zostaje popełniona przez ludzi znanych ofiarom, a z tych siedemdziesięciu pięciu procent prawie osiemdziesiąt procent popełniają współmałżonkowie, kochankowie lub bliscy krewni. Mam obowiązek przesłuchać pana nie dlatego, żebym choćby przez moment sądził, że to pan zabił swoją rodzinę, ale ponieważ statystyki mówią, iż pan bardziej niż

ktokolwiek inny mógł to zrobić.

–Pewnie – powiedział Randolph. – Pewnie.

–Musimy mieć zeznanie – wtrącił się sierżant Allinson. – Jeśli zechciałby nam pan je złożyć. Po prostu opis tego, co zdarzyło się, kiedy pan wyjechał na wakacje; jak pan wyjechał i dlaczego.

–Oczywiście – zgodził się Randolph. Potarł czoło, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Prawie ją widział, Marmie, jak idzie do niego przez osłoneczone trawniki, ma na głowie swój letni kapelusz z szerokim rondem, ten, który zawsze zakładała, kiedy pracowała w ogrodzie, i niesie koszyk wypełniony błękitnym tatarakiem, kwiatem stanu Tennessee. Prawie słyszał jej głos przyzywający go. Ale jej głos był niezupełnie słyszalny, ponieważ niebo rozdarł huk lądującego boeinga 727 na międzynarodowym lotnisku w Memphis i obraz uleciał.

–To nie potrwa długo, panie Clare. Możemy to zrobić w środku, jeśli pan chce – powiedział inspektor Dulac.

–Jest panom tu za gorąco? – spytał Randolph. – Przepraszam. Powinienem się domyślić.

Wchodzili do domu, kiedy pojawił się Charles i powiedział:

–Jest telefon do pana, panie Clare. Rozmówca mówi, że to pilne.

–Nie wiesz, kto to może być? – Powiedział, że Stanley. Twierdzi, że pan wie, jaki Stanley.

–Przepraszam na chwilę – zwrócił się Randolph do inspektora Dulaca, wszedł do biblioteki i podniósł słuchawkę.

–Pan Clare? – spytał Stanley.

–Zgadza się. Dowiedział się pan czegoś? Jest tu kanadyjska policja.

–Proszę posłuchać, proszę nie mieszać w to policji, jeszcze nie. Coś się dzieje, ale jak dotąd nie wiem dokładnie, co. Nie podsłuchałem tego od bawełnianych kierowników, nic z tych rzeczy. Mam wieści wprost z rynsztoka, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć. Jest ktoś, kto chciałby pogadać z panem o pana rodzinie, ale jest nieśmiały i nerwowy, i chce widzieć pana osobiście, a także omówić sprawę wynagrodzenia.

–Kto to?

–Prosił, żebym nie mówił, ale nazywa się Jimmy Żeberko. Może pan przyjechać do śródmieścia i spotkać się z nim? Powiedzmy, o dziewiątej w Walker Rooms na Beale Street?

–Stanley – nalegał Randolph, zanim ten mógł podłożyć słuchawkę. – Czy on wie, kto to zrobił?

–Nie powiedział tego, nie wprost. Ale sądzę, że tak.

–Dobrze – odparł Randolph. – Zobaczymy się później, o dziewiątej.

–Niech pan weźmie zwykłą taksówkę – zasugerował Stanley. – Chyba nie chce pan zrobić cyrku, pokazując się w limuzynie. I jak sądzę lepiej, jeśli zbyt wielu ludzi nie będzie oglądało za często Randolpha Clare w taksówce Stanleya Vergo.

–Jakich ludzi? – dopytywał się Randolph. – Co się tutaj dzieje?

–Muszę lecieć – odparł Stanley i odłożył słuchawkę. Randolph powoli odwiesił

telefon i ujrzał inspektora Dulaca oraz sierżanta AUinsona czekających na niego w wyłożonym ciemną boazerią holu.

–Czekamy na pana, panie Clare – powiedział inspektor Dulac.

Rozdział VI

Po wyjściu policjantów o wpół do czwartej po południu, Randolph wrócił do biblioteki ze szklaneczką schłodzonego Chablis, aby napisać kilka osobistych listów. Jednakże większość czasu spędził, trzymając swoje pióro dwa cale nad papierem, patrząc w okno i myśląc o Marmie i dzieciach. „Droga Sophie...” – zaczął pierwszy list i usiłował wymyślić jakiś smutny i elegancki sposób, w jaki mógłby wyrazić swoją żalobę z powodu śmierci rodziny. Ale widział tylko te nabrzmiałe okaleczone oczy, te pokrwawione i rozdarte gardła, te ramiona, ciasno związane sznurem.

O godzinie piątej przyjechał Neil Sleaman, zostawił swoją nową białą korwetę zaparkowaną pod pergolą przed garażem. Usiadł śmiało, zakładając nogę na nogę, w zielonym skórzanym fotelu po drugiej stronie pokoju i zdał Randolphowi szczegółowy raport o pilnych pracach naprawczych w Raleigh i o stanie produkcji. Potem z bezpośredniością, praktykowaną przez niego w wyraźny sposób przez całe popołudnie, powiedział:

–Zabije mnie pan za to, że mówię o tym panu w tym szczególnym momencie, panie Clare. Być może za bardzo napieram, ale życie musi iść dalej.

Szklanka Randolpha była pusta, a jego fajka właśnie się wypaliła. Zerknął na Neila i powiedział:

–Co masz na myśli, mówiąc, że życie musi iść dalej?

–No cóż, sir, nie da się ukryć, że jeśli nie uzyskamy wsparcia od Association, nie będziemy w stanie wywiązać się z dostaw dla Sun-Taste.

–Ile będzie brakowało?

–Dwadzieścia dwa procent pod koniec tygodnia, panie Clare. Być może dojdzie nawet do trzydziestu trzech, jeśli Raleigh nie powróci do pracy. Nie mamy żadnych możliwości, by podwyższyć produkcję, nawet gdybyśmy pracowali na trzy zmiany.

–Co więc proponujesz?

–Wiem, że przyłączenie się do Association było dla pana zawsze przekleństwem...

–Masz cholerną rację – przerwał Randolph.

–Ale, panie Clare, naprawdę nie ma innego wyjścia. Jeśli stracimy Sun-Taste, nie będziemy mogli podtrzymać naszego programu inwestycyjnego, a co za tym idzie, będziemy musieli zacząć zamykać nasze fabryki.

–Neil – powiedział Randolph – to przedsiębiorstwo opiera się na filozofii niezależnej i wolnej konkurencji i tak długo, jak będę nim kierował, nic się nie zmieni w tym względzie.

–Przepraszam, panie Clare, ale w tym momencie uważam, że filozofia niezależnej i wolnej konkurencji – przynajmniej w wypadku Clare Cottonseed – oznacza bankructwo. I tak się stanie, jeśli nie uznamy faktu, że czasy się zmieniły i jesteśmy częścią wzajemnie powiązanej maszyny.

–Silni pomagają słabym, prawda? – spytał Randolph, cytując z sarkazmem słowa Waverleya Graceworthy’ego.

–No cóż, chyba tak – zgodził się Neil, nie bacząc na gorycz w głosie Randolpha. – Wspólnota interesów dla dobra każdego partycypującego członka...

–Neil, twoje słowa brzmią jak poobiednia przemowa w Izbie Handlowej Memphis.

–Ale walka o niezależność nie ma żadnej przyszłości, panie Clare – protestował Neil, pochylając się do przodu w swoim fotelu. – A po tym wszystkim, co się stało – pańska rodzina, pożar w Raleigh...

Randolph zerwał się na nogi z taką gwałtownością, że przewrócił swój fotel. Czuł narastającą furię, tak gorącą i spontaniczną, że prawie go oślepiła. Był wściekły nie tylko na Neila. Był wściekły na wszystko i wszystkich. Ogarniał go szal, gdy myślał o zabójstwie Marmie i dzieci, o pożarze fabryki, który zmusił go do opuszczenia rodziny i zniszczył lata wytrwałej i cierpliwej pracy. Wściekał się na Orbusa Greene'a i Waverleya Graceworthy'ego, na upał, na wino, które uderzyło mu do głowy, i na cały ten cholerny świat, na którym nagle znalazł się zupełnie sam. Na Boga.

–Czy choć przez chwilę pomyślałeś, że strata rodziny i strata najważniejszego kontraktu, jaki mieliśmy od siedemnastu lat, spowoduje cokolwiek innego – powtarzam: cokolwiek innego – niż tylko większą determinację?! – krzyknął.

Neil zapadł się w swoim fotelu i spuścił wzrok na podłogę.

–Przepraszam, panie Clare. Powinienem wiedzieć, że nie jest pan jeszcze gotów do rozmów na ten temat.

Randolph podniósł fotel.

–Posłuchaj, Neil. Nie jestem gotów dziś i nie będę gotów jutro, i pojutrze też nie będę gotów, nigdy. To przedsiębiorstwo zostanie niezależne i tyle na ten temat.

Neil milczał, bawiąc się bezmyślnie okładką notesu, który trzymał na kolanach.

–Po prostu w ogóle nie będę na ten temat rozmawiał: – krzyczał Randolph.

–A co będzie, jeśli także w innych fabrykach wybuchnie pożar? Fabryka Franka C. Pidgeona? Fabryka Harbora? Co wtedy?

Randolph powoli usiadł z powrotem w fotelu. Słońce zaczynało chylić się na zachód w kierunku miasta i kreśliło połyskujące wzory na liściach tulipanowca. Dziwna pora dnia, pomyślał, łagodna i żalosna. Ostro spojrzął na Neila, czując wobec niego dziwne podejrzenie, a nawet jakby przerażenie.

–Musisz wyrażać się jaśniej – powiedział.

–Jak można powiedzieć to jaśniej? – spytał Neil. – . Od kiedy podciął pan ceny Association, stało się jasne, że będą chcieli wyrzucić pana z interesu. Sam to panu mówiłem, kiedy przejął mnie pan z Chicasaw. Powiedział pan wtedy tylko: „Każdy ma prawo zarobić dolara”. To samo zwykł mówić pański ojciec. Mam dla pana nowinę, panie Clare. Przemysł przetwórczy zmienił się od czasu, gdy siedział w nim pański ojciec. Nie ma po prostu dość dolarów wokoło.

–Dziękuję ci, Neil, ale nie musisz udzielać mi lekcji ze współczesnych warunków handlu. Kiedy prosiłem, abys wyrażał się jaśniej, pytałem, czy uważasz, że Association rzeczywiście stała za tym pożarem w Raleigh.

–Wydawał się pan być przekonany co do tego po rozmowie z Orbusem Greene'em przed fabryką.

–Być przekonanym to nie to samo co mieć prawny dowód, Neil. Poza tym Orbus Greene zawsze mnie prowokuje.

–No cóż, nie mam żadnego dowodu, panie Clare, i niekoniecznie Orbus Greene podpalił fabrykę lub miał z tym coś wspólnego. Prawie wszyscy z pomniejszych

przetwórców czują się pokrzywdzeni z powodu taktyki, jakiej pan używa; podcinanie ich cen, polowanie na ich personel. Każda uncja nasion bawełny, którą przetwarzamy po niższych cenach, oznacza jedną uncję mniej w Chicasaw Cotton, De Witt Mills czy Mississippi Natural Fibres, czy którejs z tych średnich i mniejszych fabryk.

–To nadal nie usprawiedliwia podpalenia.

–Nie, sir. Ale je tłumaczy.

Randolph milczał przez chwilę.

–Nie usprawiedliwia również morderstwa.

–Sir? – spytał Neil, marszcząc brwi.

–Dlaczego jesteś taki zdziwiony? – zapytał Randolph. Czuł się teraz, jakby płynął po niebezpiecznych wodach, wartkich prądach, ale wskoczył i nie miał wyboru, jak tylko kontynuować.

–Jeśli któreś z tych średnich i małych przedsiębiorstw czuło się wystarczająco pokrzywdzone, aby podłożyć ogień w moich magazynach w Raleigh i poświęcić życie trzech pracowników, być może uznało, że najbardziej efektywnym sposobem ostrzeżenia mnie będzie morderstwo? Zamordować moją rodzinę, podczas gdy ja będę zajęty usuwaniem skutków pożaru. To znaczy, czy ta myśl kiedyś przyszła ci do głowy, Neil? Że pożar nie miał na celu przeszkodzić naszej produkcji oleju, ale zmusić mnie do wyjazdu, abym zostawił rodzinę samą w małym domku w odległym zakątku lasów Laurentide? Być może to był główny cel pożaru w Raleigh: zmusić do powrotu do Memphis.

–Panie Clare, sądzę, że wiele pan wycierpiał – powiedział Neil łagodnym, cichym głosem. – Może skończymy tę dyskusję jutro.

–No cóż, Neil, może to nie jest zły pomysł – powiedział Randolph. – Właściwie to muszę spotkać się z moim przyjacielem taksówkarzem dziś wieczór. Dzwonił mnie wcześniej i powiedział, że ma dla mnie interesującą informację na temat mężczyzn, którzy zabili Marmie i dzieci.

Neil przechylił głowę na jedną stronę, jakby ta wiadomość go nie zainteresowała.

–Powinien pan być ostrożny z ludźmi tego rodzaju, panie Clare – poradził poważnie. – Poza tym, co ten taksówkarz może wiedzieć o zabójstwie, które zdarzyło się aż w Quebec?

–Tego zamierzam się właśnie dowiedzieć – powiedział Randolph. – Napijesz się wina?

–Nie, dziękuję – odparł Neil. – Muszę mieć dziś wieczorem jasny umysł. Dokonujemy destylacji.

–Przepraszam, nie jestem teraz zbyt przydatny, ale w poniedziałek wrócę do mojego biurka – odrzekł Randolph.

–I tak byłby pan na wakacjach – przypomniał mu Neil. – Wszystkie zarządzenia, które przygotował pan na trzy tygodnie, pozostają w mocy.

–Neil – zaczął Randolph, ale potem kiwnął ręką, jakby zmazywał imię Neila z tablicy.

–Wiem, że to wszystko jest dla pana niełatwe – powiedział Neil. – Chciałbym jednak, aby zajął się pan tym, jak poradzimy sobie z kryzysem dostawczym dla Sun-

Taste.

Randolph znowu usiadł.

–Oczywiście możemy schować swoją dumę do kieszeni i przyłączyć się do

Association.

–Naprawdę tak pan sądzi? – spytał Neil, nie dowierzając własnym uszom.

–Oczywiście – odparł Randolph. – Duma nigdy wiele nie znaczyła w tej kompanii, prawda? Duma z produkcji, duma z wydajności, duma z wolności i niezależności.

–Panie Clare... – zaczął Neil.

–Nic, panie Clare – przerwał Randolph. – Wysłuchałem twojej rady, aby przyłączyć się do Association, ponieważ twoja praca polega na udzielaniu rad. Ale chciałbym ci uświadomić na sto jeden procent tu i teraz, że Clare Cottonseed nigdy nie przyłączy się do Association, chyba że po moim trupie. Nie po trupie mojej rodziny, ani moich kierowników, ani pracowników. Ale po moim.

Neil zamknął notatnik i włożył swoje złote pióro Gucciego do kieszeni.

Późnopołudniowe słońce przeświecało przez okna biblioteki, prawie go oślepiając i powodując łzawienie oczu. Wyglądał jak młode zwierzę jaskiniowe, które po raz pierwszy wydostało się na światło dzienne.

–Tak, sir – odparł. – Rozumiem.

Randolph przez długi czas po jego wyjściu siedział zamyślony. Wiedział, że Neil miał praktycznie rację i że im szybciej dojdzie do umowy z Association, tym większe są szanse na finansowe przeżycie. Ale jak on mógłby przełknąć perspektywę współpracy i obcowania z Orbusem Greene’em, Waverleyem Graceworthym i wszystkimi tymi pomniejszych przetwórcami, którzy dawno temu poświęcili swoją dumę i niezależność na rzecz bezustannie dymiących kominów?

Z drugiej strony, czy jego osobista duma jest więcej warta niż dobrobyt Memphis i plantacji bawełny, które dostarczają mu nasiona?

W zamyśleniu gryzł wargę. Potem nacisnął guzik w swoim telefonie i połączył się z Wandą w śródmieściu.

–Wanda? Tu Randolph Clare.

–O, pan Clare, jak się pan czuje? Czy był u pana pan Sleaman?

–Tak. Właśnie wyszedł. Posłuchaj, Wanda, powinienem wrócić do biura w poniedziałek. Ale czy mogłabyś teraz połączyć mnie z Orbusem Greene’em z Brooksa?

–Tak, sir, bez problemu. Może pan pozostać przy telefonie?

Kiedy Randolph czekał na połączenie, wszedł Charles, aby zobaczyć, czy czegoś mu nie trzeba. Randolph dał znać, że chce jeszcze jeden kieliszek wina.

–Czy Herbert już wrócił? – spytał.

–Tak, sir.

–Powiedz mu, żeby zadzwonił po taksówkę dla mnie. Ma być tu o ósmej czterdzieści pięć.

–Tak, sir.

Kiedy Orbus Greene podszedł do telefonu – w tle rozlegało się mnóstwo hałasów, rozmowy, syreny, stukanie na maszynie – po czym Randolph poznał, że

Orbus użył swojego wzmacniacza na biurku. Orbus uważał trzymanie słuchawki za zbyt męczące.

–Randolph – wysapał Orbus. – Słyszałem o twojej tragedii. Chciałbym ci powiedzieć, że my wszyscy tu w Brooks jesteśmy bardzo przybici. Marmie była wspaniałą kobietą.

–Dziękuję – odparł Randolph, starając się, aby to nie zabrzmiało niegrzecznie. – To był prawdziwy wstrząs.

–Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

–No cóż, chciałbym omówić pewne sprawy dotyczące interesu.

–Jestem otwarty na propozycje – odparł Orbus.

–Myślę – powiedział ostrożnie Randolph – że prawdopodobnie wiesz równie dobrze jak ja, iż wtorkowy pożar w Raleigh poważnie zmniejszył naszą wydajność.

Orbus przełknął ślinę.

–Oczywiście, domyślałem się tego. Ocenia się, że prawdopodobnie twoja produkcja spadła trzykrotnie.

–No cóż, Orbus, możliwe, że będzie nawet gorzej.

–Przypuszczam – powiedział Orbus – że nie zmieniłeś swych poglądów na sprawę przyłączenia się do naszej małej grupki wybrańców w Cottonseed Association.

–Przyłączyć się do was? Nie.

Randolph obserwował, jak Charles nalewa mu kolejny kieliszek wina.

–Obawiam się, że nie ma żadnej szansy na to, Orbus. Ale chcę uczynić konkretną propozycję. Jeśli Association pomoże mi przejść ten czasowy kryzys, nie będę was przelicytowywał, kiedy przyjdzie do odnowienia kontraktu z Western Cattle we wrześniu, i zakupię w odpowiedniej ilości nie przetworzony olej od członków Association, aby zrekompensować inne kontrakty.

Orbus chrząknął.

–Byłem ciekaw, kiedy nadejdzie ten dzień, gdy będziesz musiał zwrócić się do Association i błagać o pomoc.

–Proponuję umowę, a nie błagam, Orbus.

–Twój ojciec miał przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby zdawać sobie sprawę, kiedy dostał po tyłku.

–Posłuchaj, Orbus, jesteś zainteresowany tą umową, czy nie?

Orbus zrozumiał, że za mocno naciska Randolpha.

–Muszę porozmawiać najpierw z Waverleyem, jak i z pozostałymi członkami.

–Oddzwoń do mnie w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

–Czy jesteś świadomy tego, że nie masz w ręku żadnych atutów? Sun-Taste już dzwoniło do nas o możliwe wsparcie, jeśli ty nawalisz z dostawami.

–Posiadam jeszcze, Orbus, prawny kontrakt z Sun-Taste, w myśl którego mam siedem dni, aby uzupełnić spadek produkcji. Jeśli nie wiesz o tym, twoja; wywiadowcza nie jest tak dobra, jak sądziłem.

–Mój drogi Randolphie, posiadam kopię twojego kontraktu w swoich archiwach.

–Sięgnij zatem do niego i przeczytaj, gdyż obiecuję ci, że jeśli Association nie będzie zainteresowana, by mi pomóc, zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy,

aby pewnego dnia rozwalić ją na kawałki. Masz ochotę porozmawiać o prawach antytrystu? Ustalaniu cen? O praniu obligacji, przymusie i oszustwach ubezpieczeniowych?

–Mocne słowa, Randy, jak na człowieka powalonego niedawno przez taką tragedię – powiedział z przekąsem Orbus.

–No cóż, Orbus, i tak do mnie wrócisz. Nie chciałbym, aby jedna tragedia zrodziła następną.

–Jesteś trudnym człowiekiem, Randy. Wkrótce się do ciebie odezwę.

Randolph wyłączył telefon. Ciężko oddychał. Nie powinien dzwonić do Orbusa po wypiciu tyłu kieliszków wina. Orbus zawsze wywoływał w nim najgorsze: zawziętość, porywczosć i wściekłość. Poza tym uświadomił obie, że jeśli Association miała coś wspólnego z pożarem w Raleigh i, nie daj Boże, morderstwem Marmie, rzucanie bezpośredniego wyzwania Orbusowi może nie być najrozsądniejszą rzeczą.

Herbert zastukał do drzwi biblioteki i wszedł do środka.

–Panie Clare? Zamawiał pan taksówkę na dziś wieczór? Nie musiał pan tego robić, ponieważ limuzyna jest z powrotem.

–Nie, nie, chcę wziąć taksówkę. Mam interes w śródmieściu i wolę się tam pojawić nie zauważony.

–Jak pan sobie życzy, panie Clare. Czy chce pan, i jechał z panem?

Randolph pokręcił głową.

–Nie – powiedział. – Muszę to, załatwić sam.

Rozdział VII

Stanley Vergo jechał na zachód Pontotoc Avenue w kierunku Front Street w śródmieściu, kiedy jego taksówkę przed kościołem Boga w Chrystusie zatrzymało dwóch mężczyzn w garniturach marki Sun Suit.

Było parno i duszno. Stanley próbował trzymać się niedaleko Beale Street, aby móc spotkać się z Randolphem Clare o dziewiątej wieczór. To prawdopodobnie ostatni kurs, zanim będzie musiał skierować się w pobliże Walker Rooms, lub może przedostatni, w zależności od tego, jak daleko ci dwaj w garniturach zamierzają się udać.

Stanley podjechał do krawężnika i nachylił się ku okienku nad siedzeniem pasażera.

–Dokąd, panowie?

–Czy pan Stanley Vergo? – spytał jeden z mężczyzn.

–Zgadza się – odparł Stanley, a potem dodał: – A o co chodzi?

Nagle jeden z mężczyzn otworzył gwałtownie tylne drzwiczki taksówki i rzucił się na tylne siedzenie zaraz za Stanleyem. Mężczyzna miał dużą, bladą twarz i śmierdział wazeliną. Jego oczy były dwoma maleńkimi czarnymi punkcikami, z rzęsami tak jasnymi jak u świni.

–O co chodzi? – pytał Stanley. – Mam prawo odmówić kursu, jeśli ktoś stroi sobie żarty.

–Nie masz żadnego prawa, jak tylko zamknąć gębę i jechać, gdzie ci każę – powiedział mężczyzna o dużej twarzy.

Drugi mężczyzna wsiadł do taksówki obok swojego kolegi i zatrasnął drzwiczki. Z grubymi ciemnymi wargami i płaskim nosem wyglądał na Włocha.

–Lepiej rób to, co ci radzi mój kolega – zauważył prawie ze słodyczą w głosie.

–Nigdzie was nie zawiozę – odparł Stanley. Podniósł swój radiotelefon i zaczął wzywać: – Wiktor jeden, Wiktor jeden.

Drugi mężczyzna wyciągnął rękę i Stanley poczuł ostry, zimny dotyk na swoich kłykciach. Upuścił mikrofon i spojrzał w dół na swoją rękę, ociekającą krwią, a potem z lękiem na Włocha.

–Następnym razem, gdy spróbujesz czegoś podobnego, stracisz całą rękę – poinformował go mężczyzna. – A teraz może przestaniemy się awanturować i pojedziemy?

–President's Island – poinstruował pierwszy. – Skręć w Carley Causeway na wysokości Jetty Street.

–Miałem się z kimś spotkać – powiedział Stanley. – Kiedy się nie pokażę, zaczną się o mnie martwić.

–Wspaniały pomysł – powiedział mężczyzna o dużej twarzy.

Stanley wrzucił pierwszy bieg i włączył się w wieczorny piątkowy ruch uliczny. Był spocony jak koń, a wierzch jego prawej dłoni, który przeciął mu Włoch, piekł niemiłosiernie. Krew ściekała mu po łokciu, schnąc wolno i ściągając mu skórę.

Skierował się na wschód do Main Street, oddalając i się od centrum Memphis, potem E. H. Crump Boulevard na President's Island. Miasto było jasne, hałaśliwe i

normalne. Restauracje były otwarte, chodniki zatłoczone kupującymi i oglądającymi. Wszędzie panował zgiełk samochodowych klaksonów. Przedzierał się z zatłoczoną ulicę, zastanawiając się, czy będzie kiedykolwiek okazję zjeść jeszcze pizzę pepperoni, której zapach właśnie go doszedł. Westchnął i otarł pot z czoła.

–O co wam chodzi? – zapytał zduszonym głosem.

Mężczyzna o dużej twarzy gapił się w okno.

–Nie wiesz, o co chodzi? Nikt ci nie powiedział?

–A co miałby mi powiedzieć? Ja nic nie zrobiłem.

–No cóż, my nie wiemy, co zrobiłeś. Powiedziano nam tylko: Znajdźcie taksówkarza Stanleya Vergo.

–A co potem? – spytał Stanley, zerkając na odbicie mężczyzny w lusterku wstecznym.

–Co masz na myśli, mówiąc: „co potem”?

–Dokładnie to, co powiedziałem: co potem? Zamierzacie mnie zabić czy co?

Mężczyzna spojrzał na swojego towarzysza, jakby był całkowicie zbity z tropu.

–O czym on mówi? – spytał.

–Mnie się nie pytaj – odparł ten o wyglądzie Włocha. – Nie wiem, o czym on mówi.

–Co zamierzacie ze mną zrobić? Zabrać mnie gdzieś i zabić? – spytał Stanley bliski hysterii.

–Czy mówiliśmy coś o zabijaniu? – spytał mężczyzna. Nachylił się do przodu, blisko lewego ucha Stanleya i powiedział:

–Nikt nic nie mówił o zabijaniu, pojmujesz. Chcemy tylko, żebyś podwiózł nas na Presidenfs Island, ulicą Jack Carley Causway aż do Jetty Street.

Stanley skręcił w lewo w Main, czekał przez chwilę, aż stadko zakonnic przejdzie przez ulicę, po czym wolno ruszył w kierunku E. H. Crump Boulevard, rozglądając się nerwowo na boki i co kilka sekund na nieprzejezdane twarze, które widział w lusterku. Za nim jechała czarna rodzina w dużym fordzie, na najbliższych światłach stanęli obok, kobieta opuściła okno i spytała:

–Szukamy Central Station.

Stanley odwrócił się.

–Co mam im powiedzieć? – spytał.

–Powiedz, jak się tam dostać, ty głupku – rozkazał mężczyzna o dużej twarzy.

Ale światła zmieniły się na zielone i Stanley ruszywszy z piskiem opon, zostawił w tyle czarną rodzinę gapiącą się w zadziwieniu.

–Co do diabła w ciebie wstąpiło? Prowadzisz jak małpa! – krzyknął mężczyzna o dużej twarzy.

–A czego się spodziewacie, na miłość boską? Jestem przerażony – odparował Stanley.

–Zabiję cię na miejscu, jeśli nie będziesz robił tego, co ci się każe – postraszył mężczyzna. – Chcesz się przekonać?

–Puśćcie mnie? – przemawiał Stanley. – Nigdy niczego nie zrobiłem. Przez cały dzień tylko prowadzę taksówkę, przyrzekam na Boga.

–Przepraszam, przyjacielu, to od nas nie zależy – powiedział mężczyzna o

wyglądzie Włocha. – Kazano nam znaleźć taksówkarza Stanleya Vergo. To samo nazwisko, co Vergo Pieczone Żeberka, tyle nam powiedziano.

–Matko święta – modlił się Stanley, ale nadal jechał na południe, aż przejechali przez ciemny przesmyk łądu między Missisipi i jeziorem McKellar, ponad którym grobla Jacka Carleya poprowadziła ich i na President's Island, aż do przemysłowego portu Memphis.

Błyskające neony śródmieścia Memphis były teraz za nimi, drgając lekko w pięćdziesięciostopniowym upale wieczora. Przed nimi kołysały się i pobłyskiwały w szerokim zakolu rzeki przypadkowe światła – sygnały nawigacyjne barek z bawełną, olejem i produktami chemicznymi. Jechali wzdłuż grobli, podskakując na wybojach. Na lewo, po drugiej stronie jeziora McKellar rozbłyskiwały w ciemnościach światła reflektorów fabryki T. H. Allena, jasne, nieczułe i odległe.

Po chwili pierwszy mężczyzna odezwał się:

–Skręć tutaj – i Stanley zjechał z grobli na dziki, płaski obszar popiołu i żuźla, na wpół zarośnięty przez dziwnie żywotną zieloną trawę. W świetle reflektorów Stanley ujrzał ciemną limuzynę zaparkowaną dwadzieścia metrów dalej i pięciu czy sześciu mężczyzn o niesamowicie białych twarzach, stojących nie opodal. Jeden z pasażerów rozkazał:

–Zgaś światła. Teraz zatrzymaj się.

I Stanley posłusznie wykonał polecenie.

–Dobra – powiedział mężczyzna z dużą twarzą. – Wsiadamy wszyscy z taksówki, tylko pamiętaj, powoli i spokojnie, i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Zrozumiałeś?

Stanley zadrżał i skinął głową. Wyłączył silnik. Ukrył w dłoni kluczyki, po czym otworzył drzwiczki i wysiadł. Stał obok taksówki, czując się osamotniony i nieszczęśliwy, podczas gdy pasażerowie stanęli po jego obu stronach, nie za blisko, ale wyraźnie gotowi go powstrzymać, gdyby próbował coś zrobić.

–Chce mi się siku – powiedział Stanley. – Byłem za kółkiem przez całe popołudnie i właśnie miałem iść do klopa, kiedy mnie zatrzymaliście.

–Zamkniesz wreszcie tę gębę? – fuknął zdenerwowany mężczyzna o dużej twarzy.

–Na miłość boską, boję się – wymruczał Stanley. Rozległo się skrzypienie żuźla i za chwilę jeden z ludzi o białych twarzach, stojących przy limuzynie, zbliżył się do nich poprzez ciemność. Zarówno on, jak i pozostali mieli hokejowe maski na twarzach, czarne dresy, a dwóch z nich trzymało karabiny z obciętymi lufami.

–To nie jest zabawne – wyjąkał Stanley. – Powiecie mi wreszcie, co się tutaj dzieje?

Zamaskowany mężczyzna nie odezwał się. Gdzieś na Missisipi ponuro wyla jakaś barka, a w pobliżu ptaki podskakiwały w trawie, jakby to wycie zakłóciło ich sen. Wtedy z ciemności wynurzyło się jeszcze dwóch mężczyzn; jeden z nich niewielki i delikatny, o siwych włosach i w okularach; drugi krępy z ciężkimi stalowoszarymi wąsami, trzema tłustymi fałdami źle ogolonego podbródka, ubrany w coś w rodzaju koszuli khaki z krótkimi rękawami, używanej przez strażników leśnych oficerów policji. Pierwszy odezwał się mały mężczyzna z siwymi włosami.

–Czy ty jesteś Stanley Vergo? – spytał. Miał precyzyjny, wykwintny i bardzo południowy akcent.

–Chcę wiedzieć, o co tutaj chodzi, zanim zacznę odpowiadać na pytania – odparł Stanley, usiłując wyglądać na pewnego siebie i wyzywającego.

–Czy ty jesteś Stanley Vergo? – powtórzył mały człowieczek, jakby nie usłyszał Stanleya.

–A jeśli tak, to co?

–No cóż, jeśli nim nie jesteś, ci dwaj dżentelmeni nie staną zapłaty za przyprowadzenie cię tutaj. Właściwie zostaną ukarani. A jeśli ja ich ukarzę... no cóż, możesz sobie wyobrazić, co zrobią z tobą.

–A więc nic to nie zmienia, czy jestem Stanleyem Vergo czy też nie.

–Ale ty jesteś Stanleyem Vergo, prawda?

–Jeśli pan wie, to dlaczego pan pyta?

–Przypuszczam, że to pozwoli przełamać pierwsze lody. – Uśmiechnął się mały człowieczek. Zatarł dłonie, jakby szykował się na ucztę smakoszy. – Poza tym lubię mieć pewność. To byłaby strata czasu, gdybym zadał ci wiele skomplikowanych pytań, a ty nie potrafiłbyś na nie odpowiedzieć, bo jesteś kimś innym.

–Jakich pytań?

–No cóż, różnego rodzaju. Jednak głównie dotyczących twojej pracy. Jak przypuszczam można ją nazwać pracą wywiadowczą.

–Nie wykonuję takiej pracy. Prowadzę tylko taksówkę.

–Och, daj spokój – uśmiechnął się mały człowieczek. – Nie jesteśmy wszyscy tak głupi, jak może się wydaje. Wykonujesz pewną pracę wywiadowczą za pieniądze, dla pana Randolpha Clare.

–Nie wiem, o czym pan mówi. Ma pan na myśli pana Clare z Clare Cottonseed? Handy Randy?

–Tak, właśnie jego. Zapłacił ci, abyś miał uszy szeroko otwarte, prawda? Chciał się dowiedzieć wszystkiego na temat pożaru w Raleigh, mam rację?

Stanley nie odezwał się. Rozejrzał się wokoło po mężczyznach w maskach. Spojrzał na mocno zbudowanego mężczyznę ze stalowoszarym wąsem, na Włocha z płaskim nosem i na człowieka o dużej twarzy.

–Poznajesz mnie, Stanley? – spytał mężczyzna z wąsem. – Wiesz, kim jestem?

–Jakby był mi pan znajomy – odparł Stanley. – Niech to licho, nie mogę skojarzyć nazwiska.

–Wyglądam znajomo, ponieważ nazywam się Dennis T. Moyne i jestem szefem policji. Pan Graceworthy, obecny tutaj, poprosił mnie, abym mu towarzyszył, kiedy będę już po służbie. Dlatego nie mam munduru i nie mogłeś mnie poznać.

–Pan jest Szef Moyne, a to pan Graceworthy? – powtórzył zdziwiony Stanley. – Dlaczego więc ciągnęliście mnie tutaj i straszycie, po co ci wszyscy faceci z bronią? A ten tu przeciął mi rękę za nic, w każdym razie z żadnego rozsądnego powodu.

–Chcemy tylko zadać ci kilka pytań, to wszystko – odparł pan Graceworthy. Wolno obszedł Stanley a wokoło, a ten poczuł się prawie tak, jakby tarantula usiadła

mu na nagim karku.

–Lepiej odpowiadaj nam i to szczerze – dodał SzeF Moyne. – Każdy, kto prowadzi pracę wywiadowczą za pieniądze bez odpowiedniej licencji, no cóż, może spędzić ładny kawałek czasu za kratkami.

–Nic na mnie nie macie – powiedział Stanley. – Bo dlaczego ciągnęlibyście mnie tutaj, gdzie nikt nas nie może zobaczyć? I kim są ci faceci w maskach? To nielegalne, nawet jeśli jest pan szefem policji.

Waverley Graceworthy obszedł go wokół i stanął przed Stanleyem.

–Pozwól, że będę szczery z tobą. Nawet w najlepszych miastach zdarzają się rzeczy, które wymagają szybkiego i efektywnego działania, chociaż by było to trochę wbrew prawu. Pan Randolph Clare jest przyczyną poważnego finansowego i społecznego zamieszania w Memphis, szczególnie w przemyśle przetwórstwa nasion bawełny, i chociaż jego działania nie są nielegalne – nie można aresztować człowieka za obcinanie cen – są przyczyną wystarczających szkód, aby uzasadnić pewne pozytywne środki odwetowe. Czy ty jesteś rodowitym mieszkańcem Memphis?

–Tak... – odparł podejrzliwie Stanley.

–A więc wiesz, że nazwa Memphis oznacza „miasto dobrego zamieszkania”. A w mieście dobrego zamieszkania chcemy, aby wszyscy nasi współmieszkańcy żyli ze sobą w pokoju i harmonii. Niestety, pan Clare, jak się wydaje, nie pragnie tego. Ze względu na swoje osobiste bogactwo niszczy całą drobiazgową i pełną troski pracę, jaką Association Cottonseed włożyła w interes przetwarzania nasion bawełny w szczególności i w życie miasta w ogólności. A ty – ty Stanleyu – wziąłeś pieniądze i zgodziłeś się mu pomóc.

–A jeśli tak, to co? – spytał Stanley. – Sam pan powiedział, że on nie robi nic przeciwko prawu. To wolny handel, i tyle. Wolny handel gwarantowany przez konstytucję Stanów Zjednoczonych, w szczególności i w ogólności zarazem.

Waverley Graceworthy zrobił krok do przodu i wycelował swój palec w Stanleya.

–Lepiej mnie posłuchaj. Nie znasz nawet znaczenia słów: „wolny handel”. Miałeś zamiar spotkać się z panem Clare dziś wieczór, prawda? I zamierzałeś przekazać mu pewne informacje dotyczące wymordowania jego rodziny. Mam rację?

–Wszystko to bzdury – odparł Stanley. – Wszyscy jesteście pokręcenii. Nie macie dość odwagi, żeby pokazać swoje twarze. Jeśli miałem zamiar rozmawiać dziś z panem Clare, to moja sprawa.

Odwrócił się, znalazł kluczyk do stacyjki i wsiadł do taksówki. Właśnie kiedy miał włożyć kluczyk, poczuł ostry przedmiot na swojej szyi. Włoch pochylał się nad nim, przykładając mu swój nóż do aorty.

Waverley Graceworthy podszedł z boku samochodu i rozkazał:

–Wysiadaj. Nie skończyłem jeszcze z tobą. Chcę wiedzieć, co zamierzałeś powiedzieć panu Clare. W całości, bez pominięć.

Stanley zawahał się, ale wtedy Włoch nacisnął swój nóż mocniej i zawołał:

–Niech pan tylko powie słowo, panie Graceworthy. Stanley znowu wysiadł z taksówki.

–Oddaj mi kluczyki – rozkazał Graceworthy, a kiedy Stanleyowi nie udało się

wręczyć ich tak szybko, jakby sobie życzył mały człowieczek, powtórzył: – Kluczyki, do cholery!

–Teraz jedno pytanie – powiedział Waverley Graceworthy cicho, zaciskając kluczyki w dłoni. – Jak myślisz, kto zabił rodzinę Clare i dlaczego? I skąd o tym wiesz?

–Nic nie powiem – odparł Stanley. Odwrócił się do Szefa Moyne i zawołał ochryplym głosem: – Jest pan przecież oficerem policji, prawda? Wie pan, że nikt nie musi nic mówić, dopóki nie ma adwokata.

Szef Moyne uśmiechnął się łaskawie jak człowiek, dla którego wszystko na świecie jest proste i jasne.

–Ci panowie tutaj będą twoimi adwokatami – odparł, wskazując na czterech mężczyzn w maskach.

–Odpowiesz na moje pytanie czy nie? – spytał Graceworthy. – W przeciwnym razie obiecuję ci, że będziesz cierpieć.

Nagle skóra Stanleya pokryła się świeżym potem. Była to jedyna oznaka tego, jak bardzo był przerażony. Jego umysł wyłączył już te bardziej wrażliwe obwody, a wyzywający głos wydobywający się z jego ust wydawał się należeć do kogoś zupełnie innego. Czuł się tak, jakby było dwóch Stanleyów: jeden, który był przerażony do nieprzytomności, i drugi, który się chełpił, ryzykował, pyskował i pakował przerażonego Stanleya w coraz większe kłopoty.

–Czy wiesz, kto zabił rodzinę Clare? – dopytywał się Waverley Graceworthy.

–Nie muszę niczego mówić, a nawet gdybym wiedział, nie powiedziałbym wam.

–A kto o tym wie, jeżeli nie ty?

–Och, wielu ludzi, a pod koniec wieczora dowie się o tym jeszcze więcej, a więc czym się tak martwicie? Nie mówcie mi tylko, że to wy zrobiliście i ten gang pomyleńców.

Nagle Szef Moyne pstryknął palcami. Zamaskowani mężczyźni przysunęli się i chwycili Stanleya za ramiona. Był zbyt gruby i zbyt wolny, aby się opierać. Wyciągnęli mu ręce do przodu i ścisnęli za przeguby, aż głośno zawył.

–Czy teraz powiesz, kto zabił rodzinę Clare? – spytał Waverley Graceworthy.

–Nie – powiedział Stanley, pocąc się i przychodząc do siebie. – Mówię panu, że nie uzyskałem tej informacji.

–Ale miałeś się spotkać z panem Clare tego wieczorem, żeby omówić tę sprawę.

–Zamierzałem tylko przedstawić mu pewnego typu, który powiedział, że wie, kto to zrobił. To prawda, na Boga, najprawdziwsza prawda.

Waverley Graceworthy skinął głową i znowu zatarł ręce.

–Ten... typek... czy przypominasz sobie, jak się nazywa? – spytał.

–Nie – Stanley słyszał, jak napastnicy dyszą ciężko za swoimi maskami. – Przysięgnąłem na Boga Wszechmogącego, że nigdy nie powiem jego nazwiska.

–Ale znasz to nazwisko, chociaż przysięgaleś go nie zdradzić?

Stanley nie odpowiedział, ale usiłował zmagać się z mężczyznami, którzy go trzymali. Ścisnęli mu znowu ręce, tym razem mocniej, a on zaciął zęby, jęknął z bólu i przestał się opierać.

–Znasz to nazwisko? – powtórzył Waverley Graceworthy.

Stanley przytaknął.

–No, no – powiedział Waverley Graceworthy – mimo twojej przysięgi ja muszę je poznać. To bardzo ważne dla wszystkich zainteresowanych, dla dobra miasta i dobrobytu tych, którzy pracują w bawełnianym interesie.

–Przysięgałem – powiedział Stanley z desperacją. – Jeśli ktokolwiek dowie się, że to ja, Jezu, on mnie zabije.

–A więc jesteś między Scyllą a Charybdą – uśmiechnął się Waverley Graceworthy.

–Co to, do diabła, znaczy?

–To znaczy, że masz dwa równie niemiłe wyjścia. Twój przyjaciel zabije cię, jeśli powiesz jego nazwisko, a my zabijemy cię, jeśli nie powiesz.

Stanley młócił rękami, kopał i w końcu upadł na kolana na żużel, zamaskowani mężczyźni nadal go trzymali.

–Szefie Moyne! – krzyknął. – Słyszałeś, Szefie Moyne? To było zagrożenie mi śmiercią! Chyba nie powiesz, że zagrożenie śmiercią jest legalne?

Szef Moyne wcisnął kciuki za swój szeroki brązowy pas i spojrzał w drugą stronę, na jezioro McKellar w kierunku elektrowni.

Wtedy jeden z zamaskowanych mężczyzn zgiętym ramieniem chwycił go pod szyję i wolno zaczął przeginać do tyłu, aż Stanley legł rozciągnięty na żużlu. Drugi z nich trzymał ręce Stanleya nad głową, podczas gdy trzeci trzymał go za nogi. Czwarty na chwilę zniknął z widoku i powrócił, niosąc błyszczącą maczetę, która wyglądała, jakby została kupiona w sklepie dopiero przed półgodziną.

–Co wy, na miłość boską, robicie? – wrzasnął Stanley. Wykręcał się i wił, ale trzej zamaskowani mężczyźni przyciskali go mocno do ziemi.

Waverley Graceworthy stanął przed Stanleyem. Jeden reflektorów elektrowni odbił się na chwilę w jego okularach, a jego włosy błysnęły białą na tle gwiazdzistego nieba.

–A teraz, Stanley – powiedział – musisz mnie posłuchać. Nikt z nas nie ma zamiłowania do przemocy. Nie uznajemy fizycznego przymusu, prawda, Szefie Moyne? Ale naszym obowiązkiem jest upewnić się, że przemysł bawełniany będzie kwitnąć, a przemysł bawełniany jest ważniejszy od życia pojedynczych ludzi. Także twojego, mój przyjacielu.

–Co zamierzacie zrobić? – wychrypiął Stanley. – Chcecie mnie zabić? Na miłość boską, miejcie litość! Niczego nie zrobiłem.

–Ależ zrobiłeś. Zgodziłeś się zdradzić święte zaufanie twoich pasażerów, tych, którzy wierzą, że mogą siedzieć z tyłu twojej taksówki i rozmawiać, o czym im się tylko podoba, nie będąc narażeni na to, że ich rozmowa zostanie przekazana dalej. A ty zdradziłeś to święte zaufanie dla pieniędzy. Właściwie sędzę, że mogę w sposób całkiem uzasadniony nazwać cię Judaszem.

–Co, Judaszem? O czym ty, do cholery, mówisz? Jesteś szalony. Wiesz? Masz nierówno pod sufitem!

Waverley Graceworthy stał wyprostowany, jakby miał zacząć śpiewać w kościele.

–Masz teraz do wyboru, Stanley – powiedział nienagannym południowym

akcentem. – Albo powiesz mi, kogo chciałeś dziś wieczór przedstawić Randolphowi Clare, albo będę musiał poprosić tych dżentelmenów, żeby zrobili ci krzywdę. Skrzywdzą cię tak mocno, że po półgodzinie będziesz potrzebował pomocy pogotowia ratunkowego. Jednak my go nie wezwiemy, chyba że zgodzisz się podać nam to nazwisko.

Stanley usiłował oblizać wargi językiem, który był tak suchy jak kawałek tweedu. Spojrzał na połyskującą maczetę, tak nową, że każdy odcisk kciuka był widoczny na jej ostrzu, i spojrzał na mężczyznę bez twarzy, który ją trzymał. Potem pomyślał o Jimmym Żeberko: czarny, o dzikim wzroku, chudy jak szkielet, uzależniony od heroiny, za którą co tydzień mógłby sobie kupić nowusieńkiego cadillaca. Jimmy Żeberko wtyka w plecy długi nóż myśliwski, kiedy się człowiek tego w ogóle nie spodziewa, i nigdy nie zapomina, i nigdy nie wybacza. Stanley myślał, że jest sprytny i bystry, kiedy namawiał Jimmy'ego do rozmowy z Randolphem Clare. Nie spodziewał się Waverleya Graceworthy'ego oraz sił prawa i porządku.

Jimmy Żeberko i tak zabije go bez wahania. Ale ci ludzie, co oni zrobią? Oni pewnie blefują. Jak szef policji może tak spokojnie przypatrywać się zbrodni? To po prostu nie ma sensu. Przecież Waverley Graceworthy jest w jednej osobie członkiem rady miejskiej i szanowanym komisarzem okręgu. Ludzie tej warstwy społecznej nie zabijają niewinnych taksówkarzy w środku nocy tylko dlatego, że nie chcą im podać czyjegoś nazwiska. A może zabijają?

–Wierście mi – powiedział Stanley – po prostu nie mogę wam powiedzieć, kim on jest.

–Masz pięć sekund – powiedział cicho Waverley Graceworthy.

–Nie mogę wam powiedzieć! Czy wiecie, co on robi z ludźmi, którzy go zawiedli? To szalenie. Jednej nocy zabił swego najlepszego przyjaciela i dziewczynę, oboje w ten sam sposób. Nożem myśliwskim, długim na pół metra, prosto między nogi.

–Dwie sekundy – powiedział Graceworthy. – Jedna. Zero.

Mężczyzna z maczetą pochylił się i szarpnął guziki koszuli Stanleya tak przepoconej, jakby jej właściciel wrywał chwasty w ogródku. Uniósł pół koszuli, odsłaniając miękki wypukły brzuch Stanleya.

–Co robisz? – zaczął Stanley, ale nie miał nawet czasu zastanowić się nad tym. Zamaskowany mężczyzna przeciągnął ukośnie maczetą przez żołądek Stanleya, który pokrył się purpurą, a wtedy nagle jelita Stanleya z plaśnięciem wypłynęły z nacięcia na ziemię jak gęsta farba z wiaderka. Stanley był zbyt przerażony, by krzyczeć. Mężczyźni, którzy przytrzymywali mu ręce, puścili go, a on uniósł głowę i patrzył na swój brzuch z przerażeniem. Potem sapiąc, chwycił w ręce śliskie czerwono-białe rurki i próbował wepchnąć je z powrotem do brzucha.

Waverley Graceworthy obserwował go pogodnie.

–Zabi... zabiliście mnie – wydyszał Stanley. – Na miłość boską, zabiliście mnie.

Waverley Graceworthy zdjął okulary i leniwie czyścił chusteczką z kieszonki.

–Możesz przeżyć, jeśli zaraz zabierze cię karetka pogotowia – powiedział. – Wiem, że w Centum Medycznym Memphis mają wspaniałe warunki. Z chęcią zapłacimy za ciebie – przerwał na chwilę, potem doił: – Jeśli podasz nam nazwisko.

–Nazwisko? – spytał Stanley w rozpaczy. Pozwolił wypłynąć swoim wnętrznościom; były teraz pokryte piaskiem i wiedział, że nie powinien próbować wkładać ich z powrotem przed umyciem. Lepiej niech leżą do czasu, kiedy przyjedzie lekarz. Głowa opadła mu do tyłu na popiół i patrzył do góry na gwiazdy, zastanawiając się, gdzie on, u diabła, się znajduje i co się z nim dzieje. Jego serce biło coraz wolniej.

–Nazwisko – ktoś powtórzył.

–Nazwisko? – pomyślał. Jakie nazwisko? Nie mógł sobie przypomnieć nawet własnego nazwiska, a co dopiero czyjegoś. W żołądku czuł zimno i za każdym razem, kiedy brał oddech, bulgotało w nim. Wydało mu się, że jest bardzo ciężko ranny i że zaraz umrze. Obrzeże nieba pociemniało, a na zewnętrznym okręgu jego widzenia gwiazdy poczęły gasnąć. Kiedy ostatnia gwiazda zniknie, on umrze, i co to będzie za ulga. Nigdy nie będzie musiał prowadzić tej cholernej taksówki, nigdy. Będzie szczęśliwy.

Nigdy w życiu nie zaznał szczęścia, prawdziwego szczęścia. Teraz był pewien, że wreszcie dowie się, co ono oznacza.

–Nazwisko – głos nie przestawał nalegać. – Powiedz nam nazwisko.

Znowu oblizał wargi i kaszlnął. Jego usta wypełniało coś słonego i lepkiego.

–Nazwisko – ponaglał głos. Głos był teraz blisko, jakby ktoś się nad nim nachylał.

–Umieram – powiedział i ta myśl dostarczyła mu szczególnej satysfakcji, jakby robił coś przyjemnego i podniecającego, czego żaden ze stojących wokół ludzi nie mógł zrobić.

–Stanley – głos żądał. – To twoja ostatnia szansa. Powiedz nam nazwisko.

Stanley otworzył oczy i z trudem skupił wzrok na twarzy Waverleya

Graceworthy'ego, który klęczał na żużlu obok niego w swoim garniturze za tysiąc dolarów. Zapomniał, kim jest Waverley Graceworthy i co tutaj robi, ale zdawał się pamiętać, że rozmawiali o śmierci. No cóż, jest jedna osoba, która na pewno nie zmarła, obojętnie, co o niej się mówi. Ukryła się gdzieś, łowiąc ryby, rozmyślając i spędzając przyjemnie czas.

Ręką ociekającą krwią Stanley owi udało się kiwnąć na Waverleya

Graceworthy'ego, aby się jeszcze bardziej zbliżył. Wtedy uchwycił się jego klapy od garnituru, opryskał go krwią i krzyknął chrapliwie:

–Elvis Presley!

Rozdział VIII

Sześć minut przed dziewiątą taksówka Randolpha zajeżdżała przed Walker Rooms na Beale Street. Randolph zapłacił kierowcy i wysiadł. Noc była gorąca i parna, skądś dochodziła muzyka, chociaż Beale Street w 1984 roku nie była podobna do tej Beale Street, którą znali W. C. Handy, B. B. King i Ruphus Thomas. Beale Street była teraz Okręgiem Narodowej Historycznej Ochrony, higieniczną wersją tej Beale Street, którą niegdyś była, Beale Street klubów bluesowych, dziwek i gmatwaniny trolejbusowych kabli. Zniknęli dawno czarni tancerze w świecących cylindrach, podobnie jak farmerzy w słomkowych kapeluszach i odświętnych ubraniach. Hulbert's Lo-Down Hounds nie słyszało się tutaj od lat czterdziestych, a nawet Teatrzyk Starej Daisy stał się „obiektem muzealnym”.

Jednakże Walker Rooms zachowały coś ze swej powojennej zgrzebności. Na zewnątrz czerwony neon obwieszczał: „Blues, jedzenie”. Randolph zaczął wchodzić po wąskich, zniszczonych schodach na pierwsze piętro, gdzie astmatycznie terkotał agregat klimatyzacyjny. Za biurkiem ze sklejki siedziała czarna dziewczyna z dreadami na włosach i w obcisłej białej koszulce, kołysząc się w takt muzyki z walkmana. Na ścianie wisiał kalendarz ze zdjęciem Michaela Jacksona i napis z pozaginanymi rogami głoszący: „Wejście więcej jak 123 osoby prawnie zabronione”.

Randolph wysoki, o białej twarzy, w swoim piaskowym ubraniu stanął w zakłopotaniu.

–Szukam Stanleya Vergo – powiedział do dziewczyny.

–Nigdy o nim nie słyszałam – odparła dziewczyna krótko. Dźwięki bluesa wylewały się zza koralikowej zasłony obok biurka dziewczyny.

Jeśli Beale Street mogłaby mówić, jeśli Beale Street mogłaby mówić,

Mężowie musieliby porzucić swe łóżka i wyjść,

Z wyjątkiem jednego czy dwóch, którzy nigdy nie byli na gazie,

I ślepeca na rogu, który śpiewa bluesa Beale Street.

–Jimmy Żeberko? – powiedział Randolph.

–Jimmy Żeberko? Co pan chce od Jimmy'ego Żeberko?

–Taksówkarz Stanley Vergo, miał mnie poznać z Jimmym Żeberko.

Czarna dziewczyna zdjęła słuchawki z uszu i spojrzała poważnie na Randolpha.

–Nie jesteś gliną?

–Czy ja wyglądam na glinę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

–Teraz nigdy nic nie wiadomo. Był czas, że wiadomo było, kto jest kto, albo przynajmniej można to było wykapować. Skąd mogę wiedzieć, kim jesteś? Bogaty czy biedny, uczciwy czy oszust? Kto to może wiedzieć?

–Czy jest Jimmy? – spytał Randolph.

–Poczekaj tu, dobra? – powiedziała dziewczyna i zniknęła za koralikową zasłoną. Randolph usłyszał śmiech i poczuł zapach marihuany. Pożałował, że nie wziął z sobą fajki. Przypomniał sobie, jak Marmie mówiła mu, żeby zachowywał się z większym luzem.

–Wszystkie twoje stawy są zardzewiały – mówiła śmiejąc się. – Rozluźnij się, na

miłość boską, i ciesz się życiem.

Gdyby tylko Marmie nadal żyła, pomyślał, gdyby nie była zimna, ślepa i martwa w trumnie w Quebec.

Minęło sporo czasu, zanim czarna dziewczyna wróciła, Podeszła prosto do swojego biurka, nawet nie spojrzawszy na Randolpha, założyła słuchawki i zaczęła się znowu kiwać. Randolph cierpliwie czekał przez trzy czy cztery minuty, po czym sznurkowa zasłona zaklekotała i wyłonił się wysoki, chudy jak szkielet czarny mężczyzna w brudnej czarnej marynarce z szerokimi klapami i czarnym meloniku. Na palcach miał mnóstwo srebrnych pierścieni, większość w kształcie czaszki, a w ręce laskę ze srebrną rączką również w kształcie czaszki.

Zmierzył Randolpha od stóp do głów w sposób, w jaki każdy czarny mężczyzna ma prawo mierzyć każdego białego człowieka, który zapuścił się na Beale Street. Potem zastukał swoją laską siedem czy osiem razy ‘i w podłogę i powiedział:

–Nie może być.

–Czy ty jesteś Jimmy Żeberko? – spytał Randolph.

–A jeśli tak, to co?

–Nazywam się Randolph Clare. Miałem się tu; spotkać ze Stanleyem Vergo.

–No cóż, jego tu nie ma.

Randolph potarł zaniepokojony szyję.

–Możemy porozmawiać? Stanley mówił, że masz pewną informację, która może mnie zainteresować.

–No, nie wiem. Jaki mam dowód, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

Randolph wyciągnął portfel i pokazał Jimmy’emu ty kredytowe oraz prawo jazdy. Jimmy przejrzał je z przesadną dokładnością, a potem zajrzał za plastikową przegródkę portfela, gdzie znalazł zdjęcie Marmie i dzieci, które Randolph zawsze miał przy sobie.

–To twoja rodzina? – spytał. – Ta, którą zabili?

Randolph skinął milcząco głową.

Jimmy Żeberko zwrócił mu portfel i powiedział:

–Wchodź. Nie chcę, żeby nas ktoś tu widział.

Randolph wszedł za paciorkową zasłonką do słabo oświetlonego baru, gdzie kobiety i mężczyźni siedzieli na wysokich stołkach, pijąc piwo i słuchając sekstetu bluesowego w błyszczących moherowych marynarkach. Potem Jimmy otworzył jakieś drzwi na końcu korytarza i wprowadził Randolpha do zaniedbanego biura. Znajdowało się tam na ścianach pełno podartych plakatów, zapowiadających koncerty bluesowe, rzeczne party i festiwale jazzowe. Na biurku stała popielniczka z niedopałkami cygar i pudełko do zbierania pieniędzy na ulicach.

Jimmy Żeberko zamknął drzwi końcem laski.

–Mam nadzieję, że masz forszę – powiedział.

–Mam pięć tysięcy dolarów w gotówce – powiedział Randolph. – Jeśli okaże się, że informacja jest warta więcej, zapłacę więcej.

–To niebezpieczni ludzie. Ci, o których mamy rozmawiać – powiedział Jimmy. Oddychał ze świstem, jak zazwyczaj uzależnieni od kokainy. – Oni z nikim się nie

cackają. Są wspaniałomyślni jedynie wtedy, gdy karmią rybki. I nie muszę chyba ci mówić, czym.

Randolph wyjął kopertę i wręczył ją Jimmy'emu bez słowa. Jimmy wyjął plik, poślinił palec i przewertował banknoty z ostrożną satysfakcją.

–Jest w mieście gang naprawdę twardych facetów – powiedział, utkwivszy wzrok w przeciwległej ścianie, jakby to go jakoś rozgrzeszało, że donosi. – Nie bawią się w napady uliczne ani w narkotyki, ani w dziwki, wymuszanie pieniędzy czy coś w tym rodzaju. Nie są także Włochami. Pracują dla dużego biznesu, a wszystko, co muszą zrobić, to upewnić się, że ktoś, kto nie zgadza się z ich szefami, zmieni zdanie.

–Wiesz, kim są? – spytał łagodnie Randolph.

–Czterech czy pięciu mężczyzn, nie zawsze ci sami. Znam tylko jedno nazwisko: Reece. To prawdopodobnie jakiś zwariowany weteran z Kambodży czy podobnego miejsca. Straszny człowiek, z tego co słyszałem. Nie znam pozostałych i jak możesz zgadnąć, nie reklamują się w prasie.

–Jaki masz dowód, że to właśnie oni zabili moją żonę? – spytał Randolph.

–Nic, co możesz powiedzieć sędziemu – odparł Jimmy Żeberko. – Twój przyjaciel, taksówkarz Stanley Vergo, rozpuścił po mieście wieści, że interesuje go wiadomość, kto zabił twoją rodzinę. Wczoraj w nocy zadzwonił do mnie kolega, który pracuje na lotnisku. Powiedział, że widział coś interesującego, a ponieważ nie ufa białym, zwrócił się do mnie, żebym przekazał tę formację w zamian za jakąś kwotę, którą Stanley Vergo obiecał w twoim imieniu. W poniedziałek wieczorem widział czterech mężczyzn, którzy szli na lot American Airlines do Quebec. Zwrócił na nich uwagę po pierwsze dlatego, że wyglądali na niezłych twardzieli, a po drugie, rozpoznał jednego z nich, z którym siedem lat temu siedział w więzieniu, kiedy sam spędzał tam trochę czasu za odebranie cadillaca niezadowolonym właścicielom. Nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale pamiętał, że był twardy jak cholera i że wyprowadza go z równowagi było niekoniecznie bezpieczne.

–Twój kolega jest bardzo spostrzegawczy – powiedział Randolph. – Jeśli sprawdzę listę pasażerów, być może dowiem się, kim są mordercy.

–Posłuchaj mnie – powiedział Jimmy Żeberko poważnie. – Te typy są absolutnie niezabawne. Nie znasz ulicy, nie wiesz, kto jest kto. Posłuchaj mojej rady i pozwól, żeby policja zrobiła to za ciebie. A jest to pierwsza i jedyna rekomendacja, jaką robię tym świniom w całym swoim życiu.

–No cóż, może jutro porozmawiam z Szefem Moyne – powiedział Randolph. – W każdym razie dziękuję, że powiedziałaś mi, co wiesz.

–Dzięki za kapustę – odparł Jimmy Żeberko, unosząc pieniądze. Potem odprowadził Randolpha do schodów.

–Gdybym usłyszał coś jeszcze – powiedział – byłbyś nadal zainteresowany?

–Oczywiście. Dzwoń do mnie do Clare Cottonseed, a sprawię, że ci się to opłaci.

–Trzymaj się, panie Clare.

–Gdybyś zobaczył Stanleya Vergo, powiedz mu, że tu byłem.

–Na pewno.

Randolph złapał taksówkę na rogu Beale i Danny Thomas Boulevard. Taksówkarz

był czarny, miał ogoloną gładko głowę, kolczyki z zębów tygrysa i milczał. Randolph pochylił się do przodu i spytał:

–Ma pan radiotelefon?

Kierowca obrócił głowę i spojrzał na niego.

–Pytałem, czy ma pan radiotelefon? – powtórzył Randolph.

Kierowca uniósł słuchawkę.

–A to co? Elektryczna szczoteczka do zębów?

–Mógłby zrobić mi pan przysługę? – spytał Randolph. – Niech pan zadzwoni do bazy i zapyta, czy mają kontakt z kierowcą Stanleyem Vergo. Może pan to zrobić?

–Jakim Stanleyem?

–Stanleyem Vergo. Mógłby pan to zrobić? Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest.

–Dobra, człowieku.

Kierowca włączył mikrofon i zawołał: – Wiktor jeden, Wiktor jeden. Po chwili trzeszczący głos odpowiedział:

–Wiktor jeden.

–Wiktor jeden, tu Zebra Trzy. Klient chce wiedzieć, gdzie jest facet nazwiskiem Stanley Vertigo. Możesz to sprawdzić?

–To znaczy myślisz o Stanleyu Vergo?

–Vertigo czy Vergo, czy jak mu tam. Nastąpiła długa cisza, podczas której kierowca skręcił na Linden Boulevard, kierując się na wschód i zbliżając się do ruchliwego skrzyżowania z Dr Luther King Expressway. Ruch uliczny przepływał przez noc jak czerwone i białe ciała przez ciemność ludzkiego ciała.

Po kilku minutach kontroler z przedsiębiorstwa taksówkowego wrócił z powrotem na linię.

–Zebra Trzy, próbowałem przywołać dla ciebie Stanleya Vergo. Nie mogę go złapać. Miał pracować dziś wieczór, ale może zrobił sobie przerwę. Ostatnie słowo niego słyszałem około ósmej na Monroe, kiedy podwoził kogoś do Centrum Medycznego.

–Długa przerwa na kawę – zauważył lakonicznie taksówkarz, odkładając z powrotem mikrofon na deskę rozdzielczą.

–Tak – zgodził się Randolph. Oparł się o siedzenie, czując, jak jego lepka koszula przykleja mu się do ciała. Zaczął się niepokoić. Jeśli Reece i jego ludzie są aż tak niebezpieczni, jak mówił Jimmy Żeberko, jeśli oni są tymi ludźmi, którzy torturowali i zamordowali Marmie i dzieci, nie ulega wątpliwości, że będą równie bezlitośni wobec każdego, kogo uznają za zagrożenie. A kto mógł być bardziej groźny od Stanleya Vergo, który jeździł po mieście i wszędzie rozpuszczał wieści, że chce dowiedzieć się, kto zabił rodzinę Clare?

–Mówił pan coś? – spytał taksówkarz.

–Nie, chyba się modliłem na głos.

–O pieniądze?

–O czyjeś zdrowie.

Z nagłym i niespodziewanie dobrym humorem taksówkarz powiedział:

–Słyszałem na ten temat żart któregoś dnia. Było dwóch czarnych braci. Kupili

karabiny i wyszli, aby zamordować Ronalda Reagana. Czekają na czatach jego hotelem, ale minął cały dzień, a Ronalda Reagana nie ma. Więc jeden z braci zwraca się do jego: „Ty, mam nadzieję, że nic mu się nie stało”.

Randolph zdołał słabo się uśmiechnąć.

–Świetny żart, nie? – spytał taksówkarz. – „Mam nadzieję, że mu się nic nie stało”. O to samo chodzi, co?

Randolph wróciwszy do domu, natychmiast wezwał Charlesa, aby przyniósł mu drinka. Poszedł do biblioteki. Zapalił lampę na biurku, wziął swoją książkę telefoniczną oprawną w czarną skórę i poszukał prywatnego numeru telefonu Szefa Moyne. Szef Moyne podniósł słuchawkę prawie natychmiast, a jego głos brzmiał, jakby miał pełne usta.

–Dennis? Tu Randolph Clare. Przepraszam, jeśli ci przeszkadzam.

–Ależ nie, Randolphie. Przegryzam samotnie trochę spóźnioną kolację, to wszystko.

–Dennis, myślę, że potrzebuję twojej pomocy.

–Oczywiście – odparł Szef Moyne. – I tak mamy jutro spotkanie, prawda, kiedy przywiozą twoją biedną rodzinę z Quebec.

–Tak – odparł Randolph. – To właśnie wiąże się z tym, co tam się stało. Właśnie otrzymałem informację, że zabójstwo może być związane z czterema mężczyznami z Memphis.

–Z Memphis? – powtórzył Szef Moyne. – Jaką informację?

–Słyszałem, że niektórzy wielcy biznesmeni trzymają coś w rodzaju małej armii, którą można nazwać wynajętymi zabójcami. Jeden z nich prawdopodobnie był w Wietnamie, ma przydomek Reece. Przynajmniej jeden z nich jest notowany. Ci mężczyźni są zatrudnieni, by przekonywać, że polityka handlowa ich szefów jest najlepszym wyjściem, a każdy, kto kłóci się z tymi grubymi rybami, może znaleźć się w poważnych kłopotach.

Nastąpiła przerwa, potem Szef Moyne powiedział:

–Randolph, jestem szefem policji w Memphis i nigdy nie słyszałem o wynajętej armii, tak jak to opisujesz. Sam jesteś biznesmenem, czy słyszałeś kiedykolwiek o takich rzeczach wcześniej?

–Nie mogę powiedzieć, żebym słyszał, ale to nie oznacza, że ona nie istnieje.

–Masz rację. To tego nie oznacza, ale czyni to mniej prawdopodobnym, prawda? Wynajęci ludzie włączający się wokół zmuszają ludzi do zachowywania umówionych cen? To mi brzmi nieprawdopodobnie, Randolph. W takim porządnym mieście jak Memphis? Kto tobie to powiedział?

–Przykro mi, ale obiecałem utrzymać jego nazwisko w tajemnicy.

–Zapłaciłeś mu?

–No cóż, tak, jeśli chodzi o fakt. Pięć tysięcy dolarów.

–Obawiam się zatem, że mimo twojej przenikliwości w interesach zostałeś nabrany. Ktoś żeruje na twojej żalobie i naciąga cię.

–Mimo wszystko, Dennis – nalegał Randolph – czterech mężczyzn zabiło moją rodzinę i czterech mężczyzn widziano, jak wylatywali z Memphis w poniedziałek

wieczorem przed zabójstwem z biletami do Quebec. Jeden z nich został rozpoznany jako były kryminalista.

–Przykro mi, Randolphie, ale mnóstwo mężczyzn wyleciało z mnóstwa lotnisk w poniedziałek po południu w kierunku Quebec, którzy równie dobrze mogli dokonać tej zbrodni. Ważne jest, abyś nie bawił się w Sherlocka Holmesa. Pogrążasz się tylko w przygnębieniu, powiększasz swoją żalobę, a poza tym możesz narazić na niebezpieczeństwo oficjalne policyjne śledztwo, nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Charles wszedł, niosąc whisky dla Randolpha na srebrnej tacy. Postawił ją na stoliku, uklonił się w swój staromodny sposób i wycofał się. Szef Moyne powiedział:

–Ogromnie pomocne z twojej strony byłoby, gdybyś podał mi nazwisko twojego informatora. Mógłbym sprawdzić tę historię i przekonać się, czy coś z tego trzyma się kupy, a jeśli tak, no cóż, sprawdzimy to normalną służbową drogą wspólnie z FBI i kanadyjską policją.

–Nie sądzę, żeby on ucieszył się z wizyty policji, szczególnie gdyby się dowiedział, że wam go wskazałem.

–Ależ, Randolphie, twoje nazwisko w ogóle nie będzie wspomniane. Możemy z nim porozmawiać pod jakimkolwiek innym pretekstem. Przestarzałe tablice rejestracyjne, źle zaparkowany samochód, cokolwiek.

–No cóż... – Randolph się wahał. – Sam mi poradził, żebym zwrócił się do policji.

–W takim razie pewnie go nie doceniłem – powiedział Szef Moyne jowialnie. – Może rzeczywiście nie jest naciągaczem. Ale najważniejsze dla mnie to sprawdzić jego historię w taki czy inny sposób. To znaczy, jeśli rzeczywiście istnieje jakaś sekretna armia, pracująca na usługach wielkiego biznesu, sądzę, że nadszedł czas, abym się o tym dowiedział, prawda?

–Myślę, że chyba masz rację – zgodził się Randolph. – Ten człowiek nazywa się Jimmy Żeberko. Przynajmniej takie nazwisko mi podał. Widziałem się z nim w klubie bluesowym Walker Rooms na Beale Street.

–A więc Jimmy Żeberko, tak? – powtórzył Szef Moyne. – Dawno już o nim nie słyszałem.

–Znasz go? – spytał Randolph.

–Každy w śródmieściu zna Jimmy'ego Żeberko. To nieobliczalny człowiek. Miałeś szczęście, że go czymś nie wytrąciłeś z równowagi.

–Wydawał się grzeczny wobec mnie.

–No cóż, musiałeś trafić na jego dobry nastrój. Kiedy się wkurzy, ma niemiły zwyczaj wbijania noża między nogi delikwenta.

–W takim razie upewnij się, że się nie dowie, iż to ja ci go wskazałem.

Szef Moyne zaśmiał się z ustami pełnymi parówki.

–Wierz mi, Randolphie, od tej chwili nie musisz się o nic martwić.

Randolph zamienił jeszcze kilka uprzejmości z Szefem Moyne i odłożył słuchawkę. Oparł się wygodnie w fotelu i zakolysał swoją whisky w szklance. Zaczynał czuć zmęczenie, ale perspektywa pójścia na górę do łóżka była zbyt koszmarowa. W ciągu dnia mógł jeszcze znieść swoją samotność, gdy było wiele spraw, które zajmowały jego uwagę. Jednak ostatnie dwie noce były niemożliwie ciche i smutne. Poprzedniej

nocy obudził się właśnie, gdy zaszedł księżyc i dom był nieruchomy i ciemny. Odbicie w lustrze Marmie błyszczało jak srebrzyste okno do innego świata, gdzie cienie poruszają się jak żywi ludzie. Nasłuchiwał i nasłuchiwał, a najbardziej ze wszystkiego włączająca była cisza. Żadnego oddechu obok niego, żadnego oddechu w pokojach dzieci. Dom pełen ciszy i pustych łóżek. Dom, na którym śmierć wycisnęła swoje piętno.

Właśnie unosił szklankę z whisky do ust, gdy zadzwonił telefon.

–Kto mówi? – spytał.

–Pan Clare? Tu doktor Ambara z Kliniki Góry Moria. Dowiedziałem się od Suzie, że jest pan zainteresowany skontaktowaniem się ze mną.

Randolph wyprostował się i odstawił szklankę.

–Tak, doktorze. Miałem do pana dzwonić jeszcze dziś wieczór. Suzie powiedziała, że jest pan w domu i zazwyczaj bardzo późno.

–Jak się pan czuje, panie Clare?

–Jakoś sobie radzę. Mam szczęście, że z powodu swojej pracy jestem stale zajęty.

–To nie zawsze jest szczęście – powiedział doktor Ambara. – Nie może pan zapominać o swoim smutku, ponieważ stracił pan rodzinę.

–Właśnie, jest to jedna ze spraw, o których chciałem z panem porozmawiać.

–Pański smutek? – spytał doktor Ambara. Z jego wymijającego tonu można było wywnioskować, że usiłuje odwrócić rozmowę od tematu reinkarnacji i zmarłych.

–Pragnę przedyskutować możliwość ponownego zobaczenia swojej rodziny.

–Tak, wiele o tym myślałem – powiedział doktor Ambara. – Ale czy mógłbym panu odradzić pójście tą drogą? Muszę pana ostrzec, że wiąże się z tym wiele niebezpieczeństw, które grożą nie tylko panu, ale także innym. Możliwe, że pańskim krewnym.

–Ale można tego dokonać? Istnieje szansa, że spotkam się z nimi?

Doktor Ambara milczał.

–Musielibyśmy spotkać się – powiedział – aby to dokładnie omówić. Ma pan czas jutro? Będę czekał o jedenastej w Dixon Gardens.

Zawahał się przez chwilę, po czym dodał:

–Gdyby zmienił pan zamiar do jutra, proszę mi wierzyć, byłoby to z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych. Kiedy wchodzi się do królestwa śmierci, panie Clare, otwiera się drzwi w obie strony, drzwi, które pozwalają jednym wejść, ale także mogą pozwolić drugim się wydostać.

Rozdział IX

Spotkali się przy kaskadzie szkarłatnych azalii, tak szkarłatnych jak świeżo wytryśnięta krew, w srebrzystej porannej mgle jeszcze nie rozproszonej przez słońce. Ogrody miejskie zajmowały prawie siedemnaście akrów. Wzdłuż każdej ścieżki znajdowały się kwitnące magnolie tak białe jak wosk i wierzby, których gałęzie smutno zwisały we mgle jak włosy topielicy. Randolph rozmyślał, obserwując turystów spacerujących po ogrodach, o *Ostatnim roku w Marienbadzie*, stylizowanym filmie z lat 60. Czuł się rozbity nie tylko z powodu mgły, ale także zmęczenia, smutku i przez wspomnienia, które tłoczyły się wokół niego podczas każdej minuty na jawie w ciągu dnia. Ostatniej nocy znowu śniła mu się Marmie i dzieci, jak kiwają na niego, aby usiadł z nimi przy stole, na którym stały białe talerze. Śpiewali czy nucili coś, a ich głosy były wysokie i odbijały się echem, jak głosy dzieci słyszane z odległego końca tunelu. Podszedł do stołu i spojrzął na talerze, a na każdym z nich leżały ludzkie organa: serce, płuco, wątroba, wszystkie przybrane ziołami i kwiatami, jakby były częścią makabrycznego, rytualnego posiłku. Bezbożny Seder, z najbardziej gorzkimi z możliwych ziołami i skwaśniałym winem.

Obudził się spocony i drżący z prześcieradłami owiniętymi wokół nóg niczym sznury.

Doktor Ambara zjawił się punktualnie, wychodząc z mgły. Pod szarą marynarką miał biały golf, na nosie pomarańczowe okulary słoneczne, a pod pachą niósł egzemplarz „Commercial Appeal”. Jego jedwabisty wąs został nieco przycięty od czasu, kiedy Randolph go widział po raz ostatni.

–No cóż, panie Clare – powiedział, wyciągając dłoń – spodziewałem się, że pan tutaj będzie.

Randolph poważnie potrząsnął jego ręką, która była miękka i wilgotna, dłoń mężczyzny, który się nie wysilał, by udowodnić swoją męskość czy szczerść. Doktor Ambara nie musiał przedstawiać jakiegokolwiek rodzaju listów uwierzytelniających. To Randolph go poszukał i Randolph chciał wierzyć w to, co tamten powiedział o kontaktowaniu się ze zmarłymi.

–Zmartwiłem się usłyszawszy, że doktor Linklater poprosił, aby zabrano panu mój przypadek – powiedział Randolph. – Mówiąc całkiem szczerze, nie miał do tego prawa.

–Mam nadzieję, że ten niewielki incydent nie zaważy na stosunkach między wami – zauważył doktor Ambara. – Jestem przekonany, że doktor Linklater zrobił tylko to, co uznał za najlepsze dla pana. W moim odczuciu to troskliwy i rozważny człowiek. Być może zbyt troskliwy i zbyt rozważny, ale wszyscy lekarze starają się unikać złego leczenia, a u lekarza ogólnego te mankamenty mogą czasami okazać się cnotą.

–Nadal uważam, że nie miał prawa. Płacę mu w końcu.

–O panie Clare, to że pan płaci lekarzowi, nie zawsze daje podstawę do kwestionowania jego fachowej diagnozy. To, że pan mu płaci, powoduje tylko fakt, że on zna pańskie ciało lepiej niż pan. A także pański umysł.

Ruszyli, jakby nagle jakiś reżyser poinstruował ich, by szli ramię przy ramieniu przez ogrody, przestrzegając linii, wzdłuż której mają iść. Randolph uznał sposób

wyrażania się doktora Ambara za szczególnie podniosły, jakby nie chciał czegoś powiedzieć Randolphowi, a jednak czuł, że przeznaczenie każe mu to zrobić.

Było w tym spacerze po Dixon Garden jakieś przecucie nieuchronności, jakby przeznaczenie kazało im iść razem, nie pasującym do siebie partnerom w jakiejś tajemniczej grze, wschodnich warcabach, w których białe pionki wyobrażają życie, a czarne śmierć.

Doktor Ambara mówił cicho i jakby urzędowo. Kiedy spacerowali, trzymał dłonie złożone razem jak zamkniętą księgę, której nie chce otwierać.

–Według mojej wiary, którą wyjaśniłem panu w klinice, panie Clare, dusze zmarłych nie przepadają na wieki, ale przechodzą do nieba, gdzie przygotowują się na ponowne narodziny.

–Powiedział pan jednak, że można do nich dotrzeć, gdy są już w niebie... że można z nimi porozmawiać.

–Powiedziałem to, aby dać panu pocieszenie w żałobie, a nie aby uczynić panu jakąś konkretną propozycję.

To, niestety muszę przyznać, był mój błąd.

–Ale można tego dokonać? Istnieje sposób, za pomocą którego mogę znowu porozmawiać ze swoją rodziną?

Doktor Ambara spojrzał ostro na Randolpha.

–Jest pan naprawdę przekonany, że tego chce?

–Być może mógłbym lepiej to osądzić, gdyby powiedział mi pan coś więcej na ten temat, jak tego się dokonuje, jakie są niebezpieczeństwa.

–No cóż, panie Clare, jak już wspomniałem przez telefon, niebezpieczeństwa są poważne, nie tylko dla nich, którzy usiłują skontaktować się ze zmarłymi, ale także dla samych zmarłych.

Doszli do drugiego cisowego żywopłotu, nieskazitelnie przyciętego. Nadal było tak mgliście, że Randolph mógł widzieć tylko na dziesięć metrów, a temperatura podniosła się do czterdziestu paru stopni. Obok przeszedł samotny mężczyzna, spoglądając na nich z pewnym podejrzeniem przez okulary bez oprawek.

Doktor Ambara poczekał, aż mężczyzna ich minie tedy powiedział:

–Istotną częścią naszej religijnej działalności jest *sanghyang*, czyli trans. Każdy, kto jest pobożny i chce doświadczyć duchowej ekstazy spowodowanej bliskością bogów, jest zdolny wejść w taki trans. A jak silny może to być trans, świadczy to, że ci, którzy go osiągają, często są zdolni do nadzwyczajnych wyczynów, jak chodzenie boso po ogniu, tańczenie skomplikowanych tańców, których nigdy ich nikt nie uczył, często zgodnie z najmniejszymi ruchami innych osób, które także znajdują się w transie.

–Myślę, że słyszałem coś na temat *sanghyang* - powiedział Randolph. – Czy ludzie w takim transie mogą wbijać w siebie noże, przekłuwać sobie policzki szpikulcami?

–No cóż, chyba myli pan *sanghyang* z pokutniczymi rytuałami Thaipusam – odparł doktor Ambara. – Ale istotnie, ma pan pewną rację.

Randolph zamyślił się.

–I ten trans umożliwia ludziom spotkanie ze zmarłymi krewnymi?

–Na odpowiednio wysokim szczeblu, tak. Popularnie jest nazywany transem śmierci. Wymaga postu i treningów religijnych intensywnej natury, a stosowane pieśni i rytuały są bardzo skomplikowane i bardzo *sakti*, co oznacza, że mają dużą moc magiczną.

–Czy można wejść w trans śmierci, nie mając za sobą żadnych religijnych treningów? – spytał Randolph. – To znaczy, czy ja mógłbym tego dokonać? Czy jest w ogóle jakaś szansa?

Doktor Ambara zdjął swoje okulary i dokładnie wypolerował je chusteczką.

–Przypuszczam, że dla pańskiego bezpieczeństwa nie powinienem nic panu mówić. Ale w moim przeczuciu jest pan człowiekiem zdolnym pomóc swemu przeznaczeniu, tak długo jak rozumie pan, że ja panu nie doradzam, aby pan podjął tego rodzaju działanie. Przeciwnie, z powodów, które panu wyjaśnię, lepiej byłoby, gdyby pan zapomniał o tym, że kiedykolwiek pan to ode mnie słyszał.

Uniósł swoje okulary do zamglonego słońca, aby upewnić się, że są czyste, i kontynuował:

–Jest tylko dziesięciu, może dwunastu adeptów zdolnych wejść w trans śmierci. Wielu próbuje, wielu się to nie udaje. Ryzyko wejścia w trans śmierci, rozumie pan, jest podobne do ryzyka chodzenia po ogniu. Podczas transu mężczyźni i kobiety mogą chodzić, a nawet tańczyć po żarzących się skorupach orzecha kokosowego. Mają zupełnie gołe stopy, skorupy są rozgrzane do białości, ale oni nie odczuwają poparzenia. Niektórzy ludzie robią to regularnie przez całe życie i nigdy nie dzieje się im krzywda. Ale czasami koncentracja chodzącego po ogniu jest niedokładna, jego wiara zbyt słaba, jego trans jest niewystarczający. Nie wiadomo dlaczego. Kiedy to się stanie, chodzący po ogniu chwieje się jednocześnie duchowo i fizycznie i ogień go parzy. Na poświęceniu świątyni w Dżakarcie mój kuzyn stracił obie stopy podczas *Sanghyang Jaran*, który jest tańcem w transie na drewnianym koniu. W czasie, który jest; konieczny do przetańczenia z jednego końca paleniska; na drugi, jego stopy spłonęły aż po golenie, jednak przez cały czas nie przestawał tańczyć ani nie krzyczał.

Słońce zaczęło w końcu przenikać przez mgłę i ogrody zostały przemienione w zamglone złoto. Randolph czuł, jak pot ścieka mu pod koszulą środkiem pleców.

–Ryzyko – kontynuował doktor Ambara – związane z transem śmierci jest podobne, o ile nie większe. Jeśli nie wyjdzie chodzącemu po ogniu, może stracić stopy. Natomiast jeśli komuś nie uda się trans śmierci, z pewnością może stracić życie. Spośród tych dziesięciu czy dwunastu zdolnych wejść w trans śmierci, może mniej niż czterech przeżywało jego niebezpieczeństwo na tyle często, aby być zdolnym do poprowadzenia mniej doświadczonej osoby w królestwo za kurtyną. Spośród tych czterech być może tylko dwie byłyby skłonne do zrobienia tego, chociaż trudno powiedzieć, gdzie ich szukać i czego sobie zażyczą w zamian za taką przysługę. Nie muszę mówić, że sprzedawanie tych usług przez adeptów transu śmierci za pieniądze jest zakazane w Indonezji i że rząd robi wszystko, co może, by przeszkodzić takim praktykom. Słyszałem jednakże, że kilku bogatych Amerykanów opłaciło adeptów transu śmierci, aby skontaktować się ze swymi zmarłymi krewnymi,

i to takich, których nazwiska byłyby panu znajome. Wiem na pewno, że czyniono wysiłki w celu wynajęcia adepta do skontaktowania się z Howardem Hughesem, aby dowiedzieć się, gdzie znajduje się jego testament. Nikt nie wie, czy skontaktowano się z Hughesem, czy adeptowi udało się go znaleźć. Być może go znaleziono, ale powiedział coś takiego, co nie spodobało się tym, którzy próbowali się z nim skontaktować. Musi pan zrozumieć, panie Clare, spotkanie ze zmarłymi może być głęboko niepokojące, a często przerażające.

–Wspomniał pan o niebezpieczeństwach – powiedział sucho.

–Tak, chociaż usiłowałem zrobić to w sposób nieokreślony. Ma pan o naszej religii niewielką, jeżeli w ogóle jakąkolwiek wiedzę, panie Clare, i jak dotąd nie chciałem mówić zbyt protekcyjnie. Być może mógłby pan mnie porównać do zachodniego mechanika, który próbuje zniechęcić indonezyjskiego wieśniaka do prowadzenia samochodu, strasząc go tajemniczymi szczegółami, co się stanie, jeśli rozbierze skrzynię biegów.

Randolph uśmiechnął się.

–Może być pan tak tajemniczy i szczegółowy, jak pan chce, doktorze. Jak dotąd słuchałem pana bez żadnych zewnętrznych oznak sceptycyzmu, prawda? Myślę, że jestem przygotowany przyjąć pana podstawową przesłankę, że zmarli nie są nieodwołalnie zmarli, że po prostu zostali na jakiś czas zabrani z fizycznego świata, który reszta z nas zamieszkuje. A więc cokolwiek ma pan jeszcze do powiedzenia, musi być to coś gorszego do przełknięcia niż tamto.

–Bardzo dobrze – zgodził się doktor Ambara. – Musi pan wiedzieć, że kiedy wchodzi się do świata umarłych, wchodzi się także do świata czegoś, co mogę panu tylko opisać jako świat demonów. No cóż, dziwi się pan. Spodziewałem się, że tak będzie. Ale w ich własnym królestwie są one tak rzeczywiste jak dusze pańskich ukochanych.

–A te... demony... są niebezpieczne? – spytał Randolph.

Słowo „demony” wymówił z takim zakłopotaniem jak jakiś obsceniczny wyraz. Był pragmatystą, przetwórcą nasion bawełny, biznesmenem i człowiekiem wierzącym. Czyżby mimo wszystko jego pilna potrzeba wiary, że Marmie i dzieci są nadal osiągalni, mogła naprawdę zmusić go do wiary w demony? Czy wszystkie te dziecięce legendy i wszystkie te bajki o lochach i smokach naprawdę miały jakieś realne podstawy?

Wszystko to było zadziwiające. A w dodatku mówi o tym całkiem spokojnie wysoko wykwalifikowany lekarz, w jasny dzień tu w Ogrodach Dixon w Memphis.

–Oczywiście – powiedział doktor Ambara – nie spodziewam się, że będzie pan zdolny natychmiast przyjąć wszystko, co panu mówię. Dla ludzi wychowanych w chrześcijaństwie i w nowoczesnej zachodniej cywilizacji, wzmianka o demonach musi wydawać się dziwaczna, a nawet śmieszna. Ale bez względu na to, czy pan w nie wierzy czy nie, one istnieją i jeśli zdecyduje się pan wejść do królestwa zmarłych, naraża się pan na spotkanie z nimi.

–Co dokładnie one robią, jeśli tak można powiedzieć?

–Są akolitami bóstwa zwanego Rangda – wyjaśnił doktor Ambara. – Są formą

tego, co mówiąc popularnie, można nazwać zombie, żyjący zmarli. Są to wałęsające się duchy tych, których dusze nie zostały oddzielone od śmiertelnych ciał poprzez kremację i nad którymi nigdy nie odprawiono właściwych religijnych rytów. Bóstwo Rangda obiecuje im uwolnienie z ich nieszczęścia, jeśli one złapią mu świeże duchy, i to one właśnie robią. Łapią zmarłych i jeśli mogą, żyjących, aby nakarmić swoją panią. Ale ona oczywiście nigdy nie dotrzymuje danej im obietnicy i nigdy ich nie uwalnia.

Doktor Ambara przerwał na chwilę, niezdecydowany, jak wyjaśnić niebezpieczeństwa grożące od bóstwa Rangdy człowiekowi, który miał niewielkie pojęcie o problemach religijnych. Jednak Randolph czekał w napięciu na coś, co przekonałoby go o prawdziwości słów doktora Ambarę.

–Rozumie pan – wyjaśnił w końcu doktor Ambara – kiedy żyjący zapadnie w trans śmierci, aby wejść do królestwa zmarłych, jego fizyczna obecność przywołuje demony. Wysyła fale, drgania w ten sam sposób, jak mucha przywołuje pająka, kiedy ląduje w jego sieci. Demony będą od razu śledzić intruza i ciągnąć go – o ile dadzą radę – do Rangdy. Istota żywa jest dla Rangdy rzadką zdobyczą i bogini może obficie nagrodzić demony, które ją do niej przyprowadzą. Rangda jest Wdową Wiedźmą, królową tych wszystkich złych duchów i upiorów, które polują na cmentarzach w nocy. Zazwyczaj musi zadowolić się mięsem zmarłych i gasnącymi duchami. Żywa istota jest prawdziwą uczcią.

–Powiedział pan przez telefon, że one mogą być także niebezpieczne dla zmarłych krewnych, dla ludzi, z którymi osoba żyjąca próbuje nawiązać kontakt – powiedział Randolph.

–Właśnie – skinął doktor Ambara. – Oprócz ich nienasyconego apetytu na żywych, Rangda nie rezygnuje oczywiście całkowicie z umarłych. A każda uczta z dusz daje jej większą satysfakcję, jeśli jest przyprawiona emocjonalnym cierpieniem. Bez wątpienia byłaby zachwycona, pożerając duchy ukochanych zmarłych na oczach żyjącego krewnego, zanim i jego by pożarła.

–Jest pan bardzo elokwentny, doktorze Ambara – powiedział Randolph z odcieniem cierpkości.

–Wszyscy Indonezyjczycy znają opowieści i legendy o Rangdzie. Poza tym mój wuj był arcykapłanem, którego my nazywamy pedanda, a mój ojciec przez wiele lat był indonezyjskim attache kulturalnym w Waszyngtonie. Sam również, od czasu gdy jestem w Stanach Zjednoczonych, wygłaszałem kilka wykładów na temat i zwyczajów i religii w Indonezji.

–Te demony... – powiedział Randolph – czy mają I jakieś nazwy? Może pan je opisać? Chciałbym wiedzieć, czemu muszę stawić czoło.

–Zwią je lejakami. Trudno powiedzieć, jak wyglądają, gdyż niewielu adeptów, którzy je spotkali, przeżyło. Ale niektórzy opisują je jako stworzenia o szarych twarzach z oczami błyszczącymi jak żarzące się węgle.

–Przypuśćmy jednak, że gdybym chciał spróbować skontaktować się z Marmie i dziećmi, musiałbym zrobić to tutaj, w Memphis, gdzie będą pochowani.

–Zgadza się.

–Ale z pewnością nie ma lejaków w Stanach Zjednoczonych?

–Nie ma w Indonezji niczego takiego, czego by nie było w pozostałej części świata. Być może mają inną powierzchowność, inne maski, ale generalnie są takie same. Istnieją w Memphis lejaki, mój drogi panie, upiory cementarne, które pozostają niewidzialne dla wszystkich z wyjątkiem tych, którzy studiowali duchowe dyscypliny Yama. Wielkie bóstwo Rangda jest tu także, Wdowia Wiedźma, chociaż może objawia się pod inną postacią. Świat bóstw i demonów nie jest taki sam jak nasz, panie Clare. One potrafią być wszędzie i nigdzie, potrafią zmieniać swoje położenie w czasie i przestrzeni tak łatwo jak otwierać drzwi. To jest jedna z pierwszych rzeczy, jakiej nas uczą, kiedy jesteśmy młodzi. Niektóre z mniejszych demonów być może nie są tak biegle w poruszaniu się, ale znajdują własny sposób rozciągania swoich wpływów... Na przykład Buta, które wdychają odrażające choroby w usta swoich śpiących ofiar. Jako lekarz, nie powinienem tego panu mówić, ale specjalista indonezyjski mający wysoką reputację jest przekonany, że AIDS zostało zapoczątkowane przez Buta, który tchnął tę chorobę w usta amerykańskiego kardiologa Lindstroma, uczestniczącego w sympozjum w Dżakarcie w 1976 roku. Doktor Lindstrom był entuzjastą zen, jogi oraz innych wschodnich dyscyplin i wszedł w trans. Kiedy był w transie, Buta go zaraził. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności oprócz tego, że doktor Lindstrom był praktykującym specjalistą od serca, był również czynnym homoseksualistą.

Wydawało się, że doktor Ambara chciał jeszcze coś powiedzieć. Jego woskowe czoło błyszczało od potu. Doszli już prawie do bramy prowadzącej z Ogrodów Dixon na Park Avenue, ale Randolph miał wrażenie, że lekarz nie uznał jeszcze ich rozmowy za skończoną. A sposób, w który pragnął odradzić Randolphowi poszukiwań zmarłej rodziny, wydawał się szczególnie nieprzekonujący.

Jakby doktor Ambara reklamował trans śmierci niczym fabrykę papierosów, a później dodawał ostrzeżenie, że „wejście do królestwa zmarłych jest niebezpieczne dla twojego zdrowia”.

–Gdybym pokrył panu wszelkie koszty – spytał Randolph bez ogródek – czy znalazłby mi pan adepta, kogoś, kto mógłby zabrać mnie w trans śmierci?

Doktor Ambara rozłożył czystą białą chusteczkę i potarł nią czoło.

–Czy pan rzeczywiście wierzy w cokolwiek z tego, co panu powiedziałem?

–Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinienem? Pan w to wierzy, prawda? Pomimo że został pan wykształcony tutaj w Ameryce.

–Panie Clare – powiedział doktor Ambara – nie jest pan w stanie nic powiedzieć na temat moich wierzeń. Pytał mnie pan, czy człowiek może spotkać swoich zmarłych krewnych. Jakoś pomimo mojej ostrożności, powiedziałem panu. To wszystko, co mogę zrobić. To wszystko, o co pan może mnie prosić.

–Doktorze Ambara, nie sądzę, żeby pan rozumiał, Jak wiele to dla mnie znaczy.

–No cóż, naprawdę to rozumiem.

–Przykro mi – odparł Randolph. – Doceniam, że poświęcił mi pan tyle czasu i porozmawiał ze mną. Doceniam wszystko, co pan zrobił. Nie chciałem zachować się lekceważąco.

–Lekceważąco? – spytał doktor Ambara, a potem uderzył się w policzek, jak ktoś, kto niespodziewanie zabija komara. – Sądzę, że to zależy od pańskiej definicji szacunku.

–Czy pomoże mi pan znaleźć adepta? – upierał się Randolph.

Doktor Ambara utkwiał wzrok w ścieżce.

–Mogę panu zapłacić, ile pan zechce – powiedział Randolph, w pełni świadom, jak melodramatycznie brzmią jego słowa. – Może potrzebuje pan jakiegoś medycznego wyposażenia. Aparatu rentgenowskiego, czy czegoś w tym rodzaju. Cholera, doktorze, może chce pan nowego cadillaca.

Doktor Ambara wyduł wargi, odwrócił się, pomyślał przez chwilę i znowu się odwrócił.

–Do tego nie można podchodzić tak lekkomyślnie – powiedział.

–Czy ktokolwiek mówi tu o lekkomyślności? – spytał Randolph. – Rozmawiamy o mojej żonie i dzieciach.

–Przypuszczam, że mógłbym spróbować – powiedział doktor Ambara.

W głosie Ambarę zabrzmiały dziwne nutki. Randolph jako doświadczony negocjator w interesach nagle rozeznał osobistą potrzebę, którą doktor Ambara chciał ukryć za troskliwie dobrane słowa. Nagle rozpoznał prawdziwą przyczynę braku przekonania u niego.

–Może się to stać z korzyścią dla nas obu – zauważył.

Doktor Ambara spojrział na niego, wyglądał, jakby miał się nie zgodzić, ale potem nagle szybko skinął głową i powiedział:

–Mogę poczynić pewne wstępne rozeznanie. Mam przyjaciół w Ambasadzie Indonezyjskiej, ludzi, którzy znali mego ojca.

–Pan wie, że ja zapłacę – powiedział Randolph.

–No cóż – rzekł doktor Ambara – być może pieniądze nie są głównym przedmiotem mojego zainteresowania w tej sprawie.

Doszli do bramy i doktor Ambara wyciągnął dłoń.

–Zadzwoń do pana, panie Clare, skoro tylko będę miał coś do przekazania.

–Nie jest pan złym sędzią, jeśli chodzi o ludzkie charaktery, prawda, doktorze?

Doktor Ambara mrugnął.

–Nie jestem pewien, czy pana rozumiem.

–Chodzi mi o to, że gdy pierwszy raz wspomniał pan o możliwości dotarcia do mojej rodziny, doskonale pan wiedział, że tego spróbuję.

Doktor Ambara wzruszył ramionami i spojrział w dal, Randolph nie wiedział, czy powinien dalej pytać go, czy nie. Kiedy jednak doktor nie uczynił żadnego ruchu, by odejść, powiedział:

–Ma pan swoje własne powody, abym ja chciał spotkać się z rodziną, prawda?

–Zrobię, co będę mógł, aby znaleźć panu adepta. To wystarczy.

–No cóż, na razie musi wystarczyć – odparł Randolph. – Ale nie będę wiedział, jak się panu odplacić, chyba że powie mi pan, czego pan naprawdę chce.

Doktor Ambara nagle odwrócił się i spojrział wyzywająco na Randolpha oczami pełnymi łez.

–Mojej żony, panie Clare. Tego właśnie chcę.

–Pańskiej żony?

Doktor Ambara skinął gwałtownie głową.

–Miała na imię Ana. Zginęła trzy lata temu w wypadku samochodowym na Poplar.

Rano pocałowałem ją na pożegnanie, a po południu zadzwonili do mnie z policji w Memphis, że ona nie żyje.

–Przykro mi – powiedział Randolph. – Powinien był pan mi powiedzieć.

–Ma pan dość własnego smutku, panie Clare.

Randolph wolno potarł policzek.

–A więc chce pan skontaktować się z żoną tak samo mocno jak ja z moją?

–Tak – powiedział doktor Ambara.

–Dlaczego pan więc tego nie zrobił wcześniej? Trzy lata to dużo czasu. Ma pan kontakty. Nie mógł pan znaleźć wcześniej adepta?

–Panie Clare, po prostu nie było mnie na to stać. Skontaktowałem się z jednym człowiekiem, a on chciał pół miliona dolarów. Drugi chciał mniej, ale ma z kolei zbyt słabe doświadczenie. Nie boję się ryzykować swojego życia, rozumie pan, ale nie chciałbym narazić życia wiecznego mojej żony.

Wytarł nos i powiedział:

–Kiedy przywieziono pana do kliniki, panie Clare, ujrzałem w panu, mimo pańskiej tragedii, moją jedyną nadzieję. Gdyby wyłożył pan pieniądze, aby wynająć zdolnego adepta, wtedy ja także mógłbym z tego skorzystać. Byłem jednak wobec pana ostrożny. Nie chciałem, żeby pan myślał, że wyludzam od pana pieniądze, żerując pańskiej żalobie. Nie chciałem także przed panem zatajać realnych niebezpieczeństw, jakie się z tym wiążą.

–Muszę jechać do domu i przemyśleć to – powiedział Randolph.

–Nie chcę pana do niczego zmuszać – powiedział doktor Ambara.

–Wiem o tym – odparł Randolph – ale to, co mi pan dzisiaj powiedział wymaga uporządkowania. Straciłem całą rodzinę w tym tygodniu i w tym samym tygodniu mówi mi się, że mogę z nimi rozmawiać, chociaż nie żyją. Ostrzega się mnie także przed demonami, wiedźmami i stworami o szarych twarzach, niczym zombie. Musi pan przyznać, że to bardzo wiele do przełknięcia. Większość ludzi potrzebuje całego życia, aby pogodzić się z myślą, że ich ukochani nie żyją, nie wspominając już o całej reszcie.

–Być może pomyliłem się – powiedział doktor Ambara.

–Nie – zapewnił go Randolph. – Nie pomylił się pan, ale przydałoby się trochę więcej szczerości.

–Jest pan Amerykaninem – zauważył doktor Ambara, a w tej odpowiedzi mieściło się więcej, niż było widać na pierwszy rzut oka.

Uścisnęli sobie dłonie i doktor odszedł na sztywnych nogach przez południową mgiełkę. Randolph obserwował go krótko, potem przeszedł przez parking do swojego złotawego mercedesa, otworzył drzwiczki i wsiadł. Kiedy zadźwięczał sygnał wyłączającego się alarmu, był pewien, że usłyszał jakiś głos wymawiający jego imię, ale był on prawie tak samo wysoki jak sygnał, a więc nie potrafił powiedzieć ani czyj

to głos, ani czy naprawdę coś słyszał.

Siedział marszcząc brwi, z wyciągniętym kluczykiem w dłoni, nasłuchując, ale niczego więcej już nie usłyszał. Potrząsnął głową, aby ją oczyścić. Miles Linklater ostrzegał go, że przez długi czas może doświadczać halucynacji na temat Marmie i dzieci; może słyszeć ich głosy, dostrzegać ich w tłumie na lotnisku, czuć ich dotyk, kiedy będzie na pół śpiący.

Miał jednak wyraźne uczucie, że cokolwiek ten głos powiedział, że jakakolwiek była to halucynacja, kryło się w tym ostrzeżenie, wiadomość od Marmie, aby na siebie uważał.

Rozejrzał się wokół. Obok przechodzili turyści, uroczyście i poważnie jak karnawałowe kukły na paradzie. Mały chłopiec na wrotkach zręcznie jeździł między zaparkowanymi samochodami. Tulipanowce kiwały się i drżały we mgle, jakby były czymś podniecone. Gdzieś w pobliżu było coś, ktoś... jakieś wrażenie, które powodowało, że Randolph się zawahał przez moment, zanim zapuścił silnik.

Potem zrozumiał, co to było. Policjant na motocyklu koszuli khaki i hełmie na głowie, z oczami skrywający się za okularami słonecznymi, wpatrywał się w niego intensywnie z przeciwnej strony parkingu.

Z początku Randolph myślał, że chyba się pomylił. Dlaczego miałby go obserwować glina? Ale kiedy zapalił mercedesa i wyjechał z parkingu, ujrzał, że tamten człowiek skręca w tym samym kierunku, co on. Nie było wątpliwości, Randolph znajdował się pod obserwacją. Jadąc na zachód Park Avenue w kierunku Lamar między drzewami, które nachylały się nad autostradą jak osłabione duchy, spojrzął w lusterko wsteczne i upewnił się, że glina pędzi na swoim motocyklu trzydzieści metrów za nim.

Randolph nie dał poznać, że zauważył policjanta. Jechał prosto do Zamku Clare pasem najszybszego ruchu. Skręcając w bramę, ujrzał jak policjant przejeżdża, potem bierze zakręt i pędzi z powrotem do miasta. Charles otworzył mu drzwi, z poważną miną, ubrany na czarno.

–Panie Clare? – spytał, jakby wyczuł, że stało się niezwykłego.

Ale Randolph po prostu wszedł do domu, przeszedł szybko przez hol i rzekł:

–Czy wyciągnąłeś mój czarny garnitur? Musimy być na lotnisku o drugiej godzinie, kiedy przyleci samolot.

–Tak, panie Clare – odparł Charles, głosem przygaszonym przez smutek. – Wyjąłem pański czarny garnitur.

Rozdział X

Orbus Greene siedział niczym imperator przy swoim stoliku w restauracji „Cztery ognie”, wytrwale pożerając specjalność zakładu, podwójne Chateaubriand Bouquetiere. Kelnerzy uwijali się w tę i z powrotem, przynosząc mu świeże koszyki bułeczek, dolewając sosu do sosjerek, dokładając na półmiski słodkich ziemniaków i szparagów z masłem. Nie licząc wszędobylskich goryli, którzy nic nie jedli, Orbus był sam i to właśnie lubił. Zresztą jak twierdziła większość biznesmenów w Memphis, którzy kiedykolwiek mieli nieszczęście przyłączyć się do niego podczas posiłku, towarzyszenie Orbusowi w tej czynności nie było niczym przyjemnym. Nawet Waverley Graceworthy przyznał raz, że obserwowanie jak Orbus je, nie jest apetycznym widokiem.

Tańcząc i kołysząc się jak kaczka, z drugiej strony restauracji podszedł do niego kierownik sali.

–Panie Greene, czy wszystko panu odpowiada?

Orbus z pełnymi ustami i wargami błyszczącymi od masła skinął głową.

–Przykro mi, że muszę panu przeszkodzić w posiłku, ale...

Orbus uniósł wielką białą Inianą serwetkę, która była zatknięta za jego kołnierzyk, i otarł nią usta. Jego goryle unieśli swoje zimne, puste oczy i wpatrzyli się w kierownika, jak gdyby jedno niewłaściwe słowo miało wywołać nagłą śmierć.

–Tak? – spytał Orbus.

–Poproszono mnie, abym zwrócił pańską uwagę na fakt, panie Greene, że pan Graceworthy czeka na zewnątrz w swojej limuzynie. Byłby bardzo wdzięczny, gdyby mógł pan na chwilę opuścić stolik i porozmawiać z nim.

Orbus przesunął swoje olbrzymie cielsko w białej marynarce na specjalnie dla niego sprowadzonym przez kierownictwo „Czterech ogni” powiększonym dębowym krześle. Jego workowate oczy skierowały się na talerze, gdzie czekał na niego nie dokończony krwisty chateaubriand, a potem w okno restauracji, przez które było widać maskę cadillaca Waverleya, zaparkowanego po drugiej stronie Poplar Street.

Bez słowa Orbus ukroił sobie następny kawałek steku i żuł go z zadowoleniem. Przełknąwszy, otarł usta i zwrócił się do swoich chłopców.

–Pan Graceworthy życzy sobie na słówko. Zabawimy go, dobrze?

Nikt oczywiście się nie zaśmiał. Ani kierownik sali, który wiedział z trudnego doświadczenia, co przytrafi się komuś, kto próbuje przeszkadzać Orbusowi Greene’owi podczas świętej tuczarni obiadu, ani chłopcy, którzy regularnie byli wzywani do skorzystania ze swych ujmujących zdolności wobec tych, którzy przerwali Orbusowi posiłek. Orbus często odwoływał się do Memphis i tutejszych restauracji jako do swoich korzeni, ponieważ tylko w Memphis mógł znaleźć pieczone żeberka wieprzowe, wędzone kaczę, smażonego łososa i ostrygi Bienville, co uznawał za podstawę swojego życia.

Goryle pomogli Orbusowi powstać z krzesła. Potem odprowadzeni wzrokiem przez innych gości, wytaszczyli go przez drzwi na drugą stronę Poplar w procesji niczym z obrazu Brueghla. Było południe, słońce przebijało się przez mgłę, betonowy chodnik lśnił jak piasek na pustyni. Cadillac Waverleya Graceworthy’ego, starannie

nawoskowany, stał tuż przy krawężniku, jego karoseria błyszczała, jakby odbijała całą galaktykę gwiazd. Silnik szumiał cicho, aby wewnątrz działała klimatyzacja. Wszystkie jego przydymione okna były szczelnie zamknięte.

Jeden z ludzi Orbusa bezczelnie zastukał w tylną szybę, chociaż doskonale wiedział, że jest dokładnie widziany z wnętrza limuzyny. Orbus stał spocony na chodniku. Drzwiczki cadillaca otworzyły się, z wnętrza wydostał się podmuch chłodnego powietrza i Waverley Graceworthy elegancko wyszeptał:

–Wsiądź proszę, Orbusie. Na zewnątrz musi być gorąco.

Orbus podtrzymywany pod łokcie przez swój orszak z trudem wsiadł do samochodu. Zawieszenie ugięło się i zakołysało. Kiedy w końcu prawa noga Orbusa została wepchnięta do środka, zamknięto drzwi z cichym trzaskiem, niczym drzwi od sejfu. Goryle zgrupowali się luźno pod najbliższym murem, gdzie przyczesywali sobie włosy i czyścili czubkiem noża paznokcie.

Waverley Graceworthy wyglądał trochę na zmarnowanego. Był ubrany w najbledszy odcień szarości i sączył pomarańczowego Perriera z wysokiej zmrożonej szklanki do whisky.

–Tak mi przykro, że przeszkodziłem ci w twoich obrzędach – powiedział bez cienia kpiny w głosie.

–Czy to aż takie pilne? – spytał Orbus, wyciągając swoją ogromną zieloną chustkę do nosa i wycierając w nią twarz. Odbiło mu się, czym wprawił całą limuzynę w drżenie. Waverley popatrzył w drugą stronę ze słabo ukrywanym niesmakiem.

–Randolph Clare zachowuje się nieobliczalnie – zaczął Waverley. – Nie wiem, co zamierza, ale był w śródmieściu i widział się z jakimś czarnym typem, zwanym Jimmy Żeberko, a ten prawdopodobnie powiedział mu coś o Reesie.

–Powiązał Reece’a z tobą? – spytał Orbus, chowając swoją chusteczkę.

–Nie wiem, ale Reece zapewnia, że nie.

–No cóż – odezwał się Orbus – myślę, że Reece powinien zniknąć. Paru umiejętnionych ludzi wokół to niezła rzecz, aby mieć pewność, że interes dobrze pójdzie, ale Reece jest maniakałnym zabójcą. Zobacz, co zrobił z rodziną Randolpha. Miał ich tylko nastraszyć, na miłość boską, a nie zmasakrować. Marmie Clare była piękną, dobrą kobietą. Gdybym był innego rodzaju mężczyzną, sam doceniłbym taką kobietę.

–O czym ty mówisz? – spytał gniewnie Waverley. – Mieliśmy pozwolić Clare Cottonseed rozwijać się w sposób niekontrolowany, pozwolić, by sprzątnęli nam najlepsze kontrakty sprzed nosa? Potrzebujesz tego kontraktu z Sun-Taste, Orbus. Jak będziesz wyglądać za pół roku, jeśli ich nie podłapiesz? Ani się nie spodziewasz, jak Clare stanie się największym i najbardziej dochodowym przetwórcą, a Cottonseed Association będzie wyglądała jak chory człowiek z Memphis.

–Nadal nie wiem, dlaczego podjąłeś aż tak ekstremalne środki – powiedział Orbus. – Parę pożarów w zupełności by starczyło albo kilka karaluchów ukradkiem podrzuconych do produktu. W ten sposób rozprawileś się z Shemem Owenem, kiedy zaczynałeś działać. Stopniowo ucierałeś mu nosa.

–Randolph Clare to nie Shem Owen. To trudniejsze przedsięwzięcie – odparł

Waverley.

–Ale przecież już prosił nas o współpracę – przypomniał mu Orbus. – Kiedy zadzwonił do mnie wczoraj, prosząc Association o pomoc, nie zgrywał się, był poważny. Mógłbyś postawić mu warunki, które całkowicie by go nam podporządkowały, nawet gdyby podniósł produkcję.

–Nie zgodziłby się na to – warknął Waverley.

–W takim razie, prawdopodobnie i tak straciłby Sun-Taste. Nie wiem, dlaczego jesteś taki napalony na niego?

Waverley jadowicie popatrzył na Orbusa.

–A jak ty, do cholery, sobie to wyobrażasz? Przypuśćmy, że nawet straci Sun-Taste. I co z tego? Nadal będzie żył, prawda? Nadal będzie w interesie i zanim się spostrzeżemy, dogoni nas, dysząc nam w karki.

Orbus zdziwił się. Nigdy nie słyszał Waverleya tak podnieconego. Z pewnością nigdy też nie słyszał, żeby mówił w sposób tak szczery na temat zniszczenia jednego ze swych rywali.

–Mówisz tutaj o morderstwie, Waverley – powiedział trzeźwo.

–Mówię o przeżyciu – powiedział Waverley, a jego policzki pokryły się wypiekami.

–Czy w tym wszystkim nie ma czegoś osobistego? Wiem, że ty i Randolph nie zgadzaliście się, ale... to zaczyna wyglądać na coś więcej.

Waverley dotknął twarzy końcami palców, jakby chciał się upewnić, że nadal jest na swoim miejscu, jakby to była maska raczej, a nie prawdziwa twarz.

–SzeF Moyne ma oko na Randolpha. Jeśli stwierdzi, że tamten wtyka swój nos gdzie nie trzeba... no cóż, SzeF Moyne jest ze mną w kontakcie.

–A co z tym czarnym? Tym, który powiedział Randolphowi o Reesie?

–Powiedziałem ci – rzekł Waverley. – Reece upewni się, że nie będzie dalej rozsiewał podobnych historii.

Orbus przeniósł swoją wagę z jednego ogromnego pośladka na drugi.

–Czy to oznacza, że jutro przeczytam o nim w „Press-Scimitar”: „Znaleziono rozczłonkowanego czarnego mężczyznę z rozprutym podgardlem w lesie Meeman-Shelby”? Muszę ci powiedzieć, Waverley, że to wyraźnie zaczyna się wymykać z rąk.

–Orbus – odparł zimno Waverley – życie Randolpha albo nasze, wierz mi.

Orbus milczał. W końcu zapytał:

–Co mam mu odpowiedzieć na jego propozycję dotyczącą Sun-Taste?

Orbus oparł się pokusie, by powiedzieć, że chciałby posłać wiadomość Randolphowi, że nie będzie się kłopotał żadnymi umowami, ponieważ Waverley zabije go, zanim zdążą podpisać papiery. Ale słusznie domyślił się, że Waverley miał już dość sarkazmu jak na jeden dzień. Zawsze podejrzewał, że Waverley jest niebezpiecznym człowiekiem. Teraz zaczynał rozumieć, jak bardzo potrafi być bezlitosny.

–Zwódk go – powiedział Waverley. – Zrób trochę zachęcających posunięć, jakbyśmy rzeczywiście poważnie to rozważali. Ma tylko siedem dni, aby uporać się ze spadkiem produkcji. Im więcej czasu straci z nami, tym będzie miał mniejsze szansę podpisać umowy z kim innym.

–Jak przebiegają roboty naprawcze w Raleigh? – spytał Orbus.

Waverley uśmiechnął się.

–Wolno, dzięki twojemu przyjacielowi. Szczęśliwie nie powinni wrócić do pracy jeszcze przez kolejne trzy dni, może cztery.

–Dobrze zatem – powiedział Orbus. – Co zamierzasz zrobić?

–Dam mu trochę czasu na pochowanie rodziny, a potem ponownie ocenię sytuację w interesie. Wtedy też podejmę ostateczną decyzję. Nasz przyjaciel mówi, że plan na najbliższe pół roku jest lepszy, niż wyglądało to w zeszłym tygodniu, głównie dlatego że sprzedali niektóre ze swych udziałów w porcie i opróżnili magazyny w Woodstock Industrial Park. Nawet jeśli stracą Sun-Taste, mogą nadal osiągnąć dziewięćdziesiąt procent dzisiejszego poziomu produkcji w okolicy sierpnia przyszłego roku. To tylko przypuszczenie.

Orbus znowu zaczął wyciągać swoją chusteczkę. Mimo klimatyzacji trzydzieści stopni wewnątrz cadillaca powodowało, że się pocił.

–To dobry menedżer, ten Randolph, musisz mu to oddać.

Waverley nie podniósł tematu. Zamiast tego powiedział:

–Reece być może jest gwałtowny, ale wie, co robi. Może zaaranżować to tak, że będzie wyglądało na samobójstwo. „Złamany żałobą rekin przemysłu przetwórczego postanowił ostatecznie skończyć ze wszystkim”. Będiesz mógł o tym przeczytać w „Press-Scimitar”, mój przyjacielu.

Orbus otarł twarz w zamyśleniu. Randolph Clare go nie obchodził. Nie lubił jego pewności siebie, którą odbierał jako zarozumiałstwo, a szczególnie nie lubił ciągłych odmów Randolpha, aby stać się członkiem Cottonseed Association, co brał za arogancję. Mimo wszystko nie był entuzjastycznie nastawiony do radykalnych metod Waverleya, i nawet jeśli nie wierzył, że życie innych ludzi jest tak samo święte jak jego własne, nadal uważał, że jednak jest ono umiarkowanie święte. W opinii Orbusa w interesie bawełnianym nie ma niczego takiego, dla czego warto byłoby zabijać, chociaż ten, któremu by się zdarzyło wylądować na bezludnej wyspie z Orbusem Greene'em bez jedzenia, znalazłby się w poważnych tarapatach.

Wsadził jeden gruby palec pod klamkę drzwiczek cadillaca i otworzył je.

Natychmiast jeden z jego goryli nachylił się i wziął go pod ramię.

–Wszystko w porządku, panie Greene?

–Dziękuję, Vinnie, wszystko dobrze – wysapał Orbus. – Myślę, że możemy wrócić do chateaubrianda.

–Mam dla pana wiadomość, panie Greene. Z uwagi na to, że musiał pan go zostawić w połowie, i z uwagi na to, że on na pewno ostygł, zamówiłem dla pana świeży.

Orbus uszczyptał chudy, lisi policzek Vinniego.

–Dobry z ciebie chłopak, Vinnie, daleko zajdziesz. Do widzenia, Waverley. Miło mi było z tobą porozmawiać. Bądź tak miły i nadal informuj mnie o wszystkim.

–Możesz na to liczyć, Orbus – powiedział Waverley, bębniąc swoimi delikatnymi palcami po oparciu cadillaca i zastanawiając się, ile czasu minie, zanim system klimatyzacyjny usunie zapach czosnku i potu.

Waverley Graceworthy serdecznie nie cierpiał Orbusa Greene'a. Był tak przewrażliwiony na punkcie swojej fizycznej słabowitości i krzywd, które, jak obsesyjnie wierzył, go spotkały, że żył w ciągłym stanie rozgoryczenia. Ostatnio jego gniew nasilił się, a gorycz pogłębiła. Dwie z jego sekretarek odeszły, jedna po drugiej, z powodu jego zjadliwych uwag. Był niczym obrażliwa marionetka, rozpustny Charlie McCarthy. Ale nikt nie zauważył, że jego chorobliwy temperament rósł wprost proporcjonalnie do coraz większego powodzenia Clare Cottonseed i pączkującego bogactwa Randolpha Clare.

Jadąc z powrotem do centrum na Cotton Row, wyglądał z okna cadillaca i myślał o starych dobrych czasach przed Kennedym i Johnsonem, o prawdziwych południowych demokratycznych czasach, i wszystkich tych parnych latach w Memphis, kiedy czarni dostawali, co im się należało, kiedy odbywały się przyjęcia i festiwale, damy nosiły białe suknie, a on i wszyscy jego bawelniani przyjaciele tańczyli, pili i flirtowali z najładniejszymi dziewczynami. Grano wtedy prawdziwego bluesa na Beale Street, prawdziwego sprośnego bluesa, nie homogenizowane honky-tonky, które teraz gra się w Teatrze Starej Daisy. Nie było centrum rozrywkowego na Mud Island, deptaków ze sklepami, jednoszynowych kolejek szwajcarskich ani barów bistro. Elvis Presley był młodym kierowcą ciężarówki, a Waverley Graceworthy był księciem Memphis.

Gorące, lubieżne, podniecające dni dawno odeszły. Podobnie jak odeszła Ilona, najpierw go porzuciła, a w końcu zmarła.

Ostatnio nigdy nie wymawiał jej imienia, chociaż obiecał sobie, że będzie to robił każdego ranka zaraz po przebudzeniu. To tak boli, jest takie okropne i przygnębiające, że zamiast powoli zapomnieć o niej z upływem kolejnych lat, odczuwał coraz dotkliwszy ból, aż pewnego dnia stał się on nie do zniesienia. Oczywiście, wiedział dlaczego, chociaż nigdy nie chciał się do tego przed sobą przyznać. Znał doskonale swoją psychikę, ale wolał nie przyznawać się do niej otwarcie. Gdyby tak zrobił, musiałby zakwestionować intensywność swojego gniewu i podstawę swojej mściwości. Prawda była taka, że odczuwał prawdziwe zadowolenie z bycia mściwym, czerpał przyjemność z zemsty. Był człowiekiem wyjątkowo okrutnym, ponieważ zdawał sobie sprawę ze swego okrucieństwa, z tego, co je powodowało i co je mogło uleczyć.

On i Richard Reece byli doskonałymi partnerami, ponieważ Richard Reece był okrutny, nie wiedząc i nie interesując się tym dlaczego. Mogli podziwiać swoją wzajemną nieczułość, jednocześnie podziwiając swoją niezwykłą umysłowość. Richard Reece był świadom, że Waverley wyda mu rozkaz, co ma robić, a Waverley był świadom, że Richard Reece będzie mu posłuszny.

Jimmy Żeberko miał niedługo przekonać się o doskonałości ich współpracy, ponieważ właśnie limuzyna Waverleya skręcała w Linden Street. Jimmy obudził się w mieszkaniu na Tutwiler Street, gdzie nierozważnie spędzał noc, gdy usłyszał gwałtowne stukanie do drzwi sypialni.

–Kto tam? – zawołał. Usiadł na łóżku, okręcając się prześcieradłem. – To ty, Linda?

Pukanie powtórzyło się gwałtowniej niż przedtem. Jimmy Żeberko zsunął się z łóżka na podłogę w poszukiwaniu spodni i koszuli. Chwycił go strach. Spędził noc z Lindą, ponieważ go zaprosiła i ponieważ chciała, by się z nią podzielił świeżym białym proszkiem. Nie stało się nic niemoralnego oprócz tego, że Linda tańczyła po całym pokoju do ciężkich rytmów Z.Z.Top, podrzucając dłońmi swe nagie piersi w górę i w dół, chichocząc słodko i piskliwie. Ale może jej kochanek, Earle Gentry, ma inny pogląd na tę sprawę, chociaż Linda wyszła do pracy już kilka godzin temu, a Jimmy Żeberko został u niej i odsypiał noc.

–Kto tam? – powtórzył Jimmy Żeberko, usiłując wbić się w swoje spodnie i podskakując do pomalowanej na brązowo bieliźniarki, gdzie zostawił swój myśliwski nóż o długim ostrzu. – To ty, Earle? Dlaczego tak walisz?

Pukanie nagle ustało. Jimmy Żeberko również się zatrzymał w połowie drogi. Mieszkanie Lindy znajdowało się w źle nasłonecznionej części budynku. Blade paski odbitego światła pokrywały kwiecistą tapetę i dosięgały do czubka nosa Steviego Wondera z plakatu na przeciwległej ścianie. Linda uważała, że po „I Just Called to Say I Love You”, powinni przestać w ogóle pisać piosenki. Po niej nic już nie można było wymyśleć.

–Sprawia, że wariuję – twierdziła. Jimmy Żeberko podszedł bliżej do drzwi.

–Jest tam kto? – dopytywał się. Pot perlił się na jego czarnym jak smoła czole i w zagłębieniach klatki piersiowej. Na szyi nosił krzyżyk oraz wszelkie przynoszące szczęście talizmany z prawie każdej religii znanej ludzkości. Przebiegł językiem po swoich wielkich żółtych zębach i pociągnął nosem w charakterystyczny suchy i świszczący sposób.

–Pytam się, czy ktoś tam jest?

Odpowiedź była ogłuszająca i widowiskowa. Trzema równomiernymi kopnięciami drzwi zostały wyważone z zawiasów i runęły do środka płasko na podłogę. Jimmy Żeberko skoczył do tyłu i sięgnął po swój nóż, świszcząc między zębami. „OK, dupki jedne, zobaczcie, co potrafi Jimmy Żeberko, OK, Jimmy Żeberko jest najszybszym, najlepszym, najbardziej niemiłosiernym artystą noża na całym świecie”. Ale pierwszy ufny przejaw agresji i siły zgasł jak nie nakręcony gramofon, kiedy trzech wysocy, barczyści mężczyźni wkroczyli do pokoju z twarzami przykrytymi maskami hokejowymi. Jeden z nich miał karabin z uciętą lufą, drugi kłęb drutu kolczastego, a trzeci podzwaniał piłą o dużych zębach, uderzając nią o otwartą dłoń.

–Czego wy, gogusie, chcecie? – zapytał lękliwie Jimmy Żeberko.

Mężczyźni nie odpowiedzieli, tylko go otoczyli. Najniższy z nich był prawie cztery cale wyższy od niego, a wszyscy byli o wiele mocniej zbudowani. Jimmy Żeberko słyszał ich chrapliwe oddechy zza masek.

–Czego chcecie? – powtórzył Jimmy Żeberko. – Kto was przysłał? To jakaś pomyłka, co? Jakiś błąd? Pewnie ktoś was źle poinformował. Co to ma znaczyć, wyłamaliście mi drzwi, i w ogóle? To nie jest nawet moja chata, ludzie. Hej, być może to jakiś rodzaj śpiewającego telegramu, co?

Człowiek z uciętym karabinem pchnął go lufą w nagi brzuch i skierował na łóżko. Jimmy cofał się krok po kroku, aż w końcu musiał usiąść.

–Odczepcie się ode mnie, ostrzegam was, ja mam przyjaciół. Mam nawet przyjaciół w policji.

Mężczyźni jednak nie zwracali na to uwagi. Odłożyli piłę i drut kolczasty, potem wyciągnęli ręce Jimmy’ego nad głowę i przywiązali za nadgarstki do łóżka. Jimmy pocił się, sapał, wił, ale mężczyźni byli zbyt silni dla niego, a on zbyt przestraszony, by dalej mówić. Mężczyzna z obciążonym karabinem trzymał lufę tak blisko nosa Jimmy’ego, że ten mógł wyczuć zapach oliwy. Mężczyźni nie wyglądali na żartownisiów. Drut wcinał się w skórę Jimmy’ego, a im bardziej się zmagali, tym boleśniej drut się wpijał. Zaciskał zęby i jęczał, ale mężczyźni nadal milczeli.

–Słuchajcie, chyba robicie jakiś błąd – protestował Jimmy. – Wierzcie mi, nawet nie dotknąłem tej kobiety. Wąchaliśmy kokę, to wszystko. No, może trochę tańczyliśmy, ale nawet jej nie dotknąłem.

Nadal nie było odpowiedzi. Brak odpowiedzi podziałał na Jimmy’ego przytłaczająco. Sam był twardym człowiekiem; dźgał nożem kobiety i mężczyzn bez żadnych skrępowań. Ale nigdy nie spotkał nikogo tak zimnego i niekomunikatywnego jak ci zamaskowani faceci. Zabijasz, ponieważ jesteś zły. Zabijasz, ponieważ ktoś postąpił wobec ciebie niewłaściwie, ubliżył twojej kobiecie, ukradł ci pieniądze, zniszczył ci samochód. Ale zawsze twoja ofiara wie, co robisz i dlaczego. Przynajmniej Jimmy Żeberko tak postępował. Dlatego właśnie ci milczący, pozbawieni twarzy mężczyźni przerażali go. Mieli zamiar zrobić coś złego, nie było co do tego wątpliwości, ale nie wiedział co ani dlaczego, ani nawet, kim byli.

–Mam trochę pieniędzy. Rozumiecie? Mogę wam zapłacić. Ile chcecie? Kilka tysięcy na każdego? Dam wam. Może dwa tysiące, jak sądzicie?

Wtedy dwaj mężczyźni złapali Jimmy’ego za kostki, a trzeci, najwyższy, chwycił piłę. Popatrzył na Jimmy’ego przez otwory w masce, potrząsnął piłą tak, że zadrżała i zaśpiewała.

–Co zamierzasz zrobić? – spytał Jimmy suchymi wargami. – Co zamierzasz zrobić z tą piłą?

Bez dalszych wstępów mężczyzna chwycił za prawe udo Jimmy’ego i ciął przez nie zębami piły, rozdzierając czarną bawełnę spodni, czarną skórę i szkarłatne ciało. Jimmy wrzasnął i zawisnął na drutach wiążących jego nadgarstki.

–Moje nogi, człowieku! Nie moje nogi! Na miłość boską, człowieku, nie moje nogi!

Wrzeszczał i wrzeszczał, ale ludzie w budynku na Tutwiler Street byli mieszkańcami, którzy trzymają się od wszystkiego z daleka, i nawet jeśli mąż dusił swoją żonę w sąsiednim mieszkaniu, nie przyszłoby, chyba że później zobaczyć ciało, jak je wiozą przez korytarz. Straszliwy wrzask Jimmy’ego Żeberko mógł oznaczać prawdziwe kłopoty, a więc ustawili głośniejsze telewizory, zamknęli drzwi na trzy spusty i zastanawiali się, czy to coś bardzo poważnego.

O Boże, ten mężczyzna krzyczał jak jeszcze nikt przedtem.

Jimmy Żeberko oślepił i ogłuchł z bólu. Zęby piły były rdzawo czerwone od krwi, która tryskała po całym łóżku. Kiedy w końcu piła utorowała sobie drogę przez tłuszcz, mięśnie i dotarła aż do kości, nastąpiła ohydna piłująca wibracja, która dotarła do samej miednicy, przez kręgosłup aż do mózgu... a on nie przestawał

krzyczeć i krzyczeć i modlić się, aby piłowanie ustało.

Udało mu się jednak w końcu wydusić ze spopieliałych warg:

–Drugą nie, człowieku. Zostaw mi chociaż drugą. Proszę, nie drugą.

Ale mężczyzna z piłą obszedł łóżko, aby mógł uchwycić drugą nogę Jimmy'ego Żeberko.

Jimmy nie mógł już teraz krzyczeć. Leżał na plecach, a jego oczy pokryły się błoną jak u śniętego kruka. Myślał tylko o cierpieniu i o tym, że jego tu w ogóle nie ma; jest z powrotem w domu ze swoją matką jak za dawnych czasów, są urodziny jego siostry Juliette, był to chyba najszczęśliwszy dzień w jego życiu, tyle lat temu, zanim wplątał się w gang młodocianych. Widział zapalone świece na torcie swojej siostry, świecące i kołyszące się w powiewie, który szedł od okna. „Mamo, droga mamo, dlaczego tak strasznie cię zawiodłem? Ja i ten skurczybyk, mój ojciec”.

–Nie tę drugą, człowieku – wyświszczał między zakrwawionymi wargami, pogryzionym językiem. Mógł jednak słyszeć cięcie piły, chociaż nic już nie czuł, i słyszał dźwięk syren gdzieś na zewnątrz, śpiew ptaków, tych ptaków, które zawsze gnieździły się na dachu Lindy.

Gdyby Beale Street mogła mówić, gdyby Beale Street mogła mówić,

Mężowie opuściliby swoje łóżka i poszli,

Może z wyjątkiem jednego czy dwóch, którzy nigdy nie byli na gazie,

I ślepcy z narożnika, który śpiewa bluesa z Beale Street.

Mężczyzna uniósł drugą odciętą nogę Jimmy'ego. Jimmy gapił się na nią, a potem powiedział głucho:

–Zrobiłeś ze mnie kalekę, człowieku.

Mężczyzna potrząsnął głową.

–Obciąłeś mi nogi, człowieku – upierał się Jimmy.

Nie trafił jednak. Mężczyzna zrobił znacznie więcej, niż tylko go okaleczył. Łóżko było już czarne od krwi, gdyż obie arterie tryskały na prześcieradła. Za dziesięć minut Jimmy wykrwawi się na śmierć.

Trzej mężczyźni wyszli z mieszkania. Słyszał ich kroki na schodach. Leżał nieruchomo, z nadgarstkami ciągle przywiązanymi do łóżka, i starał się sobie przypomnieć, co takiego mógł zrobić. Wiedział, że stracił nogi, ale nie mógł w to prawie uwierzyć. Nadal je czuł i one go bolały. Może gdyby zdołał się uwolnić, mógłby zejść na dół do telefonu i zadzwonić do swojego przyjaciela Morrisa. Wiedział, że Morris przyjedzie i pomoże mu, nawet gdyby wszyscy inni go opuścili. Morris był w porządku.

Czas uciekał. Otworzył oczy i spróbował rozeznaczyć się, czy śpi czy nie. Wydawało mu się, że słyszy głosy, ale nie był pewien. Potem usłyszał, jak ktoś krzyczy i kobieta woła swoje dzieci, jeszcze raz i jeszcze raz, tak miarowo, że zaczęło go to irytować. Paski słońca stopniowo stały się bledsze, a potem zupełnie zniknęły. Linda zawsze narzekała na to, że jej mieszkanie jest takie ciemne, trzeba zapalać światło już o czwartej.

Pojawiła się nad nim biała twarz jak maska Halloween. Niewyraźny głos pytał:

–Czy on nie żyje?

Jimmy Żeberko otworzył oczy i powiedział:

–Nie umarłem, człowieku. Tylko odpoczywam – i biała twarz wydała przerażony okrzyk i zniknęła.

Jimmy uśmiechnął się, tylko trochę, ale znów kłamał. Ostatnia minuta jego zmarnowanego życia odpływała i wreszcie odszedł. Biała twarz wróciła i po długim milczeniu powiedziała:

–W porządku, nie żyje. Nie będzie już mógł węszyć. Jeszcze jeden martwy Murzyn.

Rozdział XI

Stali zwartą milczącą grupą na odległym końcu towarowego hangaru United Airlines, obserwując ze smutkiem, jak z bagażnika boeinga 767 są wyjmowane na zewnątrz trumny – cztery trumny, czarne, błyszczące od wosku, ze srebrnymi uchwyty i błyszczącymi na wierzchu piórami. Uroczysta procesja, która miała odprowadzić zamęczoną rodzinę Randolpha Clare do domu.

Milczeli, podczas gdy przyniesiono i złożono obok nich trumny, a wicedyrektor przedsiębiorstwa pogrzebowego Arjeman Prowda, wysoki i poważny w swoim czarnym garniturze i czarnym kapeluszu, wyszedł przed pierwszą trumną i zbliżył się do Randolpha z pięcioma czy sześcioma oznakami swojego współczucia: pochyloną głową, uniesionym podbródkiem, oczami smutno utkwionymi w jedno miejsce, dzielnie i rozumiejąco zmarszczonym czołem.

–Zabieramy zwłoki prosto do domu pogrzebowego – powiedział. – Jak się dowiedziałem od pana osobistej sekretarki, nie życzy pan sobie ich oglądać.

Randolph zerknął na Wandę, ubraną w czarny kostium i czarny kapelusz z woalką. Wanda, która rozmawiała z doktorem Linklaterem, próbowała łagodnie przekonać Randolpha, żeby zobaczył ciała. W zakładzie pogrzebowym troskliwie zamaskowano większość śladów tego, co się stało. Chodziło o to, że gdyby Randolph zobaczył ciała, musiałby się w końcu pogodzić z faktem, iż jego rodzina naprawdę nie żyje. Doktor Linklater obawiał się, że ta rzeczywistość jeszcze całkowicie do niego nie dotarła i wcześniej czy później Randolph przeżyje prawdziwe psychiczne załamanie.

Ani doktor Linklater, ani Wanda nie mogli przypuszczać, że Randolph odmówił widzenia ciał z prostego powodu, iż spodziewał się ujrzeć Marmie, Johna, Marka i Issę żywych, a przynajmniej duchowo żywych. Te cztery czarne trumny ze srebrnymi uchwyty zawierały tylko fizyczne powłoki, ziemskie skorupy tych, którzy go opuścili. Było mu łatwiej uwierzyć w filozofię doktora Ambary o reinkarnacji, nie oglądając ich. Było łatwiej uwierzyć, że nadal oddychają, rozmawiają, żyją, śmieją się. Nie tutaj, oczywiście, ale gdzieś indziej, i niezbyt daleko.

–Jest pan pewien? – spytała Wanda. – Mógłby to być sposób pożegnania się.

–Zaczyna pani mówić jak doktor Linklater – odparł Randolph, choć bez wyrzutu. Dyrektor uniósł pytająco brwi na Wandę, która pokręciła głową.

–Dobrze – powiedział, pochylając się w niechętnej zgodzie. – Ale mogę pana zapewnić, panie Clare, że pana ukochanym poświęcono wiele troski.

–Jestem pewien – odparł Randolph. W duchu pomyślał w nagłym, bolesnym spazmie bólu: „Marmie, moja kochana”.

Cztery trumny wywieziono z hangaru na promienie słoneczne. Randolph obserwował je, a potem skinął na Herberta, aby przyprowadził limuzynę i zawiózł go do domu pogrzebowego. Neil Sleaman, który jak dotąd stał z tyłu, wysunął się do przodu.

–Czy chce pan, abym jechał z panem? – spytał.

Randolph pokręcił głową.

–Wolałbym raczej, żebyś wrócił na Front Street i zajął się przesyłką z Levee

Cotton. I mógłbyś zorientować się, jakie postępy robią w Raleigh? Zdaje się, że się nieźle ociągają.

–Mają pewne kłopoty z systemem chłodzącym – wyjaśnił Neil. Jego czoło pokryte było potem, na przodzie jego białej koszuli ciemniała plama potu. Na dworze dochodziło prawie do sześćdziesięciu stopni w słońcu, a wilgotność wynosiła osiemdziesiąt siedem procent.

–Być może wezmę trochę wolnego – powiedział Randolph zniechęcony. – Niewiele, nie więcej niż tydzień. Czekają nas trudne chwile tutaj, Neil. Chciałbym być pewny, że utrzymasz wszystko w kupie i przywrócisz Raleigh do pracy... no cóż, dostaniesz nagrodę, jeśli ci się powiedzie.

Neil uśmiechnął się sztywno.

–Dziękuję. Doceniam to – odparł.

–Jeszcze jedno – odezwał się Randolph. – Spodziewam się telefonu od Orbusa Greene'a w odpowiedzi na moją propozycję, iż godzimy się na współpracę z Cottonseed Association, by podtrzymać kontrakt z Sun-Taste. Jak myślisz, dasz sobie radę?

–Pewnie, żaden problem – odparł Neil. – Ale jeśli sprawa zacznie się komplikować, przekażę ją panu. – Potem zawahał się przez chwilę i w końcu powiedział: – Zamierza pan wyjechać? To znaczy wyjechać z miasta na jakiś czas?

–Nie wiem jeszcze – odparł Randolph. – Będę wiedział dopiero po pogrzebie. Wiesz, to wszystko dla mnie jest prawdziwym szokiem. Myślę, że zrobiłbym niedźwiedzią przysługę wszystkim w Clare Cottonseed, gdybym od razu wrócił do pracy i udawał, że nic mi nie jest. Moja żona i dzieci właśnie odjechały w pogrzebowych karawanach, a więc najlepszą rzeczą dla mnie teraz jest wziąć trochę wolnego... niezbyt wiele, ale wystarczająco, aby pogodzić się z tym, co się stało.

Neil chwycił Randolpha pod łokieć i ścisnął go mocno.

–Pewnie – powiedział z przesadną wylewnością – pewnie, rozumiem. Proszę zostawić Orbusa Greene'a mnie. Żaden problem. Jeśli jest tak sprytny jak gruby, nie będzie sprawy.

–Tak – zgodził się Randolph. – Nie będzie sprawy.

Wanda milczała przez prawie całą drogę po Elvis Presley Boulevard do domu pogrzebowego. Randolph opadł na siedzenie, przymknął oczy i próbował myśleć o Marmie i dzieciach, ale jakoś rzeczywistość śródmieścia Memphis ciągle mu w tym przeszkadzała – ulice, budynki, ruch – i bardziej docierały do niego perfumy Wandy niż własne wspomnienia. Kiedy stanęli na światłach, Wanda zapytała:

–Nie powiedział mi pan, że pan wyjeżdża. Zdecydował się pan dziś rano?

–Mniej więcej. Powiedzmy, że mój bliski przyjaciel doradził mi to jako dobry pomysł.

–Czy postanowił już pan dokąd?

Randolph zawahał się, potem skinął głową.

–Tak, do Indonezji.

–Indonezji? – powtórzyła Wanda z niedowierzaniem? – Czy ma pan jakieś szczególne powody?

–Tak – odparł. – Mam.

–Nie wiedziałam, że ma pan przyjaciół w Indonezji.

–Nie mam.

–A więc wyjeżdża pan tak po prostu?

Randolph odchylił głowę na oparcie i patrzył w okno.

–Zabieram przyjaciela, no, raczej przewodnika.

–Martwi mnie pan – odparła Wanda.

Randolph odwrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem.

–Nie ma powodu do zmartwienia, obiecuję pani. Naprawdę, to nic takiego. Poza tym nie wiedziałem, że to panią obchodzi.

–Oczywiście, że to mnie obchodzi – odrzekła Wanda. – Chyba pan nie myśli, że sekretarka może pracować dla mężczyzny od dziewiątej rano do siódmej wieczorem, dzień w dzień przez trzy lata i nie martwić się o niego?

–No cóż, to mi schlebia – powiedział Randolph. – obiecuję, że nic mi nie będzie.

–Proszę zabrać mnie z sobą – poprosiła Wanda z rumieńcem na policzkach.

Randolph patrzył na nią badawczo przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

–Jak powinienem zareagować na taką propozycję?

–Może pan zareagować, jak tylko pan chce. Ale według mnie został pan nagle zupełnie sam, stracił stabilność i więzi, i jeśli pan nie będzie ostrożny w dwustu procentach, straci pan kontakt z rzeczywistością, ze wszystkim, co pan znał.

–Pani naprawdę mówi jak doktor Linklater – powiedział Randolph.

–No cóż, nawet jeśli tak, to co? Doktort Linklater dzwonił do mnie kilka razy po tym, jak pan opuścił klinikę, i tak samo jak ja martwi się o pana. Jeśli chce pan wiedzieć, zgadzam się z tym, co on mówi. Potrzebuje pan opieki, kogoś, kto utrzyma pana na ziemi. Pochlebiam sobie, że mogłabym być tą osobą. W końcu znam pana dość dobrze. Być może pan zapomniał przez jakiś czas, że ja istnieję, ale zatrudnił mnie pan, abym się panem opiekowała. Po jakimś czasie przestało to być pracą, a stało się powołaniem.

Randolph spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Uświadomił sobie, jaka jest ładna: ciemne, faliste włosy, szeroko rozstawione błękitne oczy, pełne różowe usta. Wiedział, że pracując dla Clare Cottonseed, zerwała poważny związek z oficerem marynarki z Millington. Krótka spotykała się z pewnym muzykiem, a potem z niesamowicie przystojnym młodym kierownikiem z Baptist Memorial Health Care System Inc. Randolph jednak nigdy nie przypuszczał, jak bardzo on ją obchodzi, nie w sposób romantyczny, oczywiście, ale jako człowiek, który polega na jej lojalności, bezinteresownej przyjaźni i codziennym poświęceniu.

–Pani mnie zawstydza – powiedział.

–Przepraszam – odparła podniecona.

–Nie, nie. To moja wina. Pani mnie zawstydza, ponieważ nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze pani o mnie dba. Z góry założyłem, że zawsze będzie pani dla mnie pracować. Wymagałem wiele, nie dając nic w zamian.

–To nieprawda. Zawsze pan cenił moją pracę i dobrze mi płacił. Nie mogę liczyć na nic więcej.

–Mylisz się, Wando. Może i tak się stanie.

–Nie rozumiem.

–No cóż... powiedzmy, że może masz rację. Być może rzeczywiście potrzebuję kogoś, kto będzie trzymał mnie na ziemi. To niełatwe, stracić rodzinę. To bardziej dziwne niż smutne. Twój cały świat nagle rozsypuje się jak popiół w dłoni... wszystkie twoje plany, cały porządek, wszystko, na co liczyłeś. Jest niczym, tylko popiołem, który przesypuje się pomiędzy palcami. I wiesz co? Nagle czujesz się wolny, czego nigdy się nie spodziewałeś. Stwierdzasz, że nie masz nikogo, o kogo mógłbyś się martwić, o kogo mógłbyś się troszczyć. Możesz wstać o północy i puszczać jazz na cały głos, a nikt nie powie: „Wracaj do łóżka, na miłość boską, chcę spać!” Możesz leżeć w wannie przez trzy godziny, aż woda zrobi się zupełnie zimna, a palce się pomarszczą, i nikt nie powie: „Wyłaź, masz tutaj ręcznik i owiń się w niego”. To dziwne uczucie. To boli. I może ty i doktor Linklater rozumiecie mnie i macie całkowitą rację. Może naprawdę potrzebuję kogoś, kto powstrzymałby mnie przed poszybowaniem w dal.

Randolph, obserwując, jak słońce prześwituje przez mijane drzewa i pokrywa błyszczącymi cętkami twarz Wandy, pomyślał: „Jak zwykle asekurujesz się, Handy Randy. Po prostu chcesz być pewny, że jeśli teorie ‘doktora Ambari na temat reinkarnacji okażą się nieprawdziwe, będziesz miał kogoś, kto cię obroni, kogoś, kto wypełni pustkę i uporządkuje chaos”.

–Naprawdę chcesz jechać ze mną? – spytał niepotrzebnie, jakby pytał głodną wieśniaczkę, czy chce czegoś do jedzenia.

Wanda skinęła głową.

–To znaczy, do Indonezji?

Randolph uśmiechnął się potwierdzająco.

–Chyba nie zasłużyłem na ciebie – dodał stłumionym głosem.

Wanda ostrożnie chwyciła go za rękę. Miała długie, starannie utrzymane paznokcie, pomalowane na perłowy róż. Mały złoty pierścionek na środkowym palcu prawej ręki. Nie miała obrączki ani zaręczynowego pierścionka.

–Zasługujesz na więcej, niż myślisz – powiedziała miękko. – Byłeś zawsze miły i wyrozumiały dla wszystkich. Swoich przyjaciół, rodziny, ludzi z biura. Słyszałam, jak mówisz. Patrzyłam na ciebie. Czy naprawdę tak trudno pogodzić się tobie, że ci sami ludzie chcą okazać ci uprzejmość teraz, kiedy tego potrzebujesz?

Dojechali do domu pogrzebowego na Madison. Cztery karawany stały przy krawężniku, a trumny były wniesione do środka. We frontowym oknie domu pogrzebowego odbijał się kłębiący popołudniowy ruch uliczny, kupujący, turyści, uliczni muzycy, poszarpane obłoki, rozświetlone okna i ciemnoniebieskie niebo. Życie kłębiło się obok śmierci. Napis na szybie z pozłacanych staromodnych liter głosił: „Arjemian Prowda. Usługi Pogrzebowe”.

Randolph spędził tylko dziesięć minut w kaplicy. Wanda czekała na zewnątrz. Bała się, że ujrzy go płaczącego i że sama może zacząć płakać. Cztery trumny rodziny Clare leżały jedna obok drugiej na długim, purpurowym podwyższeniu. Płonęły świece, a słońce stopniowo gasło za lustrzaną szybą, ukazując Jezusa z rozłożonymi

współczująco ramionami. „On otrze wszelką łzę z twoich oczu; i nie będzie już więcej śmierci; nie będzie już więcej umierania ani płaczu, ani bólu”.

Randolph klęczał z podciągniętymi nogawkami, aby nie wypchać kolan, biały kołnierzyk wpił mu się w szyję. „Dlaczego – myślał – życie wieczne ma tak straszliwą cenę? Jeśli życie wieczne istnieje, dlaczego można je tylko przez śmierć, ból, cierpienie? Kim jest Bóg, i daje nam cały świat, wszystko, co na nim jest i zdolność pokochania tego, a potem to wszystko odbiera?”

Na początku, kiedy zakochał się w Marmie, jego miłość była kapryśna, beztroska i nierówna. Jednak miłość wieku średniego była zupełnie inna. Płonęła w nim jak największy płomień. Była przytłaczająca, tak silna, że prawie obsesyjna. W wieku średnim zrozumiał po raz pierwszy, jakie śluby nałożyło na niego małżeństwo.

„Wielbię cię całym ciałem”. A słowo „wielbię” nie było przesadne wobec tego, co czuł do Marmie, ani tego, co ona czuła do niego.

Usiłował zmówić modlitwę nad trumnami, w których teraz leżała jego rodzina, ale udało mu się tylko wydusić:

–Do zobaczenia, Kocham was.

Kiedy jednak doszedł do drzwi kaplicy, odwrócił się, spojrzął na trumny i płonące świece i wyszeptał: – Zobaczymy się jeszcze. Zrobię, co w mojej mocy, obiecuję wam.

Wanda stała w marmurowym holu ze splecionymi przed sobą dłońmi, patrząc przez okno na ruchliwą ulicę, Randolph dotknął jej ramienia, a ona spojrzała na niego, sprawdzając, czy płakał.

–Wszystko w porządku – powiedział.

Wicedyrektor domu pogrzebowego wyszedł ku nim.

–Dziękuję, panie Clare. Poniedziałek rano w Forest Hill?

Randolph skinął niemo. Nie wiedział, jak wyrazić to, co czuje. Jedną jego część była pewna, że Marmie i dzieci odeszły na zawsze, ale druga desperacko uchwyciła się wiary, że doktor Ambara ma rację. Był lekarzem, wykształconym człowiekiem, i jeśli on powiedział, że Marmie i dzieci nadal żyją w niebie czy gdziekolwiek indziej, więc tak musi być, z pewnością.

„Czy to możliwe, aby oni zniknęli bez śladu, jak zgaszony płomień świecy w pogrzebowej kaplicy? Zniknęli jak rozwiany dym?”

–Zjesz ze mną kolację dziś wieczorem w Zamku Clare? – spytał Wandę Randolph.

–Czy Herbert mógłby mnie podwieźć do domu, żebym się przebrała? – spytała.

–To jedyny warunek?

–Musisz obiecać, że będziesz rozmawiał o swojej rodzinie, jeśli będziesz miał taką ochotę.

Randolph pochylił głowę.

–Tak – odparł. – Myślę, że mogę ci to obiecać. Herbert otworzył drzwiczki limuzyny, a oni wsiedli.

–Jeszcze jedno – powiedziała Wanda. – Nie chciałabym, żebyś myślał, że wykorzystuję cię z powodu tego, co stało się z twoją rodziną. Pragnę tylko upewnić się, że czujesz się lepiej.

Randolph dotknął jej ramienia.

–Mam nadzieję, że przyjmiesz to jako komplement, jeśli powiem, że o tym wiedziałem.

–To jest komplement – zgodziła się.

Jedli kolację w pokoju słonecznym, gdyż był on mniej formalny niż jadalnia. Ściany były obwieszane akwarelami: sceny z plaż europejskich, góry w Meksyku, dziewczyny z trzepoczącymi parasolkami. Lampka oliwna na stole dawała łagodne rozproszone światło i odbijała się w srebrnej zastawie. Randolph jadł tylko dla towarzystwa. Jego żołądek był jakby permanentnie zasupłany od czasu śmierci Marmie i wszystko, na co go było stać, to dwa małe kawałki ryby i trochę broccoli. Wanda powiedziała, że jest na nigdy nie kończącej się diecie, ale zmusił ją do spróbowania lukrowanych kasztanów pani Wallace. Pani Wallace usługiwała im uprzejmie i dyskretnie, chociaż czasami wtrącała się do rozmowy, czyniąc jedną czy dwie uwagi. Zawsze tak robiła, dlatego Randolph był przyzwyczajony. Nadal wierzyła, że należy do „towarzystwa”.

Po kolacji usiedli w ogromnym salonie o wypolerowanych podłogach, z biało-zielonymi zasłonami w kwiaty, i spoglądali na ogród. Było tak parno, że wszystkie tarasowe drzwi były otwarte, a krzaki błyszcząły od robaczków świętojańskich. Randolph nastawił płytę z IV symfonią Brahmsa i nalał im po kieliszku sauvignon z wytwórni win Cakebread.

–Czy to była ulubiona płyta Marmie? – spytała Wanda, słuchając muzyki. Przebrała się w szyfonową fałdzistą suknię z szerokimi rękawami w imponujące wzory, purpurowe, czarne i żółte. Włosy spływały swobodnymi lokami i po raz pierwszy Randolph widział w niej tylko dziewczynę i nic więcej. Sekretarka została w biurze.

–Nie – odparł. – Marmie nienawidziła Brahmsa.

–Wypędzamy duchy? – spytała Wanda.

Randolph sięgnął do stolika po swoją zapalniczkę.

–Nie. Nie wierzę w duchy. Nie w ten sposób.

–A w co wierzysz?

–Nie jestem pewien. Sądzę, że w pewien rodzaj życia wiecznego. Nigdy nie musiałem się nad tym zastanawiać, nie licząc czasu, gdy zmarli moi rodzice. Teraz byłem zbyt zajęty, aby próbować skupić się nad tym.

–Doktor Linklater obawia się, że jesteś za spokojny.

Randolph zapalił swoją fajkę.

–To, że jestem spokojny, nie oznacza, że nie cierpię. Przyjąłem jego radę i próbowałem nie taić swoich uczuć. – Przerwał na chwilę, przyglądając się płomieniowi zapalniczki. – Płakałem, wiesz – powiedział spokojnym głosem.

–Przepraszam – powiedziała Wanda. – Nie zamierzałam się wtrącać.

–Nie wtrącasz się.

Wstał i podszedł do otwartego okna. Ćmy migotały wokół lampy na patio i słychać było bezustanne cykanie, cykad. Przez chwilę sączyła wino w milczeniu.

–Co spowodowało, że wybrałeś Indonezję? – spytała.

–Naprawdę chcesz wiedzieć?

–Jeśli mówiłeś poważnie o zabraniu mnie z sobą, to tak.

Randolph założył nogę na nogę i pyknął fajką. Patrzył na Wandę z wyrazem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała: dziwnie introspektywny i rozkojarzony, jakby rozmawiał raczej z kimś wewnątrz swojego umysłu, a nie z nią.

–W Indonezji mają ciekawy pogląd na śmierć – powiedział. – Hinduisci widzą ją jako czysto tymczasowy stan i wierzą, że nawet po śmierci ludzie nadal są z nami, całkiem blisko.

Wanda spojrzała na Randolpha z niepokojem.

–Chyba nie czytałeś żadnych zwariowanych ksiązek, prawda?

Randolph potrząsnął głową.

–Po prostu rozmawiałem z kimś bardzo w tym temacie obeznanym i bardzo szczerym. Kimś, kto przeszedł przez takie samo doświadczenie jak ja i wyszedł z niego z pewną wiedzą i wiarą w życie wieczne. Czy nie o tym właśnie mówi się na pogrzebach?

–W pewnym sensie, tak – wyszeptała Wanda. – Ale co chcesz mi powiedzieć? Że Marmie i dzieci tak naprawdę nie umarły? I dlatego jedziesz do Indonezji... aby spróbować nawiązać z nimi jakiś kontakt dzięki hinduskim obrzędom religijnym?

–Marmie i dzieci umarły w tym sensie, że już nie zamieszkują swych ziemskich ciał. Ale ich duchy, ich osobowości, to czym teraz są... to nie umarło. A przynajmniej tak wierzą Indonezyjczycy, i ja także chcę w to wierzyć. Naprawdę myślę, że w to wierzę.

–Ale jak podróż do Indonezji może ci w tym pomóc? – spytała Wanda. Podeszła i usiadła obok niego. Położył fajkę na ciężkiej onyksowej popielniczce.

–Nie proszę tutaj o ocenę, Wando – powiedział łagodnie. – Nie proszę o twoją opinię, czy zbzikowałem lub czy duchy naprawdę istnieją. Moja żona i moje dzieci zostały zabite, a ja nie miałem nawet szansy, by ich bronić czy potrzymać im dłonie lub się pożegnać. Dlatego kiedy ktoś powiedział mi, że wierzy, iż można się skontaktować ze zmarłymi, nawet po kremacji... no cóż, poprosiłem go, aby dał mi trochę czasu. Przerwał i za chwilę ciągnął dalej:

–Wydaje się, że niektórzy indonezyjscy adepci religijni potrafią skontaktować się z duchami zmarłych, rozmawiać z nimi, a czasami nawet widzieć je. Dlatego jadę do Indonezji, aby spróbować znaleźć jednego z tych adeptów i nakłonić go do zrobienia tego dla mnie.

Wanda westchnęła.

–Randolphie, Randolphie, wierz mi, to nie może się udać.

–Kto mówi, że to się nie uda? Ty? Papież? Kardynał Baum? Człowiek, z którym rozmawiałem, twierdzi co innego. Może to się nie uda. Może się uda, ale wymaga to większego działania wiary, niż mi się kiedykolwiek zdarzyło. Jestem przygotowany na to, że wrócę do domu z niczym oprócz opalenizny i rachunku na trzy tysiące dolarów za Hilton w Dżakarcie. Jednak przynajmniej nie spędzę reszty życia, zastanawiając się, czy mogłem choćby przez sekundę porozmawiać z Marmie i dziećmi, i powiedzieć im, jak bardzo ich kocham.

Wanda dotknęła swojego ramienia, jakby w geście obrony. W oczach Randolpha nie było łez, ale gardło miał ściśnięte od emocji i wiedziała, że bardzo cierpi. Chociaż tylko w połowie mogła odgadnąć jak bardzo. Dla Randolpha ból był straszniejszy niż noże, niż ogień, gorszy niż cokolwiek mógł sobie w ogóle wyobrazić.

–I naprawdę chcesz, abym z tobą pojechała? – spytała Wanda.

Wzruszył ramionami.

–Jeśli chcesz. Nie zmuszam cię do podróży w żaden sposób.

Słuchali jeszcze muzyki i już niewiele rozmawiali. O dziesiątej wszedł Charles i pozamykał drzwi, ponieważ zaczęły wlatywać owady. Wanda zerknęła na zegarek powiedziała:

–Muszę już iść.

–Przykro mi, ale nie byłem zbyt inspirującym towarzystwem – przeprosił Randolph.

Wzięła jego dłoń.

–Nie, jesteś bardzo interesujący, wierz mi. Zawsze myślałam, że jesteś taki praktyczny i pragmatyczny. To fascynujące widzieć, jak podejmujesz się czegoś tak niezwykłego.

–No cóż, może zaczynam się załamywać – powiedział z przymusem, odprowadzając ją do drzwi, gdzie czekał Charles z jej szalem.

–Nie dowiesz się tego, póki nie spróbujesz – powiedziała Wanda. Uniosła się i pocałowała go w policzek. Była miękka, ciepła i pachniała Channel Cristalle. Rozpoznał ten zapach, ponieważ Marmie zawsze go lubiła, chociaż sama nigdy nie używała. Poczuł nagle wdzięczność, że Wanda przyszła i spędziła z nim wieczór, szczególnie dlatego, że wieczorna rozmowa odwróciła uwagę od myśli o Marmie i dzieciach.

W bibliotece zadzwonił telefon.

–To prawdopodobnie Neil. Lepiej odbiorę – powiedział Randolph.

–Zobaczymy się jutro. Wpadniesz do biura?

–Tak, prawdopodobnie na chwilę. Dobranoc.

Wanda machnęła lekko ręką, niespodziewanie nieśmiało. Potem szybko zeszła po schodach na podjazd, gdzie czekał na nią Herbert przy swojej limuzynie. Randolph przeszedł przez bibliotekę i podniósł słuchawkę. Rzeczywiście był to Neil, a w jego głosie czuło się zmęczenie.

–W Raleigh mieli następną komplikację. Wygląda na to, że nie mogą uszczelnić zaworów. W każdym razie, zamierzam rano zobaczyć, co da się zrobić. Być może będziemy musieli sprowadzić je z Niemiec.

–Są jakieś wieści od Orbusa Greene'a? – spytał Randolph.

–Coś w rodzaju wiadomości o zainteresowaniu ofertą od jednego z asystentów. Widocznie Association rozmawia z prawnikami, czy umowa, którą pan zaproponował, ma jakieś prawne odgałęzienia. Ale ogólnie wydaje się, że są bardzo zainteresowani.

–Nie mają zbyt wiele czasu – odparł Randolph. – Jeśli nie będziemy w stanie pokryć naszego spadku produkcji w środku tygodnia, Sun-Taste zacznie na nas rzeczywiście mocno napierać.

–Nie widzę, żebyśmy mieli jakąś alternatywę, jak tylko czekać na nich – odparł Neil. – Poza tym gdzie indziej moglibyśmy dostać olej bawełniany?

–Sprowadzę go z Egiptu, jeśli będę musiał. Mogę nawet porozmawiać z Donem Prescottem z Gamble.

–Obawiam się, że będzie to duże szczęście, jeśli Don Prescott zgodzi się w ogóle z panem rozmawiać, panie Clare. Był prawie tak rozwścieczony kontraktem na paszę dla bydła jak Cottonseed Association za Sun-Taste.

Randolph przybity skubał policzek.

–Wysoka cena niezależności, co? Bardzo dobrze. Dziękuję za telefon, ale miej na uwadze Orbusa Greene'a, dobrze? Nie chcę, żeby nas zwodził, aż w końcu kontrakt z Sun-Taste zostanie nie wykonany.

–Może pan na mnie liczyć.

Randolph ciągle siedział w bibliotece, kiedy wszedł Charles, niosąc dla niego whisky.

–Czy wszystko w porządku, panie Clare?

–Tak, Charles, wszystko w porządku.

–Czy postanowił już pan, kiedy jedzie do Indonezji, panie Clare?

–Prosto z pogrzebu we wtorek po południu. Jeśli doktor Ambara będzie mógł wyjechać. Zadzwoń do niego jutro, aby się dowiedzieć, czy udało mu się załatwić Urlop.

–Dobrze, sir. Zaczę pakować rzeczy, skoro tylko będę wiedział na pewno.

Randolph sączył swoją whisky, potem spojrzał na Charlesa i powiedział:

–Proszę cię o szczerą opinię na pewien temat.

–Jeśli tylko będę w stanie, sir.

–Powiedz mi, czy sądzisz, że ja zaczynam wariować? Czy postępuję, jakbym zaczynał wariować?

Charles uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Nie jest pan bardziej szalony, niż można by się spodziewać, panie Clare, wzięwszy pod uwagę, co pan ma, i to, co pan stracił.

Randolph pomyślał nad tym i pokiwał głową.

–Przypuszczam, że szaleństwo jest czymś względnym, jak i wszystko inne.

–Na pewno, panie Clare. Nawet życie i śmierć także są względne.

Randolph spojrzał na Charlesa przenikliwie i zastanowił się, czy służący wie coś więcej o jego planach, niż się do tego przyznaje. Być może Charles już domyślił się, że we wtorek po południu zamierza pochować swoich zmarłych, a potem wyjechać w poszukiwaniu ich nieśmiertelnych dusz. „W godzinie, która nadejdzie, wszyscy w grobach usłyszą Jego głos i zmartwychpowstaną”.

Rozdział XII

Pogrzeb odbywał się w pięćdziesięciostopniowym upale pod ciężkim, zachmurzonym niebem. Ciała zostały złożone w rodzinnej kwaterze cmentarza Forest Hill obok białych marmurowych aniołów, które od czterech; lat ciągle smutne i milczące spoglądały znad grobów ojca i matki Randolpha.

Randolph stał przy Elli, swej kuzynce, która jak dotąd była samotna. Ella pracowała w Century Realty. Zawsze była sprytna, bystra i bardzo dobrze zorganizowana. Przyleciała do Memphis dzień po przywiezieniu zwłok, zamknąwszy domek w Lac aux Ecorces i upewniwszy się, że jest właściwie zabezpieczony przeciw przypadkowym wandalom i ciekawskim turystom. Jedna z popularnych brukowych gazet oferowała jej dwadzieścia tysięcy dolarów za pozwolenie sfotografowania wnętrza domku, wraz z modelami symulującymi ciała zmasakrowanej rodziny Randolpha.

Ella spędziła weekend, uzupełniając przygotowania do pogrzebu, ale dzisiaj całą swoją energię poświęciła opiekowaniu się Randolphem. Był bardziej wdzięczny, niż mógł to wyrazić. Spodziewał się, że pogrzeb odbędzie się w melancholijnej atmosferze. Nie sądził jednak, że będzie: bolesny. Patrzył, jak błyszczące czarne trumny z ciałami jego rodziny są spuszczone do ziemi. Rzucił na nią z nich garść ziemi. Łzy strumieniami ciekły mu po policzkach. Potem Ella odprowadziła go, mocno podtrzymując pod ramię.

Goście pogrzebowi opuścili Zamek Clare o drugiej: samochody jeden za drugim odjeżdżały, chrzęszcząc kołami po alejce. Kobiety w czarnych woalkach i mężczyźni w czarnych garniturach całując się i potrząsając dłońmi, obiecywali sobie spotkać się wkrótce; wszyscy przybici okrucieństwem tego, co się stało, i nieprzyjemnie świadomi swej własnej śmiertelności.

Walizy Randolpha spakowane stały w korytarzu. Z Memphis miał lecieć do Los Angeles, a stamtąd do Dżakarty, zatrzymując się w Honolulu i Manili. Doktor Ambara umówił się z nim na lotnisku. Po drodze Randolph miał zabrać Wandę.

Ella wyszła do ogrodu, gdzie Randolph pil ostatnią whisky i spoglądał na kwiatowe rabaty. Ciężkie chmury zaczęły znikać od zachodu i wieczór zapowiadał się pogodnie.

–Jesteś pewien, że dobrze robisz, odlatując tak szybko? – spytała Ella.

–Nie wiem – odparł i rzeczywiście nie wiedział. Chwyciła go za rękę.

–Wiesz, że masz ludzi, którzy cię kochają, ludzi, którzy chcą o ciebie się troszczyć.

–Tak. Doceniam to. Nie wiem, co bym dzisiaj zrobił bez ciebie.

–Dosyć zrobiłeś dla mnie w przeszłości. Poza tym wszyscy kochaliśmy twoją rodzinę. Marmie i dzieci. Nic nie jest w stanie ich zastąpić.

Randolph skinął głową. Minęła ich pszczoła, kierując się do hibiskusa. Gdzieś na południu grzmotnął piorun niczym oznaka Bożego gniewu.

Do ogrodu wszedł Charles z panią Wallace.

–Sądzę, że już czas, aby pan wyjechał, panie Clare. Pański samolot wyrusza o trzeciej trzydzieści.

Pani Wallace szlochala, nie wstydząc się tego. Co chwila wyciągała swoją zmiętą chusteczkę i głośno wycierała nos.

–Będzie pan na siebie uważał, panie Clare?

–Proszę się nie martwić – uśmiechnął się Randolph, dotykając jej ramienia. – Nie zamierzam robić niczego nierozważnego.

Herbert podjechał limuzyną pod drzwi i Randolph pocałował Ellę na pożegnanie. Potem ruszyli, aby zabrać po drodze Wandę, i nie odwrócił się, aby spojrzeć na dom, ani nie wyglądał przez okno, kiedy jechali ulicami Memphis. Jego uwaga była teraz skupiona tylko na przyszłości. Myślał o odszukaniu swojej rodziny. Był to czas nadziei i wiary, a nie wspomnień i bólu.

Wanda była już gotowa. Czekala na niego przed domem na Kyle Street. Miała na sobie świeży biały lniany kostium i biały słomkowy kapelusz. Herbert umieścił jej torby w bagażniku limuzyny i odjechali na lotnisko.

–Wyglądasz, jakbyś się wybierała na safari – zażartował Randolph.

–Podczas tej podróży lepiej być przygotowanym na wszystko – odparła, śmiejąc się.

Doktor Ambara czekał na nich przy kasie American Airlines. Miał na sobie wymiętą sportową marynarkę w pastelowej kratę i niósł dwa aparaty fotograficzne, torbę podróżną i ogromną podniszczoną teczkę wypełnioną czasopismami i gazetami. Randolph przedstawił go Wandzie, po czym nadali swój bagaż i przeszli przez odprawę.

–Tym razem – powiedział Herbert – na pewno będę na pana czekał, kiedy pan wróci.

Randolph uniósł dłoń na znak wdzięczności.

–Uważaj na siebie, Herbercie.

–Dziś rano rozmawiałem ze swoim starym przyjacielem – powiedział doktor Ambara trzeźwo – który pracuje w indonezyjskim ministerstwie handlu. Dwa dni temu dzwoniłem do niego, ale nie odpowiadał aż do dziś. Powiedział, że jeżeli chcemy naprawdę znaleźć adepta transu śmierci i mamy dość pieniędzy, aby zapłacić konieczną łapówkę, warto by było spotkać się w Dżakarcie z człowiekiem o nazwisku I. M. Wartawa. Przypuszczalnie I. M. Wartawa zaaranżował trans śmierci, w którym poszukiwano testamentu Howarda Hughesa oraz ten, w którym rozmawiano z Jimmym Hoffą.

Randolph usiłował nie robić sceptycznej miny, tylko spojrzał na Wandę, która z kolei odwróciła wzrok.

–Panna Wanda... chyba powiedział pan jej o celu swojej ekspedycji?

–Tak – wtrąciła się Wanda. – Panna Wanda nie jest pewna, czy to pochwała, nie jest pewna, czy to rozumie, ale pragnie jechać, aby służyć moralnym wsparciem.

Wydawało się, że obecność Wandy zbiła z tropu doktora Ambarę. Jednakże skinął głową, przyjmując jej słowa, i pochylił kurtuazyjnie głowę przed celniczką, kiedy brała jego torbę i położyła na nie kończącym się pasie, który zabrał ją do kabiny rentgenowskiej. Randolph uznał przejaw antagonizmu między Wandą a doktorem Ambarą za coś zabawnego. Dawno już odkrył, że jego personel pracuje lepiej, kiedy

członkowie współzawodniczą z sobą, i nie miał wątpliwości, że Wanda i doktor Ambara będą się prześcigać w opiece nad nim. Pogodził się z faktem, że będzie mu ona potrzebna, przynajmniej przez jakiś czas.

Podczas lotu do Los Angeles, Wanda stopniowo zaczęła przełamywać rezerwę doktora Ambary, aż w końcu rozmawiała z nim o jego karierze w Ameryce, jego wierze w reinkarnację i o tym, co najbardziej czuło, a mianowicie o jego zmarłej żonie i nadziei ponownego jej ujrzenia.

–Nadal nie rozumiem, dlaczego rząd indonezyjski jest tak przeciwny transom śmierci – powiedziała. – Z pewnością mogliby zbić fortunę dzięki napływowi zagranicznych gości, gdyby pozwalali adeptom jawnie serwować swoje usługi. To znaczy, jeśli to rzeczywiście się udaje, kto nie chciałby porozmawiać ze swoją zmarłą matką, ojcem czy nawet dziadkami?

Doktor Ambara sączył wódkę z tonikiem w plastikowym lotniczym kubku.

–To jest niebezpieczne, dlatego rząd nie pozwala tego praktykować. Wielu adeptów zginęło podczas transu śmierci, chociaż byli doświadczonymi kapłanami. Być może również jeszcze inni ludzie zginęli, ale rząd robi, co może, żeby statystyki milczały na ten temat. Nie chcą nawet oficjalnie przyznać, że coś takiego jak trans śmierci istnieje.

–Pańska żona – powiedziała łagodnie Wanda – jeśli miałby pan ją znowu zobaczyć... co by jej pan i powiedział?

Doktor Ambara patrzył w zamyśleniu.

–Powiedziałbym jej, że ją kochałem i że zawsze będę ją kochać. A potem prosiłbym ją o wybaczenie.

–Przecież pan jej nie zabił. Dlaczego powinna panu wybaczyć?

–Nie, ale ja nadal żyję, a ona umarła. Zawsze uważałem, że jednostka ludzka jest zobowiązana, by bronić swoich ukochanych. Wiem, że to, co się stało, to był wypadek. Nie mogłem nic zrobić, żeby ją uratować. A jednak nadal czuję się odpowiedzialny. Nadal czuję, jakby to była moja wina. Może gdybym usłyszał od niej, że mi przebacza, mógłbym dalej żyć bez brzemienia winy, które teraz noszę.

Wanda położyła swoją dłoń na nadgarstku doktora Ambary. Zbliżali się do Los Angeles i kazano zapiąć im pasy. Poniżej w słonecznej mgłę późnego popołudnia, na autostradach skrzył się ruch uliczny, a turkusowe baseny pobłyskiwały na przedmieściach jak rozsypany naszyjnik.

–Jeśli uda się panu z nią zobaczyć – powiedziała Wanda – wie pan, co ona według mnie powie? Myślę, że powie panu, iż zawsze pana kochała i nawet przez chwilę nie winiła za to, co się stało.

Doktor Ambara wpatrzył się w nią, a potem wyszeptał:

–Mam taką nadzieję, panno Wando. Mam nadzieję, że pani intuicja sprawdzi się. Właściwie modłę się o to.

Lot z Los Angeles do Dżakarty był opóźniony o dwie godziny. Siedzieli w portowej poczekalni, pijąc koktajle i rozmawiając nieskładnie. Nie mieli zbyt chętności na pogawędkę. Podróż ta wybiegała poza ich doświadczenie, poza doświadczenie ludzkiego życia. Nie można było o niej niczego powiedzieć, dopóki się jej nie miało za

sobą. Pasażerowie tłoczyli się wokół nich, lecąc do Londynu, Chicago, Nowego Jorku, St Louis na swe spotkania z żyjącymi. Tylko Randolph, Wanda i doktor Ambara spieszyli na spotkanie z umarłymi.

W końcu wezwano do wyjścia pasażerów ich lotu. Za nimi stanęli w kolejce do cła czterej wysocy, potężnie zbudowani mężczyźni. Jeden z nich, który wyglądał na przywódcę, rzucił się w oczy Randolphowi, gdyż milczał przez cały czas, mimo że pozostała trójka rozmawiała. Miał głowę jakby wykutą z granitu, kanciastą, bezkompromisową i przerażającą. Jedno ucho było pokryte bliznami od oparzenia albo od uderzenia w bójce. Na lewej szczęce aż po linię włosów biegła biała szrama. Jego oczy były prawie tak szare i zimne jak ocean w pochmurny dzień. Bezustannie żuł gumę i wydawał się absolutnie niezainteresowany tym, co się działo wokół niego. Spoglądał na wszystko z pogardą.

–Weterani, jak przypuszczam – zauważył doktor Ambara, kiedy mężczyźni przeszli. – Prawdopodobnie jadą do Wietnamu, aby uczcić upadek Sajgonu. Interesujące jest zestawienie ich pielgrzymki z naszą. Wydaje się, że ludzkie istoty mają palącą potrzebę powrotu do przeszłości, aby spróbować zrozumieć jej znaczenie. Jesteśmy beznadziejnymi rewizjonistami, jak sądzę.

Wylecieli z Los Angeles w ziarnisty oranż wschodu słońca nad Pacyfikiem. Mieli zatrzymać się w Honolulu, a potem w Manili, by przesiąść się na linie indonezyjskie Merpati – ostatni etap podróży do Dżakarty. Randolph usiłował zasnąć, chociaż za każdym razem, kiedy mu się to udało, śniła mu się jakby na jawie opuszczana do ziemi trumna Marmie. Raz obudził się i zobaczył, że Wanda mocno trzyma go za rękę i mówi:

–Ćśśś, wszystko dobrze. To już minęło.

–Czyżbym mówił przez sen? – spytał. Dotknął swoich oczu i odkrył, że są mokre od łez.

–Krzyknąłeś, to wszystko. Nie przejmuj się tym. Nie możesz dusić wszystkiego w sobie przez cały czas.

Otarł oczy.

–Przepraszam. Może powinienem wziąć tabletkę nasenną.

–Wszystko w porządku – zapewniła go Wanda. – Nie przejmuj się.

Podeszła stewardesa i spytała go, czy nie ma ochoty na drinka.

–Dużą whisky – poprosił. Wanda wzrokiem okazała swoje niezadowolenie, ale

Randolph powiedział:

–Pochowałem dziś swoją rodzinę. Myślę, że mogę się napić.

Randolph, Wanda i doktor Ambara lecieli pierwszą klasą. Kiedy Randolph udał się do toalety, ujrzał czterech mężczyzn, którzy stali za nim w kolejce na lotnisku.

Siedzieli w klasie turystycznej, palili papierosy i grali w karty. Podczas gdy Randolph czekał, aż zwolni się toaleta, człowiek o przerażającej twarzy podniósł się z miejsca, podszedł i stanął tuż za nim. Był ubrany w panterkę, miał płócienny pasek khaki, oznakę First Airborne Cavalry i plakietkę z nazwiskiem „Ecker”.

Randolph skinął w geście powitania, ale tamten pozostał niewzruszony, nie uśmiechnął się, nie poruszył, chociaż wzrok miał utkwiony w Randolphie. Randolph

odwrócił się, ale kiedy zerknął znowu za siebie, mężczyzna nadal gapił się na niego. Po chwili Randolph zirytowany tą uporczywą obserwacją, spytał:

–Życzy pan sobie czegoś? To znaczy, czy mogę panu w czymś pomóc?

Mężczyzna uśmiechnął się do siebie i odwrócił się bez słowa. Randolph doszedł do wniosku, że tamten ma najprawdopodobniej nerwicę wojenną, podobnie jak wielu weteranów wietnamskich, którzy uratowali swe ciała, ale nie umysły. Kiedy Randolph mówił, trzej pozostali unieśli głowy znad kart i gapili się na niego z podobnym chłodem. Randolph jednak zignorował ich. Ich ostentacyjna wrogość nie zapowiadała nic dobrego. Gdyby Randolph służył w Wietnamie, prawdopodobnie skończyłby z podobną, niczym nie uzasadnioną wrogością jak oni.

Po skorzystaniu z toalety i przyczesaniu włosów wrócił na swoje miejsce. Wanda spała z kocem podciągniętym pod szyję. Doktor Ambara czytał *Współczesną Kardiologię*, ignorując film z Elliottem Gouldem i Joannę Woodward w rolach głównych, który wydawał się specjalnie nakręcony do pokazywania podczas długich lotów. Randolph skończył pić whisky i gapił się na swoje odbicie w ciemniejącym oknie. Film przesuwiał się w ciszy: Elliott Gould biegnie, Elliott Gould stoi nieruchomo, samochód jedzie przez puste ulice.

Randolph nałożył słuchawki i kiedy zaczął zmieniać kanały, był pewien, że złapał kobiecy głos: „...dolph, proszę, Ran...” Podkreślił głośność na siedem, osiem, dziewięć, ale głos zniknął. Pojawiła się folkowa muzyka, a potem nagrany śmiech, oba zagłuszane przez nieustanne wycie samolotowych silników.

Przyszła znowu stewardesa, uśmiechnęła się i spytała:

–Czy życzy pan sobie jeszcze jeden koktajl, panie Clare?

Randolph pokręcił głową.

–Nie, dziękuję. Chyba się trochę zdrzemnę. Opuścił swoje siedzenie i spróbował się rozluźnić, ale uporczywe ryczenie boeinga 747 nad Pacyfikiem nie pozwalało mu zasnąć. Poza tym obawiał się koszmarnych snów: Marmie i dzieci uciekające przed nim, zawsze uciekające, przez miasta, korytarze i splecione labirynty – widział je, ale nigdy nie mógł dogonić. A potem nagle sploty kolczastego drutu zaciskające się ciasno wokół szyi. Wytrzeszczone oczy, napuchnięty język, pokaleczone palce zaczepione o drut w beznadziejnej walce o oddech. Widział zadrapania od paznokci na szyi Marmie na zdjęciach, które pokazał mu inspektor Dulac. Jej własnych paznokci, kiedy daremnie usiłowała zerwać drut.

Opuścił głowę na pierś. Nie mógł sobie wyobrazić bólu, który Marmie musiała wycierpieć. Mógł mieć tylko nadzieję, że ci, którzy umierają w bólu, uświęcają się, że ich cierpienie zapewnia im wieczysty pokój. Gdzie i jak – tego nie był pewien. Dając wiarę doktorowi Ambarze i lecąc teraz do Indonezji, zaprzeczał swojej własnej religii, a także religii Marmie. Miał nadzieję, że niebo doktora Ambarzy było również niebem Marmie, i że bóg doktora Ambarzy był tym samym Bogiem, w którego zawsze wierzyła Marmie.

Zatrzymali się na cztery godziny w Honolulu. Jedli śniadanie, kiedy środowe słońce zaczęło stopniowo rozświetlać horyzont. Na siódmą piętnaście zapowiedziano lot do Manili, więc poszli do swojego samolotu pod bladym, wysokim i pokrytym

pierzastymi chmurkami niebem. Randolph ujrzał mężczyznę o nazwisku Ecker przeciskającego się między fotelami do swojego miejsca. Przez sekundę ich oczy spotkały się w dziwny i wrogi sposób. Randolph usadowił się na swoim miejscu, kiwnął na kierownika lotu i powiedział:

–Wiem, że nie jest to pytanie, które powinni zadawać pasażerowie, ale czy ma pan jakieś pojęcie, kim może być tych czterech mężczyzn w panterkach?

Kierownik lotu uśmiechnął się i potrząsnął głową.

–Przykro mi, panie Clare, ale naprawdę nie wiem.

Pod wpływem nagłego impulsu Randolph niezdarnie sięgnął do swojego portfela i wyciągnął banknot studolarowy. Złożył go i podał mężczyźnie między dwoma końcami palców.

–Czy teraz mógłby pan sobie przypomnieć?

Kierownik lotu popatrzył na niego niewzruszony.

–Przykro mi, panie Clare, oni są tylko nazwiskami na liście pasażerów. Nie miałem żadnych specjalnych poleceń co do nich. Wie pan – tak między mną a panem – czasami takie bywają, jeżeli poszukuje się jakiegoś przestępcy lub nawet kogoś całkiem niewinnego, kto przyciągnął uwagę celników w porcie. Niektórzy ludzie bardzo dziwnie zachowują się, kiedy lecą. Przeważnie ze strachu.

Randolph schował banknot.

–Dobrze – powiedział. – Przynajmniej jest pan szczery. Na innej linii mogliby wziąć pieniądze i pleść przez dziesięć minut bzdury. Ale... może zrobimy w ten sposób... jeśli uda się panu dowiedzieć, kim są i co tutaj robią... no cóż, do Manili daleka droga, a ja nie mam gdzie wydać tych stu dolarów w tym samolocie.

Czuł się zakłopotany, szczególnie że kierownik lotu odmówił mu tak grzecznie.

–Nigdy nie widziałam, żebyś próbował kogoś przekupić – uśmiechnęła się Wanda. Potem odwróciła się, aby sprawdzić, czy przyłapie spojrzenie czterech mężczyzn w panterkach. – A w ogóle dlaczego o nich pytałeś?

–Nie wiem. Tak dziwnie na mnie patrzyli. Mam wrażenie, że oni nas śledzą.

Doktor Ambara spojrział na niego znad swojego czasopisma.

–Wschód zawsze wydaje się bardziej tajemniczy niż Zachód. Widzi się spisek tam, gdzie go nie ma. Ci mężczyźni nie śledzą pana. Po prostu tak się złożyło, że podróżują do Manili tym samym samolotem.

Jednakże następnym razem, kiedy Randolph poszedł do łazienki, kierownik lotu podniósł palec i skinął na niego, kiedy mijał kuchnię. Randolph wszedł do niszy, a tamten zaciągnął za nim zasłonkę. Jedna ze stewardes siedziała na składanym krzeselku i jadła spóźnione śniadanie, ale nie zwracała na nich uwagi. Kierownik lotu chwycił go za ramię i powiedział, prawie nie poruszając wargami:

–Z Manili lecą dalej do Dżakarty.

–To tak jak ja. Czy podróżują liniami Merpati?

–Nie mają wyboru. To jedyna linia.

–Czy wie pan, kiedy zamówili bilety? Kierownik lotu przyniósł swój notes i sprawdzał listę pasażerów.

–W poniedziałek rano. Miejsca zamówiono w Memphis.

Randolph miał ochotę zajrzeć w listę.

–Czy wiadomo, kto zamówił bilety? – spytał.

–Nie powinienem tego panu mówić – powiedział sucho kierownik.

–A jeśli podwoję stawkę? – zaproponował Randolph.

Kierownik lotu pomyślał przez moment, a potem odwrócił notes, tak żeby Randolph mógł przeczytać. Były tam cztery nazwiska, każde zabukowane w tym samym czasie: Ecker Richard, Heacox James T., Louv Frank, Stroup Robert Patrick. Miejsca zostały zamówione przez MidAmerica Travel, Monroe Street, Memphis, a rachunek zapłacił Brooks Cottonseed Corporation.

Bez słowa Randolph wręczył kierownikowi lotu dwieście dolarów, zauważając, że mężczyzna przyjął je z niezwykłą zręcznością, której mogliby mu pozazdrościć uliczni kuglarze.

–Nie rozmawiali wiele – dodał kierownik lotu, z powrotem odwracając swój notes.

– Jeden o nazwisku Ecker w ogóle nie mówi. Prawdopodobnie niemowa albo głuchoniemy. Koledzy zamawiają za niego drinki i posiłki. Jednak nie są na wakacjach. Powiem panu więcej, pracują i podróżują na czyjś koszt. Słyszałem, jak jeden z nich narzekał, że będą się musieli zatrzymać w hotelu Keborayan w Dżakarcie. Powiedział, że hotel Keborayan cuchnie i nigdy by się tam nie zatrzymał, gdyby to od niego zależało.

Randolph skinął i podał kierownikowi jeszcze jeden banknot studolarowy.

Kierownik lotu spytał z nie ukrywanym zdziwieniem:

–Czy oni aż tyle dla pana znaczą?

–Nie jestem pewien – powiedział Randolph. – Powiedzmy, że lubię wiedzieć, z kim leczę.

–No cóż, do usług – powiedział kierownik lotu. – Może ma pan ochotę na drinka?

Kiedy Randolph wrócił na miejsce, Wanda słuchała muzyki. Zasygnalizował, żeby zdjęła słuchawki, a wtedy się pochylił i powiedział:

–Ci czterej mężczyźni... Sądzę, że miałem rację. Ich bilety są opłacone przez Brooks Cottonseed.

–To znaczy, myślisz, że zostali wysłani, żeby nas śledzić aż do Indonezji?

–Na to wygląda. Być może Orbus Greene myśli, że odkryłem nowe źródło oleju bawełnianego i chce położyć na tym rękę. A może chce po prostu wiedzieć, co robię. Zawsze trochę go denerwowałem.

Doktor Ambara, podsłuchawszy ich rozmowę, powiedział ze zdziwieniem:

–Nie sądzi pan, że gdyby mieli tylko pana śledzić, posłaliby kogoś mniej rzucającego się w oczy. Wyglądają raczej jak najemnicy niż prywatni detektywi.

–Być może w tym cała rzecz. Może Orbus chce, abyśmy wiedzieli, kim oni są, i celowo usiłuje nas zastraszyć.

–Jesteś przestraszony? – spytała Wanda.

–Oczywiście, że nie – odparł Randolph.

–A więc – wtrącił się doktor Ambara – jeśli rzeczywiście pragnęli pana przestraszyć, to im się nie udało. Czy jest możliwe, że miał coś całkiem innego na myśli? Coś bardziej konkretnego. Wysłanie czwórki mężczyzn klasą turystyczną do

Dżakarty musiało go nieźle kosztować. To nie wycieczka, jaką się funduje, chyba że spodziewa się wyciągnąć z tego jakieś korzyści.

–Nie jestem pewien, do czego pan zmierza – powiedział Randolph.

–Ani ja – odparł doktor Ambara. – Ale – ponieważ wyraźnie znaleźliśmy się pod obserwacją – proponuję, abyśmy zachowywali daleko idącą ostrożność.

Randolph pomyślał o tym samym, od kiedy tylko ujrzał bacznie mu się przyglądającego Richarda Eckera. Co mu powiedział Jimmy Żeberko? „Czterech czy pięciu facetów. Nie zawsze tych samych. Słyszałem tylko nazwisko Reece. Prawdopodobnie jest to jakiś zwariowany weteran wojenny z Kambodży”.

Czy to możliwe, że człowiek, który nazywa się Ecker, jest w rzeczywistości Reece'em? Były wyraźne podobieństwa. Najprawdopodobniej Reece był weteranem, a Ecker właśnie na takiego wygląda. Reece miał być zatrudniony przez Cottonseed Association, a bilet Eckera został wykupiony przez Brooksa. Jednak Randolph nie chciał dopuścić do siebie najgorszego, ponieważ implikacje tego byłyby zbyt przerażające. Poczul się prawie jak paranoik, jakby zaczął cierpieć na iluzje, że jest w środku ciemnego i skomplikowanego spisku. Było jednak zbyt wiele podobieństw jak na zwykły zbieg okoliczności.

Jimmy Żeberko sugerował, że Reece może być odpowiedzialny za zabicie Marmie i dzieci. Myśl, że ten sam mężczyzna siedzi teraz dziesięć metrów za nim, powodowała, iż Randolph poczul na plecach chłód, jakby nagle skoczył w lodowatą wodę. Ecker-Reece zabił mu żonę i dzieci, a teraz jest w zasięgu ręki.

Nie było oczywiście dowodu. Ecker mógł równie dobrze lecieć tylko do Dżakarty zgodnie z jednym z zamorskich programów technicznych. Zbiegiem okoliczności mógł wsiąść do tego samego samolotu. Ale Ecker wykupił bilet po tym, jak to zrobił Randolph, i Randolph nie wątpił, że on i jego ludzie wykazują więcej niż tylko zwykłe zainteresowanie jego osobą.

Randolph napisał notatkę na jednej z ostatnich stron swego dziennika, wyrwał ją i posłał do doktora Ambarę. „Sądzę, że ci mężczyźni mogli zostać wysłani, aby nas zabić. Nie mam żelaznego dowodu, ale z pewnością będzie bezpieczniej, jeśli uda się nam ich zgubić. Może w Manili?”

Doktor Ambara uważnie przestudiował notatkę. Wanda także ją przeczytała i spojrzała na Randolpha z lękiem.

–Nie rozumiem, dlaczego ktoś w Cottonseed Association aż tak chciałby się ciebie pozbyć – wyszeptwała. – Czyżbyś tak rozdrażnił Orbusa Greene'a?

–Nie wiem – odparł Randolph trzeźwo, drąc notatkę na drobne kawałki i wrzucając ją do popielniczki obok siebie. – Sam tego nie rozumiem. Być może zaszkodziliśmy im bardziej, niż sądzimy. Przecież Brooks stracił sześć procent udziałów na rynku w ostatnim kwartale, podczas gdy my zyskaliśmy osiem i pół procenta.

–Ale zabijać cię – zabijać twoją rodzinę – to po prostu szaleństwo!

–Zgadzam się. Jednak od czasu pożaru w Raleigh, ludzie mówili mi, że Orbus Greene, Waverley Graceworthy i cała reszta chce mnie wykończyć. Nigdy nie myślałem, że będą zdolni do morderstwa... ale, cóż, może byłem zbyt naiwny. Może nie zauważyłem, jaki to parszywy świat.

Wanda dotknęła jego ramienia.

–Boję się – powiedziała. Randolph chwycił jej dłoń.

–Nie martw się. Wiemy dużo więcej na temat tego, co się dzieje, niż sądzą w Cottonseed Association. Gdyby wiedzieli, co powiedział mi Jimmy Żeberko, nie posyłałoby za nami Eckera czy Reece’a, czy jak mu tam, aby nas śledził.

–Randolphie – odezwała się Wanda – powinieneś powiedzieć policji.

–Co mam im powiedzieć? Że szanowany członek Memphis Cottonseed Association wysłał za mną bandę zbirów, aby raz na zawsze oskubać mnie z moich kontraktów?

–Jesteś przyjacielem Szefa Moyne. Może powinieneś do niego zadzwonić.

–Może. Ale potrzebuję czegoś bardziej namacalnego, zanim zacznę kłopotać Szefa Moyne.

–Jest twoim przyjacielem.

–Jest także przyjacielem Orbusa Greene’a.

Przez resztę lotu do Manili odzywali się niewiele. Ale mieli na oku mężczyznę o nazwisku Ecker i jego koleżków, i nie było wątpliwości, że ilekroć tylko Ecker mijają Randolpha w przejściu, gapił się na niego zimno jak atakujący wąż. W jakiś dziwny sposób Randolph uznał to za podniecające, że ten mężczyzna prawdopodobnie został opłacony, by go zabić, podniecające i przerażające. Doktor Ambara zapewnił go, że kiedy doleczą do Manili, z całą pewnością uda im się pozbyć ich towarzystwa. Muszą zmienić swój rozkład lotu do Dżakarty, z czym nie powinno być kłopotów. Ciekawe. Wydawało się, że pomysł, iż są śledzeni z Memphis do Dżakarty w ogóle nie zdziwił doktora Ambarę. Być może było to spowodowane jego filozoficzną wschodnią umysłowością. Jednak Randolph wszystko to uznał za mało prawdopodobne.

Wylądowali w Manili wczesnym popołudniem, zaraz po ulewnym deszczu. Wilgotność doskwierała nawet bardziej niż w Memphis, tak że Randolph ociekał potem, nadając bagaż na lot do Dżakarty. Wanda czuła się okropnie rozbita i chwiała się na nogach głównie dlatego, że drzemała przez ostatnie dwie godziny lotu. Doktor Ambara jednakże, kiedy znalazł się tak blisko swojej rodzinnej Indonezji, tryskał energią i nieustannie opowiadał słone dowcipy. Randolph nie rozumiał żadnego z nich, ale był na tyle uprzejmy, że chrząkał i się uśmiechał.

Poprosił bagażowego, aby zabrał ich do kasy Air Merpati. Rozglądając się wokoło, ujrzał Eckera i jego trzech towarzyszy, czekających na swój bagaż przy karuzeli. Ecker ocierał kark chusteczką, ale ciągle trzymał wzrok utkwiony w Randolphie, który nie miał już absolutnie wątpliwości, że to jest Reece i że został on wysłany przez Cottonseed Association, by mieć ich na oku albo pozbyć się ich w Indonezji.

Doktor Ambara powiedział do indonezyjskiej dziewczyny siedzącej w kasie Air Merpati:

–Proszę na razie zatrzymać te bagaże. Mamy tu w Manili interes do załatwienia. Nie wiemy, czy uda nam się wrócić na dzisiejszy lot. Ale proszę nikomu nie mówić, że dziś nie lecimy. Gdyby ktoś pytał o pana Clare lub o jego towarzyszy podróży, proszę powiedzieć, że wylatujemy z Manili dziś po południu. Czy pani zrozumiała? Chodzi o interesy, sprawa bardzo poufna.

–Tak, proszę pana – zapewniła go dziewczyna. – Dziękujemy za wybranie Air Merpati.

Randolph poszedł do poczekalni Pan Am i podczas gdy Wanda z doktorem Ambarą siedzieli w barze i pili koktajle, zadzwonił do Neila Sleamana do Memphis.

–Neil? Tu Randolph Clare. Dzwonię z Manili. Nie, lot do Dżakarty będzie dopiero za dwie godziny. Posłuchaj, Neil, słyszysz mnie dobrze? Okay, wydaje się, że mamy tu kłopoty. Tym samym lotem podróżuje czterech facetów, ubranych w panterki, wyglądają na twardzieli. Ich nazwiska to Ecker, Heacox, Stroup i... zapomniałem czwartego. Problem polega na tym, że ich bilety były zabukowane przez Brooksa, a oni dokładnie pasują do opisu, jaki podał mi Jimmy Żeberko. Bacznie się nam przyglądają, zbyt bacznie. No cóż, oczywiście, że się niepokoję. Jeśli w tym, co mówił Jimmy Żeberko, było choć ziarenko prawdy, to być może są to ci sami mężczyźni, którzy zabili Marmie i dzieci, a to oznacza, że Orbus Greene i Waverley Graceworthy są przygotowani na wszystko, aby wyrzucić mnie z interesu, nie wyłączając morderstwa.

–Być może powinien pan porozmawiać z Szefem Moyne – odrzekł Neil. – Mógłby przeprowadzić małe śledztwo. Wie pan, sprawdzić, czy jacyś kryminaliści nie opuszczali miasta w ostatnich dwudziestu czterech godzinach.

–Sądzę, że powinienem na razie zostawić Szefa Moyne w spokoju. Chcę tylko, żebyś zarządził zdwojone środki bezpieczeństwa w fabrykach i nadal naciskał Orbusa Greene’a, by dał odpowiedź co do kontraktu z Sun-Taste. Robi dobre wrażenie, ale jestem głęboko przekonany, że ma zamiar odmówić. Może zwodzi nas, aż jego wynajęci maniacy mnie usuną. Może myślę się całkowicie w jego ocenie, ale trzymaj oczy i uszy szeroko otwarte. I, proszę, rób, co możesz, aby Raleigh jak najszybciej wróciło do produkcji.

–Okay – odparł spokojnie Neil. – Wszystko jest pod kontrolą. Pod koniec tygodnia powinniśmy osiągnąć siedemdziesiąt pięć procent produkcji.

–Staraj się o więcej – nalegał Randolph.

–Robię, co mogę. Życzę dobrego lotu.

–Zadzwonię z Dżakarty, chociaż być może wylecimy dopiero jutro. Staram się pozbyć tych czterech goryli.

–Sądzę, że to tylko weterani, którzy odbywają pielgrzymkę – odparł Neil uspokajająco. – Jest dziesiąta rocznica upadku Sajgonu.

Randolph odwiesił słuchawkę, po czym przyłączył się do doktora Ambary i Wandy.

–Jaki jest plan? – spytał doktora Ambary.

–No cóż – odparł doktor – osobiście uważam, że byłoby rozsądniej przeczekać tu, w Manili jedną noc. Jutro jest następny lot Air Merpati, prosto do Dżakarty. Jeśli ci mężczyźni naprawdę nas śledzą, jak pan mówi, będą zmuszeni wrócić jutro na lotnisko w Dżakarcie i czekać na nas. Robiąc to, odkryją swoje karty.

Wyszli na hałaśliwą ulicę i złapali taksówkę. Niebo było ciemnoczerwone, jak świeżo rozlana krew, a czarne drapacze Manili sterczały jak szkielety po obu stronach jezdni. Dochodził silny zapach tropikalnej stęchlizny, spalin, wieprzowiny

smażonej na węglu drzewnym i smród ścieków. Taksówki trąbiły, dzwoniły dzwonki i rowerów, a wzdłuż ulic świeciły światła. Taksówkarz odwrócił się na zniszczonym winilowym siedzeniu i spytał:

–Hotel Pasay?

–Zgadza się – odpowiedział stanowczo doktor Ambara.

–Hotel Pasay nie jest dla Amerykanów – zauważył taksówkarz.

–Po prostu, proszę tam jechać – nalegał doktor Ambara.

–Może pan się pomylił. Może chce pan jechać do Manila Hilton. Także Hotel Bakati jest pierwszej klasy.

–Albo wiecie nas pan do Hotelu Pasay, albo zawołam policjanta – odrzekł doktor Ambara.

–Dobra, dobra, przyjacielu – odparł taksówkarz dziwnym filipińsko-amerykańskim akcentem. – Twoja sprawa.

Centrum Manili, przez które jechali, było hałaśliwe, zatłoczone i pełne korków. Chociaż po Dreźnie Manila była drugim najbardziej zniszczonym miastem podczas drugiej wojny światowej, nie została odbudowana według utopijnych projektów. Przeciwnie, stała się architektonicznym portretem beznadziejnych socjalnych podziałów na bogatych i biednych. Za strzeżonymi murami Forbes Park i Makati mieściły się najbogatsze rezydencje na Wschodzie. Wokół murów w zasięgu wzroku z balkonów tychże rezydencji, tłoczyły się ubogie chatki osadników i najędzniejsze slamsy, jakie kiedykolwiek Randolph widział. Nawet w swych najgorszych czasach Beale Street nie wyglądała tak jak one. A ponad całym miastem, odbijając szkarłatne neony, światła uliczne i gazowe latarenki, wisiał smog – spaliny tysiący taksówek, autobusów, datsunów i zniszczonych chevroletów – mieszając się z mglistym całunem wznoszącym się znad Morza Południowochińskiego.

Mijali rzędy nowoczesnych sklepów reklamujących telewizory sony, hot dogi, „autentyczne” starocie. Potem potoczyli się przez zniszczone przedmieście z kramami po obu stronach ulicy, odrapanymi budynkami, latarniami wiszącymi na każdym narożniku. W końcu dojechali do budynku o wąskim froncie, pomalowanego na ostry róż, z ręcznie wypisanymi literami: „Hotel Pasay. Witamy. Chłodzone drinki”.

Wysiedli z taksówki i doktor Ambara zapłacił kierowcy. Randolph z powątpiewaniem patrzył na hotel. Wanda dyskretnie się skrzywiła. Noc była gorąca i duszna, a oni bardzo zmęczeni. Trójka małych dzieci drażniła parszywego psa na schodach hotelu. Ślepiec z oczami tak białymi jak pingpongowe piłeczki siedział pod pobliską ścianą, gwizdząc monotonie. Dwie filipińskie dziewczyny w czerwonych satynowych minispódniczkach i falbaniastych białych bluzkach kołysały się na siodełku zaparkowanego motocykla.

–Miłe otoczenie – zauważyła Wanda.

Doktor Ambara chwycił ją pod ramię.

–Będziecie tutaj bezpieczni, a to jest najważniejsze. Tu nie ma bogaczy, ale ci ludzie są przyjaciółmi. Chodźcie, poznacie jedną z moich kuzynek.

–Naprawdę pan uważa, że będziemy tutaj bezpieczni? – spytał Randolph.

–Przynajmniej na razie – odparł doktor Ambara.

Rozdział XIII

Manila

Kuzynka doktora Ambary okazała się przystojną Jawajką, która uciekła z Dżakarty, kiedy doszedł do władzy generał Suharto. Jej mąż został aresztowany i rozstrzelany za popieranie Soekarno. Ojciec doktora Ambary pomógł jej w ucieczce do Manili i posłał jej pieniądze, aby mogła kupić sobie Hotel Pasay, gdzie zapewniała lokum prostytutkom, nauczycielkom i rozmaitym grupom indonezyjskich uchodźców.

Doktor Ambara nazywał ją Flora, co oczywiście nie było jej prawdziwym imieniem, ale większość Jawajczyków, którzy uciekli z Dżakarty w roku 1966, zapomniała swoich prawdziwych nazwisk i zostawiła za sobą swoją prawdziwą tożsamość. Flora ubrana była w jasnoszkarłatne sari, na głowie miała żółty jedwabny szal, a na szyi dwadzieścia lub trzydzieści naszyjników z muszelek, paciorków i balijskiego srebra. Wprowadziła ich do swojego prywatnego saloniku na tyłach hotelu; był tam niski stolik, na podłodze rozpościerały się poduszki, a w kącie stał bezustannie grający przenośny telewizor. Czerwony szal udrapowany wokół żarówki nadawał pokojowi bezbożnego półmroku, tak że kiedy weszli, Randolph z trudem dostrzegł dwoje małych dzieci, siedzących w odległym kącie pokoju i oglądających telewizję, oraz dziewczynę w tanim satynowym peniuarze, która z niebywałym skupieniem malowała sobie paznokcie u stóp.

–Bardzo dobrze wyglądasz – powiedziała Flora do 1 doktora Ambary. – Jak ci się żyje w Stanach Zjednoczonych?

–Czasami tęsknię za Dżakartą – odparł doktor Ambara. Wiedział, że wypowiedział się za nich oboje.

–No cóż – powiedziała Flora – jeśli już przebyłeś taki kawał drogi, aby mnie odwiedzić, muszę cię nakarmić. Ana, przynieś whisky.

–Wolałbym piwo, jeśli to nie robi różnicy – wtrącił się Randolph.

–Masz piwo Anker? – spytał doktor Ambara.

Flora skinęła głową.

–W takim razie poprosimy o trzy piwa – powiedział doktor Ambara. Dotknął ramienia Randolpha i wyjaśnił:

–Warzone w Dżakarcie.

Dziewczyna w peniuarze zakręciła buteleczkę z lakierem i pokuśtykała do kuchni na piętach, aby nie zniszczyć sobie świeżo pomalowanych paznokci. Wróciła z trzema butelkami piwa i trzema szklankami. Otworzyła butelki z niebywałą zręcznością. Patrzyła na Randolpha bez mrugnięcia oczami, gdy nalewała mu piwo. Miała płaską twarz, niemiłosiernie piękną, perłowobiałe zęby i diamentowy ćwiek wbity w lewe nozdrze. Jej sutki sterczały pod satyną drobnymi stożkami. Mogła mieć równie dobrze czternaście, jak i dwadzieścia cztery lata. Prawdopodobnie miała bliżej czternastu.

Flora usadowiła się na poduszce, a oni usiedli przy niej.

–Wiele lat minęło od czasu, gdy go widziałam – powiedziała. – Ale zawsze jest tutaj mile widziany. Jego rodzina uratowała mi życie.

–Były wtedy złe czasy w Indonezji – skomentował doktor Ambara. – Kiedy Suharto

doszedł do władzy, zginęło ponad milion ludzi. Biedny mąż Flory był jednym z tych, którzy zginęli za poglądy polityczne. Był doskonałym ekspertem od spraw chińskich.

Do pokoju pokornie wszedł łysy człowiek w okrągłych okularach i tiszorcie, pochylił się i wyszeptał coś do ucha Flory. Flora skinęła, potem jeszcze raz, a potem powiedziała:

–*Ya, saya bisa tunggu. Tidak mengapa.*

–Jeden z moich gości z Dżakarty – wyjaśniła, kiedy odszedł. – Mieszka u mnie od dwudziestu lat, od czasu kiedy ja tutaj przyszedłam. Uczy matematyki w tutejszej szkole i co miesiąc prosi o to, by mógł zapłacić później za swój pokój. Oczywiście zawsze się zgadzam. Spokojne życie tutaj jest długim, który muszę spłacić ludziom z mojego kraju.

Siedzieli, rozmawiając i pijąc piwo przez prawie godzinę. Wtedy weszła Ana z ogromną bambusową tacą wypełnioną porcelanowymi miseczkami z zupą rybną, *adobong sugpo* - krewetki smażone na maśle z czosnkiem i czarnym pieprzem – i wołowiną *tapa*. Przyniosła więcej chłodzonego piwa Anker i dzbanek z jaśminową herbatą.

Randolph nie uświadamiał sobie, jak był głodny. Po raz pierwszy, od kiedy dowiedział się, że Marmie nie żyje, jadł z takim apetytem. Wanda miała trudności z pałeczkami, ale w końcu Ana uśmiechając się, przyniosła jej porcelanową łyżkę.

–Nie sądzę, żebym kiedyś nauczyła się radzić sobie z tymi rzeczami – narzekała Wanda. – To jakby usiłować napisać list piórem między palcami u stóp.

Później Randolph nabił swoją fajkę i usiadł, oparłszy się o ścianę saloniku, podczas gdy Wanda poszła na górę wziąć prysznic, a doktor Ambara gawędził z Florą. Zamknął oczy na chwilę, ale nie spał. Słyszał, jak telewizor nadaje po filipińsku, schody trzeszczą, gdy goście wchodzą na górę lub schodzą na dół, oraz odległy szum ulicznego ruchu.

Kiedy otworzył oczy, Flora z ożywieniem powiedziała:

–Ambara powiedział mi, dlaczego pan się tutaj znalazł. To nie jest zwykły powód, dla którego Amerykanie odwiedzają Indonezję. Zazwyczaj przyjeżdżają z powodu pięknych plaż i wyrobów sztuki ludowej.

Randolph usiadł prosto.

–Przypuszczam, że to niezwykle dla Amerykanina wierzyć, że można po śmierci skontaktować się z duchami ukochanych zmarłych.

–Czy Ambara przestrzegł pana przed niebezpieczeństwami?

–Sądzę, że przedstawił je dość jasno.

Flora uniosła jeden palec na znak, że powinien zwrócić szczególną uwagę na to, co zaraz powie.

–Nie miał pan do czynienia z duchami, mój drogi panie, ani ze złośliwymi demonami. Mam nadzieję, że Ambara powiedział panu o tym. Wchodzi pan na terytorium samej bogini Rangdy, najstraszniejszej z bogiń, oraz do krainy lejaków.

–Czy zna pani kogoś, kto ostatnio przeżył trans śmierci? – spytał Randolph.

–Fatmawati, żona Soekarno, brała raz w tym udział. Nie wiem, czy jej się powiodło. Ale to zawsze było wbrew prawu w Indonezji. Mówią, że to zakazane,

ponieważ zachęciłoby zagranicznych turystów do robienia niewłaściwego użytku z świętych ceremonii Trisakti; ale prawdziwy powód jest taki, że boją się lejaków.

–Dlaczego? Z pewnością lejaki mogą zrobić krzywdę tylko, jeśli wejdzie się w trans.

Flora pokręciła głową, a jej muszle zabrzęczały.

–To nieprawda. Czy Ambara nie powiedział panu, że brama do krainy Yamy prowadzi w obie strony, jest wejściem i wyjściem. Dlatego zawsze istnieje ryzyko, że kiedy opuszcza się świat zmarłych i powraca z transu, i można być śledzonym przez lejaki. Dlatego właśnie rząd zabrania transów śmierci. Nie obchodzi ich życie adeptów. Jeśli jakiś adept jest na tyle głupi, by narażać się na pożarcie przez boginię Rangdę, to jego sprawa. Ale władze boją się, że lejaki mogą przedostać się do społeczeństwa. Gdyby tak się stało, nastąpiłaby rzeź niewinnych ludzi. Lejaki są bezlitosne. Myślą tylko o służeniu swojej pani i znalezieniu spoczynku dla swych własnych udręczonych dusz.

–Czuję wyraźnie, że pragnie mnie pani zniechęcić do przejścia przez to – powiedział Randolph.

–Nie mam zamiaru ani pana do tego nakłaniać, ani zniechęcać. To nie moja sprawa. Ojciec Ambari uratował mi życie i pozwolił przeżyć. Jeśli Ambara uważa, że to dla pana właściwe wejść do świata Yamy w poszukiwaniu pańskiej rodziny, nie mogę się z nim spierać. Mam dług wobec niego. Ale proszę pozwolić mi coś powiedzieć. Straciłam męża, którego bardzo kochałam. Mam mu do powiedzenia dwakroć po tysiąc razy rzeczy, które zostały nie wypowiedziane przed jego śmiercią. Ale nie próbowałam wejść w trans śmierci, aby mu to powiedzieć. To jest wbrew nauczaniu Trisakti. To świętokradztwo. A – oprócz tego – to jest bardzo niebezpieczne.

Doktor Ambara uśmiechnął się, usiłując być niefrasobliwy.

–Flora zawsze była pesymistką. Prawda, Floro?

Ale Randolph przyglądał się jej poważnie i długo; z jej wyrazu twarzy mógł wyczytać, że była szczerą. Jej czarne oczy błyszczały w przytłumionym czerwonym świetle owiniętej szalem żarówki i bił od niej zapach piżma, jaśminu i olejku cybetowego.

–Proszę mi powiedzieć – rzekł Randolph – jeśli żywa osoba wejdzie w trans śmierci i zostanie złapana przez lejaki, co się wtedy dzieje?

–Nie ma żadnych co do tego wątpliwości, mój drogi panie. Zostanie rozdarta na kawałki jak lis schwytyany przez psy. Czy polował pan w Tennessee? Czy tam ludzie polują?

–Tak, polują – odparł trochę zniecierpliwiony Randolph. – Ale co stanie się z ich duszami, kiedy lejaki je dostaną? Czy ich dusze mogą iść do nieba?

Flora pokręciła głową.

–Osoba, która jest zabita przez lejaki, sama staje się lejakiem i na zawsze zostaje skazana na życie za kurtyną i poszukiwanie duchów dla bogini Rangdy.

–A co z duszami które już były martwe? Na przykład z duszami mojej rodziny? Co się z nimi stanie, jeśli lejaki je złapią?

–Przestaną istnieć, mój drogi panie. Będą doświadczały nicości zamiast wiecznego życia. Jak to powiedzieć? Będą jak ludzie w śpiączce. Ale to będzie śpiączka, z której się nigdy nie obudzą.

–A więc nigdy nie będą mogli być reinkarnowani?

–Właśnie – skinęła Flora. – Rangda żywi się esencją życia. Bez niej duch jest bezsilny. Pozostaje w szarym śnie, śnie bez obrazów, bez uczuć na wieki wieków. Narodzić się do szczęśliwszego życia, niż się miało... takiej nagrody poszukuje każdy duch. Ale dla tych, których pożre Rangda, nie ma nagrody. Tylko zapomnienie.

Wanda zeszła na dół ze swojego pokoju i stanęła w drzwiach ubrana w jedwabny filipiński płaszcz kąpielowy. Mokre włosy zawinęła w ręcznik. Słuchała Flory z dużą uwagą, a kiedy ta skończyła mówić, powiedziała cicho:

–Czy trans śmierci jest naprawdę tak niebezpieczny?

Flora spojrzała na nią.

–Gdybym mogła wyperswadować komuś, moja droga pani, aby nie brał w tym udziału, zrobiłabym to. Ale Ida Bagus Ambara i pan Clare pokonali długą drogę, aby znaleźć to, czego szukają. Obaj znali niebezpieczeństwa, zanim tu się znaleźli. Kimże jestem, abym starała się odwieść ich od tego?

–Randolphie – odezwała się Wanda – nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Randolph poczuł się zakłopotany.

–Powinienem ci powiedzieć. Ale jestem gotów zaryzykować.

Wanda była zbита z tropu.

–Gotów zaryzykować? Po co? Po to, aby zobaczyć swoją rodzinę? Nigdy nie przywrócisz ich do życia. Nie możesz zostawić ich w spokoju? Co dobrego wyniknie z tego, że ich ujrzysz?

–Nie wiem – odparł wolno Randolph – ale muszę spróbować.

–Przypuśćmy, że zginiesz. A wtedy co? – spytała Wanda.

Randolph opuścił głowę. Wanda z ledwością zrozumiała jego słowa przez paplaninę telewizora.

–Powinienem umrzeć razem z Marmie. Powinienem tam być. Niczego więcej nie ryzykuję ponad to, co zaryzykowała Marmie. A jeśli zginę... no cóż, może na to właśnie zasługuję.

Randolph spojrzał na Wandę wyzywająco, aby sprowokować ją do kłótni. Nie chciał, by jego słowa wskazywały na chorobę lub samopobłażanie. Jednak faktem było, że opiekował się Marmie przez prawie dwadzieścia lat i dziećmi od momentu ich narodzin, i ciągle czuł się za nich wszystkich odpowiedzialny. Jeśli ich duchy nadal żyją, i można się z nimi skontaktować, nic nie mogło go odwieść od tego. Gdyby zobaczył ich, jak zmagają się na burzliwym morzu, bez szans na uratowanie, i tak rzuciłby się z klifu, by chociaż umrzeć z nimi. Jego miłość do Marmie i dzieci była tak silna jak samo życie.

Według Randolpha warto było ryzykować wszystko tylko dlatego, aby powiedzieć Marmie, że ją kochał i zawsze będzie kochał i że życzy jej szczęścia w jej przyszłym istnieniu, jakkolwiek by ono wyglądało.

Wanda podeszła i usiadła obok niego.

–Te demony... jak im tam, lejaki? Przypuśćmy, że uciekną.

Flora wytrząsnęła papierosa z prawie pustej paczki Marlboro i powiedziała bezceremonialnie:

–Przypuśćmy, że samolot spadnie na ten dom. Przypuśćmy, że plaga ogarnie Manilę i zabije nas wszystkich we śnie. Przypuśćmy że świat jutro się skończy.

Zapaliła papierosa i spojrzała na Wandę zmrużonymi oczyma poprzez kłęby dymu.

–Samoloty i plagi, to są wypadki. Ale wejście w trans śmierci, to nie jest wypadek. To jest coś, co robi się z wyboru.

–No cóż, moja droga pani – powiedziała Flora – obawiam się, że niewiele pani z tego rozumie. Mimo że tego nie pochwalam, potrafię rozpoznać w tym nieprzepartą potrzebę. Śmierć zabiera tego, kogo kochałaś zbyt szybko. Czy była kiedyś pani pogrążona w żałobie? Jeśli tak, to wie pani, co mam na myśli. Rozmawiać z ukochanym, którego straciliśmy, choćby tylko przez minutę! Jak bardzo się tego pragnie!

Wanda odwinęła ręcznik z głowy i przeczesywała wilgotne włosy palcami.

–Ale to niebezpieczne. Sama pani powiedziała.

–Oczywiście. Ale przejście przez ulicę też jest niebezpieczne. A co osiągamy, przechodząc przez ulicę?

–Dostajemy się na drugą stronę – skontrowała Wanda.

–No cóż, ma pani rację – zgodziła się Flora i skinęła na Anę, aby przyniosła jeszcze piwa.

Ich rozmowa przez resztę wieczora była urywana i chaotyczna. Wszyscy przeczuwali, że zanoszą się na poważną kłótnię między Randolphem i Wandą. Starali się nie rozmawiać o transie śmierci, lejakach i odwiedzaniu zmarłych. Rozmawiali o polityce, inwestycjach i kosztach życia w Manili. Rozmawiali o najnowszych filmach i filipińskiej kuchni. Flora dała Randolphowi przepis na *sinigang na sugpo*, krewetki w zupie warzywnej.

Ale Wanda nadal była nerwowa, a Randolph doskonale zdawał sobie sprawę z jej nastroju. Kiedy Randolph poprosił ją o towarzyszenie mu w podróży, myślała, że jadą na coś w rodzaju spirytystycznych wakacji, trochę nacieszą się widokami, trochę popływają, dając sobie spokój z rozmyślaniami i wspomnieniami. Spędzą godzinę czy dwie ze wschodnimi mistykami, a potem wrócą do Memphis do pracy, odświeżeni i wypoczęci. Nie było żadnej sugestii, że to, co Randolph zamierza zrobić, jest niebezpieczne lub może być mieszaniną w sprawy diabła czy mięsożernych duchów. Wyglądało to na zupełny nonsens. W rzeczywistości, brzmiało śmiesznie. Ale mimo wszystko, jeśli choćby połowa z tego była prawdą...

Pomyślała o horrorach, które oglądała, i przez ułamek sekundy w jej pamięć zaplątał się obraz rozdartych gardeł, twarzy zmieniających się w maski wilkołaka, eksplodujących głów i wszystkich tych efektów specjalnych, które zapewnia filmowa technologia. Przemęczenie dawało znać o sobie. Noc była okropnie gorąca. Miała wrażenie, jakby to wszystko jej się śniło, jakby zaraz miała się znaleźć w swoim własnym łóżku, otworzyć oczy i ujrzeć, że jest u siebie w Memphis, słońce świeci w oknie, a piękna japońska gejsza spogląda na nią w dół ze ściany, bezpieczna między

swymi roślinami i książkami.

Randolph dotknął jej ramienia i powiedział:

–Jesteś zmęczona. Dlaczego się nie położysz?

–Musimy sobie coś wyjaśnić – powiedziała Wanda.

–Wiem. Teraz to rozumiem. Ale zostawmy to do rana.

Wanda potaknęła. Wstała, pożegnała się z Florą i doktorem Ambarą. Flora paląc papierosa, uśmiechnęła się do niej i powiedziała:

–*Selamat malam!*

–Za chwilę wrócę – powiedział Randolph do doktora Ambarę.

Odprowadził Wandę wąskimi schodami na drugie piętro. W oknach były bambusowe okiennice, a malowane wiklinowe koniki zwisały z sufitu. Pokój Wandy był pierwszy po prawej stronie korytarza, jeden z tych, które Flora rezerwowała dla specjalnych gości. Na samej górze było istne mrowie pokoików, w których jej starzy przyjaciele z Dżakarty mościli sobie gniazdka otoczeni zdjęciami, religijnymi wizerunkami i tłącymi się kadzidelkami. Za każdymi drzwiami stał ozdobny ekran, który miał zastępować *aling aling*, ścianę budowaną przez indonezyjskich wieśniaków z przodu domu, aby zapobiec nocnemu wejściu demonów. Wśród Indonezyjczyków panuje przekonanie, że demonom trudno jest skręcać w ciemnościach. Randolph patrzył z z troskaniem na Wandę, gdy siadała na brzegu łóżka.

–Dobrze się czujesz? – spytał. – Nie chciałbym, żebyś myślała, że musisz tu zostać. Jeśli chcesz, możesz polecieć do domu.

–To ty powinieneś lecieć do domu, jeśli już – odparła.

Randolph nie odezwał się, tylko przymknął na krótko oczy na znak, że rozumie, co chciała mu powiedzieć.

–Nie wiesz, co może się stać, jeśli wejdiesz w trans śmierci – kontynuowała Wanda. – To znaczy, tak naprawdę nie wierzę w te lekaki, czy jak one się tam nazywają.

–Lejaki – poprawił ją Randolph. – Tak naprawdę, ja też w nie nie wierzę.

–Ale co się stanie, jeśli one istnieją? Wydajesz się pewien, że zobaczysz Marmie i dzieci. Myślisz, że to się stanie naprawdę. Dlaczego zatem nie wierzyć w lejaki?

Randolph wydał policzki na znak zmęczenia.

–Nie wiem – wyznał. – Cała ta wyprawa prawdopodobnie jest śmieszna. Ale trzeba ją było przedsięwziąć. Gdybym tego nie zrobił nie mógłbym dalej żyć. A przynajmniej nie mógłbym żyć w taki sposób, jak to robiłem do tej pory. Być może to brzmi dziwnie.

–Nie – powiedziała Wanda. – Ale nie możesz pozwolić na to, by żal za Marmie zdominował wszystko, co robisz.

–Muszę wracać na dół – odparł Randolph. – Wiesz, kurtuazja i te rzeczy. Może się prześpisz trochę. „Nie musisz jutro wstawać wcześniej rano. Samolot odlatuje dopiero koło drugiej.

Wanda wyciągnęła rękę, a Randolph uchwycił ją jedną dłonią i przykrył drugą.

–Martwię się o ciebie – powiedziała Wanda. – Nie pojechałabym z tobą, gdyby tak

nie było.

–Wiem – odparł Randolph. – Ja również martwię się o ciebie.

Pochylił się i pocałował ją w czoło. Nie poruszyła się i nic nie powiedziała, dopóki nie wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Na dole doktor Ambara i Flora rozmawiali o starych czasach w Dżakarcie. Jednakże kiedy Randolph wrócił, skinęli na powitanie i Flora klasnęła.

–Ta Wanda to bardzo piękna dziewczyna – powiedziała z uznaniem.

–Obawiam się, że to tylko moja sekretarka – odparł Randolph.

–Czy to jakaś przeszkoda? – spytała Flora, nagle wybuchając śmiechem.

Doktor Ambara uniósł ostrzegawczo rękę.

–Pan Clare właśnie wczoraj pochował żonę i dzieci, Floro.

Flora spojrzała na Randolpha i nagle sięgnęła do niewielkiej białej chińskiej wazy obok telewizora i wyciągnęła brzoskwiniową orchideę, którą podała Randolphowi z wyrazem bolesnego współczucia.

–Pewnie bardzo źle pan sobie o mnie pomyślał. Nie miałam pojęcia, że to stało się tak niedawno. Musi być pan zgorszony, bardzo przepraszam.

Randolph wziął kwiat i uniósł, by podziwiać jego delikatność.

–Proszę się nie przejmować – odparł. A kiedy Flora spojrzała na niego pytająco, dodał: – Nie jestem zgorszony. Po prostu cieszę się na chwilę ponownego spotkania z nimi.

Pili piwo Anker i jedli *sapin sapin*, aż było już dobrze po północy. Przez cały wieczór dzwonek u drzwi rozbrzmiewał bezustannie, mężczyźni wchodzili i wychodzili, a dziewczęta biegały do góry i na dół. Między godziną dziesiątą a pierwszą Ana większość czasu spędziła, nosząc przez salonik tace z zupą, makaronem i butelkami *tapoy*, a Randolph był zdziwiony rozmiarami interesu, który robił Hotel Pasay, w czasie kiedy większość amerykańskich hoteli była już zamknięta.

–Gdyby była kiedyś pani zainteresowana sprzedażem części udziałów z tego miejsca, może pani na mnie liczyć – powiedział Florze.

Flora uśmiechnęła się.

–Taki biznesmen jak pan? Nie mógłby pan posiadać takiego hotelu lub nawet jego części. Co by powiedzieli pańscy wspólnicy, gdyby odkryli, że jest pan właścicielem części domu rozkoszy?

Randolph uniósł swoją szklankę ku niej, a Flora pochyliła głowę w odpowiedzi.

–Powinniśmy wypić ten toast arakiem – powiedział doktor Ambara. Arak to bezbarwna brandy destylowana z wina palmowego.

Flora rażno klasnęła w dłonie, a kiedy pojawiła się Ana, poprosiła o trzy kieliszki i butelkę araku.

–Nie wiem, co powie na to moja głowa rano – powiedział niewyraźnie Randolph, ale tak naprawdę to go nie obchodziło. Pochował rodzinę, siedział ze skrzyżowanymi nogami na poduszce w Manili w środku nocy, i co to, do diabła, miało za znaczenie?

Kiedy nalali trzy kieliszki palmowej brandy, doktor Ambara wzniósł toast i rzekł:

–Za najlepszy dom noclegowy w Azji Południowo-wschodniej, Hotel Pasay, i za jego ponętą właścicielkę.

Flora zaczęła się śmiać, cichym śmiechem, który trwał i trwał, i okazał się zaraźliwy. Wkrótce wszyscy się śmiali, łzy płynęły im po policzkach, a Flora wczepiła się w ramię Randolpha i zatopiła swoją twarz w jego koszuli.

W końcu Randolph poszedł na górę do łóżka. Flora dała mu jeden z największych pokojów z widokiem na podwórze. Znajdowało się w nim wielkie zapadnięte podwójne łóżko przykryte tylko płowym prześcieradłem, szafka z szufladkami, trzcinowe krzesło i spłowiałe zdjęcie Dżakarty wycięte z czasopisma i umieszczone za szkłem. Randolph nacisnął klamkę od drzwi balkonowych i wyszedł na zewnątrz. Powietrze było gorące, pachniało kuchnią i spalinami. Światła nadal świeciły ponad śródmieściem Manili, jakby odbywał się tam karnawał. Randolph nabił fajkę i palił przez chwilę, nie myśląc o niczym; był tak zmęczony, że jego umysł przestał funkcjonować.

O drugiej godzinie nad ranem, kiedy drzemał, otworzyły się drzwi od jego sypialni. Chwilę później siatka przeciw komarom rozciągnięta nad jego łóżkiem uniosła się i poczuł koło siebie ciepłe, pachnące ciało.

–Cśśś – powiedziała Wanda, kiedy unióś głowę.

Nie odezwał się. Położył się z powrotem, ucieszony, że ona jest tutaj, ale mając nadzieję, że nie spodziewa się od niego niczego oprócz towarzystwa.

–Dziwnie się czuję – wyszeptała.

–Ja także – odparł.

–Nie wiem, czy to dzień czy noc. Mój zegarek mówi mi, że czas spać, żołądek, że jest pora lunchu.

–Trochę to potrwa, zanim się przystosujemy.

Leżeli razem w ciszy przez minutę czy dwie. W ciemności Randolph z trudem dostrzegał kontur jej włosów, zaokrąglenie jej nagich pleców. Miała na sobie tylko majtki, ale leżała twarzą do dołu i nie próbowała go dotknąć.

–Nie mogę się z tobą kochać – powiedział.

–Wiem – odparła. – Nie po to tutaj przyszedłam. Chciałam tylko dotrzymać ci towarzystwa.

–Dziękuję. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy wracać do domu, do pustego łóżka.

–Dokładnie to czułam, kiedy zerwałam z moim chłopakiem – powiedziała Wanda. – Nie wiem, co było gorsze. Zraniona duma czy puste łóżko.

Przespali prawie godzinę. W pokoju było gorąco nie do zniesienia, a wokół łóżka nieustannie brzęczały komary. Gdzieś ktoś puszczał płytę Beatlesów na zniszczonym adapterze, ciągle od nowa. „She loves you, yeah, yeah, yeah”. Na zewnątrz słychać było pomruk i klaksony ulicznego ruchu, aż w końcu świt zaczął rozjaśniać niebo i strzępiaste liście palm w oknie Randolpha ostro zarysowały się we wschodzącym słońcu.

Wanda otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

–Mam nadzieję, że nie pomyślałeś niczego złego – powiedziała.

–A co miałem pomyśleć?

Uniosła się na łokciach. Miała pełne i okrągłe piersi, na górze opalone, pod

spodem bledsze, z siateczką niebieskich żyłek.

–Że bardzo cię lubię i chcę cię pocieszyć. Randolph uśmiechnął się, pochylił i pocałował ją w ramię.

–Jesteś wspanialsza, niż kiedykolwiek przypuszczałem. I bardzo ładna. Dziękuję ci za wspólną, choć osobną noc.

Wanda nie odwróciła wzroku.

–Nie musi być osobna.

–Wiem – odparł łagodnie – ale przynajmniej na razie wolałbym, żeby była.

–Tak – rzekła i chociaż widać było, że go pragnie, było także jasne, że go zrozumiała.

Na śniadanie zjedli omlety, *ukoy i bibinga*, a potem doktor Ambara zaproponował im krótką przejażdżkę po Manili, zanim wrócą na lotnisko na popołudniowy lot do Dżakarty.

Kiedy siedzieli w poczekalni, popijając koktajle *basi* i czekając na swój lot, Randolph powiedział doktorowi:

–Chciał się pan tu zatrzymać, prawda?

–Może słowo „chciał” nie jest zupełnie odpowiednie – odparł doktor. Zdjął swoje okulary i zaczął je dokładnie czyścić. – Każdy z nas ma potrzebę opowiedzenia drugim swoich przeżyć i usłyszenia, co o nich myślą.

–A cóż pan usłyszał od Flory? – spytał Randolph.

Doktor Ambara założył swoje okulary i powiedział po prostu:

–Dowiedziałem się, że istnieje różnica między niebezpieczeństwem a lękiem. A także, że jeśli ktoś jest prawdziwie oddany jakiejś wierze, musi mieć na uwadze ostrzeżenie innych ludzi.

Przerwał na chwilę, a potem dodał:

–Choćby Flory.

Lot do Dżakarty linii Air Merpati został wywołany o godzinie trzeciej. Polecieli na południowy zachód nad Brunei i Borneo, chwilami śpiąc, chwilami siedząc cicho i rozmyślając. Wanda siedziała po drugiej stronie przejścia od miejsca Randolpha. Przez większość lotu usiłowała czytać *Córkę Mistrala*, ale w końcu schowała ją, założyła ręce i zamknęła oczy.

–Nie jesteś zbyt zmęczona? – spytał Randolph.

Pokręciła głową, nie otwierając oczu.

–Nadal jeśli chcesz, możesz wrócić.

Znowu pokręciła głową.

–Słyszałaś, co mówiła Flora. To może być bardzo niebezpieczne.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

–Dlatego jadę z tobą. Jak myślisz, co powiedziałyby Marmie, gdyby się dowiedziała, że pozwoliłam ci zrobić to wszystko samemu?

Randolph wyciągnął się na swoim siedzeniu.

–Być może się tego dowiemy.

Rozdział XIV

Dżakarta

I. Made Wartawa zaciągnął się papierosem, a potem ostrożnie odłożył go na brzeg popielniczki. Chrząknął głośno, przełknął ślinę, wstał i spojrzał w okno, przyglądając się ruchowi na Jalan M. H. Thamarin, jak gdyby widział go po raz pierwszy, jakby ujrzał nagle i niespodziewane przybycie floty obcych statków kosmicznych, wobec których cała Dżakarta będzie bezradna.

Był brzydkim mężczyzną w okularach z rogowymi oprawkami, o tłustych włosach zaczesanych do tyłu, ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami, która najwyraźniej była prana w pralni publicznej. W biurze było niewiele rzeczy, stalowe półki na segregatory, kurz f i plakaty linii lotniczych.

–Mówicie o czymś, co jest całkowicie zakazane – powiedział z wyraźnym jawajskim akcentem. – Oczywiście, że nie mogę wam pomóc.

–Bardzo gorąco nam pana polecano – powiedział doktor Ambara.

I. M. Wartawa wzruszył ramionami, jakby był nieczuły na opinie.

Randolph popatrzył na doktora pytająco, ale ten dał mu dyskretny znak dłonią, aby pokazać, że jest jeszcze wiele możliwości negocjacji.

–Mówiono mi, że jest pan jedynym człowiekiem na Jawie, który wie, gdzie znaleźć adepta transu śmierci. A przynajmniej jedynym odpowiedzialnym człowiekiem.

Wiemy, że jest wielu oszustów i złodziei.

I. M. Wartawa odszedł od okna i wziął swojego papierosa. Zaciągnął się głęboko, z twarzą napiętą od koncentracji, a potem powiedział:

–Dawniej było wielu adeptów. Ale czasy się zmieniły. Mamy teraz telewizję, wideo. Młodzi ludzie nie są już zainteresowani, by zostać kapłanem i docierać do granic hinduskiej wiary. Możecie narzekać, wy Amerykanie, ale właśnie wy jesteście winni. Wasz wspaniałomyślny materializm zniszczył naszą kulturę daleko bardziej niż Japończycy swoimi karabinami i mieczami.

–Jeśli zechciałby pan nam pomóc – powiedział Randolph – nasz materializm rzeczywiście mógłby okazać się wspaniałomyślny.

–Ma pan na myśli, że zapłaci mi pan bardzo dobrze? Oczywiście. Spodziewałem się tego za konspirowanie z wami i złamanie prawa, a także za zorganizowanie ponadnaturalnego wyczynu nieosiągalnego nigdzie indziej na świecie.

Usiadł i popatrzył na Randolpha przez swoje grube powiększające soczewki okularów.

–Był czas, kiedy mógłbym zrobić za pieniądze prawie wszystko. Byłem jednym z największych impresariów w Dżakarcie, szczególnie we wczesnych czasach Suharto. Mogłem załatwić wszystko, czego ktokolwiek sobie zażyczył: narkotyki, alkohol, seks czy spirytyzm. Ale teraz jestem trochę starszy. Pieniądze już mnie tak bardzo nie interesują jak kiedyś. Większość moich przyjaciół nie żyje lub przepadło, i jak sądzę, stałem się ostrożniejszy. Mam cień na płucu. Pragnę żyć przez resztę życia we względnym spokoju.

–Mogę się zrewanżować za pańską przysługę, mogę załatwić panu lot do Ameryki i leczenie u najlepszych specjalistów – powiedział doktor Ambara.

–Do Ameryki? Dlaczego miałbym lecieć do Ameryki? Nie, mój przyjacielu, niczym mnie nie skusisz.

Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów Lion.

–Teraz wystarczy mi trochę pieniędzy na whisky, miskę *nasi goreng*, parę rupii na grę w karty z przyjaciółmi. To nie jest ekstrawaganckie życie, ale daję sobie radę.

Randolph nachylił się do przodu w swoim krześle, dłonie mocno zacisnął, a na jego twarzy malowała się powaga.

–Doktor Ambara i ja odbyliśmy daleką drogę, aby tu dziś z panem porozmawiać – powiedział uroczyście.

I. M. Wartawa zrobił współczującą minę.

–Obawiam się, że nie prosiłem się o tę wizytę. Nie mogę czuć się zobligowany, aby wam pomóc tylko dlatego, że przylecieliście z tak daleka.

–Postanowiliśmy przebyć tę drogę, ponieważ obaj czujemy głęboką i pilną potrzebę skontaktowania się z ludźmi, których straciliśmy. Straciłem całą swoją rodzinę, moją żonę i troje dzieci. Doktor Ambara stracił żonę. Obaj czujemy, że mamy im wiele do powiedzenia. Wiem, że Indonezyjczycy przykładają wielką wagę do upewnienia się, iż dusza ludzka została uwolniona od ziemskiego ciała po śmierci. Ale w tej chwili ja i doktor Ambara jesteśmy niczym duchy, które nigdy nie zostaną uwolnione. Nasze umysły są z tymi, których utraciliśmy, jednak my jesteśmy tutaj, wewnątrz naszych ciał. Jeśli; odmówi nam pan pomocy, skaże nas pan na lata męczarni, na lata żałoby.

I. M. Wartawa wysłuchał tego bez zmrużenia. Potem zapalił papierosa i powiedział:

–Mówi pan bardzo przekonująco. Ale dlaczego to właśnie ja mam wziąć na siebie odpowiedzialność uratowania was od tych męczarni? Jestem po prostu człowiekiem, który robi małe interesy i od czasu do czasu popija whisky.

–Zapłacę pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce – powiedział Randolph. – Połowę teraz, połowę później.

Oczy Wandy rozszerzyły się, ale nic nie powiedziała. Doktor Ambara spojrzał niespokojnie na Randolpha, potem na Wartawę i znowu na Randolpha. I. M. Wartawa zgarnął dłonią popiół od papierosa z powierzchni biurka. Wypuścił dym.

–Pięćdziesiąt tysięcy to poważna suma.

Randolph skinął głową.

–Jeśli pan to mądrze zainwestuje, może żyć bardzo wygodnie do końca życia.

–Tak, to prawda. Pan mnie zadziwia. Jak dotąd moja cena za zorganizowanie transu śmierci nie wynosiła więcej jak sześć czy siedem tysięcy dolarów. Muszę wyznać, że pięćdziesiąt tysięcy jest sumą interesującą.

–Czy potrzebuje pan czasu, aby to przemyśleć? – spytał Randolph.

I. M. Wartawa wykręcił nadgarstek i zerknął na swój złoty zegarek.

–Jest druga godzina. Muszę się trochę rozeznąć i zadzwonię do was później.

Gdzie się zatrzymaliście?

–W Hiltonie – powiedział Ambara. – Niech pan prosi pokój 908.

Potrząsnęli dłońmi na pożegnanie i stukając butami po gołych schodach zeszli na

ulicę. Był pochmurny, parny dzień. Palmy powiewały nad bezustannym trąbieniem i zgrzytaniem ulicznego ruchu.

–Jak myślicie, zrobi to? – spytała Wanda.

–Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił – odparł doktor Ambara.

–To strasznie dużo pieniędzy – powiedziała Wanda. – Czy jesteś pewien, że on na to zasługuje? To znaczy, jeśli załatwi tego adepta?

Randolph wcisnął ręce w kieszenie swoich letnich spodni.

–Marmie miała trzy czy cztery miliony wkładu inwestycyjnego. Nie znam lepszego wykorzystania tych pieniędzy.

–Randolphie... – powiedziała Wanda łagodnie i wzięła go za rękę.

–Muszę to zrobić.

–Ale za pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

–To tylko pieniądze, a osobiście uważani, że warto. Wrócili do Hiltona, aby wziąć prysznic i się przebrać.

Owinięty w ręcznik Randolph zadzwonił do Elli, a potem do Neila Sleamna. Na satelicie było rozpraszające echo, ale udało mu się dowiedzieć od Neila, że fabryka w Raleigh ma znowu jakieś problemy techniczne z chłodzeniem i że szef marketingu z Sun-Taste dzwonił przez cały dzień, aby uzyskać zapewnienie, że Clare Cottonseed będzie zdolne usunąć przestój do końca tygodnia.

–Jakieś wieści od Orbusa Greene'a?

–Żadnych.

–Sam do niego zadzwonię.

–Proszę się nie martwić. Dam sobie radę. Randolph odłożył słuchawkę. Był teraz przekonany, że Clare Cottonseed nie otrzyma żadnej pomocy od Margarynowej Mafii i że Orbus z rozmysłem ociąga się z odpowiedzią. Randolph był gotów zapłacić najwyższe stawki za olej Orbusa; był gotów udzielić szerokich koncesji na przyszłe kontrakty. Jednakże nie chciał przyłączyć się do Cottonseed Association i był głęboko zaniepokojony, że Sun-Taste może brać zamówienia skądinąd. To nie tyle kwestia zysków jak utrzymanie jego nowych fabryk i nowo najętego personelu do produkcji. Jeśli Sun-Taste przepadnie, będzie musiał zamykać wydziały i zwalniać ludzi i straci cały inwestycyjny impet minionych trzech lat, nie wspominając o zapłaceniu podatków za zyski z ostatniego roku z tegorocznych ostro zredukowanych przychodów.

Po południu doktor Ambara zabrał ich na przejażdżkę wokół Dżakarty, przez chińską dzielnicę, stare miasto, i kiedy zaczął zapadać wieczór, usiedli przy małej ulicznej budce pod syczącą lampą i zjedli po misce *nasi campur*, ryżu zmieszanego z mielonym mięsem i warzywami, oraz *betutu bebek*.

Jednakże przez cały czas rozmyślali o I. M. Wartawie, zastanawiając się, czy do nich zadzwoni. Całkowicie zapomnieli o Eckerze-Reesie i jego towarzyszach. Randolph nie zauważył ich na lotnisku Halim, kiedy przylecieli, a ich taksówka do Hiltona z pewnością nie była śledzona.

–Prawdopodobnie byli to tylko weterani. Chyba byliśmy przewrażliwieni –

zauważył wtedy doktor Ambara.

Wrócili do Hiltona tuż po dziewiątej. Na telefonie Randolpha świeciło się światelko. Podniósł słuchawkę i recepcjonista powiedział mu, że dzwonił I. Nyoman Sutarja z polecenia I. M. Wartawy. Mieli spotkać się z Wartawą jutro o ósmej rano w restauracji na Jalan Sułtan Hasanuddin w Keborayan Baru.

–Czy to wszystko? – spytał Randolph, spoglądając przez pokój na doktora Ambarę.

–Powiedział, że mam przekazać, iż wszystko świetnie idzie – odparł recepcjonista. Randolph odłożył telefon.

–Wygląda na to, że nam się udało – powiedział. – Wartawa chce się z nami zobaczyć jutro rano o ósmej.

Randolph nie mógł spać tej nocy. Czytał stary egzemplarz „Playboya”, który znalazł w szafce. Potem przyrządził sobie whisky z napojem imbirowym z lodówki i usiadł, paląc fajkę, aż podróżny budzik ogłosił trzecią godzinę. Położył się do łóżka i przedrzemał dwie godziny, po czym wstał o piątej piętnaście, wziął prysznic i ogolił się. Zaczął rozumieć, w jaki sposób święci doświadczali dziwnych wizji, nie śpiąc przez kilka dni. Podłoga hotelowa zaczęła się kołysać, jakby wstrząsana trzęsieniem ziemi i po raz pierwszy od lat Randolph uświadomił sobie, że się zatacza.

Wanda nie przyszła do niego tej nocy, ani on nie poszedł do niej. Wydawało się, że odkryli, iż czują do siebie silny pociąg, i że w odpowiednim czasie i odpowiednich okolicznościach mogliby zostać kochankami. Pewnego dnia ten właściwy czas i właściwe okoliczności mogą nadejść. Ale żadne z nich nie chciało wystawiać na szwank możliwości przyszłych stosunków poprzez niezręczny pośpiech. Kiedy Randolph zapukał do drzwi Wandy o siódmej, a ona zawołała, żeby wszedł, stała przed lustrem w łazience i szczotkowała włosy, mając na sobie tylko koronkowe majtki. Ubierała się przy nim i tak nieskrępowanie, jakby byli już kochankami i usiłowała mu powiedzieć: „Będę twoja, kiedy tylko zechcesz”.

Jej nieskrępowanie nie żenowało go ani nie obrażało. Brał je tak, jak ona sobie życzyła, i czuł się w dziwny sposób pocieszony.

–Wygląda na to, że Wartawa znalazł nam adepta – powiedział, przełknąwszy ślinę.

–Boisz się?

Randolph pomyślał o tym przez moment, potem odparł:

–Sądzę, że każdy by się bał.

–Czy wierzysz w tej chwili, że zobaczysz Marmie?

–Nie wiem. Im jestem bliżej tego, tym bardziej niemożliwe to się wydaje. Wiesz, kiedy Ambara mówił o tym po raz pierwszy w Klinice Góry Moria, wydawało się to takie łatwe. Płacisz i widzisz ukochanych, których straciłeś. Ale teraz, nie wiem. Teraz zaczynam myśleć, jak będę się czuł, jeśli rzeczywiście zobaczę się z Marmie, co jej powiem. I jak ona będzie się czuła. Czy duchy mają ten sam rodzaj uczuć co śmiertelni? Przypuśćmy, że się zdenerwuje, gdy mnie zobaczy. I co się stanie, kiedy trans się skończy i będę musiał ją zostawić?

Wanda usiadła obok niego na brzegu łóżka i wzięła jego rękę.

–Zawsze możesz się wycofać. Zaoszczędzisz dużo pieniędzy. A prawdopodobnie

także wiele smutku.

Przez moment się zawahała, po czym dodała:

–Oni nie żyją, Randolphie. Musisz pozwolić, aby upłynęło trochę czasu.

Randolph nie odpowiedział. Uznał, że prawdopodobnie ona ma rację i że cała ta wyprawa do Indonezji była tylko irracjonalnym wysiłkiem uspokojenia jego poczucia winy. Gdyby tylko tam był, kiedy wyważono drzwi domku w Lac Aux Ecorces i ci mężczyźni napadli na jego rodzinę z siekierą, drutem i żądzą mordy w sercach. Złapał się na tym, że zaciska zęby i pięści tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Wanda pocałowała go delikatnie w policzek.

–Dobrze. Wiem. Musisz przez to przejść.

Wzięli taksówkę do Kaborayan Baru, obszernej dzielnicy na południu Dżakarty. Doktor Ambara, jak powiedział, spał jak nosorożec, był nerwowy i podniecony. Randolph zaś czuł się jakby w letargu i bez przerwy ziewał.

Restauracja na Jalan Sułtan Hasanuddin nazywała się „Wayang” tak jak indonezyjskie teatry podrózne. Wyglądała na elegancką i drogą, z malowanymi parawanami i z udrapowanymi z sufitu *ider-ider*, strzępami bawełny tradycyjnie zwisającymi z kapliczek podczas świąt. Mały wytworny mężczyzna poprowadził ich na tył restauracji, gdzie siedział Wartawa ze szklaneczką piwa i papierosem.

–*Selamat pagi* - zawołał kiedy podchodzili. – Dzień dobry. *Saudara mau minum apa?*

–Wystarczy kawa, dziękujemy – powiedział Ambara.

I. M. Wartawa uniósł dłoń ku wytwornemu mężczyźnie i powiedział:

–*Tolong, berikan saya tiga kopi.*

–*Silakan duduk* - zaprosił ich. – Proszę, usiądźcie. Usiedli wokół stolika. I. M. Wartawa zdusił papierosa, przełknął potężny łyk piwa i powiedział:

–Dzwoniłem do wielu moich przyjaciół wczoraj po południu. Niektórzy nie odpowiedzieli. Może wyjechali albo zmarli. Odnowiłem kilka starych znajomości. Ale po jakimś czasie udało mi się znaleźć osobę, której, jak sądzę, szukaliście.

–W Dżakarcie? – spytał doktor Ambara.

–Mieszkał tutaj krótko, potem przez jakiś czas w Jogjakarta. Teraz jednak żyje w stolicy Bali w Denpasar. Niełatwo go było znaleźć i może będzie trudno nakłonić go, aby wam pomógł, ale wydaje się najzdolniejszym adeptem transu śmierci, większym nawet od Idu Bagusa Darwiko, który zmarł dwa lata temu w Kontamani.

–Ma pan jego nazwisko? – spytał Randolph.

–Tak, mam. Kiedy mi pan zapłaci, dam je panu. Musi pan zrozumieć, że ja nie jestem nieuprzejmy, ale bronię tylko moich interesów.

–Jutro będzie pan miał swoje pieniądze – powiedział Randolph. – Ale przede wszystkim – nawet jeśli nie chce pan dać mi jego nazwiska teraz – proszę powiedzieć mi coś bliższego o tym człowieku. Muszę wiedzieć, co potrafi.

I. M. Wartawa wolno pokręcił głową.

–Nie ma wątpliwości, że jest zdolny. Słyszałem już o nim wcześniej, ale jest bardzo tajemniczy i trudno powiedzieć, czy wszystkie historie o nim są prawdziwe.

–Jakie historie? – dopytywał się Randolph.

–No cóż, powiada się, że został adeptem transu śmierci, ponieważ szukał zemsty na samej bogini Rangdzie. Podobno kiedy po raz pierwszy wszedł w trans śmierci, jego religijny nauczyciel został zabity przez Wdowę Wiedźmę, więc po dzień dzisiejszy poluje na nią. Niewielu adeptów wchodzi w trans śmierci, jeżeli rzeczywiście nie muszą lub nie szukają kogoś w szczególności. Ale o tym człowieku mówi się, że wchodzi w trans śmierci co noc tylko dlatego, żeby polować na lejaki i je zabijać, a w ostateczności, aby spotkać się twarzą w twarz z Rangdą i zniszczyć ją.

–To wygląda na niebezpieczną obsesję – skomentował Randolph.

–Przekraczanie kurtyny zawsze jest niebezpieczne – zauważył I. M. Wartawa.

Oparł się o krzesło, podczas gdy piękna jawajska dziewczyna ustawiała przed nimi filiżanki z kawą.

–*Tolong, berikan saya salu* Johnny Walker? – spytał ją.

–*Tentu* - odparła i zabrała jego szklankę.

–Jakie jeszcze historie opowiadają o tym niezwykłym adeptcie? – spytał Randolph.

Miał właśnie wydać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce; uważał, że ma prawo znać przynajmniej zarys tego, na co zamierzał wydać pieniądze.

I. M. Wartawa pociągnął nosem.

–Powiadają, że jest pierwszym i jedynym adeptem, któremu udało się zapolować na lejaki i zabić je. Oczywiście, nie ma na to dowodu, ponieważ nie można zabić lejaka w świecie zmarłych, a potem przeciągnąć go do świata żyjących, aby pokazać, co się zrobiło. Lejaki są niewidzialne w rzeczywistym świecie. Można je zobaczyć tylko za Kurtyną.

–Jak można zabić lejaki? – spytała Wanda.

–Będziecie musieli sami go o to zapytać – odparł I. M. Wartawa. – Mogę jedynie przypuszczać, że dokonuje się tego za pomocą jakiejś magii.

–Czy może nam pan jeszcze coś powiedzieć na temat tego człowieka? – spytał Randolph. – Skąd pochodzi? W jakim jest wieku?

–Jest bardzo młody – odparł Wartawa. – To ledwie mężczyzna. Ma dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, nie więcej. Ciekawa rzecz, że jest w połowie Amerykaninem.

–To ciekawe – powiedziała Wanda.

–Oczywiście w południowo-wschodniej Azji jest takich tysiące. Spadek, który zostawili po sobie Amerykanie po wojnie wietnamskiej, jest nie tylko kulturalny. Ten człowiek jednakże został wychowany na sposób swojej matki, a jednocześnie odziedziczył fizyczną siłę i zachodni sposób myślenia po ojcu. Z tego, co o nim słyszałem, jest niezwykły.

Randolph sącył swoją kawę. To była jawajska kawa, gorąca i zawiesista.

–Jak chce pan, żebym panu zapłacił? – spytał cicho.

I. M. Wartawa wyciągnął zniszczoną kartę kredytową.

–Proszę przekazać pieniądze na ten rachunek. Skoro tylko je otrzymam, zadzwonię do pana do Hiltona i podam nazwisko adepta oraz miejsce, gdzie możecie go znaleźć.

–Wie pan, co się stanie, jeśli przekażę pieniądze, a pan nie zadzwoni? – spytał Randolph.

I. M. Wartawa uśmiechnął się krzywo.

–Niestety, musi mi pan zaufać. W Indonezji nielegalne jest dostarczanie adeptów śmierci, ale również ich wynajmowanie. Jeśli zniknę z moimi dwudziestoma pięcioma tysiącami, nie będzie miał się pan z tym gdzie udać. Ale jestem znany jako człowiek honoru i mogę panu obiecać, że dotrzymam słowa. Poza tym byłoby głupie z mojej strony uciec tylko z połową pieniędzy.

Randolph spojrzął na doktora Ambarę w oczekiwaniu na znak poparcia.

–Randolphie, panu Wartawie wystawiono najlepszą opinię. To wszystko, co mogę powiedzieć – odparł doktor Ambara.

–Bardzo dobrze – powiedział Randolph. Wstał i podał Wartawie rękę. Wartawa przeniósł papierosa z prawej ręki do lewej i uroczyście potrząsnął dłonią Randolpha na znak umowy.

–To przyjemność robić z panem interesy – powiedział.

Pojawił się mały wytworny człowieczek i spytał:

–Czy zjecie państwo śniadanie przed odejściem? Powinni państwo spróbować naszych parowanych pomidorów z masłem i czosnkiem lub sałatki Gado-Gado.

–To mój szwagier – wyjaśnił I. M. Wartawa z lakonicznym ruchem dłoni.

–Dziękujemy, ale sądzę, że lepiej będzie, jak wrócimy do Hiltona – odparł Randolph. – Muszę zorganizować przelew pieniędzy na pańskie konto.

–Śniadanie zajmie państwu najwyżej pół godziny – powiedział szwagier Wartawy.

–Nie opóźniaj ich, Verra – upomniał go Wartawa. – Nawet o minutę. Będą myśleli o śniadaniu po załatwieniu interesów.

Uśmiechnął się z przesadną przebiegłością i uniósł swoją szklankę.

–Kiedy się już komuś zaufało, trzeba działać na pełną parę – zauważył. – Spieszcie się! Zaufanie tak jak pijaństwo zawsze najgorzej smakuje na końcu.

–Bardzo filozoficzna uwaga – skomplementował go Randolph.

Wyszli na słońce. Niebo się roz pogodziło i oprócz kilku obłoczków ranek był czysty. Taksówkarz nadal na nich czekał, czytając komiks o Micky Mouse. Kiedy się pojawili, zapalił silnik i wcisnął komiks za plastikową taśmę osłony słonecznej.

–*To long hantarkan saya ke hotel Hilton* – powiedział doktor Ambara. Kiedy zawracali na środku ulicy, jasne światło przykuło uwagę Randolpha. Był to promień odbity w szybie drugiego samochodu, który ruszył dokładnie w tej samej chwili co ich taksówka. Odwrócił się na siedzeniu i przyjrzał się mu przez okulary słoneczne.

–Co się dzieje? – spytała Wanda.

–Nie wiem. Ten samochód ruszył zaraz po nas, a teraz skręca za nami.

Doktor Ambara również się odwrócił.

–Volkswagen – zauważył. – Wygląda na wynajęty.

–W środku czterech mężczyzn – stwierdził Randolph.

–Sądziś, że to oni? – spytała Wanda.

–Możliwe.

–Ale jak oni nas znaleźli? Nie było ich na lotnisku, kiedy przylecieliśmy?

–Jeśli wiedzieli, którym lecimy lotem, wiedzieli również, w jakim hotelu się zatrzymamy – odparł Randolph. – A jeśli jesteś Amerykaninem, nie trzeba wielkiej

wyobraźni, by się domyślić, że zatrzymasz się w Hiltonie, prawda? To byłoby pierwsze miejsce, gdzie zacząłbym szukać, gdybym był na ich miejscu.

–Co robimy? – spytała Wanda. – Wezwiemy policję?

–Nie. A przynajmniej jeszcze nie – odparł Randolph. – Pamiętajcie, że to, co tutaj usiłujemy załatwić, jest surowo zakazane. A poza tym oni jak dotąd niczego nie zrobili z wyjątkiem tego, że nas śledzą, jeśli rzeczywiście to oni.

–Trudno dojrzeć – powiedział doktor Ambara, mrużąc oczy przed słońcem.

Skręcili do centrum Dżakarty i do hotelu Hilton. Podczas gdy Wanda zamawiała drinki, Randolph zatelefonował do George'a Twyforda, swojego księgowego, który nie był szczególnie uszczęśliwiony, otrzymując telefon o wpół do siódmej wieczorem, według czasu Memphis, kiedy miał właśnie wyjść z biura po ciężkim dniu pracy. Ale zgodził się przesłać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów do banku Indonezja w ciągu dwunastu godzin.

–Za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów może pan kupić ogromną ilość makaronu na kolację.

–Kupuję jawańską rzeźbę.

–Jest pan pewien, że ta jawańska rzeźba to dobra inwestycja?

–Nie martw się, George, robię dobrze.

Księgowy chrząknął. Słabo go było słychać.

–To pańskie pieniądze – stwierdził. Randolph odłożył słuchawkę na widelki.

–Wszystko załatwione? – spytał doktor Ambara, jakby trudno mu było w to uwierzyć.

–Pieniądze prześlą tu przez noc.

Wanda stała przy oknie, wyglądając na ulicę.

–Ten volkswagen jeszcze tam stoi – powiedziała. – Zaparkowali go po drugiej stronie ulicy.

Randolph podszedł do niej.

–Z pewnością to ten sam.

Czekali, obserwując volkswagena przez trzy lub cztery minuty. Nagle drzwi od strony pasażera otworzyły się i wysiadł wysoki mężczyzna. Randolph natychmiast go rozpoznał, nawet z oddali.

–To ten o nazwisku Ecker. Bez wątplenia. Założę się, że jego prawdziwe nazwisko to Reece.

–Jeśli to rzeczywiście Reece, to jest to człowiek, który zabił Marmie i dzieci.

–Tak – wyszeptał Randolph. Wanda popatrzyła na niego.

–Równie dobrze może teraz zabić nas.

–Nie. Różnica polega na tym, że my jesteśmy już na niego przygotowani.

Rozdział XV

Bali

Samolot linii Garuda wydawał przenikliwy pisk, dojeżdżając do końca pasa, po czym bez wahania skręcił do terminalu.

–Panie, panowie, witamy na międzynarodowym lotnisku w Bali. Dla waszego bezpieczeństwa, prosimy zostać na miejscach, aż całkowicie się zatrzymamy.

Randolph wyglądał przez okno samolotu na białe budynki, ciemne kępy palm wzdłuż ogrodzenia i kontrolera ruchu w słonecznych okularach oraz odblaskowej pomarańczowo-zielonej koszuli, kierującego samolot do bramy. Silniki z wolna zamarły i mogli odpiąć pasy bezpieczeństwa.

–Zawsze chciałam odwiedzić Bali – powiedziała Wanda, odbierając swoją walizkę z taśmociągu. – Jednak nie w takich okolicznościach.

Zamówili wynajęty samochód, aby przyjechał po nich na lotnisko. Nie było śladu Eckera i jego towarzyszy, ale na wszelki wypadek zażądali, by kierowca pytał o pana Berry, a nie o pana Clare. Kiedy Wanda zapytała Randolpha, dlaczego wybrał nazwisko Berry, wzruszył ramionami i odparł:

–Pamiętasz piosenkę: „Long Distance Information, et Me Memphis, Tennessee”. Śpiewał ją Chuck Berry.

To jeszcze nie za moich czasów – przypomniała mu Wanda.

Zakurzone czarne volvo czekało na nich przy krawężniku, za kierownicą siedział Balińczyk w czapce szofera, nieskazitelnie wyprasowanej czarnej marynarce, nałożonej na gołe ciało, spodenkach tenisowych i czarnych kolanówkach.

–Mieście dobry lot? – spytał, kiedy ruszali. Czasami strasznie rzuca w czasie lotu z Dżakarty z powodu dziur powietrznych.

Włączył niewielkie radio umieszczone na szczycie deski rozdzielczej i kręcił gałką dwie albo trzy minuty przez śpiewy, balijską muzykę, kody Morse’a i wiadomości w języku indonezyjskim, aż w końcu znalazł stację, której szukał: country-and-western.

–Jestem fanem Tammy Wynette – oznajmił, jakby to miało spowodować, że poczują się jak w domu.

Dwanaście kilometrów do balijskiej stolicy Denpasar zajęło im pół godziny. Dotarwszy do centrum na Jalar Hasanudin, brnęli przez wąskie ulice wśród chmar rowerów, bemo busów, ławicę mopedów i tradycyjnych *dokar*, powozików ciągniętych przez konie. Chodniki były okupowane przez jaskrawo ubranych sprzedawców a każdy kramik był załadowany wspaniałym batikiem, błyszczącymi pamiątkami, muszelkami, przedmiotami z mosiądzu i stosami okropnych plastikowych sandałów Harmider i gadanina przytłaczały, niczym hałas nie kończącego się wesołego miasteczka. Dymy z kramików gotujących *warong* wisiały ciężko razem z zapachem smażonej wieprzowiny i *chop-chai*.

Postanowili nie zatrzymywać się w hotelu Bali, eleganckim starym budynku pochodzącym z czasów Holendrów i najlepszym hotelu w Denpasar. Zamiast tego znaleźli tańszy *Iosmen* na Jalan Diponegoro, podły dwunastopokojowy hotelik obok restauracji „Bardzo smaczna” i biur Padura Spice Export. Recepcja hotelowa b urządzona w stylu, który Randolph określił jako orientalnie napuszony, z tapetami o

złotym tle, balijskimi przybraniami głowy, poplamionymi purpurowymi dywanami i niewielką strzechą z liści palmowych nad biurkiem recepcjonisty.

Wyschnięty stary mężczyzna z jednym błyszczącym złotym zębem i ładna, pulchna dziewczyna zaprowadzili ich do pokoi. Kierowca przyniósł walizki i zapewnił, że będzie osiągalny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

–Zdajcie się na mnie – uśmiechnął się i wyszedł dotykając daszka czapki. Nie spodziewał się napiwku. Na Bali napiwki nadal były rzadkością.

–Waldorf Astoria to to nie jest – zauważył Randolph, podnosząc bambusową żaluzję w oknie i wyglądając na dół na zaśmiecone podwórze, gdzie kurczaki spacerowały między zardzewiałymi mopedami i pustymi puszkami po oleju. W jego pokoju dominowało łoże królewskich rozmiarów z białym winilowym zagłówkiem oraz rzeźbiona szafa, która śmierdziała tropikalną stęchlizną i kulkami na mole. Nie było klimatyzacji, ale w każdym z pokoi była niewielka hałaśliwa lodówka, dobrze zaopatrzona w coca-colę, piwo Anker i napój owocowy Air Jeruk.

–Jeśli Ecker i jego przyjaciele nadal nas śledzą, będą mieli kłopot ze znalezieniem nas tutaj – powiedział doktor Ambara.

Randolph usiadł na końcu łóżka i otworzył złożoną kartkę, którą dał mu I. M. Wartawa, gdy tylko otrzymał swoją zapłatę. Miał nadzieję, że informacja, którą zawierała, była warta tak ogromnego wydatku. Brzmiała krótko: „Michael Hunter, znany również jako Michael Arjuna. Ostatni sprawdzony adres: Jalan Pudak 12a, Denpasar”.

–Ma pan zamiar od razu go odszukać? – spytał doktor Ambara.

–Najpierw wezmę prysznic.

Randolph namydlił się i umył pod grzechoczącym Prysznicem, a potem założył czyste białe szorty i niebieską koszulę z krótkimi rękawami. Kiedy czesał mokre włosy przed lustrem, weszła Wanda ubrana w żółtą bawełnianą sukienkę mini i jasny naszyjnik z paciorków.

–Jak twój pokój? – spytał.

–O, świetnie – odpowiedziała nie całkiem entuzjastycznie. – Widzę dach jakiejś świątyni.

–Co za miejsce, prawda?

Wanda podeszła do okna.

–Sądziś, że go znajdziesz?

–Zażądam zwrotu pieniędzy, jeśli nie – uśmiechnął się Randolph.

–Nie wiem – zadumała się Wanda. – Teraz, kiedy jesteśmy tutaj, ten interes z transem śmierci wydaje się naciągany.

Randolph skończył czesać włosy i zamknął drzwi od szafy.

–Co powiesz na szklaneczkę piwa? Potem możemy poszukać tego typu i wy badać, na ile prawdziwy jest ten trans śmierci.

Wzięli taksówkę przez centrum Denpasar, minęli statuę Guru, demonicznego olbrzyma, który stał na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic miasta, Jalan Gajahmada i Jalan Udayana; potem przejechali przez plac Puputan, gdzie świątynia Pura Jagatnatha wznosiła swoje ozdobne dachy ku południowemu słońcu. Wszędzie

otaczała ich muzyka, rozmowy i skrzeczący odgłos mopedów.

Dom, w którym najprawdopodobniej mieszkał Michael Hunter, był śmierzącym zaniedbanym bungalowem z zarośniętym przez dzikie orchidee ogrodem. Połowa dachu zapadła się, a okna były pokryte galwanizowanym żelazem.

–Tak niewiele za tak kosztowny kawałek informacji – powiedział Randolph chwytając się pod biodra.

Taksówkarz zaparkował przy krawężniku, obserwując ich z nie ukrywanym zaciekawieniem.

–Szukacie kogoś, Tuan? – spytał.

–Amerykanina, młodego Amerykanina. Powiedziano nam, że tutaj mieszka.

Kierowca wysiadł ze starego volvo i poszedł klapiąc sandałami do domu obok, gdzie na schodach siedziała kobieta, sortując do koszyków świeżo zerwane gałki muszkatołowe. Wdał się z nią w dłuższą rozmowę, kiwając głową, a czasami klaszcząc w dłonie. Potem wrócił do Randolpha i dumnie oznajmił:

Ten Amerykanin, którego szukacie, mieszkał tu rok. Wyprowadził się miesiąc czy dwa miesiące temu. Staruszka nie wie, gdzie teraz mieszka, ale mówi, że on miał zwyczaj chodzić do restauracji „Dwie siostry”. ponieważ czasami przynosił jej chińskie jedzenie.

–Wygląda na to, że nie mamy wyboru, jak tylko tam go poszukać. Zawiezie nas pan? – spytał doktor Ambara.

–*Bagus* - zgodził się kierowca. – Dobrze.

Restauracja „Dwie siostry” znajdowała się w połowie Jalan Tabalan, w zaniedbanej dzielnicy na północny wschód od nocnego targu, zamieszkaney przez Chińczyków, Arabów i Hindusów. Była cichsza, jakby opuszczona. Żaden ze sklepów nie wylewał się na ulicę, tak jak na Jalan Gajahmada czy Jalan Veteran. Z małych, ręcznie malowanych napisów na fasadach, zazwyczaj w języku chińskim czy arabskim, często było niemożliwe zorientować się, czy za tym napisem kryje się sklep ogólny, restauracja czy salon gier. Grupa wychudłych psów ujadła i gryzła się na środku drogi.

Front „Dwóch sióstr” pokrywała ażurowa żelazna krata, na której znajdował się napis: „Rumah Makan 2 Sisters”.

Randolph zapłacił taksówkarzowi, po czym utorował sobie drogę przez wiszącą paciorkową zasłonę do środka restauracji. W zadymionym i dusznym wnętrzu panował półmrok. Wzdłuż ściany po prawej stronie, znajdował się bar, za którym mała Chinka mieszała koktajle w shakerze. Stał tam tuzin stolików przykrytych zielonymi ceratowymi obrusami; większość z nich była zajęta, przeważnie przez podstarzałych chińskich stałych klientów.

Młoda balijska dziewczyna roznosiła tace z zupą z krabów, żabimi udkami i smażonymi kluskami. Na odległej ścianie wisiał żółty obraz przedstawiający góry chińskie z lecącymi ponad nimi żurawiami.

Przy barze siedziało pięciu czy sześciu ludzi, troje spośród nich z Zachodu: piękna dziewczyna w wieku dwudziestu czterech, dwudziestu pięciu lat w niebieskoturkusowym sarongu i wstążce na głowie; otyły mężczyzna koło

pięćdziesiątki, który wyglądał niczym wykolejony Orson Welles; i chłopak około dziewiętnastu, dwudziestu lat o krótko ostrzyżonych czarnych włosach, ubrany w spłowiałą koszulkę z napisem z przodu oraz sprane dżinsy.

Wszyscy ludzie w restauracji odwrócili się i gapili na Randolpha, Wandę i doktora Ambarę. Jedną rzecz Randolph mógł powiedzieć o Dalekim Wschodzie: nikt nie krępował się okazywać swojego zainteresowania tym, co działo się wokół niego.

Randolph podszedł do baru.

–*Selamat siang* - powiedział do Chinki. Doktor Ambara nauczył go, jak się mówi „dobry wieczór” w indonezyjskim języku Basaha.

Chinka skończyła wstrząsać koktajle i nalewała je do dużych szklanek. Nie zignorowała Randolpha, ale również nie przerywała z jego powodu swej pracy. Na ułamek sekundy zmrużyła lekko oczy.

–Szukam Amerykanina – rzekł Randolph. – Powiedziano mi, że miał zwyczaj jadać tutaj.

–Nie ma tutaj żadnego Amerykanina – odparła Chinka.

Randolph spojrział przez bar na młodego mężczyznę o czarnych włosach w spłowiałej koszulce.

–A ty? – spytał. – Widziałeś kiedyś tutaj Amerykanina? Młodego Amerykanina, chyba w twoim wieku. Nazywa się Michael Hunter lub Michael Arjuna.

Dziewczyna w sarongu spojrzała na niego.

–A kto chce wiedzieć? – spytała z silnym akcentem.

Randolph skinął głową w kierunku młodego mężczyzny.

–To on?

–To tylko mój przyjaciel.

Randolph zbliżył się do młodego mężczyzny. Dziewczyna zeskoczyła ze stołka i stanęła przed nim w geście obrony. Randolph popatrzył chłopakowi prosto w oczy i spytał

–To ty jesteś Michael Hunter?

Chłopak odwrócił czarne i pozbawione życia oczy. Jego twarz była wyniszczona i pożółkła od malarii, wokół ust miał rany. Z bliska Randolph dostrzegł, że jego włosy w rzeczywistości były jasne i że je czernił. Widać było jaśniejsze odrosty.

Dziewczyna, broniąc chłopaka przed intruzami, powiedziała:

–Po prostu chcemy być sami, OK?

Randolph nie spuszczał wzroku z chłopaka.

–Przyleciałem tu aż z Memphis, Tennessee, aby porozmawiać z Michaeliem Hunterem.

–Ale Michael Hunter nie chce rozmawiać – odparła dziewczyna – a więc możecie wracać z powrotem do Memphis.

Randolph stał przez chwilę bez ruchu, a potem sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął portfel. Zauważył, w jaki sposób oboje – chłopak i dziewczyna – patrzą na jego pieniądze i karty kredytowe – z nienasyconym głodem prawdziwych biedaków.

–Może mógłbym postawić wam drinka – zaproponował. – Albo coś do jedzenia. Szukałem ciebie wszędzie. To trudna robota. Chce mi się jeść i pić.

–Panie, kimkolwiek pan jest – odezwała się dziewczyna – Michael po prostu nie jest zainteresowany.

Randolph skrzywił się.

–No cóż, przykro mi. Pomyślałem sobie, że możemy po prostu usiąść i zjeść coś razem, że doradzicie mi, co mógłbym zjeść, a wtedy przedłożę wam moją propozycję i zobaczymy, czy ona was zainteresuje. Nie musi w tym być żadnego nacisku. Nie będziecie musieli nawet rozmawiać, jeżeli nie będziecie chcieli. Proszę was tylko, abyście mnie wysłuchali.

–Nie ma mowy – powiedziała dziewczyna, ale chłopak chwycił ją za ramię, utkwivszy wzrok w Randolphie.

–Chcesz coś zjeść? – spytał Randolph.

Chłopak potaknął, a potem lekko schrypniętym głosem powiedział:

–Tylko niech się pan nie spodziewa, że zgodzę się na wszystko. Wiem, czego pan chce. Musi pan zrozumieć, że nie zajmuję się już tymi rzeczami.

Randolph uśmiechnął się krzywo.

–A co to są za rzeczy, którymi się już nie zajmujesz?

–Wie pan, o co mi chodzi – odparł zimno chłopak.

–O tak, oczywiście, że wiem, o co ci chodzi – odparł Randolph.

–Jeżeli spróbujecie wciągnąć go w jakiś interes z transem – powiedziała dziewczyna ze źle skrywaną złością – zacznę krzyczeć, że mnie gwałcą.

–Gwałcą? – spytał Randolph, usiłując ukryć rozbawienie.

–Właśnie to próbujecie zrobić, prawda? – spytała dziewczyna wyzywająco. – Zgwałcić umysł Michaela, tak samo jak inni to robili. Teraz jest zawieszony między jednym diabelskim światem a drugim, i wierzcie mi, nie ma specjalnej różnicy między nimi.

–Czy ja wyglądam jak diabeł? – spytał Randolph.

–Czyżby pan nie wiedział? – zdziwiła się dziewczyna. – Diabły zawsze mają gładkie języki. Zawsze kuszą.

Michael Hunter potrząsnął ją za ramię, aby pokazać, że rozumie, co ona mówi, i docenia sposób, w jaki się nim opiekuje, ale że ma ochotę coś zjeść.

–Dalej – popędział. – Usiądźmy. Zobaczmy, co ten diabeł ma do powiedzenia. Słuchanie nikomu jeszcze nie zaszkodziło.

Usiedli przy jednym przykrytym ceratą stoliku obok I grającej szafy. Był to stary Wurlitzer z lat sześćdziesiątych, ale płyty były współczesne: chińska wersja *Thrillera* i *Purple Rain* oraz *Ninety Red Balloons*. Randolph przedstawił Wandę i doktora Ambarę, a Michael położył rękę na ramieniu swojej towarzyszki i powiedział:

–To jest Jennifer Dunning, ale ja nazywam ją Mungkin Nanti.

–Czy to jakieś zdrobnienie? – spytała Wanda.

–Sądzę, że to raczej rodzaj żartu – powiedział doktor Ambara. – Oznacza to: „może później”.; Michael oparł swoje kościste łokcie na stole i wyjął paczkę indonezyjskich papierosów. Zapalił jednego, nie proponując innym, i wydmuchnął dym z nozdrzy.

–Dowiedzieliście się o mnie w Memphis? – spytał. – Czy ktoś w Denpasar dał wam

cynk?

–Człowiek o nazwisku I. Made Wartawa w Dżakarcie – odparł Randolph.

Michael skinął, nie wyjmując papierosa z ust.

–Aha, Wartawa. Dziwny facet. Całkiem etyczny jak na oszusta. Przysyłał mi już kogoś wcześniej.

Kiedy podeszła balijska kelnerka, Michael zamówił *wulung tuzhu*, morskie ślimaki i jaja gołębie; *jiachang shaozi niujin*, duszone wołowe ścięgna; i *caogu zhenji*, kurczaki z grzybami. Zamówiwszy spojrzał na Randolpha i powiedział z lekkim sarkazmem:

–Ich specjalnością jest smażona kobra i smażone rolady w kształcie dłoni Buddy, ale chyba zostawimy to na następny raz.

Na stole pojawił się duży dzbanek z herbatą jaśminową. Podczas gdy dziewczyna Może Później nalewała im jej do filiżanek, Randolph obserwował Michaela poprzez unoszące się kłęby pary i próbował domyślić się, co mogłoby skusić tego niezwykle młodego człowieka, aby zabrał ich w trans śmierci.

–Powiedziałeś, że nie zajmujesz się już „tymi rzeczami” – zauważył Randolph, popijając herbatę.

Michael potrząsnął głową.

–Czy jest jakiś szczególny tego powód? Wartawa sądził, że wchodzenie w trans śmierci jest twoim głównym zajęciem. Powiedział, że jesteś jedyną osobą, o jakiej słyszał, która robi to dla sportu.

–Sportu? A co on uważa za sport? – spytał ostro Michael.

–Powiedział, że polujesz na lejaki.

–Polowanie na lejaki nie jest sportem. Poza tym, co pan wie o lejakach?

–Obecny tu mój przyjaciel, doktor Ambara, jest kimś w rodzaju eksperta w dziedzinie religii hinduskiej praktykowanej w Indonezji.

–Pański przyjaciel, doktor Ambara, powinien uważać na to, co mówi.

–Czyżby? – spytał Randolph. W jego głosie zabrzmiało słabe wyzwanie.

–Porzuciłem polowanie na lejaki – powiedział Michael – ponieważ o mało co mielibyśmy wypadek. Nanti mogła zginąć. Obiecałem jej potem, że nie będę już tego robił.

–A więc z czego teraz żyjesz?

Michael w końcu wyjął papierosa i pozwolił, aby dym snuł się wokół jego pożółkłych zębów.

–W niektóre ranki pracuję w Muzeum Bali. Zamiatam, myję gabloty wystawowe i tym podobne.

–Dobrze płacą? – spytał Randolph.

–A jak pan myśli? – spytała agresywnie Mungkin Nanti. – Ale to lepsze niż być rozdartym na strzępy.

Kelnerka przyniosła duży półmisek *hunsu pinpan*, zimnego mięsa – pokrojone w plasterki jagnię, piersi kaczki i marynowanego kurczaka, ułożone w kształt wachlarza. Michael i Mungkin Nanti natychmiast chwycili pałeczki i zaczęli jeść. Wanda zmarszczyła brwi i próbowała ułożyć pałeczki, aby się nie krzyżowały.

–Niech pani weźmie łyżkę – zaproponował Michael. Przeżuwał kaczkę, potem znowu zaciągnął się papierosem. – Przypuszczam, że jest pan w żałobie? – spytał Randolpha. – Pańska matka? Ojciec?

–Oboje już dawno nie żyją – odparł Randolph. Nagle zdał sobie sprawę, że jest to ta chwila, o której od tak dawna myślał, od kiedy tylko doktor Ambara powiedział, że przekroczenie bramy śmierci jest możliwe. – Straciłem żonę i trójkę dzieci. Pochowałem ich we wtorek.

Stwierdził, że ma tak mocno ściśnięte gardło, iż boli go prawie nie do zniesienia.

Michael spojrział na niego, trzymając w palcach kawałek jagnięcia, nie wzruszony emocją Randolpha.

–Co się stało, wypadek samochodowy?

–Zabójstwo. Byli w Kanadzie, sami w domku myśliwskim, którego używaliśmy podczas wakacji. Ktoś – trzech czy czterech mężczyzn, może więcej, włamało się tam i zabiło ich.

Mungkin Nanti nie przestała jeść, także nie wzruszona śmiercią rodziny Randolpha. Randolph obserwował ich przez chwilę, zastanawiając się, co mogłoby ich sprowokować do jakiejś reakcji na to, co mu się przydarzyło, ale wtedy zrozumiał, że na kimś, kto był już w królestwie śmierci wiele razy, wiadomość o morderstwie robi niewielkie wrażenie. Śmierć to była praca Michaela, przynajmniej do czasu, gdy Mungkin Nanti kazała mu jej zaprzestać. Śmierć nie robiła na nim wrażenia, podobnie jak na koronerze czy grabarzu.

–Obecny tutaj mój przyjaciel, doktor Ambara – powiedział Randolph – stracił żonę. Właśnie w wypadku samochodowym. Chciałby również nawiązać kontakt.

–No cóż, powiedziałem panu – przerwał Michael, zręcznie chwytając końcami palców dekoracyjnie pokrojoną rzodkiewkę – że już tym się nie zajmuję. Poza tym, gdybym zgodził się to dla was zrobić, oznaczałoby, to jazdę do Memphis, a wierzcie mi, nie mam najmniejszej ochoty tam jechać.

–Byłeś kiedyś w Memphis? – spytał Randolph.

–Nie i nie mam zamiaru.

Przez jakiś czas siedzieli w ciszy i kiedy skończyli *hunsu pinpan*, kelnerka przyniosła im ręczniki. Michael otarł całą twarz i szyję, jakby cierpiał na gorączkę.

–Powiedz mi coś o sobie – nalegał Randolph. – Jak wszedłeś w ten interes z transem śmierci?

–Chce pan naprawdę się dowiedzieć? – spytał Michael.

–Tak – odparł Randolph. – Jesteś Amerykaninem, prawda? A przynajmniej w pięćdziesięciu procentach. Co spowodowało, że pięćdziesięcioprocentowy Amerykanin zaangażował się w religię indonezyjską? Czyżby w domu nie dość było religii?

–W domu? – spytał Michael. – Pan to nazywa domem? No cóż, przypuszczam, że panu wolno. Mój ojciec jednak nigdy nie nazywał tego domem, od czasu gdy przeprowadził się na Wschód. Był młodszym doradcą w Wojskowej Misji USA za czasów prezydenta Diema. Wszedł w ostry spór z Pentagonem o to, by nie doszło do wojny z Wietnamem, i w końcu go wylali. Ale nie wrócił do Stanów. Poczł się

zdradzony, wie pan, i opuszczony. A co ważniejsze, zaczął nieco rozumieć wschodnią mentalność. Najpierw pojechał na Jawę, a potem przywłókł się tutaj. Mówił, że Bali jest duchowym ośrodkiem wszystkiego, całego zaklamanego świata. Balijszczyki nazywają wulkan Gunung Agung pępkiem świata. To świetne określenie, nie sądzi pan?

–Twój ojciec ożenił się z Balijską? – spytała Wanda. Michael uśmiechnął się.

–Była wieśniaczką z Sangeh. Mój ojciec poznał ją, kiedy zwiedzał słynną małą dżunglę. Jej ojciec nie zgodził się na małżeństwo, a więc w końcu postąpił według starej balijskiej tradycji i ją porwał. Zabrał ją na swoim mopedzie, uwierzy pan?

Widać było, że Mungkin Nanti ma za złe Michaelowi jego opowiadanie, ale nie przeszkadzała mu. Był on zawieszony nie tylko między światem śmierci i życia, ale również między Wschodem i Zachodem. W pełni cieszył się ze sposobności rozmowy z Amerykanami, chociaż wyszydził ideę Stanów Zjednoczonych jako domu.

Kelnerka zaczęła ustawiać gorące dania. Randolph spojrzął na ślimaki, szare i maziste w sosie z oleju arachidowego, i postanowił pozostać przy kurczakach.

–Mój ojciec zaprzyjaźnił się z jednym arcykapłanem – powiedział Michael – i ćwiczył się w mistycznej sztuce Trisakti, świętej hinduskiej trójcy: Brahma, Wisznu i Siwa. Ale w sercu na zawsze pozostał człowiekiem Zachodu. A przynajmniej tak mi mówił. Potrafił zrozumieć, co mówił mu arcykapłan... ale jakby intelektualnie. Dostrzegał wewnętrzne znaczenie rzeczy, jednak kiedy przyszło co do czego, nie potrafił zostać hindusem.

Michael chwycił ślimaka pałeczkami i ugryzł kawałek.

–Powinien pan tego spróbować, są dobre. To jeden z lepszych posiłków, jakie tu przyrządzają.

Wanda spojrzała na Randolpha i z trudem przełknęła ślinę.

–Chyba nie jestem taki głodny. Mdłości, rozumiesz. Mój żołądek nie wie, jaka jest pora dnia.

–Urodziłem się w dniu, kiedy Marynarka wylądowała w Da Nang – odezwał się Michael. – W 1965 roku. Mój ojciec powiedział, że to był omen. Ja nie jestem taki pewny. Był to także Kuningan, ostatni dzień świąt Galungana, kiedy świętuje się pokonanie króla demonów Mayadanawy. Według mnie to właśnie był omen.

Jedli przez jakiś czas w milczeniu.

–Mój ojciec chwycił mnie pewnego dnia za rękę – kontynuował Michael – i zaprowadził do Świątyni Zmarłych. Miałem wtedy siedem lat. Przedstawił mnie arcykapłanowi, pedandzie, i powiedział, że od tej chwili pedanda będzie moim duchowym ojcem, którym jak się okazało rzeczywiście się stał. A także kimś w rodzaju prawdziwego ojca, ponieważ mój rodzony ojciec zmarł, kiedy miałem dziesięć lat.

–Przykro mi – powiedział Randolph.

–No cóż, nie musi być panu przykro – odezwał się Michael. – Spotkałem go później w transie śmierci i wiem, że teraz jest całkiem zadowolony.

–Spotkałeś ojca po śmierci? – spytał Randolph.

Michael popatrzył na niego i odłożył pałeczki.

–Myślałem, że pan wierzy w trans śmierci – powiedział.

Doktor Ambara zrobił nieszczęśliwą minę. Wanda wyczuła, że coś poszło nie tak i powiedziała:

–Spróbuj tej wołowiny, Randolphie. Jest absolutnie wspaniała.

Ale pozostali zignorowali ją.

–Oczywiście, że wierzę w trans śmierci – odezwał się Randolph spokojnie. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie wierzył.

–Aha, ale tak naprawdę pan nie wierzy. Jest pan jeszcze jednym z tych, którzy polują na ciekawostki. Turystą. Inaczej nie byłby pan tak zdziwiony, że spotkałem się z ojcem.

–Źle pan ocenia pana Clare – wtrącił się doktor Ambara – i to bardzo źle.

–Nie zabieram w trans śmierci nikogo, kto całkowicie w niego nie wierzy. Wie pan dlaczego? To zbyt niebezpieczne.

–Michael – nalegała Mungkin Nanti. – Nie zajmujesz się już transem śmierci. A już na pewno nie z tymi ludźmi.

–Pan Clare przebył daleką drogę tutaj – powiedział doktor Ambara – poznawszy i uwierzywszy w drogi Yamy. Ale proszę pamiętać, że dla zachodniego umysłu te pojęcia są bardzo trudne, niełatwe do uchwycenia, tak jak zachodnie drogi często są tajemnicą dla nas.

Użycie słowa „nas” przez doktora Ambarę uratowało sytuację przed absolutnym patem. Doktor Ambara pokazał, że uważa Michaela nie w połowie, ale w całości za Indonezyjczyka, i że szanuje jego duchowe umiejętności. Poza tym stało się jasne, że Michael był daleko bardziej zainteresowany ubicie interesu z Randolphem, niż Mungkin Nanti usiłowała to przedstawić. Czym innym jest mycie podłóg w muzeum za dziesięć rupii na godzinę, a czym innym polowanie na lejaki w królestwie śmierci. Groza tego, co znajdowało się za bramą śmierci, pociągała ponad wszelkie wyobrażenie. Poziom adrenaliny u Michaela wzrósł, chociaż próbował udowodnić, że nigdy więcej nie weźmie nikogo w trans śmierci i że Randolph był niewierzący. Doktor Ambara w najsubtelniejszy sposób dostarczył Michaelowi wszelkich racji do złamania swojej obietnicy. Michael wziął następny kawałek ślimaka i powiedział:

–Mój ojciec się zabił.

Randolph nie odezwał się, tylko obserwował i czekał.

–Pewnego dnia wyszedł na podwórze – kontynuował Michael – kiedy bawiłem się w domu. Miał na sobie swoje świątynne sash, przepaskę na biodra i długi biały szal na głowie. Usiadł na kamieniach pośrodku podwórza, rozłożył przed sobą egzemplarze manuskryptów *lontar*. Wylał na swoje ramiona benzynę i podpalił się. Pamiętam ten trzaskający dźwięk. Wyszedłem na dwór i zobaczyłem, jak płonie. Z jego twarzy strzelały płomienie. Był zupełnie spokojny i bierny. Nie wiedziałem, co robić, ale coś mówiło mi, że on nigdy by mi nie wybaczył, gdybym próbował go ratować. Poszukiwał czegoś. Rozumiałem to bardzo dobrze. Widziałem, jak szerniał. Po chwili przewrócił się na ziemię i widać było, że jest martwy.

–Zostawił jakąś notatkę? Jakies wyjaśnienie? – spytał Randolph.

–Nie – odparł Michael – i jak się później dowiedziałem, celowo chciał, aby jego

śmierć była tajemnicza. Kiedy w końcu spotkałem go w transie śmierci, wyjaśnił, że to był jedyny sposób, który pozwolił mu osiągnąć duchowe zrozumienie, spalić się, uwolnić swoją duszę od ciała, tego *antakaranasarira*. Był to najszczęśliwszy moment w jego życiu, powiedział, i nigdy nie powinienem nosić po nim żałoby. Nie zostawił wyjaśnienia, dlaczego się zabił, ponieważ chciał, abym kontynuował swoje studia. Tylko ucząc się, jak wejść w trans śmierci, byłem w stanie dowiedzieć się, dlaczego zmarł. Randolph zjadł trochę wołowiny.

–Pomożesz mi znaleźć moją rodzinę? – spytał.

Michael złożył ręce przed swoją twarzą, jakby modlił się z namysłem. Wpatrzył się w Randolpha, jak patrzy tancerz *sanghyang* przez szpary maski.

Dziewczyna nazywana Mungkin Nanti bardzo wolno potrząsnęła głową.

–Nie robi tego. Nie może. Nie powinien pan go o to prosić. Ostatnim razem prawie zginął.

–Nie sądzisz, że on sam powinien odpowiedzieć za siebie? – rzekł Randolph.

–Nie czuje się dobrze. Powinien pan widzieć, jaki był chory.

–Tak – upierał się Randolph – ale on jest jedyną osobą, która może to dla mnie zrobić.

–Michael, musisz powiedzieć nie – prosiła Mungkin Nanti, chwytając go za ramię. Michael wzruszył ramionami.

–Nie muszę niczego odpowiadać, ani tak, ani nie.

Podniósł następnego ślimaka i zjadł go, maczając w herbacie.

–Wszystkie wasze wydatki do Memphis zostaną pokryte. Ta młoda dama może panu towarzyszyć, jeśli tak pan sobie życzy. I proszę mi wierzyć, pan Clare będzie bardzo hojny – odezwał się doktor Ambara.

–Jak hojny? – spytał Michael.

–A ile pan sobie życzy? – odparł Randolph. Michael pomyślał przez chwilę, a potem pochylił głowę.

–Nie – powiedział. – Nie mogę tego zrobić. Obiecałem to Nanti i muszę dotrzymać tej obietnicy.

Mungkin Nanti objęła go ramieniem i uścisnęła. Michael uniósł znowu wzrok i z długiego doświadczenia Randolph wiedział, że ten błysk w jego oczach oznacza niezdecydowanie. Odezwał się tymi samymi słowami co do I. M. Wartawy:

–Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Bez zbędnych pytań. Jeśli chcecie dalej mieszkać tu w Bali, nie będziesz musiał pracować do końca życia.

Randolph wiedział, że ta oferta była wygórowana, prawie absurdalna. Ale przez ostatnie kilka dni odkrył u siebie głęboką awersję do używania pieniędzy Marmie w interesach. Czuł, że wolałby raczej je rozdać, szczególnie, że nie miał już dzieci, którym mógłby je przekazać. Wolał zużyć je, aby zobaczyć się znowu z Marmie i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

–Ile? – spytał Michael. – Pięćdziesiąt tysięcy? Mówi pan poważnie?

–Ile panu wcześniej płacono?

–Pięć, dziesięć tysięcy. Najwięcej dostałem dziesięć tysięcy.

–To całkiem przyzwoita suma. Jak to się stało, że pan podupadł?

–Mah-jongg - wtrącała się Mungkin Nanti ostro. – Ostatnim razem, kiedy prawie został zabity, przepuścił całe pieniądze w salonie gry. To jeden z powodów, dla których kazałam mu obiecać, że przestanie.

–No cóż, możesz robić, co chcesz ze swoimi pieniędzmi – powiedział Randolph. – Przypuszczam, że pięćdziesiąt tysięcy starczy ci na dłużej niż te dziesięć, nawet jeśli przegrasz je przy stolikach gry.

–Naprawdę chce mi pan zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli wezmę pana w trans śmierci?

Randolph skinął głową.

–Miałam rację – powiedziała Mungkin Nanti z nie ukrywaną złością – nazywając was gwałcicielami. Gwałciciele zawsze atakują słabszych i zawsze są pewni, że dostaną to, czego chcieli.

–Zazwyczaj gwałciciele to, czego pragną, biorą siłą, panno Nanti. Ja oferuję pieniądze.

–Tyle pieniędzy, że to prawie zakrawa na gwałt – protestowała Mungkin Nanti. – Jeśli zabijecie Michaela, wierzcie mi, będziecie tak samo brutalni jak ci mężczyźni, którzy zabili pana rodzinę.

–Michael ma wybór. Moja rodzina go nie miała.

–Co to za wybór, jeśli daje mu się pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Pieniądze albo nędza. Czy to jest wybór?

Michael uniósł dłoń, aby ich uciszyć.

–Mungkin Nanti ma rację – powiedział cichym, chrapliwym głosem. – Nie mam wyboru. Zrobię to.

–Obiecałeś! – rzuciła gwałtownie Mungkin Nanti. – Michael, obiecałeś!

–Nanti, jaka obietnica może konkurować z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów?

–A więc taka jest cena za twoje życie? – Mungkin Nanti warknęła na niego. – Zawsze chciałam wiedzieć, na ile sam siebie oceniasz. I mnie także. Teraz już wiem. Co do centa.

Wstała od stołu, przewracając do tyłu krzesło, i wymaszerowała z restauracji. Balijska kelnerka podeszła i podniosła krzesło.

–Czy państwo już skończyli? – spytała z wahaniem, patrząc na talerze z nie zjedzonymi potrawami.

Michael wyjął papierosa i zapalił go.

–Ya, terima kasih.

–Brapa semuayana? - spytał doktor Ambara. Wyglądało na to, że wyznaczył sobie posadę menedżera Randolpha.

–Dolary amerykańskie? – spytała kelnerka.

Doktor Ambara wyjął portfel.

–Pięć dolarów – powiedziała kelnerka.

–Terlalu mahal - odparł doktor Ambara.

–Cztery dolary – zaproponowała kelnerka. Doktor Ambara przemyślał to, po czym z namaszczeniem wyliczył cztery dolary.

–Dziwni z was ludzie – zauważył Michael. – W jednej chwili dajecie mi pięćdziesiąt

tysięcy dolarów za zabranie was w trans śmierci, a w drugiej targujecie się i jednego dolara za posiłek.

–Chciałbym tym podkreślić, panie Hunter – powiedział doktor Ambara – że znamy wartość naszych pieniędzy. Spodziewamy się, że każdy pojedynczy dolar tych pięćdziesięciu tysięcy będzie wart swojej ceny, podobnie jak każdy z tych czterech dolarów, które właśnie wydaliśmy na posiłek.

–Rozumiem – odparł Michael. Zerknął na Randolpha, potem na Wandę i wreszcie z powrotem na doktora Ambarę. Jego twarz była spowita papierosowym dymem.

–A co z twoją przyjaciółką? – spytał Randolph.

–Och, wróci. Zawsze wraca.

–Tym razem wydawała się bardzo rozzłoszczona na ciebie.

–Uratowała mi życie – powiedział Michael. – Złożyła mnie do kupy, w jedną rozsądną całość, a ja nie doceniam jej nawet w połowie tak, jak na to zasługuje. Ale czasami, wiecie, czasami takich ludzi się nie potrzebuje. Czasami trzeba rzucić się głową na przód w przepaść i lepiej jest dla wszystkich, jeśli nie ma komu pozbierać kości. Całe życie skupia się wokół zaangażowania. Mój ojciec był tak zaangażowany w religię hinduską, że spalił się żywcem. Skoro ojciec zrobił coś takiego, jak można spędzić resztę życia, szorując podłogi i polerując szyby? Lejaki czekają na mnie. Wiedziałem o tym od początku. Czasami nie można poprawić swojego przebaczenia, bez względu na to, jak bardzo by się chciało. Randolph bębnił palcami o blat stołu.

–Gdybym cię o to poprosił – spytał cicho – jak byś się określił?

Michael uśmiechnął się.

–Mistykiem. Idiota. Religijnym zelotą. Potencjalnym samobójcą.

–Ale tobie udało się to, co nie udało się twojemu ojcu. Jesteś hindusem.

Rozumiesz Trisakti od wewnątrz... duchowo, nie tylko intelektualnie.

–Panie Clare – powiedział Michael. Kręgi pod jego oczami były tak ciemne jak śliwki. – Moje samobójstwo będzie wyglądało całkiem inaczej niż samobójstwo mojego ojca. Ojciec usiłował znaleźć całkowite zrozumienie. Ja posiadam to zrozumienie, mogę zrozumieć wszystko. Ja nie zrozumienia szukam, ale konfrontacji z siłami zła. Rzuciłem wyzwanie Rangdzie i prędzej czy później będę musiał stanąć wobec niej. W taki czy inny sposób, w tym czy innym czasie, każdy człowiek musi tego dokonać. Oczywiście tylko niewielu ma przywilej spotkania się z nią twarzą w twarz. Tylko kilku ma dość siły czy odwagi, by z nią walczyć. Ale... no cóż, myślę, że wiedziałem to już od dawna, iż prędzej czy później muszę ją dopaść. Pańskie pieniądze tak naprawdę nie mają takiego znaczenia. To nie był decydujący czynnik. Po prostu pomogły mi się zdecydować.

–Jeśli rzucił pan wyzwanie Rangdzie – powiedział doktor Ambara poważnie – umrze pan.

–Prawdopodobnie – odrzekł Michael, zaciągając się mocno papierosem.

Rozdział XVI

I. M. Wartawa właśnie zamykał drzwi od swojego biura, kiedy szybko i cicho podszedł do niego wysoki mężczyzna. Ścisnął go za lewe ramię i przytknął mu ostry jak brzytwa nóż myśliwski do szyi.

–Dokąd oni pojechali? – spytał mężczyzna ochryple.

–Dokąd pojechali? Nie rozumiem – zaprotestował Wartawa.

Pan Randolph Clare, jego sekretarka i ten czarny lekarz.

–Nie wiem, o czym mówisz – skrzywił się I. M. Wartawa. – Nigdy nie słyszałem o tych ludziach.

–Co powiesz o natychmiastowej tracheotomii? – spytał mężczyzna.

I. M. Wartawa oblizał wargi.

–Dobrze. Słyszałem o panu Clare.

–Gdzie on teraz jest?

–Skąd mam wiedzieć? Przyszedł porozmawiać o sprawach importowo-eksportowych. Potem poszedł.

–Kłamiesz – powiedział mężczyzna, przyciskając ostrze noża mocniej do jabłka Adama. I. M. Wartawa czuł, jak krew ścieka mu ciepłą strużką po szyi za kołnierzyk. Chociaż był przestraszony, jednak nie stracił głowy. Zbyt długo pracował z gangsterami ciężkiego kalibru, którzy rządzili występkiem w Dżakarcie; zbyt wiele razy uciekał przed obciętymi karabinami, koktajli Mołotowa, bryzgami kwasu siarkowego. Zawsze znajdowało się jakieś wyjście. Zawsze można było dojść do jakiegoś porozumienia. Wszyscy czegoś chcieli, każdy miał swoją cenę. Ten człowiek na pewno nie jest wyjątkiem.

–Porozmawiajmy o tym rozsądnie – powiedział.

–Chcę teraz o tym rozmawiać – odparł mężczyzna.

–Dobra, pogadamy teraz. Pan Clare wyjechał z Dżakarty dziś rano liniami Garuda.

–Dokąd?

–Skąd mam wiedzieć? Pogadaliśmy trochę o interesach, to wszystko.

–Jeśli tylko o tym gadaliście, człowieku, to wierz mi, nie jesteś mi już potrzebny i mam zamiar podciąć ci gardło. Natychmiast, od ucha do ucha. Popatrz tylko. Widzisz ten korytarz? Tutaj właśnie umrzesz.

–Polecieli na Bali – powiedział I. M. Wartawa.

–Bali? Dlaczego właśnie tam?

–Ponieważ tak im poradziłem.

–Ach tak? – spytał mężczyzna ironicznie. – A dlaczego im tak poradziłeś?

–Posłuchaj – powiedział I. M. Wartawa. – Mogę zapłacić ci dwadzieścia tysięcy dolarów. Tyle dał mi pan Clare.

–Dlaczego chcesz to zrobić? – spytał mężczyzna, nagle się uśmiechając.

–Abyś mnie puścił. Abyś zabrał nóż z mojego gardła. Całość w gotówce. Od ręki.

–Nadal nie powiedziałaś mi – rzekł mężczyzna – dlaczego pan Clare i jego przyjaciele polecieli na Bali.

–Nie wiem. Nie omawialiśmy tego.

–Przecież mu to poradziłeś.

–Z powodu krajobrazu, to wszystko.

–Krajobrazu? To świetne. Masz dwadzieścia sekund, palancie, a potem umrzesz.

–Szukali kogoś – Wartawie udało się przełknąć.

–Ach tak? Szukali kogoś? Mam nadzieję, że nie uznasz tego za zbyt impertynencję, gdy cię spytam kogo. Ten ktoś musi być kimś nadzwyczajnym, skoro taki człowiek jak pan Clare leciał całą drogę z Memphis, Tennessee, aby go znaleźć, w dodatku, zapłacił takiemu skunksowi jak ty.

–Pan Clare szukał adepta transu śmierci.

–Kogo?

–Adepta transu śmierci. Kogoś, kto może przeprowadzić cię przez granicę śmierci, abyś spotkał przyjaciół lub krewnych, którzy niedawno zmarli.

–Czy ty nie wpuszczasz mnie w maliny?

Nóż jeszcze mocniej naciął skórę I. M. Wartawy.

–To prawda. To był jedyny powód podróży pana Clare do Indonezji. Chce porozmawiać z żoną i dziećmi. Można to zrobić przy pomocy pedandy, specjalnego arcykapłana, kogoś wyćwiczonego we wchodzeniu w trans śmierci i wprowadzaniu w niego innych ludzi. W ten sposób pan Clare będzie mógł przekroczyć śmierć i wejść do świata zmarłych. Rozumiesz? Może znowu spotkać się z rodziną, ich duchami. Rozmawiać z nimi, dotykać ich, jakby byli na jawie, jakby nadal żyli. To brzmi zwariowanie, wiem, ale tego można dokonać; i to się udawało. Wszystko w transie.

–Wejdzie w ten trans – powiedział mężczyzna – i spotka się znowu z rodziną? Spotka się z nimi naprawdę? – Jego głos był podszyty podejrzeniem.

–Czy sądzisz, że mówiłbym takie rzeczy z nożem na gardle, gdyby to nie była absolutna prawda?

Nastąpiła długa cisza. Mężczyzna trzymał ostrze przyciśnięte mocno do tchawicy I. M. Wartawy. Chociaż krew przestała teraz płynąć, I. M. Wartawa mógł wyczuć lepkość za kołnierzykiem swojej koszuli.

–A więc polecili na Bali, co? – spytał w końcu mężczyzna. – Dokąd dokładnie? Do Denpasar?

Tak. Do Denpasar.

–Masz nazwisko? Do kogo polecili? Do jednego tych facetów od transu?

–Tak – odparł Wartawa, boleśnie przełykając.

–Kto to jest?

–Jeden z najlepszych. Michael Hunter. Jest pół-Amerykaninem, ale uczył się hinduskiego mistycyzmu od dziecka. Ma szczególny talent, jeśli chodzi o trans śmierci.

–A co z adresem? – dopytywał się mężczyzna.

–Dałem mu adres na Jalan Pudak. Numer 12a.

–Nie próbujesz zrobić ze mnie głupka?

–Głupka? Z ciebie? Dlaczego miałbym to robić? – westchnął I. M. Wartawa.

Bez słowa mężczyzna przeciągnął myśliwskim nożem od jednej strony gardła I. M. Wartawy do drugiej, przecinając jego tchawicę. I. M. Wartawa nagle stwierdził, że został zabity, ale kiedy krew wytrysnęła z jego szyi, nie był w stanie mówić ani

krzyczeć. Nogi się pod nim ugięły i padł na podłogę ze wzrokiem utkwionym w linoleum. Jego ciało podrygiwało i drżało, jakby miał gorączkę. Mężczyzna stał nad nim, patrząc, jak umiera. Ciemna krew uformowała szeroką owalną kałużę o połyskującej i odbijającej powierzchni. I. M. Wartawa nagle pomyślał o czymś, o czym mówił mu jego ojciec, o czymś, czego nigdy nie rozumiał. Teraz wydawało się to jasne, krystalicznie jasne, i zdziwił się, dlaczego potrzeba było aż śmierci, żeby to zrozumieć.

Ojciec powiedział mu pewnego ranka, krótko przed śmiercią:

–Co innego jest dobre, a co inne przyjemne. Dobrze jest, jak ktoś trzyma się tego, co dobre; ten, który wybiera przyjemne, źle skończy.

I. M. Wartawa spróbował obrócić głowę, aby wyjaśnić mężczyźnie stojącemu nad nim to, co właśnie rozumiał. Ale wokół była tylko ciemność, mężczyzna zniknął. Świat zmienił się w czarny, pusty, dudniący tunel.

Umierał, czując, że spada.

W chwili kiedy tamten umierał, Michael Hunter przyjechał do hoteliku Randolpha na Jalan Diponegoro i płacił taksówkarzowi pieniędzmi z tych pięćdziesięciu rupii, które dał mu doktor Ambara. Był piękny gorący poranek, powietrze wolne od kurzu, pachniało słodkimi aromatami kwiatów. Michael miał na sobie tę samą co wczoraj koszulkę z napisem i wytarte szorty, które kiedyś były džinsami. Palił papierosa. Miał wilgotne włosy, dopiero co umyte i zaczesane pod górę nad jego niskim czołem. Kiedy spytał ładną pulchną dziewczynę w recepcji o pana Clare, wskazała na górę i powiedziała:

–Numer piąty.

Michael zapukał energicznie do drzwi Randolpha.

–To ja – zawołał i z jakiegoś powodu poczuł się prawdziwym Amerykaninem, chociaż nigdy nie był w Ameryce. Zgasił papierosa między palcami i zatknął go za ucho.

Randolph otworzył drzwi. Był ubrany w jasnoszare szorty, białą koszulkę i wyglądał na zmęczonego.

–Jestem tak, jak obiecałem – powiedział Michael.

–Dobrze – odparł Randolph. – Wejdiesz?

–Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział Michael. – Musimy zacząć naukę od razu. Nie jadł pan śniadania, prawda?

–Nie, nie jadłem.

Michael obszedł pokój, próbując łóżko, podnosząc książkę, którą czytał Randolph, wyjrzał przez okno, stukając palcami po bambusowych żaluzjach.

–Niezbyt tu miło – stwierdził. – Taki człowiek jak pan, który ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów do wydania, powinien mieć pokój w hotelu Denpasar.

–Wolałem coś skromniejszego – odparł Randolph. – Możesz to nazwać fetyszyzmem.

–No cóż, skromność, dobrze – zgodził się Michael.

–Czy świątynia jest daleko? – spytał Randolph.

–Za rynkiem na Jalan Mahabharata. Możemy iść piechotą, jeśli pan chce. Spacer

działa uspokajająco.

Michael postanowił, że Randolph pierwszy zacznie swój trening, przed doktorem Ambarą, ponieważ doktor był już zapoznany z Trisakti, z demonami i bóstwami, które mają wpływ na naturalny świat. Michael nalegał również, żeby pierwszy tydzień treningu odbył się tutaj, w Denpasar, pępku świata, gdzie siły duchowe są najmocniejsze. W Memphis byłoby o wiele trudniej wyczuć Randolphowi subtelne zmiany atmosfery, które poprzedzają trans śmierci; trudno byłoby także wyczuć bliskość duchów, zarówno tych złych, jak i dobrych.

Szli razem po Jalan Diponegoro. Michael wydawał się spokojniejszy, niż kiedy Randolph widział go po raz pierwszy. Rozmawiał z ożywieniem, pokiwał przyjacielsko kilku znajomym kramiarzom i bezustannie błyskał oczami wokół, jakby był w ciągłym pogotowiu i wypatrywał najłżejszego sygnału tego, że siły świata duchów ujawniły się w codziennej krzątaninie ulic.

–Pogodziłeś się ze swoją dziewczyną? – spytał Randolph.

–Nadal nasze układy są na ostrzu noża – wyznał Michael.

–Co się wydarzyło wtedy, gdy po raz ostatni byłeś w transie śmierci? Czy było to rzeczywiście aż tak niebezpieczne, jak ona twierdzi?

Michael sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa.

–Próbowałem wyśledzić zmarłego męża kobiety, która mieszka w Sanur. Jest nieźle nadziana. Jej mąż był kupcem, a kiedy zmarł, wszystko jej zostawił. A przynajmniej powiedział, że zostawił. Nagle jego dawna sekretarka zaczęła jeździć nowym mercedesem. Kobieta chciała odnaleźć zmarłego męża, aby wyjaśnić tę sprawę i dowiedzieć się, ile zostawił swojej sekretarce. Sądzę, że tak naprawdę to chciała zakwestionować testament.

–To bardzo ziemski, materialistyczny powód dla czegoś tak niebywale duchowego – stwierdził Randolph.

–Za to mi płacą – odparł Michael, wzruszając ramionami. – W tym interesie rzadko trafia się na sentymenty. Jeśli ktoś ma dość pieniędzy, aby zapłacić za trans śmierci, to zazwyczaj jest to osoba, którą interesują tylko pieniądze. Wie pan, o co mi chodzi? Ich chciwość sięga nawet za grób.

Poprowadził Randolpha przez plac Puputan.

–Wie pan – powiedział – raz przyszedł do mnie mężczyzna, który chciał się zobaczyć ze swoją zmarłą kochanką tylko dlatego, żeby móc ją zelżyć. Odmówiłem mu. Nie można wejść w trans śmierci, kiedy jest się złym lub rozżalonym. No cóż, można, ale to zbyt niebezpieczne. Lejaki są strasznie wrażliwe na negatywne emocje. Mogą wyłapać twoją złość prawie natychmiast i wtedy są twoim tropie.

Przeszli przez Jalan Durian między chmarą rowerów.

–To właśnie przydarzyło mi się ostatnim razem. Kobieta stanęła twarzą w twarz z mężem, a on przyznał się, że dał swojej sekretarce coś około dwustu tysięcy dolarów. Zanim weszliśmy w trans, kobieta obiecała mi solennie, że będzie panować nad sobą bez względu na to, co mąż jej powie. Ale kiedy usłyszała jego słowa, oszalała. Wpadła w absolutną histerię. Była tak wściekła, że nie mogłem wyciągnąć jej z transu. Nie mogłem też jej tam zostawić. Lejaki wytropiły nas jak dzikie psy.

Udało mi się utrzymać je z daleka i w końcu wyprowadziłem tę głupią kobietę, ale było wtedy bardzo gorąco.

Podniósł koszulkę i pokazał szarpaną bliznę, która wyglądała, jakby jakieś dzikie zwierzę próbowało wygryźć mu strzęp ciała z piersi.

–Jeden z nich dorwał mnie właśnie, gdy przechodziłem. Miałem szczęście, że nie poszły za mną dalej. Z pewnością byłbym martwy.

Zaciągnął się mocno papierosem.

–Wtedy Nanti zmusiła mnie do obietnicy, że nie będę już tego robił. No cóż, nie mam do niej żalu. Musiała pielęgnować mnie przez prawie dwa miesiące. Nie mogłem iść do lekarza, ponieważ zapytałby mnie, jak się zraniłem, a trans śmierci jest wbrew prawu. Rana goiła się strasznie, nie do wiary jak strasznie.

Szli razem po wąskiej, nędznej uliczce, gdzie nadal stała Pura Dalem, Świątynia Zmarłych. Randolph przystanął, podziwiając w milczeniu rzeźbione podobizny Rangdy i Barong Keketa, pokrytych mchem i zwisającymi pnączami.

–To Rangda, Wdowia Wiedźma – wyjaśnił Michael. – Niech pan spojrzy na rzeźbę i pomodli się, aby nigdy nie spotkać jej na żywo.

Randolph odwrócił się do Michaela i usiłował się uśmiechnąć, ale Michael się nie uśmiechał.

Popchnęli zieloną, mosiężną bramę i weszli do środka na zewnętrzny dziedziniec. Chociaż słońce świeciło jasno, ledwie tutaj przenikało, a w powietrzu czuło się niespodziewany chłód. Zdjęli buty. Michael cicho przeszedł przez dziedziniec bosymi stopami. Randolph podążył za nim.

–Czy tej świątyni nikt już nie używa? – spytał Randolph matowym głosem.

–Tylko ja – odparł Michael, spoglądając do tyłu ciemnymi balijskimi oczami.

–Jestem zdziwiony, że władze miasta pozwoliły, by ta świątynia nadal stała.

–To święta ziemia. Wewnątrz tych murów jesteśmy ni to na ziemi, ni to w niebie.

Ogólnie wierzy się, że kiedy ta świątynia w końcu się zawali, zostanie wessana przez świat za kurtyną i nic tutaj nie pozostanie.

–Ty również w to wierzysz?

–Kiedy pan w to uwierzy, proszę mi powiedzieć – odparł Michael.

Weszli na wewnętrzny dziedziniec.

–Proszę zdjąć ubranie, a potem usiąść na podłodze. Muszę zapalić kadzidła – powiedział Michael.

–Czy musimy być nadzy? – spytał Randolph.

Michael właśnie zdejmował swoje szorty.

–Z początku tak. Dla nowicjusza przejście przez duchowe poziomy śmierci jest niezwykle trudne, kiedy ma na sobie jakiegokolwiek fizyczne pamiątki rzeczywistego świata. Proszę pamiętać, że my opuszczamy ten świat i musimy go opuścić w takiej samej kondycji, w jakiej na niego przyszliśmy.

Raczej z oporami Randolph rozebrał się i schludnie ułożył swoje rzeczy obok jednej z kapliczek. Usiadł na kamiennej posadzce i czekał, aż Michael podejdzie do wszystkich kadzideł i zapali je. Ciężkie, gryzące chmury korzeni i drzewa sandałowego zaczęły dryfować przez podwórze, na wpeł przysłaniając nagie, chude

ciało Michaela.

Kiedy paliły się już wszystkie kadzidła, Michael podszedł i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, twarzą do Radolpha, z dłońmi skierowanymi wnętrzem do góry.

–Czy twój umysł jest w pokoju? – spytał.

–Chyba tak.

–Twój umysł musi być w absolutnym pokoju. Musi być jasną błękitną powierzchnią jeziora, która jest całkowicie nieruchoma. Nie myśl o niczym; nie zastanawiaj się nawet, czy jesteś spokojny czy nie. Nie możesz o nic pytać, w nic wątpić.

Randolph siedział nieruchomo i próbował opróżnić swój umysł. Nie było łatwo zrobić to, co kazał Michael. Wyobraził sobie błękitne jezioro, ale jego powierzchnia była pofalowana przez niespokojne, drobne pytania. Czy rzeczywiście ujrzy Marmie i dzieci? Czy nie robi z siebie głupca, siedząc tutaj nagimi pośladkami na kamiennej posadzce balijskiej świątyni?

Czy Sun-Taste da mu więcej czasu, aby wydobył się z dołka? Dlaczego tak boją go plecy? Jak mógł wplątać się w coś takiego? W dodatku za pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

–Jesteś zbyt podniecony. Twój umysł jest jak groch kapustą. Uspokój się. Zrób wysiłek, by się uspokoić, naprawdę wyteżony wysiłek. Potem się rozluźnij. Za drugim lub trzecim razem twój umysł powinien się Zaspokoić.

Randolph zamknął oczy i spróbował usunąć wszystkie i pomieszane pytania i fragmentaryczne obawy ze swej łowy. W końcu zaczęła nastawać ciemność oraz pustka rozluźnił się.

–Teraz lepiej – powiedział Michael. – Być może będziesz musiał zrobić to jeszcze raz za chwilę, kiedy myśli zaczną znowu powracać. Ale następnym razem stwierdzisz, że przyjdzie ci to znacznie łatwiej.

Randolph otworzył oczy. Michael patrzył na niego bez wyrazu.

–Dziś rano nie wejdziemy do królestwa zmarłych – powiedział Michael. – Ale chcę zabrać cię na pierwszy duchowy poziom, abyś pojął całkowitość, a jednocześnie oddzielność swojego ciała i duszy.

Randolph usłyszał znowu wątpliwości i pytania, paplające na powrót w jego głowie, i zrobił następny dziki wysiłek, aby je uciszyć.

–Usiądź w taki sposób jak ja – poinstruował go Michael. – Miej oczy otwarte, patrz prosto przed siebie i spróbuj wyobrazić sobie duszę jako coś, co ma swoją własną wolność, siłę życiową, która siedzi w twoim ciele tylko, aby objawić swoją obecność w fizycznym świecie. Pomoże ci powtarzanie mantry *Om*, świętego słowa, które uosabia wszelkie boskie zasady teologii hinduskiej.

Randolph usiadł tak jak Michael, z wyciągniętymi rękami, plecy dokładnie wyprostowane. W normalnych okolicznościach uznałby tę pozycję za absolutnie niewygodną. Pamiętał, jak siedział na podłodze w japońskiej restauracji w San Francisco i skończyło się to bólem pleców przez cały następny tydzień. Ale tego ranka, jakoś tapozycja wydawała mu się doskonała. Robił, co mógł, aby mieć pusty

umysł, i patrzył prosto przed siebie, a kiedy Michael podpowiedział mu, zaczął nucić mantrę. *Ommmmm...*

Nucił i nucił, utrzymując umysł w jak największym spokoju. To dziwne, ale nucenie mantry wydawało się tworzyć jakieś niezwykle wibracje wewnątrz niego, jakby jego kości rezonowały. Było to nieskończenie nudne, tak nucić i nucić, a jednak stwierdził, że nie może się od tego powstrzymać. Jakoś myśl o przestaniu wydawała się niemila, prawie przerażająca.

Otnmmmm...

Nie mógł sobie wyobrazić, czego ma się spodziewać, Podwórze świątyni wydawało się takie samo jak wcześniej, z rzędami walących się kapliczek. Suche liście nadal szeleściły na płytkach chodnikowych, a dym kadzidła ciągle wisiał ciężko w powietrzu. Nucenie trwało i trwało, tłumiąc wszystko inne: ruch uliczny, dźwięk odległej muzyki, ryk samolotu w powietrzu. Randolph poczuł, jakby całe jego istnienie wibrowało, jakby miał obrócić się w pył, gdyby spróbował przestać nucić mantrę.

Spojrzał na Michaela. Potem przyjrzał mu się bliżej, mawiał się, czy kadzidło zamgliło mu wzrok lub czy powinien nosić okulary. Kontur Michaela zaczął drżeć, jakby unosiło się między nimi gorące powietrze lub jakby Michael leżał tuż pod powierzchnią czystego, ale wartkiego strumienia.

Chciał coś powiedzieć, spytać Michaela, co się stało, ale usta odmówiły mu zrobienia czegokolwiek, oprócz śpiewania mantry. Potem na jego oczach z czubka głowy Michaela wyslizgnęło się coś w rodzaju płynnego stworzenia i ruszyło spiralą w zadymione powietrze. Randolph śledził wzrokiem, jak wirowało, tańczyło i krążyło w podwórzu, a potem wolno wróciło do Michaela. Patrzył oszołomiony w zafascynowaniu i grozie. Płynne stworzenie było teraz Michaelem. Wyglądało jak Michael z wyjątkiem tego, że było półprzeźroczyste i płynne. Randolph mógł rozróżnić rysy Michaela, rozpoznać jego twarz, chociaż czoło Michaela marszczyło się i naciągało, i jego ręce i nogi prostowały się i skręcały. Prawdziwe ciało Michaela było na swoim miejscu, w pozycji siedzącej, na posadzce podwórza, z otwartymi oczami nadal sto wpatrzonymi w Randolpha, i nuciło mantrę. Dusza Michaela – ponieważ tym właśnie było to płynne stworzenie, jego *antakaranasarira* - obiema rękami kiwała na Randolpha i uśmiechała się przelotnie wodnistym uśmiechem. Randolph usłyszał lekkie odchylenie w końcowej wibracji *Om*, a to wydawało się znaczyć: „Wstań, wstań, przyłącz się do mnie, wyjdź ze swego ciała i przyłącz się do mnie”.

Przez chwilę Randolph pomyślał: „To niemożliwe, tego nie da się zrobić”. Jednak wtedy, ułamek sekundy później spadła na niego ogromna i nagła świadomość z ciemnością i mocą pędzącej lokomotywy, że wystrzelił, oddzielił się od swego ciała i teraz wisi ponad nim. Ujrzał dachy, chmury, mury, ruch uliczny, drzewa, zanim podążył, tym razem wolniej, ku posadzce podwórza. A tam pod nim był on sam, nagi, ze skrzyżowanymi nogami, nucący swoją świętą mantrę.

Duch Michaela płynął mu naprzeciw, podczas gdy on spadał. Cały lęk Randolpha opuścił go teraz. Z wolna zbliżył się do swego materialnego ciała i podryfował wokół

siebie, aby zobaczyć, jak wygląda. Uznał to doświadczenie za zadziwiające. Wyglądał znacznie starzej, niż sobie wyobrażał, i był o wiele mocniej zbudowany. Jego brzuch wymagał ćwiczeń, a z tyłu czaszki znajdowała się szeroka łysa ścieżka. Ale oprócz tego nie prezentował się źle. Duch Michaela obserwując go podążył za nim i w końcu uniósł rękę, wskazując do góry, na niebo.

Razem przelecieli ponad świątynię, wyżej niż dachy najwyższych kaplic, wyżej niż drzewa, płynąc jak dwa latawce ponad rynkiem, ulicami i błyszczącą rzeką. Nurkowali i opadali, wznosili się, a potem w końcu obniżyli ku Jalan Mahabharata i Świątyni Zmarłych oraz ich materialnym ciałom.

Wślizgując się z powrotem w swoje ciało, Randolph czuł się tak, jakby wchodził pod kołdrę w gorącą letnią noc. Przez kilka pierwszych chwil czuł gorąco, duszność i coś w rodzaju ściskania. Potrząsał co chwila ramionami, aby pozbyć się tego uczucia ciężkości. Michael zaśmiał się i wstał.

–Wszyscy tak robią. Odczuwa się ciężar ciała po tym, jak się nie miało w ogóle wagi.

Randolph spojrział na niego, a potem odwrócił się, by popatrzeć na niebo.

–Tak naprawdę, to gdzie byliśmy? Czy rzeczywiście nam się to udało? – Nasze dusze tam były.

–Nigdy przedtem nie wiedziałem, czym jest moja dusza. Dlaczego nie robiłem tego przez całe życie, nie wychodziłem z siebie? To fantastyczne! Nie potrzeba latać samolotem.

Michael naciągnął szorty i zapiął je na zamek.

–Chyba nie rozumiesz, jak wiele ci pomogłem. Praktycznie wyrwałem twoją *antakaranasarira* z ciała z korzeniami. Poza tym takie latanie jest niebezpieczne w nadmiarze; można dojść do punktu, gdzie duch jest niezdolny powrócić do ciała. A wtedy może on jedynie przyglądać się, jak umiera ciało. To właśnie przydarza się ludziom w śpiączce. Duch opuszcza ciało na tak długo, że nie może już wrócić. Proszę pamiętać, że kiedy duch opuszcza ciało, jesteś na wpół umarły.

Randolph powstał.

–Czy to wszystko na dziś?

–Możemy wrócić teraz do hoteliku i nauczę cię pierwszej pieśni, którą musisz znać. Powiem także, co wolno ci jeść. Odtąd, aż wejdziemy w trans śmierci, musisz utrzymywać specjalną świętą dietę. Kiedy wyszli ze świątyni, Randolph powiedział:

–Wszystko to wydaje się całkiem praktyczne. Miałem wrażenie, kiedy doktor Ambara po raz pierwszy mi to opisał, że będzie to coś bardzo tajemniczego, bardzo religijnego.

–Sposoby Trisakti zawsze były praktyczne – odparł Michael. – Tylko przez praktyczne doświadczenie można osiągnąć oświecenie. Oczywiście istnieje wiele różnych rodzajów oświecenia. Niektóre są całkowicie teologiczne, abstrakcyjne. Inne mogą być bardziej zwyczajne, bardziej związane z ziemskimi rzeczami.

Randolph szedł ulicami Denpasar, czując się tak, jakby przed chwilą narodził się na nowo. Czuł się niewinny, szczęśliwy i niesamowicie żywy. Żałował tylko jednego; że aby odkryć, czym jest jego dusza, musiał stracić Marmie i dzieci. Michael w

drodze ze świątyni rozprawiał ze swadą.

–Poczujesz całą magiczną siłę, kiedy odkryjesz swoje psychiczne talenty. To miasto aż kipi od magii. Kiedy jest się w transie śmierci, można chodzić ulicami, rozglądać się i wszędzie widzieć demony i duchy. Jest to jedna z większych magicznych stolic na świecie, a może największa.

Dotarli do hoteliku i weszli na górę. Kiedy Randolph brał lekcję u Michaela, Wanda i doktor Ambara mieli pójść na zakupy. Gdy jednak otworzył drzwi swojego pokoju, ujrzał ich siedzących w środku. Wyglądali na zmartwionych.

–Jesteście nareszcie. Zaczynałem się już martwić – powiedział doktor Ambara.

–Co się stało? – spytał Randolph. – Wando? Wszystko w porządku?

–Dzwonili do nas z policji w Dżakarcie. Znaleźli nasze nazwiska w książce adresowej I. M. Wartawy. Dzwonili najpierw do Memphis, a stamtąd skierowano ich tutaj.

Randolph wolno przeszedł przez pokój.

–Czy policja dowiedziała się, co chcemy zrobić?

–Nie – odparł doktor Ambara. – Ale jest chyba jeszcze gorzej. Znaleziono Wartawę nieżywego przed jego biurem dziś rano. Miał podcięte gardło.

–Mój Boże! – szepnął Randolph. – Czy policja wie, kto to zrobił?

–Oczywiście chcieli się tego dowiedzieć ode mnie. Powiedzieli, że widziano prawdopodobnie trzech czy czterech mężczyzn odjeżdżających sprzed budynku krótko po zabójstwie. Wyglądali na Amerykanów, ale nikt nie był pewien.

–To znowu Ecker, prawda? – spytała Wanda.

Randolph przebiegł dłonią po włosach. Całe uniesienie z powodu wędrówki jego ducha po porannym niebie ulotniło się.

–To z pewnością Ecker.

–Najprawdopodobniej I. M. Wartawa powiedział mu, gdzie jesteśmy, dlaczego i z kim.

–Kim jest ten Ecker? – spytał Michael. Randolph podszedł do małej lodówki i wyjął dwie butelki piwa.

–Chcesz? – spytał Michaela, ale Michael pokręcił głową.

Randolph otworzył kapsel i wypił piwo prosto z butelki.

–Ecker to jeden z ciemnych typów, którzy śledzą nas Stanów Zjednoczonych. Wygląda na przywódcę, chociaż nigdy nie słyszeliśmy, żeby się odzywał. Może jest niemy albo coś w tym rodzaju. W każdym razie ciągle za nami chodzą i mamy powód przypuszczać, że to ci sami ludzie, którzy zabili moją rodzinę.

–W takim razie prawdopodobnie chcą także i was zamordować – powiedział domyślnie Michael.

–Niekoniecznie – odparł Randolph. – Może chcą mnie tylko nastraszyć. W każdym razie nie starali się w ogóle ukrywać. Podczas lotu do Honolulu jawnie gapili się na mnie. Z początku przestraszyłem się, że zostali wysłani, by mnie zabić. Jednak im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że posłano ich, aby mieli oko na wszystko, co robię. Może, by mnie ostrzec. Przypomnieć, abym się właściwie zachowywał i przestał współzawodniczyć z niektórymi, wpływowymi

konkurentami u siebie w domu.

Michael chrząknął i wyjął papierosa.

–Ten Ecker... być może nie chciał z początku cię zabijać, ale jeśli spotkał się z Wartawą i rozmawiał z nim, Wartawa mógł mu powiedzieć, że masz zamiar zobaczyć się z żoną i dziećmi.

–I? – spytała Wanda.

–I nic – odparł Michael, pocierając zapałką o drzwi i łazienki i zapalając papierosa.
– Poza tym, że twoja żona i dzieci byli jedynymi świadkami swej własnej śmierci, jedynymi, którzy widzieli, kto ich zabił. Gdybym był tym Eckerem, zrobiłbym wszystko, aby się upewnić, że się z nimi nigdy nie spotkasz.

Rozdział XVII

Memphis, Tennessee

Waverley Graceworthy siedział w ogromnej bibliotece swojej posesji na Elvis Presley Boulevard, grając w trik-traka z siostrzenicą Gertrudą, kiedy wszedł lokaj i oznajmił, że pan Neil Sleaman pragnie złożyć mu nie zapowiedzianą wizytę.

–Proszę wprowadzić pana Sleamana do gabinetu – powiedział Waverley.

Wyciągnął rękę i pogłaskał Gertrudę po jasnych, splecionych w warkocz włosach. Uśmiechnął się. – Idź do kuchni, Gertie, i poproś panią Morris, żeby ci dała trochę tych swoich ciasteczek. Powiedz jej, że chciałabyś też szklankę gorącego, świeżego mleka, aby je w nim moczyć.

Skierował się do gabinetu szerokim, wyłożonym dywanem korytarzem, włożywszy rękę w kieszenie czerwonej pikowanej marynarki. Waverley miał zwyczaj swój gabinet nazywać „norką”, chociaż był na tyle ogromny, że mógłby pomieścić solidnych rozmiarów rodzinny bungalow i wiatę na samochód. Na ścianach znajdowały się ogromne obrazy olejne, przeważnie przedstawiające zwycięskie bitwy Konfederatów: Bull Run, Fredericksburg oraz bitwę uzbrojonych parowców o Memphis w 1862 roku. Był tam również przepaścisty kominek, ale dzisiaj ogień się nie palił. Temperatura południe wynosiła ponad pięćdziesiąt stopni i zapowiadała się parna noc.

Neil Sleaman stał obok paleniska, trzymając czarną skórzaną teczkę. Wyglądał blado. Randolph ciągle do jego wydzwaniał w dzień i w nocy i spodziewał się natychmiastowych odpowiedzi na wszystkie pytania.

–Miło, że wpadłeś – powiedział Waverley, wskazując Neilowi fotel. – Napijesz się czegoś?

–Piwa, jeśli można – odparł Neil.

Waverley podszedł do kominka i nacisnął guzik obok marmurowego obramowania.

–Wolałbym, oczywiście, aby nasze spotkania były i bardziej dyskretne.

–Przykro mi, ale nie mogłem mówić tego przez telefon, a pomyślałem, że chciałbyś usłyszeć to jak najszybciej. Randolph dzwonił piętnaście minut temu i powiedział, że czyni przygotowania do powrotu do Memphis.

–Kiedy? – spytał Waverley. – Chyba nie zaraz?

–Pierwszym możliwym lotem. To znaczy liniami, Garuda do Dżakarty, potem Thai International do Londynu przez Bangkok. Będzie w Memphis w sobotę po południu.

–Czy powiedział, dlaczego wraca tak wcześnie?

Neil odłożył teczkę, jakby w ogóle nie warto było jej nosić.

–Powiedział, że ma nowe pomysły co do kontraktu z Sun-Taste i że prawdopodobnie znalazł sposób na wyjście z naszych kłopotów, to wszystko.

–Sun-Taste spodziewa się wyrównania spadku dostaw jutro, prawda?

–Tak, zgodnie z umową. Ale Randolph musiał rozmawiać z prezesem Sun-Taste wprost z Bali. Dał mu swoje osobiste poręczenie, że wyrówna brakujące dostawy do końca tygodnia. Obiecał również, że każda tona oleju, która przybędzie później niż było pierwotnie w kontrakcie, będzie wolna od opłat.

–Zatrzymajmy się na chwilę na tym – powiedział Waverley, unosząc dłoń do

swojego zgrabnego podbródka. – Dałeś słowo, że Raleigh nie wróci do produkcji wcześniej niż w piątek.

–Zgadza się – potwierdził Neil. – Nie ma mowy, aby chociaż jedna baryłka oleju bawełnianego mogła zostać wyprodukowana przez tę fabrykę do trzeciej godziny po południu w piątek. To absolutnie niemożliwe. Nie mają jeszcze zamontowanych nowych zaworów.

–A więc jak Randolph może sugerować, że potrafi nadrobić braki? I jak, u diabła, może oferować dostawy za darmo? To go wyrzuci z interesu.

Neil westchnął zniecierpliwiony.

–Waverley – powiedział. – Ja naprawdę nie wiem, dlatego jestem tutaj. Zawsze istnieje możliwość, że żałoba po stracie rodziny nadszarpnęła nieco rozsądek Randolpha. Może jest na krawędzi. Ale mówił bardzo spokojnie, kiedy dziś do mnie dzwonił. Wypowiadał się tak, jakby absolutnie kontrolował to, co robi.

Waverley zmarszczył brwi.

–Nie mógł znaleźć innego źródła dostaw. Gamble ma wszystko zakontraktowane, a Association nie pozwoliłaby, żeby mu coś zostało. Nawet gdyby znalazł coś za granicą, musiałyby to przewieźć do Memphis statkiem, a to nie udałoby mu się przed końcem następnego tygodnia. To nie jest technicznie możliwe. Niech to cholera, to nie jest po ludzku możliwe.

Lokaj zapukał do drzwi, a Waverley zawołał, żeby wszedł. Lokaj był pulchnym Anglikiem o gładkiej twarzy i przesadnie ugrzecznionej wymowie. Tylko inny Anglik mógłby wykryć kiepskie pochodzenie w jego akcencie i bezustanny sarkazm w sposobie odnoszenia się do innych.

–Piwo dla pana Sleamana – rozkazał Waverley.

–Proszę bardzo, panie Graceworthy – pochylił się lokaj i wyszedł.

–Wspaniały człowiek – powiedział Waverley. – Na czym to skończyliśmy?

Neil oparł się o pokrytą tapicerką poręcz fotela.

–Sugerowałeś, że nie będziemy mieli już więcej problemów z Randolphem, kiedy wróci z wakacji. Nie obchodziło mnie, jak tego dokonasz. Nie pytałem. Ale najwyraźniej to się nie udało, prawda?

Waverley stukał swoimi delikatnymi palcami po powierzchni orzechowego stołu. Brzmiało to jak padający deszcz w samotną noc w jednej ze smutnych, romantycznych piosenek Presleya.

–Muszę załatwić kilka telefonów. Z jakiegoś powodu nie wszystko idzie zgodnie z planem. No cóż, to przecież wojna, prawda? A przynajmniej coś w tym rodzaju. A na wojnie zdarzają się czasem pomyłki i złe oceny.

–Chyba nie wynająłeś kogoś, aby go pobił? – odezwał się nagle olśniony Neil.

Waverley uniósł głowę. Jego załzawione oczy patrzyły zimno i bezkompromisowo.

–Ależ mój drogi młodzieńcze – obruszył się i odwrócił, aby zmylić czujność Neila.

–Chyba nie masz zamiaru zrobić czegoś jeszcze gorszego? To znaczy, nie posłałeś za nim Reece'a, prawda? – nalegał dalej Neil.

–Ach! – powiedział Waverley wykrętnie.

Neil wstał.

–Posłałeś Reece’a. Powiniennem się tego domyślić.

Waverley odwrócił się do niego.

–A jeśli tak, to co? Taki jesteś cnotliwy? Zapominasz, co rodzina Clare zrobiła mnie i mojej rodzinie i co Randolph Clare robi mi teraz. Zniósłbyś taką niesprawiedliwość? Czy pozwoliłbyś, aby syn człowieka, który zniszczył twoje osobiste życie, dopełnił dzieła i zniweczył także twoje życie zawodowe? Pozwoliłbyś na to? Clare są jak szakale, ojciec i syn, żywią się osiągnięciami innych, wysysają ich do cna. Oni nie tworzą, nie inicjują. Wszyscy chwalą ich przenikliwość w interesach, wszyscy chwalą ich niezależność i nieustępliwość. Ale tylko ja wiem, jacy z nich parszywcy. Tylko ja wiem, jacy z nich grabieżcy. Tylko duma, godność i poczucie człowieczeństwa mojej żony pozwoliło ojcu Randolpha Clare pozostać niezależnym. Tylko moje poczucie sprawiedliwości pozwoliło Randolphowi Clare zająć w interesach tak daleko. Ale teraz posunął się za daleko. Skończyła się moja dobra wola. Musi ponieść konsekwencje tego, co zrobił jego ojciec.

Neil Sleaman milczał przez chwilę, po czym odezwał się z niespodziewanym szacunkiem:

–Wspaniała mowa.

Wszedł lokaj, niosąc dla Neila piwo w wysokiej szklance. Kiedy Neil je pił, Waverley niecierpliwie chodził po gabinecie, stukając kłykiem kciuka o przednie zęby.

–Czy Orbus wie, że wysłałeś Reece’a za Randolphem? – spytał Neil, ocierając pianę znad górnej wargi.

–Tak.

–I co o tym myśli?

Waverley wzruszył ramionami.

–To, co on na ten temat myśli, nie ma większego znaczenia. Dla mnie to nie tylko sprawa interesu, ale również sprawa osobista.

Podszedł do biurka. Stał tam duży srebrny kałamarz, brązowa lampa Tiffany’ego w kształcie splecionych orchidei i dwie fotografie w srebrnych ramkach – jedna z ojcem Waverleya, mężczyzną o pięknym wąsie, w białym sztywnym kołnierzyku, a druga z matką Waverleya, ponętą kobietą w kapeluszu z piórami na czarnych kręconych włosach.

–Osobista – powtórzył Waverley i uniósł wyzywająco wzrok na Neila, aby nie ważył się go krytykować lub wątpić w to, co on robi.

–Pójdę już – powiedział Neil. – Zadzwońię do ciebie i nagram na automatyczną sekretarkę, jeśli Randolph odezwie się jeszcze tej nocy.

Jednym potężnym haustem dokończył pić piwo, otarł usta chusteczką, zabrał swoją teczkę i poszedł do drzwi.

–Neil – powiedział ostro Waverley, a Neil zawahał z ręką na klamce. – Nigdy mi się nie sprzeciwiaj – ostrzegł Waverley.

Neil jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Waverley słyszał, jak idzie korytarzem, a lokaj uprzejmym głosem życzy mu dobrej nocy.

Waverley nie ruszył się z miejsca, malutka figurka w swojej przepaścistej norce.

Światło lampy Tiffany'ego odbijało się zielono w jego okularach, tak że przez jedną chwilę wyglądał, jakby miał oczy demona. Otworzył szufladę biurka i zajrzał do środka. Panowała tam skrupulatna schludność: pióra, ołówki, gumki, spinacze, nożyczki, wszystko w odpowiednich przegródkach. Jednakże z tyłu szuflady była jeszcze jedna fotografia; w takiej samej ramce jak zdjęcia matki i ojca Waverleya. Poważna, ładna dziewczyna stojąca przed białym domem, dziewczyna, której oczy były porażająco fiołkowe, a włosy koloru niecierpka.

Waverley patrzył na nią przez chwilę, a potem ze złością zamknął szufladę. Wrócił do biblioteki, by się przekonać, że Gertruda zmęczyła się czekaniem na niego i odłożyła grę do pudełka.

Ponad godzinę później zadzwonił telefon w bibliotece i lokaj zaanonsował Roberta Stroupa z Denpasar, Bali. Waverley powiedział zwięźle:

–Połącz go.

W telefonie brzęczało jakieś odległe echo, ale poza tym Waverley słyszał Boba Stroupa całkiem nieźle. Bob Stroup był ustami Reece'a. Od czasów chłopięcej przyjaźni istniało między nimi tajemnicze milczące porozumienie, które osiągnęło szczyt, kiedy ich dywizja penetrowała Fish Hook w Kambodży w 1970 roku. Reece został złapany przez Viet Cong i wycięto mu język, Stroup sprzeciwił się rozkazom i przeszukał sześć mil dżungli, aby go znaleźć. Od tego czasu Stroup wyrażał wszystko, co Reece chciał powiedzieć: dokładnie, ze swadą i zazwyczaj przeklinając.

–Znaleźliście już Randolpha Clare? – spytał go Waverley.

–Muszę panu powiedzieć, panie Graceworthy, że jesteśmy blisko. Jesteśmy tak cholernie blisko, że prawie go czujemy.

–Ale dokładnie jeszcze go nie zlokalizowaliście?

–Dokładnie nie, jeśli użyć tego słowa.

Waverley westchnął cicho z niecierpliwością.

–Jak sądzicie, ile czasu zajmie wam odnalezienie go?

–To zależy. Rozpuściliśmy trochę pieniędzy tu i tam, ale ludzie tutaj są jakby głusi. Lubią wtrącać się w czyjeś sprawy, ale nie lubią, jak ktoś wtrąca się w ich. Są inni od Wietnamczyków, muszę panu wyznać.

–Macie jakiś pomysł, dlaczego Randolph Clare poleciał do wschodniej Azji? Czy rozmawiał z jakimiś biznesmenami? Przetwórcami żywności? Z jakimiś przedstawicielami fabryk?

–O ile nam wiadomo, to nie, panie Graceworthy. To znaczy przyjechał tutaj, o ile nam wiadomo, aby znaleźć faceta nazwiskiem Michael Hunter, adepta transu śmierci.

Waverley zmarszczył brwi.

–Jakiego Michaela Huntera? Nic mi o tym nie mówiliście.

–Nie mówiliśmy? – spytał Stroup. – Cholera, nie, chyba nie. Skoro tylko stwierdziliśmy, gdzie skierował się Clare, pociągnęliśmy za nim. Prościuteńko na Bali. Muszę panu powiedzieć, że tutaj jest cholernie gorąco. A żarcie? Jak oni mogą jeść to gówno? Nie miałbym nic przeciwko, gdybym nie musiał już oglądać choćby ziarenka ryżu do końca mojego cholernego życia. Jedzą też węże, czy pan uwierzy? Smażone węże. Muszę panu powiedzieć, że pierwsze, co zrobię, gdy wrócimy do

Memphis, to pójdę prosto do rzeźnika i usmażę sobie półkilogramową polędwicę z pieczonymi ziemniakami i sałatką.

–Bob – przerwał mu bezwzględnie Waverley – chcę wiedzieć coś o tym Michaelu Hunterze.

–No pewnie. Jest adeptem transu śmierci. Wchodzi w ten trans śmierci i może rozmawiać z ludźmi, którzy już nie żyją.

–Może rozmawiać ze zmarłymi? – spytał Waverley, wymawiając słowa z przesadną dokładnością, jakby mówił do dziecka opóźnionego w rozwoju.

–Facet, którego rąbnęliśmy w Dżakarcie, wszystko nam o tym opowiedział.

–Przed śmiercią czy po? – spytał sarkastycznie Waverley.

–Oczywiście, że przed. Ale miał ogromny nóż myśliwski pod gardłem, a więc nie sądzę, żeby za bardzo kłamał. Nie był żadnym wariatem. Otworzyliśmy jego biuro i miał przeszło dwadzieścia tysięcy dolców w gotówce. Pieniądze miały opaskę, na której było napisane: „Z polecenia pana G. Twyforda”, jeśli to ma jakiś sens.

Waverleyowi stanęły włosy na karku.

–Pewnie, że to ma sens. George Twyford jest księgowym Randolpha Clare. A więc te dwadzieścia tysięcy dolarów najprawdopodobniej było zapłatą od Randolpha Clare dla tego mężczyzny, którego zabiliście.

–Tak też myśleliśmy – Bob Stroup zgodził się. – Ten facet, którego zabiliśmy, powiedział temu Clare i jego świcie, gdzie znaleźć Michaela Huntera, a Clare zapłacił mu za informację.

–Ale dwadzieścia tysięcy dolarów?

Bob Stroup był jakby zażenowany.

–Z początku nie uwierzyliśmy mu, kiedy usłyszeliśmy o spotykaniu się ze zmarłymi i całym tym interesie. Ale on powiedział, że to nie jest żadne wariactwo, że to naprawdę się udaje. Jeśli ktoś ma odpowiednią sumkę pieniędzy, może spotkać się ze swoją zmarłą ciocią Minnie. Powiedział, że wszyscy mogą tego dokonać, nawet prezesi wielkich amerykańskich korporacji. To szaleństwo, ale to się udaje.

–No cóż, zdaje się, że Randolph Clare tak myśli – zauważył Waverley. – Inaczej nie zapłaciłby waszemu zmarłemu przyjacielowi tylu pieniędzy.

–No właśnie – powiedział Bob Stroup. – Problem tylko w tym, że nie możemy znaleźć tego Huntera. To jeden z tych duchów – wszyscy go wczoraj widzieli, a dzisiaj nie widział go nikt. Ale znajdziemy go, niech się pan nie martwi.

–Jak sądzisz, co Randolph Clare zamierza zrobić? – spytał Waverley.

–Nie wiem. Może chce porozmawiać ze swoim ojcem. Albo ze swoją rodziną... wie pan, żoną i dziećmi. Moja siostra poszła do spirytysty po tym, jak zabili jej męża. Danzarotti nazywał się. Jej mąż, nie medium...

–Bob – przerwał Waverley – przypuśćmy, że mu się to uda.

–Uda mu się? – spytał Bob Stroup, zbity z tropu. – No, przypuśćmy, że tak.

–Bob, kto widział, że zabiłeś rodzinę Clare?

–Tylko sama kobieta i dzieciaki, a oni nie żyją, nie? Martwi nie opowiadają historyjek... – przerwał w połowie zdania. Nagle stało się dla niego jasne, co Waverley chce powiedzieć.

–Naoczni świadkowie – wyszeptał.

–Czy zdejmowaliście maski? – spytał Waverley.

–Na samym końcu, kiedy kobieta i dziewczyna wisiały na krokwi. To było coś, czego chcieliśmy dobrze posmakować, wie pan, a co można zobaczyć zza tej pieprzonej maski hokejowej?

Zawahał się. Nawet mimo międzynarodowego połączenia w jego głosie słyhać było nutkę strachu.

–Poza tym, pan wie, one nie żyły lub prawie nie żyły. A więc co mogły zrobić? Komu powiedzieć? Powiesiliśmy je na kolczastym drucie...

–Starczy! – warknął Waverley. – Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym usłyszeć, jest to, jak donosisz na siebie przez telefon. Tu u mnie nie ma pluskwy, ale Bóg wie, jakie urządzenia podsłuchowe i nagrywające mają na satelitach. Szef Moyne mówił mi, że mają elektroniczne czujniki, które automatycznie zaczynają nagrywać za każdym razem, kiedy ktoś wypowiada słowo klucz, typu „karabin”, „narkotyk” czy coś w tym rodzaju.

–Jeśli to prawda, to pan właśnie je włączył – odparł Bob Stroup z niespodziewaną nutką radości.

–Na miłość boską! – wybuchnął Waverley. – Nie jesteś przecież aż tak głupi, żeby tego nie rozumieć. Jeśli Michael Hunter naprawdę może załatwić Randolphowi Clare rozmowę z żoną czy dziećmi, co będzie drugą rzeczą, jaką zrobi, po tym, gdy już im powie, jak bardzo ich kocha?

Bob Stroup chrząknął.

–Przypuszczam, że będzie chciał wiedzieć, kto to zrobił.

–Dokładnie. Będzie chciał się dowiedzieć, kto to zrobił. A jeśli ten Michael Hunter jest aż tak zdolny, najprawdopodobniej się dowie.

–A więc gdy tylko go znajdziemy, musimy go uciszyć.

–Na to wygląda. I nie macie zbyt wiele czasu. Neil Sleaman był tu przed twoim telefonem i mówił, że Randolph Clare jest w drodze do domu. Dziś rano leci do Dżakarty lub jutro rano według waszego czasu. Potem przez Londyn prosto do Memphis.

–Czy Neil Sleaman nie wie, gdzie jest Clare? – spytał Bob Stroup. – Kiedy będziemy wiedzieli, gdzie jest Clare, możemy łatwo wyśledzić także Michaela Huntera.

–Clare był ostrożny i nie powiedział Neilowi, gdzie jest. Neil pytał, ale ten odmawiał odpowiedzi, a Neil nie chciał za bardzo napierać. Nie sądzę, żeby Clare podejrzewał Neila, ale nie chce, by ktokolwiek wiedział, gdzie się znajduje.

–Chce pan mi dać jakieś instrukcje? – spytał Bob Stroup.

–Tak. Znajdźcie Randolpha Clare najszybciej, jak się da, i pozbądźcie się go tak, jak uzgodniliśmy. Potem znajdźcie tego Huntera i uporajcie się także z nim, szczególnie jeśli miał już sposobność rozmawiania z Randolphem Clare. Nie chcę, żeby rozmawiał z rodziną Clare po śmierci Randolpha Clare i położył na nas łapę. Potem przylećcie prosto do Memphis najwcześniejszym możliwym samolotem.

–Przypuścimy, że nie złapiemy Clare, zanim opuści Bali?

–Lepiej to zróbcie.

–Ale jeśli się nie uda?

–Szukajcie jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, a potem przylećcie tutaj.

Mam jednak nadzieję, że mnie nie rozczarujecie, ty i Reece. Jak dotąd tego nie robiliście.

Usłyszał, jak w korytarzu kurant wybił dwunastą trzydzieści, głęboki westminsterski kurant, tak donośny jak sama śmierć. Pomyślał o Randolphie, być może właśnie rozmawia z Marmie. W pewien sposób było to wzruszające. Zawsze lubił Marmie. Z pewnością nie miał do niej żadnej osobistej urazy. Wtedy jednak jego oczy powędrowały przez bibliotekę tam, gdzie stał fortepian Bechsteina o pokrywie błyszczącej jak jezioro atramentu, na której leżały nuty *Fantazji* Mozarta i *Sonaty e-moll*, melodii, które lubiła grać Ilona.

I nagle pomyślał sobie: „Ilona”.

–Bob? – powiedział. – Jesteś tam?

–Tak jest, panie Graceworthy.

–Bob... zobacz, co się da zrobić, aby przywieźć mi tu tego Huntera żywego.

–Żywego? To nie będzie łatwe.

–Zobacz, co się da zrobić. Jeśli będziesz potrzebował więcej pieniędzy, zadzwoń.

Prześlę ci.

–Czego tylko sobie pan życzy, panie Graceworthy. Waverley odłożył słuchawkę, ale przez dłuższy czas siedział trzymając na niej rękę. Wtedy wszedł jego lokaj i spytał, czy przygotować mu kąpiel. Waverley zamrugał i spróbował skupić wzrok.

–Dobrze się pan czuje, ufam?

–Całkiem dobrze, dziękuję. Możesz podać mi brandy z sodą?

–Ależ oczywiście, panie Graceworthy.

Waverley podszedł do fortepianu i z wolna podniósł pierwsze kartki *Fantazji* Mozarta. Nigdy nie nauczył się grać tak jak Ilona. Był już za stary, kiedy zmarła, i miał zbyt sztywne palce. Ale te kilka pojedynczych kartek zawsze wzbudzało w nim uczucie, że ona jest gdzieś w domu, niewidoczna, niesłyszalna, jak lekki powiew i powietrza.

Ilona, pomyślał Waverley. Czy rzeczywiście mógłby się z nią spotkać? Być może Bob Stroup coś pomylił. Być może człowiek, którego zabili, wymyślił pierwszą lepszą historyjkę, jaka mu przyszła do głowy w desperackim wysiłku utrzymania się przy życiu. Jednak Bob Stroup nie miał takiej wyobraźni. To właśnie czyniło z niego wspaniałego zabójcę. A jeśli ten człowiek naprawdę to powiedział, Bob przekazałby to Waverleyowi bez emocji i bez upiększeń. Ktoś, kto przedzierał się przez nieprzyjacielską dżunglę tylko po to, by odnaleźć faceta, który już prawie nie żył, nie musi zmyślać takich historyjek. Prawdopodobnie w ogóle by nie potrafił.

Lokaj przyniósł Waverleyowi brandy z wodą sodową. Był lekko zdumiony, widząc, że Waverley wyjął chusteczkę i ociera łzy z oczu.

Rozdział XVIII

Bali

Randolph obudził się, gdy ktoś łagodnie potrząsnął go za ramię. Było już jasno; światło przeświecało przez bambusowe żaluzje. Miało perłoworóżowy kolor, jakby słońce świeciło przez welon z różowego balijskiego jedwabiu. Odwrócił głowę i ujrzał stojącą nad nim Wandę, ubraną tylko w koszulę z podwiniętymi rękawami.

–Co się stało? – spytał. Pocałowała go w czoło.

–Michael czeka na ciebie na zewnątrz.

Randolph sięgnął po zegarek.

–Już piąta? Mam wrażenie, jakbym dopiero co zamknął oczy.

–Nie powinieneś przesiadywać do późna, rozmawiając z doktorem Ambarą.

–Doktor Ambara jest fascynującym człowiekiem.

Wanda odsunęła się od moskitiery Randolpha, a on usiadł i przeciągnął się. Przez przydymiony muślin obserwował ją, jak idzie do okna i unosi żaluzję. Stało się dla niego jasne, że ona podoba mu się bardziej niż kiedykolwiek jakakolwiek kobieta z wyjątkiem Marmie. Mimo że był jej szefem, Wanda traktowała go z niewymuszoną bezpośredniością.

Wyswobodził się spod moskitiery i odszukał swoje rzeczy.

288

–Coś tracze mi się z tyłu głowy – powiedział.

–Dziesięć soków z balijskim rumem, oto co się tłucze – zauważyła Wanda. Kiedy poprzedniego wieczora Randolph rozmawiał z doktorem Ambarą na temat zjawisk psychicznych, odczuwał prawie nieugaszone pragnienie soku ananasowego z lodem zakropionym rumem.

Zasznurował swoje płócienne buty.

–Okay, idę tylko do łazienki, a potem do świątyni. Gdyby ktoś pytał o mnie, zamknij drzwi na klucz i zadzwoń do recepcji. Czy Michael przyprowadził kogoś, żeby miał na was oko?

–Dwumetrowego Chińczyka w koszulce z napisem „Nakarmić świat”.

–Wspaniale. Nie wiem, jak długo potrwa ta sesja, ale musimy wrócić tak, abyśmy zdążyli na samolot.

–Sądziś, że Ecker i jego przyjaciele są aż tak niebezpieczni?

–Zabili Wartawę. A przynajmniej na to wygląda. Wszystko, co mówił mi Jimmy Żeberko, wydaje się nabierać sensu. Ecker – czy Reece, czy jak mu tam – jest najemnikiem Cottonseed Association. Jeśli nie chcesz robić tego, co życzy sobie Waverley Graceworthy, kochasiu, czekają cię poważne kłopoty. Szczerze wierzę, że Ecker został wysłany, aby mnie nastraszyć, kiedy będę – jak sądzi Waverley – na długich wakacjach. Albo mnie nastraszyć, albo zabić. Pamiętasz, co stało się z moją limuzyną, kiedy miała mnie odebrać z lotniska Memphis? Ktoś, kto potrafi wymyślić taką imprezę, jest także zdolny do zabijania ludzi bez zastanowienia.

–Gdyby rzeczywiście chcieli, dlaczego nie spróbowali zabić cię w Memphis, zamiast posyłać Eckera taki kawał drogi? – spytała Wanda.

–Tutaj jest spokojniej. Mniej podejrzeń. Co powiedziałyby balijska policja?

Amerykański biznesmen traci rodzinę, popada w depresję, wiesz się w hotelowej łazience. I po wszystkim. Żadnych podejrzeń wobec moich przyjaciół z Memphis. Poza tym, jak sądzę, Waverleya i Orbusa spala chęć dowiedzenia się, po co tutaj przyjechałem. Waverley mnie nienawidzi, ale jednocześnie jest nieuleczalnie wścibski, musi wiedzieć wszystko, co robię. Czy wiesz, że kiedy żeniłem się z Marmie, nawet wtedy wysłał kogoś, aby się rozejrzał i zabrał menu z recepcji? Ma z jakiegoś powodu obsesję na punkcie Clare Cottonseed i moim.

Wanda podeszła i chwyciła go za ramię. Potem uniosła się i pocałowała w czoło.

–Będziesz ostrożny, prawda, kiedy dzisiaj wejdiesz w trans?

–Spróbuję – powiedział Randolph. – Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co trzeba zrobić, by być ostrożnym.

Michael czekał na niego, opierając się o ladę recepcji. Palił papierosa i rozmawiał w indonezyjskim języku Basaha z pulchną dziewczyną, która pomagała babce prowadzić ten hotelik.

–*Saudara sudah berumahtangga?* - spytał ją. – Jesteś już zamężna?

Dziewczyna zachichotała i pokręciła głową.

–*Tidak. Munkgin nanti.*

–Widzisz – powiedział Michael do Randolpha. – Wszystkie to mówią. „Może później”.

Potem odwrócił się do dziewczyny, posłał jej kółko z dymu i powiedział:

–*Saya akan kembali nanti.*

Wysoki chiński ochroniarz, którego Michael najął, aby chronił Wandę i doktora Ambarę, gdyby ich znaleźli Ecker i jego ludzie, stał niewzruszenie w drzwiach hoteliku. Swoje muskularne ramiona złożył na piersiach. Wokół ogolonej głowy miał zawiązaną brudną opaskę, a jedno jego oko było ślepe.

–Czy nie jest słodki? – zażartował Michael, kiedy wychodzili na ulicę.

–Jesteś pewien, że musimy to zrobić? – spytał Randolph. – Nie podoba mi się, że zostawiamy Wandę i doktora Ambarę samych.

–To konieczne – odparł Michael. – Musisz mieć co najmniej jedno doświadczenie transu śmierci tutaj, w Bali, zanim spróbujemy zrobić to w Memphis. Jeśli nie poznasz, czego się możesz spodziewać, jakie są znaki ostrzegawcze, nie dasz rady. W świątyni wejdziemy w trans, a potem pójdziemy na cmentarz holenderski na Julian Vyasa. To nie będzie niebezpieczne pod warunkiem, że pozostaniesz całkowicie spokojny.

Szli teraz przez uliczny rynek, przez pachnące dymy małych kramików sprzedających gorące tosty z masłem arachidowym i kokosowe ciasteczka nadziewane melasą. Mężczyzna ubrany w szkarłatny jedwab tańczył boso na chodniku, prowadząc małpkę na łańcuchu. Randolph przebiegł dłonią po włosach.

–To znaczy, dzisiaj ujrzę zmarłych?

–Misjonarzy, kupców, miejscowych polityków.

–Od jak, no... – Randolph był zażenowany. – Od: dawna nie żyją?

Michael zerknął na niego.

–Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Właściwie nawet lepiej, jakbyś tego nie

robił. Nie powinieneś nigdy wchodzić w trans śmierci, jeśli się boisz. Lejaki od razu cię wyczują.

–A, to kolejna sprawa – powiedział Randolph. – Te lejaki...

Przerwali na chwilę rozmowę, gdy musieli przejść przez Jan Gajahmada. Kiedy przeszli na drugą stronę, Michael powiedział poważnie:

–Polowałem na lejaki przez rok, może trochę dłużej. Podczas mojego pierwszego transu śmierci lejaki zabiły moją pedandę.

–To arcykapłan? Pedanda?

Michael skinął głową.

–Ten sam arcykapłan, którego mój ojciec poprosił, aby się mną zajął. Był więcej niż kapłanem i więcej niż ojcem. Nie byliśmy właściwie przyjaciółmi. Kiedy studiuję się drogi Yamy, jest prawie niemożliwe zaprzyjaźnić się z nauczycielem; napięcie sytuacji jest zbyt intensywne. Ale cały czas był obok mnie, właściwie wewnątrz mnie. Dopóki będę żył, mój pedanda także będzie żył, ponieważ to, co mi dał, było znacznie ważniejsze od jedzenia, ubrania, wykształcenia czy nawet miłości. Nauczył mnie przechodzić ze świata żyjących do świata zmarłych, a nawet do świata nienarodzonych. W pewien sposób uczynił ze mnie nadczłowieka, ale oczywiście każdy jest do tego zdolny, jeśli tylko uwierzy.

–Ja wierzę – powiedział stanowczo Randolph. Michael spojrzał na niego, a z wyrazu jego twarzy nie można było wyczytać dwudziestopięcioletniej różnicy wieku między nimi.

–Naprawdę? – spytał.

–Wierzę – powtórzył Randolph z uporem.

Doszli do Świątyni Zmarłych. Razem otworzyli szerokie mosiężne drzwi, które wydały dźwięk przypominający jęk umierającego człowieka. Zamknęli bramę za sobą i poszli od razu przez zniszczony zewnętrzny dziedziniec na dziedziniec wewnętrzny. Tym razem Michael wyciągnął cienkie jedwabne szale i położył je na posadzce, zanim usiedli. Włożył do kadzielnic nowe kadzidła i zapalił je, podczas gdy Randolph obchodził dziedziniec przyglądając się kapliczkom: kapliczce Yamy, władcy piekła; kapliczce Dewi Shri, bóstwa płodności; kapliczce Kali, niszczycielskiego uosobienia Siwy; kapliczce Dharmy, boga cnoty.

Rzeźbione szmaragdowe dachy kapliczek wznosiły się nad murami wilgotnego i cienistego podwórza w słońce i świat żyjących. Kiedy Randolph obrócił się, Michael kiwnął na niego, aby usiadł na swojej macie. Dym z kadzideł zaczął już snuć się po świątyni jak oddech umarłych.

Na ziemi pomiędzy nimi Michael położył jakiś duży przedmiot, wielkości czaszki konia, który był przykryty spłowiałym szalem z ozdobnie pomalowanego jedwabiu.

–Co to jest? – spytał Randolph.

–Maska bogini Rangdy. Chcesz ją zobaczyć? Jest bardzo *sakti*, bardzo magiczna. Używa się jej podczas tańców i ceremonii transów.

Nie czekając na odpowiedź Randolpha, Michael ściągnął jedwab z twarzy Rangdy. Randolph patrzył przez dłuższy czas na wylupiające oczy Wdowej Wiedźmy, na dziko wyszczerzone zakrzywione zęby. Malowało się na niej okrucieństwo, dzikość i żądza

krwi. Twarz, jaką ogląda się tylko w nocnych koszmarach.

–Czy ona właśnie tak wygląda? – spytał Randolph; nie kontrolowanym drżeniem w głosie.

Michael przykrył maskę.

–Nigdy jej nie widziałem w rzeczywistości, ale niektórzy pedanda widzieli ją. I według nich tak właśnie wyglądała.

–Dlaczego musimy mieć tu tę maskę?

–Ponieważ wchodzimy do królestwa zmarłych, imperium Rangdy. Możemy tam wejść, jedynie recytując rytualne pieśni i okazując Rangdzie szacunek. Magia maski tworzy bramę, drogę do innego świata. I tak długo, jak długo maska tutaj pozostaje, brama będzie otwarta. Trans śmierci jest zakazany przez indonezyjskie prawo, ponieważ tak jak my możemy wejść do świata duchów, przez tę bramę równie łatwo mogą uciec do fizycznego świata lejaki.

–Czy jest jakiś sposób, aby temu zapobiec? Co się stanie, gdyby lejaki przeszli przez bramę bez naszej wiedzy, podczas gdy my będziemy w drodze do holenderskiego cmentarza?

Michael potrząsnął głową.

–Nie mogą tutaj tego zrobić, to poświęcona ziemia. Dlatego właśnie zawsze staram się wchodzić w trans śmierci wewnątrz świątyni. Lejaki tutaj nie wejdą, jedynie sama Rangda może się tu zbliżyć, ale robi to rzadko. Postaramy się nie niepokoić lejaków, gdy będziemy w transie.

Przerwał na chwilę, a potem dodał poważnie:

–Raz się to zdarzyło. Gdy po raz pierwszy wszedłem w trans śmierci, Rangda posiadała maskę i użyła jej do zabicia mojego pedandy. A więc posłuchaj tej ważnej rady... kiedy będziemy wychodzić z transu, trzymaj się z daleka od maski, dopóki się nie upewnimy, że bramy tamtego świata są zamknięte i jesteśmy bezpieczni.

–A co ze zmarłymi? Duchami?

–Co ma z nimi być?

Randolph usadowił się na podłodze.

–Muszę ci się przyznać, że po prostu się ich boję – wyznał Michaelowi.

–Czego się boisz? Zmarli nie zrobią ci krzywdy. Będą uradowani, że cię widzą.

–Ale przecież oni nie żyją.

–Sam chciałeś zobaczyć się z Marmie – powiedział Michael. – Czy nadal chcesz ją ujrzeć, a może rozmyśliłeś się? Pamiętaj, że ona także nie żyje. Jest jedną ze zmarłych i będzie podobna do tych ludzi, których dzisiaj ujrzysz.

Randolph zamknął oczy i opuścił głowę.

–Boże – wymruczał. – Czasami zastanawiam się, co ja, do diabła, wyprawiam.

–Nie wiem, ale płacisz za to – powiedział Michael, celowo kierując uwagę na sprawy światowe i materialne.

Randolph objął kolana rękami i krzyknął na Michaela:

–Ja się boję! Czy ty tego nie rozumiesz? Cholernie się boję!

Michael uniósł dłonie. Patrzył na Randolpha z absolutnie poważną twarzą.

–Ty się nie boisz – powiedział, a jego głos miał jakąś niesamowitą metaliczną

barwę, tak jakby mówił z dużej odległości. – W ogóle się nie boisz. Właśnie masz wejść do świata umarłych, ale świat umarłych to nic innego jak druga strona zwierciadła. Jedna strona jasna, druga ciemna. Nie ma się czego bać, ponieważ zmarli są tak samo szczęśliwi, że spotykają żywych, jak żywi, spotykając zmarłych. To nie są upiory, Randolphie. To są zwykli, normalni ludzie, tacy, jakich spotykasz na ulicy. Jedyna różnica pomiędzy nimi a tobą jest taka, że oni już umarli, a ty jeszcze żyjesz. Ale pewnego dnia ty również umrzesz i nie będziesz chciał, aby żywi ciebie się bali.

Randolph zamknął oczy, ale Michael nakazał:

–Patrz na mnie. Oddychaj głęboko. Zapomnij o całej tej panice. Zapomnij o całym tym chaosie. Twój umysł jest jak hałas na ulicy. Wyłącz go. Uspokój się. Przestań się martwić.

Minęło prawie dziesięć minut, zanim Randolph uspokoił się na tyle, żeby Michael mógł zacząć śpiewać pieśni. Nawet wtedy Randolph wyczuwał chwile popłochu w zakątkach umysłu, niczym nagle błyskawice przecinające krajobraz, który miał być pusty i nieruchomy. Widocznie jednak Michael uznał, że jest już wystarczająco rozluźniony, aby wejść w trans śmierci, i zaczął śpiewać święte pieśni. Tupał stopą w rytm magicznej muzyki, muzyki, która tam była, ale jej nie było, i stopniowo zmusił Randolpha, aby podążył za nim w stan innego bytu.

Bębny *kendang* wybijały swoje skomplikowane rytmy. Cymbały *ceng-ceng* dzwoniły. Randolph zamknął oczy nie dlatego, że chciał, ale dlatego że musiał. Słyszał dźwięk gongów, staccato uderzających pałek i tupot setek stóp po podwórzu.

–Wejdziemy teraz między umarłych – śpiewał Michael. – Będziemy wyraźnie widzieć upiory tych, którzy odeszli. Mamy otwarte oczy na ten świat i na świat przyszły. Osiągnęliśmy trans transów, trans zmarłych, świat w świecie.

Randolph czuł, jak kamienie posadzki rosną pod jego stopami, jakby były zrobione ze świeżo ugniecionego ciasta. Słyszał narastające gwizdy oraz rozmowy i widział cienie przesuwające się przed ich oczyma, cienie masek, twarzy i gestykulujących ramion, jak w teatrze cieni *ayang*. Sądził, że nigdy nie osiągnie duchowego szalu potrzebnego do transu, chociaż przytłaczała go dzwoniąca muzyka, nieubłagane uderzenia bębna i nieprzerwany śpiew Michaela.

Nadal śpiewali, kiedy taksówka – poobtłukiwany zielony mercury ziejący dymem z rury wydechowej – zajechała przed świątynią i zatrzymała się po drugiej stronie Jalan Mahabharata. Wewnątrz na tylnym siedzeniu, niewygodnie ściśnięci i spoceni, siedzieli Richard Reece, *aka* Richard Ecker, Jimmy Heacox i Bob Stroup. Na przednim siedzeniu siedziała dziewczyna ubrana w jaskraworóżową koszulkę i brudne białe szorty, włosy miała związane batikowym szalem. Była to Jennifer Dunning, dziewczyna, którą Michael nazywał Mungkin Nanti, Może Później.

–To tutaj? – spytał Bob Stroup.

–Tak – odparła Mungkin Nanti matowym głosem. – Jeśli Michael daje waszemu przyjacielowi lekcje transu, musi być tutaj.

–Wygląda to jak pieprzony zamek Drakuli – zauważył Jimmy Heacox.

Richard Reece oczywiście milczał, tylko gapił się na bramę Pura Dalem zimnymi bezbarwnymi oczami.

–Lepiej bądźcie ostrożni – ostrzegła Mungkin Nanti. – Kiedy jest w transie śmierci, dziwnie się zachowuje. Może poruszać się tak szybko, że ledwie go zauważycie. W jednej sekundzie jest tuż przed waszymi oczami, a w następnej kiwa do was z drugiej strony ulicy, a wy nawet nie zdążycie mrugnąć. To czas, jakoś to się wiąże z czasem. W transie czas mija inaczej. Tak mi w każdym razie mówił.

Reece dotknął palcami ramienia Boba Stroupa, a ten zapytał:

–Co to za miejsce?

–To świątynia – odparła Mungkin Nanti. – Z jakiegoś powodu mnisi już jej nie używają. Nazywają ją Świątynią Zmarłych.

Reece skinął na Boba Stroupa i trzech mężczyźni wysiedli z taksówki.

–Wracaj do domu – powiedział Bob Stroup do Jennifer Dunning. – I dzięki za pomoc.

Odwinął dwadzieścia dolarów z dużej rolki pieniędzy i wręczył jej. Wzięła je niechętnie.

–Nie zrobicie mu krzywdy, prawda? – spytała ze zmartwieniem w oczach.

–Krzywdy? Dlaczego mielibyśmy robić mu krzywdę?

–Chciałam tylko, abyście powstrzymali go od wchodzenia w te transy śmierci, to wszystko.

Bob Stroup uśmiechnął się i zamknął drzwiczki taksówki.

–Jedź do domu. Nie chcesz chyba, żeby twój chłopak dowiedział się, kto nam doniósł, gdzie się znajduje?

Taksówka odjechała. Reece, Stroup i Heacox stali przez chwilę na skąpanej w słońcu ulicy, rozglądając się badawczo wokół.

Reece skinął głową i przeszli przez ulicę do bramy Pura Dalem. Bob Stroup nacisnął klamkę i oznajmił:

–Otwarte.

Reece wyciągnął dłoń i Jimmy Heacox podał mu zieloną sportową torbę. Otworzywszy zamek, Reece wyjął trzy białe hokejowe maski, które nałożyli sobie na twarze. Otworzyli ciężkie mosiężne drzwi i jeden za drugim wślizgnęli się na zewnętrzny dziedziniec, zerkając szybko na boki, aby się upewnić, czy nikt się na nich nie przyczaił. Zamknawszy za sobą wrota, przystanęli na chwilę nasłuchując i wyciągnęli automatyczne colty spod swoich panterek. Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszeli, był trzask ładowanych nabojami zamków i odwodzenie kurków ich pistoletów.

Reece skinął i szybko przemknęli przez zniszczony wewnętrzny dziedziniec aż do bramy *paduraksa*, która prowadziła do świętego wnętrza świątyni. Spod bramy wydobywał się kadzidlany dym i snuł się dalej przez wewnętrzny dziedziniec i zapadnięte pawilony *bale agung* i *bale gong*, gdzie kiedyś przychodzili miejscowi wieśniacy i grała świątynna orkiestra. Dzisiaj jednak nie było tu muzyki. Jedynie szeleszczenie suchych liści w słabym porannym wietrzyku. Tylko pomruk ruchu na miejskich ulicach. Tylko dziwne, przenikliwe nawoływania mynahów i papug.

Reece przekroczył wewnętrzną bramę i uniósł rękę. Michael i Randolph, kołysząc się rytmicznie w tył i w przód, siedzieli dwadzieścia metrów dalej, na wpół skryci w kadzidlany dymie. Michael śpiewał w sanskrycie, języku kapłanów, starodawną mantrę transu śmierci wysokim wibrującym głosem, który zdawał się wprawiać powietrze w drganie. Jego głos brzmiał niesamowicie, prawie jak muzyczna piła, czego do tej pory Reece, Stroup czy Heacox nigdy przedtem nie słyszeli, nawet w dżunglach Kambodży.

–Co on robi, do cholery? – wyszeptał chrapliwie Heacox. – Śpiewa jak kot, który złapał się za jaja.

–Staruszek wyrażał się jasno, że na sto procent chce mieć chłopaka żywego – powiedział Bob Stroup. – Kapujesz, Jimmy?

Heacox nie odezwał się. Według niego to nie miało znaczenia, czy chłopak miał być żywy czy martwy. Co go to obchodzi, skoro ma dostać premię po powrocie? Chrząknął i skrzywił nos z niesmakiem z powodu zapachu kadzidła.

Chociaż w realnej świątyni było cicho – tej z fizycznego świata – w świątyni objawiającej się w świecie zmarłych – tej, do której wkraczali teraz Randolph i Michael – rozbrzmiewały uderzenia gongów i muzyka cymbałów. Był tam dźwięk bębnow, gwizdy, uderzenia pałeczek i głęboki, wstrząsający dźwięk *gangs*a. Randolph z zaciśniętymi mocno powiekami kiwał się teraz wściekle do przodu i do tyłu w rytm bębnienia. Jego umysł wybuchał hałasem, eksplodował brzęczeniem, bębnieniem, iskrzącym dzwonieniem. Nie mógł już myśleć, kim jest lub dlaczego jest, ani czym jest to, co zmusza go do kołysania się w takt muzyki. Znalazł się za progiem rzeczywistości i wkroczył w ciemność całkowitego transu.

Nagle się przestraszył. Poczuł, jakby podłoga świątyni wymknęła mu się spod stóp, jakby zniknęła w próżni. Potem kosmos zapadł się wokół niego wielkimi grzmiącymi blokami hałasu i koloru, ogłuszającą lawiną ciemności i masy. Pędził przez czas i zmysły tak szybko, że snopy oślepiającego światła przemykały przed jego oczami jak meteory, a potem wybuchały w błyszczące białe kwiaty o nakrapianych srebrem płatkach, które rozwijały się, kwitły i pęczniały. W końcu ujrzał, że jest znowu w świątyni, ma teraz otwarte oczy i patrzy na Michaela.

Muzyka przestała grać. W świątyni panowała cisza. Randolph rozejrzał się, potem spojrzał znowu na Michaela.

Liście marszczyły się na posadzce świątyni jak szara, wysuszona skóra.

–Co się stało? – spytał Randolph. – Coś niedobrze?

Michael uśmiechnął się. W jego oczach było dziwne, jasne światło.

–Możemy spróbować jeszcze raz? – spytał Randolph. – Czy to z mojego powodu? Zrobiłem coś źle? Muszę jeszcze poćwiczyć?

–Wszystko dobrze. Zupełnie dobrze – powiedział Michael.

–Nie rozumiem.

–To proste. Osiągnąłeś stan, który chciałeś osiągnąć przyjeżdżając na Bali. Jesteś w transie śmierci. Oczywiście, w znacznym stopniu twój umysł jest prowadzony przeze mnie, ale mimo to będziesz w stanie zobaczyć wszystko to, co ja, i tak samo wyraźnie.

Głos Michaela brzmiał dziwnie głucho i płasko, a sposób wyrażania był zupełnie inny niż wcześniej. Zamiast prostych, bezpośrednich, rzeczowych stwierdzeń wypowiedzianych nosowym amerykańsko-balijskim akcentem pojawiła się łagodna wschodnia uprzejmość.

–Idź za mną – powiedział Michael, a jego słowa zdawały się kwitnąć w mózgu Randolpha. Powstali jednocześnie i poszli przez wewnętrzny dziedziniec do *candi bentar*, pękniętej bramy.

Przywarłszy plecami do kamiennej ściany, aby schować się przed wzrokiem Michaela i Randolpha, Reece, Stroup i Heacox – trzy demony o białych twarzach z innego snu – obserwowali mijających ich mężczyzn i nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

Randolph i Michael zdawali się prawie przezroczyści. Chociaż szli powoli, znaleźli się przed zewnętrzną bramą świątyni krócej niż w mgnieniu oka, a potem nagle brama otworzyła się i zniknęli.

–Co do diabła? – spytał Heacox. – Nie zdążyłem nawet wziąć ich na muszkę.

–Słyszałeś, co mówiła dziewczyna – powiedział Stroup. – Są w tym jakimś tam transie. Powiedziała, że będą szybcy.

–W takim razie, co, do cholery, mamy zrobić?

Reece uniósł palec do Boba Stroupa i skinął na wewnętrzny dziedziniec świątyni, gdzie leżała teraz opuszczona maska Rangdy. Stroup mówił za niego.

–Dziewczyna powiedziała, że jeśli chcą wyjść z transu, muszą wrócić w to samo miejsce, gdzie w niego wchodzili. A więc musimy poczekać tutaj na nich. Wtedy rąbniemy Randolpha i zabierzemy chłopaka.

Zbliżyli się ostrożnie do wewnętrznego dziedzińca, gdzie rozejrzeli się, wkładając automaty za paski. Stroup pochylił się i przyjrzał kadzidłom, potem przeszedł wokół kapliczek.

–Możesz wierzyć tym ludziom? To większe ciemniaki niż ci z VC.

Heacox podszedł do maski Rangdy, obszedł ją wokół z ciekawością, a potem uniósł przykrywający ją jedwab lufą pistoletu.

–O rany, to moja teściowa.

Reece ostro strzelił palcami, co miało znaczyć, żeby zostawił maskę w spokoju.

–Nie dotykaj niczego – wyjaśnił Stroup. – Jeśli coś tutaj pomieszasz, Clare i chłopak nie będą mogli tu wrócić, a wtedy będziesz musiał się tłumaczyć przed jego wysokością, panem Graceworthym.

–Nogi mi ścierpły, człowieku – narzekał Heacox.

Raz jeszcze obeszli dookoła dziedziniec. Zaglądali w każdy wypełniony liśćmi narożnik. Jednakże kiedy Bob Stroup przyglądał się erotycznej płaskorzeźbie na boku jednej z kapliczek, wydawało mu się, że dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Cień, czy coś w tym rodzaju, obok maski Rangdy. Jego zmysły były tak napięte, że szybko się odwrócił, przyklęknął na jedno kolano i przykrył maskę pistoletem, zanim reszta zorientowała się, co się stało.

Reece także wyciągnął swój automat. Czekali w napięciu. Reece poruszył głową w kierunku Stroupa, co miało oznaczać: „Co się, do cholery, dzieje?”

–Mógłbym przysiąc, że coś widziałem. Tam, obok maski. Jakby ktoś się poruszył, tylko przez chwilę.

–Nerwy – powiedział Heacox. – Tam niczego nie ma.

Stroupa nie wzruszył jego sceptycyzm.

–Tam coś było. Widziałem to. Ciebie, nie wiem. Heacox przeszedł dziedziniec z dłońmi na biodrach.

Aby ośmieszyć Stroupa, poruszał rękami w powietrzu, jakby macał niewidzialnego człowieka.

–Jeszcze niczego nie czuję – powiedział głośno. – Nie, za cholere niczego nie czuję.

Reece wskazał szybko Stroupowi, że jeśli ktokolwiek był na dziedzińcu, musiałby przejść dokładnie obok nich, aby dojść do maski. Ruchem dłoni pokazał: „Może to ptak? Albo motyl?” W Kambodży żołnierze wystrzelili całe pasy amunicji do szeleszczących owadów siedzących na drzewach w dżungli. Każdy, kto tam był, rozumie tę treść. Nawet po dziesięciu latach nie można się od niej uwolnić.

Po chwili Stroup wsadził swój pistolet za pas.

–Może masz rację. Może samolot przelatował nad nami albo chmura, czy coś w tym rodzaju.

Heacox podniósł maskę Rangdy i tak ułożył jedwab, że odsłonił jej twarz.

–Teraz rzeczywiście wygląda jak moja teściowa. Skóra cierpnie, co? I ci ludzie robią takie rzeczy. Oni naprawdę wierzą, że to jest prawdziwe. Możecie sobie wyobrazić, co noc modlić się do czegoś o takiej twarzy?

Bogini Rangda patrzyła na Heacoxa z nieskrywaną zjadliwością swoimi wylupiastymi ślepiami, z twarzą o odsuniętych wargach i błyszczących zakrzywionych kłach.

–Odłóż to, Jimmy – powiedział lekko zdenerwowany Stroup.

–To tylko maska. Nakładają je na swoje głowy i skaczą wokół, aby nastraszyć te swoje zasrane dzieciaki.

Reece potrząsnął szybko głową, a Stroup przetłumaczył:

–Odłóż tę maskę, Jimmy. Richard chce, abyś ją odłożył.

Heacox wyrzucił maskę w powietrze, potem ją złapał i uśmiechnął się wyzywająco do Reece'a i Stroupa.

–Nie mówcie mi, że się boicie. Dalej, Bob. No, nie gadaj, że się boisz. A ty, Richard? Strach was obleciał?

W ostatnim prowokującym geście nałożył maskę na swoją głowę i zatoczył się z boku na bok, krzycząc:

–Grrr! Hej wy, Amerykanie o grubych tyłkach, takich jak wy zjadam na śniadanie! Z parowanymi kluchami!

Śmiał się ochryple i uniósł ręce, aby zdjąć maskę. Nagle jednak jego śmiech zmienił się w przerażający krzyk, taki sam jak ten, który Bob Stroup słyszał, kiedy trzech jego ludzi wpadli w pułapkę *punji* pełną naostrzonych pali w Wietnamie. Heacox dziko ścisnął za boki maskę Rangdy i zataczał się po dziedzińcu.

–Jimmy! – krzyknął Bob Stroup i złapał go. Przez jedną chwilę Stroup znalazł się

twarzą w twarz z maską Rangdy i mógłby przysiąc, że poczuł zimny powiew śmierdzącego oddechu. Heacox jednak załamał się i upadł, a maska spadła na posadzkę z pustym drewnianym dźwiękiem i potoczyła się dalej.

Tocząc się zostawiała na ziemi batikowe wzory jasnoszkarłatnej krwi. Zatrzymała się przy cokole najbliższej kapliczki.

Stroup odwrócił się wolno, aby spojrzeć na Heacoxa. Podczas wojny widział różne straszne okaleczenia: ludzi z oderwaną połową ciała, choć nadal uśmiechających się; ludzi bez nóg; ludzi bez rąk. Ale zupełnie nie był przygotowany na widok Jimmy'ego Heacoxa. Nawet Richard Reece, kiedy podszedł i stanął obok niego, wyglądał na przestraszonego. Obaj milczeli i nie ruszali się przez prawie pół minuty.

Głowa Heacoxa została urwana z szyi, z której wystawała teraz tylko krtań z językiem – długi kawał czerwonego, okrwawionego mięsa, jak przerażający krawat.

–Cholerne gówno! – wydusił w końcu Stroup. I obaj jednocześnie zwrócili się do maski. Reece zrobił gest, którego używali podczas milczących wypadów do dżungli, aby wskazać, że wokół mogą być jakieś pułapki.

Stroup skinął z niedowierzaniem na maskę.

–Pułapka? Jaka pułapka może oderwać tak głowę? Nie było żadnego wybuchu.

Ostrożnie podeszli do maski. Reece dotknął jej czubkiem buta, próbując ją przewrócić, aby mogli zajrzeć do środka. Odkopnął ją od cokołu kapliczki. Odskoczyli w obawie przed wybuchem, ale także ze strachu. Potrafili radzić sobie z niebezpieczeństwem, które znali, ale to coś innego. Obaj wiedzieli, że nie wynaleziono jeszcze takiego środka, który mógłby oderwać w taki sposób głowę Jimmy'ego Heacoxa. Reece wykonał gest, który pokazał Stroupowi, że sposób, w jaki pozbawiono głowy Heacoxa, przypomina mu ugryzienie rekina.

–Coś z zębami w każdym razie – zgodził się Stroup.

Pochylili się i zajrzeli w głąb otwartego gardła maski. Stroup zdjął maskę hokejową, aby lepiej widzieć. Ale w tej części dziedzińca było całkiem jasno, a oświetlenie wnętrza maski było jeszcze uwydatnione dwoma jarzącymi się punktami, które świeciły w oczodołach bogini Rangdy.

–Jest pusta – wyszeptał Stroup. – Gdzie, do diabła, podziła się jego głowa?

Reece kopnął jeszcze raz maskę, ale i tak było widać, że nic w niej nie ma. Głowa Jimmy'ego Heacoxa została oderwana, pożarta i zniknęła.

–W życiu nie widziałem czegoś podobnego – powiedział zdziwiony Stroup.

Reece popatrzył na ciało i potrząsnął głową w sposób, który oznaczał: „Ten głupi kutas powinien robić to, co mu kazano, i zostawić tę cholerną maskę w spokoju”.

–Bał się – zauważył Stroup. – Chciał tylko udowodnić sobie, że jest twardy.

Reece skinął w kierunku miejsca, gdzie siedzieli Randolph i Michael, a Stroup zauważył cień. Nie musiał robić niczego więcej, żeby Stroup wiedział, o czym myśli. Ten cały interes z transem śmierci jest czymś o wiele bardziej przerażającym, niż sobie obaj wyobrażali. A także o wiele trudniejszym. I nawet jeśli uda im się przywieźć dzieciaka do domu dla pana Graceworthy'ego, czy pan Graceworthy im za to podziękuje? O Boże, maska, która odgryza mężczyźnie głowę! Ludzie, którzy

chodzą po podwórzu szybciej, niż możesz podnieść broń do ramienia, aby wziąć ich na muszkę. Diabły, demony i cholera wie, co jeszcze.

Stroup podrapał się po karku i rozejrzał po świątyni.

–Zostajemy? – spytał. – A jeśli będzie gorzej? Reece za swoją maską pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu wskazał, że mają robotę do wykonania, robotę dla panów, którzy nie będą pobłażliwi, jeśli im się nie uda. Heacox zlekceważył dwa podstawowe prawa bezpieczeństwa i przeżycia: „Nie dotykaj, jeśli nie musisz” oraz „Nie dotykaj, jeśli nie sprawdziłeś”. A tutaj, w Świątyni Zmarłych, prawdopodobnie obowiązuje jeszcze jedno prawo, może najważniejsze: „Nie dotykaj, dopóki nie zrozumiesz”.

Ani Reece, ani Stroup nie wiedzieli, że wstrząs wywołany atakiem Rangdy na Jimmy’ego Heacoxa przeszedł królestwo zmarłych jak małe trzęsienie ziemi, wywołując lęk i pogrzebowe rumowisko, przewracając ciała w grobach, podrzucając prochy w urnach. Zmarli podnieśli nagle twarze do słońca, które tam nigdy nie świeci, i nasłuchiwali. Ze świata za kurtyną i spośród na wpół zapomnianych wspomnień, dochodził ostry wibrujący dźwięk. Lejaki zostały zaalarmowane. Błyszczące oczy. Stopy biegnące wśród liści i kurzu kości.

Randolph i Michael właśnie doszli do narożnika Jalan Vyasa i stanęli po przeciwnej stronie ceglanego muru, który otaczał stary holenderski cmentarz. Randolph uznał ich przyśpieszenie za hipnotyczne. Szli dziwnym ślizgowym ruchem przez ulice Denpasar, słońce wydawało się jakoś zamazane, jakby twarz okrywał mu półprzezroczysty szal. Odgłosy były dziwnie niewyraźne. Jednak Michaela widział całkiem wyraźnie i uświadamiał sobie ostro narastającą wrażliwość, nie na codzienne rzeczy wokół niego, ale na uczucia i emocje w powietrzu. Na narożniku ulicy poczuł nagle żal. Nie swój własny, ale żal kobiety, która siedziała w oknie drugiego piętra, patrząc na rynek i wachlując się.

Czujesz to? – spytał Michael. – To dobrze. Właśnie straciła męża; między nimi są nadal skomplikowane emocjonalne więzi. Niebawem się rozwieją, wiesz, ale w tej chwili są wystarczająco silne, abyś mógł je uchwycić.

Teraz na narożniku Jalan Vyasa obaj, Randolph i Michael, poczuli ściskające za serce, kłujące uczucie, nagły powiew czegoś nieokreślonego.

–Co to jest? – spytał Randolph, gdy Michael uniósł głowę, nasłuchując i koncentrując się.

–Coś się stało – powiedział Michael z obawą. – Niezbyt daleko stąd.

–Co masz na myśli, mówiąc, że coś się stało?

Michael nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, ale potrząsnął głową.

–Trudno powiedzieć. Jakiś rodzaj zakłócenia. Czuję wokoło zapach lejaków.

–A jak pachną lejaki? – dopytywał się Randolph.

–Istnieje pewna grupa Balijszczyków – rzekł Michael, kiedy przechodzili przez ulicę – którzy nazywają się Bali Aga, co oznacza prawdziwy Balijszczyk. Mieszkają nad brzegiem jeziora Batur, które jest bardzo odosobnione. Utrzymują oni wszystkie stare zwyczaje, o których większość Balijszczyków zapomniała. Jednym ze zwyczajów, które zachowali, jest kładzenie zmarłych na otwartej przestrzeni, bez trumny, a trupy po prostu rozpadają się na części. No cóż, jeśli pójdziesz na ich cmentarz w upalny,

wilgotny dzień, kiedy jezioro Batur jest pokryte mgłą, i nabierzesz powietrza w płuca, no to właśnie tak pachną lejaki.

–Chyba jest to przyjemność, bez której mógłbym się łatwo obejść.

Doszli do bramy holenderskiego cmentarza i niczym duchy prześlizgnęli się między pomalowanymi na zielono żelaznymi prętami. Pomarszczony starzec w różowym turbanie odwrócił głowę, jakby usłyszał skrzypnięcie bramy za sobą, ale ich już tam nie było. Minęli schludną, ceglana stróżówkę, gdzie trzy Holenderki w czerni czekały na kogoś, trzymając bukiety kwiatów. Potem szli po ceglanej odchwaszczonej ścieżce między rzędami nagrobków tak oślepiająco białych, że Randolphowi zdawało się, iż mogłyby świecić we mgle. W końcu skręcili na prawo pod zwisającymi gałęziami uroczynu, gdzie groby były starsze i gorzej utrzymane i gdzie pnącza rosły dziko na cmentarnym murze. Synowie i córki zmarłych, którzy tutaj spoczywali, sami już nie żyli, a więc ci zmarli znajdowali się poza pamięcią.

Randolph poszedł za Michaeliem z bijącym dziko sercem. W ustach miał sucho, w uszach mu dudniło i był mokry od potu. Objawy strachu, pomyślał. Oznaki nędznego lęku. Byłoby wystarczająco strasznie, gdyby weszli na tę opuszczoną część cmentarza bez świadomości, że zaraz spotkają duchy, które tu przebywają. Otarł twarz dłonią, a słony pot zaszczypał go w oczy. Cykady grały ogłuszająco, a czarne cmentarne ptaki podskakiwały i skrzeczały nad grobami.

–Teraz – powiedział Michael, unosząc jedną rękę.

Zatrzymali się, jeden obok drugiego, gdzie ceglana ścieżka zmieniała się w zwirową. Randolph, podniecony, rozejrzał się z lękiem. Nie wiedział, czego się ma spodziewać, co zobaczy i jak na to zareaguje.

Duchy z cmentarza ukazały się w tańczących cieniach drzew z takim smutnym wdziękiem, że Randolph uznał, iż nie można się ich bać. Rzeczywiście byli, tak jak powiedział Michael, zwykłymi mężczyznami, kobietami i dziećmi. Zbliżali się milcząc i zatrzymali się między nagrobkami oddaleni zaledwie o metr, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, spoglądając na Randolpha i Michaela z zaciekawieniem i tęsknotą.

–Czy oni... naprawdę nie żyją? – wyszeptał Randolph.

Michael skinął głową.

Randolph zrobił jeden czy dwa ostrożne kroki. Ludzie z cmentarza śledzili go wzrokiem, odwracając się, by móc obserwować, jak przechodzi między nimi. Był tam staruszek w czarnym surducie, z siwymi włosami powiewającymi na wszystkie strony. Byli żołnierze z ogolonymi głowami w zielonych mundurach, ich oczy mówiły o niedoświadczeniu i nagłej śmierci. Były kobiety z twarzami zbielełymi od cierpienia, ich nakrochmalone czepki odbijały światło nieśmiertelności. Były dzieci, niektóre wychudzone, niektóre o krzywiczych nogach, inne z wykrzywionymi twarzami, trapiące przez tropikalne choroby.

Randolph wszedł głębiej między nich i obrócił się kilka razy dokoła, aby zobaczyć wszystkich. Był tak poruszony, że upalne powietrze na cmentarzu zdawało się go prawie dusić. Bolało go w piersiach od tego, a w sercu czuł ukłucie litości.

Po zielonej trawie zbliżała się ku niemu młoda dziewczyna w czarnej sukience. Miała zapadnięte policzki i ciemne oczy o łagodnym blasku. Wyciągnęła w jego

kierunku rękę, jakby nie dowierzała, że on naprawdę istnieje, żywa istota w świecie umarłych.

–Możesz mówić? – spytał ją schrypniętym, napiętym od emocji głosem.

–Są Holendrami, ale większość z nich mówi trochę po angielsku – odezwał się Michael.

–Widziałeś ich wcześniej? – spytał Randolph. – Słyszałeś, jak mówią?

–*My wszyscy jesteśmy martwi, panie* - odezwała się dziewczyna w czarnej sukience. – *Możesz nas uratować?*

Randolph odwrócił się do Michaela z rozpaczą.

–Co mam jej powiedzieć?

Michael łagodnie pokręcił głową.

–Nie możesz nic jej powiedzieć.

Randolph spojrzał znowu na dziewczynę.

–Jak masz na imię? – spytał. – Powiedz mi swoje imię. Kim jesteś?

–*Natalie, panie. Natalie Von Hoeve.*

Randolph powoli wyciągnął swoją dłoń do dziewczyny. Natalie obserwowała go i zrobiła to samo. Przez moment zawahali się, po czym ich wyciągnięte palce spotkały się, palce zmarłej i żyjącego, istoty duchowej i śmiertelnej. Randolph czuł delikatny dotyk jej palców, zimny dreszcz przeszedł przez jego ciało, dreszcz, który wstrząsnął nim aż do szpiku kości, nie tylko cieleśnie, ale także duchowo, i wszystkim tym, w co dotychczas wierzył.

Ponieważ jeśli ci ludzie po tylu latach nadal tu byli, smutno wałęsając się po cmentarzu, gdzie jest ich Pan Bóg? Gdzie jest ich miejsce w niebie?

Randolph zabrał swoje palce od Natalie i powiedział:

–Niech Bóg cię błogosławi, Natalie. Wierzę, że znajdziesz pokój.

Potem przeszedł przez tłum zmarłych – było ich teraz trzydziestu czy czterdziestu i wciąż ich przybywało – i dotykał ich jednego po drugim. Czuł ich zimno i ich beznadziejność, a najgorsza z wszystkiego była jego własna beznadziejność, ponieważ wiedział, że on sam również za parę lat umrze, a wszystko, czego mógł oczekiwać, to pustka, tęsknota i wieczny smutek.

Michael został tam, gdzie był, na ścieżce, obserwując bacznie Randolpha. Świetnie rozumiał, co Randolph czuje; bardzo często odczuwał podobnie. Zbyt wcześnie było, aby wytłumaczyć Randolphowi, że ludzie po śmierci są dokładnie tym samym, czym byli przed śmiercią. Namiętni pozostają namiętnymi, obowiązkowi związkowymi. Dla prostych, zwyczajnych i rozpaczonych, czyli dla większości na tym holenderskim cmentarzu, była to zwykła, tylko że nieśmiertelna egzystencja.

Randolph nadal spacerował między zmarłymi, kiedy nagle Michael zawołał jego imię. Niezbyt głośno, ale głosem oznaczającym stan pogotowia i ostrzeżenie. Randolph z miejsca się odwrócił. Michael wskazywał na ciemny, porośnięty pnączem cmentarny mur, gdzie drzewa zwisały nad grobami tak nisko, że z trudem można było dostrzec kamienie.

–Co się stało? – spytał Randolph. Zaczął wycofywać się do Michaela. Tłum zmarłych podążył za nim.

–Nie jestem pewien. Wydawało mi się, że coś widzę.

–Co? Co to było? – dopytywał się Randolph. Teraz poczuł się poważnie zaalarmowany. Dotykanie zmarłych, którzy nie żyli od czterdziestu lat, było wystarczająco silnym przeżyciem, ale myśl, że w pobliżu znajdują się prawdziwe demony, wprost go przeraziła.

–Co widzisz? – pytał Randolph, wpatrując się w odległe cienie pod drzewami. Żałował, że nie wziął okularów.

Zanim zdążył jeszcze coś powiedzieć, Michael chwycił go za rękaw.

–Biegiem! – krzyknął i zaczął ciągnąć Randolpha z powrotem na ścieżkę.

Randolph potknął się i prawie upadł.

–Co to jest? Na miłość boską, powiedz mi!

–Lejaki! – warknął Michael.

Duchy zmarłych zaczęły tłoczyć się w narastającej panice.

–A co z nimi? – krzyknął Randolph. – Co z tymi wszystkimi ludźmi?

–Oni nie żyją! – odparł Michael.

Randolph zawahał się. Widział, jak dziewczyna o imieniu Natalie unosi w przestrachu rękę. Po raz pierwszy zobaczył lejaki, w szarych ubraniach, o twarzach pokrytych popiołem, dziesięciu czy jedenastu wyłoniło się spod drzew. Straszliwy jęk strachu przeszedł przez tłum mężczyzn i kobiet, a dzieci zaczęły się trząść i płakać.

–Przecież nie możemy ich tak zostawić – błagał. Olśniła go nagła wizja masakry, jakiej był bezradnym świadkiem, oglądając w telewizji Wietnam. Teraz miał okazję uratować niektóre z ofiar, a przynajmniej uratować ich dusze.

Ale Michael rzucił się do tyłu, złapał go znowu za rękaw i krzyczał na niego wściekle:

–Oni nie żyją, na miłość boską! Oni nie żyją! Nie możesz nic zrobić. Uciekaj, bo inaczej nie będziesz miał żadnych szans!

Randolph obejrzał się na zmarłych. Za nimi ujrzał ślepie lejaków płonące w ich twarzach niczym węglowe paleniska w czeluściach piekieł. Zobaczył, jak coś ciemnego pędzi przez powietrze, być może dziecko. Potem Michael chwycił go za ramię i pociągnął za sobą ceglana ścieżką w kierunku cmentarnej bramy.

Biegli z całą szybkością, która wstrząsnęła Reece'em i Stroupem, ale lejaki mknęły równie szybko. Byli ponad pięćdziesiąt metrów od bramy, kiedy Randolph zerknął z niepokojem na prawo i ujrzał jarzące się pomarańczowo ślepie dwóch lejaków biegnących równoległe do nich pomiędzy rzędami nagrobków. Odwrócił się i zobaczył jeszcze pięciu czy sześciu za sobą, z błyszczącymi oczami i wykrzywionymi z głodu i wściekłości twarzami.

Nikt inny na cmentarzu z wyjątkiem Randolpha i Michaela nie widział lejaków, gdyż stworzenia te należały do królestwa zmarłych. Holenderki w czarnych sukniach znalazły swoich mężów i szły poważnie między grobami, niosąc swoje bukiety, nieświadome, że tylko trzy ścieżki dalej mijają je najdziksze z upiórów. Słyszając tupot stóp, odwróciły się ze zdziwieniem i niesmakiem za Randolphem i Michaeliem, którzy nie byli niczym więcej niż cieniami.

Brama cmentarna ciągle jeszcze była rozpaczliwie daleko, a za nią, zanim

dobiegną do świątyni, była jeszcze ulica. Randolph zaczął sapać z braku powietrza. Był sprawny, ale nie biegał tak daleko i tak szybko od czasu, gdy miał dwadzieścia lat. W uszach dudniła mu krew, serce dziko waliło i wiedział, że jest bliski poddania się.

Lejaki, które biegly równolegle do nich, zaczęły teraz przybliżać się w ich kierunku, przeskakując przez rzędy nagrobków raz za razem. Lejaki biegnące za nimi zaczęły ich prawie ich doganiać, a na dodatek po lewej stronie pojawiła się nowa grupa.

Randolph zaciskał zęby i próbował wykrzesać z siebie ostatnie siły, ale jak na niego było to zbyt wiele. Załamało pod nim prawe kolano, potknął się, stracił równowagę i upadł na ceglana ścieżkę, kalecząc się w dłoń i obcierając sobie podbródek.

Zobaczył, jak Michael zatrzymuje się, waha.

–Biegnij, na miłość boską! – wydusił. – Nie martw się o mnie!

Prawie natychmiast poczuł ciężkie ciało spadające mu na plecy, a potem następne. Ostre pazury wpijały się w jego twarz, zęby rozdzierały ubranie. Wrzasnął w przestrachu, szarpiąc się, wykręcając i próbując uwolnić od lejaków. Ich śmierdzący oddech buchał mu w twarz. Ich oczy płonęły. Czuł przenikliwy ból, kiedy jeden z nich przeciągnął swoimi pazurami po jego udzie, a potem trzeci lejak wskoczył na niego i zatopił zęby w jego bicepsie.

„Boże – pomyślał – rozerwą mnie na strzępy”.

Rozdział XIX

Usłyszał jakiś krzyk, potem prychanie i wściekłe warczenie i nagle zaczęto go ciągnąć po ścieżce. Czuł dotyk ręki na swoim ramieniu, przyjaznej ręki. Podniesiono go najpierw na kolana, potem na nogi. Nic nie widział. Zachwiał się i pochylił do przodu. Krew ściekała mu po twarzy. Jedna ręka zwisała bezwładnie. Potem znowu się przewrócił.

Ubranie nasiąkło krwią. Spojrzał do góry i zobaczył Michaela.

–Czy oni nas zabili? – spytał spuchniętymi wargami.

–Śpiesz się! – prosił Michael.

Randolph nieprzytomnie rozejrzał się dokoła. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Ścieżka cmentarna była zatłoczona zmarłymi Holendrami. Kobiety i mężczyźni Wrzucali się na lejaki, waląc bestie zaciśniętymi pięściami, skacząc im na plecy, by powalić na ziemię, wrzeszcząc; wściekłości i odpychając je.

–Mój Boże – wyszeptał Randolph. – Mój Boże, Michaelu, oni chyba nie robią tego dla mnie?

Lejaki z błyszczącymi oczami rzuciły się na duchy zmarłych Holendrów, drapiąc je, rozdzierając i gryząc. Jednakże Holendrzy nie poddawali się i spychali lejaki do tyłu, napierając na nie w beznadziejnym, ale prawie uszczęśliwiającym samopoświęceniu.

–Dalej – popędzał Michael. Randolph z trudem powstał, ale nie mógł oderwać wzroku od straszliwej walki rozgrywającej się pośrodku cmentarza. Holendrzy, chociaż było ich tak wielu, nie mieli szans przeciwko lejakom. Stwory były demonicznymi wojownikami, bezrozumnymi i okrutnymi pożeraczami dusz. Ich ostre, zakrzywione pazury darły duchową tkaninę, rozdzierając dusze mężczyzn i kobiet na strzępy. Nie było krwi, jednakże rany i tak były straszne. Randolph ujrzał starego kalwińskiego księdza, jak upada na ziemię z oderwaną połową twarzy. Widział piękną dziewczynę, która zakręciła się i upadła, ugryziona w nogi zębami dwóch zgłodniałych lejaków. Widział żołnierza złapanego z tyłu przez jednego lejaka, podczas gdy drugi rozszarpał mu żołądek.

Rozlegał się wrzask dusz, które były zbyt porozdzierane, by uciec, a które wiedziały, że lejaki zanoszą je do legowiska Rangdy, gdzie zostaną pożarte. Dla dusz pożartych przez Rangdę nie było spokoju wiecznego. Zostaną połknięte przez jej ciemny, oślizgły system trawienny, choć na zawsze pozostanie im nienaruszona świadomość.

Randolph odwrócił się do Michaela z rozpaczą na twarzy. Groza tej walki była dla rzeczywistego świata cicha i niewidzialna. Czarno ubrani żałobnicy nadal szli po ścieżkach do grobów swoich bliskich zmarłych, jakby nic się nie działo. Było to tym boleśniesz, że tak wielu tych zmarłych oddawało swoje nieśmiertelne dusze w obronie życia Randolpha.

–No dalej – powiedział Michael głosem, który brzmiał teraz łagodnie i zachęcająco. – Randolphie, oni już długo nie wytrzymają. Powinieneś uciekać, jesteś im to winien.

Randolph skinął głową i zawrócił. Trzymając się blisko Michaela, kuśtykał, potykał się i ślaniał w kierunku bramy cmentarza. Tam z trudem łapiąc oddech, chwycił się

na moment prętów, zamroczony bólem, drżący, ale Michael znowu krzyknął:

–No dalej.

Udało mu się wyprostować i podążyć za nim na Jalan Vyasa.

Na koniec ujrzał twarz Natalie. Wyrwała się z walki i pobiegła za Randolphem do bramy cmentarza.

–*Nie zapomnij o mnie!* - zawołała. – *Nie zapomnij o mnie!*

Ale wtedy trzy lejaki dopadły ją i Randolph ujrzał, jak ich usta otwierają się w żarłocznym głodzie i zatapiają w szyi dziewczyny.

Nie potrzebował już więcej zachęcania, aby pobiec na Jalan Vyasa i dalej z powrotem do Świątyni Zmarłych. Sklepiarze i kramiarze zauważali, jak ich mijają, ale kiedy spoglądali po raz drugi, dziwnej pary już nie było. Biegli przez dziwne, mgliste światło świata za kurtyną, mijając pachnące kramiki z *satay* i długie batikowe szale, które powiewały łagodnie i cicho na gorącym porannym wietrze.

–Dasz radę? – spytał Michael.

–Chyba jestem pobity i poraniony bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Ale biegnij, nie martw się. Dam radę.

Skręcili po raz ostatni w Jalan Mahabharata i Randolph spojrzął w głąb ulicy na rzeźbione postacie strażników przy bramie, grubo porośnięte mchem. Zostało im jeszcze dwadzieścia metrów, kiedy Michael chwycił go za ramię i powiedział:

–Zatrzymaj się. Coś jest nie tak. Brama świątyni jest otwarta. Ktoś był w środku.

Podeszli ostrożnie do świątyni. Obok nich przejechał moped, przez efekt zwolnionego tempa jego silnik zabrzmiał dziwnie, niczym bębny, grzechotki i magiczne pałeczki. Michael przycisnął się do mosiężnych wrót świątyni i zajrzał tam szybko.

–To Ecker – powiedział. – Ecker i jeszcze jeden człowiek. Czekają na nas na wewnętrznym dziedzińcu. Obaj mają broń.

–Jak nas tu znaleźli? – wydyszał Randolph, opierając się o ścianę.

–Nie mam pojęcia. Ale najwyraźniej, gdy tylko wyjdziemy z transu, zamierzają nas zabić.

Randolph zerknął z niepokojem za siebie, ale jak dotąd nie było śladu lejaków.

–Co robimy? – spytał. – Nie wiem, czy wolę być zastrzelony, czy rozdarty na strzępy.

Michael zagryzł wargi.

–Istnieje szansa, jeśli wyciągniemy stamtąd Eckera. Lejaki niedługo tu będą. Ecker musiał zakłócić trans i to je zaalarmowało. Lejaki będą wiedziały, gdzie nas znaleźć.

Właśnie gdy to mówił, dwie szare postacie pojawiły się na końcu Jalan Mahabharata i zaczęły szybko podążać w ich kierunku. Michael spojrzął w drugą stronę i ujrzał kolejnego lejaka zbliżającego się do nich.

–Nie mamy czasu – powiedział do Randolpha. – Stań w drzwiach i pokiwaj im ręką, ale wolno, pamiętaj, naprawdę wolno, ponieważ nadal jesteś w transie śmierci, więc Ecker nie zobaczy cię wyraźnie, jeśli będziesz zbyt szybki.

–Co masz zamiar zrobić?

–Potrzebne mi lustro – odparł Michael i bez żadnych dalszych wyjaśnień skoczył szybko przez ulicę do restauracji Sambal, małego podmiejskiego *rumah makan* z brzydkimi plastikowymi żaluzjami i patriotycznym obrazkiem Soekarmena, gubernatora Bali, wystawionym w oknie.

Lejaki zbliżyły się; Randolph mógł teraz widzieć pomarańczowe błyski w ich oczach. Wziął głęboki, bolesny wdech, popchnął bramę świątyni, uniósł ramiona i zaczął machać rękoma i krzyczeć tak wolno, jak tylko był w stanie.

–Ecker! Reece! Czy jak ci tam! Jestem tutaj! Jestem tutaj!

Widział, jak Reece odwraca się zdziwiony w swojej białej masce hokejowej. Zobaczył, że drugi mężczyzna także się obraca. Druga ślepa, biała twarz. Ich wygląd był prawie tak samo przerażający jak lejaków i wiedział teraz, że byli również tak samo zdecydowani, aby go zniszczyć.

–Jestem tutaj! – wrzeszczał. – Takie z was tchórze, Reece? Macie tylko tyle odwagi, by mordować kobiety i dzieci? Chodźcie tu i złapcie mnie, jeśli naprawdę jesteście tak cholernie twardzi!

Z niepokojem zerknął do tyłu na ulicę. Lejaki były teraz o osiemdziesiąt metrów od niego i ciągle się zbliżały. Nadal nie było znaku Michaela. Zniknął w drzwiach restauracji i nie zamierzał wychodzić. Randolph modlił się, aby tamten nie postanowił ratować swojej skóry, zostawiając go na pastwę trzech rozdzierających ciała bestii ze świata zmarłych i dwóch zimnokrwistych morderców ze świata żywych.

Reece i jego kumpel zaczęli biec przez podwórze w kierunku Randolpha z uniesionymi karabinami. Randolph był uwięziony między powolnym śmiertelnym biegiem Reece'a a niewyobrażalnie szybkim zbliżaniem się lejaków. Sprawdzał znowu ulicę, przerażony bezgranicznie, że lejaki złapią go, zanim zrobi to Reece.

Przestał krzyczeć i machać rękami i stanął pół na pół w drzwiach świątyni, z uniesioną głową. „Boże, to koniec – myślał – nie ucieknę stąd”. Zawsze wiedział, że umrze, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że śmierć będzie jak trzy ekspresowe pociągi pędzące na niego z wszystkich stron. Słyszał skrzypienie piasku pod stopami lejaków na chodniku, chrapliwy dźwięk ich oddechu. Słyszał, jak Reece krzyczy do niego: długi niezrozumiały potok dźwięku. Ujrzał, jak Reece zatrzymuje się cztery metry przed nim i unosi swój automat.

W tej właśnie chwili pojawił się pędzący Michael i rzucił się przez ulicę. W obu uniesionych rękach dźwigał wielkie błyszczące lustro. Ze skrzypieniem tenisówek po chodniku odwrócił się w miejscu, odepchnął Randolpha drzwi świątyni i wystawił zwierciadło w kierunku zbliżających się lejaków.

–Podejdźcie tu i złapcie nas, śmierdzące trupy! – wrzeszczał do nich Michael. – No dalej, tu jest to, czego wam trzeba! Zbliźcie się i złapcie nas! Dobre świeże mięso dla waszej pani Rangdy!

Efekt lustra podziałał na lejaki w nadzwyczajny sposób. Zatrzymały się tuż przed nim, uniosły dłonie, aby zakryć oczy, i umknęły na boki w nagłym przerażeniu.

–Co się stało? – spytał Randolph. Stał przyciśnięty plecami do ściany, ukryty przed wzrokiem Reece'a. – Dlaczego się zatrzymały?

–Są przerażone – wydyszał Michael. Uniósł wyżej lustro i potrząsnął nim groźnie

na lejaki. – Sądzą, że zdobyłem ich zdjęcie i boją się. Tylko w jeden sposób można zniszczyć lejaki. Zrobić im zdjęcie, a potem spalić je na ich oczach. Nie zdają sobie sprawy, że to jest lustro.

–Jak długo utrzyma to je z daleka? – dopytywał się Randolph. – I co, do diabła, zrobimy z Reece'em, czy Eckerem, czy jak mu tam?

Wtedy właśnie Reece pojawił się w drzwiach świątyni z wycelowaną bronią, patrząc na Randolpha i Michaela przez szpary w masce. Chociaż miał przykrytą twarz, było widać, że jest zaskoczony tym, co się dzieje. Dla niego lejaki pozostawały niewidzialne i widział tylko, że Michael macha wielkim restauracyjnym lustrem z boku na bok, a Randolph opiera się o ścianę świątyni w podartej koszuli i spodniach i ma twarz umazaną krwią.

Reece zdjął maskę, Bob Stroup zrobił to samo. Reece skinął na Stroupa, a ten powiedział:

–Wejdźcie do środka. Nie wiem, co wy, do cholery, wyprawiacie, ale za chwilę wywołacie tu zbiegowisko.

Michael z niepokojem oblizwał wargi.

–Przytrzymaj za mnie to lustro – powiedział do Stroupa. – Wtedy wejdę. Randolphie... – ruchem głowy wskazał, aby Randolph wszedł do świątyni. Randolph oderwał się od ściany i posłusznie przesunął się przez bramę.

–Nie będę trzymał żadnego lustra – powiedział Bob Stroup oburzony.

Reece załadował broń i skierował lufę prosto w głowę Michaela. Tylko Michael i Randolph widzieli trzy lejaki o ognistych oczach, które teraz usiłowały przysunąć się bliżej z trzech stron, mając nadzieję, że choć jeden z nich będzie mógł skoczyć, zanim Michael zniszczy „zdjęcie”.

–Posłuchaj – popędzał Michael Boba Stroupa. – Wiesz, co się teraz tutaj dzieje?

–Jakaś pieprzona religijna ceremonia.

–Trans śmierci, nie rozumiesz? – Michael musiał wymawiać słowa bardzo wolno, aby były dla tamtego zrozumiałe.

Reece wykonał dwa albo trzy szybkie gesty i Stroup powiedział:

–Okay. Jeden z naszych kumpli został właśnie zabity, kiedy was nie było. Nałożył na siebie tę wstrętną maskę, którą położyliście na podwórzu, a ta odgryzła mu jego cholerną głowę.

A więc to było to, pomyślał Randolph. Naruszyli świętą maskę Rangdy. Nic dziwnego, że lejaki zostały tak szybko zaalarmowane. I z ukłuciem ostrego bólu pomyślał o Natalie.

–Musisz potrzywać lustro – nalegał Michael – gdy ja będę wchodził do świątyni. Inaczej wszystkich nas spotka to samo.

Bob Stroup był zirytowany i zbity z tropu.

–Dlaczego mam ci wierzyć? – spytał Michaela. – To znaczy, co to jest za gówno? Tam niczego nie ma. Ulica jest pusta. Po co mam trzymać to cholerne lustro? Co ty zamierzasz zrobić? Chcesz zrobić ze mnie kompletnego głupka?

„Boże, pomyślał Randolph, nie masz się czym przejmować. I tak wyglądasz jak głupek”. Czuł, że niedługo upadnie ze strachu i bólu.

Po chwili Reece dał znać, że Stroup ma zrobić to, co każe Michael. Stroup zatknął automat za pas i z ponurą liną wziął lustro. Michael cofnął się szybko o krok na uświęconą ziemię świątyni, a potem schwycił Stroupa z tyłu za panterkę.

Stroup znajdował się poza zasięgiem lejaków w rzeczywistym świecie, ale Michael nadal był w królestwie zmarłych i schwycenie Stroupa za ubranie wystarczyło, aby przeciągnąć mikroskopijną cząstkę duszy Stroupa do królestwa zmarłych. Przypominało to sposób, w jaki Michael wyprowadził duszę Randolpha z ciała w niebo ponad świątynią. Cząstka była mikroskopijna i nieokreślona, ale ponieważ lejaki największy apetyt miały na dusze żyjących, dla nich to wystarczyło.

–Możesz mnie puścić – warknął Stroup wściekły i odwrócił się, aby odepchnąć Michaela.

Kiedy to zrobił, zabrał lustro sprzed oczu lejaków i te w jednej sekundzie z przerażającą wściekłością rzuciły się jak wilki na jego niewyraźną duszę i dosłownie zaczęły wydierać z niego życie szarpiąc zębami, drąc pazurami i spalając pomarańczowymi ślepiami.

Stroup wrzasnął i upadł na chodnik, jakby został postrzelony. Lustro rozbiło się na tysiąc srebrnych kawałków. Michael szybko wskoczył za próg świątyni, kurczowo ściskając krwawiącą ranę na dłoni, którą zadał mu jeden z lejaków. Reece bez słów złapał Michaela i zaczął nim trząść, ale potem nagle przestał i gapił się ze zgrozą, co dzieje się z jego przyjacielem, człowiekiem, który uratował mu życie.

Ciało Stroupa nie było w królestwie zmarłych, jedynie dusza. Wykręcał się, szarpał i wrzeszczał, gdy lejaki rozdzierały jego duszę na strzępy, jednakże na ciele nie miał żadnych fizycznych ran, żadnej krwi, siniaków czy ugryzień. Wyglądał, jakby cierpiał na straszną epilepsję, ale w rzeczywistości lejaki pożerały go zajadle niczym stado dzikich zwierząt.

Trwało to mniej niż minutę. Stroup leżał nieruchomo. Wtedy lejaki tak szybko, jak na początku zaatakowały, uciekły. Tylko jeden odwrócił się na narożniku ulicy i spojrzał na Randolpha i Michaela płonącymi oczami. Na jego pokrytej popiołem twarzy malował się wyraz demonicznej nienawiści, który będzie prześladował Randolpha nocnymi koszmarami przez długie tygodnie.

Reece opuścił broń i wyszedł na ulicę. Uklęknął obok Stroupa i zbadał mu puls. Łagodnie poklepał policzki Stroupa, ale jego głowa kiwała się na boki po zakurzonej ziemi i wiadomo było, że nie żyje. Połamany męczyzna leżący wśród kawałków potrzaskanego lustra. Reece wydał dwa czy trzy dziwne gardłowe dźwięki, a potem wstał. Ruchem lufy wskazał, aby Michael i Randolph wnieśli ciało Stroupa do świątyni i zamknęli drzwi.

–Przykro mi z powodu twojego przyjaciela – powiedział z lękiem Michael. – Wierz mi jednak, że to nie była moja wina. Nie wiecie, z czym macie tu do czynienia.

Reece nie zwrócił na te słowa żadnej uwagi i popchnął go swoją bronią, aby się pospieszył. W końcu udało im się wciągnąć ciało Stroupa przez bramę i położyć wśród uschłych liści w jednym ze zniszczonych pawilonów świątyni.

Nie zabiliśmy go – powiedział Michael do Reece'a. – Nie my. Tutaj jest pełno duchów. Upiorów. To one go zabiły. Nie powiniem się odwracać. Tylko to lustro

trzymało upiory z daleka.

Usta Reece'a zacisnęły się z powściąganego przygnębienia i emocji. Jego zimne oczy wędrowały od Michaela do Randolpha i z powrotem. Instrukcja od Waverleya Graceworthy'ego była całkiem wyraźna: zabić Randolpha Clare i przywieźć Michaela Huntera żywego do Stanów. Ale był również jeszcze jeden wyraźny warunek, Randolph Clare miał być zabity tak, żeby to wyglądało na wypadek, a Michael Hunter miał być wywieziony z Indonezji bez żadnych komplikacji ze strony urzędu imigracyjnego.

Takimi sprawami zawsze zajmował się Bob Stroup. Tylko on rozumiał dokładnie, czego on sobie życzy, potrafił wyrazić w słowach wszelkie niuanse uczuć Reece'a. Teraz jednak Bob Stroup leżał martwy, Jimmy'emu Heacoxowi jakaś wstrętna maska oderwała głowę i został Reece'owi tylko jeden towarzysz, Frank Louv, który jest niespełna rozumu od czasu, gdy szrapnel wyrwał mu połowę mózgu.

Co więcej, po raz pierwszy, odkąd został złapany przez VC w Kambodży, Richard Reece bał się. Mógł sobie poradzić z mięśniami, nożami, bronią, rozbitym szkłem, ale to, co się zdarzyło w Świątyni Zmarłych, przekraczało jego zrozumienie. Gdyby nie było tam Randolpha i Michaela, którzy go obserwowali, wrywałyby z dziedzińca najszybciej jak potrafi i żaden żywy czy martwy lejak nie byłby w stanie go złapać.

Wsadził swój automat za panterkę, zapiął ją. Spojrzał na Randolpha i Michaela swymi granitowymi oczami i uniósł jeden palec. Ostrzeżenie. „Nie myślcie, że widzicie mnie po raz ostatni, moi drodzy, ponieważ jak słońce na niebie ujrzycie mnie znowu i zamierzam was ukarać za to, co się tutaj stało. Tak, żeby zabolalo”.

Odwrócił się i wyszedł sprężystym krokiem ze świątyni. Zawahawszy się przez chwilę w bramie, zniknął w kierunku Jalan Mahabharata.

Randolph osunął się na posadzkę dziedzińca, ale Michael nie pozwolił mu jeszcze na odpoczynek.

–Randolphie, musimy wydostać się z transu. Jesteśmy bezpieczni przed lejakami, ale bogini Rangda nadal może nas dostać, jeśli nie będziemy uważni. Poza tym, jesteś już za długo w tym transie. Istnieje niebezpieczeństwo, że w ogóle nie będziesz mógł z niego wyjść.

Randolph pozwolił Michaelowi zaciągnąć się poprzez zewnętrzny dziedziniec, przez *canti bentar*, do wewnętrznej świątyni. Tam zobaczyli, co stało się z Jimmym Heacoxem. Michael pomógł Randolphowi usiąść na podłodze, potem podszedł przyjrzeć się ciału Heacoxa. Wyciągnięty język Heacoxa był już pokryty kłębiącymi się muchami. Michael spojrzął z kolei na maskę, która leżała na boku metr dalej, gapiąc się z wściekłą nienawiścią w niebo.

–Co się stało? – spytał Randolph. Starał się nie 1 patrzeć na ciało Heacoxa.

Michael ostrożnie okrążył maskę Rangdy.

–Ta maska ma ogromną magiczną moc. Jak to powiedzieć? W pewien sposób jest jednocześnie samą Rangdą i jej wyobrażeniem. Stoi na straży wrót, ale i również pomaga nam je otworzyć. Rangda nie ma nic przeciwko temu, żebyś wszedł do królestwa zmarłych, ale musi być cholernie pewna, że zrobisz to z szacunkiem i na jej warunkach.

Randolph otarł krew z nosa.

–Dlaczego nam pozwoliła wejść, a zabiła tego faceta?

Michael udrapował rytualny jedwab na masce i przeniósł ją z powrotem na środek podwórza.

–Ponieważ – jak wszystkie naprawdę złe istoty – bogini Rangda jest całkiem nieprzewidywalna.

Michael wrócił i usiadł, przyglądając się uważnie Randolphowi.

–Pamiętaj także, że to jest tylko maska, chociaż magiczna. Sama bogini Rangda jest zupełnie inna. Jest tysiąc razy gorsza.

Randolph czuł, że za chwilę zasłabnie. W Świątyni Zmarłych zdawało się ściemniać i mógłby przysiąc, że widzi ruszające się cienie: figury, upiory. Dzień był teraz parny, że pot, mieszając się z krwią, ściekał po policzkach. Nie wiedział, czy drży z zimna czy z szoku.

–Jedno pytanie – powiedział. – Kiedy polowałeś na lejaki, jak je zabijałeś?

–Za pomocą polaroidu – odparł Michael. – Jeśli uda ci się trzymać od nich z daleka, dopóki wyjdzie zdjęcie, wygrasz. Trzymasz zdjęcie przed ich oczami i podpalasz zapalniczką.

–I co wtedy?

–Wierz mi – powiedział Michael – kiedy już to ci się uda, nie chcesz wiedzieć, co dzieje się potem.

Michael zaczął recytować słowa, które miały znowu scalić ich ciała i dusze i przywrócić im śmiertelność.

–O Sangyang Widi, prosimy cię o łaskę opuszczenia tego królestwa... pachnący jest dym kadzidła, który wije się stąd do królestwa trzech boskich jedności.

Randolph zamknął oczy. Poczuł, jakby cały świat uległ kompresji, z nim w jego centrum. Wszystko stawało się coraz ciemniejsze i wolniejsze, jakby sama Ziemia miała się zatrzymać. Kiedy otworzył oczy, nadal siedział na podwórzu, a Michael podnosił się na nogi.

–Już po wszystkim? – spytał ochryple. W głowie mu dudniło, a prawe ramię paliło, jakby zaraz miało spłonąć.

–Po wszystkim – zapewnił go Michael. – Zostań tu, ja idę poszukać taksówki. Musimy zabrać cię do hoteliku i stwierdzić, jak mocno jesteś ranny.

–Lot jest o trzeciej.

–Zobaczymy, czy nam się uda.

Randolph złapał Michaela za ramię.

–Posłuchaj – powiedział. – Wiem, że mieliśmy kłopoty z tymi lejaki. Ale gdyby Reece i pozostali dwaj nie przeszkodzili nam, wszystko byłoby w porządku, prawda?

Michael wzruszył ramionami.

–Prawdopodobnie tak – zgodził się. – Cmentarz holenderski zawsze był dość spokojnym miejscem.

–Pragnę zrobić to jeszcze raz – powiedział Randolph. Uniósł głowę i spojrzał Michaelowi prosto w oczy, aby pokazać, że mówi poważnie. – Pragnę to powtórzyć i tym razem ujrzeć Marmie.

Michael łagodnie zdjął palce Randolpha ze swojego rękawa.

–Pozwól mi iść po taksówkę.

–Wiesz co? – powiedział Randolph. – Jesteś wyjątkowym człowiekiem.

–Może. Większość z tego dostałem w spadku.

Randolph uśmiechnął się, na ile pozwolił mu ból w ramieniu. Michael mógłby być jego synem. To dziwne, pomyślał, że kiedy wreszcie spotkał się z Reece'em i zdobył pewność, że to on zabił Marmie i dzieci, nie czuł złości ani chęci zemsty. Ujrzał w Reesie tego, kim był, wynajętą mordującą maszynę, okrutną i gwałtowną, ale bezmyślną. Randolph patrzył na Reece'a z oszołomieniem i zdziwieniem. Zachował swoją złość dla ludzi, którzy z rozmysłem go zatrudnili. Kiedy wróci do Memphis, popamiętają go. Usłyszał, jak wraca Michael. Jego umysł nagle się zapadł, a on sam upadł bokiem na kamienie.

Rozdział XX

Memphis, Tennessee

Doktor Ambara odszedł od okna, pozwalając opaść z powrotem pięknej koronkowej firance.

– Powinieneś dzisiaj wyjść trochę na dwór – powiedział. – Sądzę, że szwy to wytrzymają.

Randolph zdjął okulary i położył je na śniadaniowej tacy. Zjadł porządne śniadanie: siekane mięso z kukurydzą i jajka na miękko, a teraz pijąc kawę czytał „The Wall Street Journal”.

– Kiedy mi je zdejmiesz? – spytał.

Doktor Ambara na tle okna wyglądał ciemniej niż zwykle.

– To znaczy chcesz wiedzieć, kiedy będziesz mógł wejść w następny trans śmierci?

Randolph wypił łyk kawy i czekał, aż doktor Ambara spakuje swoje narzędzia chirurgiczne. Kiedy doktor milczał, Randolph ponowił pytanie:

– No więc?

– Co no więc?

– Kiedy będę mógł wejść w następny trans śmierci?

Doktor Ambara potrząsnął głową.

– Nie wiem. Rany, które odniosłeś, były dość poważne. Miałeś szczęście, że nie straciłeś władzy w prawej ręce. Może za miesiąc. Może za sześć tygodni.

– Jesteś pewien, że nie mógłbym spróbować wcześniej? To znaczy po wyjęciu szwów?

– Nie – odparł lekarz, siadając na brzegu łóżka. – nie tylko twoje ciało musi być wyleczone, ale także twój umysł. Przeżycie, przez jakie przeszedłeś na Bali, było wystarczające, aby wielu normalnych ludzi skierować na długotrwałe leczenie psychiatryczne. Widziałeś zmarłych, Randolphie; widziałeś demony. A teraz leżysz tu, w łóżku, w Memphis i chociaż to zdarzyło się jakiś czas temu, zostawiło w tobie blizny.

Randolph podniósł okulary i zaczął je składać i rozkładać.

– No cóż – powiedział zrezygnowany – chyba sam cię prosiłem, żebyś się mną zajął.

Randolph podczas podróży z Bali do Stanów Zjednoczonych bardzo cierpiał. Doktor Ambara opatrzył rany, na ile mógł, ale kiedy dolecieli do Londynu, Randolph dostał wysokiej gorączki, dreszczy i trząśnięcie w malarii. Tylko duża dawka tetracykliny w zastrzyku powstrzymała infekcję i gorączka spadła. Nalegał jednak, aby wracać do Memphis, chociaż doktor Ambara ostrzegał go przed ryzykiem zakażenia, a nawet śmierci.

Był teraz poniedziałek. Doktor wyczyścił i pozszywał rany Randolpha, podał mu środki uśmierzające i antybiotyki. Tego ranka, chociaż wargi miał nadal opuchnięte i wszystko go bolało, zjadł z apetytem pierwszy prawdziwy posiłek. Kiedy słońce wpadło do jego sypialni budząc go, uświadomił sobie, że już nie boleje nad Marnie i dziećmi, a przynajmniej nie tak jak przedtem. Widział się z Natalie, holenderską

dziewczyną, dotykał jej i wiedział już teraz, że tak samo będzie mógł zobaczyć i dotykać Marmie. Chociaż stracił dzieci, będzie mógł je objąć i zapewnić raz na zawsze o swojej miłości.

Było coś jeszcze. Po tym wszystkim, co się stało, miał pewność, że Waverley Graceworthy i Orbus Greene wysłali za nim do Indonezji Reece'a i zgrają jego szcurów. Nie wiadomo, czy chcieli go zabić czy nastraszyć, ale na pewno pragnęli, by Cottonseed Association utwierdziła swoją kontrolę nad przemysłem przetwórczym w Tennessee i by Waverley Graceworthy zaspokoił w końcu swoją żądzę zemsty za ojca Randolpha.

–Co z Michael'em? – spytał Ratidolph. – Nie jest wytrącony z równowagi?

–O, sądzę, że dobrze się zaaklimatyzował – odparł doktor. – Musisz pamiętać, że jest po raz pierwszy w Ameryce. Wydaje mi się, że próbuje zrozumieć, co spowodowało, iż jego ojciec stał się takim człowiekiem. Jak mieszkaniec takiego kraju jak Ameryka może zostać mistykiem? Nie ma zbyt wiele mistycyzmu w Memphis.

–No może teraz jest już trochę – powiedział Randolph, krzywiąc się, kiedy poprawiał sobie poduszkę. – Czy omawialiście sprawę twojego ewentualnego spotkania z żoną?

Doktor Ambara zaczerwienił się.

–Tak. Prawdopodobnie stanie się to pod koniec tygodnia, ale nie chcę, żebyś myślał, że trzymam cię w łóżku, aby skierować na siebie uwagę Michaela. Naprawdę potrzebujesz odpoczynku, a twoje rany muszą się zagoić.

–Daj spokój, przecież rozumiem – odparł Randolph. – Gdyby nie ty, w ogóle nie wiedziałbym, że coś takiego jak trans śmierci istnieje.

–No cóż, może byłoby to błogosławieństwo dla ciebie – powiedział doktor Ambara filozoficznie.

W tej chwili rozległo się krótkie pukanie do drzwi i weszła Wanda ubrana w obcisłe białe rybaczkę i ciemnoniebieską jedwabną bluzkę. Wyglądała naprawdę ładnie i atrakcyjnie.

–Dzisiaj wyglądasz już prawie jak człowiek – powiedziała do Randolpha.

–Czuję się jak potwór Frankensteina. Potrzeba mi tylko strzały w szyję.

–Za drzwiami jest Neil Sleaman. Chce się z tobą zobaczyć.

–Dobrze – odparł Randolph. – Poproś go, żeby poczekał dziesięć minut, aż skończę śniadanie. Może napije się kawy.

–Były do ciebie telefony od pana Graceworthy'ego, pana Trenta i pana Petersena. A także od twojej kuzynki Elli, która chce, abyś odezwał się do niej, gdy będziesz mógł. Jakaś sprawa związana z pogrzebem, nic istotnego.

–Widzę, że wróciliśmy do pracy – skomentował Randolph.

–Słucham? – spytała Wanda.

–Wando – powiedział Randolph poważnie – przebyłaś ze mną kawał drogi do Indonezji, a teraz wróciliśmy do domu. Przez cały czas byłaś cierpliwa, wyrozumiała, kochająca, szczerą, otwartą i niesamowicie atrakcyjną. Wróciliśmy do pracy, ale nie chcę, żebyś myślała, że zapomniałem cokolwiek z tego, co było, bo tak nie jest.

Wanda przez chwilę milczała, cień uśmiechu błąkał się po jej wargach, odwróciła oczy, w których czaiła się mieszanina skromności i zadowolenia.

–Dziękuję – powiedziała w końcu, odwróciła się i wyszła.

–Dobra dziewczyna – zauważył doktor Ambara i niespodziewanie się zaśmiał.

–Kiedy będziesz się widział z Michaelem? – spytał Randolph.

–Dzisiaj. Chce nauczyć mnie kilku podstawowych mantr.

–Tylko upewnij się, czy nikt cię nie śledzi.

–Będę ostrożny – obiecał doktor Ambara. Michael został umieszczony w Days Inn na Brooks Road pod fantazyjnym nazwiskiem Husain Qizilbush, na wypadek gdyby Reece lub inny najemnik Cottonseed Association próbował go znaleźć. Randolph nie miał już wątpliwości co do Waverleya Graceworthy'ego czy Orbusa Greene'a.

Według niego byli mordercami.

Doktor Ambara wyszedł i wszedł Neil Sleaman, trzymając w ręku filiżankę z kawą.

–Neil – powiedział Randolph. – Jak leci?

–Dobrze, dziękuję, panie Clare. Jestem zdziwiony, że pan tak szybko wrócił. I – mój Boże – mam nadzieję, że nie oberwał pan zanadto w tym wypadku.

–Tylko powierzchowne zranienia – odparł wymijająco. – Mógłbyś zabrać tę tacę z mojego łóżka?

Neil zaniósł tacę w drugi kąt pokoju, a potem przysunął sobie fotel i usiadł przy Randolphie, stawiając swoją filiżankę na jego nocnym stoliku.

–W Raleigh zaczęliśmy z opóźnieniem – powiedział. – Jak mówiłem, były kłopoty z zaworami. A potem część załogi zaczęła strajkować, ażeby przeprowadzić kontrolę bezpieczeństwa. Wie pan, boją się następnych wybuchów. Ale teraz wszystko idzie całkiem dobrze. Jedyny problem polega na tym, że prawdopodobnie nie nadgonimy strat. Nie przez najbliższe dziewięć czy dziesięć tygodni. Nie mamy ani oleju, ani mocy produkcyjnych, aby go wytworzyć.

Randolph odchylił się do tyłu, aby uniknąć oddechu Neila pachnącego Binacą.

–Problem został rozwiązany. Mówiłem ci – odrzekł.

–No cóż – powiedział Neil z lekkim grymasem irytacji. – Chciałbym wiedzieć, jak to się panu udało. Pracowaliśmy cały tydzień, aby znaleźć jakieś rozwiązanie... i nie znaleźliśmy żadnego. Nie jesteśmy w stanie wykonać zamówienia według umowy, to wszystko.

–Cottonseed Association nam pomoże – odparł Randolph nie zmieniając wyrazu twarzy.

Neil spojrzał na niego. Chrząknął z niedowierzaniem i rozparł się w krześle. Znowu chrząknął.

–Cottonseed Association?

–Zgadza się – odparł Randolph, starając się nie okazać zadowolenia z siebie.

–Przykro mi, panie Clare – powiedział Neil – ale Cottonseed Association nie pomoże nam nawet za milion lat. Orbus Greene do tej pory nie odpowiedział na pańską propozycję i o ile słyszałem, nie ma takiego zamiaru. Czasy są zbyt ciężkie, panie Clare, a Cottonseed Association nie ma zamiaru pomagać panu przeżyć jako niezależnemu przetwórcy. Nie zrobią tego. Raczej będą woleli ujrzeć pana...

–Martwym? – przerwał Randolph.

–Nie tak chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że bankrutem.

–Nieważne. Prawda jest taka, że woleliby widzieć mnie martwym.

–Mówi pan poważnie?

–Bardzo poważnie – odparł Randolph. – A co więcej, mam na to dowód. I dlatego Cottonseed Association nam pomoże. Bo jeśli nie, mam zamiar dostarczyć ten dowód szefowi policji i oskarżyć Waverleya Graceworthy’ego i Orbusa Greene’a o morderstwo i spiskowanie.

–Przykro mi, panie Clare – odparł Neil, potrząsając głową. – Nie sądzę, żeby to się udało. To znaczy, nie ma przekonującego dowodu, aby jakiś członek Cottonseed Association był powiązany z zamordowaniem pańskiej rodziny. Sam Szef Moyne to powiedział, a ja muszę stwierdzić, że zaczyna pan popadać w... nie chciałbym powiedzieć, że w paranoję, ale...

–W paranoję, naprawdę?

–Przykro mi, proszę pana. Nie chciałem być impertynecki. Ale nie może pan winić za wszystko, co się stało, Cottonseed Association. To nierealne.

–Czy słyszałeś o człowieku nazwiskiem Reece? – spytał nagle Randolph.

Neil zaczerwienił się, ale energicznie potrząsnął głową.

–Pozwól, że ci coś powiem o tym człowieku – rzekł Randolph. – Niemy, weteran wojny wietnamskiej, zbir wynajęty przez Margarynową Mafię. Reece i trzech inni goryle śledzili mnie aż do Manili, Dżakarty, a potem na Bali, gdzie nastawali na moje życie i prawie udało się im mnie zabić. Tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi i pomocy przyjaciół udało mi się ująć z życiem.

Neil nie odezwał się, ale starał się znieść wyzywający wzrok Randolpha bez zmrużenia oka.

–Mam świadka, który może powiązać Reece’a z Waverleyem Graceworthym, Jimmy’ego Żeberko, i wiele innych dowodów, które łączą Reece’a z zamordowaniem mojej rodziny, a także niewinnego człowieka w Dżakarcie.

–Przepraszam – odezwał się Neil – ale w takim razie dlaczego pan tego nie robi? To znaczy, nie chcę moralizować ani nic w tym guście, ale czy nie lepiej użyć tego dowodu, aby wydostać olej, który potrzebujemy, zamiast zaciągać pana Graceworthy’ego i pana Greene’a przed sąd?

Randolph zmarszczył brwi.

–Neil, mam zamiar zrobić jedno i drugie. Najpierw ich wycisnę, a potem będę się przyglądał, jak dostają to, na co zasługują.

–Rozumiem.

–Nie wydajesz się szczęśliwy z tego powodu – skomentował Randolph.

–Jest jedna przeszkoda.

–Tak? Jaka?

–Zostawiłem teczkę w drugim pokoju – powiedział Neil. – Muszę pana przeprosić na sekundę.

Randolph czekał niecierpliwie. Neil wróciwszy, niósł w ręku gazetę. Wręczył ją Randolphowi bez słowa.

Nagłówek głosił: „Dziwne morderstwo na Beale Street. Czarny gangster z obciętymi nogami”. Randolph przeczytał szybko tekst, po czym spojrzał pytająco na Neila.

–Znaleźli go zaraz potem, jak pan wyjechał do Indonezji – powiedział Neil.

–No tak, można się było tego spodziewać – odparł Randolph ze złością. Potem na głos przeczytał dwa ostatnie akapity artykułu.

–„Szef policji, Dennis Moyne, powiedział, że zabójstwo było najprawdopodobniej robotą grupy czarnych fanatyków, pragnących się zemścić za akt przemocy, który wcześniej przeciw nim przeprowadził zmarły. Zdyskontował wiadomość, że na miejscu zbrodni widziano kilku białych mężczyzn opuszczających mieszkanie ofiary po zabójstwie, twierdząc, że te zeznania były tylko mylącymi i nieżyczliwymi plotkami”.

–Przykro mi. Źle się złożyło – powiedział Neil.

–Dla Jimmy’ego, tak.

–Przykro mi.

Randolph odłożył gazetę.

–Dlaczego ci przykro? Nie znalazłeś go, a na Beale Street jest z pewnością mnóstwo ludzi, którzy są uszczęśliwieni z powodu jego śmierci. Z pewnością nie był to zabawny facet.

–Przykro mi, ponieważ to w pewien sposób usuwa panu grunt pod nogami, jeśli chodzi o Cottonseed Association.

Randolph zmarszczył brwi.

–Ależ skąd. Jimmy Żeberko nie był najważniejszy. Prawdziwy dowód pochodzi od naocznych świadków.

Naocznych świadków? Świadców czego? – zdziwił się Neil. Miał bladą twarz i ciągle składał i rozkładał gazetę, najpierw w jedną stronę, a potem w drugą szczyptami drżącymi palcami.

–Poproś Waverleya, aby spotkał się ze mną w środę rano o dziesiątej w budynku Clare Cottonseed – powiedział Randolph.

–No cóż, spróbuję – odparł Neil z powątpiewaniem.

–Powiedz, żeby przyprowadził swojego adwokata – adał Randolph. – Być może będziemy podpisywać antrakt.

Neil wyjął mały oprawny w skórę notes i zapisał instrukcje Randolpha złotym wiecznym piórem. Potem podnoszenia wzroku znad papieru powiedział:

–Sądzę, że mógłbym panu pomóc, gdyby powiedział pan coś więcej na temat tego, co pan zamierza. To znaczy, nie uważam, że bezpodstawna groźba wobec Cottonseed Association może spowodować, iż zmienię zdanie – przerwał, a potem dodał: – Wiem, że Waverley Graceworthy nie jest uprzejmy, jeśli mu się grozi, szczególnie, jeśli grozi mu ktoś z rodziny Clare.

Randolph czuł pokusę, aby powiedzieć coś zgryźliwego, ale powstrzymał swój język.

–Umów nas tylko na spotkanie, dobrze? I zawiadom o tym Wandę, aby mogła poczynić przygotowania.

–Dobrze.

–Dziękuję, możesz odejść.

–Jest jeszcze jedna sprawa, sir.

Randolph spojrział na niego.

–Czy to prawda, że przyjechał pan z Indonezji z dżentelmenem o nazwisku Michael Hunter? – spytał z podnieceniem Neil.

–Zgadza się. Skąd o tym wiesz?

–No cóż, do moich obowiązków należy sprawdzanie wszystkich wydatków kompanii powyżej piętnastu tysięcy dolarów, a na naszym koncie podróжным znalazł się rachunek za dodatkowy bilet z Bali do Memphis na nazwisko Michaela Huntera. Domyśliłem się, że to pański gość, więc nie zakwestionowałem go.

–Miałeś rację – powiedział Randolph. – Jest moim gościem, osobiście podpisywałem czek za bilet.

–Czy pan Hunter... przebywa tu teraz?

Randolph uniósł pytająco brew.

–To znaczy – plątał się Neil – czy jest tu, w domu? Przebywa z panem? Pytam tylko dlatego, że być może potrzebuje kogoś, kto pokazałby mu Memphis.

–Nie, nie ma go tu – odparł Randolph. I po raz pierwszy od czasu pożaru w Raleigh nabrał przekonania, że Sleaman go zdradza.

Żaden z dowodów, które posiadał Randolph, nie był wystarczający; żaden nie wytrzymałby konfrontacji w sądzie. Ale od chwili, gdy Stanley Vergo zasugerował mu, iż pożar w Raleigh nie był przypadkowy, aż do momentu gdy Neil Sleaman pokazał mu artykuł w gazecie o Jimmym Żeberko, w jego umyśle kawałki układanki zaczęły składać się w całość. Dwa dodać dwa jest cztery, a cztery dodać cztery jest osiem.

Dlaczego Jimmy Żeberko został zamordowany – po tylu latach przeżytych w najgorszej dzielnicy śródmieścia Memphis – akurat zaraz po tym, jak rozmawiał z Randolphem o Reesie i Cottonseed Association? Widziano, jak kilku białych mężczyzn opuszczało budynek, podobnie jak widziano trzech czy czterech białych mężczyzn wychodzących z budynku, kiedy zamordowano I. M. Wartawę.

A z kim jedynie Randolph rozmawiał o swoim spotkaniu z Jimmym Żeberko? Z szefem policji Memphis, Dennisem Moyne, tym samym, który oddalił twierdzenie, jakoby widziano białych mężczyzn wychodzących, z budynku, i obwinił czarnych ekstremistów.

A z kim Randolph omawiał spotkanie z Wartawą?

Z Neilem Sleamanem, który teraz usiłuje dowiedzieć się, gdzie przebywa Michael Hunter.

Zbyt często Neil bronił Waverleya, Orbusa i Cottonseed Association. Dla Randolpha był to jasny dowód na to, gdzie umiejscowił on swoją lojalność. Neil był odpowiedzialny za dział produkcji w Clare Cottonseed, kiedy wybuchł pożar w Raleigh, i Neil był odpowiedzialny za to, aby fabryka wróciła jak najwcześniej do pracy. Pomimo logicznie brzmiących tłumaczeń Neila, że opóźnienie wynika tylko z przyczyn technicznych, gdy się temu bliżej przyjrzeć, wszystko nie trzyma się kupy.

Jedno pytanie wrażliło się w mózg Randolpha jak rozbity kawałek szkła, pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć. Dlaczego Waverley Graceworthy tak bardzo pragnął go zniszczyć, nie tylko jego korporację, ale jego życie osobiste? Z pewnością same sprawy zawodowe nie popchnęłyby go do morderstwa. Wieszanie ludzi, strzelanie do nich, obcinanie im nóg – tylko z powodu zwykłego kontraktu na przerób nasion bawełny? Niech to cholera, brzmi to bardziej nieprawdopodobnie niż lejaki, trans śmierci oraz Wdowia Wiedźma Rangda.

A jednak Reece zabił Marmie i dzieci na rozkaz Waverleya Graceworthy'ego, a najprawdopodobniej także Jimmy'ego Żeberko oraz I. M. Wartawę, i Bóg wie ilu jeszcze niewinnych ludzi. W tej chwili Randolph nie miał już wątpliwości, że Neil Sleaman należy do spisku, którego zamysłem było wykończyć wszystkich i wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z Clare Cottonseed. Nie miał dowodu. Ale nie potrzebował go. Wystarczyło, że widział Neila, jak siedzi przy jego łóżku, blady, zmieszany i winny, kolejny okaz Judasza, aby wiedzieć, że to prawda.

Mimo to odezwał się ze spokojem, bez śladu złości, dając Neilowi Sleamanowi jeszcze jedną szansę na udowodnienie jego lojalności:

–Pan Hunter zatrzymał się w motelu Shelby. Ze względów bezpieczeństwa nie chciałem, żeby mieszkał tutaj.

–A, w Shelby – pokiwał Neil. – Czy miałby ochotę na przejażdżkę, jak pan myśli? To znaczy, akurat jest czas festiwalu muzycznego na Beale Street, Bawełnianego Karnawału i Międzynarodowych Zawodów Barbecue.

–Nie, nie sądzę, aby on był osobą, którą bawią takie przejażdżki – odparł Randolph. – Jest raczej typem, jakby to powiedzieć, duchowym.

–To może chciałby zwiedzić Mid-South Bible College.

–Nie sądzę. W każdym razie dziękuję za troskę.

Neil był teraz bardzo podniecony.

–To może miałby ochotę zobaczyć Beale Street? Czy Mud Island? Szkoda by było, gdyby był w Memphis i nie zobaczył Mud Island.

Randolph uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Okay – odparł Neil. – Ja tylko usiłuję być gościnnie.

–Z pewnością – przyznał Randolph.

Kiedy tylko Neil wyszedł, Randolph podniósł słuchawkę i poprosił Charlesa o połączenie z numerem, 387-3311. Charles wolał nie pytać, co to za numer i dlaczego Randolph tam dzwoni. Telefon zadzwonił dwa albo trzy razy, a potem odezwał się głos: Motel Shelby. Czym mogę służyć? Chcę zrobić rezerwację. Dwójka na nazwisko Michael Hunter. Tak, na dziś wieczór – powiedział Randolph.

Później tego ranka Randolph z bólem podniósł się z łóżka, a Charles pomógł mu wyjść na patio, gdzie przez chwilę czytał, wypił dwie czy trzy małe filiżanki mokki obserwował, jak wiatr potrząsa liśćmi azalii. Właściwie powinien być mocno przygnębiony z powodu zdrady Neila Sleamana, podobnie jak powinien odczuwać silną chęć odwetu na Richardzie Reesie. Jednakże stwierdził, że Neil i Reece są tylko pionkami, z pewnością perfidnymi i niebezpiecznymi, ale kierowanymi tylko żądzą pieniądza, a nie urazą.

Jądrym ciemności była Cottonseed Association: Waverley Graceworthy i Orbus Greene. I to wobec nich Randolph czuł słuszną żądzę zemsty, którą musi zaspokoić, gdyż inaczej nigdy nie zazna spokoju.

Zabili jego żonę i dzieci; próbowali zabić również jego. Za to powinni zostać ukarani. Dopóki udaje im się mordować każdego, kto może przeciw nim świadczyć, zostało mu tylko jedno miejsce, gdzie mógłby zdobyć dowód: w następnym transie śmierci.

Przed lunchem na patio przysłała Wanda. Miała na sobie jasny kostium z lnu i wyglądała jak sprawna i kompetentna sekretarka.

–Idealna pracownica.

Uśmiechnął się i osłonił oczy przed słońcem.

–Przyniosłam kilka dokumentów do podpisania, Sven Petersen pragnie sfinalizować swój kontrakt z Southern Feeds.

–Oczywiście. Podaj mi pióro.

Wanda usiadła naprzeciw niego, położyła dokumenty na stoliku i pokazywała, gdzie ma podpisywać.

–Wiesz – odezwała się – naprawdę doceniam ten komplement, który powiedziałeś mi dziś rano.

Skreślił „Randolph Clare”, a potem rzekł:

–A ja naprawdę tak uważam. Poza tym nie był to komplement, który można łatwo wyrazić. Kiedy się chce przekazać coś, co rzeczywiście się uważa, słowa nie przychodzą z łatwością.

Wanda patrzyła, jak kreśli swoje nazwisko jeszcze w dwóch miejscach.

–To wszystko? – spytał, a ona potaknęła.

–Wiesz co? – powiedziała. – Czuję się winna, że myślę o tobie w ten sposób.

–Dlaczego? – spytał najłagodniejszym tonem. – Ja myślę o tobie podobnie i nie czuję się winny.

–Ale Marmie i dzieci...

–Są nadal z nami i skoro tylko doktor usunie szwy, mam zamiar z nimi porozmawiać. Kocham Marmie, Wando. Kochałem ją przedtem, nim ją zabito, kocham ją teraz i prawdopodobnie zawsze będę ją kochał. Ale to nie oznacza, że nie mogę nic czuć wobec ciebie.

Przez chwilę milczał.

–Być może nie jestem w porządku – powiedział – prosząc cię, abys trochę poczekała. Masz swoje własne życie i nie mogę go kontrolować. Ale przyjdzie czas, kiedy poświęcę ci całą uwagę, na jaką zasługujesz... pod warunkiem, że przyjmiesz to, iż kiedyś byłem mężem damy o imieniu Marmie, a także ojcem Johna, Marka i Issy, którzy nadal są ze mną, gdzieś w tym wszechświecie, i zawsze będą.

W oczach Wandy zabłyszczały łzy. Wstała, pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

–Przyjdę jutro z nowymi dokumentami. Neil powiedział mi o spotkaniu z Waverleyem Graceworthym.

Randolph uścisnął jej dłoń.

–Kocham cię – powiedział poważnie. – Chciałbym jeszcze powiedzieć ci o jednej sprawie. Podejrzewam, że Neil może myśleć o opuszczeniu nas. Nie jestem pewien, ale prawdopodobnie inny przetwórca dał mu więcej pieniędzy. Czy mógłbym cię zatem prosić, abyś uważała na to, co przy nim mówisz? Na przykład nie rozmawiaj z nim o mnie, Michaelu czy doktorze Ambarze. Nie udostępniaj mu też moich poufnych notatek, które będą przechodziły przez twoje biurko. Nie separuj go od wszystkiego, ale nie może dowiedzieć się o szczególnie poufnych sprawach.

–Dobrze – zgodziła się Wanda. Pocałowała go i znowu i wyszła.

Randolph siedział w południowym słońcu i nasłuchiwał głosów ptaków i owadów. Wydawało mu się, że słyszy głosy chłopców nawołujących się w odległych krzakach; głos podobny zupełnie do głosu Johna. Kiedy jednak wsłuchał się uważniej, okazało się, że to tylko szczeka pies.

–Boże – westchnął ze smutkiem.

Rozdział XXI

Michael leżał wyciągnięty na łóżku i oglądał *Właściwą cenę*, kiedy doktor Ambara zapukał do drzwi.

–To ja, Ida Bagus Ambara.

Michael zsunął się z łóżka, poczłapał do drzwi, zdjął łańcuch i otworzył je. Miał na sobie tylko jasnoczerwone majtki i palił papierosa. Miał potargane włosy i wyglądał, jakby źle spał.

Doktor Ambara szybko zamknął za sobą drzwi.

–Wszystko w porządku, nie byłem śledzony.

–Szkoda – odparł Michael. – Przynajmniej coś by się działo.

Doktor Ambara spojrzał na niego pytająco przez nie wyczyszczone okulary, ale Michael sięgnął po swoją koszulę i powiedział:

–Okay, doktorze, ja tylko żartowałem.

–Randolph czuje się dzisiaj znacznie lepiej – skomentował doktor Ambara. – Przysyła ci swoje pozdrowienia.

–Dopóki przysyła pieniądze, jest dobrze.

Doktor Ambara zdjął marynarkę.

–Nie jest wobec ciebie cyniczny, wiesz o tym.

–Wiem – przyznał Michael – i ja nie jestem cyniczny wobec niego. Po prostu to niełatwe wchodzić sobie codziennie w taki trans śmierci.

–Co masz na myśli?

Michael stał przy oknie, zapinając koszulę i patrząc w dół na błyszczący błękit basenu kąpielowego o królewskich rozmiarach, w którym pojawiały się i znikwały jasne głowy, a obok niego leżały wyciągnięte na słońcu opalone ciała.

–To znaczy – powiedział, starając się, aby nie zabrzmiało to niemiło – że codziennie to zbyt często. W rzeczywistości raz w życiu może być za dużo.

Doktor Ambara rozluźnił krawat w paski.

–Co usiłujesz mi powiedzieć?

–Nie wiem – Michael zaciągnął się papierosem, potem strząsnął popiół do popielniczki. – Chyba że jestem wyprany.

–To znaczy, że nie chcesz zabrać mnie w trans śmierci, abym spotkał się z Aną?

Michael przeciągnął dłonią po włosach.

–Nie wiem. Być może to z powodu tego zamknięcia. Może muszę się napić. Może dlatego, że przybyłem do Ameryki i połowa mojej osobowości nagle stwierdziła, że to jej dom. Byłem nad basenem. Słuchałem rozmów młodych ludzi. Oglądałem telewizję. Stałem na zewnątrz obserwując przejeżdżające samochody. Spora część mojej osobowości odnalazła dom, doktorze, i nagle świątynie i trans śmierci nie wydają się już takie ważne. No cóż... to nie znaczy że nie są ważne, tylko że ja zobaczyłem je w innej perspektywie.

–Chcesz powiedzieć, że straciły twój szacunek? – powiedział ciężko doktor.

–Nie, nie straciły, ale jakoś wydają się inne.

Doktor Ambara zdjął okulary i końcami palców ostrożnie otarł kąciki oczu.

–A co z Randolphem? Zabierzesz go w trans śmierci, aby spotkał się ze swoją

rodziną?

–Chyba będę musiał. Mimo wszystko umowa jest umową; dopóki mi płaci, nie chcę nawet wracać do domu.

–Chcesz wrócić?

–Nie jestem pewien. Nie widziałem Ameryki w wystarczającym stopniu, aby móc to stwierdzić. Ale muszę zabrać go w ten ostatni trans, i przykro mi, doktorze, naprawdę, ale to będzie ostatni trans, w który chcę wejść.

Doktor Ambara przełknął ślinę, uniósł bezradnie jedną rękę i znowu ją opuścił.

–A więc jednak nie spotkam się z moją Aną.

–Przykro mi – odezwał się ochryple Michael. – Siedziałem tutaj cały ranek i zastanawiałem się, jak ci to powiem.

–No cóż, to nie twoja wina – powiedział doktor. – Powinienem rozumieć strach bardziej niż ktokolwiek inny.

–Masz rację – odparł Michael. – To strach. Zbyt wiele złych transów jeden po drugim, a lejaki zdają się być bardziej przebiegłe. Nie jestem pewien, czy będę w stanie przeżyć więcej transów.

–Poznałem większość pieśni i mantr. Czy mógłbym wejść w trans śmierci sam? – spytał doktor Ambara.

–Żartujesz? Wejść w pierwszy trans samemu?

Doktor Ambara wstał, złożył ręce na wysokości piersi.

–Bardzo dokładnie studiowałem przedmiot, Michaelu. Teoretycznie wiem, co robić, nawet jeśli nie mam żadnej praktyki.

Michael wyjął następnego papierosa i zapalił go. Patrzył na doktora Ambarę poprzez dym.

–Wiesz, co to jest praktyka, doktorze, prawda?

Doktor nie odezwał się, pozostał w tej samej pozycji, ni to błagania, ni oddania, ale również determinacji.

–Praktyka to lejaki, prawdziwe lejaki, które mogą wydrzeć ci płuca. I Wdowia Wiedźma Rangda, która jest dziesięć razy gorsza od nich – powiedział Michael.

–Znam wszystkie te niebezpieczeństwa – odparł cicho doktor. – Wiem o demonach i wszelkich trudnościach.

–Zginiesz – zapewnił go Michael. – Zginiesz, a Rangda pożre twoją duszę. Spędzisz całe życie wieczne jako krzycząca dusza wewnątrz najczarniejszego, najobrzydliwszego ciała. Posłuchaj, doktorze, czy naprawdę chcesz stać się częścią ropiejących jajników wiedzmy? Po wiek wieków?

–Myślałem, że pomożesz mi odszukać Anę. Myślałem, że to była część umowy.

–Jedyna umowa, na jaką mogę się zgodzić, jest taka, że to będzie mój ostatni trans śmierci. A ponieważ Randolph Clare płaci moje rachunki, sądzę, że to on ma prawo spotkać się ze swoją rodziną. Wierz mi, nie ma w tym nic z osobistej urazy, doktorze. Gdybym sądził, że dam radę, zrobiłbym to dla ciebie. Ale ostatnio byłem już bliski śmierci. Brakowało pół metra, a zostałbym rozdarty na kawałki. Coś wewnątrz mnie mówi mi: „Trzymaj się z dala od Rangdy i od lejaków. Zostań po swojej stronie grobu, tam, gdzie przynależysz”.

–Ale gdybym spróbował sam transu śmierci? – nalegał doktor Ambara.

Michael potrząsnął głową.

–Nawet jeśli uda ci się wejść w trans i nie zginąć, lejaki natychmiast pochwycą twoje podenerwowanie i niedoświadczenie. Zginiesz, doktorze, wierz mi.

–Ale moc Rangdy tutaj nie jest tak silna jak na Bali.

–To tylko przypuszczenie. Nikt nigdy tego nie sprawdził.

–Być może nadszedł na to czas.

Michael wzruszył ramionami.

–Nie mogę cię powstrzymać – powiedział. – Weź jednak aparat ze sobą jako obronę, gdybyś uznał, że to ci i pomoże.

–No cóż, zobaczę – powiedział doktor, zaciskając znowu krawat i zakładając marynarkę. – Oczywiście, jestem rozczarowany, ale może tak będzie lepiej.

–Tak – powiedział Michael. – Może będzie lepiej.

Otworzył drzwi, a doktor Ambara wypadł z pokoju i popędził korytarzem wyłożonym niebieskim chodnikiem. Michael stał tam, patrząc na niego przez chwilę, potem wszedł do pokoju, założył łańcuch i zaryglował drzwi. Widział przez okno, jak doktor Ambara szybko przemierza dziedziniec obok basenu pływackiego w kierunku parkingu.

Michael nigdy wcześniej nie przyznał się do strachu, nie tak otwarcie jak teraz i nigdy przed kimś takim jak Ida Bagus Ambara, który był mu właściwie obcy. Być może to pierwsze przyznanie się do tchórzostwa stanie się obietnicą wobec Mungkin Nanti, że nie spróbuje już nigdy więcej transu śmierci. Oba ostatnie transy dotknęły go jak poważny wypadek samochodowy i by znowu wejść w trans, musiał zdobyć się na niesamowity wysiłek woli. Z krzywym uśmiechem pomyślał: „Jestem wypalonym pedantą, półkrwi arcykapłanem, który nie może na nic liczyć prócz emerytury od balijskiego rządu i sprzedawania do końca życia plastikowych sandałów”.

Skończył papierosa, a potem poszedł do łazienki, aby umyć zęby. Nawet w schlebiających światłach hotelowego lustra był wychudzony, mizerny i zmęczony, jak człowiek, który niedawno widział śmierć w całej jej odrażającej chwale.

Spryskał twarz zimną wodą, a potem otarł do sucha ręcznikiem. Wtedy rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

–Kto tam? – zawołał.

–Pan Qizilbush? Tu służba hotelowa. Przyniosłem drinki, które pan zamówił.

Michael podszedł do drzwi i otworzył je, nie zdejmując łańcucha.

–Nie zamawiałem żadnych drinków. Musiałeś coś pomylić.

Natychmiast w szparę między drzwi została wetknięta lufa czterdziestki piątki i niski głos zażądał:

–Zdejmij łańcuch. Otwieraj albo odstrzelę ci głowę.

Michael drżąc zrobił, co mu kazano. Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadło dwóch mężczyzn, wymachując automatami. Jednego z nich rozpoznał jako Reece'a; drugiego nie znał. Był niski, krępy, o ogolonej głowie i miał błękitne oczy, w których czaiło się jakieś szaleństwo. To musi być Frank Louv, pomyślał Michael, czwarty z kwartetu, który śledził Randolpha Clare do Bali i z powrotem.

–A więc mamy cię – powiedział Louv. Reece nie odezwał się, ale wykręcił ramię Michaela na plecy i przytknął mu lufę automatu z boku głowy.

–Narobiłeś nam kłopotów, ty cholerny czubie – wyszczerzył zęby w uśmiechu wyglądający na szaleńca Louv. Potem wetknął swoją broń w genitalia Michaela, tak mocno, że ten jęknął i spróbował się wyrwać, ale wtedy Reece zacieśnił uchwyt.

–Kochany facet z tego doktorka, że nas tu przyprowadził, nie? – spytał Louv. – Nie żeby o tym wiedział. Biedak starał się jak mógł wypatrzeć jakieś ogony, ale czego szukał? Samochodów, właśnie tego wypatrywał. Nie wpadł na to, żeby patrzeć na motocykle, kapujesz? Zawsze tak jest z kierowcami samochodów. To się nazywa psychologia.

Przerwał, rozejrzał się po pokoju i powtórnie dźgnął Michaela w genitalia.

–Boli, nie? Tak jak moja dupa od jeżdżenia w kółko na tym motorze, aby śledzić tego waszego głupiego doktorka. Posłuchaj, jeśli boli, nie wiń mnie. To on jest winien. Następnym razem ty jego ukłuj w jaja i powiedz, że jest ci to dłużny.

Michael upuścił papierosa na podłogę. Mężczyzna o wyglądzie szaleńca zdepnął go swoim brązowym skórzanym butem do jazdy na motorze.

–Ty musisz coś mieć – powiedział mężczyzna. – Pan Waverley Graceworthy chce się z tobą widzieć. Kim ty jesteś, żółtkiem czy półżółtkiem? Pan Waverley Graceworthy chce ciebie żywego, żywego i nie naruszonego. Wskakuj więc w jakieś portki i jedziemy spotkać się nim osobiście. Wierz mi, żółtku, spodoba ci się.

Wolno i niechętnie Michael zaczął się ubierać. Reece rozsunał zasłony i gapił się na basen. Michael miał wrażenie, że zastanawia się, jak łatwo byłoby powystrzelać pływaków, jednego po drugim, karabinem o dużym zasięgu.

Frank Louv pchnął Michaela automatem.

–Gotowy? Nie zapomnij o swoich papierosach. Co to za marka? Lion? To jakieś papierosy dla żółtków? Pan Graceworthy powiedział, żeby cię dobrze traktować. Takich facetów jak ty topilem w Delcie i sprawiało mi to dużą frajdę. Jak można zaufać komuś, kto jest pół-Amerykaninem i pół-żółtkiem? To znaczy, czy powinienem zabić pół-Amerykanina za to, że jest zdrajcą, czy półżółtka za to, że jest żółtkiem?

Wydawało mu się, że jest bardzo zabawny, ponieważ zarechotał głośno i odańczył kawałek fandango.

Reece odszedł od okna i machnął ręką, pokazując, że powinni już iść.

–Mam przyjaciół, wiecie o tym? – powiedział Michael. – Znajdziecie się w opałach, gdy moi przyjaciele odkryją, co się ze mną stało. Tutaj nie jest Bali.

–Masz rację, to nie Bali – wyszczerzył zęby w uśmiechu Louv. – To Memphis, Tennessee, a w Memphis, Tennessee, niekwestionowanym królem gór jest pan Waverley Graceworthy, a więc wierz mi, nie znajdziemy się w opałach, szczególnie nie z powodu takich śmieci jak pan Randolph Clare.

Reece zrobił znak, aby Louv się zamknął. Wyszli z pokoju i korytarzem podążyli w kierunku windy.

–Mam gnata w kieszeni, panie Pół-żółtek Hunter, i wierz mi, że nie będę miał nic przeciwko, żeby go użyć.

Michael powiedział coś w sanskrycie. Szalony mężczyzna warknął:

–Co powiedziałaś? Kiedy gadasz przy mnie, nie używaj więcej tej chińszczyzny. Drzwi windy otworzyły się i Michael posłusznie wszedł do niej.

–Odmawiałem modlitwę – powiedział do mężczyzny. – Modliłem się, żeby gdy umrzesz, największy spośród bogów, Sanghyang Widi, zamienił cię na wieki wieków w gówno karalucha.

Kiedy Michaela zabierano do Waverleya Graceworthy’ego, Randolph wolno i z bólem ubierał się, wbrew poleceniu doktora Ambary. Znudziło mu się siedzenie na patio i leżenie z nogami na sofie. Miał zamiar zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, odwiedzić fabrykę w Raleigh, aby zobaczyć, jak radzi sobie Tom Shelby; a po drugie, zanieść kwiaty na groby swojej rodziny.

Wezwał Herberta i Charlesa i dzięki ich pomocy wsiadł do limuzyny. Charles umieścił go na tylnym siedzeniu i okrył mu kolana.

–Nie jestem inwalidą – zaprotestował Randolph.

–Musi pan na siebie uważać – powiedział Charles. – Tylko pan nam został. Pani Wallace upiekła trochę tych ciasteczek, które pan lubi, tych specjalnych. Są w kasetce w barku.

–Powiedz pani Wallace, że jest aniołem.

–Ja nie mówię takich rzeczy pani Wallace – wymruczał Charles.

Herbert wyjechał na szosę w słoneczne popołudnie.

–Pański lekarz nie będzie zadowolony z tego powodu, panie Clare – skomentował, kiedy wyjechali na William B. Fowler Expressway.

–Jest moim lekarzem, a nie matką – odparł Randolph. Pochylił się, otworzył barenki i nalał sobie szklankę Jacka Danielsa. Potem otworzył kryształową kasetkę i wyjął trzy najlepsze ciasteczka pani Wallace. Herbert obserwował go we wstecznym lusterku.

–Spróbowałem kilku, gdy wyszły z pieca. Pyszne, co?

–Moja sekretna słabość – zaśmiał się cicho Randolph.

W Raleigh spędził godzinę, sprawdzając odbudowę magazynów. Fabryka pracowała teraz na pełnych obrotach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a niektórzy ludzie robili po dwie zmiany na dzień.

–Jeśli nie dostaniemy żadnej pomocy z zewnątrz, ile czasu zajmie nam wypełnienie kontraktu? – spytał Randolph Tima Shelby, kiedy usiedli w jego biurze po inspekcji.

–Dwa miesiące, może sześć tygodni.

–Wydaje mi się, że powrót do produkcji zabrał wam wiele czasu, prawie o tydzień więcej, niż przewidywaliście.

–Mieliśmy kłopoty z zaworami. Neil musiał zastąpić je niemieckimi. Sprowadzenie ich zajęło sporo czasu.

Randolph pokręcił whisky w szklance. Tim miał przyjaciela, który na każde urodziny dawał mu tuzin butelek Chivas Regal, miał więc zawsze pod ręką coś specjalnego dla ważnych gości.

–Na czym dokładnie polegały kłopoty? – spytał Randolph.

–Nie jestem pewien. Blokowały się. Neil sprowadził jednego montera z

Woodstock, który przy nich pracował.

–Dlaczego nasi monterzy tego nie robili?

–Nasi monterzy byli zajęci wymianą przewodów i agregatem chłodniczym.

–Były tam jakieś problemy? – spytał Randolph.

–Nie, tylko przy zaworach.

–Czy pan widział te zawory?

Tim Shelby zdziwił się.

–Nie, nie widziałem. Nie jestem pewien, co pan chce przez to powiedzieć.

–Ja także nie jestem pewien – odparł Randolph. – Zna pan tego montera, którego

Neil sprowadził z Woodstock?

–Nie. Nie znam go osobiście.

–Czy ktoś z pańskiego personelu go zna?

–Musiałbym to sprawdzić.

Randolph dopił drinka.

–Dobrze – powiedział. – Wiem, że to nieprzyjemna sprawa, ale prosiłbym, aby pan

sprawdził, czy ktoś z pańskich ludzi poznał tego montera lub zna jego nazwisko.

Jadę teraz do Forest Hill. Powinienem być w domu koło czwartej. Proszę zadzwonić, jeśli się pan czegoś dowie.

Tim Shelby wstał.

–Przypuszczam, że Neil wiedziałby, kim był ten monter. Sam go przywiózł z

Woodstock.

–Naprawdę? To ładnie z jego strony.

–Przypuszczam, że chciał być pewien, iż fabryka jak najszybciej wróci do produkcji.

–Tak – odparł Randolph. – Też tak myślę.

Herbert zawiózł go na cmentarz Forest Hill, a tam pod majowym niebem, o prawie purpurowej barwie, pochylił głowę nad grobami Marmie i dzieci, grobami, które ciągle jeszcze nie były oznaczone, ale już niedługo będą nosiły nazwisko żony Randolpha i imiona jego dzieci.

Stał prawie dziesięć minut nad grobami, ale po swoich doświadczeniach na holenderskim cmentarzu w Denpasar, wiedział, że jego gest jest dziwnie pusty. Marmie i dzieci nie zamieszkiwały już swoich ciał, leżących teraz pod ziemią, ale były gdzieś tam, może nawet całkiem blisko. Rozejrzał się po rzędach pobliskich nagrobków i zastanawiał się, czy Marmie i dzieci mogą go widzieć lub słyszeć.

–Marmie? – powiedział, przełknąwszy głośno. Nagle na drewnianej tabliczce Marmie usiadł mały ptaszek, nastroszył swój jasnozielony grzbiet i zaśpiewał: „czip, czip, czip”.

–Marmie – powtórzył -jeśli mnie słyszysz, jeśli mnie widzisz, chcę, abyś wiedziała, że nie zapomniałem o tobie nawet przez chwilę. Chcę, żebyś wiedziała, że znalazłem sposób, aby się z tobą znowu zobaczyć, dotykać cię. To już niedługo, może tydzień, i będziemy znowu razem.

Przełknął ślinę. Nagle miał strasznie sucho w ustach, chociaż jego oczy napęłniły się łzami.

–Marmie, posłuchaj mnie. Kocham cię.

Nagle zza pobliskiego pomnika wychynął staruszek w jasnej płóciennej marynarce i staromodnym kapeluszu. Gapił się przez chwilę na Randolpha i wtedy ptaszek sadowił się na grobie Marmie.

–Usiłuje pan nauczyć tego małego drwala mówić? – spytał.

Randolph wyjął chusteczkę i wytarł nos, potrząsając jednocześnie głową. Staruszek podszedł bliżej i stanął obok niego, podziwiając ptaszka, jakby należał do Randolpha i był tak wyśmienicie wytresowany, że wszędzie za nim latał.

–Zdolny, prawda? – zauważył.

–Chyba tak.

–Wie pan, co powiadają o takich śpiewających ptakach, które latają po cmentarzach?

Randolph przyłapał się, że obserwuje kontrast między miękką, gładką skórą szyi a sztywnym wykrochmalonym kołnierzykiem staruszka.

–Nie – odparł. – A co powiadają?

–Powiadają, że wyśpiewują wszystkie pieśni, jakie unoszą się znad grobów, kiedy zmarli są chowani. Pieśni nie umierają, widzi pan, tak jak ludzie. Pieśni powstają z grobów, a ptaki je łapią i wyśpiewują wciąż na nowo. Pewnego dnia, kiedy całe ludzkie plemię umrze i nie zostanie nikt żywy oprócz ptaków, cała ta piękna muzyka, która została kiedyś napisana i wyśpiewana, nadal będzie trwała, ponieważ będą ją śpiewać ptaki, chociaż nie będzie nikogo, kto by jej słuchał.

Przerwał, westchnął i powiedział:

–Czego pan go uczy?

Randolph potrząsnął głową.

–Nie uczę go niczego, chociaż chciałbym.

Wrócił do limuzyny. Herbert cierpliwie czekał, słuchając sprawozdania z meczu w radiu. Kiedy Randolph się zbliżył, wyłączył radio, ale Randolph zapytał:

–Jaki wynik?

–Właśnie robił wypad Hunsaker.

–Połącz mnie ze Sleamanem, dobrze?

–Oczywiście.

Po chwili Randolph rozmawiał z Janet, sekretarką Sleamana.

–Nie ma Neila? – spytał Randolph.

–Nie, przykro mi. Zadzwoił po taksówkę i wyszedł. Nie wiem, dokąd pojechał.

–Janet, mogłabyś mi zrobić przysługę? Zadzwoń do przedsiębiorstwa taksówkowego i zapytaj, gdzie go podwozili. A potem zadzwoń do mnie, dobrze?

–Oczywiście, proszę pana.

Herbert zapalił limuzynę.

–Dokąd, panie Clare?

–Do domu – powiedział Randolph.

Jechali może trzy czy cztery minuty, gdy odezwał się telefon w samochodzie. Randolph podniósł słuchawkę i spytał:

–Janet?

–Tak, proszę pana. Właśnie dzwoniłam do radio taxi. Powiedzieli, że pan Sleaman pojechał do motelu Shelby. Spotkał się tam z kilkoma ludźmi. Taksówkarz rozpoznał wóz pana Orbusa Greene’a, chociaż nie potrafił powiedzieć, czy pan Greene był w środku. Samochód ma przyciemniane szyby.

–Dziękuję ci, Janet. Zdziwiasz mnie.

–Mój teść pracuje w tym przedsiębiorstwie, proszę pana.

–To punkt dla niego. Prześlij im butelkę szampana Ina rachunek biura.

–Tak, proszę pana. Nasz czy zagraniczny?

–Są taksówkarzami, a nie smakoszami, Janet.

–Bardzo dobrze, proszę pana, a więc nasz.

Randolph odłożył słuchawkę na widełki z uczuciem gorzkiej satysfakcji. Cały czas miał nadzieję, że Neil będzie ponad to wszystko, że będzie na tyle bystry i domyśli się, iż i Randolph mimo swojej przyjacielskości i woli ufania innym, ma ukrytą władzę, która rzadko go zawodzi, oraz poczucie własnej wartości tak niewzruszone jak zbrojony beton.

Mógł tylko przypuszczać, że Neil nie oparł się atmosferze południowej tradycji, jaką symulował Waverley Graceworthy, oraz obietnicy zapłaty o wiele hojniejszej, na to zasługiwał. Była w tym jakaś ironia, że Neil naprawdę okazał się zwyczajnym żigolakiem, na jakiego zawsze wyglądał. Zdradziły go te jaskrawe garnitury okropne, szerokie krawaty.

Herbert skręcił na drogę do Zamku Clare, a tam – jak przewidywał Randolph – stała ORGE 1, długa czarna limuzyna Orbusa Greene’a.

Rozdział XXII

Orbus rozlał swoją otyłość na potrójnej kanapie Randolpha. Siedział z szeroko rozstawionymi stopami, które były zadziwiająco delikatne jak na człowieka tych rozmiarów i elegancko przyodziane w dwukolorowe, białobrazowe Oksfordy. Jego brzuch spoczywał na kolanach jak szkolny globus.

Mówiąc, bez ustanku pożerał ciasteczka, sięgając co chwila swoją pulchną różową dłonią od talerza do ust dziwnie płynnym ruchem, który przypominał Randolphowi ruchy tkaczki.

–No cóż – powiedział, spoglądając od czasu do czasu na Randolpha – myślisz, że nas przechytrzyłeś, prawda?

–Myślę, że sami się przechytrzyliście – odparł Randolph, odchylając się do tyłu w swoim fotelu. Wodził wzrokiem od talerza do ust Orbusa, obserwując go, jak je.

–Przyznaję, że młody Neil musi się jeszcze dużo nauczyć – powiedział Orbus. – Powinien wiedzieć, że pan Hunter jest zbyt cennym nabytkiem dla ciebie, aby powiadamiać o jego miejscu pobytu takiego pacholka jak on. Powinien zdawać sobie sprawę, że go sprawdzasz. To ten jego sposób bycia, wiesz. W tym leży jego problem. O połowę brylantyny za dużo. Zawsze mam wrażenie, kiedy podajemy sobie ręce, że będę miał palce ubrudzone olejkami do włosów.

Randolph siedział, nie odzywając się przez chwilę. Potem wstał. Obszedł wkoło kanapę, aby Orbus musiał się z trudem obrócić, żeby na niego spojrzeć.

–Dlaczego nie odpowiedziałeś na moją propozycję, którą wysunąłem wobec Cotton Association, aby wspomóc wypełnienie kontraktu z Sun-Taste?

Orbus przełknął głośno ślinę.

–To była decyzja Waverleya. Musisz zrozumieć, Randy, że Waverley chce wypruć ci flaki i powiesić je, by wyschły na jego frontowym płocie.

–Dlaczego? – spytał Randolph. – Dlaczego aż tak?

–Kto wie? On zawsze powiada, że to sprawa osobista. Nie ulega wątpliwości, że był gotów cię tolerować, o ile ponosiłbyś straty lub nawet miał małe zyski. Istnienie jednego niezależnego przedsiębiorstwa przynoszącego rozsądne zyski mogłoby tylko zachęcić wszystkich pozostałych do pracy, jak miał zwyczaj powiadać. Ale Sun-Taste to był zbyt duży sukces. Jeśli mogłeś dostać i utrzymać kontrakt z Sun-Taste, oznaczało to, że stałeś się jednym z największych, jak Brooks czy Gamble Dillons. Ostatnie dwa kwartały Brooks był na granicy katastrofy, podobnie jak kompania Waverleya. Zresztą sam to wiesz. Ale pozwól, że coś ci powiem: Tego dnia, kiedy Waverley usłyszał, że Sun-Taste zdecydował się na Clare Cottonseed, wierz mi, wpadł w histerię. To znaczy zaczął wariować.

Randolph milczał. Obszedł dokoła kanapę i stanął naprzeciw Orbusa.

–A więc Waverley z jakichś tajemniczych przyczyn...

–Tak jak i z doskonale rozumiałych przyczyn zawodowych – wtrącił się Orbus.

–Dobrze. Z powodu kombinacji przyczyn rozumiałych i tajemniczych Waverley chce mnie wyeliminować. Pragnie widzieć mnie nie jako bankruta, ale sześć stóp pod ziemią.

–Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać – westchnął Orbus. Wziął

ostatnie ciasteczko i wpakował je sobie do ust.

–Masz ochotę na jeszcze? – spytał Randolph.

–Nie powinienem – powiedział Orbus. Randolph zadzwonił po panią Wallace i powiedział:

–Gdzie jest teraz Neil? Czyżby był zbyt zawstydzony, aby przyjechać tu z tobą?

–Można tak powiedzieć, ale właściwie nie chciałem go z sobą zabierać. Pragnę, aby to, co chcę ci teraz powiedzieć, pozostało między nami.

–Kontynuuj.

–No cóż – wysapał Orbus głosem bardziej piskliwym niż zwykle. – Rozumiem, że posiadasz jakiś dowód na to, co łączy Waverleya z Richardem Reece'em, a Richarda Reece'a z tym, co stało się z twoją rodziną w Kanadzie.

–Wiedziałaś o Reesie?

–Oczywiście, że wiedziałem o Reesie. Od początku, kiedy Waverley go zatrudnił, narzekałem na niego. Reece to maniak. Reece nie ma w ogóle moralności, złej czy dobrej. Jeśli każesz mu wepchnąć komuś zęby do gardła, zrobi to, a co więcej, zaczeka, aż zęby wyjdą drugą stroną i wepchnie je po raz drugi, aby pokazać, jak dobrą robotę wykonał. Jest ich cały gang, wszyscy to weterani i wszyscy mają nie po kolei w głowie. Bóg wie, skąd Waverley ich wytrzasnął, ale oni traktują go jak Napoleona.

Pani Wallace zapukała do drzwi i Randolph poprosił, żeby weszła.

–Panu Greene'owi bardzo smakuje pani ciasteczka. Czy mógłby dostać następną porcję?

–Zostało tylko dwadzieścia cztery – powiedziała chłodno pani Wallace.

Orbus uniósł się nieco i uśmiechnął.

–To wspaniale – powiedział łaskawie. – I tak nie zamierzałem zjeść więcej.

Kiedy pani Wallace wyszła, Randolph powiedział:

–A więc pożar w Raleigh był sabotażem?

Orbus pokiwał głową.

–Co z moją rodziną?

–Mieli ich tylko nastraszyć, to wszystko. Nastraszyć, związać, okraść. Problem polega na tym, że Reece jest wariatem.

–Dlaczego mi to mówisz? Zdajesz sobie sprawę, że jesteś zamieszany w około tuzin różnych śmierci? Moja rodzina, Jimmy Żeberko, trzech robotnicy w Raleigh, I.M. Wartawa; i kto wie, ilu jeszcze?

Randolph zaciskał mocno pięści, aby się opanować.

–Ten pokój nie jest na podsłuchu? – spytał nagle Orbus.

Randolph pokręcił głową.

–Dobra – powiedział Orbus. – Jestem twardym biznesmenem. Wiesz o tym.

Kieruję Brooks Cottonseed, od kiedy tylko pamiętam, i byłem burmistrzem Memphis w starych złych czasach, kiedy to miasto śmierdziało potem i gównem, było pełne czarnuchów i gangsterów twarzach jak mielona szynka. Maczałem palce w łapówkach i szantażach i mnóstwo ludzi nie miałooby nic przeciwko, widząc mnie dryfującego po Missisipi twarzą w dół razem z noworodkami i zdechłymi psami.

Zgadzałem się z Waverleyem, gdy najął Reece'a, aby trochę popędzał ludzi, przyspieszał zapłaty i tego rodzaju rzeczy. Zgadzałem się. Kiedy ten czy ów członek Cottonseed Association wychylał się politycznie czy w interesach, wtedy Reece i jego chłopcy przypominali mi, co do niego należy. Nie miałem nic przeciwko temu. Taki rodzaj przymusu jest koniecznością w tym mieście nawet dziś, chociaż wszystko się rozruszało. Ale kiedy Waverley wziął się na ciebie, musiał powiedzieć Reece'owi coś całkiem innego niż powiedział mnie, ponieważ nie pochwalam zabijania, nikogo, również z powodu interesów, a szczególnie nie pochwalam zabijania niewinnych kobiet i dzieci, które nie mają nic wspólnego z tym, co robią ich mężowie i ojcowie. Jestem chrześcijaninem, Randy, wiesz o tym; i chociaż nie mam szczególnych oporów wobec zastraszania, z pewnością, do cholery, nie godzę się na morderstwa, a właśnie w tę grę bawi się Waverley.

Randolph słuchał Orbusa ze stopniowo narastającym chłodem. Po pogrzebie myślał, że gdyby dowiedział się, dlaczego Marmie i dzieci zginęły, być może jego umysł jakoś by się z tym pogodził i byłby zdolny przyjąć łatwiej ich śmierć. Ale teraz, kiedy wiedział, że to Waverley Graceworthy rozkazał ich zabić tylko z powodu jakiegoś nic nie znaczącego margarynowego kontraktu, poczuł lodowatą żądzę zemsty, która wydawała się krystalizować w strukturze jego kości i przenikać do czaszki jako bolesny lód.

Orbus wyczuł zgrozę Randolpha i próbował być współczujący.

–Posłuchaj, Randy. Waverley dowiedział się od Reece'a i jego chłopców, co robisz w Indonezji. Z początku kazał cię zabić, ciebie i tego Huntera. Nie wiem, jak udało ci się uciec; Reece był jedynym świadkiem, a sam wiesz, że nie jest gadułą. W każdym razie... Waverley wie, że chcesz wejść w ten jakiś trans, w którym możesz rozmawiać ze zmarłymi. Wie również, że potrzebujesz do tego Huntera. Obawia się, że masz zamiar przy pomocy Huntera porozmawiać z Marmie i że Marmie wskaże na Reece'a, co da ci jakiś dowód, który wytrzyma w sądzie.

Randolph skinął i powiedział ochryple:

–Tak właśnie jest. Trans śmierci istnieje naprawdę. Doświadczyłem go sam. Wiesz, mam wiele poszlak, chociaż mój świadek został zamordowany...

–Ten czarny facet? Jimmy Żeberko?

–Zgadza się. Ale przecież ty również możesz potwierdzić związki Waverleya z Reece'em. Oczywiście, gdybyś zechciał zeznawać. Zatem muszę tylko wejść w następny trans śmierci, odnaleźć Marmie i przekonać się, co ona pamięta z tej nocy, kiedy ją zamordowano.

Orbus spojrział na otwierające się drzwi i panią Wallace wchodzącą z nowym talerzem ciasteczek.

–Jest pani prawdziwą damą – powiedział i wyjął chusteczkę, aby otrzeć pot z twarzy. Pani Wallace przygryzła usta i nic nie powiedziawszy wyszła. Najwyraźniej uważała, że podawanie jej ciasteczek Orbusowi Greene'owi było kulinarnym ekwiwalentem rzucania pereł przed wieprze.

Orbus powrócił do jedzenia.

–Oczywiście, wolałbym nie zeznawać – powiedział Randolphowi z pełnymi ustami.

– W rzeczywistości jednym z powodów, dla których tu się znajduję, jest to, że nie chciałbym, aby moje nazwisko zostało wmieszane w tę sprawę. Jeśli Waverley chce zachowywać się jak maniakalny zabójca, czy to moja wina? Ale spójrzmy, jak się mają rzeczy. Reece sam może się przyznać. Potrafi pisać, chociaż nie mówi. I musi być gdzieś ktoś, kto wie, że Waverley zapłacił Reece’owi za usługi, i mógłby zeznawać zamiast mnie.

Randolph miał zamiar powiedzieć coś zgryźliwego Orbusowi o jego tchórzostwie, ale się powstrzymał. Człowiek o rozmiarach, które osiągnął Orbus, bezwstydnie pożerający ciasteczka podczas rozmowy o brutalnym morderstwie, był najwidoczniej daleki od poczucia wstydu. Wszystko, co pozostało Orbusowi, to jego pokrętne poczucie tego, co dobre i złe. Właściwe było nastraszenie, ale złe zabicie. Być może Orbus czuł, że jego otłuszczone serce zbliżało się ku zakończeniu swej pracy, i pragnął umrzeć odkupiony. Randolph nie wiedział i niewiele go to obchodziło. Jedynymi ludźmi, którzy będą oplakiwać jego śmierć, są właściciele restauracji w Memphis.

–Może kieliszek madery, aby splukać te ciasteczka? – zaproponował Randolph.

–No cóż, nie będę się opierał – odparł Orbus. Randolph podszedł do barku i wrócił z pełnym kieliszkiem ciemnego deserowego wina; Orbus spróbował, potem wypił je do dna.

–Co robiłeś w motelu Shelby? – zapytał Randolph.

Orbus otarł usta chusteczką.

–Przyjeżdżając do motelu Shelby, spodziewałem się zabrać Michaela Huntera.

–No i?

–Sam wiesz, prawda? Nie było go tam. Ktoś zarezerwował pokój na jego nazwisko – to byłeś ty, prawda? – ale nikt się nie zjawił. Oczywiście Neil wpadł w panikę. Zdał sobie sprawę, że go wystawiłeś. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie to, że był tak żalosny.

Orbus zjadł następne dwa ciasteczka i rzekł:

–Prawdopodobnie nie uwierzysz, ale jak dotąd powiedziałem ci prawdę – chociaż rzuciło to na mnie podejrzenie – a więc liczę na twoje zaufanie. Powodem, dla którego chciałem zabrać Michaela Huntera, było zabezpieczenie się przed Waverleyem.

–Kontynuuj – powiedział sucho Randolph.

–Waverley, widzisz, dał Reece’owi specjalne polecenie, aby przywiózł Huntera żywego. Waverley zmienił zdanie, ponieważ wcześniej chciał, aby go zabito. Neil i ja sądzimy, że Waverley chce go żywego, aby zmusić go do zabrania Reece’a w ten trans śmierci. Ma tam rozprawić się z Marmie. Rozumiesz, rozprawić się raz na zawsze. Nie zmienił jednak zdania co do ciebie. Musisz mi wierzyć, Randy, ten człowiek chce widzieć cię w grobie. Nie pytaj mnie dlaczego. Ale wystarczy szepnąć nazwisko „Randolph Clare” w odległości trzech metrów od niego, a zaczyna warczeć jak dziki sznaucaer. Nienawidzi cię jak diabli.

–Więc ty i Neil chcieliście „zabrać” Michaela Huntera, aby Waverley nie mógł go złapać?

Orbus wzruszył wymijająco ramionami.

–Nie mówię tutaj o motywach, Randy.

–W rzeczywistości zamierzałeś ograć nas obu, Waverleya i mnie, używając Michaela Huntera jako zakładnika.

–To jest biznes, Randy. W biznesie trzeba wykorzystać każdą nadarzącą się okazję.

–Tylko, że ta okazja okazała się blefem, a ty i Neil zostaliście z jajkiem na twarzy i opuszczonymi spodniami. A teraz przychodzisz do mnie, udając współczucie i paplając coś o przykazaniach i chrześcijaństwie. Na miły Bóg, Orbusie, jeśli masz rzeczywiście jakąś odwagę, dlaczego nie przyszedłeś i nie powiedziałeś mi o Reesie, gdy tylko dowiedziałeś się, że Marmie nie żyje? Dlaczego nie ostrzegłeś mnie? Reece o mało co by mnie zabił na Bali. Jak wiele łez udałoby ci się wycisnąć z twoich zatłuszczonych oczu, gdyby Reece’owi się powiodło? Gdybym przyleciał do domu w skrzynce? Jakim chrześcijaninem byłbyś się wtedy czuł wobec Marmie? Martwisz się tylko o to, by nie wplątano cię w szaleństwo Waverleya, i o fakt, że ja i Michael Hunter możemy dostarczyć jakiegoś dowodu, który zawiódłby cię tam, gdzie w rzeczywistości powinieneś się znaleźć, to znaczy do stanowego więzienia.

Orbus opuścił głowę i wyglądało, że jest mu za siebie przykro. Aby pokazać Randolphowi, jak głęboko jest skruszony, powstrzymał się przed sięgnięciem po następne ciasteczko – akt skruchy, którego Randolph nie zauważył.

–Randy, źle mnie oceniasz – rzekł z żalem.

–Nie sędzę, Orbusie. No dalej, powiedz mi, co zrobiłbyś ty i twoi goryle, gdybyście znaleźli Michaela Huntera w motelu Shelby?

Orbus wstał.

–Pozwól, że ci coś powiem, Randy. Przyszedłem dziś tutaj z własnej woli i przyznałem się. Nie przekreślaj tego, dobrze? Umowa jest prosta, jeśli nie wieszasz mojego nazwiska w tę sprawę, będziesz miał ode mnie wszelką pomoc. Nie tylko informację, ale także olej bawełniany, abys wywiązał się z umowy z Sun-Taste. Poza tym jest to dla nas nowy początek. Może partnerstwo w interesach między Clare Cottonseed i Brooks Cottonseed, całkowicie poza Association. Randy, mówimy tutaj o wzajemnych korzyściach. Mówimy o tym, aby zapomnieć i przebaczyć. O przyszłości, nie przeszłości.

–A Waverley?

Orbus prychnął.

–Waverley? Z Waverleyem koniec.

–A więc chcesz, abym wszedł w trans śmierci, znalazł dowód, który oskarży Waverleya i Reece’a, a potem porozmawiamy o współpracy, przyszłości, zapomnieniu i przebaczeniu?

Orbus mrugnął do niego okiem.

–Interes z olejem to smaczny kąsek, Randy. Im mniej głodnych ludzi usiądzie, aby go zjeść, tym większe dostaną kawałki.

Moralne i fizyczne wyczyny Orbusa Greene’a tak przytłoczyły Randolpha, że prawie zaniemówił. Nie wiedział, co mu odpowiedzieć ani nie potrafił podjąć

jakiejkolwiek decyzji. Co powiedzieć człowiekowi, który nie umie powstrzymać się od przeżuwania, rozmawiając o zmarłych, i który desperacko błaga cię, abyś pomógł mu uniknąć kary, na jaką solidnie zasłużył?

–Pozwól, że to przemyślę, dobrze? Zadzwoń do ciebie później – powiedział Randolph.

–A co zrobisz z Neilem?

–Na razie nic z wyjątkiem tego, że go zawieszam.

–To bardzo sumienny człowiek. Ma dużo dobrej woli. Mam nadzieję, że nie zrobisz czegoś, co zmiążdżyłoby jego poczucie osobistej wartości.

Randolph położył rękę na masywnym ramieniu Orbusa.

–A co mogłoby zmiążdżyć twoje poczucie osobistej wartości, Orbusie?

Orbus zaśmiał się.

–Przypuszczam, że Góra św. Heleny.

Goryle Orbusa czekali na niego na zewnątrz, z zapamiętaniem dłubiąc sobie w zębach. Jeden z nich otworzył drzwi limuzyny, a trzech pozostałych wsadził Orbusa do środka. Usadowił się wygodnie, a potem odwrócił do Randolpha i powiedział:

–Niech pan uważa na siebie, panie Clare. Cokolwiek o mnie myślisz, jestem nieszkodliwy. Skorumpowany, może. Samolubny, bez wątpienia. Srogi, oczywiście. Ale nikogo nie zabiłem dla swej kariery czy dla zemsty. A więc, mój mędrco i romantyku, uważaj na Waverleya.

Ochroniarze, wsiadając do limuzyny, wbili wzrok w Randolpha. Potem trzasnęły drzwiczki i samochód z piskiem opon ruszył ku bramie. Randolph stał na schodach, patrząc, jak odjeżdżają, a potem odwrócił się i wszedł do środka.

–Co za człowiek – narzekała pani Wallace, przechodząc korytarzem z pustym talerzem po ciasteczkach. – Nie wiedziałam, co z nim począć.

–Ja również – przyznał Randolph. – Nie wiem, czy go nienawidzę, czy w jakiś dziwny sposób lubię.

–To bestia – zawyrokowała pani Wallace.

–Światem rządzą bestie – odparł Randolph. Kiedy Randolph wracał do swojej biblioteki, doktor Ambara siedział w saloniku swojego parterowego domku w Germantown, nagi, ze skrzyżowanymi nogami, dłońmi zwróconymi do góry, usiłując wejść w trans śmierci. Żaluzje były spuszczone, ale popołudniowe słońce oświetlało matowym srebrem sizalowy dywanik, proste bambusowe meble, balijskie gliniane dzbanki i draperie *lamak*. Na ścianie za sofą znajdował się duży obraz przedstawiający półnagą pasterkę kaczek, namalowany pod gust amerykańskich turystów. Na obramowaniu kominka nad paleniskiem znajdowała się osobliwa kolekcja rzeźb z korzenia jasnego teku. Łagodne akty, lwy ze skrzydłami i smoki.

Okulary doktora Ambari leżały obok niego na dywanie. Przed nim rozłożone były trzy lub cztery książki z hinduskimi rytuałami, aby mógł czytać mantry w sanskrycie. Na stoliku do kawy spoczywała niewielka maska Rangdy, którą kupił pod wpływem impulsu cztery lata temu na lotnisku w Dżakarcie. Przykrył ją jedwabiem i otoczył kwiatami azalii oraz kadzidlanyimi pałeczkami.

Był przerażony, ale i zdeterminowany. Skoro Michael Hunter odmówił mu pomocy,

sam wprowadzi się w trans śmierci. Randolph Clare wszedł w trans śmierci i przeżył, a on jest człowiekiem Zachodu. Z pewnością spokojny i zdyscyplinowany Indonezyjczyk może wejść w trans śmierci o wiele łatwiej, nie niepokojąc leżaków, i może porozmawiać z wybranymi przez siebie duszami zmarłych.

Doktor Ambara zaczął kołysać się wolno w przód i w tył, mruczając magiczną mantrę *Om* na początek, a potem zaczął recytować słowa sanskryckiej pieśni zmarłych. Zamknął oczy i kiwał się jak rozpaczająca kobieta, do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, ale nie potrafił opróżnić swego umysłu i każdy przejeżdżający motocykl przerywał jego koncentrację.

–Zabierz mnie do świata zmarłych, o Sanghyang Widi. Pozwól mi rozmawiać z tymi duszami, które weszły do nieba przede mną. O, przenieś mnie w dym, o Sanghyang Widi.

Nie ustawał w powtarzaniu tych samych mantr wciąż od nowa. Myślał jedynie o Anie; a potem myślał tylko o pustce; a potem nagle ślizgał się na plecach po atramentowym jeziorze pod czarnym niebem, coraz szybciej i szybciej, a rzeczywisty świat zniknął jak rozbita bańka mydlana.

Ujrzał gwiazdy wybuchające ponad jego głową, słyszał zgrzytanie, jakby skała tarła o skałę. Słyszał krzyki, które nie przypominały ludzkich, jeśli w ogóle były krzykami; a potem świat zaczął wirować i trząść się i wielkie bloki ciemności zaczęły spadać na niego i grzebać go, aż w końcu ostatni błyszczący srebrny krąg ukazał się na atramentowej powierzchni jeziora i rozszedł na zewnątrz w tysiącu kręgów, jeden za drugim, błyszczące okręgi, które nigdy się nie połączą, jak chińska metalowa łamigłówka.

Otworzył oczy. Salonik wydawał się prawie taki sam, z wyjątkiem tego, że słońce było teraz jakby zamglone, a żaluzje wydymały się o wiele wolniej w popołudniowym wietrze. Wstał wolno, nagi, chudy i ciemny, i rozejrzał się wokół z zaciekawieniem. Był teraz zupełnie pewien, gdyż przypomniał sobie, co mówił mu Randolph o swoim transie śmierci. Przeszedł przez pokój, jakby płynął, uniósł żaluzję i spojrzał na ulicę. Samochody przejeżdżały jak we śnie; skrawek gazety posuwał się po ulicy z wdziękiem rozwijającego się kwiatu.

Doktor Ambara odwrócił się od okna i podszedł do bambusowego krzesła, gdzie zostawił swoje ubranie. Stwierdził, że ciężko mu jest się ubrać; ubranie czepiało się skóry, jakby było silnie naelektryzowane. W końcu jednak udało mu się zapiąć koszulę i przeszedł przez hol do drzwi wyjściowych.

Nad stolikiem z telefonem, gdzie stały suszone kwiaty, wisiała kolorowa fotografia Any. Sam zebrał i ususzył te kwiaty w tydzień po tym, jak zmarła Ana. Patrzył na nią przez chwilę: ciemna owalna twarz, ciemne splecione w warkocz włosy; czerwone wargi, ledwo się uśmiechające, i te oczy, które patrzyły na niego przez trzy lata, nie widząc go.

Czasami, w nocy, gdy leżał w łóżku, czuł zapach jej perfum. Czuł, jak przewraca się we śnie. Największym cierpieniem było wypowiedzieć jej imię, a potem obudzić się i zdać sobie sprawę, że ona nigdy nie odpowie, już nigdy.

Otworzył drzwi i wyszedł na mgliste słońce. Nie mieszkał w najlepszej części

Germantown i nigdy nie usiłował zapisać się do Farmington Country Club czy Memphis Hunt Polo Club. Mieszkał jednak w ładnym zespole nowych sosnowych domków niedaleko Neshoba Community Centre i dziesięć minut od Hinduskiego Ogrodu Świątyni, gdzie spoczywała teraz uświęcona dusza Any.

Zgodnie z hinduską praktyką ciało Any zostało spalone, a prochy rozsypane po Missisipi. Dwanaście dni później odbył się drugi pogrzeb, *nyekah*, aby uwolnić jej duszę od emocji i ziemskich myśli. Jej oczyszczona dusza pozostała w świątyni Ambary, świątyni, w której – ze względu na to, że Ambara nie miał dzieci – nie będzie nigdy innej duszy oprócz jej i jego, Idu Bagusa Ambary. Doktor Ambara często zastanawiał się, kto go opłacze, kiedy on umrze, kto go spali i upewni się, że Yama, bóg zmarłych, otrzyma wszelkie konieczne ofiary.

Sunął ulicami pod cętkowanymi cieniami nowo posadzonych wiązów i czeremch. Na chodnikach bawiły się dzieci. Unosiły głowy i obracały się, kiedy je mijał, czując, że ktoś zakłócił im zabawę, niezupełnie jednak rozumiejąc kto.

Parszywy biało-brązowy cocker-spaniel szczerzył na niego, potem jednak zatrzymał się gwałtownie, nastawił uszy i wydał dziwne skamlenie.

Popołudnie było słoneczne i gorące, ale doktorowi Ambarze było dziwnie zimno. Chudy, w okularach i jedwabnej brązowej koszuli poruszał się przez hałaśliwe ulice Germantown jak na wpół zapomniany duch. Z całych sił starał się zachować spokój, pamiętając, co Michael mówił o niepokojeniu lejaków. Mimo wszystko w klatce piersiowej czuł ucisk, uczucie strachu i szczęścia naraz, a także wywołującego zawrót głowy triumfu, że bez pomocy udało mu się wejść w trans śmierci. Być może opuścił jakieś modlitwy; być może nie udało mu się wyrecytować świętych mantr w tradycyjnym porządku; ale jego gorąca wiara przeniosła go ze świata ludzi do świata duchów i trzymała go tam, niedoświadczonego i przerażonego zdobywcę świata zmarłych. Ulice, po których szedł, nie były „prawdziwym Germantown”, ale „umarłym Germantown”, a jego przejście wzbudzało dawno minione wspomnienia tak jak kurz.

Doszedł do Hinduskiego Ogrodu Świątyni. Był to niewielki ogród, ćwierć mili od rynku, zacieniony przez sasafrasy i otoczony wysokim płotem. Przeszedł przez otwartą bramę i kroczył po betonowej ścieżce naokoło Świątyni Modlitwy. Słońce odbijało się od białych ścian świątyni. Świątynia zbudowana została pięć lat temu przez Hindusów żyjących w Memphis; był to prosty budynek oparty na planach użytych dla miejscowej kliniki zdrowia, ale architekci nadali mu właściwe proporcje *vihama*, doskonałego sześcianu, z sanktuarium *sikhara*, które było dokładnie dwa razy wyższe.

Doktor Ambara szedł miękko i cicho przez ogród, między rzędami gładko wyrzeźbionych kamiennych kapliczek. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że obok każdej kapliczki stoją bez ruchu białe przezroczyste postacie z zasłoniętymi twarzami, cierpliwie czekając obok pomników, gdzie spoczywają ich dusze. Zbliżył się i chciał zajrzeć im w twarze, ale jedna po drugiej postacie odwracały się od niego, jakby się wstydzily, że patrzy na nie ktoś śmiertelny.

Doktor Ambara zawahał się przez chwilę, a potem zmówił krótką modlitwę do Siwy, hinduskiego boga zniszczenia i ponownego stworzenia; boga, którego on, jako

należący do wysokiej kasty, osobiście wyróżniał. „O Siwa, uśmiechnij się do mnie. O, Siwa, ochraniaj mnie”. Potem rozejrzał się wkoło, sądząc, że postacie odwrócą się do niego twarzą. Ale one nie poruszyły się i milczały, a ich suknie powiewały biało w cichym, mistycznym wietrze.

Był tylko o dwa rzędy od kapliczki Any i wiedział, że powinien być podniecony i zadowolony. Jednak dziwny chłód zagnieździł się w nim, niespodziane uczucie lęku. Coś było nie tak, chociaż nie wiedział co. O ile widział, nie było tam lejaków. Trans śmierci nie rozwiął się, a jego wiara w to, że zobaczy Anę, pozostała niewzruszona. Jednak białe postacie przy kapliczkach były tak nieme, że jakoś go przerażały, i każdą następną postać mijał z coraz to większym lękiem, aż w końcu prawie biegł. Rozglądał się wciąż wokoło, aby sprawdzić, czy postacie patrzą na niego, gdy je już minął.

W końcu dotarł do końca rzędu, gdzie stała kapliczka Any, był tylko o dwadzieścia metrów od niej. Kapliczka stanowiła miniaturę świątyni Pura Puseh w Batubulan, gdzie urodziła się Ana. A tam przed nią z pochyloną głową stała odziana w biel postać. Doktor Ambara wiedział, że w końcu odnalazł swoją zmarłą żonę.

–Ana – wyszeptał i ostrożnie ruszył w jej kierunku.

–Ana – powtórzył głośniej i wyciągnął ramiona.

Postać nie odwróciła się. Nadal stała z pochyloną głową przed kapliczką, jakby była pogrążona w głębokiej modlitwie.

Doktor Ambara zwolnił kroku. Gorący popołudniowy wiatr szeleścił w liściach drzew sasafrasów. Zatrzymał się o pół metra od swej ukochanej Any, niepewny, co robić, prawie zdecydowany się cofnąć.

–Ana.

Imię wymówiono tak cicho, że było ledwie słyszalne wśród dźwięków owadów i odległego pomruku ulicy.

–Ana, to ja. Ana, moja kochana.

Wolno, ostrożnie doktor Ambara wyciągnął rękę, aby dotknąć ramienia Any. Serce tłukło mu się dziko w piersiach, było mu zimno i jednocześnie się pocił. Nagły powiew wiatru poruszył suknię Any i sukniami wszystkich postaci stojących przy swoich kapliczkach. Wtedy Ana odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć, i jednocześnie zdjęła szal z głowy. Doktor Ambara patrzył na nią w nagłym przerażeniu, ponieważ to wcale nie była Ana. Zamiast niej ujrzał przed sobą pokrytą popiołem twarz z wyszczerzonymi zębami oraz ślepiami błyszczącymi jak hutnicze piece.

Wiedział, że sam się oszukiwał, że wplątał się w trans śmierci jako amator i że lejaki musiały go śledzić od chwili, gdy opuścił dom. Prawdopodobnie tak niewprawnie recytował mantry, że bez pomocy w ogóle nie wszedłby w trans śmierci. Pomogła mu Rangda i jej służalcze psy, które towarzyszyły mu aż tu, do Ogrodu Świątyni, śliniąc się i oblizując z każdym krokiem na myśl o duszy żyjącego.

–Siwa, chroń mnie – powiedział z prostotą. Jego przerażenie było tak ogromne, że nie potrafił krzyknąć. Wiedział, że rozerwą go na strzępy i zaciągną do Rangdy; wiedział, że będzie cierpiał niewypowiedziane męki przez całą wieczność. Upadł na

kolana.

Lejak, który stał przy kapliczce Any, podszedł do niego cicho warcząc. Przystanął na chwilę, po czym prawą ręką przeciągnął po twarzy Ambary. Ambara poczuł pazury tak gorące jak ogień i mięśnie odpadające od kości policzkowych. Potem lejak drapnął go znowu obiema łapami i oślepił. Doktor Ambara przyjmował to okaleczanie ulegle, prawie z filozoficznym spokojem. Był w pełni świadom, że nie ma ucieczki i że jeśli będzie walczył, lejak natychmiast rozedrze go na strzępy. Próbował myśleć o Anie, o ekstazie, o życiu wiecznym i o Siwie, i zapomnieć, że skóra zwisa mu z twarzy krwawymi płatami i że lejak brudnym szponem wydarł mu najpierw jedno, a potem drugie oko.

Nie ruszał się z miejsca, klęcząc odmawiał modlitwy. Ciągłe się modlił, gdy do lejaka, który go oślepił, dołączyły następne trzy. Uchwyciły go pazurami i zaczęły ciągnąć.

Krzyknął raz, bez rozpacz. Potem bez ociągania pozwolił, by lejaki zabrały go do swojej pani.

Rozdział XXIII

Waverley Graceworthy minął podwójne drzwi ciepłarni i szedł, stukając obcasami po wyłożonej tureckimi kafelkami podłodze, odmierzonymi, precyzyjnymi krokami. Doszedł do białej ławki o metalowym, giętym oparciu, gdzie siedział Michael. Zatrzymał się i rozpiął kremową lnianą marynarkę, aby ukazać kanarkowożółtą kamizelkę z wiszącym złotym łańcuszkiem od zegarka.

–A więc tutaj jesteśmy – powiedział, jak gdyby szukał Michaela po całym domu. Zdjął kapelusz panama i zawiesił go na metalowym wieszaku. Michael, który siedział pochylony do przodu i palił papierosa, uniósł na chwilę wzrok, ale nic nie odpowiedział. Kilka metrów dalej obserwował go Reece piłując paznokcie, uśmiechając się i kiwając na krzesło w przód i w tył. Tym razem Reece zamiast panterki miał na sobie podkoszulek „Memphis Showboats”, a na jego podobnej do maski twarzy malowało się zadowolenie. Waverley dobrze go wynagrodził za dostarczenie Michaela na Elvis Presley Boulevard.

Waverley skinął, Reece wstał i podał mu krzesło. Ponad ich głowami w białej żelaznej ramie ciepłarni trzepotały i ćwierkały ptaki, a słońce przeświecało szafranowo przez misternie zdobione wzorami szyby. Ciepłarnia Waverleya była niezwykła. Zbudowana na tyłach domu w 1914 roku, była długą na sto metrów katedrą o strzelistym dachu, z galerią, na którą wchodziło się po krętych schodach znajdujących się na obu krańcach. Sprowadzono tu tropikalne i subtropikalne rośliny z całego świata, włącznie z niezwykłą kolekcją drzew palmowych środkowego południa, jak trzciniopalma, widlica tebańska, palma kokosowa i rafia. Waverley podziwiał palmy, ponieważ były pożyteczne i jednocześnie atrakcyjne; dostarczały wszystkiego, od nasion palmy i północnoamerykańskiej po sago.

–Powinieneś czuć się tu jak w domu – powiedział do Michaela, opierając się na swojej lasce. – Atmosfera podobna do tej na Bali, jak przypuszczam.

Michael wyjął papierosa z ust i zdusił go na podłodze.

–Na Bali – powiedział – ludzie szanują wolność drugich.

–Ależ, mój drogi przyjacielu – odparł Waverley – nie miałem zamiaru trzymać cię tutaj wbrew twojej woli. Jedynym powodem tego, że pan Reece przywiózł cię tutaj raczej w gwałtowny sposób, było to, że obawiałem się, iż mógłbyś źle zrozumieć moje zamiary.

–Nie sądzę – odparł Michael. – Ten Reece, czy Ecker, czy jak mu tam, zabił niedawno człowieka, którego znałem, i prawdopodobnie zabił jeszcze kilku innych, a także próbował zabić mnie, i jak mi wiadomo, zrobił to wszystko na pana polecenie.

Waverley wydał wargi.

–Richard nie chciał być porywczy.

–Morderstwo z zimną krwią nazywa pan porywcznością?

–No, może porywczy to niewłaściwe słowo. Ale; pewnością Richard był uparty. Prawda, Richard?

Reece wyszczerzył zęby w uśmiechu i powrócił do swoich paznokci.

–Dobrze. Zatem co, do diabła, tutaj się dzieje? Przyciągnęliście mnie chyba z jakiegoś powodu; nie sądzi pan, że powinienem wiedzieć, z jakiego? – powiedział

Michael do Waverleya.

Waverley przytaknął.

–Godna pochwały bezpośredniość. Lubię bezpośredniość. Dlatego nigdy nie robię interesów z Japończykami. Sprowadziłem cię tutaj, ponieważ słyszałem, że posiadasz szczególny talent. To znaczy, że jesteś w stanie spotykać się z ludźmi, których nie ma już wśród nas, którzy odeszli na wyższy duchowy poziom, jak to się powiada.

–To znaczy że zmarłymi – wtrącił Michael.

Waverley uniósł dłoń, aby dać do zrozumienia, że „zmarli” są słowem, którego ze względu na dobry smak nie chciałby używać.

–Rozumiem, że możesz osiągnąć ten niezwykły stan nie tylko sam, ale również możesz wprowadzić w niego inne osoby – przerwał, a potem dodał: – Za wynagrodzeniem.

Michael nie poruszył się, nachylony do przodu na ławce, z dłońmi złożonymi razem, wybijając cały czas jakiś rytm swoimi tenisówkami.

–Jakiś czas temu, dokładnie trzydzieści jeden lat temu – powiedział Waverley – po serii rodzinnych nieszczęść straciłem moją ukochaną żonę.

Przerwał znowu, przełknął ślinę, zdjął okulary.

–Miała na imię Ilona. Była niezwykle piękna, urocza i czarująca. Wiedziałem, że będzie mi jej brakowało, ale nie spodziewałem się, że moja tęsknota za nią nigdy nie osłabnie i że na zawsze będzie dla mnie brzemieniem, ciężkim brzemieniem, które nigdy nie opuści mojego serca. Panie Hunter, brakuje mi jej tak bardzo jak w 1953 roku, gdy zmarła, i muszę panu powiedzieć, że dam panu wszystko, aby ją zobaczyć.

Chociaż żądanie nie zostało wypowiedziane wprost, Michael wiedział, że Waverley pragnie, aby go zabrał w trans śmierci. Oparł się, sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął papierosa Lion z pogniecionej paczki. Gdy włożył go do ust, Waverley pstryknął palcami na Reece'a.

–Zapał mu – powiedział.

Jednakże Michael zignorował zapalniczkę Reece'a i podpalił papierosa swoimi zapałkami.

–No i? – spytał w końcu Waverley.

–No i co?

–Chciałbym znów zobaczyć Ilonę. Pomożesz mi?

Michael pokręcił głową.

–Jestem już zajęty.

–Masz na myśli Randolpha Clare?

–Zgadza się. Poza tym nie podoba mi się pański sposób załatwiania spraw. Cała ta przemoc, broń, zmuszanie ludzi. Osoba, która tak postępuje, nie będzie bezpieczna w transie śmierci. Zbyt wiele negatywnych myśli krąży po pana głowie, za mało spokoju, za mało wytchnienia. Lejaki znajdą pana w chwili, gdy przekroczy pan bramę.

–Lejaki? – zdziwił się Waverley. – Kim są te lejaki?

–Proszę mi wierzyć – powiedział Michael – lepiej, żeby pan nie wiedział, kim one

są, ani teraz, ani nigdy.

Reece wykonał trzy krótkie gesty w języku migowym. Waverley zmarszczył brwi, próbując je odczytać, a potem spojrział znowu na Michaela.

–Demony? – spytał. – Czy o nich próbuje mi powiedzieć?

–W pewnym sensie demony, tak.

–Panie Hunter, nie jestem pewien, czy wierzę w demony.

–Uwierzyłby pan w lejaki, gdyby któryś z nich wydarł panu serce z piersi.

Waverley wstał i zrobił małe kółko po podłodze cieplarni.

–A więc to niebezpieczne – powiedział z namysłem. No cóż, podejrzewam, że można poradzić sobie nawet z demonami, jeśli się podejździe do sprawy właściwie. Byłeś już wcześniej w tym transie śmierci, spotkałeś te demony. Jak sobie z nimi poradziłeś?

–Uciekałem – odparł Michael.

Reece pociągnął Waverleya za rękaw i w języku migowym opisał pokrótce, co stało się przy bramie Świątyni Zmarłych w Denpasar, kiedy lejaki śledziły Michaela i Randolpha, a Michael użył lustra, aby się przed nimi obronić.

–Nie rozumiem dokładnie wszystkiego, ale najwidoczniej użyłeś lustra.

–Przed lejakami można się obronić, jedynie robiąc im zdjęcie i paląc to zdjęcie na ich oczach – powiedział Michael. – Był czas, kiedy używałem właśnie tego sposobu, polując na lejaki, coś w rodzaju małej zemsty, można by tak powiedzieć. Używałem wtedy polaroidu. Było to ryzykowne, ale się świetnie sprawdzało. Pomyślcie o kapłanach, którzy używali tej samej zasady dawniej, zanim wynaleziono fotografię. Brali z sobą pióro i pędzle i próbowali skreślić portret lejaków. Większość z nich została zmasakrowana, zanim udało im się naszkicować choćby kontury. Istnieje sławny szkic w Muzeum Bali: nie dokończony rysunek lejaka na kartce papieru spryskanej zaschlą krwią. Pochodzi sprzed stu lat z transu śmierci jednego z najsłynniejszych pedanda.

Waverley czekał, sądząc, że Michael będzie jeszcze mówił, ale kiedy tamten milczał, poderwał się ostro:

–Te rośliny tutaj są bardzo rzadkie. Nie znoszą dobrze papierosowego dymu.

–Czy widział pan, żebym częstował je papierosem? – odparł Michael. – Jeśli nie chce mieć pan tu dymu, proponuję, aby mnie pan wypuścił.

–No, no, bystra uwaga – odparł sucho Waverley. – Żałuję, ale nie mogę wypuścić cię, dopóki nie zabierzesz mnie w trans śmierci.

Michael potrząsnął głową.

–Nie zrobię tego. Z ledwością uszedłem cało w zeszłym tygodniu. Mam zamiar wykonać jeszcze tylko jeden trans, ostatni, o ten trans poprosił mnie pan Randolph Clare. Przynajmniej jego umysł jest spokojny i czysty, a nie zbrukany zabijaniem ludzi jak pański. Zabranie kogoś takiego w trans śmierci może być samobójstwem dla nas obu.

–Nawet z polaroidem? – spytał Waverley, z trudem powstrzymując wybuch.

–Trzeba namierzyć lejaka i sfotografować go, zanim się zorientuje, co się dzieje. Wtedy unikając jego pazurów i kłów, trzymając przed nim zdjęcie, trzeba je spalić i

zrobić to tak, aby spaliło się szybko. Wierzcie mi, to nie piknik.

–Dobrze zapłacę – powiedział Waverley. – Obojętnie, jaką stawkę dał ci Randolph Clare, ja ją podwajam.

**–Nie da rady – upierał się Michael. – Nie interesuje mnie, ile pieniędzy mi pan zapłaci. Jeśli zginę,
i tak ich nie dostanę.**

–Mógłbym zabić cię teraz – powiedział zimno Waverley.

–No cóż, jestem pewien, że mógłby pan – zgodził się Michael, jednak bez zacepności. Bał się Reece'a i uznał Waverleya za niepokojąco uprzejmego, okrutnego i nieobliczalnego. Ale nie było wyboru. Wejście w trans śmierci z Waverleyem oznaczałoby złożenie siebie w ofierze Rangdzie. Wszystko, na co mógł liczyć, i jeśli chodzi o przeżycie, to ogromna duchowa i geograficzna odległość między Bali, „pępkiem świata”, a Memphis, Tennessee, „miastem dobrego osiedlenia się”. Być może odległość jest wystarczająco wielka, aby można wejść w trans śmierci bez niepokojenia lejaków.

Poza tym, o ile Michael wiedział, nikt w Memphis ani w Stanach Zjednoczonych nie usiłował wejść w trans śmierci, a z pewnością nie ostatnio, a więc lejaki prawdopodobnie nie interesowały się tym obszarem jako miejscem żerowania. Najbliższym miejscem na zachodniej półkuli, gdzie polowały lejaki, było Haiti. Adeptci voodoo nadal uprawiali tam pewien rodzaj transu śmierci i dawali lejakom okazję pożarcia dusz istot żywych. Na Haiti, oczywiście, lejaki miały inną nazwę, zombi.

–Potrafisz myśleć, prawda? – powiedział Waverley. – Umiesz ocenić szanse? Być może nie jest to tak niebezpieczne, jak próbujesz nam wmówić.

–Nie chodzi tylko o niebezpieczeństwo – odparł Michael. – Mam jeszcze jedno zobowiązanie do wypełnienia, zobowiązanie wobec Randolpha Clare.

–Randolph Clare nie jest odpowiednim człowiekiem do robienia interesów, przynajmniej w Memphis – zauważył surowo Waverley. – Randolph Clare jest – jak by to powiedzieć – kimś w rodzaju pariasa.

Michael niespodziewanie wstał. Reece stuknął dwoma przednimi nogami krzesła o podłogę i także wstał, nagle groźny.

–Nadal odmawiam – powiedział Michael.

–To bardzo niedobrze – odparł Waverley. – Niedobrze dla mnie, oczywiście, ponieważ pragnę ciągle spotkać się z moją ukochaną Iloną, ale jeszcze gorzej dla ciebie, ponieważ będę cię tu trzymał zamkniętego, aż zgodzisz się mnie zabrać.

–Nie może mnie pan tu trzymać. To porwanie – rzucił wyzywająco Michael.

–Mój drogi chłopcze, mogę cię tu trzymać tak długo, jak będzie mi się podobało, i nie możesz nic na to poradzić. Kto będzie cię szukał? Twój cenny Randolph Clare?

–Mam przyjaciół na Bali – rzucił Michael. – Jeśli nie będą mieli ode mnie znaku, zaczną sprawdzać w ambasadzie amerykańskiej, a w ambasadzie też mam przyjaciół.

Reece przekazał coś Waverleyowi w języku migowym, a Waverley nagle się uśmiechnął.

–Mam nadzieję, że wszyscy twoi przyjaciele na Bali są tak niezawodni jak twoja amerykańska dziewczyna.

–O kim pan mówi?

–Jest ładna.

–Jennifer Dunning? Co z nią?

–Zgodnie z tym, co mówi Richard, to właśnie panna Dunning powiedziała mu, gdzie ciebie znaleźć, gdy jesteś w tym transie śmierci.

Michael popatrzył na niego, potem na Reece'a.

–Co to za gra?

Reece wyszczerzył zęby w uśmiechu i zrobił sugestywne kółko z kciuka i wskazującego palca. Potem wydał dziwny gardłowy śmiech, który brzmiał jak dławienie się dziecka.

–Jesteście wszyscy nienormalni, wiecie? – wysapał Michael. – Ty i on, obaj. Para nienormalnych wariatów.

–Richard zapewnił mnie, że mówi prawdę. To panna Dunning cię wydała.

Przez ułamek sekundy Michael wahał się, potem jego tenisówki zapiszczały na kafelkowej podłodze, nagle skoczył, zrobił zwód i pomknął ku najbliższym drzwiom. Reece momentalnie ruszył za nim, skacząc ponad metalową ławką. Michael dotarł do drzwi, zmagając się z klamką i wtedy Reece go złapał.

–Nie zrób mu krzywdy! – krzyknął Waverley.

Reece złapał go zgiętym ramieniem za szyję, po czym dał mu potężny cios w nerki. Michael upadł na podłogę, uderzając twarzą o kafelki i odłamując sobie kawałek przedniego zęba. Leżał tak sparaliżowany przez prawie pół minuty, obserwując w bezradnym cierpieniu zbliżające się buty Waverleya. Waverley stał przez chwilę nad nim – dwa na zamówienie wykonane beżowe buty do golfa i nieskazitelne kanty spodni – a potem dźgnął Michaela swoją laską.

–Chcę, żebyś zrobił to, o co cię proszę, mój przyjacielu, to znaczy zabrał mnie w trans śmierci.

Michael potrząsnął głową. Krwawa ślina ściekała mu z ust na podłogę.

–Nie – wykrztusił.

–Bardzo dobrze – powiedział Waverley. – Richard zaprowadzi cię na górę, gdzie będziesz zamknięty bez jedzenia, aż zmienisz zdanie. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie.

Reece szarpnięciem uniósł go na nogi. Michael był blady i z trudem łapał powietrze. Patrzył na Waverleya z gwałtownym niedowierzaniem.

–Nie rozumiem, po co ktoś taki jak pan chce wejść w trans śmierci – powiedział ochryple.

–Dlaczego? – rzekł Waverley.

–Ludzie pragną wejść w trans śmierci z jednego czy dwóch powodów. Albo z powodu pieniędzy, albo by wyrazić swoją miłość tym, których stracili. Czasami pragną zemsty, ale niezbyt często. Mam wrażenie, że pan ma mnóstwo pieniędzy, a także że potrafi się zemścić już tutaj, na ziemi, w rzeczywistym świecie, nie przenosząc tego za grób. Zostaje miłość. Ale pan? Pan i miłość? Pan nie kocha nawet samego siebie.

Reece zaczął wykręcać Michaelowi ramię, ale Waverley wyciągnął dłoń, aby go

powstrzymać. Przyglądał się Michaelowi, a potem powiedział szczególnie marzycielskim głosem:

–Może masz rację. Może rzeczywiście nikogo nie kocham, nawet siebie. Straciłem zdolność do miłości, gdy straciłem Ilonę. Kochałem ją i nikogo więcej. Masz rację, tak. Ale pragnę wejść w trans śmierci, abym mógł odnaleźć znowu tę miłość, tę miłość, którą straciłem.

–Niech mi pan wierzy, jej tam nie ma – powiedział Michael twardo. – Miłość musi pochodzić z ciebie, a nie z duszy, którą próbujesz odszukać. Dusze nie doświadczają emocji w taki sam sposób co my. Jedyłą miłością, którą możesz otrzymać od duszy, jest twoja własna, odbita z powrotem ku tobie.

–Zabierzesz mnie? – zażądał Waverley, nagle rozdrażniony.

–Nie – wyszeptał Michael.

Waverley kiwnął głową i Reece chwycił mocniej Michaela za ramię, wypychając go z cieplarni przez drzwi do domu. Zostawszy sam, Waverley przechadzał się w tę i z powrotem, dotykając liści swoich roślin, podziwiając ich wspaniałe tropikalne kwiaty, zatrzymując się tu i tam, aby się rozejrzeć.

Reece wrócił, bez ustanku napinając swoje mięśnie jak trener Straży Narodowej.

–Uparty chłopak – skomentował Waverley.

Reece zrobił minę i skrzywił się.

–No cóż, nieważne – kontynuował Waverley. – Będzie musiał współpracować prędzej czy później, aby odzyskać swoją wolność. Jak myślisz, czy on ma rację, twierdząc, że trans śmierci jest taki niebezpieczny, czy przesadza?

Reece przeciągnął palcem po gardle i przypomniał Waverleyowi, co stało się z Bobem Stroupem i Jimmym Heacoxem.

–A, tak – odparł Waverley – ale oni się wtrącali, prawda? Hunterowi i Randolphowi udało się wyjść stosunkowo bez szwanku i wydaje mi się, że z lepszą organizacją trans śmierci byłby prawdopodobnie znacznie bezpieczniejszy. Polaroid, powiedział. Powinniśmy się postarać o taki i kilka filmów.

Reece wyglądał, jakby miał wątpliwości. Waverley odwrócił się, uśmiechnął do niego, po czym żartobliwie pogłaskał go pod brodą końcem swojej laski. Gdyby zrobił to ktoś inni niż Waverley, Reece z pewnością złamałby mu kark.

–Widzę, że te sprawy z duchami przerażają cię – zakpił Waverley. – Stawiałeś czoło miotaczom ognia, moździerzom i naostrzonym bambusowym palom. Przeżyłeś nawet, gdy odcięto ci język. Ale duchy, upiory naprawdę cię denerwują. Demony i wampiry!

Waverley zaśmiał się i uderzył laską o podłogę.

–No cóż, mój przyjacielu, będziesz musiał przełknąć swój lęk, ponieważ mamy coś do załatwienia w świecie duchów. Musimy uciszyć Marmie Clare, zanim Randolph się z nią skontaktuje i zacznie poszukiwać dowodów, że to ty pozbyłeś się jej i że masz powiązania ze mną. Musimy też porozmawiać z moją ukochaną Iloną i dowieść tego, co podejrzewałem przez prawie czterdzieści lat. Tym razem bez wątpliwości i bez domysłów, a potem będziemy mieli Randolpha Clare, zgniecionego, zrujnowanego, a to będzie nawet lepsze od zabijania go.

Reece wysłuchał go i skinął głową, chociaż wyczuwał już fanfaronadę w wysokim głosie Waverleya i wiedział, że on nigdy nie mówi prawdy nikomu, a już szczególnie sobie. Waverley wymawiał słowa „moja ukochana Ilona” z rozmyślnym sarkazmem, ale Reece słyszał go przy innych okazjach, kiedy kłócił się i krzyczał na siebie, a potem wymawiał imię Ilony na głos, jak mężczyzna błagający kobietę. Tragedia śmierci Ilony według Waverleya polegała na tym, że odebrała mu dumę, a jak dla większości mężczyzn małej postury, duma dla Waverleya była ponad wszystko, nawet ponad pieniądze. Nawet ponad Boga.

Reece wykonał lakoniczny gest, który oznaczał: „Ciągle jeszcze mogę zabić Randolpha Clare, a wtedy nie będziemy musieli narażać się, wchodząc w trans śmierci”.

Ale Waverley odparł:

–Nie, Richard. Nie teraz. Zbyt wiele osób nas podejrzewa, a gdyby Randolph Clare teraz zmarł... no cóż, nie jestem pewien, czy nawet Szef Moyne mógłby nas ochronić. Gdybyś pozbył się go na Bali, to inna sprawa, szczególnie że był zamieszany w coś nielegalnego. Ale teraz jest za późno. Poza tym ten sposób jest o wiele doskonalszy i bardziej dyskretny. I – jak to powiedzieć? – bardziej finezyjny. Tak, jest całkiem finezyjny.

Kiedy Waverley rozmawiał z Reece'em, Randolph próbował dowiedzieć się, gdzie może być Michael. Z bólem wstał z łóżka i zszedł do biblioteki. Usiadł za biurkiem w niebieskim jedwabnym szlafroku, telefonując do każdego, kto mógłby coś powiedzieć, gdzie wyszedł Michael i dlaczego.

Telefon doktora Ambari dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki. Biuro indonezyjskie na Madison Street nie słyszało o nikim o nazwisku Hunter. Żadna z linii lotniczych nie przyjęła rezerwacji na nazwisko Michaela Huntera, chociaż Sunbelt Airlines miało przewieźć do Phoenix późnym wieczorem kogoś o nazwisku Ali Hunter III. Recepcjonista w Days Inn, gdzie zatrzymał się Michael, wszedł do jego pokoju dzięki służbowemu kluczowi, ale stwierdził, że „wszystko w porządku. Bagaż nadal jest, a więc nie mógł się wypisać, a jak pan wie, jego zakwaterowanie jest zapłacone za miesiąc z góry. Może po prostu poszedł się przejść”.

W końcu Randolph zadzwonił do Wandy, która wróciła do biura, aby skończyć kontrakt z Petersenem.

–Nie ma Michaela – powiedział.

–Jak to możliwe? Rano dzwoniłam do niego i miał się całkiem dobrze.

–Czy mówił, że wybiera się na spacer lub coś w tym rodzaju?

–Powiedział, że później chce iść popływać. I przyrzekł, że do mnie zadzwoni, zanim zejdzie na dół na basen. Traktował poważnie swoje bezpieczeństwo.

Randolph potarł oczy.

–Chyba go nie wysłedzili, prawda?

–Nie sądzę. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, aby nikt nie dowiedział się, gdzie przebywa.

–Dzwoniłem do doktora Ambari, ale nie mogę go złapać. Doktor Ambara nie powiedziała nikomu, prawda? To znaczy, nie był łąsy na pieniądze lub coś w tym

rodzaju? Gdyby Orbus czy Waverley dali mu dwadzieścia tysięcy, aby powiedział, gdzie ukrywa się Michael, czy przyjąłby je? Jak sądzisz?

–Nie, nie sądzę, żeby je przyjął – odparła Wanda uspokajająco.

Wtedy w jego telefonie zaczęło migać drugie światełko.

–Poczekaj chwilę – powiedział. – I przepraszam, nie chciałem być nielojalny wobec doktora Ambary, ale wiesz, takie rzeczy się zdarzają...

Podniósł drugą słuchawkę i powiedział:

–Tak?

To był Charles.

–Days Inn do pana. Mówią, że prosił pan o telefon, gdyby mieli jakieś informacje o panu Hunterze.

–Dziękuję, Charles. Możesz mnie połączyć? Dzwonił ten sam recepcjonista, z którym Randolph rozmawiał dwadzieścia minut temu.

–To prawdopodobnie nic nie oznacza – powiedział matowym głosem – ale jeden z moich sprzątaczy widział, jak pan Hunter opuszczał hotel po południu z dwoma mężczyznami. Zwrócił na nich uwagę, ponieważ obaj byli ubrani w coś w rodzaju mundurów i wyglądali – mogę jedynie zacytować, co powiedział ten sprzątaczy – na „twardzieli”. Przepraszam, jeśli to ktoś z pańskich przyjaciół.

–Nie, dziękuję, to nie są moi przyjaciele i bardzo dobrze pan zrobił, dzwoniąc do mnie.

–Dziękuję, panie Clare. Próbujemy pomóc.

Randolph wrócił do rozmowy z Wandą.

–Nie uwierzysz. Reece go ma. Jeden z hotelowych sprzątaczy widział, jak wychodził po południu z dwoma mężczyznami w wojskowych kurtkach.

–O mój Boże. To znaczy, że ma go Waverley Graceworthy.

–Na to wygląda.

–Ale bez Michaela nie będziesz mógł załatwić swojej sprawy z Cottonseed Association, prawda? Jeśli nie wejdiesz w następny trans śmierci i nie porozmawiasz z Marmie...

Randolph przez chwilę milczał.

–Moja sprawa z Cottonseed Association nie jest najważniejsza.

–Wiem – odparła Wanda ze współczuciem.

Oboje zdali sobie sprawę bez mówienia tego na głos, że Waverley Graceworthy był zdolny zabić Michaela i postarać się, aby jego ciało przepadło nie znalezione. A jeśli Michael umrze, nie było żadnej nadziei, że Randolph zdobędzie jakiś nowy dowód przeciwko Waverleyowi i że kiedykolwiek zobaczy Marmie.

Randolph nagle zdał sobie sprawę, że perspektywa ponownego zobaczenia Marmie była jedyną inspiracją jego działań przez ostatnie dwa tygodnie i nawet widoki na uratowanie Clare Cottonseed były niczym w porównaniu z tą palącą nadzieją. Wyjął chusteczkę i otarł oczy. Roztrzęsiony przełożył słuchawkę do drugiej dłoni.

–Co masz zamiar zrobić? – spytała Wanda.

–Zadzwońię do Szefa Moyne na początek.

–Szef Moyne i Waverley Graceworthy są serdecznymi przyjaciółmi. Sam mi to mówiłeś.

–Jednak nastąpiło porwanie. A to poważne przestępstwo i Dennis będzie musiał przedsięwziąć jakieś działania. Nie może tego zlekceważyć.

–Dobrze – zgodziła się Wanda. – Ale zaraz zadzwoń do mnie i zrelacjonuj, co ci powiedział. Zostanę w biurze, dopóki się nie odezwiesz.

–Jak tylko skończę, zadzwonię.

Randolph poprosił Charlesa, aby odszukał Szefa Moyne. Udało mu się to po trzech czy czterech minutach. Szef Moyne zdawał się zdenerwowany i nie w humorze.

–Randy? Miałem właśnie wypaść z biura. Dziś wieczorem są fajerwerki i Bawełniany Karnawał. Już jestem piętnaście minut spóźniony. Charlotte chyba mnie zabije.

–Dennis, to ważniejsze niż Bawełniany Karnawał.

–Powiedz to Charlotte. Ubierała się na niego przez całe ostatnie dwa tygodnie.

–Dennis, kiedy wróciłem w zeszłym tygodniu z Indonezji, przywiozłem ze sobą przyjaciela. Młodego metysa, pół-Amerykanina, pół-Indonezyjczyka. Zatrzymał się w Days Inn na Brooks Road. Dziś wieczorem, gdy do niego zadzwoniłem, nie było go.

Nastąpiła długa cisza. Potem Szef Moyne zapytał wyraźnie wymijająco:

–Co powiedziałeś? Kto? Przykro mi, Randy, nie słuchałem uważnie.

–Dennis, mój przyjaciel został porwany. Ostatnio widział go sprzątacze hotelowy, jak szedł eskortowany przez dwóch mężczyzn w wojskowych kurtkach.

–Porwany? – spytał Szef Moyne zdumiony.

–A jak nazwiesz to, gdy człowiek zostaje zabrany siłą z hotelowego pokoju przez dwóch wynajętych zbirów?

–No cóż, wszystko to jest bardzo mgliste – odparł Szef Moyne. – Dwaj mężczyźni w kurtkach wojskowych, powiadasz? Ale nie było wyraźnego dowodu uprowadzenia siłą?

–Kazałem przyjacielowi zostać w hotelu i nie ruszać się, dopóki nie dam mu pozwolenia.

–A, tak? A ile lat ma twój przyjaciel?

–Nie wiem. Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy.

–No cóż, Randy, przykro mi, ale obawiam się, że bez względu na to, jak zdecydowanie kazałeś przyjacielowi zostać w hotelu, jest pełnoletni, prawda? Mógł wyjść stamtąd, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. To znaczy, rozumiesz, prawda? Kiedy zostaje porwane dziecko, wszystko jest proste, ale kiedy dorosły wychodzi przejść się z dwoma innymi dorosłymi bez oznak uzbrojenia czy przemocy fizycznej, no cóż, to co innego.

–Skąd wiesz, że nie było oznak uzbrojenia czy fizycznej przemocy? – spytał Randolph.

–Ponieważ nie wspomniałeś o tym, oto dlaczego. I ponieważ pierwszą rzeczą, którą byś powiedział, mój drogi, byłoby to, że zabrano go trzymając na muszce albo z pętlą na szyi lub z wykręconymi do tyłu ramionami.

–Dennis – powiedział Randolph. – Nie jesteś zbyt pomocny. Ci dwaj mężczyźni odpowiadają opisowi wynajętych bandytów Waverleya Graceworthy’ego. Jeden z nich nazywa się Reece czy Ecker. Mam wszelkie powody, by wierzyć, że mojego przyjaciela porwał Waverley.

–Waverley? – zaśmiał się SzeF Moyne. Randolphowi trudno było stwierdzić przez telefon, czy jego wesołość była szczerą czy udawaną.

–Dlaczego Waverley miałby kogoś porywać, a już szczególnie metyskiego guru z Indonezji?

–Nie powiedziałem, że on jest guru.

–Czyż oni wszyscy nie są guru? Posłuchaj, Randolphie, naprawdę muszę uciekać. Może porozmawiamy rano.

–Nie powiedziałem, że on jest guru, Dennis. Kto ci powiedział, że on jest guru?

–Powiedziałeś – upierał się SzeF Moyne. – Metyski guru, tak się wyraziłeś. A teraz może umówmy się, że wpadniesz jutro rano i przedyskutujemy to na chłodno?

–Nie mogę wpaść do ciebie jutro, ponieważ mój przyjaciel został dziś pozbawiony wolności, a poza tym jego wysokości Waverleyowi Graceworthy’emu może przyjść do głowy pomysł, aby się go pozbyć.

–Co ty sugerujesz? – dopytywał się SzeF Moyne.

–Być może to oszczerstwo – odparł Randolph – ale mogę to udowodnić i sądzę, że gdyby ci zależało – ty również. Waverley Graceworthy zapuścił swoje żądła zbyt głęboko, Dennis, i nadszedł czas, abyś przestał tańczyć.

–Wolę zapomnieć o tej uwadze – odparł cicho SzeF Moyne. – Rozumiem, że powiedziałeś to w przychylnym emocji.

–Nie chcę, abyś o niej zapomniał, Dennis. Chcę, żebyś wypalił ją sobie w pamięci niczym gorącym żelazem.

–Posłuchaj, Randy – powiedział SzeF Moyne, tym razem nieprzyjemnie. – Pozwól, że przyślę ci jednego z moich starszych oficerów. Może omówisz to z nim.

–Nie potrzebuję tego omawiać, Dennis. Wiem, co się dzieje. Nie urodziłem się wczoraj i nie mam zamiaru jutro umrzeć. Chcę, abyś w tej chwili wysłał grupę i otoczył dom Waverleya Graceworthy’ego, i chcę, aby mój przyjaciel wyszedł z tego żywy.

SzeF Moyne wydał długie westchnienie.

–No cóż, przykro mi, Randy. Rozumiem twój gniew, ale nie mogę tego zrobić, nie bez wyraźnego uzasadnienia, a nawet wtedy ryzykowałbym swoją posadę.

–Wierz mi, Dennis, złamię cię za to, choćby to była ostatnia rzecz, jaką miałbym zrobić – ostrzegł go Randolph. – Byliśmy przyjaciółmi, ty i ja. Razem jadaliśmy obiady, razem jeździliśmy na ryby, oglądali mecze. Szanuję cię – a przynajmniej szanowałem – ponieważ zawsze byłeś niezależny i zawsze trzymałeś się prawa, bez względu na wszystko. Tak, Dennis. Tak było! A teraz zobacz, mój przyjaciel został porwany, a ty równie dobrze jak ja wiesz, kto jest za to odpowiedzialny. A jednak nic nie robisz. Jesteś zmrożony. Ponieważ, niestety, Dennis, nie możesz zrobić kroku, dopóki Waverley Graceworthy na ciebie nie kiwnie.

–Moja córka miała raka – odezwał się SzeF Moyne nieswoim głosem. – Wiesz o

tym. Była trzy lata w szpitalu Baptist Memoriał, zanim zmarła. A więc, wiesz, nie mów mi o szacunku.

–Zatem nie zrobisz tego? Nie wejdiesz do domu Waverleya i nie zabierzesz stamtąd mojego przyjaciela?

–Nie.

Randolph oblizał wargi i stwierdził, że są suche. Zaczął czuć się tak, jakby stał na wyspie, która stopniowo jest okrawana pod jego stopami. Cał po calu, bryła po bryle, aż w końcu nic nie zostanie oprócz czarnego przerażającego morza.

–Idź sobie na swój bal, Dennis – powiedział łagodnie i odłożył słuchawkę.

Siedział za biurkiem przez minutę czy dwie, zanim ponownie podniósł telefon i zadzwonił do Wandy.

–Miałaś absolutną rację co do Szefa Moyne. Nie chce pomóc. Waverley opłacił pobyt jego córki w szpitalu.

–Nie wiedziałam – powiedziała Wanda. – Co jest z jego córką?

–Umarła – odparł gorzko Randolph.

Rozdział XXIV

Michael obudził się. Było ciemno. Odszukał nocny stolik i lampę. Zapalił światło. Usiadł i rozejrzał się wokół. Śniło mu się, że jest na Bali, w pokoju, w którym mieszkał z matką, gdy jego ojciec się spalił. Dach był zrobiony z blachy falistej i co rano drapiąc chodziły po nim koguty, co wywoływało metaliczny dźwięk, który go przerażał.

Nie był jednak na Bali. Leżał w łóżku w małym pokoiku na końcu korytarza na piętrze willi Waverleya Graceworthy'ego. Dotykał ścian, zastanawiając się, czy przedtem używano już tego pokoju do więzienia ludzi, gdyż nie było w nim tapety, tylko nagi, szary tynk. Ktoś wydrapał na nim długi rząd kresek, jakby zaznaczając dni. A może tygodnie?

Znajdowała się tam umywalka z kranem, z którego ciągle kapło, małe okno z plastikowymi żaluzjami, stolik ze zniszczonym blatem i krzesło ze złamanym oparciem. Michael wstał z łóżka i podszedł do okna. Uniósł żaluzję i wyjrzał na zewnątrz, ale niewiele zobaczył. Kawał pokrytego dachówką dachu, mansardowe okienko i jedną z lamp oświetlających drogę dojazdową do willi. Kontur olbrzymiego drzewa bawełnianego. Odbicie tylnych światła samochodu w szybie.

Michael spróbował otworzyć okno, ale rama była przykręcona do futryny. Wyglądał przez nie jeszcze przez chwilę, po czym pozwolił opaść żaluzji i wrócił, aby usiąść na krawędzi łóżka. Odmówił modlitwę do Sanghyang Widi oraz do Yamy i pożałował, że nie nauczył się świętej sztuki stawania się niewidzialnym, czego również nie potrafił zrobić jego stary pedanda. Całkowita sublimacja jaźni, całkowite zaprzeczenie ego, absolutna pokora jednocześnie fizyczna i duchowa – na tym polegał sekret. Wtedy cielesna powłoka po prostu zniknęła.

Zapalił ostatniego papierosa. I tak chciał rzucić palenie. Zaczął palić po swoim pierwszym poważnym wypadku z lejakami. Pedanda byłby niezadowolony z powodu jego nałogu, ale po tym zdarzeniu stracił aspiracje, by zostać kapłanem. Żył z dnia na dzień. Aby dowiedzieć się, co będzie robił on, półmetys balijsko-amerykański, w Denpasar bez pieniędzy, niewiele potrafiąc oprócz naturalnej zdolności do rozmawiania ze zmarłymi. Taki życiorys nie gwarantował mu życiowego sukcesu. „Tak, a co robił pański ojciec?” „Podpalił się, ponieważ nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie powinien tego robić”.

W pokoju nie było lustra i Michael zaczął się zastanawiać, jak wygląda. Prawdopodobnie jest blady, ma potargane włosy i piętnastogodzinny zarost. Wiedział, że jest przepecony. W pokoju było duszno nie do zniesienia i zaczął się obawiać, że nie będzie miał czym oddychać. Oddychał płytko i wolno, mając nadzieję, że w ten sposób nie zużyje zbyt szybko tlenu. Zastanawiał się, jak czuły się indonezyjskie kobiety, które zamurowano ze zmarłymi mężami wewnątrz grobowców. Oglądał śmierć z obu stron grobu i nadal uważał ją za przerażającą i trudną do zrozumienia, nadzwyczajne przejście z ciała do ducha, oddzielenie ciała i duszy, zawsze tragiczne i zawsze kłopotliwe. Może najbardziej tragiczne i kłopotliwe było to, że zmarli nie byli bezpieczni nawet po śmierci. Świat żywych i świat zmarłych był tak samo wypełniony książętami i rozbójnikami. Śmierć jak i życie była zwięzającą

się hierarchiczną piramidą przywilejów i bólu, nagród i kar, cierpienia i bogactwa, której wierzchołek zamieszkują połączani bogowie ze swoimi pogodnymi, głupkowatymi uśmiechami.

Stopniowa erozja jego wiary w bogów powodowała, że trans śmierci stawał się dla Michaela coraz bardziej niebezpieczny. Wiedział, że Reece i jego ludzie nie byli do końca odpowiedzialni za to, co stało się na holenderskim cmentarzu w Denpasar. Lejaki zaalarmował także jego własny brak niebiańskiej czystości i dlatego tłoczyły się tuż za nim, czyhając na niego, gdziekolwiek by się udał. Podszedł do umywalki i spryskał twarz zimną wodą. Napił się jej trochę rękoma. Właśnie ocierał twarz rękawem koszulki, kiedy otwarto z hałasem drzwi i wszedł Waverley Graceworthy, a za nim Reece.

–Patrzcie, patrzcie – uśmiechnął się Waverley. – Mam nadzieję, że jest ci wygodnie.

–Chciałbym zapalić – powiedział Michael.

Waverley skinął do tyłu na Reece'a, a ten rzucił Michaelowi nową paczkę True z szyderczym uśmiechem, który miał oznaczać: „Przepraszam, że to nie te twoje gówniane skręty”. Waverley przyglądał się cierpliwie Michaelowi, kiedy ten otwierał paczkę, wyciągał papierosa i zapalał go.

–Przyszedłem, aby cię zapytać, czy nie zmieniłeś zdania – powiedział Waverley. – To raczej głupota, i prawda, abyś spędzał tu dzień po dniu uwięziony, podczas gdy zwykła przysługa uczyniłaby cię nie tylko bogatym, ale również zapewniła ci uwolnienie.

–Czy rzeczywiście sądzi pan, iż wierzę w to, że mnie pan puści? – spytał Michael.

–Mój drogi przyjacielu, masz na to moje słowo.

Michael pokręcił głową.

–Odpowiedź nadal brzmi nie. Daje mi pan tylko do wyboru, jak mam umrzeć. Jeśli uduszę się na śmierć w tym pokoju albo pan postanowi mnie zastrzelić, moja dusza pójdzie przynajmniej do nieba i nie zostanę pożarty przez boginię Rangdę.

Waverley usiadł na brzegu łóżka.

–Uważam, że to dziwne, iż wierzysz jeszcze w takie rzeczy. Bogini Rangda! To rzeczywiście brzmi strasznie!

–Niech mi pan wierzy, ona jest straszna.

Waverley kreślił wzory na podłodze końcem swojej laski.

–Czyli odpowiedź nadal brzmi nie?

–Odpowiedź nadal brzmi nie.

–No cóż, wiesz, jest to dla mnie pewien kłopot – rzekł Waverley. – Twój szef, Randolph Clare, poszukuje cię i nalega, aby policja przeszukała mój dom, naiwnie wierząc, że mogą cię tu znaleźć.

–Nie rozumiem, dlaczego naiwnie – odrzekł Michael. – Przecież jestem tutaj, prawda?

–W tej chwili tak, drogi chłopcze. Ale to, czy będziesz tu jutro, kiedy przyjdzie policja, zależy tylko od ciebie. – Waverley przerwał na chwilę, po czym dodał: – Szef policji jest moim serdecznym kolegą i uważa, że tej nocy uda mu się jeszcze zwodzić

Randolpha Clare. Niestety, pan Clare ma nadal pieniądze i wpływy i kiedy prosi, żeby zrobić przeszukanie, szef policji musi to uczynić.

–Niech pan powie to po ludzku – rzekł Michael.

–To proste. Jeśli nie zgodzisz się zabrać mnie w trans śmierci do godziny siódmej rano, odbędziesz z Reece'em dramatyczną przejażdżkę, z której tylko on powróci żywy.

Michael w milczeniu palił papierosa. Zaciągnął się głęboko po raz ostatni i zdusił niedopałek na winilowej podłodze.

–Odpowiedź nadal brzmi nie. Waverley westchnął i wstał.

–No cóż, masz osiem godzin do namysłu. A dokładnie siedem godzin i piętnaście minut.

Waverley i Reece wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz. Michael położył się z powrotem na łóżko i z rękami pod głową gapił się w sufit. Była na nim niezwykła szczelina przypominająca mu kontur twarzy Buddy. Budda spokojny. Michael widział śmierć, ale zastanawiał się, jak to jest, gdy się umiera. Nigdy nie zapytał żadnej ze spotkanych dusz, czy to boli. A może po prostu zamyka się oczy i kiedy się je znowu otwiera, człowiek ma świadomość, że nie żyje.

Trzysta metrów przed bramą do posiadłości Waverleya czarny cadillac zatrzymał się przy krawężniku Elvis Presley Boulevard w cieniu zwisających gałęzi sasafrasu. Randolph pochylił się do przodu na tylnym siedzeniu i postukał Herberta w ramię.

–Stój tu przez godzinę. Jeśli do tego czasu nie wrócimy, zadzwoń na policję. Najlepiej proś kapitana Ortegę, jeśli będzie w pobliżu.

–Tak, proszę pana – odparł Herbert, a potem odwrócił się i powiedział: – Naprawdę uważa pan, że to, co pan robi, jest rozsądne? Mam nadzieję, że nie jestem niegrzeczny, pytając o to?

Obok Randolpha siedziała Wanda. Randolph miał na sobie dżinsy i czarny golf, a Wanda czarne spodnie i granatową bluzę. Randolph miał w ręku latarkę, chociaż w tej chwili wolałby dzierżyć rewolwer.

–Masz rację, Herbercie, to jest prawdopodobnie szaleństwo. Ale policja nie pomoże nam znaleźć Michae-la, a w tym czasie Waverley przypuszczalnie przewiezie go gdzie indziej lub go zabije.

–Pan jest tu szefem – odparł Herbert. Nastawił zegarek na desce rozdzielczej cadillaca. – Tylko godzina. Sześćdziesiąt minut i ani sekundy dłużej. Potem dzwonię po pomoc.

–Tak jest – powiedział Randolph i wysiadł z samochodu, a Wanda za nim.

Przeszli przez szosę i dotarli do bramy posiadłości Waverleya. Brama była zamknięta i można ją było otworzyć tylko od wewnątrz, ale Randolph wiedział z poprzednich wizyt, że Waverley nie ma podglądających kamer ani alarmów w ogrodzie. Jednakże sam dom był dobrze chroniony przez biegające po podwórzu dobermany. Wanda zabrała ze sobą coś, co, jak mieli nadzieję, odciągnie psy: pół kilograma polędwicy z zamrażarki Randolpha, w pośpiechu rozmrożonej w mikrofalówce.

Szli wzdłuż ceglanego muru posiadłości Waverleya, usiłując nie rzucać się w

oczy. Była parna, duszna noc i drzewa w ogrodzie Waverleya były nieruchome i ciche, jakby odlane z brązu. W oddali z południowego zachodu słychać było słabe huk fajerwerków, wystrzeliwanych na cześć Bawełnianego Króla. Przypadkowy samochód przejechał ulicą, nie poświęcając im uwagi. Randolph modlił się, aby weszli na teren posiadłości, zanim przejedzie policyjny samochód. Kobieta i mężczyzna spacerujący po Elvis Presley Boulevard o północy z latarką i z mięsem w torbie plastikowej nadawali się bez wątplenia, aby ich przesłuchać lub nawet aresztować.

–Tutaj – powiedział. Doszli do narożnika posiadłości, gdzie mur frontowy i boczny były połączone wysokim słupem z dużych kamiennych bloków. Ponieważ czas i zanieczyszczenie powietrza nadszarpnęły łączenia między blokami, wydawało się stosunkowo łatwo wspiąć po nim, używając pęknięć jako oparcia dla stóp i rąk.

Randolph rozejrzył się i powiedział:

–Idź pierwsza. Pomogę ci.

Przerzucił plastikową torbę z mięsem za mur. Potem uniósł Wandę, jak najwyżej się dało. Wdrapanie się po kamieniach zajęło jej tylko kilka sekund, po czym skoczyła na dół za murem.

Właśnie miał się wdrapać na ścianę, gdy pojawił się jakiś samochód, jadący wolno na północ. Zatrzymał się obok niego i opuszczono okienko. Wewnątrz siedziało trzech mężczyzn, mocno zbudowanych, o poważnych twarzach. Mężczyzna siedzący z przodu obok kierowcy kiwnął na Randolpha i zawołał:

–Hej, kolego!

Randolph podszedł, ale niezbyt blisko.

–Czy minęliśmy już dom Presleya? – spytał mężczyzna.

–Musicie się cofnąć około kilometra – powiedział Randolph. – Macie tu mnóstwo znaków wokoło, ale w nocy dom jest zamknięty.

–Aha, dobra. Przyjechaliśmy do Memphis na zjazd i obiecaliśmy żonom, że położymy kwiaty na pomniku. Zamierzamy tam jechać i przerzucić te kwiaty za płot.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu trzymał bukiet żółtych róż.

–Zawsze mówię żonie najszczerzą prawdę – powiedział mężczyzna siedzący z przodu.

–To rozsądne – odparł Randolph i patrzył, jak samochód zawraca i kieruje się do Gracelandu. Skoro tylko tylne światła zniknęły, podbiegł do ogrodzenia i zaczął się wspinać po ścianie.

Było to trudniejsze, niż sądził. Nadal był potłuczony po spotkaniu z lejakami, a poza tym Wanda była dziesięć lat młodsza i regularnie grała w squasha. Podciągał się i dyszał, obcierając sobie palce, ale w końcu udało mu się wsadzić jedną nogę na szczyt muru, a potem drugą. Skoczył w ciemność ogrodu Waverleya jak wielki czarny niedźwiedź spadający z drzewa.

Wanda przykucnęła, czekając na niego.

–Cśśś – szepnęła. – Właśnie widziałam, jak ktoś szedł po tej stronie domu.

–Spróbujmy dostać się tam przez kuchnię – zaproponował Randolph, otrzepując się. – Waverley lubi późno jadać, a więc może jest otwarta.

–Dziwię się, że nie poszedł na bal. Zazwyczaj go nie opuszcza, prawda?

–Zazwyczaj też nie porywa ludzi takich jak Michael. Myślałem o tym, wiesz.

Zastanawiałem się, do czego chce użyć Michaela. To znaczy, jeśli chciałby go zabić, zadbałby, aby to się stało z dala od niego. I prawdopodobnie poszedłby na bal, aby mieć alibi.

Pochylili się i pobiegli najszybciej jak mogli przez poszycie, rozsuwając gałęzie rododendronów i zwisające pnącza. W końcu dotarli do krzaków niedaleko północno-zachodniego narożnika domu. Z tego miejsca mieli około trzydziestu metrów otwartej przestrzeni do cienia kuchennego skrzydła.

–Widzisz kogoś? – wyszeptała Wanda.

–Nie.

–Nie ma psów? Boję się psów.

–Chyba nie ma. Po lejakach myśl o zaatakowaniu przez psy wydaje się prawie igraszką.

Chociaż opuścili kryjówkę w krzakach najciszej jak mogli, w uszach Randolpha ich kroki zdawały się rozbrzmiewać niesamowicie głośno. Dotarli jednak do kuchennego skrzydła, nie będąc zauważeni przez nikogo. Przycisnęli się do pomalowanej na biało ściany, oddychając głęboko i modląc się, aby szczęście ich nie opuściło.

–To niezbyt dobrze świadczy o ochronie Waverleya – wyszeptała Wanda.

Randolph przyłożył palec do ust.

–Lepiej nie gratulujemy sobie, dopóki nie znajdziemy się w środku.

Właśnie miał wychynąć zza narożnika w kierunku jasno oświetlonych drzwi kuchni, gdy usłyszał, jak drzwi się otwierają i kucharz mówi coś głośno do swoich pomocników.

–Najpierw powiada, że wychodzi, potem, że zostaje. Najpierw chce rybę, potem się rozmyśla i chce cielęcinę. Najpierw z sosem, potem bez sosu. Co się z nim dzisiaj dzieje? Człowiek, który potrafi zarobić tyle pieniędzy, chyba powinien mieć w porządku pod sufitem. Popatrz na te ryby, wszystko do wyrzucenia.

Pomocnik powiedział coś niewyraźnie w odpowiedzi, a potem drzwi zatrzasnęły się. Randolph nasłuchiwał, czy szef kuchni zaklucza je lub rygluje, ale tego nie zrobił. Ostrożnie wyjrzał zza narożnika.

Stał tam rząd kublów na śmieci, potem dwa betonowe stopnie, a dalej drzwi kuchni. Szyby w drzwiach były matowe i nie można było zobaczyć wyraźnie wnętrza kuchni. Randolph dostrzegł jednak zamazaną sylwetkę szefa kuchni, który chodził z jednej strony pomieszczenia na drugą. Potem nagle kucharz zniknął. Jedno ze światel w kuchni zostało wyłączone i Randolph usłyszał krótkie trzaskanie garnków.

–Idziemy – szepnął do Wandy. Podkradli się do rzędu kublów i dalej, po schodach do drzwi. Kiedy Randolph przysunął twarz do szyby, zauważył duży stół z białym blatem, nad którym znajdowała się półka z kociołkami, rondelkami, chochelkami, a za nim włączona kuchenka gazowa. Na prawo od kuchenki była szafa i ciemny prostokąt otwartych drzwi.

Randolph chwycił za klamkę wejściowych drzwi i z wolna ją nacisnął. Drzwi

otworzyły się, nie wydając żadnego dźwięku. Z pewnością Waverley Graceworthy pilnował, żeby zawiasy były zawsze naoliwione. Randolph wszedł do środka w swych cicho stąpających butach do golfa, a za nim Wanda.

–Jak dotąd nie ma psów – szepnęła Wanda. – Mam nadzieję, że nie będę musiała dźwigać ze sobą wszędzie tego mięsa przez całą noc.

Podbiegli cicho do otwartych drzwi po drugiej stronie kuchni. Tylko jeden garnek stał na zapalanej kuchence. Pachniało rosołem z kurczaka. Randolph wyjrzał zza drzwi, czy nie ma nikogo na zewnątrz. Potem popchnął Wandę naprzód na korytarz.

–Mam nadzieję, że znasz drogę – powiedziała.

–Przypomnę sobie w trakcie – odparł.

Korytarz miał dwadzieścia metrów długości. Był pomalowany olejną farbą na ciemnozielono. Posuwali się nim, aż doszli do dębowych drzwi, które były uchylone.

–Pewnie jedna z jadalni – stwierdził Randolph.

–Miejmy nadzieję, że Waverley nie zechce jeść tutaj późnej kolacji – wyszeptała Wanda.

Randolph zawahał się i zagryzł wargę.

–Jest tam czy nie jest, nie mamy wyboru. To wydaje się jedyna droga do środka.

Delikatnie otworzył szerzej drzwi. Jadalnia była słabo oświetlona, a na ścianach znajdowała się boazeria dębowa w tym samym kolorze co drzwi. Randolph widział błysk odbitego światła w pozłacanej ramie i isierki na kryształowej karafce. Pchnął dalej drzwi i wszedł do środka.

Stół był nakryty na jedną osobę. Na białym koronkowym obrusie leżała serwetka w srebrnym kółku, stał kryształowy kieliszek i talerze ze złotym obramowaniem. Jedna świeca migotała i kopciła w wysokim stołowym świeczniku, ale w pokoju nie było nikogo. Prawdopodobnie kucharz poszedł powiedzieć lokajowi Waverleya, że kolacja gotowa. Nie ryba, ale cielęcina i bez sosu.

Randolph i Wanda weszli do pokoju, upewniając się, że drzwi za nimi są uchylone tak samo, jak je zastali. Potem weszli do głównego holu, jedynej części domu, jaką Randolph pamiętał z poprzednich wizyt. Był pogrążony w ciemności z wyjątkiem ogromnego wiszącego kandelabra, którego elektryczne świece przyciemniono. Panował tam silny zapach lawendowej pasty do podłóg, a elektryczna froterka stała po przeciwnej stronie holu, niedaleko drzwi do salonu. Jednak nie było tam nikogo – przynajmniej w tym momencie – a więc Randolph i Wanda mogli podejść do podnóża schodów nie zauważeni.

–Przeszukamy dom od góry do dołu – wyszeptał Randolph, rozglądając się z niepokojem. – Trzeba znaleźć zamknięty na klucz pokój.

–A gdy już go znajdziemy? – spytała Wanda.

–Wtedy zapukamy i zobaczymy, kto jest w środku.

–Czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

–Oczywiście, że tak. Już samo przyście tutaj było niebezpieczne. Ale jeśli ktoś się odezwie – nie Michael – krzyknij: „Przepraszam, pokojówka” i zwiewaj. Pamiętaj, że Waverley ma majordomusa, lokaja, służącego i pewnie z dziesięć pań, które nic nie robią, tylko sprzątają dom. Nawet nie będzie wiedział, że nie jesteś pokojówką,

chyba że cię zobaczy.

Wanda chwyciła Randolpha za rękę.

–Randolphie, boję się.

–Wando, jesteśmy tutaj i musimy zrobić, co do nas należy.

Spojrzał na ciemną, zapomnianą klatkę schodową.

–Dobrze – powiedziała w końcu.

Wchodzili po schodach ramię przy ramieniu, aż weszli na drugie piętro. Na ścianach po obu stronach wisiały ogromne perskie dywany oraz stały tam rzeźby kobiet i dziwnych stworów. Prosto przed nimi rozciągał się korytarz, ciemny, z wyjątkiem podwójnego kinkietu na końcu, to znaczy prawie sto pięćdziesiąt metrów dalej.

Korytarz na całej długości był wyłożony wzorzystym dywanem. Świecąca się pojedyncza lampa rzuciła blask na nie kończący się rząd mosiężnych klamek.

–Idź po lewej, ja idę po prawej stronie – zarządził Randolph.

Wolno, co chwila przystając i nasłuchując, posuwali się w głąb korytarza. Naciskali na klamki, wstrzymując powietrze. Jeśli drzwi otwierały się, zamykali je cicho na powrót. Kiedy były zamknięte – a prawie trzecia część była – przysuwali głowy do pomalowanych na biało powierzchni i wołali cicho:

–Michael? Jesteś tam? Michael?

Minęli już dwie trzecie korytarza, gdy Randolphowi wydało się, że słyszy jakiś dźwięk za drzwiami. Pod swetrem był lepki od potu i żałował, że nie włożył T-shirta. Uniósł dłoń, aby Wanda przestała naciskać klamki, i znowu nasłuchiwał.

–Słyszysz coś? – wyszeptwała Wanda.

–Nie jestem pewien.

Przysunął się bliżej drzwi i zawołał:

–Michael? Tu Randolph. Słyszysz mnie, Michael? Cisza. Było tak cicho, że Randolph słyszał wybuchające daleko fajerwerki.

Potem z drugiego końca korytarza doszło go szuranie i obróciwszy się, ujrzał Reece'a, który trzymał na smyczy dwa dobermany.

Randolph odwrócił się w drugą stronę i w bliźniaczych kręgach światła z kinkietu ukazał się Waverley Graceworthy i człowiek o wyglądzie szaleńca, Frank Louv, który pomógł Reece'owi porwać Michaela z Days Inn.

Waverley Graceworthy z uśmiechem wysunął się naprzód i wyciągnął rękę. Randolph nie ruszył się z miejsca.

–Co za honor – powiedział Waverley prawie z kurtuazją. – Pan Randolph Clare, bogaty, niezależny przetwórca nasion bawełny, składa nie zapowiedzianą wizytę o północy w skromnych progach swego największego rywala.

–Myślę, że możesz sobie darować ten sarkazm – odparł Randolph. Louv chrząknął ubawiony. Kiedy podszedł bliżej, Randolph zauważył, że trzyma w ręce pałkę.

–Dzwoniłem do Dennisa, ale nie mógł mi pomóc – powiedział Randolph. – Musiał iść na bal. Jestem zdziwiony, że ty nie poszedłeś, Waverley. Zazwyczaj lubisz się pokazywać.

–Miałem taki zamiar – odparł Waverley. – Chciałem właśnie zjeść kolację i wpaść tam, by wręczyć nagrody. Niestety, sprawy zawodowe nie pozwoliły mi. Najpierw obowiązki, a potem przyjemność.

–Chcę, abys uwolnił Michaela Huntera – powiedział Randolph.

–Słucham? – Waverley udał zdziwionego.

–Dobrze wiesz, o czym mówię. Twoje tu obecne wynajęte byczki porwały Michaela z Days Inn po południu. Widziano ich i rozpoznano. Jeśli nie ma go tutaj, chcę wiedzieć, gdzie jest, i masz go natychmiast uwolnić.

Waverley uśmiechnął się tak kwaśno jak cytryna i ocet naraz.

–Mój drogi Randolphie, nie uważam, abys ty i panna Burford mogli w tej sytuacji składać jakieś żądania, prawda? Przyłapałem cię na gorącym uczynku, kiedy włamałeś się do mojego domu w zamiarze, Bóg jeden wie, kradzieży, podpalenia czy zbrodni przeciw mojej osobie.

–Waverley, porwałes Michaela Huntera i muszę go mieć z powrotem. W przeciwnym razie mam zamiar zadzwonić na policję i przeszukać ten twój pałac kawałek po kawałku z góry na dół.

Waverley uśmiechał się teraz do Wandy. Wyczuł jej strach przed dobermanami, które warczały i darły pazurami o podłogę.

–Co powiecie na to, aby spuścić te psy? – spytał łagodnie. – Są tresowane do ataku. Reece bardzo je lubi, prawda, Reece? Zrobiłyby wszystko dla tych psów, a one dla niego. Co będzie, jeśli wskaże na pannę Burford i powie „zabij” ...

–Dosyć tego, Waverley – przerwał mu Randolph. – Myślę, że ty i ja powinniśmy usiąść razem i przedyskutować to. Pozwól dziewczynie wrócić do mojego samochodu; stoi przed bramą. Potem zobaczymy, na jaką umowę obaj przystaniemy.

Waverley wolno pokręcił głową.

–Nie jestem zainteresowany, Randolphie. Nie interesuje mnie umowa. Czas, kiedy ty i ja mogliśmy dojść do porozumienia, minął. Poza tym twój samochód nie stoi już przed bramą. Jest zaparkowany w garażu, a twój szofer siedzi w mojej piwnicy z rękami przykutymi do rury i kneblem w ustach.

Znowu się uśmiechnął i dodał z satysfakcją:

–Dennis ostrzegł mnie, że możesz próbować zrobić coś śmiesznego, i rzeczywiście zrobiłeś to.

Na Randolphie jego słowa nie zrobiły wrażenia.

–Nie możesz trzymać tutaj ludzi wbrew ich woli, Waverley. To obłąd. Nie możesz trzymać Michaela, mnie, Wandy i Herberta. Jeszcze mnie nie spotkało coś równie nieprawdopodobnego.

Chciał odejść, ale Reece pozwolił dobermanom podejść bliżej. Warczały, tocząc ślinę po podłodze korytarza.

–Sądzę, że ostatnio poznałeś wiele nieprawdopodobnych rzeczy – odparł Waverley absolutnie nie zaniepokojony. – Dowiedziałes się wszystkiego o magicznych hinduskich transach śmierci. To są dopiero nieprawdopodobieństwa. Zapewniono mnie jednak, że to jest prawda, podobnie jak fakt, że ja cię tu trzymam i nie mam najmniejszego zamiaru puścić.

–A co zamierzasz przez to osiągnąć? – spytał Randolph.

Waverley wolno pocierał dłoń o dłoń, jakby rozwałkowywał kawałek gliny między nimi.

–Mam zamiar uporządkować pewną sprawę, która – jak się okazało – jest niezwykle mętna i skomplikowana. I to z twojej winy. Wiesz, Randolphie, jesteś upartym człowiekiem. Gdy twoja fabryka w Raleigh spłonęła, powinieneś się domyślić, o co chodzi. Orbus ostrzegał cię, prawda? Oczywiście Orbus nie zawsze jest tak przekonujący, jak mógłby być, ale mimo wszystko jesteś inteligentny. Powinieneś się zorientować. Szczególnie po tym, co stało się z twoją rodziną.

–Czego się spodziewałeś po mnie? Że pójdę na emeryturę? Porzucę dzieło mojego życia? Popelnię samobójstwo?

Waverley wzruszył ramionami.

–Wszystkie te trzy możliwości były prawdopodobne, przynajmniej z punktu widzenia Cottonseed Association. Niestety, ty nie wybrałeś żadnej z nich. A więc mamy teraz bardzo mętną i skomplikowaną sytuację. Ty jesteś jak zwykle uparty, a ja zastanawiam się, co zrobić z tym fantem.

–Masz Michaela. Chcę z nim rozmawiać – powiedział Randolph.

–Ma się dobrze – zapewnił go Waverley.

–Jednak chcę się z nim widzieć.

–Właśnie to zamierzałem zrobić. Widzisz, mój drogi kolego, Michael okazał się tak samo niechętny do współpracy jak ty i zdaje się, że potrzebuje trochę perswazji.

–Trochę perswazji do czego?

–Aby zabrać mnie w trans śmierci, oczywiście.

–Zabrać ciebie w trans śmierci? – spytał Randolph ze zdumieniem. – A po co tobie trans śmierci?

Waverley Graceworthy patrzył przez dłuższą chwilę na Randolpha zza swoich drucianych okularów. Jego oczy były niczym dwa jasnoblękitne kamienie na dnie mroźnego strumienia.

Po chwili odezwał się:

–Chciałbym porozmawiać z Iloną, moją żoną.

–Z Iloną? Ale ona nie żyje od...

–Trzydziestu jeden lat, tak. Przedawkowanie pigułek nasennych. Jedna z największych tragedii w rodzinie Graceworthy, jaka kiedykolwiek się zdarzyła.

–Ale dlaczego chcesz się z nią widzieć? Przecież minęło już tyle czasu. A trans śmierci może być bardzo niebezpieczny. Sam ledwie uszedłem z życiem. Nadal mam pełno blizn i siniaków. Spójrz na mnie.

Podniósł rękaw swetra.

–Spójrz na moje ramię. Czy widziałeś kiedyś takie rany?

Waverley odwrócił wzrok.

–W pełni zdaję sobie sprawę z ryzyka, Randolphie.

–Dlaczego więc chcesz to zrobić? – spytał Randolph.

–Pragnę to zrobić, ponieważ w prywatnej klinice w Little Rock, Arkansas, w lutym 1937 roku miało miejsce pewne zdarzenie i chcę się dowiedzieć, co to było.

Randolph spojrział na niego, po czym uniósł ręce, jakby wzywał Mojżesza na świadka.

–Zwariowałaś? – spytał. – Co ty usiłujesz mi powiedzieć?

Głos Waverleya był pozbawiony życia.

–Niczego nie usiłuję. Chcę wiedzieć, co się wtedy stało, to wszystko. Chcę wiedzieć, czy plotki były prawdziwe.

–Jakie plotki?

Waverley wycelował w niego palec.

–Moja żona trzy lata po ślubie pojechała do prywatnej kliniki w Little Rock, Arkansas, w lutym 1937 roku, w tajemnicy, bez mojej wiedzy, a kiedy stamtąd wróciła, otrzymała list od lekarza, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Nie mam spadkobierców, Randolphie. Nie mam komu zostawić tego domu, nie mam komu zostawić pieniędzy, mojej dumy, mojego nazwiska. Zostałem z tego obrabowany przez swoją żonę, która po kryjomu wyjechała do kliniki w Little Rock, Arkansas, i tylko Bóg albo diabeł wie, co się tam stało. Aborcja? Może. Ale czy to moje dziecko zostało usunięte? Operacja jajowodów? Ciąża pozamaciczna? Kto wie? Nigdy mi tego nie powiedziała. Nie chciała. A potem zniknęła na jakiś czas i nagle wracała, oczekując, że będę ją kochał jak dotąd.

Przerwał, oddychając ciężko, jakby przed chwilą biegł.

–Pytałem ją ciągle: „Co się stało? Gdzie byłaś? Czy mnie kochasz? Co się stało w Arkansas?” A ona nigdy mi nie odpowiedziała, nie wprost. Pozostały mi tylko podejrzenia, dziwne spojrzenia, bezceremonialne sugestie. I plotki, tak, mnóstwo plotek. Przyjaciele w Cotton Exchange proponowali drinka ze współczującym zmarszczeniem brwi i mówili: „Przykro mi, stary, ale czy to nie Ilonę widziałem u Lucy, no wiesz z kim?”

Randolph i Wanda wymienili spojrzenia, ale milczeli. Waverley mówił raczej do siebie niż do nich, gorzki monolog, który musiał już wiele razy powtarzać.

–Ostatnie lata były straszne – wyznał. – Wiedziałem, że ona mnie nie kocha; że oddała serce innemu mężczyźnie. Ale próbowałem za wszelką cenę zatrzymać ją przy sobie. Próbowałem pokazać jej, jak bardzo ją uwielbiam. Wtedy jednak zaczęła brać pigułki i piła, i ginęła na moich oczach.

Zawahał się i dodał:

–W końcu była tak chora, że powiedziałem jej, aby wróciła do mężczyzny, którego naprawdę pragnie, ponieważ nie mogę patrzeć na to, jak umiera. Ale nie zrobiła tego – odmówiła – wiedząc, że dowiedziałbym się wówczas, kim on jest. Znowu przerwał, a potem ze smutkiem dokończył:

–Umarła. Odebrała sobie życie. 16 kwietnia 1953 roku. We wtorek po południu. Wróciłem z biura późno, a ona tam była, leżała na łóżku, jak średniowieczna kukła, blada, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kiedy wszedłem do pokoju, wszystko jakby stanęło. Wydawało się, że minęły godziny, zanim doszedłem do niej. Była zimna. Zimna! Pocałowałem ją w wargi niczym marmur. Wszystko to stało się z powodu tamtego mężczyzny i tego, przez co przeszła w klinice w Little Rock.

–Podejrzewasz, kto mógł być kochankiem Ilony? – spytał Randolph. – Wiesz, co

stało się w klinice?

Waverley przyszedł do siebie, znowu patrzył przenikliwym wzrokiem.

–Tak – powiedział i stuknął laską w podłogę. Randolphowi przypomniała się piosenka Boba Dylana o Murzynce Hattie Carrol, która zginęła od ciosu laski swego pracodawcy, za co ten dostał sześć miesięcy.

–Podejrzewam, że kochankiem mojej żony był twój ojciec, a także że w klinice w Little Rock moja żona na świat wydała ciebie. Potem twój ojciec i jego żona adoptowali cię i wychowali jako potomka Clare, mimo że twoją matką była Graceworthy.

Głos Waverleya drżał teraz, a on sam nie przestawał uderzać laską o podłogę.

–Podejrzewam, że kiedy się rodziłeś, nastąpiły jakieś komplikacje i dlatego wysterylizowano moją żonę, tak że nie mogła już urodzić mi synów, moich następców. Oto, co podejrzewam i co podejrzewałem przez prawie czterdzieści lat, a teraz jest okazja, że mogę to udowodnić... w transie śmierci. Mam zamiar zapytać tę kobietę, zapytać bez ogródek, a jeśli zaprzeczy, wtedy – na Boga – mam zamiar przekonać się, czy kłamie. A ty, Randolphie! Ty nie mogłeś być spokojny, prawda? Nie mogłeś być cichy i współpracować ze mną, o nie. Ty musiałeś pokazać Cottonseed Association, że Clare zawsze są najlepsi. Za każdym razem, kiedy patrzyłem na ciebie, myślałem sobie: „To jest jedyny syn Ilony; to jest jedyny syn jedynej kobiety, którą kochałem”. Jesteś do niej podobny i tak samo mówisz, i czasami, gdy widzę, jak robisz ten gest dłonią, takie machnięcie, wiem, że jest to jej gest, że to jest gest Ilony, i nie chcę cię skrzywdzić. Kiedy jednak pochylisz trochę głowę na bok i mówisz poważnie, tak jak twój ojciec, mógłbym cię wtedy zabić. Wiesz, jak to boli – stracić rodzinę, żonę, dzieci? No cóż, mogę ci opowiedzieć o tym bólu. Choć nigdy nie miałem żony, nigdy nie miałem dzieci. Twój ojciec je zabił, zanim zdołały się w ogóle narodzić, a bronią, z której je zabił, byłeś ty.

Waverley pokręcił głową, jakby czas i historia zadziwiały go, jakby miłość była czymś, co trudno sobie wyobrazić.

–Użył ciebie do wysterylizowania mojej żony i używał ciebie, aby mi urągać po jej śmierci. „Popatrz no, oto syn, który powinien być twój, ale on należy do mnie, Waverley!” Przykro mi to mówić, Randolphie, ale obserwowałem twoje postępy w szkole i w college’u i czułem, że łączą nas jakieś więzi. Było to, zanim zaczęła się w tobie budzić osobowość twojego ojca, ten władczy duch. Odbudowałeś fabryki, powiększyłeś produkcję i wiesz równie dobrze jak ja, Randolphie, że jeśli Clare Cottonseed nadal będzie się tak rozwijać, za cztery lata Cottonseed Association czeka bankructwo i cztery tysiące pięciuset ludzi zostanie pozbawionych pracy.

Randolpha ogarniała coraz większa zgroza, ale stał, patrząc Waverleyowi prosto w oczy.

–To jakiś obłąd – powiedział. – To naprawdę obłąd. Dlaczego nie każesz zamknąć tych psów i nie uwolnisz Michaela? Moglibyśmy usiąść razem i wszystko omówić. Te „plotki” są po prostu śmieszne. Nie wiem, skąd się wzięły, ale jak to możliwe, że w nie uwierzyłeś? Jak to możliwe, że chciałeś w nie uwierzyć?

Waverley spuścił wzrok.

–Kiedy porozmawiam z Iloną, wszystkiego się dowiem.

–A jeśli Michael się nie zgodzi zabrać cię, abyś się z nią zobaczył?

–Zgodzi się – odparł Waverley. Uniósł głowę, pstryknął palcami na Reece'a i wskazał na Wandę.

–Jeśli mu zależy, aby ta młoda dama została przy życiu, uwierz mi, nie odmówi.

Rozdział XXV

Przyprowadzili Michaela na dół do salonu, akurat gdy pozłacany zegar na kominku wskazywał pierwszą. Waverley zdradzał oznaki niebywałej euforii. Maszerował w tę i z powrotem po pokoju jak marionetka, stukając w podłogę laską, bębniąc palcami po stołach. Randolph stał w narożniku obok kominka, załękniony i cichy. Niedaleko drzwi tarasowych stał Reece, podziwiając scenę na patio, której sam był autorem.

–No – powiedział Waverley, gdy Frank Louv wprowadził Michaela. – Znasz pana Clare, prawda?

Michael i Randolph spojrzeli na siebie, usiłując telepatycznie odgadnąć, co się stało, ale było to właściwie niepotrzebne. Konsekwencje porwania Michaela i włamania się Randolpha były rażąco oczywiste.

–Pan Clare przyszedł, aby cię uwolnić – powiedział Waverley tak, jakby mówił do pięcioletniego chłopca. – Przeszedł przez ogrodzenie i włamał się do domu, ale my zawsze mamy pełno ludzi do patrzenia, więc był obserwowany od pierwszej chwili, kiedy wspiął się na mur, i złapaliśmy go. No cóż, nie wygląda na zadowolonego, prawda? Ale czy ty byś był, gdyby to samo przydarzyło się tobie?

–Spałem. Czy po to mnie budziliście? – odparł Michael.

Waverley zaśmiał się i poklepał energicznie Michaela po plecach.

–Podejź do drzwi na patio, wtedy zrozumiesz.

Ciągnąc Michaela za rękaw, Waverley poprowadził go do szeroko otwartych drzwi na taras. Wokół domu były zapalone reflektory i trawnik wyglądał tak jasno i sztucznie jak na hollywoodzkim filmie. Na patio znajdowały się trzy marmurowe rzeźby: muskularny Adonis, zmysłowa Diana z psami i zła kopia „Umierającego niewolnika” Michała Anioła. Pośrodku wybrukowanego patio przywiązana sznurem do krzesła siedziała Wanda. U jej stóp z wywieszonymi jęzorami leżały psy Reece’a.

–Może mi pan to wytłumaczy – powiedział Michael.

–Mój drogi kolego, nie ma co tu tłumaczyć – uśmiechnął się Waverley. Był prawie radosny. – Chcę, żebyś zabrał mnie w trans śmierci, a gdybyś miał zamiar odmówić, pan Reece lub jego przyjaciel zagwiżdżą na psy i panna Burford poniesie konsekwencje. Te psy to doberman, mówię to na wypadek, gdybyś ich nie rozpoznał, i są specjalnie tresowane. Mogą zagryźć pannę Burford na śmierć w jednej chwili, zapewniam cię. Tylko od ciebie to zależy.

Michael odwrócił się do Randolpha, który odezwał się z lękiem:

–Zrobi to, Michaelu. Jeśli nie weźmiesz go w trans śmierci, zabije ją.

Michael przebiegł dłonią po włosach. Randolph pomyślał, że chłopak wygląda na wykończonego. Chciał zapytać Michaela o doktora Ambarę, ale Waverley i Reece byli zbyt blisko, niespokojni, czy Michael w końcu skapituluje.

–No i? – spytał Waverley. – Daję ci trzy minuty, a potem psy ruszą do ataku. Twój wybór, Michaelu.

Michael uniósł oczy, jak gdyby odpowiedź na wszystko była wypisana na suficie Waverleya. Potem spojrzał znowu na Waverleya.

–Muszę mieć maskę, a także moje kadzidła – powiedział bezbarwnym głosem.

–Maskę?

–Przywiozłem ją ze sobą z Indonezji. Jest w dużej szarej plastikowej torbie w Days Inn. Znajdziesz ją w szafce. Kadzidla są w czerwonym pudełku, w szufladzie po lewej stronie biurka. Nie pomylisz maski. Jest bardzo duża, mniej więcej taka... – wyciągnął rękę. – Jest czerwono-biało-złota, zrobiona z papier-mâché, ze sztucznymi włosami. – Spojrzał na Reece'a. – Zęby też są sztuczne. Chyba żeby nie były.

Reece odwrócił wzrok. Co noc próbował się przekonywać, że tego ranka w Denpasar, kiedy Jimmy Heacox wsadził głowę do maski, cierpiał na halucynacje. Z drugiej strony wiedział, że tak nie było i że w jakiś magiczny, niemożliwy sposób coś odgryzło i pożarło głowę Jimmy'ego, coś, co nawet nie istnieje. W każdym razie nie w rzeczywistym świecie, podczas gdy to, co z niego zostało, leżało na posadzce świątyni niczym jakaś padlina. Oślizgły, sterczący język Jimmy'ego zwisał jak ostrzeżenie dla innych: „Nigdy nie żartuj sobie z Wdowiej Wiedźmy Rangdy; nigdy nie wymawiaj jej imienia bez szacunku; nigdy jej nie zdradzaj, zawsze składaj jej ofiarę”.

Następna godzina mijała tak wolno, jak gdyby mechanizm zegarów Waverleya został posmarowany melasą. Waverley kazał swoim więźniom usiąść obok siebie na małej kolonialnej sofie, z której mieli widok na siedzącą na patio Wandę. Michael spalił osiem papierosów. Randolph siedział milcząco i bez ruchu, próbując zachować swoją energię; Reece pieczołowicie pracował nad czyszczeniem swoich zębów nitką, przeciągając ją do przodu i do tyłu między zębami trzonowymi.

Było już dobrze po drugiej, kiedy wyglądający na szaleńca Louv wrócił z Days Inn, niosąc ogromny pakunek zawinięty w hotelowy koc. Położył go na podłodze na środku salonu i wydobył z kieszeni dwa pudełka kadzidlanych pałeczek.

–Miałem kłopoty. Nocny recepcjonista chciał pięćdziesiątkę tylko za otwarcie tych cholernych drzwi. W końcu powiedziałem mu, żeby zrobił to za darmo, bo inaczej ja otworzę jego. Od jaj po samo gardło. Głupi dureń.

Przez większość czasu Waverleya nie było w pokoju, teraz jednak siedział w narożniku na małym krześle z epoki królowej Anny, trzymając schludnie nogę na nodze. Wstał i podszedł do maski z nieskrywaną fascynacją.

–Niech się pan trzyma z daleka – ostrzegł Michael.

Waverley cofnął się.

–Według rozkazu, mój drogi kolego. Czy możemy już wejść w trans śmierci?

–Muszę się przygotować – odrzekł Michael zmęczonym głosem. – Ma pan jakieś talerze albo coś, co mógłbym użyć do kadzidel?

–Lokaj je przyniesie.

Michael poprosił Randolpha o pomoc przy odsunięciu na bok sofy i stolika do kawy, aby środek pokoju był pusty. Kiedy to robili, nachylił się do ucha Randolpha i wyszeptał:

–Kiedy odejdziemy, idź za nami.

–Co? – wyszeptał Randolph.

–Idź za nami w trans śmierci. Wiesz, co robić.

–Ale co mam robić, jeśli nawet mi się uda?

Michael uśmiechnął się znużony.

–Kiedy już tam będziemy, pokażę ci. Nie bój się. I pamiętaj, że możesz zobaczyć Marmie i dzieci. To może być twoja ostatnia szansa.

Randolph skinął na znak zgody. Lokaj wszedł do salonu z czterema podstawkami, które Michael ustawił rytualnie w każdym narożniku pokoju, a potem położył na nich kadzidło. Zapalał kadzidło bardzo skoncentrowany, a zapach drzewa sandałowego i jaśminu zaczął szybować nad podłogą. Louv pociągnął nosem i skrzywił się.

–Śmierdzi jak burdel w Sajgonie – zaprotestował.

Michael nie zwrócił na niego uwagi. Zbliżył się do maski i ostrożnie rozwinął koc. Potem otworzył polietylenową torbę i ukazała się maska nadal udrapowana szkarłatnym jedwabiem, z jednym odsłoniętym okiem, gapiącym się tak, jakby było to oko samego piekła.

–A więc to jest ta słynna maska – powiedział Waverley z zafascynowaniem, kiedy Michael ostrożnie kładł ją pośrodku na podłodze. – To jest ta sama maska, która... – gestem dłoni przedstawił odgryzienie głowy Heacoxowi.

–To jest ta sama maska – przyznał Michael, patrząc na Reece'a. Reece skrzywił się z niesmakiem i odwrócił wzrok.

Ułożył maskę Rangdy zgodnie z rytuałem, okrywając twarz jedwabiem, tak że nie było widać jej zakrzywionych zębów. Przykrycie jej twarzy jedwabiem było oznaką szacunku wobec najstraszniejszej ze wszystkich bogiń. „O Rangda, zasłaniamy twoje oczy z powodu twojego okrucieństwa; ubieramy cię i przyozdabiamy; jesteś małżonką śmierci; wdową ciemności; kładziemy dla ciebie kwiaty; czcimy cię; zapalamy kadzidła w czterech stronach świata”.

Michael siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi zwróconymi ku górze. Skinieniem głowy pokazał, aby Waverley zrobił to samo. Reece podszedł i pomógł Waverleyowi usadowić się w odpowiedniej pozycji. Słysząc było, jak trzaskają stawy Waverleya.

Michael miał właśnie zacząć recytować święte mantry, kiedy Waverley postukał Reece'a po nodze swoją laską i powiedział:

–Ty też. Idziesz ze mną. Chyba nie myślisz, że wejdę w ten trans bez ochrony, prawda? A gdzie są aparaty? Czy Williams wrócił z aparatami?

Reece trzymał brązową płócienną torbę i pokazał Waverleyowi dwa aparaty SX70s w środku. Michael pochylił się do przodu.

–On ma iść z nami? – spytał, wskazując na Reece'a.

–Czy to jakiś problem? – zdziwił się Waverley.

Michael pokręcił głową.

–Jeśli on idzie, ja nie idę. I nie ma dyskusji. Jeśli lejaki mnie nie zabiją, to z pewnością on to zrobi.

–Reece! – warknął Waverley.

Reece wyjął spod kurtki swoją czterdziestkę piątkę i odwiódł kurek. Z palcem na cynglu wymierzył pistolet w nos Michaela. Michael odsunął delikatnie lufę.

–Okay – powiedział. – Niech będzie. Chcesz iść, to pójdiesz. Usiądź obok pana Graceworthy'ego i nie martw się opróżnieniem umysłu. To musiało nastąpić już

bardzo dawno temu.

W lekkomyślnym ataku Michaela Randolph rozpoznał zdenerwowanie, ale nie mógł mu pomóc. Pilnował go Louv, wywijając swoją pałką na łańcuchu i obserwując z rozbawionym niedowierzaniem, jak Michael zaczyna śpiewać słowa, które miały zabrać Waverleya Graceworthy'ego i Richarda Reece'a razem z nim w świat za kurtyną.

Znajdowali się dwa i pół kilometra na południe od cmentarza Forest Hill, gdzie były pochowane Marmie i Ilona, ale Michael wiedział z doświadczenia w Denpasar, że czas i odległość w transie śmierci wyglądają zupełnie inaczej. Skoro tylko wejdą do królestwa śmierci, pomkną do Forest Hill niczym upiory, szybciej niż śmiertelny umysł to pojmie.

–O Sanghyang Widi – śpiewał Michael, a Frank Louv kaszlnął i udawał, że wyciera nos, aby ukryć rozbawienie.

–Rozumiesz coś z tego? – zwrócił się do Randolpha.

Randolph wzruszył ramionami i nie przestawał obserwować z głębokim niepokojem, jak dym kadzidła płynie przez pokój, a Michael z kroplami potu błyszczącymi na czole śpiewa mantry. Michael musiał dwukrotnie zwiększyć wysiłki, jeśli miał zabrać z sobą dwóch ludzi w trans śmierci, szczególnie że byli to ludzie nieprzygotowani duchowo, nie wierzący i wrogo nastawieni. Mogło się tak zdarzyć, że nie uda mu się to, a wtedy Reece z pewnością go zabije, a potem zwróci się przeciw Wandzie i Randolphowi. Waverley chciał, aby jego zemsta na Randolphie była finezyjna, ale Michael był pewien, że jeśli mu się to nie uda, to po prostu zadowolili się zwykłą przemocą.

Randolph spojrział przez pokój w kierunku drzwi na patio, w których powiewały piękne koronkowe firanki na ciepłym nocnym wietrze. Wanda spuściła głowę z wyczerpania i lęku, ale dwa dobermany u jej stóp pozostały czujne z nastawionymi uszami i zwisającymi jęzorami. Randolph wiedział, że wystarczy odpowiednia komenda od wyglądającego na szaleńca Louva i psy skoczą, aby ją zagryźć. Louv nie potrzebował broni, aby pilnować Randolpha i Wandy; psy zupełnie wystarczały.

Michael teraz kołysał się w przód i w tył, a Waverley i Richard Reece z pewnym zakłopotaniem zaczęli go naśladować.

–Opróżnijcie wasze umysły – powtarzał Michael. – Opróżnijcie wasze umysły ze wszystkiego. Nadziei, lęku, nieufności. Opróżnijcie wasze umysły z wszelkiej chęci zemsty. Opróżnijcie umysły z chaosu, oskarżeń i niechęci. Wasze umysły muszą być spokojne, tak spokojne jak niebo, tak spokojne jak powierzchnia jasnoblękitnego jeziora.

Waverley zamknął oczy, a Reece zrobił to samo. Kołysali się wciąż w przód i w tył, bez ustanku, aż cała trójka poruszała się w tym samym hipnotycznym rytmie. Dymy kadzidła snuły się między nimi miękko jak wstęgi na hinduskich pogrzebach, przez pola do oceanu.

Michael śpiewał każdą z mantr po dwanaście razy. Waverley drżał teraz, jakby się przeziębił, a Reece rzucił się do tyłu, łapiąc powietrze otwartymi ustami, jakby był na haju po kokainie czy heroinie. Michael był tak silnie skoncentrowany, że z nozdrzy

ciekły mu cienkie strużki krwi, a jego ubranie było mokre od potu.

–O Sanghyang Widi, zabierz nas do krainy zmarłych; o Yama, przyjmij nas; o Barong Keket, chroń nas.

Potem Michael zaczął śpiewać mantry po raz trzynasty – magiczna liczba dachów merak z kapliczek Yamy – przez powietrze przeszło niezwykle drżenie. Randolph patrzył na trzech mężczyzn siedzących na podłodze przed nim, którzy zaczęli dziwnie się rozmazywać, jakby ich ciała się rozciągały. Michael otworzył oczy i spojrzał na Randolpha, jego twarz wyglądała jak odbicie w krzywym zwierciadle. Michael otworzył usta i zaczął coś mówić, ale Randolph nie mógł go zrozumieć.

–Co się, do cholery, dzieje? – dopytywał się Frank Louv. – Spójrz na tych facetów. Wyglądają, jakby ktoś ich ścisnął. Reece! Co się, do cholery, dzieje?

Podszedł do Reece'a, który nadal klęczał na podłodze. Nie kiwał się już i miał oczy szeroko otwarte, ale nic nie widział, a jedna część jego twarzy była dziko zniekształcona niczym u medycznego potwora.

–Reece! – krzyknął Louv.

–Nie dotykaj go! – ostrzegł Randolph. – Z nim wszystko w porządku. Wszedł w trans śmierci. Wygląda tak, ponieważ w transie śmierci czas i przestrzeń są inne. Wierz mi, że z nim wszystko w porządku.

–Jezus! – zawołał Louv, cofając się.

Michael powstał. Jego postać falowała, jakby patrzyło się na nią przez wodę. Potem wstał Waverley i Reece. Frank Louv znowu się cofnął.

–Jezus! – powtórzył bardziej zdziwiony niż przerażony.

Cicho i szybko Michael, Waverley i Reece wyszli przez drzwi salonu i zniknęli. W tym momencie wszystko się skończyło i Randolph został z Louvem, a Wanda z dyszącymi dobermanami. Louv usiadł na oparciu sofy, pokręcił głową i powiedział:

–W życiu nie widziałem niczego podobnego. Oni wyglądali jak upiory.

–Weszli w krainę zmarłych i tyle – wyjaśnił Randolph.

–I tyle? Żartujesz?

–Ja również to kiedyś zrobiłem. Człowiek czuje się tak, jakby był zahipnotyzowany. Można wtedy spotkać ludzi, którzy nie żyją... ich duchy. Lub upiory, jeśli wolisz.

Louv wyglądał na zdenerwowanego.

Randolph skinął w kierunku drzwi na patio.

–Masz zamiar trzymać ją związaną przez cały czas, gdy ich nie będzie?

Louv pociągnął nosem, odchrząknął i powiedział:

–No pewnie. Takie są rozkazy.

–Lubisz pracę dla pana Graceworthy'ego? – spytał Randolph.

–Pewnie, że tak.

–Przypuszczam, że dobrze ci płaci.

–No pewnie. Dostaję dwa razy tyle niż w poprzedniej robocie u Midasa.

–I tu jest z pewnością ciekawiej.

–No chyba. Można pozbyć się tej, no, sam wiesz lepiej.

–Utajonej agresji – zasugerował Randolph.

Louv ciągle kręcił swoją pałką.

–No właśnie, coś w tym rodzaju. Kiedy się było w Wietnamie, nie było czasu nauczyć się tych wszystkich rzeczy. Byłem w III MAF w Chu Lai. To zmieniło moje życie, ta wojna. Zrobiła ze mnie innego człowieka. Kiedy tu wróciłem, mogłem tylko dostać robotę w supermarkecie czy na parkingu. Potem pracowałem u Midasa. Ale cały czas trenowałem obsługę M-6 i łamanie ludziom karków gołymi rękami.

Randolph potarł szyję, aby pozbyć się napięcia w mięśniach.

–A więc w końcu znalazłeś swoje powołanie – powiedział.

–No chyba.

–Szkoda, że poszedłeś najpierw do Waverleya Graceworthy’ego. Mógłbym lepiej wykorzystać twój talent.

Pałka obracała się nieprzerwanie, ale Randolph zauważył, że Louv czeka, co on powie dalej.

–Od pół roku szukam szefa ochrony – powiedział Randolph. – Dobrego faceta, ćwiczzonego w wojsku, takiego, co zadbałby, aby żaden z moich konkurentów nie próbował mnie okpić.

Louv przestał kręcić pałką.

–Ile forsy dajesz? – spytał. – Bo może ktoś byłby zainteresowany.

–Osiemset pięćdziesiąt na tydzień plus wydatki. Oczywiście plus rewolwer z pozwoleniem.

Louv pomyślał i znowu zaczął kręcić pałką.

–Będzie też premia na początek, aby przyciągnąć właściwego człowieka.

–Naprawdę?

–Myślałem o pięćdziesięciu.

–Pięćdziesięciu tysiącach

–A co myślałeś? – spytał Randolph. – Że pięćdziesięciu centach?

–A ta praca – spytał Louv okrężnie – czy to będzie robota szefa ochrony? To znaczy najważniejszego faceta w ochronie bez nikogo nad sobą?

–Zgadza się – odparł Randolph.

Nastąpiło długie milczenie. Louv wstał, podszedł do drzwi na taras i splunął w nocne powietrze. Potem wrócił, klepiąc końcem pałki o dłoń.

–Możesz wziąć czyjegoś szefa – poinformował Randolpha z napięciem na twarzy.

Randolph postanowił iść na całość.

–Chcesz tę robotę czy nie? – spytał.

–Potrzebuję trochę czasu do namysłu.

–Nie ma czasu, by się namyślać. Dostaniesz tę robotę, ale musisz zdecydować się od razu.

Mężczyzna nabrał powietrza.

–No nie wiem. Nie wiesz, jaki potrafi być pan Graceworthy, kiedy traci cierpliwość.

–Jeśli bierzesz tę robotę i wypuścisz mnie stąd, nikogo nie będzie obchodził pan Graceworthy, nigdy.

–Tylko tak się mówi.

Mężczyzna spacerował po pokoju w tę i z powrotem, kręcąc pałką i trzaskając nią o dłoń. Za czwartym razem, gdy przemierzał pokój, zatrzymał się obok udrapowanej w jedwab maski Rangdy.

–A to dopiero gęba – powiedział.

–No cóż – odparł ostrożnie Randolph – ona musi być przerażająca. Ma odstraszać ludzi.

–Naprawdę? – mężczyzna uniósł jeden narożnik jedwabnego szalu i przyglądał się okropnemu grymasowi Rangdy.

–Fiu, to dopiero gęba – powiedział kręcąc głową.

–Specjalnie robią ją tak przerażającą, aby nikt nie wkładał ręki w jej usta.

Louv spojrział krzywo na Randolpha.

–Dlaczego ktoś miałby być tak głupi, żeby wkładać tam rękę?

–Nie wiem, czy głupi jest właściwym słowem. Według tradycji zawsze umieszczano w jej gardle kawałek złota. Wydaje mi się, że miało to dawać złoty głos aktorowi, który ją nosił. To jakieś głupie zabobony. Ale w środku jest złoto. Każda maska je ma. Może dziesięć czy jedenaście uncji. Jaka jest teraz cena złota?

–Wpuszczasz mnie w maliny – powiedział mężczyzna kwaśno.

–Spróbuj, a sam się przekonasz – uśmiechnął się Randolph.

–Naciągasz mnie, nie? Masz mnie za głupka, który nic nie robi, tylko wkłada łapy w maskę w poszukiwaniu złota.

–Przecież masz moją sekretarkę, którą pilnują twoje psy, masz mnie i możesz mi stracić głowę tą pałką. Myślisz, że mam ochotę na żarty?

–Tak, a co będzie jeśli pan Graceworthy wróci i będzie chciał wiedzieć, gdzie jest złoto? Wiesz, w jakie kłopoty bym się wpakował?

–Pan Graceworthy nic nie wie o złocie, a mój przyjaciel Michael Hunter z pewnością mu nie powie, poza tym on najprawdopodobniej nigdy nie wróci. Wiesz, jak pracuje pan Graceworthy. Pan Graceworthy zatrudnia ludzi takich jak ty i Reece, a to mówi samo za siebie.

–A więc mówisz, że gdybym zabrał złoto, a psy nagle okazały się nieposłuszne, ty i ona moglibyście stąd zwać. Mowa tutaj o umowie, prawda?

Randolph potaknął.

–Zgadza się. Jakkolwiek by się stało, ty jesteś do przodu. Jeżeli tam nie ma złota – ale na pewno jest – jeżeli jednak nie ma, niczego nie tracisz. A jeśli jest, nadal muszę ci wierzyć, że mnie uwolnisz.

–I nie ma w tym jakiejś zgrywy? – spytał mężczyzna z zadziwiająco sympatycznym uśmiechem.

Randolph przesadnie potrząsnął głową. Mężczyzna zawahał się przez chwilę, potem ukląkł i zajrzał między zakrzywione kły Rangdy.

–Strasznie tam ciemno. Nie widzę żadnego złota.

–Jest zupełnie z tyłu – zapewnił go Randolph.

Wolno i ostrożnie Frank Louv włożył dłoń między rozchylone wargi do ust. Randolph odkaslnął z nerwów, a mężczyzna spojrział na niego i powiedział:

–Bez żadnych wygłupów, dobra? Bo inaczej zagwiżdżę na psy.

–Masz moje słowo – odparł Randolph. Między łopatkami ściekał mu zimny pot.

–Nadal niczego nie czuję – relacjonował mężczyzna.

–Głębiej – popędzał go Randolph.

–Jaki ma kształt? Jakiś specjalny kształt?

–No cóż, zazwyczaj robią to w kształcie...

Przeraźliwy ryk, jaki wydobył się z wnętrza Wdowiej Wiedźmy, zmroził nawet Randolpha. Rangda toczyła ślepiami, kłapała zębami, a wyglądający na szaleńca Louv zawył ze strachu. Próbował wyciągnąć rękę z powrotem, ale szczęki Rangdy zacisnęły się i usłyszeli odgłos, jakby ktoś złamał suchą gałąź.

Mężczyzna wrzasnął znowu – długim przeciągłym krzykiem – i próbował wyrwać ramię spomiędzy ciasno zaciśniętych szczęk Rangdy. Ciągnął i ciągnął, wrzeszcząc i szamocząc się, prawie śmiejąc się z bólu; potem nagle jego ramię uwolniło się. Zostało odgryzione poniżej łokcia. Żyłki i ścięgna zwisały z niego jak krwawy makaron. Jego twarz była porażona bólem i szara jak popiół.

–O Boże, moje ramię...

Trzymał ociekający kikut, machając nim w kierunku Randolpha, jakby go nim straszył. Wszystko było spryskane krwią, jego arterie tryskały jak otwarty na pełną parę kran.

Maska znowu zaryczała i mężczyzna odczołgał się od niej, przerażony.

–Boże, dobry Boże! – krzyczał, a potem upadł na dywan i leżał w drgawkach.

Dobermany na zewnątrz na trawniku natychmiast powstały z najeżoną sierścią, nastroszonymi uszami i wzniesionymi ogonami. Ale Louv, trzęsąc się i płacząc, nie był w stanie zagwizdać komendy, która kazałaby im zaatakować.

Randolph przeszedł przez pokój i stanął w drzwiach na taras. Wanda przywiązana do krzesła patrzyła na niego z przerażeniem.

–Na miłość boską – wyszeptała Wanda. – Zabierz nas stąd.

Randolph zaczął zbliżać się do krzesła, ale dobermany odwróciły się i warknęły na niego ostrzegawczo. Zrobił jeden krok, potem jeszcze jeden, ale tym razem skoczyły naprzód i zaczęły wściekle ujadać.

–Kazano im mnie pilnować – powiedziała zrezygnowana Wanda.

–Chyba nie biorą poleceń tak cholernie poważnie – narzekał Randolph. Za nim, na spryskanym krwią dywanie, Frank Louv próbował podnieść się na kolana, ale znowu upadł.

–Mięso! – wykrzyknęła Wanda. – Zabrali mi mięso, kiedy mnie związywali. Zostawili je na górze.

–Poczekaj – powiedział Randolph. – Staraj się nie ruszać. Nie ugryzą cię, jeśli nie będziesz się ruszać.

–A co z maską?

–Jedynej rzeczy, jakiej maska nie umie, to chodzić.

–O Boże – powiedziała Wanda. Randolph popędził do środka i wpadł na schody, pokonując trzy stopnie naraz. Dobiegł na miejsce akurat, gdy lokaj Waverleya z niesmakiem podnosił plastikową torbę z polędwicą. Spojrzał na Randolpha zdziwiony.

–Co, do diabła, pan tutaj robi? – spytał, zapominając o swojej wytwornej angielszczyźnie.

–Zabieram swoją własność – odparł Randolph i wydarł mu torbę ze stekiem.

Lokaj jednak próbował mu ją z powrotem wyrwać, ale Randolph pchnął go silnie w pierś i lokaj puścił.

–Trzymaj się od tego z daleka – powiedział Randolph. – To więcej niż potrafisz znieść.

Lokaj, odepchnięty, patrzył tylko w zadziwieniu, jak Randolph wraca na dół po schodach przez korytarz do salonu. Na zewnątrz dobermany nerwowo chodziły, szczekając i warcząc, a kiedy ujrzały Randolpha, zaczęły ujadać jeszcze wścieklej.

–Chodźcie tu, pieski! – zawołał Randolph. – No chodźcie! Czas na obiad!

Sięgnął do plastikowej torby i wyjął kawał ciepłego mokrego steku. Uniósł go, aby psy poczuły zapach, a potem rzucił najdalej, jak tylko zdołał.

Psy zawahały się, niepewne, co robić. Kazano im pilnować Wandy, ale ich uwaga została zakłócona przez atak maski na Louva i nikt nie powiedział im, co mają dalej robić. Randolph rzucił następny kawał mięsa i krzyknął:

–No dalej, pieski, obiad, na miłość boską!

W końcu apetyt zwyciężył. Rzuciły się przez trawę i zaczęły pożerać steki.

Randolph zmagał się z więzami, które krępowały Wandę. W końcu udało mu się ją uwolnić.

–Posłuchaj – powiedział. – Obiecałem Michaelowi, że pójdę za nim w trans śmierci.

–Ale przecież nie możesz! – zaprotestowała Wanda.

–Muszę. To może być moja ostatnia szansa.

–Randolphie...

–Proszę, Wando. Znam ryzyko. Chcę, żebyś zeszła na dół do piwnicy, odszukała Herberta i kazała mu zawieźć się do domu.

–Randolphie, nie możesz tego zrobić. To zbyt niebezpieczne. I ta maska...

–Wiem, co robię – zapewnił ją Randolph, choć był tak samo przerażony jak ona. – Chcę tylko, żebyś pojechała do jakiegoś bezpiecznego miejsca, abym nie musiał się o ciebie martwić. Teraz, proszę.

Wanda, z bladą twarzą ociekającą łzami, schwyciła go za ramiona.

–Do diabła – powiedziała. – Kocham cię.

Randolph pocałował ją w czoło.

–Ja ciebie też kocham. A więc idź ostrożnie, a ja na pewno wrócę.

Weszli do salonu. Frank Louv leżał twarzą do ziemi na podłodze i kiedy Randolph nachylił się nad nim, stwierdził, że mężczyzna nie oddycha, a jego oczy są szeroko otwarte.

–Nie żyje? – spytała Wanda.

Kiedy Randolph potaknął, spojrzała na maskę i wzdrygnęła się.

–Idź już i zamknij drzwi za sobą. Ja zamknę drzwi od tarasu i wezmę klucz ze sobą, kiedy pójdę do Michaela. Tylko pod żadnym pozorem nie wpuszczaj tu nikogo.

Wanda spojrzała na Randolpha po raz ostatni, jakby chciała wycisnąć sobie w

pamięci jego obraz na zawsze, a potem wyszła, przekręcając klucz w zamku od salonu. Randolph zamknął drzwi na taras i stanął na środku pokoju, gdzie maska Rangdy gapiała się na sofę. Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, tak jak nauczył go Michael.

Pochylił głowę, opróżnił umysł. Pozwolił, by wszystkie wściekle, przerażająco dudniące myśli wyciekły z jego umysłu, jak kolorowy piasek przesypuje się w klepsydrze. Zaczął go ogarniać wewnętrzny spokój, błyszczący i blady, i nieskończenie kojący. Zastanawiał się, czy Waverley i Reece mogli uzyskać taki spokój, ale potem nawet temu ułamkowi myśli pozwolił zniknąć z resztą kolorowego piasku.

Wymawiał słowa świętych mantr. Znowu słyszał dudniące gongi i uderzenia pałeczek. Słyszał wściekle, denerwujące pobrzękiwanie cymbałów *ceng-ceng* i wolne, głębokie tony *trompong*.

Nie był adeptem, ale wierzył i siłą swojej wiary wolno i spokojnie został wciągnięty do krainy zmarłych. Stopniowo wokół niego narastała ciemność jak płatki lotosu w kolorze nocy, która potem zamknęła się wokół jego głowy. Słyszał echo szeptów, a ziemia pod nim zdawała się roztopiać, usuwając się spod stóp jak czarne piaski Krambitanu, usuwając się i usuwając, aż w końcu balansował na jednym ziarenku. Wszechświat zakręcił się wokół niego. Potem ukazały się gwiazdy, jedna po drugiej, coraz więcej i więcej, całe galaktyki gwiazd, rozciągające się we wszystkich kierunkach na niesamowite ilości lat świetlnych; i oto on pośrodku tych galaktyk, władca gwiazd, pan całej przestrzeni.

Wszechświat zacieśnił się. Gwiazdy stłoczyły się razem. Potem jak błyszczący pokaz fajerwerków wybuchnęły, a Randolph otworzył oczy i stwierdził, że siedzi na podłodze w salonie Waverleya, przed maską Rangdy i ciałem zmarłego człowieka.

Podniósł się szybko i ruszył jak postać ze snu, przez pokój, przez drzwi na taras i dalej na oświetlone trawniki.

Dobermany uniosły głowy znad swojej kolacji, a jeden z nich szczeknął, ale Randolph przemknął obok nich tak szybko, że zdążyły tylko powęszyć, oblizać szczęki, i wróciły do przerwane go posiłku.

Randolph obszedł dom, aż dotarł do podjazdu. Zauważył, jak brama do posiadłości Waverleya otwiera się i w kierunku domu mkną trzy samochody. Rozpoznał pierwszy z nich, długą czarną limuzynę z rejestracją OGRE 1. Za nią ukazał się srebrny New Yorker z napisem policji na drzwiach i Randolph, zatrzymując się na poboczu, ujrzał w nim Dennisa Moyne z poważną i nieszczęśliwą twarzą, siedzącego z tyłu obok dwóch oficerów. Za samochodem Szefa Moyne jechał wóz patrolowy bez świateł.

Randolph nie miał czasu, aby zatrzymać się i patrzeć, dlaczego Orbus Greene i Dennis Moyne nagle się odwracają. Wyszedł drogą podjazdową na Elvis Presley Boulevard, potem skręcił na północ w kierunku cmentarza Forest Hill. Pokaz fajerwerków skończył się już, noc była cicha. Przypadkowy samochód przejechał obok niego dziwnie wolno, jak wszystko, co dostrzega się w transie śmierci. Samolot szymbował po niebie, jego światła świeciły w wolnym, odmierzonego rytmie. Nawet

cykady grały niskim, spowolnionym dźwiękiem.

Potrzebował pięciu czy sześciu minut, aby dojść do cmentarza. Główna brama była zamknięta, ale z boku znajdowała się otwarta furtka, przez którą przeszedł. Wiedział, gdzie była pochowana Ilona Graceworthy; grobowiec Graceworthych był tylko siedemdziesiąt metrów od grobów rodziny Clare. Przemykał między rzędami nagrobków, między obeliskami i aniołami, półrzeczywista postać w nierzeczywistym świecie. Nad jego głową niebo było parne i zachmurzone i światła miasta odbijały się w chmurach. Nagrobki błyszczały nienaturalnie białą w ciemności jak zęby czaszek sterczące z ziemi. Było bezwietrznie. Drzewa stały milczące, żadnego westchnienia nad zmarłymi, jak zazwyczaj.

Doszedł do końca rzędu nagrobków, gdzie znajdował się grobowiec Graceworthych, i nagle ich ujrzał: Michaela, który wyglądał na niespokojnego; Waverleya z nienaturalnie zarumienioną twarzą; Reece'a z aparatami, patrzącego pogardliwym wzrokiem, z pistoletem zatkniętym za pas, jakby mógł go obronić przed zmarłymi. Michael zaśmiał się serdecznie, gdy Randolph zaproponował, aby w trans śmierci przeciw lejakom zabrali karabin.

–Jak chcesz zabić kogoś, kto nie żyje?

Waverley wzywał Ilonę. Randolph miał wrażenie, że tamci dopiero co przybyli. Waverley był starszy i wolniejszy niż reszta. Randolph cofnął się cicho i przycisnął się do zimnego nagrobka, aby nie zobaczył go Reece. Słuchał i obserwował z lęklwym zafascynowaniem.

–Ilono! Ilono! Błagam cię! Gdzie jesteś, Ilono, to ja, Waverley. Chcę z tobą porozmawiać!

Nie było odpowiedzi. Randolph rozejrzał się szybko po cmentarzu i uświadomił sobie, że nie było tu duchów, a przynajmniej żadnego nie widział. Być może wszystkie duchy w Forest Hill osiągnęły swoje przeznaczenie, nowe wcielenie, inne życie.

–Ilono! Ilono, moja miłości! – powtórzył Waverley. Przez długi czas nic się nie działo. Waverley wołał Ilonę jeszcze dwa razy, ale jego głos brzmiał nieszczęśliwie i bez nadziei. Michael nie ruszył się z miejsca, pochylił się do przodu. Reece przebiegał w miejscu, chrząkał i rozglądał się wokół. Jego obraz zdawał się bezustannie falować i zmieniać, jak gdyby nie udało mu się całkowicie objawić w krainie zmarłych.

Randolph mocniej przywarł do nagrobka, oddychając wolno i równo. Kiedy Reece odwracał się, sprawdzał, czy nie ma lejaków, ale w sztucznym świetle neonów śródmieścia Memphis nie płonęły żadne oczy ani nie pojawiły się twarze pokryte popiołem.

Nagle stało się coś niesamowitego. Kuta żelazna brama grobowca Graceworthych została otwarta od wewnątrz przez śmiertelnie białe dłonie. Zardzewiałe zawiasy zazgrzytały jak zęby cierpiącego człowieka. Waverley Graceworthy cofnął się przerażony. Ujrzał kobietę; kobietę w bieli o białej twarzy. Kobietę o ciemnych, nieprzeniknionych oczach, długich, ciemnych włosach i wieńcu z kwiatów na głowie.

Randolph zadrżał ze strachu. Kobieta stała w drzwiach grobowca, jedną ręką nadal trzymając skrzydło bramy. Patrzyła na Waverleya, jakby usiłowała wszystko z

niego wyciągnąć: jego duszę, uczucia, całą istotę.

–Ilono – wyszeptał Waverley na tyle głośno, że Randolph usłyszał.

Nagle upadł na kolana.

–Ilono, to ja, Waverley. Twój Wave, kochanie...

Kobieta milczała i nie poruszyła się.

–Ilono, chcę ci powiedzieć, że cię kocham. Kocham cię, Ilono, słyszysz mnie?

Zawsze cię kochałem i nadal cię kocham.

Kobieta wolno podeszła przez równo przystrzyżoną trawę, jej bosc stopy stąpały cicho. Reece cofnął się o dwa czy trzy kroki i sięgnął do torby po polaroid. Michael zobaczywszy, co tamten robi, pomachał zirytowany, aby mu przekazać, że Ilona to nie lejak i nie ma niebezpieczeństwa.

Ilona położyła dłoń na głowie Waverleya.

–*Kochasz mnie?* - spytała głosem tak zimnym jak ręk.

–Zawsze cię kochałem.

–*Nigdy mnie nie kochałeś. Dlaczego nachodzisz mnie teraz?*

–Ilono – błagał Waverley i kiedy uniósł głowę, Randolph dostrzegł łzy błyszczące na jego policzkach. – Ilono, proszę, wybacz mi.

–*Nie ma co wybaczyć* - odparła Ilona. – *Nic dla mnie nie znaczyłeś wtedy i nic dla mnie nie znaczyysz teraz.*

–To nie może być prawda. Dlaczego zostałeś ze mną? Dlaczego wciąż do mnie wracałeś?

Ilona uśmiechnęła się. Randolph patrzył na nią i nagle został poderwany przez myśl, że ta kobieta, ten duch, ta zjawa z grobu... to jest jego matka. I stwierdził, że – z Reece'em czy bez – musi z nią porozmawiać.

–Nigdy mnie nie porzuciłaś, prawda? – nalegał Waverley. – Musiałaś czuć coś do mnie. Nawet po tym, jak miałaś dziecko, wróciłaś.

Ilona wolno pokręciła głową.

–*Nigdy mnie nie rozumiałaś, prawda, Wave? Nigdy nie rozumiałaś nikogo.*

Wracałam do ciebie, ponieważ on nie mógł zostawić swojej żony, a ja nie chciałam nikogo innego. Dawales mi dom, pieniądze, nie żadales zbyt wiele w zamian. Gdzieś przecież musiałam spać, gdy nie byłam z nim. Musiałam gdzieś powiesić swoje ubrania. Być może sądziłeś, że byłam słaba. Być może sądziłeś, że powinnam cię zostawić i zacząć życie na nowo. Ale po tym, jak urodziło się dziecko, poczułam się mu bliższa niż zwykle, a kiedy byłam z tobą, mogłam go przynajmniej widywać. Mogłam widywać też dziecko, a ty nigdy nie wiedziałeś, jak mnie to bolało. Ale on wychowywał dziecko tak dobrze. Wychowywał je, aby było zdrowe i uczciwe. Nigdy się go nie wstydziłam. Było moje.

Randolph wyszedł z ukrycia za grobem na wolną przestrzeń. Szedł wolno ku Waverleyowi i Ilonie, nie zwracając uwagi na Reece'a, jakby w ogóle nie istniał. Reece wyjął swój pistolet, ale trzymał go lufą do góry. Obawiał się, że śmiertelna broń będzie bezużyteczna. Michael zdziwiony z wahaniem także się przysunął, ale Randolph uniósł dłoń i machnął, aby tamten się cofnął.

Kiedy Randolph się zbliżał, Ilona zwróciła się ku niemu. Patrzyła na niego

czarnymi oczami, jej dłonie lekko uniesione wolno opadły wzdłuż boków. Randolph podszedł do niej, tak że dzielił ich tylko metr, i po raz pierwszy w życiu zajrzał w oczy swojej matki. Jej wianek był upleciony z dzikich kwiatów, które były suche.

–*To ty* - wyszeptała Ilona.

Randolph skinął głową.

–*Nie wiedziałem aż do dziś. Waverley mi powiedział. Ojciec nigdy tego nie uczynił.*

–*Ojciec* - powtórzyła Ilona łagodnie i wyciągnęła dłoń, aby dotknąć dłoni

Randolpha. – *Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę, jak to mówisz do mnie, za życia czy po śmierci.*

Pojedyncza łza zaszklila się w jej oku tak świetlista jak diament.

Między nimi klęczał Waverley, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

–*A więc to prawda* – powiedział ochryple. Podparł się na lasce i próbował wstać.

Gdyby Reece mu nie pomógł, prawie straciłby równowagę. Waverley, blady i drżący, oparł się na ramieniu Reece'a.

–*To prawda! A więc to prawda!*

–*Wiedziałaś o tym przez cały czas* – powiedział Randolph. – *Dlaczego jesteś teraz taki wściekły?*

–*Ponieważ...* – wydyszał Waverley – *ponieważ zawsze modliłem się, żeby to tylko były moje własne urojenia, podejrzenia, moja małoduszność. Zawsze modliłem się, aby to nie była prawda.*

Odwrócił się, błysk światła odbił się w jego okularach.

–*Zawsze modliłem się, aby mnie kochała* – powiedział ponuro.

Ilona gładziła dłoń Randolpha, każdy palec z osobna, pieszcząc linię jego żył.

–*Wiesz?* - spytała głosem słodkim i zimnym jak mrożone białe wino. – *Śmierć nie rozdziela rodzin. Teraz to wiem. Matki i synowie, ojcowie i córki, nic nie może ich rozdzielić.*

Położyła głowę na ramieniu Randolpha. Była niesamowicie zimna, a z jej włosów sypały się iskry. Randolph był przerażony, ale także bardzo wzruszony.

–*Mój synu* - wyszeptała, i nawet jej oddech był zimny. – *Mój synu, w końcu cię odzyskałam.*

Wtedy jednak Michael położył rękę na ramieniu Randolpha i powiedział ostrzegawczo:

–*Randolphie.*

Randolph uniósł głowę, Waverley i Reece oddalali się od grobowca Graceworthy.

–*Co się stało?* - spytała Ilona. – *Dokąd oni idą?*

–*Szybko, Randolphie. Oni idą szukać Marmie.*

Randolph chwycił lodowato zimne palce Ilony między swoje silne i gorące dłonie.

–*Muszę już iść* – powiedział. – *Spróbuję tu wrócić później. Obiecuję.*

–*Randolphie* – popędzał go Michael. – *Jeśli ją znajdą i zaczną jej grozić... No wiesz sam, jaki jest Reece.*

–*Matko* – powiedział desperacko Randolph i pocałował w policzek zmarłą kobietę, która dała mu życie. Potem odwrócił się i pobiegł za Michael.

Rozdział XXVI

Wspiąwszy się na szczyt wzgórza, stanęli między rzędami połyskujących białych nagrobków. Widzieli, jak Waverley i Reece zbliżają się do miejsca, gdzie była pochowana Marmie i dzieci. Waverley krzyczał z całych sił:

–Marmie Clare! Marmie Clare! Pokaż się, Marmie Clare!

–Nie wyjdzie na takie wrzeszczenie – wysapał Randolph.

–Jest teraz duchem – przypomniał mu Michael. – Duchy nie odczuwają wrogości tak samo jak żywi ludzie.

–Zabiję tego drania – poprzysiągł Randolph, uświadamiając sobie, że są to najbardziej nienawistne słowa, jakie kiedykolwiek w życiu wyrzekł. Tym bardziej nienawistne, że tak naprawdę myślał.

Randolph i Michael zaczęli znowu biec przez zimny marmurowy las aniołów, wieżyczek i ślepych wizerunków Chrystusa. Cały czas słyszeli, jak Waverley wykrzykuje imię Marmie głosem brzmiącym niczym krzyk myszołowa lub kruka.

–Marmie Clare! Marmie Clare! Pokaż się, Marmie Clare! Dalej, Marmie, gdzie się ukrywasz?

Michael rozejrzał się szybko na boki i krzyknął:

–Randolph! Randolph stanął w miejscu.

–Co jest?

–Tam! Patrz! I tam!

Randolph osłonił oczy i spojrzał w ziarnistą ciemność.

–Niczego nie widzę. Co tam jest?

Michael wyciągnął ramię i wskazał na pobliski wysoki katafalk. Z początku Randolph niczego nie dostrzegł, ale potem zauważył, jak coś się lekko rusza. Atramentowy kształt wyłaniający się z cienia grobowca i chowający się w cieniu następnego.

–Myślisz, że ktoś nas śledzi? – spytał. – Policja? Ochrona?

–Lejaki – odparł Michael.

–Lejaki? Myślałem, że w Ameryce ich nie ma!

–Patrz, tam i tam! I tam! – wskazał Michael.

Tym razem Randolph dostrzegł jarzący się oranż ich błyszczących ślepiów. Tym razem dostrzegł popielato-biały poblask ich brudnych twarzy.

–Mój Boże! Masz rację. Lejaki.

–To na pewno przez Ambarę – powiedział Michael. – Rozmawiałeś z nim?

–Ostatni raz wczoraj rano. Nie mogłem go złapać. Ale o co chodzi? Co doktor Ambara może mieć z tym wspólnego?

–Nie chciałem zabrać go w trans śmierci. Powiedziałem, że to zbyt niebezpieczne i że zrobię to dla ciebie już po raz ostatni w moim życiu. Był naprawdę zły z tego powodu. Powiedział, że robi to sam.

–Nie powstrzymałeś go? – spytał Randolph z niedowierzaniem.

–Jak mogłem go powstrzymać? Nie jestem jego pedantą. Jest dorosłym człowiekiem, a przynajmniej był. Widocznie zrobił to, wszedł w trans śmierci i rozbudził lejaki. Są za nami. Popatrz, musi ich być ze sto!

–I co teraz zrobimy? – spytał Randolph w napięciu.

–Uciekamy – powiedział Michael. – I to szybko!

–Ale Marmie i dzieci... jeśli Waverley ich przywoła, lejaki się do nich dobiorą. Do diabła, rozerwą ich na strzępy!

–Randolphie, oni już nie żyją. Nie jesteś w stanie im pomóc. A Waverley dostanie to, na co zasłużył. I Reece także.

Randolph zawahał się. Waverley stał pięćdziesiąt metrów z przodu, przed grobami rodziny Clare, uderzając swoją laską o ścieżkę i krzycząc:

–Marmie Clare! Marmie Clare! Wychodź, Marmie Clare!

Nie zauważone przez Waverleya i Reece'a, ciemne i przerażające kształty zmieniały kontur nagrobków; kształty, które miały śmiertelnie białe twarze i oczy płonące pomarańczowo z niepohamowanej nienawiści. Plemię lejaków, dzieci Rangdy. Zgłodniałe chmary przemierzały cmentarz w poszukiwaniu duchów istot żywych i martwych dusz.

Michael uchwycił Randolpha za rękaw.

–Ostatnim razem miałeś szczęście, ale tym razem ci się nie uda, bracie. Spójrz na nie, Randolphie! Jeśli się stąd nie wydostaniemy, będziemy tak samo martwi jak one! Chcesz zostać jednym z nich? Lejakiem? Zombim?

Randolph miał właśnie się oddalić, opuścić Waverleya i Reece'a, gdy nagle zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Stał wyprostowany, wpatrzony i Michael nie był w stanie go odciągnąć.

–To oni – powiedział, nie dbając o to, czy Michael go słucha czy nie. – Michael, to oni!

Michael puścił rękaw Randolpha, ale nie ruszył się z miejsca. Z ciemności wyłonili się Marmie, John, Mark i Issa, stając w rzędzie przed Waverleyem i Reece'em.

Marmie, piękna Marmie, z włosami, które wyglądały jak tego ranka, gdy wyjeżdżał. John wyższy nawet, niż sobie przypominał. Mark z figlarnym uśmiechem. I ukochana Issa.

Randolph szedł do nich po cmentarnej ścieżce, lekceważąc zbliżające się cienie lejaków. Łzy ciekły mu po policzkach. Był wzruszony, podniesiony na duchu i jednocześnie przerażony. Jego umysł tryskał nadzwyczajną mocą ludzkiego ducha. Ponieważ nie mógł wydobyć głosu, uniósł ramiona i wtedy Marmie i dzieci dostrzegli go, a ich twarze rozbłysły nagłą radością. Randolph biegł teraz do nich i wkrótce znaleźli się znowu razem. Obejmował ich i chociaż czuł, że są zimni, byli jego, ich duchy były jego i kochał ich jak nigdy przedtem.

–Marmie – wyszeptał drżącym głosem. – Marmie, tu jest niebezpiecznie. Musicie iść ze mną wszyscy. Musimy zaraz stąd odejść.

Marmie nie mogła przestać dotykać go z niedowierzaniem.

–*Jak się tutaj dostałaś? Randolphie, przecież ty nadał żyjesz! Jak się tutaj dostałaś? Nie mogę uwierzyć, że jesteś tutaj!*

–Dalej – popędzał Randolph. – John, Mark, Issa, musimy stąd uciekać!

–*Tato* - zdziwił się John. – *Co się stało? Tato, co tutaj robisz?*

–*Nie możemy stąd odejść* - narzekala Issa. – *Nie możemy.*

Naprzód wysunął się Waverley. W prawej ręce trzymał laskę jak karabin.

–To niezwykle, prawda? Nocne połączenia! Matki i żony, i dzieci.

Reece także wysunął się naprzód. Uśmiechał się. Marmie spojrzała na niego z przerażeniem. Wyciągnęła ramiona i przytuliła swoje dzieci. Issa także patrzyła bezgranicznie przerażona.

–*Dlaczego on tutaj jest?* - wyszeptała Marmie.

Issa zaczęła płakać.

–*Dlaczego on tutaj jest?* - powtórzyła Marmie, prawie krzyżąc.

–Jest tutaj dla mojej ochrony – odparł Waverley.

–*On mnie zgwałcił!* - wrzeszczała Marmie. – *On mnie zgwałcił! Zgwałcił moją córkę! Potem nas torturował i zabił!*

Randolph musiał schwycić Marmie za zimne nadgarstki, aby powstrzymać ją przed zaatakowaniem Reecea gołymi rękoma.

–*Gwałcił nas i gwałcił, a potem założył nam na szyję pętlę z kolczastego drutu. Kiedy umierałyśmy w cierpieniu, zdjął z twarzy maskę i śmiał się! Demon!* -

wrzasnęła na niego. – *Demon!*

Do Randolpha podszedł Michael i pociągnął go za ramię.

–Musimy uciekać, Randolphie, i to zaraz! Otoczyły nas! Spieszmy się!

Marmie załkała w ramionach Randolpha. Jej głos z krzyku przeszedł w szept.

–*Randolphie, spraw, aby cierpiał. Spraw, żeby zapłacił za to, co zrobił.*

Walczyłam z nim. Tak bardzo z nim walczyłam. Zerwałam mu z szyi jego znaczek identyfikacyjny. Upadł między deski podłogi. Przeklinał mnie, lżył i bił... ale ten znaczek tam nadal jest pod podłogą, jego wojskowy znaczek.

Reece odepchnął Randolpha od Marmie i wymierzył pistolet w jego głowę. Marmie cofnęła się z lękiem, chociaż tamten zabrał już jej wszystko, co było dla niej najważniejsze. Jej ciało, godność i samo życie. Waverley powiedział wyraźnie, ale jakimś obłąkanym głosem:

–Chcemy, byś wiedziała, Marmie, moja droga, że jeśli twój mąż znowu będzie próbował skontaktować się z tobą, jeśli będzie chciał zdobyć jakiś dowód przeciw nam, ukarzymy go tak srogo, że resztę życia spędzi w cierpieniu. Nie umrze, ponieważ to sprawiłoby, że spotkałby się z tobą, ale zostanie boleśnie okaleczony.

Marmie milczała, kręcąc głową, przerażona nawet po śmierci widokiem człowieka, który ją zabił.

–Waverley, to wszystko przemawia przeciwko tobie – powiedział Randolph.

Waverley swoją laską wybijał rytm o ziemię.

–Zabrałeś mi żonę, zabrałeś mi dzieci. Zrobiłem to samo tobie, Randy. To się nazywa poetycką sprawiedliwością.

–Są już tutaj, Randolphie – odezwał się Michael.

–Kto? Kto jest tutaj? – spytał Waverley.

Wtedy właśnie, warcząc, z ciemności wyłoniły się lejaki o białych twarzach. Ponad pięćdziesiątka z jarzącymi się ślepiami. Randolph przyciągnął bliżej Marmie i dzieci. Wyczuwał ich lęk. Byli całkowicie otoczeni, nie było ucieczki.

–Lajki – wydyszał przerażony Waverley. – Randolphie, czy to są lajki?

–Lejaki – poprawił go Michael. – Wszystko, co o nich mówiłem, było prawdą. Za chwilę przekonacie się, jak to jest być pożartym żywcem.

Przerażony Waverley zwrócił się do Reece'a o wsparcie, ale ten cofnął się i zostawił go.

–Aparat – wysyczał Waverley. – Cholera, Reece, aparat. Użyj go.

Lejaki podeszły bliżej.

Marmie, pozbierawszy się jakoś, powiedziała:

–*Nigdy ich wcześniej nie widziałam, Randolphie, ale wiem, kim są i skąd pochodzą. Wiem także, co mają z nami zamiar zrobić.*

–Jesteśmy razem – odparł Randolph. – Przynajmniej tym razem jestem z wami.

–*Boję się, tato. Tak się boję* - załkała Issa.

Jeden z lejaków zamierzył się pazurami w kierunku Reece'a. Reece, wykorzystując okazję, cofnął się i zrobił mu zdjęcie. Polaroid zabuczał i pojawiła się czysta biała kartka. Oświetlone flesztlem lejaki cofnęły się trochę, dając Reece'owi trochę czasu. Obraz lejaka wylaniał się stopniowo na papierze, a wtedy Reece, trzymając go między dwoma palcami, pomachał nim przed oczami lejaka. Lejaki znowu się cofnęły. Zbiły się w gromadę, niepewne, którego z nich obraz Reece utrwalił. Wtedy Reece wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił ją, a one, trzymając dłonie na oczach, cofnęły się w popłochu.

Reece był ćwiczony w Wietnamie. Wiedział, co robić, by przeżyć i jak wykorzystać chwilę. Kiedy lejaki czmychnęły, ruszył do przodu, spychając je w różnych kierunkach, a potem zaczął uciekać. Waverley spróbował podążyć za nim, ale Michael przytrzymał go za ramię.

–Zostaw go i tak go dopadną. A ty zasługujesz na to, co cię spotka, gadzie.

Lejaki znowu podkradły się bliżej. Wydawały szeleszczący dźwięk, jak gdyby idąc, rozsypywały się na kawałki.

Waverley zrobił dwa albo trzy niepewne kroki w kierunku lejaków. Randolph, Michael i Marmie obserwowali go. Wyglodniałe i żarłoczne lejaki także na niego patrzyły płonącymi oczami.

–Nie atakują – wyszeptał z lękiem Michael do Randolpha. – Dziwne. Otoczyły nas, ale nie atakują.

Randolph nie wiedział, co odpowiedzieć. Po prostu objął tylko Marmie i pokręcił głową.

Wtedy rozległ się głęboki dudniący odgłos. Lejaki wyszczerzyły zęby i drapały pazurami w powietrzu, ale nadal się nie zbliżały. Kiedy dudniący odgłos przybrał na sile, niektóre marmurowe nagrobki zaczęły klekotać i trząść się. Marmurowy anioł upadł z piedestału, łamiąc się na dwoje.

Randolph zwrócił się do Michaela, krzycząc:

–Michael, co się dzieje?

Ale Michael przykrył twarz dłońmi i wolno opadł na kolana. Waverley zaczął kręcić się w kółko przerażony.

–*Tato, co to jest?* - wrzeszczała Issa.

Przez sekundę Randolph pomyślał: „Straciłem ją, po raz drugi pozwoliłem jej

cierpieć. Boże, miej w opiece moje ukochane dzieci. Boże, ochroń ich dusze”.

Rumor stał się tak głośny, że z ledwością mogli wytrzymać. Ich zęby wibrowały, kości zdawały się brzęczeć, a cały cmentarz sprawiał wrażenie, jakby się miał zapaść. Wielki granitowy nagrobek złamał się z suchym ostrym trzaskiem, a wysoka wieżyczka rozpadła się na kawałki. W powietrzu unosił się kurz połamanych marmurów, zmieszany z prochem dawno zmarłych istot.

–Barong Keket! Barong Keket! Wybaw mnie, Barong Keket! – krzyczał Michael.

Ale święte imię Władcy Lasów nie wystarczało, by powstrzymać ogromną ciemną postać, która pojawiła się nad nimi. Przez cmentarz, przysłaniając horyzont, dudniąc i rozsiewając zapach śmierci, szło coś tak ogromnego jak morski bałwan i tak przerażającego jak samo piekło.

Issa krzyczała. Marmie uniosła ręce do twarzy i patrzyła z hipnotycznym przerażeniem. Stwór zbliżał się do nich, wylaniając się z ciemności. Potem zaryczał przerażającym, wstrząsającym rykiem, niszcząc kolejne nagrobki.

Randolph widział jej twarz na masce, ale nie był przygotowany na coś takiego. Twarz była szeroka jak samochód, z wylupiastymi oczami, które tym razem nie były namalowane, ale żywe i rzeczywiste. Nos z rozszerzonymi, dyszącymi nozdrzami. Rozwarte usta z żarłocznymi zakrzywionymi kłami, które błyszczały i były tak potężne jak kły słonia.

Najbardziej przerażająca była korona na jej głowie. Wokół czoła zamiast włosów sterczały setki ludzkich głów, żywych ludzkich głów, krzyżących, płaczących w nieustającym lamencie. Przez jedną krótką chwilę Randolph ujrzał krzyżącą twarz doktora Ambary i zrozumiał, że to, co mówił Michael, było prawdą. To doktor Ambara sprowadził tutaj lejaki.

–Co to jest? – spytał płaczkliwie Waverley. Michael zdjął wolno ręce z twarzy.

–To Wdowia Wiedźma Rangda – powiedział, przekrzykując rumor towarzyszący pojawieniu się stwora. – Wygląda na to, że osobiście przyszła po swoje dusze.

Waverley zbladł jak papier.

–To jakiś kawał! To nie może być prawda! To jakiś koszmar!

Michael pokręcił głową.

–To nie koszmar, mój przyjacielu. Ona istnieje naprawdę i zamierza nas pożreć.

–O Boże! – krzyknął Waverley, zakrywając oczy dłońmi.

W tym momencie pojawiła się obok niego Ilona, materializując się w ciemności, jak gdyby wyszła zza kurtyny. Wyciągnęła obie dłonie i dotknęła go, a on podskoczył i spojrzał na nią z przestrawieniem.

Szeptala coś, ale hałas zbliżającej się Rangdy był tak ogłuszający, że z początku jej nie usłyszał.

–Co? Co ty mówisz!? Ilono, na miłość boską, pomóż mi.

–Teraz tylko ty możesz uratować tych ludzi - powiedziała Ilona. – Tylko ty możesz uratować mojego syna.

–Ja? O co tobie chodzi? Ilono, na miłość boską!

–To twoje krzyki sprowadziły ją tutaj, Waverleyu. Tylko twoja ofiara może ich uratować.

Waverley rozejrzał się wokoło z dzikim przerażeniem. Potem spojrzął na Rangdę.

–Chyba nie mówisz tego poważnie?

Ilona stała jak żywa statua, nieporuszona i biała.

–To jedyny sposób, Waverleyu. To jedyny sposób, abyś udowodnił, że mnie kochasz. To jedyny sposób, by bogowie w niebie i piekle wybaczyli tobie to, co zrobiłeś. Jeśli pozwolisz, aby mój syn umarł, nigdy ci nie wybaczę, przez całą wieczność. Ale jeśli poświęcisz się i uratujesz go, wtedy ty i ja będziemy zawsze razem i zawsze w pokoju.

Waverley drżał.

–Ilono, nie możesz mnie o to prosić.

Jej twarz zmieniała się i falowała, jakby patrzyli na nią przez płynącą wodę.

–Mogę, Waverleyu. To jedyny sposób. Bez tego nigdy nie zaznasz pokoju, nigdy. I nigdy już mnie nie zobaczysz.

Powiedziawszy to, Ilona zniknęła.

Waverley spojrzął na Randolpha, a potem na Michaela. W końcu zwrócił się ku ogromnej czarnej postaci Rangdy. Podszedł do Marmie, Johna, Marka i Issy. Był blady, ale spokojny. Zdjął okulary i wsadził je do kieszeni.

–Proszę was o wybaczenie – rzekł ochryple. – Gdyby nie ja, nie byłibyście teraz tu wystawieni na niebezpieczeństwo. Byłem sprawcą całego zła i tego, co się wam przydarzyło, i gdybym mógł to naprawić, uczyniłbym to. Wyciągnął rękę do Randolpha i powiedział łagodnie:

–Jeśli możesz, wybacz mi.

Potem odwrócił się i stanął naprzeciw ogromnej przytłaczającej obecności. Ziemia zaczęła drżeć i grzmot przetoczył się nad cmentarzem, oświetlając Rangdę dokładnie: wybałuszone oczy, długie zakrzywione zęby i usta ociekające ludzkimi sokami. Rangda, bogini śmierci, drapieżnik cmentarzy, odwieczne zło, tak stare jak sama planeta.

–Weź mnie i całe moje zło! – krzyczał Waverley do Rangdy. – Weź mnie, a pozostałych puść wolno! Nasycisz się mną, moja pani. Zaspokoję twój apetyt.

–Mój Boże, on tego pragnie – wyszeptał Randolph. – Chce, aby Rangda go wzięła. Chce cierpieć.

Michael wstał i patrzył na Waverleya z zafascynowaniem. Nadal obawiał się o swoje życie, ale poruszył go widok człowieka ofiarującego swe życie za innych. Waverley wiedział, na jaką karę się skazuje, na ukoronowanie czoła Rangdy, a podejrzewał, że były jeszcze gorsze kary, które skrywały ciemności.

Rangda sięgnęła z czerni swego płaszcza i nawet lejaki jęknęły i odskoczyły do tyłu. Jednakże Waverley nie poruszył się. Stał z uniesioną głową i z wyzwaniem w oczach, aby Wdowia Wiedźma przyjęła jego samotną ofiarę.

–Mój Boże - wyszeptała Marmie i w tym samym momencie Wdowia Wiedźma chwyciła Waverleya w swoje szpony i podniosła go do ust.

Jej kły rozwarły się. Waverley – albo z odwagi, albo z obłąkańczego strachu – milczał. Nawet nie pisnął, gdy pierwszy zakrzywiony kieł zatopił się w jego brzuchu. Ani nie jęknął, kiedy jego ramiona zostały wyrwane ze stawów. Nie dobył się żaden

jęk, kiedy ostatni z dawnych południowców zniknął między nienasyconymi wargami, nie zostawiając po sobie niczego prócz strugi krwi.

Randolph i Michael czekali, niemi i drżący, kiedy Rangda sięgnie po nich.

–Ona chce także nas zabrać. Wiem o tym – rzekł Michael. – Módl się, bracie.

Zbliża się wieczność.

Rangda przysłoniła niebo wprost nad ich głowami. Jej moc była tak gwałtowna, że ziemia pod ich stopami zadrżała, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi, a powietrze zawirowało, jakby tuż nad nimi przeleciał boeing 747. Michael padł na kolana, lecz Randolph stał nieruchomo w miejscu, sparaliżowany strachem. Czuł, jak włosy podnoszą się mu na karku.

Rangda rozwarła paszczę i wtedy między jej szczękami ukazało się kłębowisko beżowych, na pół przeżutych jelit.

Nagle miejsce, gdzie stała Marmie z dziećmi, zaczął oświetlać dziwny bladozielony blask. Rangda cofnęła się przed nim, groteskowo kiwając głową. Randolph odwrócił się i spojrzał na Marmie i dzieci, a oni świecili fosforyzującym łagodnym światłem. Marmie uśmiechnęła się swoim słodkim uśmiechem, który tak kochał, wyciągnęła do niego ramiona, jakby chciała się pożegnać.

Dudnienie Rangdy zaczęło przycichać i w końcu Wdowia Wiedźma zniknęła w ciemnościach, a wtedy lejaki zaczęły się rozpraszać, z początku pojedynczo, a potem całymi grupami. Ich oczy zwęziły się, aż stały się tylko szczelinami pomarańczowego ognia.

–Michael – powiedział Randolph. – Michael, oni odchodzą! Michael, co się dzieje? Michael wstał powoli.

–Barong Keket, Władca Lasów. Przyszedł, aby chronić twoją rodzinę.

Randolph obserwował w milczeniu, jak Marmie, John, Mark i Issa zbliżyli się i chwycili za ręce. Byli teraz całkowicie otoczeni silnym bladozielonym blaskiem i nagle Randolph zauważył, że ich stopy z wolna odrywają się od ziemi, aż w końcu znaleźli się dziesięć czy piętnaście centymetrów nad ziemią.

–Barong Keket – powtórzył szeptem Michael. – Pan wszystkiego, co dobre, zielone i spokojne. Pan łagodności i Pan miłości.

Randolph spojrzał w kierunku kurczącej się czarnej chmury, jaką była teraz Rangda.

–Powiedziałaś mi, że Barong Keket nie dorównuje Rangdzie.

–On sam nie. Ale Rangda przyjęła dobrowolną ludzką ofiarę i nie ma prawa wziąć niczego więcej. Tak właśnie umarł mój ojciec, aby ochronić mnie przed Rangdą, a Waverley Graceworthy obronił Marmie i dzieci.

–Marmie! – zawołał Randolph. – Marmie, słyszysz mnie?

Michael złapał go za ramię.

–Nie sądzę, by cię słyszała. Należy teraz do Barong Keketa. Patrz – ona znika. Oni wszyscy znikają.

–Co masz na myśli, mówiąc, że ona należy do Barong Keketa?

Michael otarł pot z czoła wierzchem dłoni.

–Z nią wszystko w porządku, Randolphie. Nie mogłaby mieć lepszej opieki.

Naprawdę. Przez całą wieczność, amen.

–Marmie! – zawołał Randolph z rozpaczą. Michael jednak miał rację. Marmie i dzieci rozplywali się w bladozielonym świetle. Wkrótce widział tylko słabe cienie swej utraconej rodziny, a potem zniknęli. Przez długą chwilę stał z uniesioną głową. Kiedy zaczęło świtać, deszcz światła spadł na cmentarz. Randolph wzniosł oczy i wyszeptał:

–Czekaj na mnie, Marmie. Pewnego dnia przyjdę do ciebie.

Michael stał w cieniu pobliskiego drzewa.

–Lepiej wracajmy – powiedział. – Nastął nowy dzień. Trans śmierci się skończył.

Wracali razem w milczeniu Elvis Presley Boulevard, aż dotarli do posiadłości Waverleya Graceworthy’ego. Kiedy zbliżyli się do wejścia, ze zdziwieniem zauważyli, że samochód z rejestracją OGRE 1 nadal jest zaparkowany na podjeździe obok wozu Szefa Moyne i samochodu patrolowego. Były tam jeszcze trzy inne policyjne samochody z błyskającymi światłami i dwie furgonetki biura koronera z Shelby County.

Podeszli do drzwi wejściowych, akurat gdy czterech policjantów i dwóch pielęgniarzy wypychało z drzwi wózek, na którym spoczywał ogromny kształt przykryty pokrwawionym prześcieradłem.

–Co się stało? – spytał Randolph. Uniósł prześcieradło i zobaczył, że pod spodem leży Orbus Greene, czy raczej to, co z niego zostało. Jego biała marynarka była prawie czarna od krwi, a na ciele widniały straszliwe wygryzione rany. Twarz Greene’a wyglądała jak ubity kotlet. Żołądek Randolpha ścisnął się z obrzydzenia.

–O, pan Clare – powiedział znajomy głos. Był to kapitan Ortega ze śródmieścia. Młody zdolny detektyw, o przystojnej latynoskiej twarzy i krótko przyciętym wąsie. – Obawiam się, że trafił pan akurat na straszną tragedię. Muszę pana prosić, aby utrzymał to pan przez jakiś czas w tajemnicy. Nie chcemy informować mediów, aż nie będziemy wiedzieli więcej.

Minął ich oficer niosący martwego dobermana na rękach. Wrzucił go z hałasem do bagażnika swojego wozu i wrócił do domu.

–Co tu się, do diabła, stało? – spytał Randolph. Był roztrzęsiony, zmęczony i oszołomiony.

Kapitan Ortega wziął go pod ramię.

–Pan Graceworthy trzymał bardzo ostre psy obronne – wyznał. – Wydaje się, że tej nocy pan Orbus Greene, Szef Moyne i jeszcze kilka osób, w tym dwóch policjantów, złożyło panu Graceworthy’emu wizytę po Bawełnianym Balu. Pana Graceworthy’ego chyba nie było, a psy zaatakowały gości i zagryzły ich. Dziewięć trupów. Jeden z nich stracił nawet ramię, którego nie możemy nigdzie znaleźć. – Wyjął mały inhalator i przyłożył do nosa.

–Oczywiście, musieliśmy zlikwidować psy. Były zbyt niebezpieczne, aby zamknąć je w schronisku. Nadal nie wiemy, gdzie jest pan Graceworthy. Nie wie pan, gdzie on mógłby się znajdować?

Randolph wolno pokręcił głową.

–Gdybym coś o nim usłyszał, mam panu przekazać?

–Byłbym wdzięczny – uśmiechnął się kapitan Ortega, gdy właśnie mijał ich drugi wózek. Randolph rozpoznał srebrny sygnet na dłoni, która wystawała spod prześcieradła – jeden z ochroniarzy Orbusa Greene’a.

–Nie miałby pan nic przeciwko, gdybym zadzwonił? – spytał nagle. – Mój szofer miał na mnie tu czekać i zdaje się, że się spóźnia.

–Oczywiście – odparł kapitan Ortega.

Herbert powiedział, że przyjedzie po nich za piętnaście minut. Czekając na niego, spacerowali po ogrodzie Waverleya i rozmawiali.

–To oczywiście lejaki – powiedział Michael cicho. – Żadne psy tego by nie zrobiły.

–To znaczy, że przedostały się przez bramę i weszły tutaj?

Michael potaknął.

–Salon Waverleya Graceworthy’ego nie jest poświęconą ziemią. Lejaki prawdopodobnie śledziły Reece’a i przedostały się do rzeczywistego świata, właśnie tu, gdzie siedzieli ci wszyscy ludzie. Nikt nie miał szans.

–A co teraz z lejakami?

–No cóż, w tym całe niebezpieczeństwo. Biegają wolno w rzeczywistym świecie, tylko nie wiadomo, gdzie. Oczywiście, aby przeżyć, muszą zabijać.

–Nie zamierzasz już polować na lejaki? – spytał Randolph.

Michael wyjął papierosa.

–O nie – odparł, potrząsając głową.

Randolph przez chwilę milczał, a potem odezwał się:

–Zwolniły się u mnie pewne stanowiska. Wicedyrektor odpowiedzialny za produkcję dostał właśnie wypowiedzenie. Zwalniam Neila Sleamana.

Michael znowu potrząsnął głową.

–Może zostanę kierowcą taksówki – odparł na wpół żartobliwie.

Randolph zamyślił się.

–Znałem kiedyś jednego taksówkarza – zauważył. – To on właśnie naprowadził mnie na ślad Reece’a. Wiesz, co on twierdził? Ze Elvis Presley sfingował swoją śmierć i wyjechał, by ukryć się przed swoimi fanami.

–Niezły pomysł – odparł Michael, wydmuchując kółko z papierosa.

Randolph skinął głową.

–Jestem ciekaw, co się stało z tym taksówkarzem. Nie miałem już potem o nim żadnych wieści.

–Widocznie tak miało być – rzekł Michael.

Notatka I

27 marca 1985 roku Richard Stevens Reece został aresztowany w Gary, Indiana, pod zarzutem pobicia. Jego dane wysłano do Federalnego Biura Śledczego, które doniosło, że jest poszukiwany przez Królewską Kanadyjską Policję Konną w związku z wielokrotnym gwałtem i morderstwem w Lac aux Ecorces w prowincji Quebec.

Reece został przewieziony do Quebec, gdzie osądzono go i uznano za winnego morderstwa. Dowodem, który ostatecznie przekonał sędziów, był znaczek identyfikacyjny armii amerykańskiej znaleziony między deskami podłogi domku myśliwskiego, gdzie dokonano zbrodni.

Richard Reece został skazany na dożywotnie więzienie. Powiesił się w celi rankiem 9 czerwca 1985 roku, zostawiając krótką notatkę: „Fish Hook”.

Notatka II

18 lutego 1986 roku zaatakowano włóczęgę w alei między ulicą Czternastą a Piętnastą w Joplin, Missouri. Ofiara została rozdarta na strzępy, „jak gdyby przez wilki”. Części ciała były rozrzucone w promieniu dwudziestu metrów.

Jedynym świadkiem był siedemdziesięciodwuletni ociemniały żebrak, który znajdował się w upojeniu alkoholowym po spożyciu terpentyny. Zeznał, że było dwóch napastników, obaj o „twarzach pokrytych popiołem i pomarańczowych ślepiach”.

Jego zeznanie zostało odrzucone przez oficerów śledczych, a oświadczenie koronera brzmiało, że włóczęga został zabity przez „nieznane osoby lub zwierzęta”.

* [Pelvis \(ang.\) – miednica.](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/